



OGLĄDAJ  
NAJNOWSZY SERIAL

**FIRMA**

NA MOTYWACH  
SŁYNNIEJ POWIEŚCI!  
WYŁĄCZNIE  
W STACJI 

JOHN  
**GRISHAM**  
FIRMA

# JOHN GRISHAM FIRMA

Z angielskiego przełożyli

LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI  
ZBIGNIEW KOŚCIUK  
KRZYSZTOF OBŁUCKI



2012. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:

THE FIRM

Copyright © John Grisham 1991

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2012

Polish translation copyright

© Lech Z. Żołędziowski & Zbigniew Kościuk & Krzysztof Obłucki 2012

Front cover photo

© NBC Universal Photo Bank 2011

© The Firm Television Productions Inc. 2011

All rights reserved

Photographic material is protected by the copyright laws  
of the United States, Canada and all countries throughout the world

Redakcja: Beata Słama

Konsultacja prawnicza: prof. Tadeusz Tomaszewski

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7659-492-7

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

2012. Wydanie elektroniczne

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych — jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Plik opracował i przygotował Woblink

[www.woblink.com](http://www.woblink.com)

*Dla Renée*

# Rozdział 1

Wspólnik senior po raz setny przeczytał leżące przed nim CV i po raz setny uznał, że nie znajduje w nim niczego, co by go zaniepokoiło, przynajmniej na papierze. Mitchell Y. McDeere miał głowę na karku, był ambitny i wyglądał jak należy. I był wygłodniały. Ktoś z jego drogą życiową musiał być. Był też żonaty, co stanowiło bezwzględny wymóg. Firma nigdy nie zatrudniała singli i nawet na rozwodników patrzyła bardzo niechętnie, podobnie zresztą jak na kobieciarzy i pijących, przejście testu narkotykowego zaś było wręcz warunkiem kontraktowym. Kandydat ukończył kurs księgowości, za pierwszym podejściem zaliczył egzamin na biegłego księgowego i jako prawnik chciał się specjalizować w prawie podatkowym, co predestynowało go do pracy w firmie zajmującej się podatkami. Był biały, a firma jeszcze nigdy nie zatrudniła czarnego prawnika. Udawało jej się to dzięki dyskretnej i zamkniętej polityce kadrowej: nigdy nie ogłaszano naboru na wolnym rynku. Kancelarie musiały zatrudniać czarnych, ta natomiast ograniczała się do rekrutacji prywatnymi kanałami i pozostawała w całości biała. Na dodatek firma mieściła się w Memphis, a najlepsi czarni prawnicy aspirowali do pracy w Nowym Jorku, Waszyngtonie lub Chicago. McDeere miał również właściwą płeć, bo firma z reguły nie zatrudniała kobiet. Tylko raz popełniono ten błąd i w połowie lat siedemdziesiątych przyjęto prawniczkę po Harvardzie, na którym zdobyła pierwszą lokatę i renomę czarodziejki w dziedzinie prawa podatkowego. Przetrwała w firmie cztery burzliwe lata i zginęła w wypadku samochodowym.

Na papierze wszystko wyglądało doskonale i McDeere był kandydatem

numer jeden. A właściwie jedynym, bo w tym roku nikt inny z nim nie konkurował i lista była bardzo krótka. Albo on, albo nikt.

Wspólnik zarządzający, Royce McKnight, studiował zawartość teczki zatytułowanej *Mitchell Y. McDeere — Harvard*. Ponaddwucentymetrowy plik dokumentów i fotografii został skompletowany przez prywatną agencję wywiadowczą z Bethesdy, w której pracowało kilku byłych agentów CIA. Należała ona do klientów firmy i co roku sporządzała dla niej takie raporty, nie biorąc za to pieniędzy. Jej właściciele twierdzili, że zadanie jest dziecinnie proste, bo dotyczy niczego niepodważających studentów prawa. Z uzyskanych informacji wynikało, że McDeere wolał się wynieść z północnego wschodu kraju, że złożono mu trzy propozycje pracy — dwie w Nowym Jorku i jedną w Chicago — z których najwyższa opiewała na siedemdziesiąt sześć tysięcy, a najniższa na sześćdziesiąt osiem tysięcy dolarów rocznie. Wyglądało na to, że firmy prawnicze usilnie o niego zabiegają. Będąc na drugim roku, miał okazję podeprzeć się ściągą na egzaminie z obrotu papierami wartościowymi, ale z niej nie skorzystał i uzyskał najlepszy wynik w grupie. Dwa miesiące temu na wydziałowej imprezie pojawiła się kokaina, ale on odmówił i wyszedł, podczas gdy jego koledzy ochoczo zabrali się do wciągania. Od czasu do czasu pił piwo, ale alkohol był drogi, a on nie miał pieniędzy. Z powodu zaciągniętych kredytów studenckich miał blisko dwadzieścia trzy tysiące dolarów długu i był człowiekiem głodnym sukcesu.

Royce McKnight skończył przeglądać zawartość teczki i się uśmiechnął. McDeere był dla nich stworzony.

Lamar Quin miał trzydzieści dwa lata i nie dochrapał się jeszcze pozycji wspólnika. Zaangażowano go, by wyglądał młodzieńczo, zachowywał się młodzieńczo i propagował młodzieńczy wizerunek kancelarii Bendini, Lambert i Locke, która i bez tego była firmą ludzi młodych, większość

bowiem wspólników w wieku około pięćdziesięciu lat przechodziła na emeryturę, z mnóstwem pieniędzy na koncie. Wiedział jednak, że kiedyś zostanie wspólnikiem. Miał do końca życia zagwarantowany sześciocyfrowy dochód i już teraz mógł się cieszyć szytymi na miarę garniturami po tysiąc dwieście dolarów za sztukę, które tak dobrze leżały na jego wysokiej, atletycznej sylwetce. Przeszedł swobodnym krokiem przez apartament za tysiąc dolarów za dobę, nalał sobie kolejną filiżankę bezkofeinowej kawy i rzucił okiem na zegarek, po czym zerknął na wspólników siedzących przy niewielkim stole konferencyjnym pod oknem.

Dokładnie o czternastej trzydzieści rozległo się pukanie do drzwi. Lamar spojrzął na wspólników, a ci odłożyli CV i schowali teczkę do otwartej aktówki. Wszyscy trzej sięgnęli po marynarki, Lamar zapiął swoją na górny guzik i otworzył drzwi.

— Mitchell McDeere? — Wyciągnął rękę, uśmiechając się szeroko.

— Tak.

Obaj mężczyźni serdecznie uścisnęli sobie dłonie.

— Miło mi cię poznać, Mitchellu. Jestem Lamar Quin.

— Mnie także. Proszę mi mówić Mitch. — Gość wszedł i rozejrzał się po przestronnym wnętrzu.

— Jasne, Mitch. — Lamar wziął go za ramię i poprowadził w głąb apartamentu, gdzie czekali dwaj wspólnicy. Przedstawili mu się, nie szczędząc ciepła i serdeczności w słowach i gestach. Zaproponowali mu kawę, potem wodę. Wszyscy czterej usiedli wokół lśniącego stołu konferencyjnego z mahoniem i wdali się w miłą pogawędkę. McDeere rozpiął marynarkę i założył nogę na nogę. Miał już doświadczenie w rozmowach z potencjalnymi pracodawcami i szybko wyczuł, że ci go chcą. Rozluźnił się. Miał w kieszeni trzy oferty pracy w trzech prestiżowych firmach prawniczych i tak naprawdę w ogóle nie musiał tu przychodzić.



Dotychczasowe spotkania pozwoliły mu nabrać trochę pewności siebie, na to więc stawiał się bardziej z ciekawości. A także dlatego, iż marzył, by zamieszkać w cieplejszym klimacie.

Oliver Lambert, wspólnik senior, pochylił się nad stołem i podparłszy się łokciami, przejął inicjatywę w rozmowie. Odznaczał się elokwencją i ciepłym, niemal śpiewaczym barytonem. W wieku sześćdziesięciu jeden lat był nie tyle ojcem, ile dziadkiem firmy, i większość czasu poświęcał na zmaganie się z rozbuchanymi osobowościami prawników zaliczających się do najbogatszych w kraju. Był mentorem, do którego młodszy zwracali się o pomoc i radę w rozwiązywaniu problemów. Do Lamberta należała także rekrutacja nowych pracowników i jego zadaniem było doprowadzenie do podpisania umowy z Mitchellem Y. McDeere'em.

— Masz już dość rozmów o pracy? — zapytał Oliver Lambert.

— Właściwie nie. To element kariery zawodowej.

Tak, tak, zgodzili się skwapliwie. Wydaje się, jakby to było wczoraj, kiedy sami uczestniczyli w takich rozmowach, przedstawiali swoje CV i przeżywali katusze ze strachu, że nikt ich nie zatrudni i trzy lata ślęczenia nad książkami pójdą na marne. Tak że wiedzą doskonale, co teraz przeżywa.

— Mogę o coś spytać? — wtrącił Mitchell.

— Oczywiście.

— Jasne.

— O co chcesz.

— Dlaczego nasza rozmowa odbywa się w pokoju hotelowym? Inne firmy prowadzą rozmowy na terenie kampusu w biurach pośrednictwa pracy.

— Dobre pytanie. — Wszyscy trzej popatrzyli po sobie i kiwając głowami, zgodzili się, że to dobre pytanie.

— To może ja na nie odpowiem, Mitch — powiedział Royce McKnight, wspólnik zarządzający. — Musisz wziąć pod uwagę specyfikę naszej firmy.

Różnimy się od innych i jesteśmy z tego dumni. Zatrudniamy czterdziestu jeden prawników, więc w porównaniu z innymi nie jesteśmy duzi. Nie przyjmujemy do pracy wielu nowych, średnio jednego na dwa lata. Oferujemy za to najwyższe wynagrodzenia i najlepsze świadczenia dodatkowe w całym kraju, nie przesadzam. Dlatego jesteśmy bardzo wybredni. I wybraliśmy ciebie. List, który dostałeś w zeszłym miesiącu, napisaliśmy po przyjrzeniu się ponad dwóm tysiącom studentów trzeciego roku z najlepszych uczelni. W rezultacie wysłaliśmy tylko ten jeden list. Nigdzie nie ogłaszamy naszych wakatów i nie zachęcamy nikogo do składania ofert. Trzymamy się z boku i stosujemy odmienne metody. Oto moja odpowiedź.

— Rozumiem. A czym firma się zajmuje?

— Podatkami. Trochę papierami wartościowymi, nieruchomościami i bankowością, ale osiemdziesiąt procent naszej pracy dotyczy podatków. Dlatego chcieliśmy się z tobą spotkać, Mitch. Bardzo interesują cię kwestie podatkowe.

— Dlaczego wybrałeś college Western Kentucky? — chciał wiedzieć Oliver Lambert.

— To proste. Za grę w ich drużynie futbolowej zaoferowali mi pełne stypendium. Gdyby nie to, nie byłoby w ogóle mowy o college'u.

— Opowiedz nam o swojej rodzinie.

— A dlaczego to jest ważne?

— Dla nas to bardzo ważne, Mitch — powiedział łagodnie Royce McKnight.

Wszyscy mówią to samo, pomyślał McDeere.

— Dobrze. Więc mój ojciec zginął w wypadku w kopalni, kiedy miałem siedem lat. Matka wyszła ponownie za mąż i przeniosła się na Florydę. Miałem dwóch braci. Rusty zginął w Wietnamie. Mam jeszcze brata Raya.

— Gdzie teraz przebywa?

— Myślę, że to nie wasza sprawa — burknął Mitchell wyraźnie poirytowanym tonem i wlepił wzrok w McKnighta. W materiałach w teczce nie było nic na temat Raya. Dziwne.

— Przepraszam — bąknął wspólnik zarządzający.

— Mitch, nasza firma mieści się w Memphis — wtrącił szybko Lamar.

— Czy to stanowi dla ciebie problem?

— Żadnego. Nie lubię zimna.

— Byłeś kiedyś w Memphis?

— Nie.

— Niedługo cię tam zaprosimy. Będziesz zachwycony.

Mitch kiwnął głową i uśmiechnął się, nie dając nic po sobie poznać. Czy ci ludzie robią sobie żarty? Jak w ogóle mógłby brać pod uwagę propozycję tak małej firmy z tak małego miasta, skoro interesuje się nim Wall Street?

— Jak cię sklasyfikowano na uczelni? — zapytał Lambert.

— W pierwszej piątce. — Nie w pierwszych pięciu procentach, tylko w pierwszej piątce studentów, ale to musiało im wystarczyć za odpowiedź. W pierwszej piątce na trzystu słuchaczy. Mógł powiedzieć, że trzeci był tuż za drugim i całkiem blisko pierwszego, ale nie zrobił tego. Jego rozmówcy skończyli gorsze uczelnie prawnicze — uniwersytety Chicago, Columbia i Vanderbilt, o ile dobrze zapamiętał informacje zamieszczone w *Almanachu Prawniczym Martindale'a-Hubbella* — i był pewny, że nie będą chcieli roztrząsać kwestii wykształcenia.

— Dlaczego wybrałeś Harvard?

— Prawdę mówiąc, Harvard wybrał mnie. Złożyłem papiery do kilku uczelni i wszędzie mnie przyjęto. Ale Harvard zaoferował mi największą pomoc finansową. Uważałem go za najlepszą szkołę. Nadal tak uważam.

— Doskonale tam sobie poradziłeś, Mitch — stwierdził Lambert,

zerkając do CV. Teczka z dokumentacją z agencji wywiadowczej tkwiła w zamkniętej aktówce pod stołem.

— Dziękuję. Ciężko na to pracowałem.

— Uzyskałeś bardzo wysokie oceny z zajęć z podatkowości i obrotu papierami wartościowymi.

— To interesuje mnie najbardziej.

— Zapoznaliśmy się z próbkami twoich analiz i muszę powiedzieć, że zrobiły na nas wrażenie.

— Dziękuję. Lubię zgłębiać literaturę.

Pokiwali głowami, gładko przełykając oczywiste kłamstwo należące do rytuału takich rozmów. Żaden student ani prawnik przy zdrowych zmysłach nie lubi przesiadywać w bibliotece, ale podczas rozmowy kwalifikacyjnej każdy kandydat uważa za stosowne deklarować głęboką miłość do literatury prawniczej.

— Opowiedz nam o żonie — poprosił Royce McKnight niemal przymilnym tonem. Mógł się spodziewać następnej opryskliwej odpowiedzi, ale każda firma próbuje wtykać nos do tej sfery życia kandydata.

— Ma na imię Abby. Zrobiła dyplom z nauczania podstawowego w Western Kentucky. Równocześnie skończyliśmy college i tydzień później się pobraliśmy. Przez ostatnie trzy lata uczyła w prywatnym przedszkolu w pobliżu Boston College.

— A czy wasze małżeństwo jest...

— Jesteśmy bardzo szczęśliwi. Znamy się od liceum.

— Na jakiej pozycji grałeś? — spytał Lamar, szybko kierując rozmowę na mniej drażliwe tematy.

— Rozgrywającego. Wiele drużyn o mnie zabiegało do chwili, gdy podczas ostatniego meczu w drużynie licealnej rozwalilem sobie kolano. Nagle wszyscy z wyjątkiem Western Kentucky stracili zainteresowanie.

Przez cztery lata grałem w ich drużynie i zacząłem nawet grać w lidze juniorów, ale kolano już nigdy nie wróciło do pełnej sprawności.

— Jak udawało ci się godzić grę na boisku z piątkami w indeksie?

— Książki zawsze miały pierwszeństwo.

— Trudno mi sobie wyobrazić Western Kentucky jako college o wygórowanych wymaganiach akademickich — parsknął Lamar z ironicznym uśmiechem i od razu tego pożałował. Lambert i McKnight ściągnęli brwi na znak niezadowolenia.

— Podobnie jak stanowy w Kansas — wypalił Mitch i Lamara zatkało. Właściwie zaniemówili wszyscy trzej, przez chwilę spoglądając po sobie z niedowierzaniem. McDeere wiedział, że Lamar Quin uczęszczał do stanowego college'u w Kansas. Nigdy nie widział Lamara na oczy i nie mógł wiedzieć, kto z ramienia firmy będzie z nim rozmawiał, ale to wiedział. A to znaczy, że przewertował almanach Martindale'a-Hubbella, przeczytał notki biograficzne wszystkich czterdziestu jeden prawników zatrudnionych w firmie i potrafił w sekundę przywołać z pamięci informację, że Lamar Quin skończył stanowy college w Kansas. Cholera, to naprawdę imponujące.

— Zdaje się, że palnąłem gafę — powiedział skruszonym tonem Lamar.

— Nie szkodzi. — Mitch uśmiechnął się ciepło na znak, że już o tym zapomniał.

Oliver Lambert odchrząknął i postanowił wrócić do spraw osobistych.

— Mitch, nasza firma nie pochwała picia alkoholu ani uganiania się za kobietami. Nie jesteśmy gromadą świętoszków, ale stawiamy sprawy zawodowe na pierwszym miejscu. Trzymamy się w cieniu i ciężko pracujemy. I zarabiamy furę pieniędzy.

— Wszystko to mi odpowiada.

— Zastrzegamy też sobie prawo kontrolowania personelu pod kątem zażywania narkotyków.

— Nie zażywam narkotyków.

— To dobrze. Jakiego jesteś wyznania?

— Metodysta.

— To dobrze. W naszej firmie zatrudniamy ludzi wielu różnych wyznań: katolików, baptystów, członków Kościoła episkopalnego. To tak naprawdę nie nasza sprawa, ale wolimy wiedzieć. Zależy nam na trwałości rodzin. Szczęśliwi prawnicy to wydajni prawnicy. Dlatego zadajemy te wszystkie pytania.

Mitch skinął głową i się uśmiechnął. Słyszał to już wcześniej.

Wszyscy trzej wspólnicy spojrzeli po sobie i przenieśli wzrok na Mitcha, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że rozmowa dotarła do punktu, w którym przepytywany powinien sam zadać kilka inteligentnych pytań. Mitch zmienił pozycję na krześle. Oczywiście najważniejszą sprawą była kwestia finansowa, szczególnie to, jak ich propozycja ma się do tamtych trzech. Jeśli oferta nie okaże się wystarczająco atrakcyjna, to miło było panów poznać i po sprawie. Jeśli zaś będzie atrakcyjna, wtedy możemy rozmawiać o rodzinie i o małżeństwie, i o futbolu, i o Kościołach. Ale wiedział, że jak we wszystkich poprzednich firmach muszą tak długo boksować się z cieniem, aż dla wszystkich stanie się jasne, że poruszyli każdą kwestię z wyjątkiem pieniędzy. Dlatego lepiej było zacząć od pytania lżejszego kalibru.

— Na czym polegałaby moja praca?

Pokiwali głowami na znak, że podoba im się pytanie, po czym Lambert i McKnight spojrzeli na Lamara. To jego działka.

— W naszej firmie stosujemy coś w rodzaju dwuletniej aplikantury, choć formalnie tak tego nie nazywamy. Będziemy cię wysyłali do różnych zakątków kraju na seminaria z zakresu prawa podatkowego. Będziesz musiał jeszcze dużo się nauczyć. Zimą odbędziesz dwutygodniową praktykę

w Amerykańskim Instytucie Podatkowym w Waszyngtonie. Przykładamy ogromną wagę do naszej wiedzy technicznej i wszyscy bezustannie się szkolimy. Jeśli będziesz chciał uzyskać dyplom z prawa podatkowego, pokryjemy związane z tym koszty. Jeśli chodzi o typową praktykę prawniczą, to przez pierwsze dwa lata nie wydarzy się nic szczególnie ekscytującego. Większość czasu będziesz poświęcał grzebaniu w literaturze i wyszukiwaniu precedensów. Generalnie to dość nudne zadania. Ale zostaniesz za to szczerze wynagrodzony.

— Jak szczerze?

Lamar popatrzył na Royce'a McKnighta, a ten wlepił wzrok w Mitcha.

— O wynagrodzeniu i innych korzyściach porozmawiamy w Memphis — rzekł.

— Chciałbym usłyszeć orientacyjną kwotę teraz, bo może nie będę miał po co jechać do Memphis. — Mitch uśmiechnął się nieco wyzywająco, ale pogodnie. Tak jak uśmiecha się człowiek z trzema ofertami zatrudnienia w kieszeni.

Wspólnicy spojrzeli po sobie i pierwszy odezwał się Lambert:

— No dobrze. W pierwszym roku zasadnicza pensja wyniesie osiemdziesiąt tysięcy plus premie. W drugim osiemdziesiąt pięć plus premie. Do tego niskoprocentowany kredyt hipoteczny na kupno domu plus członkostwo w dwóch country clubach. I nowe bmw. Oczywiście ty wybierzesz kolor.

Skupili wzrok na jego wargach w oczekiwaniu, że rozchylą się, ukazując zęby, a policzki zmarszczą się w uśmiechu. Próbował to zwalczyć, ale nie dał rady i zachichotał.

— Nie do wiary — wymamrotał. Osiemdziesiąt tysięcy w Memphis odpowiadało stu dwudziestu tysiącom w Nowym Jorku. I jeszcze to bmw! Jego stara mazda hatchback ma milion kilometrów na liczniku i trzeba ją

zapalać na pych, bo dopiero zbiera pieniądze na zakup regenerowanego rozrusznika.

— Plus parę dodatkowych świadczeń, o których chętnie porozmawiamy w Memphis — zaznaczył Lambert.

Mitch poczuł nagłą ochotę, by szybko odwiedzić Memphis. Czy nie leży przypadkiem nad rzeką?

Po chwili Mitch się opanował i uśmiech zniknął z jego twarzy. Obrzucił Olivera Lamberta poważnym, niemal surowym spojrzeniem, jakby pensja, nowy dom i nowe bmw straciły na znaczeniu.

— Proszę mi opowiedzieć coś więcej o firmie — powiedział.

— Zatrudniamy czterdziestu jeden prawników — zaczął Lambert. — W ubiegłym roku firma zarobiła więcej na jednego zatrudnionego niż jakakolwiek inna firma prawnicza o porównywalnej wielkości lub większa. Wliczając w to wszystkie największe firmy w kraju. Obsługujemy tylko bogatych klientów: wielkie korporacje, banki i zamożnych klientów indywidualnych, którzy bez szemrania płacą nam wysokie honoraria. Specjalizujemy się w podatkach w wymiarze międzynarodowym i jest to dziedzina równie pasjonująca, co bardzo opłacalna. Obsługujemy tylko takich klientów, których na to stać.

— Po jakim czasie zostaje się wspólnikiem?

— Średnio po dziesięciu latach, i nie są to lata łatwe. Ale zarobki wspólników na poziomie pół miliona rocznie to nic niezwykłego. Większość przechodzi na emeryturę przed ukończeniem pięćdziesięciu lat. Trzeba sobie na to zasłużyć, pracując po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, ale opłaca się zostać wspólnikiem.

Lamar pochylił się do przodu.

— Ale nie trzeba być wspólnikiem, żeby dostawać sześciocyfrowe wynagrodzenie — powiedział. — Pracuję w firmie siedem lat i już cztery lata



temu przekroczyłem sześciocyfrowy próg.

Mitch szybko policzył w głowie: w wieku trzydziestu lat będzie mógł zarabiać dobrze ponad sto tysięcy rocznie, może nawet zbliży się do dwustu. Mając trzydzieści lat!

Przyglądali mu się uważnie, dokładnie wiedząc, o czym myśli.

— Skąd w Memphis wzięła się firma zajmująca się międzynarodowymi podatkami?

Pytanie przywołało uśmiechy na twarze wszystkich trzech. Lambert zdjął okulary i obracał je w dłoni.

— To bardzo dobre pytanie — przyznał. — Firmę założył pan Bendini w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku. Był specjalistą od prawa podatkowego w Filadelfii i trafiło mu się paru bogatych klientów z Południa. Chwytał byka za rogi i przeniósł się do Memphis. Przez następne dwadzieścia pięć lat zatrudniał wyłącznie speców od prawa podatkowego i firma zaczęła doskonale prosperować. Żaden z nas nie pochodzi z Memphis, ale wszyscy je pokochaliśmy. To bardzo sympatyczne miasto o starych południowych tradycjach. Nawiasem mówiąc, pan Bendini zmarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku.

— Ilu jest wspólników?

— Obecnie dwudziestu czynnych. Staramy się utrzymywać proporcję wspólników do prawników na poziomie jeden do jednego. To jak na tę branżę wysoki współczynnik, ale nam to odpowiada. Powtórzę raz jeszcze: w sposobach działania różnimy się od innych.

— Wszyscy nasi wspólnicy w wieku czterdziestu pięciu lat są multimilionerami — zaznaczył Royce McKnight.

— Wszyscy?

— Tak jest, drogi panie. Oczywiście nie gwarantujemy tego, ale jeśli do nas dołączysz, przez dziesięć lat ciężko popracujesz, zostaniesz wspólnikiem

i przepracujesz następne dziesięć lat, to nie zostając milionerem w wieku czterdziestu pięciu lat, będziesz pierwszym takim od dwudziestu lat.

— To imponująca statystyka.

— Bo mówimy o imponującej firmie, Mitch — powiedział Oliver Lambert. — Jesteśmy z niej bardzo dumni. Stanowimy ściśle współpracującą społeczność. Jest nas niewielu i wszyscy wzajemnie się wspieramy. Nie podrzynamy sobie gardeł, z czego słyną wielkie firmy prawnicze. Jesteśmy ostrożni przy przyjmowaniu nowych pracowników i naszym celem jest, by każdy prawnik mógł jak najszybciej osiągnąć status wspólnika. W tym celu inwestujemy mnóstwo czasu i pieniędzy w samych siebie, a zwłaszcza w nowych pracowników. Rzadko, niezwykle rzadko zdarza się, że ktoś odchodzi z naszej firmy. Po prostu nie ma powodu. Robimy wszystko, żeby kariery naszych prawników biegły ustalonymi torami. Chcemy, żeby byli oni ludźmi szczęśliwymi. Naszym zdaniem to najbardziej opłacalny sposób zarządzania firmą.

— Służę jeszcze inną imponującą statystyką — przejął pałeczkę McKnight. — W minionym roku płynność kadr w firmach prawniczych o wielkości porównywalnej z nami lub większych wyniosła dwadzieścia osiem procent. W firmie Bendini, Lambert i Locke wyniosła zero. Rok wcześniej zero. Od bardzo dawna żaden prawnik nie zrezygnował z pracy u nas.

Wszyscy przyglądali się uważnie Mitchowi, chcąc mieć pewność, że dotarły do niego wszystkie te informacje. Każdy szczegół zatrudnienia i płacy był ważny, ale trwałość i definitywność jego decyzji o przyjęciu tej pracy była najważniejsza. Powiedzieli mu to, co na tym etapie należało powiedzieć. Na dalsze szczegóły przyjdzie czas.

Oczywiście wiedzieli o nim znacznie więcej, niż byli skłonni okazać. Wiedzieli na przykład, że jego matka mieszka w przyczepie kempingowej na prymitywnym osiedlu w Panama City Beach z drugim mężem,

emerytowanym kierowcą ciężarówki z poważnym problemem alkoholowym, który powoduje u niego napady agresji. Wiedzieli, że po wybuchu w kopalni dostała odszkodowanie w wysokości czterdziestu jeden tysięcy dolarów, ale większość z tego szybko roztrwonila. Po śmierci najstarszego syna w Wietnamie zapadła na chorobę umysłową. Wiedzieli, że Mitch miał trudne dzieciństwo i dorastał w biedzie pod opieką brata Raya (którego agencja nie potrafiła zlokalizować) i paru litościwych krewnych. Życie w biedzie boli i założyli, zresztą słusznie, że wzbudziło to w nim przemożną żądzę sukcesu. Trzydzieści godzin tygodniowo poświęcał na pracę w całodobowym samie spożywczym, jednocześnie grając w futbol i zdobywając doskonałe oceny w szkole. Wiedzieli, że prawie nie śpi. Wiedzieli, że jest głodny sukcesu. Wiedzieli, że jest dla nich stworzony.

— To jak, chciałbyś nas odwiedzić? — zapytał Oliver Lambert.

— Kiedy? — Mitch oczyma duszy widział czarną trzysta osiemnastkę i z otwieranym dachem.

• • •

Wiekowa mazda hatchback z trzema kołpakami i pękniętą przednią szybą wisiała nad rynsztokiem z przednimi kołami skreconymi w strone chodnika, co miało zapobiec stoczeniu się auta ze wzgórza. Abby chwyciła klamkę od wewnątrz, dwukrotnie pociągnęła i otworzyła drzwi. Wsunęła kluczyk do stacyjki, wcisnęła sprzęgło i wyprostowała kierownicę. Mazda zaczęła wolno staczać się po pochyłości. Abby wstrzymała oddech i gdy samochód nabrał prędkości, zwolniła sprzęgło i zagryzając wargę, odczekała, aż pozbawiony tłumika silnik zaskoczy.

Dzięki trzem ofertom pracy Mitcha za jakieś cztery miesiące będą mogli pomyśleć o nowym samochodzie. Jakoś do tego dotrważą. Przez trzy lata klepali biedę w dwupokojowym mieszkanku studenckim na terenie kampusu,

gdzie stało mnóstwo porsche i małych mercedesów cabrio. Na ogół starali się ignorować przytyki kolegów i koleżanek w tym bastionie snobizmu na Wschodnim Wybrzeżu. Traktowano ich jak prostaków z Kentucky i przyjaciół mogli policzyć na palcach. Mimo to przetrwali i odnieśli sukces, zawdzięczając to tylko sobie.

Abby wolała ofertę z Chicago niż z Nowego Jorku, bo choć pensja była nieco niższa, Chicago leżało dalej od Bostonu i bliżej Kentucky. Mitch się nie wypowiadał i tylko w typowy dla siebie sposób skrupulatnie rozważał wszystkie za i przeciw, nie dzieląc się z nią przemyśleniami. Nie zaproszono jej, by towarzyszyła mężowi podczas rozmów w Chicago i Nowym Jorku, a miała już dość zgadywania. Chciała wreszcie wiedzieć, na czym stoi.

Zaparkowała na objętym zakazem parkowania wzgórzu w pobliżu ich domu i przeszła dzielące ją od domu dwie przecznice. Mieszkanie było jednym z trzydziestu w niewielkim jednopiętrowym bloku z czerwonej cegły. Abby stanęła pod drzwiami i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu kluczy, ale drzwi nagle same się otworzyły. Mitch chwycił ją za rękę i pociągnął do środka, pchnął na kanapę i wpił się wargami w jej szyję. Zapiszczała i zaczęła chichotać, wymachując rękami i nogami. Pocałowali się i przelotne cmoknięcie zamieniło się w długie dziesięciminutowe mokre całowanie, z namiętymi pieszczotami i pojękiwaniem, które oboje tak lubili w czasach szkolnych, gdy całowanie stanowiło radość, tajemnicę i kulminację, poza którą się nie wykraczało.

— O rany — sapnęła Abby, gdy skończyli. — A cóż to za okazja?

— Czujesz jakiś zapach?

Odwróciła twarz i pociągnęła nosem.

— No. A co tak pachnie?

— Chow mein z kurczakiem i jajka foo young. Od Wong Boys.

— Dobra, co to za okazja?

— Plus butelka drogiego chablis. Z prawdziwym korkiem.

— Mitch, coś ty narozrabiał?

— Chodź. — Na małym kuchennym stole pośród notatników i książek prawniczych stała duża butelka wina i torba z chińszczyzną. Odsunęli na bok warsztat pracy prawnika i rozłożyli jedzenie. Mitch otworzył wino i napełnił dwa plastikowe kieliszki.

— Miałem dziś fantastyczne spotkanie w sprawie pracy — oznajmił.

— Z kim?

— Pamiętasz tę firmę z Memphis, która napisała do mnie w zeszłym miesiącu?

— Tak. I pamiętam, że nie byłeś zbyt zachwycony.

— To właśnie oni. Teraz już jestem zachwycony. Zajmują się tylko prawem podatkowym, a wynagrodzenie wygląda bardzo atrakcyjnie.

— Jak atrakcyjnie?

Uroczyście rozdzielił chow mein na dwa talerze i otworzył małe saszetki z sosem sojowym. Abby czekała na odpowiedź, on jednak bez słowa sięgnął po drugi pojemnik i zaczął dzielić jajka foo young. Potem upił łyk wina i oblizał wargi.

— Ile? — powtórzyła.

— Więcej niż w Chicago. Więcej niż na Wall Street.

Abby wolno upiła długi łyk wina i przyjrzała mu się podejrzliwie. Jej piwne oczy zwęziły się i lekko rozbłysły. Uniosła brwi i zmarszczyła czoło. Czekala.

— Ile?

— W pierwszym roku osiemdziesiąt tysięcy plus premie. Osiemdziesiąt pięć w drugim plus premie. — Powiedział to obojętnym tonem, wpatrując się w kawałki selera w chow mein.

— Osiemdziesiąt tysięcy — powtórzyła.

— Osiemdziesiąt tysięcy dolców, dziecinko! Osiemdziesiąt tysięcy dolców w Memphis, Tennessee, to mniej więcej sto dwadzieścia tysięcy dolców w Nowym Jorku.

— A kto mówi o Nowym Jorku?

— Plus niskoprocentowany kredyt hipoteczny.

Już dawno żadne z nich nie wymówiło tych magicznych słów: „kredyt hipoteczny”. Abby właściwie nie pamiętała, kiedy ostatnio rozmawiali o własnym domu czy jakimkolwiek własnym lokum. Od wielu miesięcy żyli pogodzeni z myślą, że będą coś wynajmowali, aż kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, wzbogacą się na tyle, że będzie ich stać na większą hipotekę.

Odstawiła kieliszek i beznamiętnym tonem rzekła:

— Nie dosłyszałam, co powiedziałeś.

— Niskoprocentowany kredyt hipoteczny. Firma pożyczy nam pieniądze na zakup domu. Dla nich to bardzo ważne, żeby pracownicy wyglądali na ludzi zamożnych, i dlatego udzielą nam dużo tańszej pożyczki.

— Masz na myśli własny dom z trawnikiem i krzakami dookoła?

— A jak. Nie wynajmowanie jakiegoś potwornie drogiego mieszkania na Manhattanie, ale własny dom pod miastem z trzema sypialniami, żwirowym podjazdem i garażem na dwa samochody, w którym będzie stało bmw.

Jej reakcja była spóźniona o kilka sekund, ale w końcu załapała.

— Bmw? Czyje bmw?

— Nasze, dziecinko. Nasze bmw. Firma weźmie w leasing nowe i wręczy nam kluczyki. To coś w rodzaju premii za podpisanie cyrografu. Wartość kolejne pięć kawałków rocznie. Oczywiście sami wybierzemy kolor. Myślę, że fajny byłby czarny. A ty jak myślisz?

— Koniec z jeżdżeniem starym gratem. Koniec z wyjadaniem resztek. Koniec z kupowaniem używanych ciuchów — powiedziała i wolno pokręciła

głową.

Mitch się uśmiechnął, żując porcję makaronu z kawałkami kurczaka. Widział, że Abby się rozmarzyła. Pewnie myśli już o meblach, a może o wzorze tapety. A niedługo zacznie myśleć o basenie za domem. I o dzieciach, ciemnookich maluchach z ciemnoblond włosami.

— I są jeszcze jakieś dodatkowe świadczenia, o których powiedzą mi później.

— Mitch, nie rozumiem tego. Skąd taka hojność?

— Też ich o to spytałem. Są bardzo wybredni i dumni z tego, że dobrze opłacają swoich wybrańców. Szukają najlepszych i chcą im płacić najlepsze pieniądze. Mają zerową płynność kadr. Poza tym sądzę, że są gotowi płacić więcej za zwabienie najlepszych do Memphis.

— Miałyś stamtąd bliżej do domu — bąknęła Abby, unikając jego wzroku.

— Ja nie mam domu. Ale byłoby bliżej do twoich rodziców, i to mnie martwi.

Zignorowała jego słowa, jak większość uwag na temat jej rodziny.

— Byłyś bliżej Raya — dodała.

Mitch skinął głową, wziął do ust porcję jajka i wyobraził sobie pierwszą wizytę teściów w ich nowym domu. Ten rozkoszny moment, kiedy wjeżdżają na podjazd starym cadillakiem i szczęki im opadają na widok domu we francuskim stylu kolonialnym i dwóch nowych samochodów w garażu. Jak zżera ich zazdrość i zdumienie, jakim cudem ten biedak bez rodziny i statusu społecznego mógł sobie na to wszystko pozwolić, mając zaledwie dwadzieścia pięć lat i dopiero co odebrany dyplom ukończenia studiów prawniczych. Oczywiście zmuszą się do fałszywych uśmiechów i udawanej radości, że tak tu u nich ładnie, ale pan Sutherland długo nie wytrzyma i zacznie wypytywać, ile ten dom kosztował, a on mu odpowie, żeby pilnował

swoich spraw, i wtedy stary się wścieknie. Po krótkiej wizycie wrócą do siebie do Kentucky i opowiedzą wszystkim bliższym i dalszym znajomym, jak to ich córka i zięć świetnie sobie radzą w Memphis. Abby będzie przykro, że znów się między nimi nie ułożyło, ale nic nie powie. Od samego początku jej rodzice traktowali go jak trędowatego. Był do tego stopnia nikim, że zbojkotowali nawet ich skromny ślub.

— Byłaś kiedyś w Memphis? — zapytał.

— Raz, jako mała dziewczynka. Na jakimś kościelnym zjeździe. Nie pamiętam nic poza rzeką.

— Chcą, żebyśmy ich odwiedzili.

— My? Czy to znaczy, że też jestem zaproszona?

— Tak. Zależy im na twojej obecności.

— Kiedy?

— Za dwa tygodnie. Przyślą po nas samolot. W czwartek po południu polecimy na cały weekend.

— Już mi się ta firma podoba.



## Rozdział 2

Czteropiętrowy budynek zbudował przed stu laty handlarz bawełny, gdy w czasach po Rekonstrukcji handel bawełną w Memphis nabrał nowego impetu. Budowla wznosiła się pośrodku Cotton Row przy Front Street tuż nad rzeką i przez pokoje, korytarze i biura przewinęły się miliony bel bawełny skupionej w deltach Missisipi i Arkansas, by następnie trafić do odbiorców na całym świecie. Zaniedbany i opuszczony dom przeszedł po pierwszej wojnie kilka remontów, by ostatecznie w 1951 roku trafić w ręce przedsiębiorczego prawnika od prawa podatkowego Anthony'ego Bendiniego, który przeprowadził w nim generalny remont i zaczął zapełniać swoimi prawnikami. Wtedy też zmienił jego nazwę na Dom Bendiniego.

Nowy właściciel zaczął go pucować i dopieszczać, co roku dodając coraz to nowe elementy luksusowego wyposażenia. Wzmocnił też ochronę, wymieniając wszystkie drzwi i okna na antywłamaniowe i zatrudniając ochroniarzy, których zadaniem było strzec budynku i jego użytkowników. Dobudowano windy, zainstalowano systemy ochrony elektronicznej, zamontowano zamki na kody i rozmieszczono kamery monitoringu. Urządzono siłownię, łaźnię parową, szatnię, a na czwartym piętrze salę jadalną dla wspólników, skąd roztaczał się wspaniały widok na rzekę.

W ciągu dwudziestu lat Bendini zbudował najbogatszą i bez wątpienia najbardziej tajemniczą firmę prawniczą w Memphis. Otaczanie wszystkiego mgłą tajemnicy stało się jego obsesją. Każdego nowo zatrudnianego pracownika poddawano praniu mózgu co do konieczności trzymania języka za zębami. Wszystko, co dotyczyło firmy, było utajnione: wynagrodzenia,

dodatkowe świadczenia i system awansów, a zwłaszcza lista klientów. Młodych adeptów ostrzegano, że dzielenie się informacjami o pracy może ujemnie wpłynąć na zdobycie przez nich firmowego świętego Graala — statusu wspólnika. Nic nie miało prawa wydostać się poza mury przy Front Street. Żonom zabroniono zadawać pytania lub je okłamywano. Od wszystkich pracowników oczekiwano wytężonej pracy, trzymania języka za zębami i pławienia się w bogactwie. I wszyscy chętnie to robili.

Zatrudniając czterdziestu jeden prawników, firma była czwartą co do wielkości kancelarią prawniczą w Memphis. Jej pracownicy nie reklamowali swoich usług i nie szukali popularności. Stanowili zamknięty klan, niebratający się z innymi prawnikami w mieście. Żony w swoim gronie grały w tenisa i brydża oraz robiły zakupy. Firma Bendini, Lambert i Locke była jedną wielką rodziną. Bardzo zamożną rodziną.

• • •

O dziesiątej w piątkowy poranek firmowa limuzyna zatrzymała się na Front Street i wysiadł z niej pan Mitchell Y. McDeere. Grzecznie podziękował kierowcy i popatrzył za odjeżdżającą landarą. Pierwszy raz w życiu jechał czymś takim. Staął na chodniku obok latarni i pełnym podziwu wzrokiem obrzucił oryginalną i malowniczą, a jednocześnie budzącą respekt siedzibę skromnej firmy prawniczej Bendiniego. W niczym nie przypominała zapierających dech w piersiach potężnych gmachów ze szkła i stali, mieszczących prawniczą śmietankę Nowego Jorku, ani ogromnego cylindrycznego wieżowca, który odwiedził w Chicago. Ale od pierwszej chwili poczuł, że tu będzie mu dobrze. Budynek wyglądał dość zwyczajnie, nie rzucał się tak w oczy i dużo bardziej mu pasował.

Ze środka wyłonił się Lamar Quin i szedłszy po schodach, zawołał Mitcha po imieniu i pomachał do niego. Spotkali się już wczoraj, kiedy

Lamar powitał Mitcha i Abby na lotnisku i zawiózł ich do hotelu Peabody, który nazwał Grand Hotelem Południa.

— Dzień dobry, Mitch. Jak się spało? — Uścisnęli sobie dłonie jak starzy przyjaciele po długiej rozłące.

— Doskonale. To piękny hotel.

— Wiedzieliśmy, że ci się spodoba. Peabody podoba się wszystkim.

Weszli do westybulu, gdzie napis na niewielkiej tablicy witał Gościa Dnia, pana Mitchella Y. McDeere'a. Elegancka, choć niezbyt urodziwa recepcjonistka uśmiechnęła się ciepło, oznajmiła, że ma na imię Sylvia, i zapewniła, że gdyby podczas pobytu w Memphis czegokolwiek potrzebował, jest do jego dyspozycji. Mitch podziękował i Lamar poprowadził go przez westybul do wejścia do długiego korytarza, skąd zaczęło się zwiedzanie. Oprowadził Mitcha po budynku, przedstawiając po drodze kolejnym sekretarkom i członkom personelu pomocniczego. W głównej bibliotece na parterze, wokół ogromnego stołu konferencyjnego siedziała grupa prawników, posilając się kruchymi ciasteczkami i kawą. Na widok gościa wszyscy zamilkli.

Oliver Lambert powitał Mitcha i przedstawił całej grupie. Przy stole siedziało około dwudziestu mężczyzn, w większości szeregowych pracowników firmy i w większości nieco starszych od Mitcha. Lamar wyjaśnił mu, że współpracownicy są teraz zbyt zajęci, ale spotkają się z nim później na prywatnym lunchu. Mitch stanął przy końcu stołu i Lambert gestem ręki nakazał ciszę.

— Panowie, przedstawiam wam Mitchella McDeere'a. Wszyscy o nim słyszeliście, i oto on. To kandydat numer jeden do tegorocznego naboru, nasze, że się tak wyrażę, pierwsze ciągnięcie z puli. Ciągną go też do siebie różni ważniacy z Nowego Jorku i Chicago, i Bóg wie skąd jeszcze, więc naszym zadaniem jest go przekonać do naszej firmy w Memphis. —

Wszyscy się uśmiechnęli i pokiwali głowami, a gość poczuł się lekko zmieszany.

— Za dwa miesiące skończy Harvard i uzyska dyplom z wyróżnieniem — ciągnął Lambert. — Jest też jednym z redaktorów „Harvard Law Review”. — Mitch zauważył, że ta informacja zrobiła na nich wrażenie. — Zasadnicze studia odbył w college'u zachodniego Kentucky, który ukończył z pełnymi honorami. — To już nie zrobiło takiego wrażenia. — Przez cztery lata grał też w futbol, zaczynając na pierwszym roku na pozycji rozgrywającego. — To z kolei wręcz nimi wstrząsnęło, a paru spojrzęło na niego z takim podziwem, jakby mieli przed sobą samego Joego Namatha\*.

Mając przy boku lekko zmieszanego Mitcha, wspólnik senior kontynuował monolog. Przez dłuższą chwilę rozwodził się nad wybrednością firmy w dobieraniu personelu i nad tym, jak Mitch doskonale będzie pasował do reszty zespołu. Mitch włożył ręce do kieszeni i przestawszy go słuchać, zaczął się przyglądać siedzącym przy stole.

\* Joe Namath (1943) — ikona amerykańskiego futbolu, rozgrywający w drużynach New York Jets i Los Angeles Rams, w 1985 roku wybrany do Galerii Sławy.

Wszyscy sprawiali wrażenie młodych, zdolnych i bogatych. Wyglądało na to, że w firmie obowiązuje ścisły kod ubraniowy, ale w Nowym Jorku i Chicago było podobnie. Ciemnoszare lub granatowe wełniane garnitury, niezbyt nakrochmalone białe lub niebieskie koszule, jedwabne krawaty. Nic ekstrawaganckiego ani odbiegającego od normy, z wyjątkiem kilku muszek zamiast krawatów, ale nic ponadto. Czuło się, że obowiązuje schludny wygląd. Żadnych bród, wąsów ani włosów opadających na uszy. Przy stole siedziało paru gryzpiórków, ale przeważali tryskający zdrowiem przystojniacy.

Lambert zbliżał się do końca.

— Lamar oprowadzi Mitcha po biurze, więc wszyscy będziecie mieli okazję zamienić z nim parę słów. Dajcie mu odczuć, że jest tu mile widziany.

Dziś wieczorem Mitch wraz ze swą śliczną, naprawdę śliczną żoną Abby przyjdzie na zeberka do Rendezvous, a jutro wieczorem oboje wezmą udział w naszym firmowym przyjęciu u mnie w domu. Proszę wszystkich o wzorowe zachowanie. — Uśmiechnął się i spojrzał na gościa. — Mitch, daj mi znać, jeśli znudzi cię towarzystwo Lamara, to znajdziemy ci kogoś bardziej kompetentnego.

Prawnicy ruszyli do wyjścia i Mitch ponownie uściśnął wszystkie dłonie, starając się zapamiętać możliwie jak najwięcej imion.

— To zaczynamy zwiedzanie — oznajmił Lamar, gdy zostali sami. — Oczywiście jesteśmy w bibliotece i dokładnie takie same znajdują się na wszystkich czterech poziomach. Korzystamy z nich także w razie liczniejszych konferencji. Na każdym piętrze mamy różne księgozbiory, bo nigdy nie wiadomo, dokąd grzebanie w księgach nas zaprowadzi. Zatrudniamy dwóch pełnoetatowych bibliotekarzy, ponadto korzystamy z bogatego zbioru mikrofilmów i mikrofiszek. Z reguły nie musimy niczego szukać poza murami tego budynku. Mamy tu ponad sto tysięcy woluminów, w tym wszelkie istniejące opracowania na tematy podatkowe. To więcej niż na niektórych wydziałach prawa. Jeśli będzie ci potrzebna jakaś książka, której nie mamy, wystarczy zgłosić to bibliotekarzowi.

Przeszli wzdłuż długiego stołu konferencyjnego, mijając kilkadziesiąt regałów z książkami.

— Sto tysięcy woluminów — mruknął z podziwem Mitch.

— No. Wydajemy niemal pół miliona dolarów rocznie na konserwację, suplementy i nowe pozycje. Wspólnicy trochę kręcą nosami, ale nie przyszłoby im do głowy skąpić. To jeden z największych prywatnych księgozbiorów w kraju i jesteśmy z tego dumni.

— Robi wrażenie.

— Staramy się, żeby ślęczenie nad książkami było możliwie najmniej

uciażliwe. Sam wiesz, jakie to nudne i ile czasu trzeba niekiedy stracić, zanim znajdzie się to, o co chodzi. W ciągu pierwszych dwóch lat pracy w firmie spędza się tu mnóstwo czasu, więc staramy się to w miarę możliwości uprzyjemnić.

Siedzący za zawalonym książkami biurkiem w kącie sali bibliotekarz przedstawił się i oprowadził gości po sali komputerowej, w której stało kilkanaście terminali gotowych służyć pomocą w poszukiwaniu potrzebnych informacji. Zaproponował, że zademonstruje im działanie najnowszego, naprawdę fantastycznego oprogramowania, ale Lamar zbył go, mówiąc, że może wstąpią później.

— Sympatyczny facet — powiedział, gdy wyszli z biblioteki. — Płacimy mu czterdzieści tysięcy rocznie tylko za to, żeby miał oko na książki. Zdumiewające.

Rzeczywiście zdumiewające, pomyślał Mitch.

Pozostałe trzy poziomy wyglądały niemal identycznie jak parter. Środek każdego zajmowały biurka sekretarek, szafki na dokumenty, kopiarki i inne urządzenia biurowe. Wzdłuż jednej strony otwartego środka ciągnęła się sala biblioteczna, wzdłuż drugiej małe salki konferencyjne i biura prawników.

— Nie znajdziesz tu żadnych seksownych sekretarek — uprzedził cicho Lamar. — Wydaje się, że to nasza niepisana żelazna zasada. Oliver Lambert robi wszystko, żeby zatrudnić najstarsze i najbardziej samotne, jakie uda mu się znaleźć. Oczywiście niektóre są u nas od dwudziestu lat i więcej zdążyły zapomnieć, niż myśmy nauczyli się na studiach.

— Wszystkie są dość pulchne — mruknął pod nosem Mitch, jakby do siebie.

— To też należy do ogólnej strategii, która ma nas skłaniać do trzymania rąk przy sobie. Flirtowanie z personelem jest surowo zabronione i o ile wiem, nigdy się nie zdarzyło.

— A jeśli się zdarzy?

— Nie wiadomo. Sekretarka na pewno wyleciałaby z pracy, ale sądzę, że prawnik też zostałby surowo ukarany. Może pozbawiono by go szansy na zostanie wspólnikiem. Ale zapewniam cię, że nikt nie ma zamiaru sprawdzać, zwłaszcza z takimi krowami.

— Ładnie się ubierają.

— Nie zrozum mnie źle. Zatrudniamy tylko najlepsze sekretarki prawnicze i płacimy im więcej niż jakakolwiek inna kancelaria w mieście. Masz przed sobą najlepsze, choć może nie najładniejsze. Wszystkie charakteryzują się doświadczeniem i dojrzałością. Lambert nie zatrudni nikogo poniżej trzydziestki.

— Jedna sekretarka na jednego prawnika?

— Tak, dopóki nie zostaniesz wspólnikiem. Wtedy dostajesz drugą, ale naprawdę jej potrzebujesz. Nathan Locke ma trzy, wszystkie z dwudziestoletnim doświadczeniem, i wszystkie trzy uwijają się jak w ukropie.

— Gdzie jest jego gabinet?

— Na trzecim piętrze. W strefie zamkniętej dla osób postronnych.

Mitch otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Naróżne gabinety mają ponad pięćdziesiąt metrów kwadratowych każdy, wyjaśnił Lamar, i są przeznaczone dla najstarszych stażem wspólników. Nazwał je gabinetami władzy, wypowiadając te słowa z szacunkiem. Każdy urządzono według indywidualnych życzeń i gustów użytkownika, nie żałując pieniędzy na wystrój. Były przydzielane dożywotnio i zmieniały użytkownika tylko w przypadku śmierci lub przejścia na emeryturę. Wówczas zaczynała się walka między młodszymi wspólnikami.

Lamar zapalił światło w jednym z nich i weszli do środka, zamykając za sobą drzwi.

— Niezły widok, co? — powiedział, gdy Mitch podszedł do okna i spojrzał na Riverside Drive i leniwie płynącą za nią rzekę.

— Jak się dostaje taki gabinet? — spytał, patrząc zafascynowany na barcę wolniutko przepływającą pod mostem do Arkansas.

— Bardzo długo się czeka, a gdy się w końcu człowiek doczeka, to jest tak bogaty i tak zajęty, że nie ma czasu cieszyć się widokiem.

— Czyj to gabinet?

— Victora Milligana. To szef działu podatków, jest bardzo sympatyczny. Pochodzi z Nowej Anglii, ale mieszka tu już od dwudziestu pięciu lat i nazywa Memphis swoim domem. — Lamar włożył rękę do kieszeni i przeszedł się po gabinecie. — Te parkiety i sufity pochodzą z oryginalnego budynku sprzed stu lat. Większość podłóg przykryto wykładziną dywanową, ale w paru miejscach parkiet zachował się w dobrym stanie. Kiedy już się wprowadzisz, będziesz mógł wybrać wykładzinę albo dywan.

— Lubię drewno. A co to za dywan?

— Jakiś perski antyk. Nie znam jego historii. Biurko należało kiedyś do pradziadka Milligana, który był sędzią gdzieś na Rhode Island. Tak przynajmniej twierdzi. Straszny z niego zgrywus i nigdy nie wiadomo, kiedy wpuszcza cię w maliny.

— Gdzie jest teraz?

— Chyba na urlopie. Mówili ci o urlopach?

— Nie.

— Przez pierwsze pięć lat przysługują ci rocznie dwa tygodnie urlopu. Płatnego, oczywiście. Potem, aż do awansu na wspólnika, trzy tygodnie, a dalej, to już ile zechcesz. Firma ma górską chatę w Vail, dom nad jeziorem w Manitobie i dwa apartamenty przy Siedmiomilowej Plaży na Wielkim Kajmanie. Wszystko za darmo, ale trzeba wcześniej rezerwować. Pierwszeństwo mają wspólnicy, a po nich to już kto pierwszy, ten lepszy.



Wyjazd na Kajmany cieszy się ogromnym wzięciem w firmie. To międzynarodowy raj podatkowy i wiele naszych wyjazdów idzie w koszty i jest odpisywana. Milligan pewnie właśnie teraz tam nurkuje i nazywa to wyjazdem służbowym.

Na jednym z seminariów z prawa podatkowego była mowa o Kajmanach i Mitch zapamiętał, że to kilka wysepek gdzieś na Karaibach. Już miał spytać, gdzie dokładnie, ale powstrzymał się i postanowił sam sprawdzić.

— Tylko dwa tygodnie?

— No tak. A to dla ciebie problem?

— Nie, niespecjalnie. Tyle że firmy w Nowym Jorku dają co najmniej trzy. — Powiedział to tonem wybrednego miłośnika kosztownych wakacji, choć wcale nim nie był. Nie licząc trzydniowego weekendu, który nazywali miesiącem miodowym, i paru wycieczek po Nowej Anglii, Mitch nigdy nie był na prawdziwym urlopie i nie wyjeżdżał za granicę.

— Można dostać dodatkowy tydzień bezpłatnego.

Mitch pokiwał głową, jakby to rozwiązywało problem. Opuścili gabinet Milligana i poszli dalej. Korytarz był prostokątny i po jednej jego stronie ciągnęły się drzwi do biur prawników z oknami, światłem słonecznym i widokami. Lamar wyjaśnił, że gabinety od strony rzeki uważane są za bardziej prestiżowe, na ogół zajmują je wspólnicy i istnieje lista oczekujących.

Salki konferencyjne, biblioteki i sekretariaty znajdowały się po drugiej stronie korytarza i były pozbawione okien i dodatkowych atrakcji mogących rozpraszać uwagę.

Gabinety szeregowych prawników były mniejsze — cztery i pół na cztery i pół metra — ale były elegancko urządzone i wyglądały dużo lepiej niż biura prawników, które Mitch oglądał w Nowym Jorku i Chicago. Firma wydaje majątek na dekoratorów wnętrz, wyjaśnił Lamar. Można by pomyśleć, że

pieniądze rosną tu na drzewach. Młodzi prawnicy zachowywali się przyjaźnie, chętnie wdawali się w rozmowy i sprawiali wrażenie ucieszonych krótką przerwą w pracy. Większość z zapałem chwaliła pracę w firmie i mieszkanie w Memphis. To stare miasto, które wciąga, mówili, choć może nie od razu. Ich też kusiły wielkie kancelarie prawnicze w Waszyngtonie i na Wall Street, ale nie żałowali podjętej decyzji.

Wspólnicy wyglądali na bardziej zajętych, ale byli równie sympatyczni. Mitch został bardzo starannie wybrany, powtarzali, i na pewno doskonale się tu wpasuje. To dla niego wymarzone miejsce pracy, mówili. Kończyli rozmowę obietnicą, że dłużej porozmawiają podczas lunchu.

• • •

Godzinę wcześniej Kay Quin zostawiła dzieci pod opieką niani i służącej i spotkała się z Abby na brunchu w Peabody. Tak jak Abby pochodziła z małego miasteczka, wyszła za Lamara po liceum i przez trzy lata jego studiów na Uniwersytecie Vanderbilta mieszkała w Nashville. Lamar zaczął tak dobrze zarabiać, że rzuciła pracę i w ciągu czternastu miesięcy urodziła dwójkę dzieci. Nie wróciła już do pracy i mając z głowy rodzenie dzieci, spędzała czas na zebraniach Towarzystwa Miłośników Ogrodów, Fundacji Serca, country klubu, oddziału Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli i spotkaniach kościelnych. Mimo oczywistej zamożności była skromna i bezpretensjonalna i czuło się, że bez względu na zawodowe sukcesy męża taką chce pozostać. Abby znalazła przyjaciółkę.

Zjadły jajka po benedyktyńsku z croissantami i przeniosły się do głównego holu na kawę, gdzie, przypatrując się kaczkom pływającym wokół fontanny, zaczęły gawędzić. Kay zaproponowała krótki objazd po Memphis i późny lunch w restauracji koło jej domu, a potem może jeszcze wypad na zakupy.

— Powiedzieli o niskoprocentowanym kredycie? — spytała.

— Tak, od razu podczas pierwszej rozmowy.

— Będą chcieli, żebyście kupili dom zaraz po przeprowadzce. Większości absolwentów tuż po studiach nie stać na własny dom, dlatego firma udziela niżej oprocentowanego kredytu i zatrzymuje u siebie hipotekę.

— Na jak długo? — chciała wiedzieć Abby.

— Tego nie wiem. Od naszego przyjazdu minęło siedem lat, a my mieszkamy już w drugim domu. Ale możesz mi wierzyć, że warunki będą bardzo atrakcyjne. Firmie zależy, żebyście mieli własny dom. To ich niepisany wymóg.

— Dlaczego to dla nich takie ważne?

— Z paru powodów. Przede wszystkim chcą, żebyście się tu zdomowili — wyjaśniła Kay. — Firma jest bardzo wybredna i zazwyczaj dostaje wszystkich, na których jej zależy. Ale Memphis to nie pępek świata, więc muszą oferować więcej niż inni. Również dlatego, że firma jest bardzo wymagająca, zwłaszcza wobec szeregowych pracowników. Ludzie żyją w ciągłym stresie, są przepracowani, mają osiemdziesięciogodzinny tydzień pracy i są gośćmi w domu. To niełatwe dla obojga małżonków, i firma o tym wie. Według ich teorii dobre małżeństwo czyni człowieka szczęśliwym, szczęśliwy prawnik to wydajny prawnik, a to w końcowym rozrachunku oznacza dodatkowy zysk. A zysk jest zawsze najważniejszy. Jest też jeszcze inny powód. Ci faceci... sami mężczyźni, nie kobiety... są bardzo dumni ze swego bogactwa i każdy powinien wyglądać i zachowywać się jak człowiek zamożny. Firma poczytywałaby sobie za afront, gdyby jej pracownik mieszkał w mieszkaniu. Wszyscy mają kupić sobie własny dom, które po pięciu latach należy wymieniać na większe. Jeśli starczy nam czasu, to potem pokażę ci kilka domów wspólników. Gdy je zobaczysz, od razu polubisz osiemdziesięciogodzinny tydzień pracy.

— Już do tego przywykłam.

— To dobrze. Tyle że tego nie da się porównać z zajęciami na studiach. Czasami w okresie naliczania podatków pracują nawet po sto godzin tygodniowo.

Abby uśmiechnęła się i pokręciła głową, jakby ją to naprawdę poruszyło.

— A ty pracujesz? — spytała.

— Nie. Większość żon nie pracuje. Mamy dość pieniędzy, więc nie musimy, zwłaszcza że nie możemy liczyć na pomoc mężów przy dzieciach. Ale oczywiście nie zabraniają nam pracować.

— Kto nie zabrania?

— Firma.

— Mam nadzieję, że nie. — Abby powtórzyła w myślach słowo „zabraniają”, ale darowała sobie komentarz.

Kay sączyła kawę, przyglądając się kaczkom. Mały chłopiec uwolnił rączkę z uścisku matki i podbiegł do fontanny.

— Zamierzacie mieć dzieci? — spytała.

— Może za parę lat.

— Posiadanie dzieci jest dobrze widziane.

— Przez kogo?

— Przez firmę.

— Dlaczego firmę miałyby obchodzić, czy mamy dzieci? — zdziwiła się Abby.

— Z tego samego powodu. Chodzi o stabilizację życia rodzinnego. Narodziny dziecka są uroczyście celebrowane. Wysyłają ci do szpitala kwiaty i prezenty, traktują cię jak królową. Mężowi dają tygodniowy urlop okolicznościowy, tyle że nawał pracy nie pozwala mu z niego skorzystać. Wpłacają tysiąc dolarów na specjalny fundusz powierniczy na opłacenie college'u. Wszyscy się cieszą.

— To brzmi, jakby to było jedno wielkie bractwo.

— Bardziej jak jedna wielka rodzina. Nasze życie towarzyskie obraca się wokół firmy. To ważne, bo nikt z nas nie pochodzi z Memphis. Wszyscy zostaliśmy tu przeszczepieni.

— To miłe, tylko że nie chcę, żeby ktoś mi mówił, kiedy mam pracować, kiedy przestać i kiedy urodzić dziecko.

— Nic się nie martw. Firma bardzo się troszczy o swoich ludzi, ale się nie wtrąca — zapewniła Kay.

— Zaczynam mieć wątpliwości.

— Wyluzuj, Abby. Firma jest dla nas jak rodzina. To wspaniali ludzie, a Memphis to cudowne stare miasto do mieszkania i chowania dzieci. Koszty utrzymania są dużo niższe i życie płynie dużo wolniej i spokojniej. Pewnie rozważacie zamieszkanie w jednym z wielkich miast. Z nami też tak było, ale teraz nie zamieniłabym Memphis na żadną wielką metropolię.

— Pokażesz mi miasto?

— Po to tu jestem. Myślę, że zaczniemy od centrum, potem pojedziemy do wschodniej części i pokręcimy się po dzielnicy mieszkaniowej. Może uda nam się obejrzeć jakiś dom. Na koniec zjemy lunch w mojej ulubionej restauracji.

— Brzmi nieźle.

Kay zapłaciła za kawę, tak jak wcześniej za brunch, wyszły z hotelu i wsiadły do nowego mercedesa Quinów.

• • •

Jadalnia, jak skromnie nazywano tę część budynku, zajmowała zachodnią część czwartego piętra od strony Riverside Drive i płynącej za nią rzeki. Jedną ścianę tworzył ciąg dwuipółmetrowych okien, z których roztaczał się przepiękny widok na pływające po rzece holowniki, statki z kołami

łopatkowymi i barki oraz przystanie i mosty.

Sala jadalna była dostępna tylko dla grona prawników na tyle utalentowanych i ambitnych, by zasłużyć na status wspólnika w firmie Bendiniego. Codziennie przychodzili tu na lunch szykowany przez Jessie Frances, tęgą i dość zadziorną czarną kucharkę w starszym wieku, i serwowany przez jej męża Roosevelta, który na tę okazję nakładał białe rękawiczki i źle leżący, stary i wygnieciony smoking, który dostał w prezencie od pana Bendiniego na krótko przed jego śmiercią. Prawnicy niekiedy spotykali się tu rano przy pączkach i kawie, by porozmawiać o interesach, a także późnym popołudniem na kieliszek wina, żeby uczcić szczególnie dobre wyniki miesiąca lub wyjątkowo wysokie honorarium od klienta. Wstęp do sali mieli tylko wspólnicy i od czasu do czasu zaproszeni goście spośród najważniejszych klientów oraz kandydaci do pracy w firmie. Szeregowi pracownicy mieli prawo skorzystać z jadalni tylko dwa razy w roku (prowadzono ścisły rejestr) i tylko na osobiste zaproszenie któregoś ze wspólników.

Obok sali jadalnej znajdowała się niewielka kuchnia, w której rządziła Jessie Frances i w której dwadzieścia sześć lat temu upichciła pierwszy posiłek dla pana Bendiniego i kilku jego prawników. Od dwudziestu sześciu lat gotowała w niej lokalne potrawy z Południa, całkowicie ignorując prośby o większe urozmaicenie menu i gotowanie dań, których nazw nie potrafiła nawet wymówić. Jej standardową reakcją na tego typu prośby było stwierdzenie: „Jeśli wam nie smakuje, to nie jedzcie”. Sądząc jednak po mizernych resztkach zbieranych ze stołów przez Roosevelta, wszyscy jedli i wszystkim smakowało. W każdy poniedziałek Jessie wywieszała kartkę z tygodniowym menu i żądała, by stołownicy wybierali dla siebie potrawy na cały tydzień. Przez lata potrafiła boczyć się na kogoś, kto odwołał rezerwację lub wręcz nie przyszedł. Oboje z Rooseveltem pracowali cztery godziny

dziennie i zarabiali tysiąc dolarów miesięcznie.

Mitcha posadzono przy stoliku z Lamarem Quinem, Oliverem Lambertem i Royce'em McKnightem. Podano żeberka ze smażoną okrą i gotowaną dynią.

— Odkroiła dziś tłuszcz — zauważył Lambert.

— Są pyszne — pochwalił Mitch.

— Twój układ pokarmowy toleruje tłuszcz?

— Tak. W Kentucky też gotują tłusto.

— Dołączyłem do tej firmy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku — zaczął McKnight — a wiesz, pochodzę z New Jersey. Do większości południowych dań podchodziłem bardzo podejrzliwie, bo wszystko tu obtaczają w cieście i smażą na smalcu. Ale potem pan Bendini postanowił uruchomić tę stołówkę, zaangażował Jessie Frances i efekt jest taki, że od dwudziestu lat mam zgagę. Smażone dojrzałe pomidory, smażone zielone pomidory, smażony bakłażan, smażona okra, smażona dynia, smażone to, smażone tamto. Któregoś dnia Victor Milligan powiedział o jedno słowo za dużo. Pochodzi z Connecticut, a Jessie Frances upichciła talerz smażonych pikli. Wyobrażasz sobie? Smażone pikle! Victor burknął coś niegrzecznego pod adresem Roosevelta, ten powtórzył to Jessie, a ona trzasnęła drzwiami i rzuciła pracę. Nie było jej przez tydzień. Roosevelt chciał kontynuować, lecz Jessie przytrzymała go w domu. W końcu pan Bendini jakoś załagodził sprawę i Jessie zgodziła się wrócić, choć pod warunkiem, że nikt nie będzie narzekał. Ale jednocześnie trochę przystopowała z tłuszczem. Myślę, że dzięki temu wszyscy pożyjemy dziesięć lat dłużej.

— To jest pyszne — powiedział Lamar, smarując masłem kolejną bułeczkę.

— Zawsze jest pyszne — dorzucił Lambert w stronę przechodzącego Roosevelta. — Jej dania są tłuste i tuczące, ale rzadko rezygnujemy z lunchu.

Mitch jadł powoli, wdając się w pogaduszki i starając się sprawiać wrażenie wyluzowanego, choć nie przychodziło mu to łatwo. Znalazł się wśród wybitnych prawników, z których każdy odniósł sukces i został milionerem. Siedząc w ich ekskluzywnej, bogato zdobionej sali jadalnej czuł się trochę tak, jakby trafił do stołówki na Olimpie. Odwagi dodawała mu tylko obecność Lamara i kręcący się po sali Roosevelt.

Gdy skończył jeść i odłożył sztućce, Oliver Lambert wytarł usta serwetką, wstał i postukał łyżeczką w szklanekę do herbaty.

— Panowie — powiedział. — Proszę o chwilę uwagi.

W sali zapadła cisza i około dwudziestu współników zwróciło twarze ku głównemu stolikowi. Wszyscy odłożyli serwetki i skierowali wzrok na młodego gościa. Do każdego z osobna trafiły kopie zawartości teczki personalnej kandydata i na tej podstawie już dwa miesiące temu zgodnie zagłosowali, by mianować Mitcha kandydatem numer jeden. Wiedzieli, że codziennie przebiega ponad sześć kilometrów, nie pali, jest uczulony na sulfamidy, wycięto mu migdałki, ma niebieską mazdę i matkę wariatkę, a kiedyś w jednej ćwiartce meczu wykonał trzy przechwyty. Wiedzieli też, że, gdy jest chory, nie zażywa niczego mocniejszego niż aspiryna i w razie potrzeby jest gotów pracować sto godzin tygodniowo. Wszystkim się spodobał. Był przystojny, atletycznie zbudowany i bardzo męski. A także inteligentny i miał zgrabną sylwetkę.

— Jak wicie, gościmy dziś kogoś bardzo szczególnego, Mitcha McDeere'a. Wkrótce skończy z wyróżnieniem studia na Harvardzie...

— Proszę! Proszę! — wykrzyknęło z uznaniem dwóch absolwentów Harvardu.

— Tak, dziękuję. Mitch wraz z żoną Abby spędzają ten weekend w hotelu Peabody jako nasi goście. Kończąc studia, znajdzie się w pierwszej piątce na trzystu absolwentów i stara się o niego wiele kancelarii



prawniczych. Chcemy, żeby wybrał nas, i liczę, że porozmawiacie z nim przed wyjazdem. Dziś wieczorem nasi goście zjedzą kolację w towarzystwie Lamara i Kay Quinów, jutro wieczorem są zaproszeni na przyjęcie u mnie w domu. Mam nadzieję, że wszyscy się zjawicie. — Uśmiechając się niepewnie do współników, Mitch słuchał, jak Lambert rozwodzi się na temat pozycji firmy. Gdy skończył, Roosevelt podał pudding chlebowy i kawę.

• • •

Ulubioną restauracją Kay okazało się szykowne i modne miejsce spotkań młodych japiszonów. Cały lokal obwieszono tysiącami paproci, szafa grająca nie przestawała grać przebojów z lat sześćdziesiątych, koktajle podawano w wysokich pamiątkowych szklankach.

— Mnie jeden wystarczy — zastrzegła Kay.

— Ja też nie przepadam za alkoholem.

Zamówiły po porcji quiche'a dnia i zaczęły saczyć koktajl.

— A Mitch dużo pije? — zagadnęła Kay.

— Bardzo mało. Jest sportowcem i bardzo dba o kondycję fizyczną. Od czasu do czasu piwo czy kieliszek wina, ale nic mocniejszego. A Lamar?

— Mniej więcej tak samo. Podczas studiów odkrył piwo, ale ma kłopoty z wagą. Firma krzywi się na picie.

— Godne podziwu, ale dlaczego to ich w ogóle interesuje?

— Bo alkohol i prawnicy pasują do siebie jak krew do wampirów. Większość prawników pije jak smoki i alkoholizm jest wręcz chorobą zawodową. Myślę, że zaczyna się to już na studiach. W Vanderbilcie zawsze ktoś miał u siebie w pokoju beczułkę piwa. Na Harvardzie pewnie tak samo. Z pracą wiąże się morze stresu, a to zwykle przekłada się na morze gorzały. Nie da się tych facetów nazwać abstynentami, ale zawsze zachowują umiar. Zdrowy prawnik to wydajny prawnik.

— Brzmi sensownie. Mitch mówi, że w firmie jest zerowa płynność kadr.

— Rzeczywiście wszyscy się jej trzymają. Nie pamiętam, żeby w ciągu tych siedmiu lat, odkąd tu jesteśmy, ktoś odszedł. Bardzo dobrze płacą i starannie dobierają kandydatów. Nie chcą tu nikogo z domową forszą.

— Nie bardzo rozumiem...

— Nie zatrudnią prawnika z innymi źródłami dochodu — wyjaśniła Kay.  
— Zależy im na młodych i głodnych. To kwestia lojalności. Jeśli wszystkie twoje pieniądze pochodzą z jednego źródła, to starasz się być wobec tego źródła maksymalnie lojalna. A firma oczekuje bezwzględnej lojalności. Lamar mówi, że nikt nigdy nie mówi o odejściu. Wszyscy są zadowoleni i albo bardzo bogaci, albo na najlepszej drodze do bogactwa. Gdyby ktoś chciał odejść, w żadnej innej firmie nie znalazłby takich pieniędzy. Zaproponują Mitchowi wszystko, żeby go tu ściągnąć. Są bardzo dumni z tego, że płacą lepiej od innych.

— Dlaczego nie zatrudniają kobiet?

— Raz kiedyś spróbowali. Okazała się prawdziwą zołą i ciągle wybuchały awantury. Większość prawniczek ma muchy w nosie i wiecznie szuka zwady. Trudno się z nimi dogadać. Lamar mówi, że boją się ryzykować, bo gdyby któraś się nie sprawdziła, to w świetle przepisów o wyrównywaniu szans trudno byłoby ją zwolnić.

Przyniesiono quiche, a one podziękowały za drugą kolejkę koktajli. Pod kępami paproci rozsiadły się setki młodych japiszonów i atmosfera w restauracji stawała się coraz luźniejsza. Z szafy grającej płynął łagodny głos Smokeya Robinsona.

— Mam świetny pomysł — rzekła Kay. — Znam jedną pośredniczkę od nieruchomości. Zadzwońmy do niej i obejrzyjmy parę domów.

— Jakich domów?

— Dla ciebie i Mitcha. Dla najnowszego nabytku firmy Bendini, Lambert

i Locke. Na pewno będzie miała coś na twoim poziomie cenowym.

— Nie znam naszego poziomu cenowego.

— Myślę, że między sto a sto pięćdziesiąt tysięcy. Ostatni nowy nabytek kupił dom w Oakgrove i jestem pewna, że cena zawierała się w tym przedziale.

Abby pochyliła się nad stołem i niemal szeptem spytała:

— Ile wyniosłyby miesięczne spłaty?

— Nie wiem. Ale wiem, że będzie was stać. Pewnie z tysiąc miesięcznie, może trochę więcej.

Abby wlepiała w nią wzrok i głośno przełknęła ślinę. Na Manhattanie za wynajem małego mieszkania trzeba było zapłacić dwa razy tyle.

— Zadzwońmy do niej — wykrztusiła.

• • •

Jak można się było spodziewać, gabinet Royce'a McKnighta ociekał luksusem, a z okien roztaczał się wspaniały widok. Zajmował bardzo prestiżowy narożnik na trzecim piętrze, nieopodal gabinetu Nathana Locke'a. Lamar Quin dyskretnie się wycofał, wspólnik zarządzający wskazał Mitchowi miejsce przy niewielkim stole konferencyjnym obok sofy i posłał sekretarkę po kawę.

Zaczął od pytania, jak Mitchowi podoba się to, co dotąd zobaczył w firmie, a ten zapewnił, że jest pod wielkim wrażeniem.

— Chciałbym teraz omówić z tobą szczegóły naszej oferty — powiedział McKnight.

— Z przyjemnością.

— Zasadnicza pensja w pierwszym roku wyniesie osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Po zdaniu egzaminu adwokackiego dostaniesz podwyżkę w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Nie premię, tylko podwyżkę. Egzamin

odbywa się zwykle w sierpniu, więc całe lato upłynie ci na przygotowaniu do niego. Prowadzimy własne konsultacje do egzaminu i nasi współpracownicy będą ci służyli wszechstronną pomocą. Nauka odbywa się głównie w czasie, za który firma płaci. Jak wiesz, wiele kancelarii każe swoim pracownikom normalnie pracować i przygotowywać się do egzaminu, gdy mają wolne. Ale nie my. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby któryś z naszych pracowników oblał egzamin adwokacki i nie mamy obaw, że ty tę tradycję złamiesz. A więc osiemdziesiąt tysięcy na początek i osiemdziesiąt pięć po sześciu miesiącach. Po roku pracy twoja pensja wzrośnie do dziewięćdziesięciu tysięcy, plus co roku w grudniu otrzymasz roczną premię wyliczoną na podstawie twoich osiągnięć i wypracowanych zysków w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Premia wypłacona pracownikom w ubiegłym roku wyniosła średnio dziewięć tysięcy dolarów. Jak sam wiesz, w innych firmach prawniczych dzielenie się zyskami z szeregowymi pracownikami zdarza się niezwykle rzadko. Czy masz jakieś pytania odnośnie do wynagrodzenia?

— Co się stanie po drugim roku pracy?

— Twoja zasadnicza pensja będzie rosła o dziesięć procent rocznie aż do chwili, gdy staniesz się współnikiem firmy. Ale ani podwyżki, ani premie nie są gwarantowane. Jedno i drugie zależy od wyników.

— Brzmi rozsądnie.

— Jak wiesz, bardzo nam zależy, żebyś kupił dom. Ma to znaczenie prestiżowe i rzutuje na stabilność zatrudnienia, a obie te sprawy są dla nas niezwykle ważne, zwłaszcza w odniesieniu do prawników. Dlatego firma zapewnia tani trzydziestoletni kredyt hipoteczny o stałym niskim oprocentowaniu, ale opatrzony klauzulą zobowiązującą do spłacenia całej pozostałej należności głównej w razie, gdybyś po kilku latach zdecydował się sprzedać dom. Jest to jednorazowa pomoc ze strony firmy, oferowana wyłącznie przy kupnie pierwszego domu. Potem już musisz radzić sobie sam.

— Jakie jest oprocentowanie?

— Najniższe z możliwych bez narażenia się urzędowi skarbowemu. Obecnie rynkowe oprocentowanie tego typu kredytów jest na poziomie dziesięciu, dziesięciu i pół procent. Powinno nam się udać zaoferować ci kredyt oprocentowany między siedem a osiem. Pracujemy dla kilku banków i one nam w tym pomagają. Przy twojej pensji bez trudu się zakwalifikujesz. Zresztą w razie potrzeby firma udzieli ci gwarancji.

— To niezwykła hojność, proszę pana.

— Sprawa kupna domu jest dla nas bardzo ważna. I nic na tej transakcji nie tracimy. Musisz tylko znaleźć odpowiedni dom, całą resztą zajmie się nasza sekcja nieruchomości. Tobie zostanie tylko wprowadzenie się.

— A co z tym bmw? — spytał Mitch.

McKnight parsknął po nosem.

— Wprowadziliśmy to jakieś dziesięć lat temu i jak dotąd doskonale się sprawdza jako dodatkowa zachęta. Sprawa jest prosta. Wybierasz sobie jeden z mniejszych modeli, my go leasingujemy na trzy lata i wręczamy ci kluczyki. Pokrywamy roczne opłaty, ubezpieczenie, koszt przeglądów. Pod koniec trzyletniego okresu możesz go odkupić od firmy leasingowej za rozsądną cenę rynkową. To też jest tylko jednorazowa pomoc z naszej strony.

— Brzmi bardzo atrakcyjnie.

— Wiemy o tym.

McKnight rzucił okiem na leżącą przed nim kartkę z notatkami.

— Dla całej rodziny opłacamy pełną opiekę lekarską i dentystyczną. W tym także prowadzenie ciąży, badania kontrolne, aparaty korekcyjne na zęby, wszystko. Firma za to płaci.

Mitch pokiwał głową, ale bez szczególnego entuzjazmu. Akurat to było standardem u wszystkich.

— Mamy też wyjątkowo korzystny plan emerytalny — ciągnął

McKnight. — Do każdego zainwestowanego przez ciebie dolara firma dopłaci dwa, pod warunkiem że zainwestujesz minimum dziesięć procent swojego wynagrodzenia zasadniczego. Powiedzmy, że zaczynasz od osiemdziesięciu i w pierwszym roku wpłacasz osiem tysięcy. Firma dopłaca szesnaście i na twoim koncie emerytalnym już po roku leżą dwadzieścia cztery tysiące. Funduszem zarządza profesjonalna firma w Nowym Jorku i w ubiegłym roku fundusz przyniósł dziewiętnastoprocentowy zysk. Nieźle, co? Odkładaj przez dwadzieścia lat i po przejściu na emeryturę w wieku lat czterdziestu pięciu będziesz milionerem. Jest tylko jeden warunek: jeśli wycofasz się przed upływem dwudziestu lat, tracisz wszystko z wyjątkiem wpłaconych przez siebie kwot. Nie dostajesz nawet oprocentowania.

— To trochę bezwzględne warunki — stwierdził Mitch.

— Otóż nie, to bardzo szczodra propozycja. Znajdź mi jakąkolwiek inną firmę, która dopłaca w stosunku dwa do jednego. O ile wiem, nie ma takich. W ten sposób dbamy o siebie samych. Wielu naszych wspólników odchodzi na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat, niektórzy nawet czterdziestu pięciu. Ale nie mamy obowiązkowego wieku emerytalnego i są tacy, którzy pracują, mając po sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt lat. Jak kto chce. My tylko zapewniamy godziwą emeryturę i umożliwiamy wcześniejsze przejście na nią.

— Ilu jest obecnie wspólników na emeryturze?

— Około dwudziestu. Od czasu do czasu będziesz ich tu widywał. Lubią wpadać na lunch, a kilku zachowało nawet dawne gabinety. Czy Lamar mówił ci o urlopach?

— Tak.

— To dobrze. Pamiętaj, że trzeba wcześniej rezerwować, zwłaszcza Vail i Kajmany. Sam płacisz za przelot, pobyt na miejscu jest za darmo. Na Kajmanach mamy liczne sprawy służbowe i od czasu do czasu będziemy cię

tam wysyłali na dwa, trzy dni, wpisując podróż w koszty. Takie wyjazdy nie wliczają się do urlopu. Na wypoczynek każdy wyjeżdża mniej więcej raz w roku. Pracujemy ciężko, Mitch, i wiemy, jak ważne jest, by dobrze odpocząć.

Mitch pokiwał głową i oczyma duszy ujrzał, jak na zalanej słońcem karaibskiej plaży sączy piñã coladę i gapi się na dziewczyny w stringowych bikini.

— Czy Lamar wspomniał o premii powitalnej? — spytał McKnight.

— Nie, ale brzmi interesująco.

— Po podpisaniu umowy o pracę wręczymy ci czek powitalny na pięć tysięcy dolarów. Najchętniej widzimy przeznaczenie większości tej kwoty na nową garderobę. Po siedmiu latach chodzenia w dżinsach i flanelowych koszulach twój zapas garniturów jest pewnie dość skromny. Zdajemy sobie z tego sprawę, ale wygląd zewnętrzny jest ważny. Oczekujemy, że nasi prawnicy będą ubierali się elegancko i raczej konserwatywnie. Nie mamy sztywnych zasad co do ubioru, ale szybko się połapiesz, o co chodzi.

Czy on powiedział „pięć tysięcy dolarów”? Na ciuchy? Mitch był właścicielem dwóch garniturów, z których jeden miał na sobie. Zrobił poważną minę i opanował uśmiech.

— Masz jakieś pytania?

— Tak. Duże firmy znane są z tego, że na nowo zatrudnionych zwalają większość uciążliwego szperania w literaturze i przez pierwsze trzy lata każą ślęczyć w bibliotece i grzebać w starociach. Nie chciałbym, żeby mnie to spotkało. Nie mam nic przeciwko ślęczeniu w swoich sprawach i wiem, że przez jakiś czas będę na samym dole drabiny. Ale nie chcę pisać opracowań dla wszystkich w firmie. Chcę pracować z prawdziwymi klientami i zajmować się prawdziwymi problemami.

McKnight wysłuchał uważnie słów Mitcha i udzielił mu dobrze

przećwiczonej odpowiedzi:

— Rozumiem, Mitch. Masz rację, w dużych firmach rzeczywiście jest to problem. Ale nie u nas. Przez pierwsze sześć tygodni głównie będziesz uczył się do egzaminu, potem rozpoczniesz zwykłą praktykę. Zostaniesz przydzielony do pomocy jednemu ze wspólników i jego klienci staną się twoimi klientami. Będziesz się zajmował większością jego spraw i oczywiście wszystkimi swoimi. Tylko czasem zostaniesz poproszony, byś pomógł komuś innemu, poszperał dla niego w literaturze i przygotował opracowania. Chcemy, żebyś był zadowolony z pracy. Jesteśmy dumni z naszej zerowej fluktuacji kadrowej i robimy wszystko, by kariery naszych pracowników rozwijały się jak należy. Jeśli się okaże, że nie znajdujesz wspólnego języka ze swoim patronem, znajdziemy ci innego. Jeśli się okaże, że praca w podatkach ci nie pasuje, pozwolimy ci zająć się papierami wartościowymi lub prawem bankowym. Sam zdecydujesz. Firma w krótkim czasie zainwestuje mnóstwo pieniędzy w Mitcha McDeere'a i zależy nam, żeby okazał się wydajny.

Mitch upił łyk kawy, szukając w myślach jeszcze jakiegoś pytania. McKnight zerknął na kartkę z notatkami.

— Pokrywamy wszystkie koszty przeprowadzki do Memphis — zaznaczył.

— Nie będą wysokie. Wystarczy nieduży van z wypożyczalni.

— Coś jeszcze, Mitch?

— Nie, proszę pana. Już nic nie przychodzi mi do głowy.

Wspólnik zarządzający złożył na pół kartkę z notatkami, schował ją do teczki i oparłszy łokcie o stół, pochylił się do przodu.

— Mitch, nie chcemy cię popędzać, ale potrzebujemy w miarę szybkiej odpowiedzi. Jeśli zdecydujesz się na inną firmę, będziemy musieli kontynuować proces rekrutacji, a to długa procedura. Zależy nam, żeby nasz



nowy pracownik mógł zacząć od pierwszego lipca.

— Mogę dać odpowiedź w ciągu dziesięciu dni?

— W porządku. Powiedzmy do trzydziestego marca, zgoda?

— Oczywiście, choć na pewno odezwę się wcześniej. — Mitch pożegnał się i stwierdził, że Lamar czeka na niego na korytarzu pod gabinetem McKnighta. Umówili się, że o dziewiętnastej spotkają się na kolacji.

## Rozdział 3

Na czwartym piętrze Domu Bendiniego nie było biur prawników. Sala jadalna dla wspólników i kuchnia zajmowały zachodnią część piętra, pośrodku mieściło się kilka niewykorzystanych i niepomalowanych pomieszczeń magazynowych, które były puste i zamknięte na głucho, wschodnią część piętra oddzielała od reszty gruba betonowa ściana. Mieściły się w niej niewielkie stalowe drzwiczki, obok widniał przycisk dzwonka, wyżej na ścianie sterczała kamera. Drzwiczki prowadziły do małego pomieszczenia, w którym uzbrojony strażnik pilnował drzwi i obserwował ekrany monitoringu. Dalej ciągnął się korytarz wijący się przez labirynt ciasnych pokoików, w których cała armia ludzi zajmowała się potajemnym nasłuchem i obserwacją. Wszystkie zewnętrzne okna w tej części piętra były zasłonięte i zakryte żaluzjami, tak że nie tylko wścibskie spojrzenia, ale nawet światło dzienne nie miało szans na przedostanie się do środka.

Szef ochrony DeVasher zajmował największe z pomieszczeń. Jego ściany ozdobił jedynie pamiątkowy dyplom z okazji trzydziestu lat nienagannej służby w policji miejskiej Nowego Orleanu. DeVasher był średniego wzrostu, miał lekko zaokrąglony brzuch, masywne ramiona i klatkę piersiową oraz dużą, idealnie okrągłą twarz, na której rzadko gościł choćby cień uśmiechu. Wymiętą koszulę rozpiął pod szyją, dzięki czemu kołnierzyk nie wpijał mu się w krtań i pozwalał swobodnie oddychać. Gruby poliestrowy krawat wisiał na wieszaku razem ze znoszoną dwurzędową marynarką.

W poniedziałkowy poranek po wizycie McDeere'a Oliver Lambert

podszedł do metalowych drzwiczek, spojrział w oko kamery i dwukrotnie nacisnął przycisk. Został wpuszczony do środka i ruszył wąskim korytarzykiem, by po chwili znaleźć się w skromnym biurze szefa ochrony. DeVasher wdmuchnął kłęb dymu z cygara Dutch Masters do zamykanej popielniczki i przesunawszy na biurku stertę papierzysk, odsłonił kawałek drewnianego blatu.

— Dzień dobry, Ollie. Rozumiem, że chcesz porozmawiać o McDeerze.

DeVasher był jedyną osobą w Domu Bendiniego, która zwracała się do Lamberta tak poufale.

— Tak, między innymi.

— No więc dobrze się bawił, firma wywarła na nim ogromne wrażenie, w Memphis mu się podobało i najprawdopodobniej podpisze.

— Gdzie byli twoi ludzie?

— W pokojach po obu stronach jego pokoju w hotelu. Zainstalowaliśmy u niego podsłuch, podobnie jak w limuzynie, telefonie i wszędzie, gdzie się dało. Tak jak zwykle, Ollie.

— Chcę znać szczegóły.

— Proszę. W czwartek dotarli do hotelu dość późno i od razu się położyli. Trochę tylko pogadali w łóżku. W piątek wieczorem opowiedział jej o firmie, biurach i poznanych ludziach. Ciebie nazwał sympatycznym facetem. Pomyślałem, że się ucieszysz.

— Mów dalej.

— Opowiedział żonie o sali jadalnej i lunchu ze wspólnikami.

Zrelacjonował szczegóły oferty i oboje się nią zachwycili. Uznali ją za dużo lepszą od wszystkich pozostałych. Ona marzy o domu ze żwirowym podjazdem i ścieżką do drzwi, z drzewami i podwórkiem za domem. Powiedział jej, że może taki mieć.

— Jakież uwagi o firmie?

— Właściwie nie. Wspomniał tylko o braku czarnych i kobiet wśród prawników, ale specjalnie się tym nie przejął.

— A jego żona?

— Była zachwycona. Podoba jej się miasto, a z żoną Quina od razu przypadły sobie do gustu. W piątek po południu oglądały domy i kilka jej się podobało.

— Znasz adresy?

— Oczywiście, Ollie. W sobotę rano zadzwonili po limuzynę i objechali całe miasto. Bardzo im się podobało. Nasz kierowca omijał co gorsze dzielnice i razem obejrzeliby jeszcze kilka domów. Myślę, że jeden z nich ich zainteresował. Przy East Meadowbrook dwanaście-trzydzieści jeden. Stoi pusty. Oprowadziła ich agentka nieruchomości, niejaka Betsy Bell. Chcą za niego sto czterdzieści, ale są gotowi opuścić. Zależy im, żeby się go pozbyć.

— To sympatyczna dzielnica. Jak stary jest ten dom? — spytał Lambert.

— Dziesięć, piętnaście lat. Dwieście osiemdziesiąt metrów kwadratowych. Taki trochę w stylu kolonialnym. W sam raz dla jednego z twoich chłopaków, Ollie.

— Jesteś pewny, że właśnie ten chcą?

— W każdym razie na tę chwilę. Rozmawiali o tym, że może przyjadą tu jeszcze raz za jakiś miesiąc i obejrzą inne. Chyba trzeba będzie ich ściągnąć od razu po podpisaniu umowy. Zresztą to standardowa procedura, prawda?

— Tak. Zajmiemy się tym. A co mówili o pensji?

— Byli zachwyceni. To jak dotąd najlepsza oferta. Jak zaczęli gadać o warunkach finansowych, to nie mogli skończyć. O pensji, o emeryturze, o hipotece, o bmw, o premiach, o wszystkim. Aż nie mogli uwierzyć. Muszą rzeczywiście być kompletnie spłukani.

— Są. Więc sądzisz, że już jest nasz?

— Jestem gotów się założyć. W którymś momencie powiedział, że może

firma nie jest aż tak prestiżowa, jak te z Wall Street, ale prawnicy są równie kompetentni i przy tym dużo miłsi. Tak, myślę, że podpisze.

— Coś go zaniepokoiło?

— Chyba nie. Quin widać go uprzedził, żeby trzymał się z daleka od biura Locke'a, bo powiedział żonie, że nikt nigdy tam nie wchodzi poza sekretarkami i paroma wspólnikami. Powiedział jej też, że słyszał od Quina, iż Locke to niezbyt sympatyczny dziwak. Ale nie sądzę, żeby coś go zaniepokoiło. Ona powiedziała, że firma wtyka nos w nie swoje sprawy.

— Mianowicie? — mruknął Lambert.

— Sprawy osobiste. Rodzenie dzieci, praca zawodowa żon i tak dalej. Wyglądała na trochę wkurzoną, ale chyba tylko tak mówiła. W sobotę rano powiedziała do Mitcha, że nie dopuści, żeby banda prawników mówiła jej, czy ma pracować i kiedy rodzić dzieci. Ale nie sądzę, żeby był z tym problem.

— Czy on ma świadomość, że to decyzja na długie lata?

— Chyba tak. Ani razu nie wspomnieli, że chcą tu zostać tylko na parę lat i dokądś się przenieść. Myślę, że załapał. Jak wszyscy, chce zostać wspólnikiem. Jest bez grosza i potrzebuje forsy.

— Co mówili o przyjęciu u mnie w domu?

— Początkowo byli spięci, ale dobrze się bawili. Zachwyceni twoim domem. Bardzo im się spodobała twoja żona.

— Seks?

— Co wieczór. Zachowywali się tak, jakby byli w podróży poślubnej.

— Co robili?

— Pamiętaj, że nie mieliśmy podglądu. Na słuch wszystko brzmiało normalnie. Żadnych ekscesów. Pomyślałem o tobie, o tym, jak bardzo lubisz obrazki, i doszedłem do wniosku, że dla starego Olliego przydałoby się parę kamerek.

— Przymknij się, DeVasher.

— Może następnym razem.

DeVasher zaczął przeglądać notatki i obaj przez chwilę milczeli. Potem zdusił niedopałek cygara i uśmiechnął się do siebie.

— Można powiedzieć, że to dobre małżeństwo — podsumował. — Są sobie bardzo bliscy. Twój kierowca oznajmił, że przez cały weekend trzymali się za ręce. I w ciągu tych trzech dni nie padło ani jedno ostre słowo. To całkiem niezłe, nie? Ale cóż ja mam do powiedzenia, skoro byłem trzy razy żonaty.

— To rozumiałe. A co z dziećmi?

— Za parę lat. Ona chce trochę popracować i dopiero potem zająć w ciążę.

— Co o nim sądzisz?

— Bardzo udany młody człowiek. Niezwykle ambitny. Myślę, że ma zapał i nie spocznie, póki nie osiągnie szczytu. Jest gotów ryzykować i w razie potrzeby nagiąć to i tamto.

Lambert się uśmiechnął.

— Właśnie to chciałem usłyszeć.

— Tylko dwa telefony. Oba do jej matki w Kentucky. Nic szczególnego — dodał DeVasher.

— A co z jego rodziną?

— Nawet o niej nie wspomnieli.

— O Rayu wciąż nic?

— Nadal węższymi, Ollie. Daj nam trochę czasu.

DeVasher zamknął teczkę McDeere'a i otworzył drugą, o wiele grubszą. Lambert rozmasował sobie skronie i wbił wzrok w podłogę.

— Co się dzieje? — zapytał cicho.

— Nie najlepiej, Ollie. Jestem pewny, że Hodge i Kozinski się skumali

i teraz współpracują. W zeszłym tygodniu ludzie z FBI uzyskali nakaz, przeszukali dom Kozinskiego i natknęli się na nasze pluskwy. Powiadomili go, że jego dom jest na podsłuchu, ale oczywiście nie wiedzą, kto go założył. Kozinski powiedział o tym Hodge'owi w ostatni piątek w kącie biblioteki na drugim piętrze. Stanęli niedaleko naszej pluskwy i trochę z tego słyszeliśmy. Nie wszystko, ale wiemy, że rozmawiali o podsłuchu w domu. Są przekonani, że podsłuchy są wszędzie i podejrzewają o to nas. Byli bardzo ostrożni w rozmowie.

— Dlaczego FBI zawraca sobie głowę występowaniem o nakazy rewizji?

— zastanawiał się Lambert.

— Dobre pytanie. Pewnie ze względu na nas. Żeby wszystko było jak należy i zgodnie z prawem. Czują do nas respekt.

— Który z ich agentów?

— Tarrance. Chyba tym kieruje.

— Dobry jest?

— Niezły. Młody, niedoświadczony, nadgorliwy, ale kompetentny. Ale z naszymi nie ma szans — zapewnił DeVasher.

— Ile razy rozmawiał z Kozinskim?

— Trudno powiedzieć. Podejrzewają, że ich podsłuchujemy, i wszyscy są cholernie ostrożni. Wiemy o czterech spotkaniach w ostatnim miesiącu, ale sądzę, że było ich więcej.

— Ile z niego wyciągnął?

— Mam nadzieję, że niedużo. Wciąż jeszcze walczą z cieniami. Ostatnia znana nam rozmowa odbyła się w ubiegłym tygodniu i wtedy dużo im nie powiedział. Jest bardzo wystraszony. Próbują go przekabacić, ale jak dotąd bez specjalnych efektów. Jeszcze się nie zdecydował na współpracę. Pamiętaj, że to oni przyszli do niego. Przynajmniej tak nam się wydaje. Najpierw tak go nastraszyli, że był gotów pójść na współpracę, ale teraz

zaczyna się wahać. Jednak wciąż z nimi rozmawia i to mnie martwi.

— Jego żona wie?

— Nie sędzę. Widzi, że mąż trochę dziwnie się zachowuje, ale on jej tłumaczy, że to kłopoty związane z pracą.

— A co z Hodge'em? — dopytywał się Lambert.

— O ile nam wiadomo, federalni jeszcze z nim nie rozmawiali — odpowiedział DeVasher. — Ale on i Kozinski często gadają, a właściwie szepczą po kątach. Hodge wciąż powtarza, że śmiertelnie boi się FBI. Że federalni grają nieczysto, oszukują i robią numery. Bez Kozinskiego się nie ruszy.

— A gdyby Kozinskiego wyeliminować?

— Hodge byłby jak nie ten sam. Ale nie sędzę, żeby do tego doszło. Cholera, Ollie, on nie jest jakimś podłym draniem, który chce nam bruździć. To bardzo sympatyczny młody człowiek, ma żonę i małe dzieci.

— Twoja wyrozumiałość jest godna podziwu. Pewnie sędzisz, że ja to lubię robić, co? — prychnął Lambert. — Do diabła, przecież ja tych chłopców praktycznie wychowałem.

— No to przywołajmy ich do porządku, zanim za bardzo się rozbuchają — zaproponował DeVasher. — Nowy Jork zaczyna się niepokoić, Ollie. Zadają mnóstwo pytań.

— Kto?

— Lazarov.

— I co im mówisz, DeVasher?

— Wszystko. To mój obowiązek. Chcą cię pojutrze widzieć w Nowym Jorku. Masz im złożyć dokładne sprawozdanie.

— Czego oczekują?

— Odpowiedzi na pytania. I planów.

— Planów czego?



— Wstępnego planu załatwienia Kozinskiego, Hodge'a i Tarrance'a, jeśli to będzie konieczne.

— Tarrance'a?! Oszalałeś, DeVasher? Nie możemy załatwić gliniarza. Naślą na nas całą armię.

— Lazarov to dureń, Ollie. Przecież wiesz. To idiota, ale myślę, że nie należy mu tego mówić.

— A ja myślę, że tak. Myślę, że polecę do Nowego Jorku i powiem Lazarowowi, że jest skończonym głupcem.

— Koniecznie, Ollie. Koniecznie.

Oliver Lambert zerwał się z krzesła i ruszył do wyjścia.

— Miej oko na McDeere'a przez następny miesiąc — warknął.

— Jasne, Ollie. Spokojna głowa. Podpisze. Nic się nie martw.

## Rozdział 4

Mazdę sprzedali za dwieście dolarów i większość z tego natychmiast poszło na wynajem ciężarówki z trzyipółmetrową budą do przeprowadzek, ale wydatek miał być zrefundowany po przyjeździe do Memphis. Połowę starych sprzętów rozdali lub po prostu wyrzucili i do budy trafiły jedynie lodówka, łóżko, toaletka z szufladami, mały kolorowy telewizor, parę kartonów z zastawą, ubraniami i różnymi szpargałami oraz stara sofa, którą zabrali ze względów sentymentalnych, ale o której z góry było wiadomo, że w nowym miejscu długo nie przetrwa.

Abby wzięła na kolana kundla Plotka, Mitch usiadł za kierownicą i ruszyli ulicami Bostonu na południe. Daleko na południe, ku czekającej ich obietnicy lepszej przyszłości. Jechali bocznymi drogami przez całe trzy dni, rozkoszując się widokami, podśpiewując razem z radiem, nocując w tanich motelach i prowadząc niekończące się rozmowy o domu, bmw, nowych meblach, dzieciach, życiu w dobrobycie. Opuszczali szyby i wystawiali twarze na pęd powietrza opływającego ciężarówkę pędzącą z szybkością siedemdziesięciu trzech kilometrów na godzinę, bo tylko tyle dało się z niej wycisnąć. Gdzieś w Pensylwanii Abby wspomniała, że mogliby zahaczyć o Kentucky i złożyć krótką wizytę. Mitch nie podjął tematu i wybrał trasę przez obie Karoliny i Georgię, ani przez moment nie zbliżając się do granicy Kentucky na mniej niż trzysta kilometrów. Abby już do sprawy nie wróciła.

Dotarli do Memphis w czwartek rano i zgodnie z obietnicą pod wiatą stało nowiutkie czarne bmw wyglądające tak, jakby od zawsze tu było jego miejsce. Mitch nie mógł oderwać wzroku od samochodu, Abby nie mogła

oderwać wzroku od domu. Trawnik był gęsty, soczyście zielony i równo przystrzyżony, żywopłot starannie przycięty, nagietki w pełnym rozkwicie.

Tak jak było umówione, klucze leżały pod wiadrem w pomieszczeniu gospodarczym.

Po próbnej przejażdżce rozładowali ciężarówkę, robiąc to szybko i dyskretnie, żeby sąsiedzi nie zdołali odnotować ich mizernego dobytku. Ciężarówkę odstawili do najbliższego punktu sieci U-Haul i odbyli następną jazdę próbną.

Po południu zjawiała się dekoratorka wnętrz — ta sama, którą zaangażowano do urządzenia biura Mitcha — przywożąc próbki dywanów i wykładzin podłogowych, wzorniki farb, próbki firanek i zasłon, wzorniki tapet. Mając w pamięci norę w Cambridge, Abby z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem na myśl o skorzystaniu z usług dekoratorki wnętrz, ale dzielnie przystosowała się do sytuacji. Mitcha niemal od razu to znudziło, przeprosił panie i odbył kolejną jazdę próbną, kręcąc się po ocienionych drzewami uliczkach eleganckiej dzielnicy, której mieszkańcem właśnie się stał. Uśmiechał się radośnie, gdy chłopcy na rowerach zatrzymywali się i z podziwem pogwizdywali na widok jego nowego samochodu. Pomachał przyjaźnie listonoszowi, który spocony kroczył chodnikiem. Mitchell Y. McDeere, lat dwadzieścia pięć, tydzień po skończeniu studiów prawniczych jest na swoim miejscu.

O piętnastej pojechali z projektantką do ekskluzywnego sklepu meblowego, którego kierownik poinformował ich uprzejmie, że pan Oliver Lambert otworzył na ich nazwisko konto kredytowe w sklepie i jeśli będą chcieli z niego skorzystać, nie muszą liczyć się z żadnym limitem wydatków. Kupili meble do całego domu. Mitch parę razy ściągnął brwi i dwukrotnie oprotestował wybór jakiegoś mebla z uwagi na zbyt wysoką cenę, ale to Abby miała we wszystkim ostatnie słowo. Projektantka kilkakrotnie

pogratulowała jej gustu i żegnając się, obiecała, że w poniedziałek zjawi się w firmie, by zająć się urządzeniem biura Mitcha, on zaś zapewnił ją, że nie może się doczekać.

• • •

Z planem miasta w ręku wyruszyli do rezydencji Quinów. Abby widziała ich dom podczas pierwszej przejażdżki po mieście, ale nie pamiętała drogi. Wiedziała, że mieszkają w dzielnicy o nazwie Chickasaw Gardens, ale zapamiętała tylko zadrzewione parcele, ogromne domy i profesjonalnie zaprojektowane ogrody. Dotarli na miejsce i zaparkowali na podjeździe za dwoma mercedesami, jednym nowym, drugim starym.

Pokojówka grzecznie skłoniła głowę, ale się nie uśmiechnęła. Zaprowadziła ich do salonu i tam zostawiła. Dom był cichy i mroczny — żadnych dzieci, żadnych odgłosów, pustka. Czekali, podziwiając umeblowanie, potem pomamrotali coś pod nosami, a potem zaczęli się niecierpliwic. Jeszcze raz zapewnili się wzajemnie, że to dziś, w czwartek dwudziestego piątego czerwca zostali zaproszeni na osiemnastą na powitalną kolację. Mitch rzucił okiem na zegarek i bąknął, że to trochę niegrzeczne z ich strony, ale wciąż czekali.

Wreszcie drzwi się otworzyły i weszła Kay, starając się uśmiechać. Oczy miała szkliste i zapuchnięte, na twarzy widać było smugi rozmazanego tuszu. Po jej policzkach płynęły łzy, zakrywała usta chusteczką. Usiadła obok Abby na kanapie, przygryzła chusteczkę i wybuchnęła głośnym płaczem.

Mitch uklęknął przed nią na podłodze.

— Kay, co się stało?

Jeszcze mocniej zacisnęła zęby i pokręciła głową. Abby położyła jej rękę na kolanie, Mitch poklepał po drugim. Patrzyli na nią wystraszeni, spodziewając się najgorszego. Chodzi o Lamara czy o któreś z dzieci?

— Doszło do tragedii — wyjąkała Kay, nie przestając cicho szlochać.

— Kto? — zapytał Mitch.

Otarła oczy i westchnęła głęboko.

— Dwaj koledzy Lamara, Marty Kozinski i Joe Hodge. Zginęli. Byliśmy z nimi bardzo zaprzyjaźnieni.

Mitch przysiadł na stoliku obok kanapy. Pamiętał Marty'ego Kozinskiego ze swojej drugiej wizyty w kwietniu. Dołączył wtedy do niego i Lamara i wszyscy trzej zjedli lunch w delikatesach przy Front Street. Był już bardzo blisko zostania współnikiem, nie wyglądał jednak na zachwyconego. Ale Joego Hodge'a Mitch nie mógł sobie przypomnieć.

— Co się stało? — zapytał.

Kay przestała szlochać, ale po jej policzkach nadal płynęły łzy. Znow wytarła twarz i spojrzała na Mitcha.

— Nie bardzo wiadomo. Byli na Wielkim Kajmanie i wypłynęli, żeby ponurkować. Na ich łodzi coś wybuchło i chyba utonęli. Lamar mówi, że informacje są dość niejasne. Parę godzin temu zwołano w firmie zebranie i poinformowano personel o wypadku. Lamar ledwo zdążył wrócić do domu.

— Gdzie jest teraz?

— Przy basenie. Czeka na ciebie.

Lamar siedział na krzeselku ogrodowym przy małym stoliku z parasolem, kilka kroków od krawędzi basenu. Na klombie kręcił się ogrodowy zraszacz, który furcząc, sycząc i strzelając równym łukiem wody, obficie zraszał trawnik, klomb, stół, parasol, krzeselko i Lamara Quina. Był przemoczony do nitki, woda kapiała mu z nosa, uszu i włosów. Niebieską bawełnianą koszulę i wełniane spodnie można było wyżywać. Nie miał skarpetek ani butów.

Trwał nieruchomo, nie reagując nawet mrugnięciem na kolejne zimne prysznice. Wyglądał, jakby stracił kontakt z rzeczywistością, ze wzrokiem

wbitym w jakiś odległy punkt na ogrodzeniu. W kałuży obok krzeselka stała nieotwarta butelka heinekena.

Mitch powiódł wzrokiem po trawniku głównie po to, by się upewnić, że sąsiedzi ich nie obserwują. Ale nawet gdyby próbowali, nie mogliby. Dwuipółmetrowy żywopłot z cyprysów zapewniał prywatność. Mitch obszedł basen i zatrzymał się na końcu suchego fragmentu trawnika. Lamar go dostrzegł, skinął głową, blado się uśmiechnął i wskazał zalane wodą krzeselko. Mitch odciągnął je parę metrów dalej i usiadł, w porę unikając kolejnego prysznica.

Lamar przeniósł wzrok na ogrodzenie czy też na to, na co patrzył w oddali, po czym w milczeniu przesiedzieli całą wieczność, wsłuchując się w furczenie zraszacza. Co jakiś czas Lamar kręcił głową, jakby próbował coś powiedzieć. Mitch uśmiechał się niepewnie, nie bardzo wiedząc, czy powinien się odzywać.

— Lamar, strasznie mi przykro — wybąkał w końcu.

Quin kiwnął głową i spojrzał na niego.

— Mnie też...

— Chciałbym umieć coś powiedzieć.

Lamar oderwał wzrok od ogrodzenia i pochylił głowę w stronę Mitcha. Jego ciemne włosy opadały mokrymi strąkami na oczy, które były zaczerwienione i malował się w nich ból. Wlepiwszy wzrok w Mitcha, odczekał, aż przeleci po nim kolejny strumień wody.

— Wiem. Ale nie da się nic powiedzieć. Szkoda, że musiało się to stać akurat dziś. Nie mieliśmy głowy do szykowania kolacji.

— W ogóle o tym nie myśl. Zresztą i tak straciłem apetyt.

— Pamiętasz ich? — spytał Lamar, zdmuchując krople z warg.

— Pamiętam Kozinskiego, Hodge'a nie.

— Marty Kozinski był jednym z moich najbliższych przyjaciół. Znaliśmy

się jeszcze z Chicago. Dołączył do firmy trzy lata przede mną i był o krok od zostania wspólnikiem. Doskonały prawnik. Wszyscy go podziwiali i prosili o radę. Był chyba najlepszym negocjatorem w firmie. Zawsze bardzo spokojny i niewzruszony, bez względu na presję.

Lamar przetarł brwi i wbił wzrok w ziemię. Woda skapywała mu z nosa, co sprawiało, że mówił trochę niewyraźnie.

— Trójka dzieci. Ich bliźniaczki są o miesiąc starsze od naszego syna, zawsze się razem bawili. — Przymknął oczy, zagryzł wargi i zaczął cicho płakać.

Mitch wolałby już sobie pójść. Starał się nie patrzeć na kolegę.

— Strasznie mi przykro, Lamar. Naprawdę strasznie — powiedział cicho.

Po paru minutach Lamar przestał płakać, ale woda nie przestała go zalewać. Mitch rozejrzał się po ogromnym trawniku w poszukiwaniu zaworu. Dwukrotnie zebrał się na odwagę, żeby spytać, czy może zakręcić wodę, i dwukrotnie uznał, że skoro tamtemu to nie przeszkadza, to on też wytrzyma. Może mu to w jakiś sposób pomaga? Spojrzał na zegarek. Do zmroku zostało jeszcze półtorej godziny.

— Wiesz coś o okolicznościach tego wypadku? — zapytał w końcu.

— Dużo nam nie powiedzieli. Obaj wypłynęli na morze ponurkować i na łodzi doszło do eksplozji. Sternik też zginął. Urodzony na wyspie krajowiec. Próbują teraz przetransportować zwłoki.

— A co z żonami?

— Na szczęście zostały w domu. To była podróż służbowa.

— Nie mogę sobie przypomnieć Hodge'a.

— Joe był wysokim, dość małomównym blondynem. Kimś takim, kogo poznajesz i po chwili nie pamiętasz. Tak jak ty skończył Harvard.

— Ile miał lat?

— Obaj mieli trzydzieści cztery lata. Był następny w kolejce po Martym

do zostania współnikiem. Byli sobie bardzo bliscy. Ale pewnie wszyscy jesteście sobie bliscy, zwłaszcza teraz.

Lambert palcami obu rąk zaczesał włosy do tyłu, po czym wstał i przeszedł na suchy fragment trawnika. Woda skapywała z brzegu jego koszuli i mankietów spodni. Zatrzymał się obok Mitcha i niewidzącym wzrokiem spojrzął na czubki drzew za płotem.

— Jak twoje bmw? — zapytał.

— Wspaniale. To świetny samochód. Dzięki za podstawienie.

— Kiedy przyjechaliście?

— Dziś rano. Ale na liczniku mam już półtora tysiąca kilometrów.

— Dekoratorka się zgłosiła?

— Tak. Pomogła Abby wydać moją całoroczną pensję.

— To fajnie. Cały dom jest fajny. Cieszymy się, Mitch, że już przyjechałeś. Przykro mi tylko, że w takich okolicznościach. Spodoba ci się tu.

— Nie masz za co przepraszać.

— Nadal nie mogę w to uwierzyć. Jestem cały odrętwiały. Drzę na myśl o spojrzeniu w oczy żonie i dzieciom Marty'ego. Wolałbym się poddać chłóście, niż tam iść.

Z domu wyszły obie panie i przemierzyły drewnianą werandę. Zeszły po schodkach i ruszyły w stronę basenu. Kay po drodze podeszła do zaworu i wyłączyła zraszacz.

• • •

Mitch i Abby wyjechali z Chickasaw Gardens i ruszyli na zachód, włączając się w strumień pojazdów jadących do centrum wprost ku zachodzącemu słońcu. Trzymali się za ręce, ale prawie całą drogę milczeli. Mitch otworzył szyberdach i opuścił szyby, Abby pogrzebała w starych



kasetach i znalazła Springsteena. System stereo działał bez zarzutu i lśniący nowością samochód wypełniły dźwięki *Hungry Heart*, ciągnąc się za nim niczym welon. Zapadającym ciemnościom towarzyszyło ciepłe wilgotne powietrze, typowe dla lata w Memphis. Ciągące się wzdłuż rzeki boiska do softballu roily się od drużyn nieco otyłych mężczyzn w obcisłych poliestrowych trykotach i koszulkach w seledynowo-cytrynowe pasy, którzy poprawiali kredą linie, szykując się do boju. Grupki nastolatków zajeżdżały samochodami pod bary z hamburgerami i hot dogami, by usiąść przy piwie, poplotkować i pogapić się na płec przeciwną. Mitch zaczynał się uśmiechać. Starał się nie myśleć o Lamarze, Kozinskim i Hodge'u. Bo właściwie dlaczego miałby się przejmować? Nie byli jego przyjaciółmi. Współczuł ich rodzinom, ale przecież prawie ich nie znał. A on, Mitchell Y. McDeere, biedak bez rodziny, miał aż nadto powodów do radości. Piękna żona, nowy dom, nowy samochód, nowa praca, nowy dyplom Harvardu. Bystry umysł i zdrowe ciało bez skłonności do tycia i z niewielkim zapotrzebowaniem na sen. Osiemdziesiąt tysięcy rocznie. Na razie, bo za dwa lata może przekroczyć magiczną granicę sześciu cyfr. By to osiągnąć, wystarczy tylko pracować dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo. Bułka z masłem.

Podjechał na stację benzynową i zatankował piętnaście galonów. Wszedł do środka, by zapłacić, i wziął z półki sześciopak micheloba. Abby otworzyła dwie puszki i znów włączyli się do ruchu. Teraz Mitch uśmiechał się całą gębą.

— Wstąpmy gdzieś coś zjeść — zaproponował.

— Nie jesteśmy odpowiednio ubrani — zauważyła Abby.

Popatrzył na jej długie opalone nogi. Miała na sobie białą bawełnianą spódniczkę nad kolana i biały, zapinany na guziki bawełniany sweterek. On był w szortach i wypłowiałym czarnym polo, na nogach miał klapki.

— Z takimi nogami wpuszczą cię do każdej restauracji w Nowym Jorku.

— To może do Rendezvous? Widziałam tam bardzo swobodnie ubranych gości.

— Świetny pomysł.

Zostawili samochód na płatnym parkingu w centrum i przeszli dwie przecznice do wąskiego zaułka. Zapach grilla mieszał się z letnim powietrzem i wisiał jak mgła tuż nad chodnikiem, drażniąc nosy, usta i oczy i wywołując niepokój w żołądkach. Z podziemnych przewodów wentylacyjnych wydostawał się dym płynący z ogromnych pieców, gdzie na rożnach opiekały się całe półcie smakowitych żeberek będących specjalnością najlepszej tego typu restauracji w mieście znanym z najlepszych żeberek na świecie. Knajpa Rendezvous mieściła się poniżej poziomu ulicy w piwnicach wiekowej kamienicy z czerwonej cegły, którą dawno by już zburzono, gdyby nie słynny podnajemca.

Pod drzwiami zwykle stała kolejka oczekujących na stolik, ale na szczęście czwartek okazał się luźniejszy. Poprowadzono ich przez gwarne i zatłoczone salki i posadzono przy małym stoliku przykrytym serwetą w biało-czerwoną kratę. Odprowadzały ich liczne spojrzenia gości, do czego byli przyzwyczajeni. Zawsze się na nich gapiono. Mężczyźni przestawali jeść i zastygali z kawałkami żeberek w zębach, patrząc, jak Abby McDeere przepływa obok niczym modelka na wybiegu. Idąc kiedyś chodnikiem, spowodowała wstrzymanie ruchu na ulicy w Bostonie. Pełne zachwyty okrzyki i gwizdy były na porządku dziennym i jej mąż już do nich przywykł. Był bardzo dumny ze swojej pięknej żony.

Do stolika podszedł naburmuszony czarny kelner w czerwonym fartuchu.

— Tak? — burknął.

Menu miało postać podkładek pod talerze i było zupełnie zbyteczne. Żeberka, żeberka, żeberka...

— Dwie całe porcje, deskę serów i dzban piwa — odburknął Mitch.

Kelner niczego nie zapisał i tylko odwróciwszy się do wejścia, wrzasnął: „Dwie całe, sery, dzban!”.

Po jego odejściu Mitch sięgnął pod stół i złapał Abby za nogę, a ona trzepnęła go po ręku.

— Jesteś piękna — powiedział. — Kiedy ci ostatnio mówiłem, że jesteś piękna?

— Ze dwie godziny temu.

— Dwie godziny! Cóż za niedopatrzenie z mojej strony.

— Żeby mi się to więcej nie powtórzyło.

Znów złapał ją za nogę i pogłaskał po kolanie, a ona tym razem mu na to pozwoliła. Uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko, na jej policzkach uformowały się dwa idealnie równe dołeczki, w mroku rozbłysła biel zębów, łagodne piwne oczy zaiskrzyły. Jej ciemne proste włosy opadały równą kurtyną parę centymetrów poniżej ramion.

Kelner przyniósł piwo i bez słowa napełnił dwa kufle. Abby upiła mały łyżeczek i przestała się uśmiechać.

— Myślisz, że Lamar już doszedł do siebie? — spytała.

— Nie wiem. W pierwszej chwili myślałem, że jest pijany. Czułem się jak idiota, siedząc tam i patrząc, jak moknie.

— Biedaczysko. Kay powiedziała, że pogrzeby będą pewnie w poniedziałek. Jeśli zdążą sprowadzić ciała.

— Porozmawiajmy o czymś innym — poprosił Mitch. — Nie lubię pogrzebów, jakichkolwiek. Nawet jeśli w nich uczestniczę z czystego szacunku i nic nie łączyło mnie ze zmarłym. Mam za sobą kilka ciężkich pogrzebów.

Kelner przyniósł żeberka. Serwowano je na papierowych talerzach wyłożonych folią aluminiową, na której zbierał się tłuszcz. Dwie małe porcje sałatki coleslaw i fasolki w sosie towarzyszyły trzydziestocentymetrowym

połciom opieczonych na sucho i polanych sekretnym sosem żeberek. Zaczęli je rozrywać palcami.

— To o czym chcesz rozmawiać? — spytała Abby.

— O ciąży.

— Wydawało mi się, że postanowiliśmy poczekać parę lat.

— Prawda. Ale myślę, że powinniśmy zacząć ćwiczyć.

— Ćwiczyliśmy w każdym motelu po drodze z Bostonu.

— Wiem, ale w naszym nowym domu jeszcze nie. — Mitch z impetem rozerwał dwa żeberka i sos prysnął mu aż na brwi.

— Dopiero rano się wprowadziliśmy — przypomniała Abby.

— No właśnie. To na co czekamy?

— Mitch, mówisz, jakbym cię zaniedbywała.

— Bo od rana mnie zaniedbujesz. Proponuję, żebyśmy się tym zajęli dziś wieczorem od razu, gdy tylko wrócimy do domu. Trzeba ochrzcić nasz nowy dom.

— Zobaczymy.

— Znaczy jesteście umówieni, tak? Słuchaj, zwróciłaś uwagę na faceta przy tamtym stoliku? Chyba sobie kark skręci, tak się zwija, żeby dojrzeć kawałek twojej nogi. Myślę, że powinienem wstać i przylać mu w dupę.

— Tak, tak. Jesteście umówieni. I nie przejmuj się facetami. Oni gapią się na ciebie. Chyba im się podobasz.

— Bardzo śmieszne — mruknął Mitch.

Obgryzł żeberka do ostatniego skrawka mięsa i zjadł połowę porcji Abby. Dopili piwo, Mitch zapłacił rachunek i wyszli po schodach na ulicę. Jechał wolno przez miasto, póki nie natrafił na ulicę zapamiętaną z wcześniejszych wycieczek. Po dwóch błędnych skrętach dotarł w końcu do Meadowbrook i chwilę potem do nowego domu państwa Abby i Mitchella Y. McDeere'ów

Materac i rama ze sprężynami leżały jeszcze rzucone na podłogę

w głównej sypialni, wokół stały nierozpakowane kartony. Plotek ułożył się za lampą i przyglądał się, jak państwo ćwiczą.

• • •

Cztery dni później — w dniu, który powinien być jego pierwszym dniem w nowej pracy — Mitch i jego śliczna żona dołączyli do pozostałych trzydziestu dziewięciu prawników i ich ślicznych żon, by wziąć udział w pożegnaniu Martina S. Kozinskiego. Katedra była pełna ludzi, Oliver Lambert wygłosił tak kwiecistą i wzruszającą mowę pogrzebową, że nawet Mitchell McDeere, który pochował już ojca i brata, nie mógł opanować dreszczu żalu. Na widok wdowy i trójki dzieci oczy Abby napełniły się łzami.

Tego samego dnia po południu spotkali się ponownie w kościele prezbiteriańskim we wschodnim Memphis, by pożegnać Josepha M. Hodge'a.

## Rozdział 5

Gdy Mitch zjawił się punktualnie o ósmej trzydzieści, w niewielkim holu przed gabinetem Royce'a McKnighta nie było nikogo. Odchrząknął, zakasłał i zaczął niespokojnie chodzić. Po chwili zza dwóch szaf na dokumenty wyłoniła się sekretarka w podeszłym wieku i obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany. Mitch przedstawił się i wyjaśnił, że przyszedł na umówione spotkanie z panem McKnightem. Sekretarka uśmiechnęła się, powiedziała, że ma na imię Louise i jest osobistą sekretarką pana McKnighta od trzydziestu jeden lat, po czym spytała, czy napije się kawy. Tak, proszę, powiedział Mitch, czarnej. Zniknęła i wróciła z filiżanką na spodku. Zawiadomiła szefa przez interkom i poprosiła, by Mitch usiadł. Powiedziała też, że teraz już go poznaje, bo jedna z koleżanek pokazała go jej podczas wczorajszych pogrzebów.

Przeprosiła za smętny nastrój panujący w biurze i wyjaśniła, że nikt nie pali się do pracy i minie wiele dni, zanim wszystko wróci do normy. Obaj byli takimi sympatycznymi młodymi ludźmi. Zadzwoił telefon i Louise wyjaśniła dzwoniącemu, że pan McKnight ma teraz ważne spotkanie i nie można mu przeszkadzać. Po minucie telefon znów zadzwonił, kobieta przez moment słuchała, po czym wprowadziła Mitcha do gabinetu szefa.

Powitali go Oliver Lambert i Royce McKnight i przedstawili dwóch kolejnych wspólników — Victora Milligana i Avery'ego Tollesona. Wszyscy usiedli przy niewielkim stole konferencyjnym, Louise wysłano po więcej kawy. Milligan był szefem sekcji podatków, a czterdziestojednoletni

Tolleson jednym z młodszych wiekiem wspólników.

— Mitch, przepraszamy za tak przygnębiający początek — zaczął McKnight. — Doceniamy twoją obecność na wczorajszych pogrzebach i bardzo nam przykro, że twój pierwszy dzień w naszej firmie zaczął się od tak smutnego akcentu.

— Miałem poczucie, że byłem na tych pogrzebach wśród swoich — odrzekł Mitch.

— Jesteśmy z tego bardzo dumni i mamy wobec ciebie wielkie plany. Właśnie straciliśmy dwóch z naszych najlepszych prawników. Obaj zajmowali się tylko podatkami, więc liczymy, że nam w tej trudnej sytuacji pomożesz. Wszyscy będziemy musieli trochę bardziej się przyłożyć.

Louise wniosła tacę z kawą. Dzbanek był srebrny, filiżanki z cienkiej porcelany.

— Jesteśmy tym wszyscy bardzo przybici — powiedział Oliver Lambert. — Dlatego proszę cię o wyrozumiałość.

Wszyscy czterej pokiwali głowami i wbili wzrok w stół. Royce McKnight spojrział na leżący przed nim notatnik.

— Mitch, myślę, że już o tym mówiliśmy — zaczął. — Każdego prawnika zatrudnionego w naszej firmie przydzielamy któremuś ze wspólników, który staje się jego patronem i mentorem. To dla nas bardzo ważna relacja. Staramy się dobierać ich tak, żeby do siebie pasowali, a ich współpraca układała się harmonijnie. Zwykle się nie mylimy, choć zdarzały się pomyłki. Nie zadziałała chemia czy coś innego, ale jeśli tak się działo, po prostu przydzielaliśmy prawnika komu innemu.

Twoim partnerem będzie Avery Tolleson.

Mitch uśmiechnął się niepewnie do swojego nowego patrona.

— Będziesz pracował pod jego kierunkiem i wszystkie sprawy, jakimi będziesz się zajmował, będą należeć do jego portfela klientów. Praktycznie

wszystkie będą dotyczyły podatków — wyjaśnił McKnight.

— To dobrze.

— Zanim zapomnę — wtrącił Tolleson. — Chciałbym cię dziś zaprosić na lunch.

— Oczywiście — powiedział Mitch.

— Weźcie moją limuzynę — dorzucił Lambert.

— Taki miałem zamiar. — Tolleson się uśmiechnął.

— A kiedy ja dostanę własną limuzynę? — zapytał Mitch.

Wszyscy się uśmiechnęli, jakby docenili jego żarcik.

— Za jakieś dwadzieścia lat — rzekł Lambert.

— Poczekam.

— A jak twoje bmw? — zainteresował się Victor Milligan.

— Wspaniale. Niedługo będzie gotowe na przegląd po dziesięciu tysiącach kilometrów.

— Nie było problemów z przeprowadzką?

— Nie, wszystko jest w najlepszym porządku. Doceniam pomoc firmy w całej operacji. Poczuliśmy się dopieszczeni i oboje z Abby jesteśmy bardzo wdzięczni.

McKnight przestał się uśmiechać i wrócił do swojego notatnika.

— Jak ci już mówiłem, Mitch, egzamin adwokacki stanowi priorytet. Masz sześć tygodni na przygotowanie i możesz liczyć na naszą wszechstronną pomoc w tym względzie. Nasi adwokaci prowadzą własne konsultacje powtórkowe. Obejmą całą tematykę egzaminu, a twoje postępy będą przez nas monitorowane, zwłaszcza przez Avery'ego. Co najmniej połowę dziennego czasu pracy będziesz poświęcał powtarzaniu materiału do egzaminu, podobnie jak większość czasu wolnego. Jeszcze żaden z naszych prawników tego egzaminu nie oblał.

— Nie będę pierwszym — zapewnił Mitch.



— Jeśli oblejesz, to zabierzemy ci bmw — zagroził Tolleson z uśmiechem.

— Twoją sekretarką będzie pani Nina Huff — ciągnął McKnight. — Pracuje w firmie od ponad ośmiu lat. Jest trochę apodyktyczna i niezbyt urodziwa, ale bardzo kompetentna. Zna się nieźle na prawie i ma skłonność do udzielania rad, zwłaszcza młodym prawnikom. Od ciebie zależy, jak ją ustawisz. Jeśli się nie dogadacie, zastąpimy ją kimś innym.

— Gdzie będę miał biuro?

— Na pierwszym piętrze, kawałek za gabinetem Avery'ego. Dziś po południu zjawi się dekoratorka, żeby dobrać ci biurko i całe umeblowanie. W miarę możliwości słuchaj jej rad.

Gabinet Lamara też mieścił się na pierwszym piętrze i to wydało się Mitchowi pocieszające. Ciągle miał w pamięci, jak ociekając wodą, siedzi nad basenem i płacze, mamrocząc coś pod nosem.

— Mitch, obawiam się, że nie wspomniałem o czymś, o czym należało powiedzieć podczas pierwszego spotkania. — Najwyraźniej McKnight jeszcze nie skończył.

Przez chwilę nikt się nie odezwał i w końcu Mitch bąknął niepewnie:

— Tak, o co chodzi?

Wszyscy współnicy siedzieli nieruchomo, nie spuszczać wzroku z McKnighta.

— Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żebyśmy pozwolili nowo zatrudnionemu prawnikowi rozpocząć pracę z bagażem studenckich długów. Wolimy, żebyś miał inne sprawy na głowie i znajdował inne sposoby na wydawanie zarobionych pieniędzy niż spłata studenckich kredytów. Ile tego jest?

Mitch upił kilka łyżek kawy, intensywnie myśląc.

— Prawie dwadzieścia trzy tysiące — mruknął.

— Przynieś jutro rano wszystkie dokumenty i połóż na biurku Louise — polecił McKnight.

— Pan... znaczy firma... spłaci moje długi?

— Zawsze tak robimy. Chyba że masz coś przeciwko temu.

— Skąd! Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

— Nic nie musisz mówić. Tak samo potraktowaliśmy każdego nowego prawnika w ciągu ostatnich piętnastu lat. Tylko dostarcz Louise wszystkie papiery.

— To niezwykle hojne z panów strony.

— Tak, wiemy.

• • •

Wlekli się limuzyną we wzmożonym południowym ruchu i Tollesonowi nie zamykały się usta. Zaczął od tego, że Mitch przypomina mu jego samego. On też tak jak Mitch był dzieckiem z rozbitego domu, które wychowywało się w rodzinach zastępczych w całym południowo-zachodnim Teksasie i które po skończeniu liceum znalazło się na ulicy. Żeby zarobić na opłacenie college'u, pracował nocami w fabryce butów. Drzwi do kariery otworzyło mu stypendium do UTEP\*. Skończył uniwersytet, złożył podania do jedenastu szkół prawniczych i wybrał Stanford. Miał drugą lokatę na roku i odrzucił oferty pracy ze wszystkich wielkich kancelarii prawniczych na Zachodnim Wybrzeżu. Chciał zajmować się podatkami i niczym więcej. Szesnaście lat temu wypatrzył go Oliver Lambert i przyjął do firmy w czasach, gdy zatrudniała mniej niż trzydziestu prawników.

Miał żonę i dwoje dzieci, ale o rodzinie mówił mało, za to dużo o pieniądzach. Były jego pasją, jak się wyraził.

Pierwszy milion leżał już na koncie, do drugiego potrzebował jeszcze dwóch

\* UTEP —  
University of  
Texas at El Paso.

lat. Przy zarobkach czterysta tysięcy rocznie brutto nie potrwa to długo. Jego specjalnością było tworzenie spółek do zakupu supertankowców. Był najwybitniejszym specjalistą w tej dziedzinie i jego stawka wynosiła trzysta dolarów za godzinę przy sześćdziesięciu, czasem siedemdziesięciu godzinach tygodniowo.

Stawka Mitcha znacznie się od stu dolarów za godzinę przy minimum pięciu godzinach dziennie, i tak będzie do czasu zdania egzaminu. Potem wzrośnie do stu pięćdziesięciu dolarów, a liczba godzin do co najmniej ośmiu dziennie. Fakturowanie klientów stanowi siłę napędową firmy i wszystko obraca się wokół tego. Awanse, podwyżki, premie, zdolność przeżycia, sukces — wszystko zależy od liczby faktur wystawianych klientom. Dotyczy to w szczególności nowego pracownika. Najszybszym sposobem, by trafić na dywanik u przełożonego jest zaniedbanie codziennego fakturowania. Tyle że Avery nie pamiętał, aby ktokolwiek na to zasłużył. Po prostu nie zdarzało się, żeby pracownik zapomniał o wystawieniu faktury.

Średnia stawka szeregowych prawników wynosiła sto siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę, wspólników trzysta. Milligan paru swoich klientów kasował po czterysta, a Nathan Locke dostał kiedyś pięćset za obsługę podatkową transakcji wymagającej zamiany aktywów w kilku różnych krajach. Pięćset dolarów za godzinę! Tak się w tym biznesie zbija majątek. Angażuje się kilku prawników, którym płaci się godziny, i buduje dynastię. Im więcej takich się ma, tym więcej zarabiają wspólnicy.

Więc nigdy nie zapominaj o fakturowaniu, powtórzył Tolleson. To pierwsza reguła przeżycia w tym biznesie. Jeśli nie będzie miał akt do zafakturowania, ma natychmiast poinformować o tym jego sekretariat. Bo u niego zawsze coś się znajdzie. Dziesiątego każdego miesiąca wspólnicy spotykają się na specjalnym lunchu i przyglądają fakturowaniu za ubiegły miesiąc. To bardzo uroczysta okazja. Royce McKnight odczytuje po kolei

nazwiska wszystkich prawników i sumy wystawionych przez nich faktur. Wspólnicy zawzięcie między sobą współzawodniczą, ale robią to w przyjaznej atmosferze. W końcu i tak wszyscy się na tym bogacą, nieprawdaż? To bardzo motywacyjny system. Nikt nie mówi złego słowa prawnikowi, który znajdzie się na ostatnim miejscu, no, chyba że to już drugi miesiąc z rzędu. Wtedy Oliver Lambert może mu coś bąknąć przy jakiejś okazji. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś zanotował najgorszy wynik przez kolejne trzy miesiące. Za wyjątkowo wysokie fakturowanie prawnicy dostają ekstra premie. Funkcjonowanie spółki opiera się na generowaniu honorariów na odpowiednio wysokim poziomie. Nie wolno o tym zapominać, tłumaczył Tolleson. To twój najważniejszy priorytet. Oczywiście poza egzaminem.

Egzamin adwokacki był uciążliwą próbą, przez którą należało przejść. Stanowił rytualny próg w życiu prawnika, a przekroczenie go nie było problemem dla żadnego absolwenta Harvardu. Po prostu trzeba korzystać z konsultacji powtórkowych i starać się pamiętać wszystko, czego się uczyło na studiach.

Limuzyna wjechała w boczną uliczkę między dwoma wieżowcami i zatrzymała się pod wąskim płóciennym daszkiem sięgającym od krawężnika do czarnych metalowych drzwi. Avery spojrzał na zegarek i rzucił do szofera:

— Przyjedź po nas o czternastej.

Dwie godziny na lunch, pomyślał Mitch, to ponad sześćset dolarów w przeliczeniu na niewystawione faktury. Cóż za marnotrawstwo.

Klub Manhattan mieścił się na najwyższym piętrze dziewięciopiętrowego biurowca, w którym po raz ostatni wszystkie lokale były zajęte w początkach lat pięćdziesiątych. Avery nazwał budynek rudera, ale zaraz dodał, że klub na górze jest najbardziej ekskluzywnym miejscem w mieście na spokojny lunch czy kolację. Jedzenie jest doskonałe, a przy stolikach siedzą wyłącznie biali

i bardzo zamożni mężczyźni. Po prostu ważne miejsce dla ważnych ludzi. Bankierów, prawników, dyrektorów, przedsiębiorców, paru polityków i arystokratów. Poślaczona klatka windy zawiozła ich bez zatrzymywania na eleganckie dziewiąte piętro, mijając po drodze puste lokale biurowe. Kierownik sali powitał Avery'ego po nazwisku i spytał, co słyhać u jego dobrych przyjaciół, panów Olivera Lamberta i Nathana Locke'a. Wyraził też współczucie z powodu bolesnej straty w związku ze śmiercią panów Kozinskiego i Hodge'a. Avery mu podziękował i przedstawił najnowszy nabytek firmy. Ulubiony stolik w rogu już na nich czekał, czarny kelner o nienaganych manierach wręczył im menu.

— Firma nie pozwala pić podczas lunchu — uprzedził Avery, otwierając menu.

— Nigdy nie piję w porze lunchu — zapewnił Mitch.

— To dobrze. Co dla ciebie?

— Herbatę z lodem.

— Dla niego mrożona herbata — powiedział Avery do kelnera. — A dla mnie koktajl Martini Bombay z lodem i trzema oliwkami.

Ukryty za menu Mitch przygryzł język i się uśmiechnął.

— Za dużo mamy reguł — mruknął Avery.

Po pierwszym koktajlu pojawił się drugi, ale Avery na tym poprzestał. Nie pytając Mitcha o zdanie, zamówił jedzenie dla obu. Jakaś opiekaną rybę, specjalność dnia. Wyjaśnił, że bardzo dba o wagę. Powiedział też, że codziennie ćwiczy w siłowni u siebie w domu i zaprosił Mitcha, by ten przyszedł się z nim spocić. Może po egzaminie. Padły standardowe pytania o futbol w college'u i równie standardowe zaprzeczenia w kwestii wagi osiągnięć.

Mitch spytał Avery'ego o dzieci i usłyszał, że mieszkają z matką.

Ryba była na wpół surowa, pieczone ziemniaki za twarde i Mitch tylko

podziobał jedno i drugie i powoli zjadł sałatkę, słuchając uwag swojego patrona o gościach na sali. Przy dużym stole siedział burmistrz w towarzystwie kilku Japończyków, a przy sąsiednim stoliku jeden z bankierów firmy. Było jeszcze kilku ważnych prawników i kilka korporacyjnych szefów. Wszyscy jedli z zaangażowaniem i należąną powagą. Atmosfera była napuszczona. Według słów Avery'ego każdy był kimś ważnym zarówno w swojej branży, jak i w miejskiej społeczności. Avery czuł się tu jak w domu.

Obaj zrezygnowali z deseru i poprosili o kawę. Mitch powinien być w biurze codziennie o dziewiątej, poinformował Avery, zapalając montesino. Sekretarki przychodzą na ósmą trzydzieści. Praca trwa od dziewiątej do siedemnastej, ale oczywiście nikt nie pracuje przez osiem godzin. On sam przychodzi do biura na ósmą i rzadko wychodzi przed osiemnastą. Wolno mu policzyć codziennie za dwanaście godzin, i to bez względu na to, ile godzin przepracuje naprawdę. Dwanaście godzin dziennie przez pięć dni w tygodniu po trzysta dolarów za godzinę przez pięćdziesiąt tygodni w roku. Dziewięćset tysięcy dolarów do zafakturowania! To jego cel. Suma jego faktur za ubiegły rok wyniosła tylko siedemset tysięcy, ale miał w tamtym czasie pewne kłopoty osobiste. Firmie jest obojętne, czy Mitch będzie przychodził do pracy o szóstej rano, czy o dziewiątej, byle wszystko było zrobione.

— O której otwierają drzwi? — zapytał Mitch.

To nie ma znaczenia, wyjaśnił Avery, bo każdy ma klucze i może przychodzić, o której chce. Budynek jest pod ścisłą ochroną, ale strażnicy przywykli do pracoholików i zwyczajnie niektórych pracowników przeszły do legendy. Na przykład Victor Milligan za młodu pracował po szesnaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu i trochę odpuścił dopiero, gdy został współnikiem. Najpierw przestał przychodzić w niedziele, potem przeszedł atak serca i zrezygnował z sobót. Następnie lekarz kazał mu

ograniczyć pracę do dziesięciu godzin i pięciu dni w tygodniu i Milliganowi odebrało to całą radość życia. Marty Kozinski znał wszystkich portierów po imieniu. Należał do tych, którzy lubią zjeść śniadanie z dziećmi i przychodził dopiero na dziewiątą, ale potem siedział do dwunastej w nocy. Nathan Locke twierdzi, że źle mu się pracuje w obecności sekretarek, i przychodzi na szóstą. Późniejsze przyjęcie uważa za dyshonor. Ma sześćdziesiąt jeden lat, dziesięć milionów na koncie i pracuje codziennie od szóstej rano do dwudziestej od poniedziałku do piątku i pół dnia w soboty. Gdyby mu kazali przejść na emeryturę, chyba by umarł.

Nikt nie podbija karty przy wejściu i wyjściu, wyjaśnił patron, możesz przychodzić i wychodzić, kiedy ci się podoba. Byle wszystko zostało zrobione.

Mitch zapewnił, że doskonale to rozumie. W jego przypadku szesnaście godzin dziennie nie będzie niczym nadzwyczajnym.

Avery pochwalił jego nowy garnitur. W firmie obowiązuje niepisany kod ubraniowy i widać Mitch zdążył już go poznać. Avery ma krawca w południowym Memphis, starego Koreańczyka, którego serdecznie Mitchowi poleca, gdy tylko będzie go na niego stać. Bierze tysiąc pięćset od garnituru. Mitch powiedział, że jeszcze poczeka rok lub dwa.

Do stolika poszedł prawnik z jednej z większych kancelarii w mieście i wdał się w rozmowę z Averym. Złożył kondolencje i spytał o rodziny ofiar. W zeszłym roku on i Joe Hodge pracowali razem nad jedną sprawą i nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Avery przedstawił go Mitchowi. On też był na pogrzebie, powiedział. Czekali, żeby już sobie poszedł, ale prawnik nie przestawał rozwodzić się nad tym, jak bardzo mu przykro. Widać było, że chce z nich wyciągnąć jakieś szczegóły, ale Avery niczego nie zdradził i facet w końcu sobie poszedł.

Około czternastej lunch dobiegł końca i sala opustoszała. Avery podpisał

czek i kierownik sali odprowadził ich do windy. Szofer cierpliwie czekał oparty o tył limuzyny. Mitch wsunął się do środka i zapadł w miękkie skórzane poduszki. Po drodze przyglądał się mijanym budynkom, samochodom i pieszym na chodnikach. Ilu z nich jechało kiedyś limuzyną i ilu jadło lunch w klubie Manhattan? I ilu za dziesięć lat zostanie milionerami? Pomyślał z uśmiechem, że jemu się udało. Harvard został miliony kilometrów stąd. W dodatku nie ma już studenckich długów. Kentucky to inny świat. Przeszłość odchodzi w niepamięć. Zaczyna nowe życie.

• • •

Dekoratorka już czekała w biurze. Avery zostawił ich, polecając Mitchowi, żeby za godzinę zjawił się u niego, bo trzeba zabrać się do pracy. Dekoratorka przysłała uzbrojona w katalogi mebli i wzorniki wszystkiego, co potrzebne w biurze. Mitch wysłuchał jej propozycji, starając się okazywać zainteresowanie, po czym oświadczył, że ma zaufanie do jej gustu i zaakceptuje wszystko, co dla niego wybierze. Podobało jej się solidne biurko w kolorze wiśniowym bez szuflad, fotel z wysokim oparciem i obiciem z ciemnoczerwonej skóry i bardzo drogi orientalny dywan. Mitch zapewnił ją, że jest zachwycony.

Gdy wyszła, usiadł za starym biurkiem, które jego zdaniem wyglądało całkiem przyzwoicie i najzupełniej by mu wystarczyło, tyle że jako używane nie było dość dobre dla nowego prawnika w firmie Bendini, Lambert i Locke. Pokój miał cztery i pół na cztery i pół metra i dwa wychodzące na północ okna o wysokości metr osiemdziesiąt, przez które można było zajrzeć do pomieszczeń na pierwszym piętrze sąsiedniego budynku. Widok nie był zbyt atrakcyjny, ale wyciągnąwszy szyję, Mitch mógł na północnym zachodzie dojrzeć skrawek rzeki. Ściany wewnętrzne z płyt gipsowych były



nagie i zawisnąć na nich miało kilka obrazków dobranych przez dekoratorkę. Mitch zdecydował, że jego Ściana Chwały znajdzie się naprzeciwko biurka, za fotelami dla gości. Trzeba będzie oprawić w ramki i powiesić jego dyplomy i wyróżnienia. Jak na szeregowego pracownika biuro było przestronne. Na pewno dużo większe od klitek, w których upychano młodych pracowników w Nowym Jorku i Chicago. Na parę lat wystarczy. Potem przeniesie się do gabinetu z lepszym widokiem, a następnie do jednej z narożnych siedzib władzy.

Do drzwi zapukała kobieta, która przedstawiła się jako Nina Huff, sekretarka. Była przysadzistą niewiastą w wieku około czterdziestu pięciu lat i jeden rzut oka wystarczył, by zrozumieć, dlaczego wciąż jest niezamężna. Widać było, że nie mając rodziny na utrzymaniu, większość pieniędzy może wydawać na ciuchy i kosmetyki, ale niewiele to zmieniało. Mitchowi przyszło do głowy, że lepiej by zrobiła, wydając je na trenera od fitnessu. W pierwszych słowach poinformowała go, że w firmie pracuje już osiem i pół roku i wszystkie procedury biurowe ma w małym palcu, więc może się do niej zwracać z wszelkimi pytaniami. Mitch jej podziękował. Ostatnio była oddelegowana do hali maszyn jako jedna z maszynistek i z radością powitała możliwość powrotu do obowiązków osobistej sekretarki. Mitch pokiwał ze zrozumieniem głową, jakby to było oczywiste. Spytała, czy umie posługiwać się dyktafonem. Odparł, że tak, bo tak się złożyło, że rok wcześniej miał praktykę w dużej trzystuosobowej firmie na Wall Street, wyposażonej we wszelkie najnowsze gadzety biurowe. Obiecał jednak, że jeśli napotka jakiegokolwiek trudności, zwróci się do niej o pomoc.

— Jak ma na imię pańska żona? — spytała.

— A dlaczego to ważne?

— Bo gdy zadzwoni, chciałabym znać jej imię, żebym mogła być dla niej miła i ciepła.

— Abby.

— Jaką kawę pan lubi?

— Czarną, ale sam będę sobie parzył.

— Nie mam nic przeciwko podawaniu panu kawy. To należy do moich obowiązków.

— Będę to robił sam — powtórzył Mitch.

— Wszystkie sekretarki to robią.

— Jeśli dotknie pani mojej kawy, dopilnuję, żeby odesłano panią do lizania znaczków w biurze korespondencji.

— Mamy automat do zwilżania znaczków. Na Wall Street wciąż jeszcze je liżą?

— Tak mi się tylko powiedziało.

— No cóż, zapamiętałam imię pańskiej żony i uzgodniliśmy kwestię kawy, więc chyba mogę zaczynać.

— Proszę się zgłosić jutro rano. Punktualnie o ósmej trzydzieści.

— Tak jest, szefie. — Sekretarka wyszła i Mitch uśmiechnął się w duchu. Rzeczywiście przemądrzała z niej osóbką, ale chyba będzie nieźle.

Potem przyszedł Lamar. Był już spóźniony na spotkanie z Nathanem Locke'em, ale mimo to chciał zajrzeć i upewnić się, czy u przyjaciela wszystko w porządku. Ucieszyło go, że ich gabinety są tak blisko siebie. Jeszcze raz przeprosił za nieudany wieczór w czwartek. Tak, wpadną z Kay i dziećmi o dziewiętnastej, żeby obejrzeć ich dom i nowe meble.

• • •

Hunter Quin miał pięć lat, jego siostra Holly siedem. Z nienagannymi manierami zjedli spaghetti przy lśniącym nowością stole, zupełnie ignorując toczące się przy nim rozmowy dorosłych. Zerkając na dzieci, Abby widziała oczyma duszy swoje własne. Mitch pomyślał, że są fajne, ale specjalnie go to

nie obeszło. Ważniejsze były opowieści o tym, co się dziś wydarzyło w biurze.

Panie skończyły jeść i odeszły od stołu, by obejrzeć resztę mebli i porozmawiać o ich rozstawieniu. Dzieci zabrały Plotka i pobiegły do ogrodu.

— Trochę mnie dziwi, że przydzielili cię Tollesonowi — powiedział Lamar, wycierając usta.

— Dlaczego?

— O ile wiem, nigdy dotąd nikogo nie nadzorował.

— Z jakiegoś konkretnego powodu? — zainteresował się Mitch.

— Chyba nie. To świetny facet, ale bardziej solista niż gracz zespołowy. Taki trochę odludek. Woli pracować sam. W jego małżeństwie coś się dzieje i mówi się, że są z żoną w separacji. Ale z nikim o tym nie rozmawia.

Mitch odsunął talerz i wziął szklankę z mrożoną herbatą.

— A jaki z niego prawnik? — zapytał.

— Och, doskonały. Wszyscy, którzy zostają wspólnikami, są bardzo dobrzy. Wielu jego klientów to bogacze, którzy mają miliony do ukrycia w schronach podatkowych. Zakłada dla nich spółki z o.o. Niektóre z jego schronów są dość ryzykowne, ale Tolleson znany jest z tego, że lubi ryzyko i potem użera się z urzędem skarbowym. Większość z jego klientów to zawzięci ryzykanci. Będziesz miał mnóstwo pracy, wynajdując sposoby, jak nagiąć przepisy podatkowe. Nie będziesz się nudził.

— Przez pół lunchu pouczał mnie o pilnowaniu fakturowania.

— Bo to bardzo ważne — podkreślił Quin. — Wiecznie cisną, żeby więcej fakturować. Naszym towarem jest nasz czas. Gdy zdasz egzamin adwokacki, twoje fakturowanie będzie co tydzień dokładnie kontrolowane przez Tollesona i McKnighta. Wszystko mają w komputerze i mogą wiedzieć co do grosza, czy jesteś wystarczająco wydajny. Przez pierwsze sześć

miesiące będą oczekiwali faktur za trzydzieści do czterdziestu godzin tygodniowo, potem przez następne dwa lata na poziomie pięćdziesięciu godzin. Żeby mogli rozważyć twój awans na wspólnika, będziesz musiał systematycznie przez kilka lat fakturować minimum sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Żaden aktywny wspólnik nie fakturuje mniej niż za sześćdziesiąt godzin, z czego większość po maksymalnej stawce.

— To kupa godzin — mruknął Mitch.

— To tylko tak wygląda. Większość dobrych prawników potrafi fakturować dwanaście godzin, pracując tylko przez osiem czy dziewięć. Nazywa się to dmuchaniem faktur. Może to niezbyt eleganckie wobec klienta, ale wszyscy tak robią. Na dmuchanych fakturach zbudowano wielkie firmy prawnicze. To powszechna praktyka.

— Niezbyt etyczna.

— Podobnie jak nieetyczne jest gonienie karetki przez adwokata. Nieetyczne jest przyjmowanie honorarium w gotówce od oskarżonego o handel narkotykami, jeśli obrońca podejrzewa, że pieniądze mogą pochodzić z przestępstwa. Mnóstwo rzeczy można uznać za nieetyczne. A co powiesz o lekarzu Medicare, który przyjmuje stu pacjentów dziennie? Albo o takim, który dokonuje zbędnego zabiegu chirurgicznego? Wśród najbardziej nieetycznych ludzi znalazłoby się wielu moich klientów. Nie mam skrupułów, jeśli chodzi o dmuchanie faktur dla klienta multimilionera, który chce wydymać państwo i zatrudnia cię do zrobienia tego zgodnie z przepisami. Wszyscy tak robimy.

— Uczą tego?

— Nie. Sam do tego dochodzisz. Zaczynasz od tego, że pracujesz jak wariat przez niewiadomo ile godzin, aż w końcu uznajesz, że na dłuższą metę tak się nie da. No i zaczynasz chodzić na skróty. Wierz mi, Mitch, po roku pracy u nas będziesz wiedział, jak pracować dziesięć godzin dziennie, a

fakturować za dwadzieścia. To coś w rodzaju szóstego zmysłu, jaki prawnicy w sobie wykształcają.

— Co jeszcze w sobie wykształcę?

Lamar zamyślił się na moment i słychać było tylko brzęk kostek lodu w jego szklance.

— Pewną dozę cynizmu — powiedział wreszcie. — To idzie w parze z tą pracą. Na studiach miałeś głowę pełną szczytnych ideałów, jak prawnik powinien postępować. Że powinien być herosem w walce o prawa jednostki, strażnikiem konstytucji, obrońcą uciśnionych, wzorem do naśladowania. A po pół roku pracy dochodzisz do wniosku, że jesteś tylko rewolwerowcem do wynajęcia. Tubą mogącą służyć każdemu oszustowi i łajdakowi, byle tylko miał wystarczająco dużo forsy, by zapłacić nasze niebotyczne stawki. Nic cię już nie szokuje. Prawnik to niby szlachetna profesja, ale w pracy stykasz się z tak wieloma nieuczciwymi prawnikami, że po jakimś czasie jesteś gotów machnąć ręką i znaleźć sobie uczciwsze zajęcie. Tak, Mitch, wykształcisz w sobie cynizm. I to jest bardzo smutne.

— Chyba nie powinieneś mi tego mówić na tym etapie mojej kariery.

— Pieniądze ci to zrekompensują. To zdumiewające, z jaką harową człowiek jest w stanie się uporać za dwieście tysięcy rocznie.

— Harową? Przedstawiasz to w czarnych barwach.

— Przepraszam. Nie jest aż tak źle. To moje podejście do życia uległo w ostatni czwartek gwałtownej zmianie.

— Chcesz obejrzeć dom? — spytał Mitch. — Jest naprawdę cudowny.

— Może innym razem. Lepiej pogadajmy.

## Rozdział 6

Budzik na nowym nocnym stoliku pod nową lampką eksplodował o piątej rano i został natychmiast wyłączony. Mitch powlókł się po pograżonym w ciemnościach domu i natknął na Plotka siedzącego pod drzwiami do ogrodu. Wypuścił go i poszedł pod prysznic. Dwadzieścia minut później cmoknął opatuloną kołdrą żonę, która nawet się nie obudziła.

Dojazd do biura pustymi o tej porze ulicami zajął mu niecałe dziesięć minut. Zdecydował, że będzie zaczynał pracę o piątej trzydzieści tak długo, jak długo ktoś go nie wyprzedzi. Wtedy zacznie przyjeżdżać na piątą lub czwartą trzydzieści, lub na obojętnie którą, byle być w biurze przed wszystkimi. Sen to zawracanie głowy. Będzie pierwszym prawnikiem wchodzącym do Domu Bendiniego dziś i codziennie, aż do chwili awansu na wspólnika. Jeśli inni do osiągnięcia tego potrzebują dziesięciu lat, on to zrobi w siedem. Podjął decyzję, że zostanie najmłodszym wspólnikiem w historii firmy.

Sąsiadująca z Domem Bendiniego pusta działka była ogrodzona trzymetrowym płotem z siatki, przez którą wypatrzył miejsce parkingowe ze swoim nazwiskiem napisanym białym sprayem. Zatrzymał się przed zamkniętą bramą i po chwili z ciemności wyłonił się umundurowany strażnik i podszedł do drzwi auta. Mitch nacisnął przycisk, opuścił szybę i pokazał zafoliowaną przepustkę ze swoim zdjęciem.

— Pan pewno jesteś ten nowy — powiedział strażnik, biorąc przepustkę do ręki.

— Tak. Mitch McDeere.

— Umiem czytać. Mogłem się kapnąć po samochodzie.

— A ty jak się nazywasz? — spytał Mitch.

— Dutch Hendrix. Trzydzieści trzy lata w policji Memphis.

— Miło cię poznać, Dutch.

— No. Mnie też. Ranny z pana ptaszek, co?

Mitch uśmiechnął się i odebrał przepustkę.

— Nie. Sądziłem, że już wszyscy będą w pracy.

Dutch przywołał na twarz grymas udający uśmiech.

— Nie, pan jesteś pierwszy. Ale pewno niedługo przyjedzie pan Locke.

Brama się otworzyła i strażnik wpuścił go do środka. Mitch odszukał miejsce ze swoim nazwiskiem i zaparkował nieskazitelnie czyste bmw w trzecim rzędzie od budynku. Poza nim na parkingu nie było innego samochodu. Wziął z tylnego siedzenia wiśniową aktówkę z wężowej skóry i delikatnie zamknął drzwi samochodu. Wyjścia z parkingu pilnował inny strażnik, Mitch znów się wylegitymował i odczekał, aż strażnik mu otworzy. Spojrzał na zegarek. Dokładnie piąta trzydzieści. Z satysfakcją uznał, że to wystarczająco wczesna godzina. Reszta pracowników jest jeszcze pogrążona we śnie.

Zapalił światło w swoim biurze, położył aktówkę na tymczasowym biurku i ruszył korytarzem w stronę pomieszczenia gospodarczego, zapalając po drodze światła. Maszyna do parzenia kawy była ogromna, miała kilka przycisków, kilka tacek, kilka dzbanków i żadnej instrukcji obsługi. Wsypał porcję zmielonej kawy do pojemnika z filtrem i przez chwilę studiował urządzenie. W końcu nalał wodę do jednego z otworów na górze i uśmiechnął się z satysfakcją, gdy we właściwym miejscu zaczął skapywać brunatny płyn.

W kącie jego gabinetu leżały trzy kartony pełne książek, segregatorów, notatników i brulionów z notatkami stanowiących plon minionych trzech lat.

Dźwignął pierwszy z brzegu, postawił na biurku i zaczął opróżniać. Zawartość została podzielona na kategorie i rozłożona na kupki na całym biurku.

Po drugiej kawie natrafił w kartonie numer trzy na materiały do egzaminu adwokackiego. Podszedł do okna i rozsunął zasłony. Na dworze wciąż było ciemno. Nawet nie zauważył, że ktoś stanął w otwartych drzwiach.

— Dzień dobry!

Mitch gwałtownie odwrócił się od okna i wbił wzrok w stojącą w drzwiach postać.

— Ale mnie pan przestraszył — sapnął i głęboko zaczerpnął powietrza.

— Przepraszam. Nathan Locke. Chyba się jeszcze nie znamy.

— Nazywam się Mitch McDeere i jestem nowym pracownikiem.

Podali sobie ręce.

— Tak, wiem. Przepraszam, że wcześniej pana nie powitałem. Podczas pańskiej poprzedniej wizyty byłem zajęty. Ale chyba widziałem pana na pogrzebach w poniedziałek.

Mitch skinął głową. Był pewny, że nigdy wcześniej nie znalazł się mniej niż sto metrów od Nathana Locke'a, boby go zapamiętał. Szczególnie jego oczy, zimne i czarne, otoczone fałdami ciemnej pomarszczonej skóry. Niezwykłe oczy. Oczy, których się nie zapomina. Włosy miał śnieżnobiałe, lekko przerzedzone na czubku głowy, gęściejsze przy uszach. Biel włosów ostro kontrastowała z ciemną karnacją. Gdy mówił, oczy mu się zwężyły i czarne źrenice połyskiwały złowrogo. Straszne, złowieszcze, wszystkowidzące oczy.

— Być może — powiedział Mitch, nie mogąc oderwać wzroku od najposępniejszej twarzy, jaką kiedykolwiek widział. — Być może.

— Widzę, że z pana ranny ptaszek.

— Tak, proszę pana.



— No cóż, cieszę się, że pan do nas dołączył.

Nathan Locke wycofał się i rozpląnął w mroku. Mitch wyjrzał na korytarz i zamknął drzwi. Nic dziwnego, że trzymają go na trzecim piętrze z dala od innych, pomyślał. Było dla niego jasne, dlaczego nie doszło do spotkania z Nathanem Locke'em przed podpisaniem kontraktu. Na jego widok mógłby się zawahać. Zapewne ukrywano go przed potencjalnymi kandydatami. Bez wątpienia był człowiekiem roztaczającym wokół siebie najbardziej złowieszczą aurę, jaką Mitch kiedykolwiek czuł. Głównie przez te jego oczy, powtórzył w myślach, kładąc nogi na biurku i upijając łyk kawy. Te jego straszne oczy.

• • •

Tak jak przypuszczał, Nina, która zjawiała się w pracy punktualnie o ósmej trzydzieści, przyniosła coś do jedzenia. Zaproponowała Mitchowi pączka, a on wziął od razu dwa. Spytała, czy ma co rano przynosić mu coś na drugie śniadanie i Mitch powiedział, że byłoby miło.

— A to co? — zapytała, wskazując sterty segregatorów na jego biurku.

— To nasze zadanie na dziś. Musimy to razem uporządkować.

— Nie będzie dyktowania?

— Jeszcze nie. Za parę minut spotykam się z Averym. Chciałbym ułożyć ten bałagan w jakim takim porządku.

— Ekscytujące zadanie — mruknęła Nina, ruszając w stronę pomieszczenia gospodarczego.

Avery Tolleson czekał na niego z grubym harmonijkowym segregatorem, który od razu mu wręczył.

— To dokumentacja Cappsa. Część z niej. Nasz klient nazywa się Sonny Capps. Obecnie mieszka w Houston, ale pochodzi z Arkansas. Jest wart około trzydziestu milionów i każdego grosza pilnuje jak oka w głowie. Jego

ojciec tuż przed śmiercią przekazał mu kilka starych barek, a on zbudował z nich największą firmę transportu rzeczno-żeglarskiego na Missisipi. Teraz jego statki... czy łodzie, jak je nazywa... pływają po całym świecie. Zajmujemy się obsługą prawną osiemdziesięciu procent jego interesów. Praktycznie wszystkim poza występowaniem przed sądem w sprawach cywilnych. Zamierza powołać do życia kolejną spółkę, która ma odkupić flotę tankowców od rodziny zmarłego chinola z Hongkongu. Zwykle Capps jest w takich przypadkach głównym udziałowcem, ale za każdym razem dobiera po dwudziestu paru współników, co pozwala mu rozłożyć ryzyko i zebrać kapitał. Wartość transakcji wyniesie około sześćdziesięciu pięciu milionów. Zakładałem już dla niego kilka spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, każda była inna i każda bardzo skomplikowana. On sam też jest bardzo trudny we współpracy. To perfekcjonista, który uważa, że wszystko wie lepiej ode mnie. Nie będziesz miał z nim bezpośredniej styczności. Właściwie nikt z firmy z nim nie rozmawia poza mną. W tej teczce znajduje się część dokumentacji najnowszej spółki, którą dla niego przygotowałem. Między innymi prospekt całego przedsięwzięcia, umowa przystąpienia do spółki, wzory listów intencyjnych, wzory oświadczeń o stanie majątkowym i wzór umowy spółki. Przeczytaj je od deski do deski i na tej podstawie opracuj dla mnie projekt umowy spółki dla tego konkretnego przedsięwzięcia.

Teczka nagle wydała się Mitchowi dużo cięższa. Może zacytowanie pracy o piątej trzydziści nie wystarczy?

— Według Cappsa potrzeba nam na to około czterdziestu dni, więc już jesteśmy do tyłu — dodał Tolleson. — Pomagał mi przy tej sprawie Marty Kozinski. Gdy tylko przeczytam jego opracowania, od razu ci je przekażę. Jakies pytania?

— A co z analizami?

— Większość analiz jest aktualna, ale część trzeba będzie uaktualnić. W ubiegłym roku Capps zarobił ponad dziewięć milionów i zapłacił od tego groszowy podatek. To wróg płacenia podatków i uważa, że jestem osobiście odpowiedzialny za każdego zapłaconego dolara. Oczywiście wszystko jest zgodne z przepisami, ale praca dla niego wiąże się z ogromnym stresem. Chodzi o miliony dolarów zainwestowanych i zaoszczędzonych na podatkach. Całej transakcji będą się przyglądać instytucje państwowe z co najmniej trzech krajów, więc bądź czujny.

Mitch przekartkował dokumenty.

— Ile godzin dziennie mam na to poświęcać?

— Tyle, ile trzeba. Wiem, że masz na głowie egzamin i że to dla ciebie ważne, ale Sonny Capps jest równie ważny. Tylko w ubiegłym roku zapłacił nam blisko pół miliona dolarów za obsługę prawną.

— Poradzę sobie.

— Wiem. Jak już wspominałem, twoja stawka to sto dolarów za godzinę. Nina przejrzy dziś z tobą rejestry czasowe. I pamiętaj, nie zanedbuj fakturowania.

— Jakżebyś śmiał.

• • •

Oliver Lambert i Nathan Locke stali przed metalowymi drzwiami na czwartym piętrze i patrzyli w umieszczoną nad nimi kamerę. Coś głośno pstryknęło i drzwi odskoczyły. Strażnik kiwnął głową na powitanie. DeVasher czekał w swoim biurze.

— Dzień dobry, Ollie — powiedział, ignorując obecność drugiego wspólnika seniora.

— Jakieś wiadomości? — burknął Locke, nie patrząc na niego.

— Skąd? — zapytał spokojnie DeVasher.

— Z Chicago.

— Są zaniepokojeni, Nat. Możesz myśleć, co chcesz, ale oni tam nie lubią brudzić sobie rąk. I szczerze mówiąc, nie rozumieją, dlaczego mieliby to robić.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zadają twarde pytania w rodzaju: „Dlaczego nie umiemy utrzymać ludzi w ryzach?”.

— I co im odpowiadasz?

— Że wszystko jest w porządku. Wspaniale. Że w wielkiej firmie Bendiniego nic złego się nie dzieje. Że przecieki zostały uszczelnione. Że interesy idą po staremu. Żadnych problemów.

— Jak wielkie szkody nam wyrządzili? — chciał wiedzieć Oliver Lambert.

— Tego nie wiemy. I nigdy nie będziemy wiedzieli, ale nie sądzę, żeby zaczęli mówić. Z pewnością zdecydowali się mówić, ale sądzę, że jeszcze nie zaczęli. Wiemy z pewnego źródła, że w dniu wypadku agenci FBI byli już w drodze na wyspę, więc sądzimy, że nasi umówili się na spotkanie i mieli zamiar zacząć gadać.

— Skąd to wiesz? — zapytał Locke.

— Daj spokój, Nat. Mamy swoje źródła. Nie mówiąc o tym, że na wyspie też byli nasi ludzie. Robimy, co do nas należy.

— Na to wygląda.

— Był jakiś smród?

— Nie. Wszystko odbyło się bardzo profesjonalnie — zapewnił DeVasher.

— Skąd się wziął ten miejscowy?

— Musieliśmy zachować pozory, Ollie.

— A co z tamtejszymi władzami?

— Jakimi władzami? To mała spokojna wysepka. Przez cały ubiegły rok mieli jedno morderstwo i cztery wypadki podczas nurkowania. Dla nich to po prostu kolejny wypadek. Trzy przypadkowe utonięcia.

— A co na to FBI? — zainteresował się Locke.

— Nie wiem.

— Myślałem, że mamy swoje źródło.

— Mamy, ale nie możemy go złapać. Do wczoraj nie mieliśmy żadnych wiadomości. Nasi ludzie wciąż są na wyspie, nie zauważyli jednak niczego niepokojącego.

— Jak długo tam zostaną?

— Dwa tygodnie.

— A jeśli pojawi się tam FBI? — zaniepokoił się Locke.

— Będziemy deptali im po piętach. Namierzemy ich od razu przy wyjściu z samolotu — zapewnił DeVasher. — Pojedziemy za nimi do hotelu. Może nawet założymy podsłuch w telefonach hotelowych. Będziemy wiedzieli, co jedzą na śniadanie i o czym rozmawiają. Każdemu ich człowiekowi przydzielimy trzech naszych i będziemy wiedzieli o ich każdym pójściu do toalety. Niczego tam nie znajdą, Nat. Jak już mówiłem, to była czysta, bardzo profesjonalna robota. Żadnych śladów. Spokojnie.

— Niedobrze mi się robi, gdy tego słucham, DeVasher — prychnął Lambert.

— Myślisz, Ollie, że mnie się to podoba? Ale co, twoim zdaniem, mamy robić? Usiąść bezczynnie i pozwolić, żeby zaczęli sypać? Daj spokój, wszyscy jesteśmy ludźmi. Wcale nie chciałem tego robić, ale Lazarov kazał się tym zająć. Ci faceci mieli złe zamiary. Powinni byli siedzieć cicho, jeździć szpanerskimi autami i odgrywać ważnych prawników. Ale nie, zachciało im się udawać świętoszków.

Nathan Locke zapalił papierosa i wydmuchnął obłok dymu w stronę

DeVashera. Wszyscy trzej zamilkli, obserwując, jak dym płoży się po biurku. DeVasher wbił wściekłe spojrzenie w Czarnookiego, ale przemilczał zniewagę.

Oliver Lambert wstał i spojrzał na pustą ścianę obok drzwi.

— Po co chciałeś się z nami widzieć? — zapytał.

DeVasher zaczerpnął powietrza.

— Chicago chce, żebyśmy założyli pluskwy we wszystkich domach niewspólników.

— Mówiłem ci. — Lambert spojrzał znacząco na Locke'a.

— To nie mój pomysł, ale oni się upierają. Są bardzo przejęci i chcą się dodatkowo zabezpieczyć. Trudno im się dziwić.

— Nie sądzisz, że to idzie trochę za daleko? — syknął Lambert.

— Tak, to zupełnie zbyteczne. Tylko Chicago uważa inaczej.

— Kiedy? — spytał Locke.

— W przyszłym tygodniu. Zajmie nam to parę dni.

— U wszystkich?

— Tak. Tak sobie zażyczyli.

— Nawet u McDeere'a?

— Tak. Nawet u McDeere'a. Myślę, że Tarrance znów spróbuje i tym razem może zacząć od cienkiego końca.

— Spotkałem McDeere'a dziś rano — poinformował Locke. — Był tu przede mną.

— O piątej trzydzieści dwie — uściślił DeVasher.

• • •

Pamiętki ze studiów wylądowały na podłodze i na biurku została rozłożona zawartość segregatora Capps'a. Wracając z lunchu, Nina przyniosła kanapkę z sałatką z kurczaka i Mitch zjadł ją, nie przerywając czytania, ona

zaś zajęła się sortowaniem śmietnika na podłodze. Krótco po trzynastej zjawił się Wally Hudson — lub oficjalnie J. Walter Hudson, jak prezentował go nagłówek na papierze firmowym — by zapoczątkować serię konsultacji do egzaminu. Jego specjalnością były kontrakty. Pracował w firmie od pięciu lat i był w niej jedynym prawnikiem z Wirginii, co wydawało się Mitchowi dość dziwne, jako że w stanie tym istniała najlepsza jego zdaniem szkoła prawnicza w kraju. Hudson ostatnie dwa lata poświęcił na opracowanie kursu powtórkowego do egzaminu z zakresu kontraktów i bardzo chciał go na kimś wypróbować. Trafiło na McDeere'a. Wręczył Mitchowi opasły skoroszyt o grubości co najmniej dziesięciu centymetrów i wadze porównywalnej z dokumentacją Capps'a.

Wally poinformował, że egzamin trwa cztery dni i składa się z trzech części. Pierwszego dnia napisze czterogodzinny test z etyki prawniczej. Specjalistą od etyki jest wspólnik Gill Vaughn, i to on będzie prowadził konsultacje z tej dziedziny. Drugiego dnia odbędzie się ośmiogodzinny egzamin zwany przez wszystkich wielostanowym, dotyczy bowiem większości dziedzin prawa wspólnego dla wszystkich stanów. To również jest test, a pytania bywają podchwytliwe. Dopiero potem zaczyna się prawdziwe obłężenie. W dniach trzecim i czwartym odbywają się ośmiogodzinne egzaminy z piętnastu dziedzin prawa materialnego, obejmujące kontrakty, Kodeks handlowy, obrót nieruchomościami, delikty cywilnoprawne, stosunki rodzinne, testamenty i spadki, podatki, wynagrodzenia za pracę, prawo konstytucyjne, federalną procedurę sądową, procedurę karną, korporacje, spółki, ubezpieczenia i relacje dłużnik—wierzyciel. Odpowiedzi muszą mieć postać pisemnych opracowań, a w pytaniach nacisk kładziony jest na prawo stanu Tennessee. Firma oferuje konsultacje ze wszystkich piętnastu dziedzin.

— Masz na myśli piętnaście takich jak to? — zapytał Mitch, wążąc

w ręku skoroszyt.

— Tak — odparł Wally z uśmiechem. — Jesteśmy bardzo skrupulatni. Jeszcze nikt z tej firmy nie oblał...

— Wiem, wiem. Nie będę pierwszy.

— Przez następne sześć tygodni będziemy się spotykali co najmniej raz w tygodniu i wspólnie przerabiali materiał. Każde nasze spotkanie potrwa około dwóch godzin, więc możesz sobie wszystko dokładnie rozplanować. Proponuję środy o piętnastej.

— Nie ma sprawy.

— Jak wiesz, kontrakty i Kodeks handlowy są ze sobą ściśle powiązane i dlatego w materiałach znajdziesz też uwagi dotyczące JKH. Przerobimy oba tematy, ale zajmie nam to więcej czasu. Na typowym egzaminie adwokackim jest mnóstwo pytań z dziedziny transakcji handlowych. Te problemy występują w wielu opracowaniach, dlatego ten skoroszyt będzie dla ciebie bardzo ważny. Zawarłem w nim pytania z poprzednich egzaminów i modelowe odpowiedzi. To fascynująca lektura.

— Nie mogę się doczekać — mruknął Mitch.

— Przerób pierwsze osiemdziesiąt stron na nasze następne spotkanie. Natkniesz się na szereg pytań, które będą wymagały pisemnych odpowiedzi.

— Masz na myśli pracę domową?

— Oczywiście. Ocenę ją w przyszłym tygodniu. To bardzo ważne, żebyś co tydzień ćwiczył odpowiedzi na pytania — podkreślił Hudson.

— To się może okazać gorsze od nauki w szkole.

— Na pewno ważniejsze. Podchodzimy do tego bardzo poważnie. Mamy w firmie komisję, która od teraz aż do przystąpienia do egzaminu będzie na bieżąco monitorować twoje postępy. Będziemy cię uważnie obserwowali.

— Kto jest w tej komisji?

— Ja, Avery Tolleson, Royce McKnight, Randall Dunbar i Kendall



Mahan. Będziemy się spotykali co piątek i oceniali twoje postępy.

Wally wyjął mały notes i położył go na stole.

— To będzie twój dzienny plan zajęć. Masz do niego wpisywać liczbę godzin spędzonych codziennie na przygotowaniach do egzaminu i przerabiane tematy. Będę go zabierał co piątek na zebranie komisji. Masz jakieś pytania?

— Nic mi nie przychodzi do głowy — powiedział Mitch, kładąc notes na teczce z dokumentacją Capps'a.

— Doskonale. Do zobaczenia w środę o piętnastej.

Nie minęło dziesięć sekund, a do biura Mitcha wkroczył Randall Dunbar, dzierżąc pod pachą skoroszyt łudzaco podobny do tego, który zostawił Hudson. Dokładnie mówiąc, był identyczny, tylko nie taki gruby. Dunbar był szefem sekcji nieruchomości i to on prowadził w maju sprawę sprzedaży i kupna domu McDeere'a. Wręczył mu skoroszyt zatytułowany *Prawo własności nieruchomości* i podkreślił, że jego specjalność stanowi najistotniejszą część egzaminu. Wszystko sprowadza się do własności, wyjaśnił. Oświadczył, że materiały zawarte w skoroszycie stanowią plon jego wytężonej pracy na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, i wyznał, że często zastanawiał się nad wydaniem ich w formie książki, która stałaby się źródłową publikacją z zakresu prawa własności i handlu nieruchomościami. Do omówienia tej tematyki będzie potrzebował co najmniej godziny tygodniowo, najchętniej we wtorki po południu. Potem jeszcze przez godzinę rozwodził się o tym, jak zupełnie inaczej wyglądał ten egzamin w czasach, kiedy on go zdawał.

Kendall Mahan wprowadził pewne novum, bo chciał się spotykać w soboty rano. Możliwie wcześnie, powiedzmy o siódmej trzydzieści.

— Nie ma problemu — zapewnił go Mitch, odbierając kolejny skoroszyt i kładąc go obok poprzednich. Ten dotyczył prawa konstytucyjnego, które

było konikiem Kendalla, ale którego znajomość, jak sam przyznał, rzadko wykorzystywał w praktyce. Stanowiło ono jednak najważniejszą część egzaminu, a przynajmniej tak było, gdy sam go zdawał pięć lat wcześniej. Będąc na ostatnim roku, opublikował w „Columbia Law Review” artykuł na temat uprawnień wynikających z Pierwszej Poprawki i w załączonych materiałach znajduje się przedruk tego tekstu, w razie gdyby Mitch chciał się z nim zapoznać. Mitch zapewnił go, że zrobi to niezwłocznie.

Procesja gości ciągnęła się przez niemal całe popołudnie i Mitch odniósł wrażenie, że przez jego pokój przewinęła się połowa pracowników firmy z różnego rodzaju notatnikami, zadaniami domowymi i propozycjami cotygodniowych konsultacji. Co najmniej sześciu z nich wspomniało, że jeszcze nigdy żaden pracownik firmy nie oblał egzaminu adwokackiego.

Gdy sekretarka odmeldowała się o siedemnastej, jego niewielkie biurko było zavalone taką ilością materiałów do egzaminu, że wystarczyłoby ich dla dziesięcioosobowej firmy. Mitch nie był w stanie wydusić słowa i tylko pożegnał Ninę kiwnięciem głowy i wrócił do studiowania prawa kontraktowego w wersji Wally'ego. Godzinę później przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby coś zjeść, i dopiero wtedy, po raz pierwszy od dwunastu godzin, pomyślał o Abby. Zadzwoił do domu.

— Jeszcze nieprędko wrócę — oznajmił.

— Ale ja szykuję kolację.

— Zostaw moją porcję na kuchni — odparł odrobinę oprysk liwie.

Zapadło milczenie i dopiero po chwili Abby spytała: „O której będziesz?”, wymawiając słowa wolno i wyraźnie.

— Za parę godzin.

— Za parę godzin? Siedzisz tam już prawie cały dzień.

— Wiem. I mam jeszcze mnóstwo do zrobienia.

— To dopiero twój pierwszy dzień.

— Nie uwierzyłabyś, gdybym ci opowiedział.

— Dobrze się czujesz?

— W porządku. Będę później.

• • •

Szum uruchamianego silnika wyrwał Dutcha Hendrixa z drzemki i strażnik zerwał się na równe nogi. Brama się otworzyła i Hendrix stanął, patrząc, jak ostatni samochód opuszcza parking. Zatrzymał się koło niego.

— Dobry wieczór, Dutch — powiedział Mitch.

— Dopiero pan wyjeżdża?

— Miałem dużo spraw.

Dutch błysnął latarką na nadgarstek i zerknął na zegarek. Wpół do dwunastej.

— Tylko uważaj pan — mruknął.

— Jasne. Do zobaczenia za parę godzin.

Bmw skręciło w Front Street i popędziło w noc. Za parę godzin, pomyślał Dutch. Te żółtodzioby są naprawdę zdumiewające. Po osiemnaście, dwadzieścia godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu. Czasami siedem. Każdy chce zostać największym prawnikiem na świecie i od razu zarabiać miliony dolarów. Czasem nawet pracują na okrągło i tylko przedrzemią chwilę przy biurku. Wszystko to już widział. Ale długo nie wytrzymują. Ludzki organizm nie jest przystosowany do takiego traktowania. Po jakichś sześciu miesiącach uchodzi z nich para. Wtedy skracają pracę do piętnastu godzin dziennie i sześciu dni tygodniowo. Potem do pięciu i pół. Potem do dwunastu godzin dziennie.

Nikt nie da rady pracować sto godzin tygodniowo dłużej niż sześć miesięcy.

## Rozdział 7

Jedna z sekretarek grzebała w szafie na dokumenty w poszukiwaniu czegoś, co Avery'emu było natychmiast potrzebne, druga stała przed biurkiem z notatnikiem do stenografii, od czasu do czasu notując jego polecenia, gdy przestawał wrzeszczeć do słuchawki i zaczynał słuchać. Na telefonie migwały trzy czerwone lampki. Gdy znów zaczął mówić do słuchawki, sekretarki warknęły na siebie podniesionymi głosami. Mitch wszedł do gabinetu i zatrzymał się przy drzwiach.

— Cisza! — wrzasnął Avery na sekretarki.

Grzebiąca w szafie z hukiem zasunęła szufladę, przeszła do drugiej szafy i wysunęła najniższą szufladę. Avery pstryknął palcami na drugą sekretarkę i wskazał kalendarz na swoim biurku. Bez słowa pożegnania odłożył słuchawkę i wlepił wzrok w kobietę stojącą przed biurkiem.

— Co mam na dzisiaj? — burknął, sięgając po teczkę z dokumentami z podręcznej szafki.

— Dziesiąta, spotkanie w urzędzie skarbowym na mieście. Trzynasta, w gabinecie Nathana Locke'a w sprawie Spinosy. Piętnasta trzydzieści, zebranie wspólników. Jutro jest pan cały dzień w sądzie gospodarczym, dziś ma pan się przez cały dzień przygotowywać.

— Świetnie. Odwołaj wszystko i sprawdź loty do Houston. Wylot w sobotę po południu, powrót w poniedziałek. Wcześniej rano.

— Tak jest, proszę pana.

— Mitch! Gdzie jest dokumentacja Capps'a?

— Na moim biurku.

— Ile już zrobiłeś?

— Przeczytałem większość.

— Musimy wrzucić wyższy bieg. Właśnie dzwonił Sonny Capps. Chce się ze mną spotkać w niedzielę rano w Houston i dostać wstępny projekt umowy.

Mitch poczuł lekki skurcz w pustym żołądku. O ile dobrze pamiętał, umowa liczyła sto czterdzieści stron maszynopisu.

— Tylko wstępny projekt — zastrzegł Avery, wskazując sekretarkę.

— Nie ma sprawy — odrzekł Mitch, starając się, by jego deklaracja zabrzmiała w miarę przekonująco. — Może nie będzie bezbłędny, ale będę miał wstępny projekt.

— Muszę mieć w sobotę w południe na tyle bezbłędny, na ile to możliwe. Moja sekretarka pokaże Ninie, gdzie w banku pamięci znaleźć gotowce umów. To wam zaoszczędzi mnóstwo pisaniny. Wiem, że to nie fair, ale w sprawach Sonny'ego Capps'a nic nie jest fair. Ma straszne wymagania. Oświadczył, że musi zamknąć transakcję w ciągu dwudziestu dni, bo inaczej wszystko się rozleci. Czekają tylko na nas.

— Dopilnuję, żeby było zrobione na czas.

— To dobrze. Spotkajmy się o ósmej rano, żeby zobaczyć, na czym stoimy.

Avery nacisnął jeden z migających guzików i zaczął mówić coś do słuchawki.

Mitch wrócił do siebie i zabrał się do wygrzebywania dokumentacji Capps'a spod sterty piętnastu skoroszytów i notatników. W drzwiach stanęła Nina.

— Oliver Lambert pana prosi.

— Kiedy? — zapytał Mitch.

— Jak najszybciej.

Mitch spojrzął na zegarek. Trzy godziny w biurze, a on gotowy jest dać sobie na dzisiaj spokój.

— Może poczekać?

— Nie sędzę. Pan Lambert z reguły na nikogo nie czeka.

— Rozumiem.

— Lepiej niech pan idzie — poradziła Nina.

— Czego chce?

— Jego sekretarka nie powiedziała.

Mitch włożył marynarkę, poprawił krawat i wbiegł schodami na trzecie piętro, gdzie sekretarka Lamberta już na niego czekała. Przedstawiła się i poinformowała, że jest w firmie od trzydziestu jeden lat. Dokładnie mówiąc, była drugą w kolejności sekretarką zatrudnioną przez pana Bendiniego po jego przyjeździe do Memphis. Nazywała się Ida Renfroe, ale wszyscy nazywali ją panią Idą. Wprowadziła Mitcha do wielkiego gabinetu i wycofała się, zamykając za sobą drzwi.

Oliver Lambert wstał z za biurka i zdjął okulary do czytania. Uśmiechnął się ciepło i odłożył fajkę na mosiężną podstawkę.

— Dzień dobry, Mitch — powiedział. — Usiądźmy sobie tam. — Wskazał sofę. — Napijesz się kawy? — Mówił to wszystko takim tonem, jakby w ogóle mu się nie spieszyło.

— Nie, dziękuję.

Mitch zapadł się w miękkie poduszki, gospodarz usiadł na fotelu stojącym pół metra od sofy i o blisko metr nad nią górującym. Mitch rozpiął marynarkę i spróbował się rozluźnić. Założył nogę na nogę i spojrzął na swoje nowiutkie buty za dwieście dolców. Godzina pracy prawnika w tej fabryce pieniędzy. Rozluźnienie się nie było proste, bo miał w pamięci panikę w głosie Avery'ego i desperację w jego oczach, gdy tak stał ze słuchawką w ręku i słuchał potoku słów Capps'a. Mitch był w pracy drugi

dzień, a już łomotało mu w głowie i czuł ucisk w żołądku.

Lambert patrzył na niego z wysokości fotela z uśmiechem dobrotliwego dziadka. Widać nadeszła pora na wygłoszenie jakiegoś kazania. Miał na sobie olśniewająco białą bawełnianą koszulę i małą ciemną jedwabną muszkę, która nadawała mu wygląd dostojnego mędrca. Jak zwykle jego opalenizna wykraczała poza normalną ogorzałość przeciętnego mieszkańca Memphis, spalonego promieniami tutejszego letniego słońca. Na jej tle jego białe zęby lśniły niczym diamenty. Wyglądał jak sześćdziesięcioletni model.

— Tylko kilka spraw, Mitch — zagaił. — Rozumiem, że zważyło się na ciebie dość dużo zajęć.

— Tak, proszę pana, dość dużo.

— W dużej firmie prawniczej kryzysy są chlebem powszednim, a klienci w rodzaju Sonny'ego Cappsa mogą przyprawić o wrzody żołądka. Nasi klienci to nasze jedyne aktywa, więc się dla nich zabijamy.

Mitchowi udało się jednocześnie uśmiechnąć i zmarszczyć czoło.

— Dwie sprawy, Mitch. Po pierwsze, moja żona i ja chcielibyśmy zaprosić Abby i ciebie na kolację w najbliższą sobotę. Dość często jadamy na mieście i lubimy spędzać czas w towarzystwie przyjaciół. Sam trochę gotuję i umiem docenić dobrą kuchnię i trunki. Zwykle rezerwujemy duży stół w jednej z naszych ulubionych restauracji, zapraszamy grono przyjaciół i spędzamy wieczór przy dziewięciodaniowej kolacji i najbardziej wyszukanych winach. Czy jesteście z Abby wolni w tę sobotę?

— Oczywiście.

— Zaprosiłem też Kendalla Mahana, Wally'ego Hudsona i Lamara Quina z żonami.

— Z największą przyjemnością.

— Doskonale. Moje ulubione miejsce w Memphis to Justine's. Stara francuska restauracja z wyśmienitym jedzeniem i imponującą listą win.

Powiedzmy o dziewiętnastej w sobotę?

— Oczywiście będziemy.

— Po drugie, musimy o czymś porozmawiać. Jestem pewny, że to nie będzie dla ciebie niczym nowym, ale myślę, że i tak warto o tym wspomnieć, bo to dla nas bardzo ważne. Niewątpliwie mówiono wam na Harvardzie o poufnym charakterze relacji łączących prawnika z klientem. To relacja szczególnie uprzywilejowana i prawnika nie wolno zmusić do wyjawienia informacji uzyskanych od klienta. To wiedza ściśle poufna. Omawianie z kimś innym spraw klienta stanowi pogwałcenie naszej etyki zawodowej. To dotyczy wszystkich prawników, ale w naszej firmie tego rodzaju zobowiązania traktujemy szczególnie poważnie. Spraw naszych klientów nie omawiamy z nikim. Ani z innymi prawnikami, ani z żonami, czasem nawet z kolegami. Z reguły w domu nie rozmawiamy o pracy i nasze żony nauczyły się nie pytać. Im mniej mówisz, tym lepiej na tym wychodzisz. Pan Bendini był wielkim zwolennikiem poufności i wszystkim nam to wpoił. Nie zdarzy się, żebyś poza murami tego budynku usłyszał od naszego prawnika choćby nazwisko klienta. Jesteśmy na tym punkcie bardzo wyczuleni.

Do czego on zmierza? — zastanawiał się Mitch. Takie kazanie mógłby wygłosić każdy student drugiego roku prawa.

— Rozumiem to, proszę pana, i o mnie może pan być spokojny — powiedział na głos.

— „Kto dużo gada, dużo traci”. To było motto pana Bendiniego, który stosował je do wszystkiego. Po prostu z nikim nie rozmawiamy o sprawach naszych klientów, w tym także z naszymi żonami. Zawsze byliśmy firmą unikającą rozgłosu i ceniącą poufność, i chcemy, żeby tak zostało. Będiesz na mieście spotykał prawników z innych kancelarii i prędzej czy później zaczną cię wypytywać o naszą firmę i klientów. Nie wolno ci o tym rozmawiać, jasne?



— Oczywiście, proszę pana.

— To dobrze. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni, Mitch. Będiesz doskonałym prawnikiem. I bardzo bogatym. Do zobaczenia w sobotę.

Pani Ida miała dla Mitcha wiadomość, że szuka go pan Tolleson. Mitch podziękował i popędził schodami na dół, minął swoje biuro i wpadł do wielkiego narożnego gabinetu. Teraz aż trzy sekretarki grzebały w papierach, szepcząc coś do siebie, podczas gdy ich szef znów wrzeszczał do słuchawki. Mitch znalazł sobie bezpieczny azyl na krześle przy drzwiach i bez słowa przyglądał się temu cyrkowi. Kobiety wyciągały kolejne segregatory i teczki, porozumiewając się między sobą dziwnym językiem, Avery co chwila pstrykał palcami i wyciągał rękę, coś im pokazując, a one biegały po biurze jak wystraszone króliki.

Po kilku minutach znów bez słowa pożegnania trzasnął słuchawką i wlepił wzrok w Mitcha.

— To znowu Sonny Capps. Chińczycy żądają siedemdziesięciu pięciu milionów i on zgodził się zapłacić. W spółce będzie czterdziestu jeden wspólników zamiast dwudziestu pięciu. Mamy na to dwadzieścia dni albo nici z transakcji.

Dwie z sekretarek podeszły do Mitcha i wręczyły mu opasłe segregatory.

— Poradzisz sobie? — spytał Avery niemal szyderczym tonem. Sekretarki tylko na niego popatrzyły.

Mitch wziął od nich segregatory i skierował się do drzwi.

— Oczywiście, że sobie poradzę. Tylko tyle? — rzucił przez ramię.

— Myślę, że wystarczy. Nie chcę, żebyś do soboty zajmował się czymkolwiek innym, jasne?

— Jasne, szefie.

Mitch wrócił do siebie, zgarnął materiały do egzaminu — wszystkie piętnaście skoroszytów — i umieścił na kupce pod ścianą, po czym rozłożył

na biurku dokumentację Cappsa. Westchnął ciężko i zabrał się do czytania. Ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam?

To znów Nina.

— Strasznie mi przykro, ale właśnie przywieźli pańskie nowe meble.

Potarł skronie i zmełł pod nosem przekleństwo.

— Może mógłby się pan przenieść na parę godzin do biblioteki?

— Może mógłbym.

Spakowali całą dokumentację Cappsa i wynieśli piętnaście skoroszytów na korytarz, gdzie dwóch rosyjskich czarnych mężczyzn czekało ze stertą kartonowych pudeł i zrolowanym orientальnym dywanem.

Nina pomogła mu zanieść dokumentację do biblioteki na pierwszym piętrze.

— Miałem się spotkać o czternastej z Lamarem Quinem na konsultacje w sprawie egzaminu. Proszę do niego zadzwonić i odwołać. Niech mu pani powie, że później wszystko wyjaśnię.

— O czternastej ma pan spotkanie z Gillem Vaughnem — przypomniała.

— Proszę też odwołać.

— Ale to wspólnik.

— Proszę odwołać. Nadrobię to później.

— To nierozsądne.

— Proszę robić, co mówię

— Pan tu rządzi.

— Dziękuję.

• • •

Tapety kładła niska korpulentna kobieta w zaawansowanym wieku, ale przywykła do wytężonej pracy fizycznej i bardzo sprawna w swojej

specjalności. Wyjaśniła Abby, że od blisko czterdziestu lat zajmuje się oklejaniem drogimi tapetami ekskluzywnych domów w Memphis. Usta jej się nie zamykały, ale nie przeszkadzało to w wykonywaniu dokładnie zaplanowanych ruchów. Cięła tapetę z precyzją chirurga i nakładała klej z dokładnością artysty malarza. Czekała, aż przeschnie, taśmą mierniczą wyjętą z pasa na narzędzia zmierzyła pozostałe fragmenty ścian w jadalni, mrużąc pod nosem coś, czego Abby nie rozumiała. Zmierzyła długość i wysokość w czterech miejscach, zapamiętując wszystkie wymiary. Potem weszła na drabinę i poleciła Abby, by podała jej przycięty kawałek tapety. Pasował idealnie. Docisnęła go równo do ściany i po raz setny powtórzyła, jaka to wspaniała tapeta, jaka droga i jak długo będzie wyglądać jak nowa. Kolor też jej się podobał. Doskonale pasował do zasłon i wykładziny na podłodze. Abby już dawno znudziło się powtarzanie „dziękuję”, więc tylko kiwnęła głową i spojrzała na zegarek. Trzeba zająć się kolacją.

Ściana w jadalni została wytapetowana i Abby uznała, że na dziś wystarczy. Poprosiła kobietę, żeby na tym skończyła i przyszła nazajutrz rano o dziewiątej. Ta bez oporu się zgodziła i zaczęła po sobie sprzątać. Dostawała do ręki dwanaście dolarów za godzinę i była gotowa godzić się na wszystko. Abby z podziwem rozejrzała się po jadalni. Jutro całość będzie skończona i do wytapetowania zostaną już tylko dwie łazienki i pokój. Na następny tydzień zaplanowano pomalowanie całości. Zapach kleju do tapet, lakieru na półce nad kominkiem i nowych mebli tworzyły cudowną świeżą mieszalinę. Zapach nowego domu.

Abby pożegnała się z tapeciarką i poszła do sypialni, gdzie rozebrała się i położyła na łóżku. Zadzwoiła do biura i odbyła krótką rozmowę z Niną, która poinformowała ją, że Mitch ma spotkanie i nieprędko je skończy. Obiecała oddzwonić, gdy tylko będzie wolny. Abby wyciągnęła długie obolałe nogi i rozmasowała sobie ramiona. Wiatrak na suficie nad jej głową

obracał się wolno. Mitch w końcu wróci do domu. Przez jakiś czas będzie musiał pracować po sto godzin tygodniowo, ale potem skróci to do osiemdziesięciu. Poczeka.

Obudziła się po godzinie i zerwała z łóżka. Dochodziła osiemnasta. Zraziki cielęce piccata. Zraziki cielęce piccata... Wciągnęła szorty khaki i białą koszulkę polo i pobiegła do kuchni. Była ona praktycznie skończona i brakowało tylko malowania i firanek zaplanowanych na przyszły tydzień. Odszukała przepis w książce z daniami z makaronu i rozłożyła na blacie wszystkie potrzebne składniki. Podczas studiów Mitcha rzadko jadał czerwone mięso i tylko czasem zdarzało im się zjeść po hamburgerze. Jeśli w ogóle coś gotowała, to zwykle coś z kurczaka. Ale głównie odżywiali się kanapkami i hot dogami.

A teraz było ich już stać i Abby uznała, że najwyższa pora nauczyć się gotować. Przez pierwszy tydzień szykowała codziennie coś innego i gdy Mitchowi udawało się wreszcie dotrzeć do domu, zasiadali do ciepłej kolacji. Skrupulatnie planowała posiłki, studiowała książki kucharskie i eksperymentowała z sosami. Mitch z jakiegoś powodu preferował kuchnię włoską. Abby udało się opanować spaghetti i capellini z wieprzowiną i teraz przyszła pora na piccatę. Zbiła tłuczkiem kawałki cielęciny na odpowiednią grubość i obtoczyła w mące doprawionej solą i pieprzem. Postawiła na gazie garnek z wodą na linguine. Nalała sobie kieliszek chablis i włączyła radio. Od lunchu już dwa razy dzwoniła do Mitcha, ale nie znalazł widocznie czasu, żeby oddzwonić. Zastanowiła się, czy zadzwonić jeszcze raz, ale dała spokój. Teraz jego kolej. Kolacja będzie gotowa i zjedzą, gdy wróci.

Obsmażała cielęcinę przez trzy minuty na oleju, aż odpowiednio zmiękła, i zdjęła ją z patelni. Zlała olej, wlała na patelnię wino i sok z cytryny i zagotowała. Zeskrobała z patelni to, co przywarło po obsmażaniu mięsa, by zageścić sos. Włożyła zrazy, dodała pieczarki, kawałki karczocha i trochę

masła, przykryła patelnię i zaczęła dusić wszystko na małym ogniu.

Podsmażyła kawałki boczku, pokroiła pomidor, ugotowała makaron i naląła sobie następny kieliszek wina. O dziewiętnastej wszystko było gotowe: sałatka z pomidora z boczkiem i tubettini, zraziki cielejące piccata, w piekarniku dochodziła bułka czosnkowa. Mitch nie zadzwonił. Wyniosła wino na patio i rozejrzała się po podwórzu. Z krzaków wyskoczył Plotek i razem przeszli wzdłuż płotu, przyglądając się trawnikowi i zatrzymując pod dwoma rozłożystymi dębami. Wśród gałęzi większego widać było dawno porzucone resztki domku, który ktoś zbudował na drzewie. Na pniu widniały wycięte inicjały. Z drugiego drzewa zwisał kawałek sznura. Znalazła w trawie gumową piłkę i rzuciła Plotkowi, przyglądając się, jak pies z zapalem za nią goni. Przez cały czas nasłuchiwała przez otwarte okno w kuchni, ale telefon nie zadzwonił.

Plotek nagle zamarł, po czym zawarczał na coś na sąsiedniej działce. Zza idealnie przyciętego żywopłotu wyłonił się pan Rice. Z czubka nosa skapywały mu krople potu, bawełniany podkoszulek był mokry. Zdjął zielone rękawice i w tym momencie dostrzegł Abby za płotem ze stalowej siatki i się uśmiechnął. Spojrzał na jej brązowe nogi i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Otarł czoło spoconym przedramieniem i ruszył w stronę płotu.

— Witam, co słychać? — rzucił, ciężko sapiąc. Jego gęsta siwa czupryna oklapła i przykleiła mu się do czaszki.

— Wszystko dobrze, panie Rice. A u pana?

— Gorąco. Będzie ze czterdzieści stopni.

Abby wolnym krokiem podeszła do płotu. Już od tygodnia widziała spojrzenia, jakimi ją obrzucał, ale jej to nie przeszkadzało. Miał co najmniej siedemdziesiątkę i był raczej nieszkodliwy, więc niech sobie patrzy. A poza tym był żywą, sapiącą i pocącą się istotą ludzką, z którą można było zamienić choć parę słów. Od wyjścia Mitcha o świcie tapeciarka była jej jedyną

rozmówczynią.

— Ma pan ładny trawnik — zauważyła.

Znów otarł czoło i splunął na ziemię.

— Ładny? Ty to nazywasz ładny? On się nadaje na wystawę. Nigdy w życiu nie widziałem piękniejszej murawy. Powinni mi przyznać tytuł ogrodu miesiąca, ale nie chcą. A mąż gdzie?

— W pracy. Pracuje do późna.

— Już prawie ósma. A wyjechał chyba jeszcze przed świtem. O wpół do siódmej chodzę na spacer, to już go nie było. Co mu jest?

— Lubi dużo pracować.

— Gdybym ja miał taką żonę, tobym siedział w domu. Siłą by mnie nie wyciągnęli.

Abby skwitowała ten komplement uśmiechem.

— A co u pani Rice? — spytała.

Pan Rice zmarszczył czoło i wyrwał chwast spod płotu.

— Obawiam się, że nie najlepiej. Nie najlepiej. — Odwrócił głowę i przygryzł wargę. Pani Rice dogorywała na raka i już ledwo dyszała. Nie mieli dzieci. Zdaniem lekarzy został jej rok życia. Najwyżej rok. Wycięli jej większość żołądka, ale pojawiły się przerzuty w płucach. Ważyła niewiele ponad czterdzieści kilo i prawie nie ruszała się z łóżka. Podczas ich pierwszej sąsiedzkiej wizyty za płotem mówił o niej ze łzami w oczach i o tym, że po pięćdziesięciu jeden latach zostanie zupełnie sam.

— Nieee, nie dadzą mi ogrodu miesiąca. Nie ta dzielnica co trzeba. Zawsze przyznają tytuł bogaczom, którzy zatrudniają ludzi, ci wszystko za nich robią, a oni tylko siedzą nad basenem i popijają koktajle. Ale fajnie wygląda, nie?

— Przepięknie. Ile razy w tygodniu pan kosi?

— Dwa albo trzy. Zależy od deszczu. Chcesz, żebym tobie też skosił?

— Nie. Chcę, żeby Mitch kosił.

— Coś mi się widzi, że chyba nie ma na to czasu. Będę patrzył i jeśli trzeba będzie przyciąć, to przyjdę.

Abby odwróciła głowę w stronę kuchennego okna.

— Słyszał pan może dzwonek? — spytała, idąc w stronę domu. Pan Rice pokręcił głową i wskazał palcem aparat słuchowy w uchu.

Abby krzyknęła: „Do widzenia”, i puściła się biegiem do domu. Telefon przestał dzwonić dokładnie w chwili, gdy sięgnęła po słuchawkę. Było wpół do dziewiątej i zrobiło się już ciemno. Zadzwoiła do biura, ale nikt nie odebrał. Może Mitch już wyszedł i właśnie jest w drodze do domu?

• • •

Telefon zadzwonił godzinę przed północą. Dźwięk dzwonka i lekkie pochrapywanie były jedynymi dźwiękami w biurze Mitcha na pierwszym piętrze. Skrzyżowane w kostkach nogi oparł o nowe biurko i w końcu ścierpły. Ciało miał wygodnie ułożone na dyrektorskim fotelu z miękkiej skóry i pochrapywał, co świadczyło o głębokim uśpieniu. Dokumentacja Capps'a leżała rozrzucona na biurku, jeden groźnie wyglądający plik papierów spoczywał na jego brzuchu. Buty stały na podłodze obok sterty będącej resztą dokumentacji Capps'a. Między butami leżała pusta torba po chipsach.

Po kilkunastu dzwonekach leniwie poruszył głowę, zaraz jednak rzucił się do telefonu. Dzwoniła żona.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś? — powiedziała chłodno, choć słyhać też było nutę niepokoju.

— Przepraszam. Usnąłem. Która to godzina? — Mitch potarł oczy i spojrzął na zegarek.

— Jedenasta. Należało zadzwonić.

— Dzwoniłem. Nikt nie odebrał.

— Kiedy?

— Między ósmą a dziewiątą. Gdzie byłaś?

Abby nie odpowiedziała.

— Wracasz do domu? — spytała po chwili.

— Nie. Mam pracę na całą noc.

— Całą noc? Mitch, nie możesz pracować przez całą noc.

— Oczywiście, że mogę. Tutaj to na porządku dziennym. Oczekują tego.

— A ja oczekuję cię w domu, Mitch. Przynajmniej powinieneś zadzwonić. Kolacja czeka.

— Przykro mi. Siedzę po uszy w gardłowych terminach i straciłem poczucie czasu. Przepraszam.

Przez chwilę Abby w milczeniu przetrawiała jego przeprosiny.

— Czy tak będzie zawsze, Mitch?

— Niewykluczone.

— Rozumiem. I kiedy możesz pojawić się w domu?

— Boisz się?

— Nie, nie boję się. Idę spać.

— Przyjadę około siódmej, żeby wziąć prysznic.

— To miłe. Jeśli będę spała, nie budź mnie.

Rozłączyła się. Mitch spojrzał na słuchawkę i ją odłożył. Pracownik ochrony na czwartym piętrze parsknął pod nosem: „Nie budź mnie”. „Dobre”, mruknął, naciskając przycisk na komputerowym rejestratorze. Wcisnął trzy guziki i rzucił do małego mikrofonu: „Hej, Dutch, pobudka”.

Dutch obudził się i nachylił nad intercomem.

— No, co jest?

— Mówi Marcus z góry. Zdaje się, że nasz chłoptaş ma zamiar zostać do rana.



— A jemu co odbiło?

— Na razie to ma problem z żoną. Zapomniał do niej zadzwonić, a ona czekała na niego z dobrą kolacją.

— O, to straszne. Ale skądś to znamy, nie?

— No, każdy żółtodziób tak robi przez pierwszy tydzień. W każdym razie ją uprzedził, że w domu będzie dopiero rano. Więc możesz spać spokojnie.

Marcus wcisnął jeszcze kilka guzików i wrócił do czytania magazynu.

• • •

Abby przyglądała się pierwszym promieniom słońca sączącym się przez gałęzie dębów. Popijając poranną kawę z psem leżącym przy nogach, wsłuchiwała się w ciche odgłosy budzącego się sąsiedztwa. Źle spała i nawet gorący poranny prysznic nie spłukał z niej uczucia znużenia. Miała na sobie biały szlafrok frotté Mitcha i nic pod spodem. Wilgotne włosy zaczesła gładko do tyłu.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu, pies zastrzygł uszami. Dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi kuchennych i chwilę później otworzyły się też drzwi na patio. Mitch położył marynarkę na ławce i podszedł bliżej.

— Dzień dobry — powiedział, przysiadając na wiklinowym stole.

— I tobie — odrzekła z bladym uśmiechem.

— Wczesnie wstałaś. — Starał się mówić beztroskim tonem, ale nie bardzo mu to wychodziło. Abby znów lekko się uśmiechnęła i napiła kawy.

Mitch westchnął ciężko i popatrzył w głąb podwórza.

— Widzę, że wciąż się gniewasz o wczoraj.

— Nie. Nie mam zwyczaju chować urazy.

— Powiedziałem, że jest mi przykro, i naprawdę tak było. Próbowałem dzwonić.

— Mogłeś spróbować jeszcze raz.

— Abby, proszę, nie rozwódź się ze mną. Przysięgam, że to się już nie powtórzy. Tylko mnie nie rzucaj.

Teraz jej uśmiech był nieco szerszy.

— Okropnie wyglądasz — stwierdziła.

— Co masz pod tym szlafrokiem?

— Nic.

— No to sprawdźmy.

— Lepiej się zdrzemnij. Wyglądasz na wykończonego.

— Dzięki, ale nie mogę. O dziewiątej mam spotkanie z Averym. I o dziesiątej kolejne spotkanie z Averym.

— Próbują cię zamęczyć już w pierwszym tygodniu?

— Tak, ale im się nie uda. Jestem na to za bardzo męski. Chodźmy pod prysznic.

— Ja już byłam.

— Nago?

— Tak.

— Opowiedz. Ze wszystkimi szczegółami.

— Gdybyś wracał do domu o przyzwoitej porze, to nie musiałabym ci opowiadać.

— Jestem pewny, kochanie, że to jeszcze nieraz się powtórzy. Że jeszcze wiele nocy spędzę w biurze. Ale nie narzekałaś, kiedy przedtem siedziałem po nocach.

— To było co innego. Znosiłam twoją naukę, bo wiedziałam, że to się wkrótce skończy. Ale teraz jesteś już prawnikiem i zostaniesz nim przez wiele lat. Czy tak ma wyglądać nasze życie? Czy już zawsze będziesz pracował po tysiąc godzin tygodniowo?

— Abby, to mój pierwszy tydzień w pracy.

— I to mnie martwi. Bo to oznacza, że będzie tylko gorzej.

— Pewnie, że tak. Na tym to polega, Abby. To bardzo konkurencyjny zawód, w którym słabsi odpadają, a silniejsi się bogacą. To jak maraton. Kto wytrwa, ten zdobywa medal.

— I pada trupem na linii mety.

— W to nie wierzę. Przeprowadziliśmy się niecały tydzień temu, a ty już się martwisz o moje zdrowie.

Abby upiła łyk kawy i pogłaskała psa. Była naprawdę piękna. Ze zmęczonymi oczami, bez makijażu i z wilgotnymi włosami wciąż była piękna. Mitch wstał, podszedł od niej i pocałował w policzek.

— Kocham cię — szepnął.

Położyła dłoń na jego rękę spoczywającym na jej ramieniu.

— Idź i weź prysznic. Ja przygotuję śniadanie.

Stół był elegancko nakryty. Wyjęta z kredensu porcelana po babci znalazła się na nim po raz pierwszy w nowym domu. W srebrnych lichtarzach płonęły świece. Sok grejpfrutowy stał nalany do kryształowych szklanek. Na talerzach leżały lniane serwetki do kompletu z obrusem. Gdy Mitch wyszedł spod prysznica i w czystej koszuli i spodniach wszedł do jadalni, aż gwizdnął z podziwu.

— A cóż to za okazja?

— Specjalne śniadanie dla specjalnego męża.

Usiadł i z podziwem przyjrzał się porcelanie. Jedzenie czekało gorące na srebrnym półmisku z pokrywą.

— Co przygotowałaś? — zapytał, oblizując wargi. Wskazała ręką, a on zdjął pokrywę i wlepił wzrok w półmisek.

— Co to jest? — spytał, nie odrywając wzroku od jedzenia.

— Zraziki cielęce piccata.

— Jakie zraziki?

— Piccata.

Mitch spojrział na zegarek.

— Myślałem, że siadamy do śniadania.

— Zrobiłam to na wczorajszą kolację, więc proponuję, żebyśmy zjedli to teraz.

— Zraziki piccata na śniadanie?

Abby uśmiechnęła się i lekko pokręciła głową. Przeniósł wzrok na półmisek i przez moment było widać, że walczy ze sobą.

— Fajnie pachnie — powiedział w końcu.

## Rozdział 8

W sobotę Mitch pospał dłużej i do biura dotarł dopiero o siódmej. Nie ogolił się, włożył dzinsy, spłowiałą koszulę i mokasyny na gołe stopy. Po studencku.

Umowa Capps została w piątek wieczorem wydrukowana, poprawiona i ponownie wydrukowana. Mitch wprowadził kolejne poprawki i Nina wydrukowała ją raz jeszcze o dwudziestej. Założył, że jego sekretarka nie ma życia towarzyskiego lub ma je w minimalnym wymiarze, i bez skrupułów poprosił, by została w biurze do późna. Oświadczyła, że praca w nadgodzinach jej nie przeszkadza, więc spytał, czy może przyjść także w sobotę rano.

Zjawiała się o dziewiątej ubrana w dzinsy, w których zmieściłby się środkowy obrońca z boiska futbolowego. Mitch wręczył jej ostateczną wersję umowy — całe dwieście sześć stron z najnowszymi poprawkami, i poprosił o wydrukowanie po raz czwarty. Z Averym był umówiony na dziesiątą.

W sobotę biuro wyglądało zupełnie inaczej. Obecni byli wszyscy prawnicy, większość wspólników i część sekretarek, ale nie było klientów i nie obowiązywały garnitury. Dzinsów było tyle, że można by przepędzać bydło. Wszyscy byli bez krawatów i tylko co bardziej konserwatywni mieli na sobie blezery, które wyglądały jak wykrochmalone i wydawało się, że przy każdym ruchu skrzypią.

Mimo to poczucie presji nie zelżało, w każdym razie w odczuciu najmłodszego z prawników Mitchella Y. McDeere'a. Odwołał wyznaczone na czwartek, piątek i sobotę konsultacje do egzaminu adwokackiego

i piętnaście skoroszytów leżało na półce, pokrywając się kurzem i przypominając, że może stać się pierwszym w firmie, który ten egzamin obleje.

O dziesiątej czwarta wersja umowy była gotowa, Nina triumfalnym gestem położyła ją na biurku Mitcha i udała się do pomieszczenia gospodarczego na kawę. Objętość wzrosła do dwustu dziewiętnastu stron, każde słowo zostało czterokrotnie przeczytane, wszystkie odniesienia podatkowe zweryfikowane i przeanalizowane i Mitch znał prawie całą umowę na pamięć. Przeszedł korytarzem do gabinetu patrona i położył plik na biurku. Sekretarka była zajęta pakowaniem dokumentów do ogromnej aktówki, a jej szef rozmawiał przez telefon.

— Ile wyszło stron? — zapytał.

— Ponad dwieście.

— Imponujące. Bardzo wstępna?

— Nie bardzo. To czwarta wersja od wczoraj rano. Jest prawie bezbłędna.

— To się okaże. Przeczytam w samolocie, potem Capps przewertuje ją przez szkło powiększające. Jeśli znajdzie choć jedno uchybienie, będzie się pieklił przez godzinę i straszył, że nam nie zapłaci. Ile godzin ci to zajęło?

— Pięćdziesiąt cztery i pół, licząc od środy.

— Wiem, że cię przydusiłem, i przepraszam. Trafił ci się trudny pierwszy tydzień. Ale nasi klienci czasami strasznie cisną i nie po raz ostatni się zdarza, że stajemy na głowie dla kogoś, kto płaci nam dwieście dolarów za godzinę. Na tym polega ta praca.

— Nie narzekam. Mam co prawda zaległości w nauce do egzaminu, ale nadgonię.

— Ten kurdupel Hudson strasznie ci dokucza?

— Nie.

— Jakby zaczął, daj mi znać. Jest u nas dopiero od pięciu lat, ale bardzo

lubi rżnąć profesora. Wydaje mu się, że jest naukowcem. Specjalnie za nim nie przepadam.

— Nie mam z nim problemu — zapewnił Mitch.

Avery włożył umowę do aktówki.

— A gdzie prospekt i reszta dokumentacji?

— Są tylko wstępne szkice. Powiedziałeś, że mamy na to dwadzieścia dni.

— Mamy, ale skończmy to. Capps zawsze upomina się o dokumenty na długo przed ostatecznym terminem. Będziesz jutro w pracy?

— Nie planowałem. Żona się upiera, że powinniśmy pójść do kościoła.

Avery pokręcił głową.

— Czasem żony potrafią strasznie komplikować życie. — Powiedział to tonem niezapraszającym do dyskusji i Mitch nie podjął tematu. — Skończmy Cappsa do najbliższej soboty.

— W porządku. Nie ma sprawy.

— Rozmawialiśmy już o firmie Koker-Hanks? — rzucił Avery, przeglądając papiery.

— Nie.

— Tu masz. Koker-Hanks to duża firma budowlana z Kansas City z portfelem zamówień na blisko sto milionów w całym kraju. Firma Holloway Brothers z Denver złożyła ofertę kupna Koker-Hanksa. W rozliczeniu chcą przekazać część akcji, trochę aktywów, trochę zawartych kontraktów i trochę gotówki. Dość złożona transakcja. Zapoznaj się z dokumentacją i porozmawiamy o tym we wtorek rano po moim powrocie.

— Ile mamy na to czasu?

— Trzydzieści dni.

Dokumentacja nie była aż tak opasła jak w przypadku Cappsa, ale równie przytłaczająca.

— Trzydzieści dni — powtórzył cicho Mitch.

— Łączna wartość transakcji to osiemdziesiąt milionów. Honorarium wyniesie ze dwieście tysięcy. Niezły interes. Ile razy spojrzysz na tę dokumentację, policz godzinę pracy. Pracuj nad nią, kiedy tylko możesz. Jedziesz z pracy do domu i pomyślisz o firmie Koker-Hanks, od razu wpisuj godzinę pracy. Tu działamy bez ograniczeń.

Widać było, że Avery rozkoszuje się myślą o kliencie, który bez zmruczenia oka zapłaci każde pieniądze. Mitch pożegnał się i wrócił do siebie.

• • •

Mniej więcej w czasie, gdy dopijano resztki powitalnego koktajlu i wszyscy zaczęli studiować listę win, słuchając uczonych uwag Olivera Lamberta o subtelnych różnicach gatunków markowych win francuskich, a Mitch i Abby ostatecznie doszli do wniosku, że woleliby teraz siedzieć w domu, jeść pizzę i oglądać telewizję, dwaj mężczyźni dysponujący właściwym kluczykiem wsiedli do lśniącego nowością czarnego bmw na parkingu restauracji Justine's. Mieli na sobie garnitury, koszule i krawaty i wyglądali zupełnie zwyczajnie. Spokojnie wyjechali z parkingu i bez pośpiechu przejechali przez miasto do domu McDeere'ów. Zaparkowali bmw na miejscu pod wiatą, kierowca wyjął z kieszeni następną kluczyk i weszli do domu, zamykając Plotka w garderobie przy pralni.

Skórzana walizeczka została po ciemku otwarta na stole w jadalni i mężczyźni wyjęli po parze cienkich jednorazowych gumowych rękawiczek, które włożyli, i wzięli do rąk małe latarki.

— Zróbmy najpierw telefony — powiedział jeden z nich.

Pracowali szybko, nie zapalając światła. Odczepili słuchawkę od aparatu w kuchni i położyli na stole. Odkręcili osłonkę i obejrzelik mikrofon. Do zagłębienia w obudowie wpuścili kroplę kleju, włożyli maleńki nadajniczek



wielkości rodziny i przytrzymali przez dziesięć sekund. Klej stwardniał, osłonka mikrofonu wróciła na miejsce, słuchawka została na powrót przyłączona do aparatu na ścianie w kuchni. Wszystkie głosy i dźwięki w pobliżu powinny być od teraz przekazywane do małego odbiornika, który mieli zamiar zainstalować na strychu. Połączony z nim nieco mocniejszy nadajnik miał przesyłać odebrane sygnały do anteny na dachu Domu Bendiniego. Dzięki podłączeniu do zasilania sieciowego pluskwa w słuchawce telefonicznej mogła działać bez końca.

— Teraz pokój.

Przenieśli walizeczkę na kanapę. Nad fotelem wbili gwoździak w krawędź listwy i wyjęli. W powstałą dziurkę ostrożnie wprowadzili czarny cylinderek o średnicy jednego i dwóch dziesiątych i długości dwudziestu pięciu milimetrów i zamaskowali kroplą czarnej żywicy. Mikrofon był zupełnie niewidoczny, a prowadzący od niego przewód grubości ludzkiego włosa został ostrożnie ułożony w szparze w boazerii i poprowadzony w górę do sufitu, skąd miał trafić do odbiornika na strychu.

Identyczne mikrofony ukryto w ścianach wszystkich pozostałych pomieszczeń. Mężczyźni bez trudu odnaleźli składaną drabinę i weszli na strych. Jeden wyjął z walizeczki odbiornik i nadajnik, drugi zajął się mozolnym wyprowadzaniem ze ścian cieniutkich drucików. Splótł je wszystkie w jedną wiązkę i poprowadził pod warstwą izolacyjną do narożnika, w którym jego partner zainstalował nadajnik. Do nadajnika podłączony też został przewód zasilający z domowej sieci. Nieco ponad dwa centymetry nad powierzchnię dachu wysunięto cieniutki pręt anteny.

W duchocie panującej na strychu obaj mężczyźni zaczęli ciężko dyszeć. Umieścili jeszcze nadajnik w obudowie starego radioodbiornika, całość schowali do pustego kartonu i dodatkowo zamaskowali kawałkami waty izolacyjnej i starymi ciuchami. Karton stał wciśnięty w narożnik strychu

i można było liczyć, że odbiornik przetrwa niezauważony wiele miesięcy, a może nawet lat. A jeśli nawet ktoś do niego zajrzy, zapewne uzna, że to bezwartościowe rupiecie i wyrzuci je, nie nabierając żadnych podejrzeń. Jeszcze przez chwilę podziwiali swoje dzieło i zeszli ze strychu, skrupulatnie zacierając wszelkie ślady.

Cała operacja zajęła im mniej niż dziesięć minut.

Wypuścili Plotka z garderoby, wrócili do samochodu i wyruszyli w drogę powrotną.

Bmw powróciło na parking restauracji mniej więcej w chwili, gdy na stół wjechała pieczona ryba pompano. Kierowca sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyk do kasztanowego jaguara mecenasa Kendalla Mahana. Obaj mężczyźni wysiedli z bmw i przesiedli się do jaguara. Mahanowie nie tylko mieszkali bliżej, ale z planów domu wynikało, że zadanie będzie dużo prostsze.

• • •

Siedzący na czwartym piętrze Domu Bendiniego Marcus wpatrywał się w tablicę kontrolną z migającymi lampkami i czekał na pojawienie się sygnału z domu przy East Meadowbrook 1231. Kolacja skończyła się jakieś pół godziny temu i należało rozpocząć nasłuch. Żółta lampka rozbłysła blado i Marcus założył słuchawki. Wcisnął przycisk nagrywania i czekał. Oznaczona symbolem McD6 lampka zaczęła migać, sygnalizując, że mikrofon w ścianie sypialni już działa. Głosy, początkowo słabe, rozbrzmiały donośniej i wyraźniej. Marcus podkręcił głośność i zaczął słuchać.

— Jill Mahan to okropna zołza — powiedział kobiecie głos należący do pani McDeere. — Im więcej piła, tym bardziej to z niej wylaziło.

— Zdaje się, że pochodzi z wyższych sfer — odrzekł pan McDeere.

— Jej mąż jest w porządku, ale z niej prawdziwa jędza — powtórzyła

pani McDeere.

— Upiłaś się? — zapytał pan McDeere.

— Prawie. I jestem gotowa na dziki seks.

Marcus jeszcze nieco pogłośnił i zwrócił twarz ku tablicy z migającymi lampkami.

— Rozbieraj się — rozkazała pani McDeere.

— Już dawno tego nie robiliśmy — powiedział pan McDeere.

Marcus uniósł się z miejsca i nachylił nad tablicą.

— A czyja to wina?

— Ale jeszcze nie zapomniałem. Jesteś piękna.

— Wskakuj do łóżka!

Marcus ustawił pokrętło oznaczone „głośność” na maksimum. Uśmiechnął się do lampek i głęboko odetchnął. Kochał młodych, tryskających energią prawników tuż po studiach. Uśmiechnął się do odgłosów towarzyszących namiętym igraszkom miłosnym. Przymknął oczy i zaczął ich sobie wyobrazać.

## Rozdział 9

Wciągu dwóch tygodni kryzys w sprawie Cappsa został zażegnany bez żadnej wpadki, głównie dzięki osiemnastogodzinnym dniom wytężonej pracy najmłodszego prawnika w firmie, który nie zdał jeszcze egzaminu adwokackiego, ale któremu praktyka zabierała zbyt dużo czasu, by mógł go poświęcać teorii. W lipcu zafakturował średnio pięćdziesiąt dziewięć godzin tygodniowo, co stanowiło rekord firmy dla kogoś bez dyplomu. Avery na comiesięcznej naradzie wspólników z dumą poinformował, że jak na świeżo upieczonego prawnika McDeere osiąga doskonałe wyniki i to głównie dzięki niemu najnowsza transakcja Cappsa zakończyła się sukcesem trzy dni przed terminem. Cała dokumentacja prawna, licząca łącznie czterysta stron, została w całości bezbłędnie opracowana, sprawdzona, zredagowana i przeredagowana przez McDeere'a. Również dzięki niemu sprawa Kokera-Hanksa zostanie zakończona w ciągu miesiąca, a firma zarobi na niej blisko ćwierć miliona dolarów. Ten chłopak pracuje jak maszyna.

Oliver Lambert wyraził zaniepokojenie jego nikłym zaangażowaniem w naukę. Do egzaminu zostały już tylko trzy tygodnie i było jasne, że McDeere nie przykłada się jak należy. W lipcu odwołał połowę spotkań konsultacyjnych, a w swoim planie zajęć odnotował niecałe dwadzieścia godzin nauki. Avery zapewnił go, że chłopak na pewno będzie przygotowany.

Piętnaście dni przed egzaminem Mitch w końcu zaprotestował. Grozi mu, że nie zda, oświadczył Avery'emu podczas lunchu w klubie Manhattan. Musi naprawdę poświęcić więcej czasu na naukę. Dużo, dużo więcej. Przez

pozostałe dwa tygodnie powinien przysiąc fałdów i wtedy może uda mu się przebrnąć przez egzamin, ale w tym celu należy go zostawić w spokoju. Nie może mieć żadnych gardłowych terminów. Żadnych nowych kryzysów. Żadnego przesiadywania po nocach. Powiedział to błagalnym tonem, Avery wysłuchał jego słów i przeprosił. Obiecał zapomnieć o jego istnieniu przez następne dwa tygodnie. Mitch podziękował.

W pierwszy poniedziałek sierpnia w głównej bibliotece na parterze zwołano naradę całego personelu firmy. Była to największa ze wszystkich czterech bibliotek, gdzie odbywały się spotkania personelu i traktowano ją jako wizytówkę firmy. Połowa prawników zasiadła wokół ogromnego antycznego stołu z drewna wiśniowego, wokół którego stało dwadzieścia foteli. Reszta personelu stała pod regałami pełnymi oprawionych w skórę ksiąg prawniczych, do których od dziesiątków lat nikt nie zaglądał. Obecni byli wszyscy, wspólnicy łącznie z Nathanem Locke'em, który przyszedł lekko spóźniony i stanął samotnie oparty o ścianę obok drzwi. Do nikogo się nie odezwał, nikt na niego nie spojrzał i tylko Mitch od czasu do czasu zerkał ukradkiem na Czarnookiego.

Na sali panowała smężna atmosfera i nikt się nie uśmiechał. Drzwi się otworzyły i Oliver Lambert wprowadził Beth Kozinski i Laurę Hodge. Obie panie posadzono z przodu sali tuż przed ścianą, na której wisiały dwa zasłonięte portrety. Kobiety trzymały się za ręce i próbowały się uśmiechać. Lambert stanął plecami do ściany i zaczął przemawiać głębokim barytonem, emanując ciepłem i współczuciem.

Pierwsze słowa wypowiedział niemal szeptem, ale dzięki dźwięczności jego głosu każde słowo było dobrze słyszalne w całym pomieszczeniu. Zwracając się do obu wdów, zapewnił, że firma jest pogrążona w głębokim smutku i póki będzie istnieć, póty będzie się o nie troszczyć. Potem wspomniał Marty'ego i Joego, ich początki w firmie, późniejsze zasługi

i ogromną pustkę, jaką pozostawiło w firmie ich odejście. Powiedział też o ich miłości do rodzin i poświęceniu dla domów.

Mówił płynnie i kwieście, jakby improwizował i nie miał z góry zaplanowanej konstrukcji następnego zdania. Wdowy cicho płakały i ocierały oczy, po chwili najbliżsi koledzy, Lamar Quin i Doug Turney, też zaczęli pociągać nosami.

Na zakończenie przemowy Lambert odsłonił portret Marty'ego Kozinskiego. Atmosfera była podniosła i znów popłynęły łzy. Lambert oznajmił, że na wydziale prawa w Chicago zostaną ufundowane stypendia jego imienia, a firma założy fundusze powiernicze na opłacenie wykształcenia jego dzieci i zaopiekuje się rodziną. Beth przygryzła wargi, ale to nie pomogło i zaczęła szlochać głośniej. Zahartowani i twardzi negocjatorzy z firmy Bendiniego głośno przełykali ślinę i unikali spojrzeń kolegów. Tylko Nathan Locke stał nieporuszony i wbiwszy swe nieruchome laserowe spojrzenie w ścianę, ignorował uroczystość.

Potem nastąpiło odsłonięcie portretu Joego Hodge'a, przypomnienie jego życiorysu i informacja o ustanowieniu analogicznych stypendiów i funduszy powierniczych dla dzieci. Do Mitcha dotarła wcześniej plotka, że cztery miesiące przed śmiercią Hodge wykupił polisę na życie na dwa miliony dolarów.

Oliver Lambert zakończył przemowę i chwilę potem Nathan Locke zniknął za drzwiami. Prawnicy otoczyli wdowy, raz jeszcze je wyściskali i złożyli kondolencje. Mitch żadnej z nich nie znał i nie miał im nic do powiedzenia, więc zamiast do nich podszedł do ściany i przyjrzał się portretom. Obok Kozinskiego i Hodge'a wisiało kilka innych, nieco mniejszych, ale równie oficjalnych. Jego uwagę zwrócił jedyny przedstawiający kobietę. Na mosiężnej tabliczce przytwierdzonej do ramy widniał napis: „Alice Knauss 1948–1977”.

— To była pomyłka — powiedział Avery cicho, stając obok.

— W jakim sensie? — zdziwił się Mitch.

— Typowa prawniczka. Przyszła do nas po Harvardzie. Zdobyła pierwszą lokatę w grupie i była strasznie przeczulona na punkcie swojej kobiecości. Każdego chłopca uważała za urodzonego seksistę i za swoją życiową misję uznała walkę z dyskryminacją płciową. Straszna zołza. Po pół roku wszyscy ją znienawidzili, ale nie można było się jej pozbyć. Zmusiła dwóch współników do przejścia na wcześniejszą emeryturę. Milligan do dziś oskarża ją o swój zawał serca. Był jej patronem.

— A była dobrą prawniczką?

— Bardzo dobrą, ale nie dało się docenić jej talentów. Kłóciła się o wszystko.

— I co się z nią stało?

— Zginęła w wypadku samochodowym spowodowanym przez pijanego kierowcę. Naprawdę tragicznie.

— Była pierwszą kobietą w firmie?

— Pierwszą i ostatnią, chyba że nas zmuszą sędownie.

Mitch wskazał głową następny portret.

— A ten?

— Robert Lamm, mój bliski kolega z Emory Law School w Atlancie. Był jakieś trzy lata przede mną.

— I co się stało?

— Nikt nie wie. Był zapalonym myśliwym. Którejś zimy polowaliśmy razem na łosie w Wyoming. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym wybrał się do Arkansas na polowanie na jelenie i zaginął. Miesiąc później znaleziono jego ciało z dziurą w głowie w górskiej rozpadlinie. Sekcja wykazała, że kula przebiła czaszkę od tyłu i wyrwała większą część twarzy. Podejrzewano, że pocisk został wystrzelony z dalszej odległości z potężnej strzelby i że był to

wypadek, ale do końca nie wiadomo. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś chciał zabić Boba Lamma.

Ostatni z portretów przedstawiał Johna Mickela, 1940–1984.

— A co z tym? — szepnął Mitch.

— To chyba najbardziej tragiczna historia ze wszystkich. Nie był zbyt odporny i zniszczył go stres. Dużo pił, potem wdał się jeszcze w narkotyki. Żona go zostawiła i przeżył bardzo traumatyczny rozwód. Firma była tym wszystkim bardzo poruszona. Po dziesięciu latach pracy zaczął się zamartwiać, że nigdy nie awansuje na wspólnika, i pił jeszcze więcej. Wydaliśmy fortunę na jego leczenie, na psychoterapeutów, na wszystko, co się dało. Ale nic nie pomogło. Wpadł w depresję i stany samobójcze. Napisał siedmiostronicowy list pożegnalny i strzelił sobie w łeb.

— To okropne.

— Pewnie, że tak.

— Gdzie go znaleźli?

Avery odchrząknął i powiódł wzrokiem po sali.

— W twoim biurze — rzekł.

— Co?

— Ale potem wysprzątali.

— Chyba żartujesz! — wykrzyknął Mitch.

— Nie, poważnie. To się stało lata temu i od tamtej pory biuro było używane. Tak że wszystko w porządku.

Mitcha zatkało.

— Chyba nie jesteś przesądny, co? — zapytał Avery z nieco wrednym uśmiechem.

— Oczywiście, że nie.

— Pewnie powinienem był ci o tym powiedzieć, ale niechętnie o tym rozmawiamy.



— Mogę dostać inne biuro? — spytał Mitch.

— Oczywiście. Wystarczy oblać egzamin, a od razu przeniosą cię do biura asystentów prawnych w podziemiu.

— Jeśli obleję, to przez ciebie.

— Tak, ale nie oblejesz, prawda?

— Jeśli ty zdałeś, to mnie też się uda.

• • •

Od piątej do siódmej rano w Domu Bendiniego było pusto i cicho. Nathan Locke przyjechał koło szóstej, ale poszedł od razu do swojego gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Od siódmej zaczęli się schodzić prawnicy i budynek wypełnił gwar. O siódmej trzydzieści większość prawników i część sekretarek była już na miejscu, o ósmej korytarze tętniły życiem i panowało zwykle zamieszanie. Trudno się było skupić i co chwila ktoś przerywał. Telefony nie przestawały brzęczeć. O dziewiątej wszyscy prawnicy, asystenci, personel pomocniczy i sekretarki albo byli na miejscu, albo było wiadomo, gdzie są.

Mitch cenił sobie spokój wczesnych godzin porannych. Przetawiał swój zegar o pół godziny i zaczął zrywać Dutcha o piątej zamiast o wpół do szóstej. Robił sobie dwa dzbanki kawy i kręcił się po ciemnych korytarzach, zapalając po drodze światła i rozglądając się po budynku. Czasami w pogodne dni stawał przy oknie w gabinecie Lamara i obserwował, jak nad płynącą w dole potężną Missisipi wstaje dzień. Liczył barki spięte w ciasne łańcuchy przed holownikami, które pchały je wolno w górę rzeki, i odprowadzał wzrokiem ciężarówkę sunącą po widocznym w oddali moście. Ale nie tracił dużo czasu. Dyktował listy, sprawozdania, notatki służbowe, memoranda i dziesiątki innych pism, które Nina potem przepisywała z dyktafonu, a Avery czytał i akceptował. Przynajmniej przed wszystkim jednak wkuwał

do egzaminu.

Następnego dnia po uroczystości odsłonięcia portretów zmarłych prawników znów znalazł się w bibliotece na parterze, gdzie poszedł po jakąś rozprawę naukową. Jego uwagę i tym razem przyciągnęła ściana pamięci. Podeszedł do niej, myśląc o krótkich nekrologach wygłoszonych przez Avery'ego. Pięć zgonów prawników w ciągu piętnastu lat. Trochę strach tu pracować, pomyślał. Wyjął notes i zapisał ich nazwiska i lata, w których zmarli. Dochodziła piąta trzydzieści.

Na korytarzu coś się poruszyło i Mitch odruchowo odskoczył w bok. W mroku dostrzegł Czarnookiego, który obserwował go w milczeniu. Stwierdziwszy, że Mitch go zauważył, Locke podeszedł do drzwi i wlepił w niego gorejące spojrzenie.

— Co tu robisz? — burknął.

— Też pana witam. Tak się składa, że przygotowuję się do egzaminu końcowego.

Locke omiół wzrokiem portrety i znów spojrzał na Mitcha.

— Rozumiem. A dlaczego tak im się przyglądasz?

— Z ciekawości. Firma odnotowała wiele tragedii.

— Wszyscy już nie żyją. Prawdziwa tragedia wydarzy się, jeśli nie zdasz egzaminu.

— Mam zamiar go zdać.

— Słyszałem co innego. Twój tryb przygotowań budzi zaniepokojenie wspólników.

— A czy wspólnicy narzekają też na zbyt wysokie fakturowanie?

— Nie wymądrzaj się. Uprzedzono cię, że egzamin ma pierwszeństwo przed wszystkim innym. Pracownik bez licencji jest w tej firmie niepotrzebny.

Mitchowi przemknął przez głowę tuzin celnych ripost, ale dał spokój.

Locke cofnął się w głąb korytarza i zniknął. Mitch wrócił do siebie, zamknął drzwi i schował do szuflady kartkę z pięcioma nazwiskami, po czym pochylił się nad podręcznikiem prawa konstytucyjnego.

# Rozdział 10

By uniknąć przesiadywania w biurze lub domu w sobotę po egzaminie, Mitch całe przedpołudnie spędził w ogrodzie na kopaniu rabatek i czekaniu. Po odnowieniu dom stał się jeszcze atrakcyjniejszy i oczywiście pierwszymi gośćmi musieli być rodzice Abby. Przez cały ostatni tydzień Abby go sprzątała i dopieszczała i nie można już było dużej zwlekać. Mitch obiecał, że postara się być dla nich bardzo miły.

Umył i nawoskował oba nowe samochody, doprowadzając je do takiego stanu, jakby dopiero co wyjechały z salonu. Trawnik został przystrzyżony i oczyszczony przez chłopaka z sąsiedztwa. Pan Rice od miesiąca traktował go nawozem i jak lubił mówić, trawa przypominała teraz „murawę na polu golfowym”.

Rodzice przyjechali koło południa i Mitch z niechęcią oderwał się od rabatek. Powitał ich z uśmiechem, przeprosił za swój wygląd i poszedł do domu umyć się i przebrać. Widział, że czują się skrępowani, i bardzo mu to pasowało. Stał długo pod prysznicem, czekając, aż Abby ich oprowadzi i pokaże każdy nowy mebel i każdy skrawek tapety. Takie rzeczy robiły na Sutherlandach wrażenie. Zawsze pasjonowały ich przedmioty. Patrzyli na nie pod kątem tego, czy inni je mają, czy nie. On był prezesem małego lokalnego banku, który od dziesięciu lat balansował na granicy upadku. Ona była zbyt ważna, żeby pracować, i całe dorosłe życie strawiła na zabieganiu o awans społeczny w miasteczku, w którym żaden awans nie był możliwy. Prześledziła swoje pochodzenie wiele pokoleń wstecz i utrzymywała, że ma królewskie korzenie w jednym z krajów starego kontynentu, co na górnikach

z kopalni węgla w Danesboro w Kentucky robiło wielkie wrażenie. Mając domieszkę błękitnej krwi, nie mogła robić nic poza popijaniem herbaty, grą w brydża, rozprowadaniem o pieniądzach męża, potępianiem nieudaczników, którym się nie powiodło, a także udzielaniem się w Klubie Ogrodników. On był nadętą kukłą, stającą na baczność na każde jej warknięcie i żyjącą w wiecznym strachu, że czymś ją urazi. Oboje oczekiwali, że ich córka będzie we wszystkim najlepsza, osiągnie najlepsze wyniki w nauce i — co najważniejsze — dobrze wyjdzie za męża. Córka wycięła im numer i wyszła za gołodupca bez rodziny, jeśli nie liczyć matki wariatki i brata kryminalisty.

— Ładnie tu u was, Mitch — powiedział pan Sutherland, próbując przełamać lody. Usiedli do lunchu i zaczęli podawać sobie talerze z jedzeniem.

— Dzięki. — Ani słowa więcej, tylko suche „dzięki”. Mitch całą uwagę poświęcał jedzeniu. Nie miał ochoty okraszać lunchu wymuszonymi uśmiechami. Im mniej będzie się odzywał, tym bardziej będą skrepowani. A on chciał, żeby czuli się niepewnie, żeby czuli, iż popełnili błąd, żeby mieli poczucie winy. Chciał, żeby się pocili i krwawili. To oni postanowili zbojkotować ich ślub. To oni pierwsi rzucili kamieniem, nie on.

— Wszystko tu takie śliczne — zaszcebiotała pani Sutherland.

— Dzięki.

— Jesteśmy z tego bardzo dumni, mamó — powiedziała Abby.

Rozmowa od razu zeszła na odnowienie domu. Mężczyźni w milczeniu słuchali, jak kobiety rozwodzą się nad tym, co dekoratorka zrobiła w tym pokoju, a co wymyśliła w tamtym. Chwilami czuło się, że Abby chce desperacko zapęłnić ciszę słowami i plecie, co jej ślina na język przyniesie. Mitch prawie jej współczuł, ale ani na moment nie oderwał wzroku od stołu. Wiszącą nad nim gęstą atmosferę można by kroić nożem.

— Więc znalazłaś pracę? — upewniła się pani Sutherland.

— Tak. Zaczynam w następny poniedziałek. Będę uczyła trzecioklasistów w episkopalnej szkole Świętego Andrzeja.

— Nauczyciele marnie zarabiają — prychnął jej ojciec.

On jest nie do pobicia, pomyślał Mitch.

— Nie robię tego dla pieniędzy, tato. Jestem nauczycielką. Dla mnie to najważniejszy zawód na świecie. Jeśli zależałoby mi na pieniądzach, poszłabym na medycynę.

— Trzecioklasiści — powtórzyła matka. — To taki uroczy wiek. Pewnie niedługo będziesz chciała mieć własne dzieci.

Mitch już wcześniej doszedł do wniosku, że jeśli cokolwiek będzie tych ludzi ciągnąć do Memphis, to wnuki. I dlatego wcale mu się nie spieszyło. Nigdy nie miał kontaktu z dziećmi. Nie miał żadnych bratanic ani bratanków, chyba że Ray bez jego wiedzy spędził jakieś gdzieś w kraju. Nie miał okazji zbudować w sobie powinowactwa z maluchami.

— Może za parę lat, mamó.

Może gdy już oboje umrą, dodał w myślach Mitch.

— A ty chciałbyś mieć dzieci, prawda Mitch? — spytała teściowa.

— Może za parę lat.

Pan Sutherland odsunął talerz i zapalił papierosa. W ciągu paru dni poprzedzających wizytę rodziców Abby i Mitch kilkakrotnie omawiali kwestię palenia. Mitch domagał się całkowitego zakazu palenia w domu, zwłaszcza przez nich. Kilka razy się pokłócili, ale Abby się uparła.

— Co z egzaminem adwokackim? — spytał teść.

To może być ciekawe, pomyślał Mitch.

— Był wyczerpujący.

Abby nerwowo żuła jedzenie.

— Ale myślisz, że zdałeś?

— Mam nadzieję.

— Kiedy będzie wiadomo?

— Za cztery do sześciu tygodni.

— Jak długo to trwało?

— Cztery dni.

— Od czasu przeprowadzki nie robił nic, tylko się uczył i pracował. Tego lata niewiele miałam z niego pożytku — wtrąciła Abby.

Mitch uśmiechnął się do żony. Jego ciągła nieobecność w domu stała się punktem zapalnym i zabawnie było słuchać, jak teraz Abby próbuje go tłumaczyć.

— Co będzie, jeśli się okaże, że nie zdałeś? — dążył ojciec.

— Nie wiem. Nie zastanawiałem się.

— A za zdanie dadzą ci podwyżkę?

Mitch chciał dotrzymać obietnicy i być miły, ale nie było to łatwe.

— Tak, dużą podwyżkę i dużą premię.

— Ilu macie prawników w firmie?

— Czterdziestu.

— Boże święty! — wykrzyknęła pani Sutherland, która też zapaliła damskiego papierosa. — Chyba w całym okręgu Dane nie ma tyłu.

— Gdzie masz biuro? — chciał wiedzieć pan Sutherland.

— W centrum.

— Możemy je zobaczyć?

— Może innym razem. W soboty jest zamknięte dla gości. — Mitcha rozbawiła jego własna odpowiedź. „Zamknięte dla gości”. Jakby chodziło o jakieś muzeum.

Abby wyczuła nadciągającą katastrofę i zaczęła mówić o kongregacji kościelnej, do której przystąpili. Liczyła cztery tysiące dusz i miała własną salę gimnastyczną oraz kręgielnię. Abby śpiewała w chórze i uczyła ośmiolatki w szkółce niedzielnej. Mitch chodził do kościoła, o ile czas mu na

to pozwalał, ale większość niedziel spędzał w pracy.

— Jakże jestem szczęśliwy, Abby, że znalazłaś sobie miejsce w Kościele — powiedział ojciec tonem religijnego uniesienia. Od lat w każdą niedzielę prowadził modlitwy w Pierwszym Kościele Metodystów w Danesboro, poświęcając pozostałe sześć dni tygodnia na zaspokajanie swojej chciwości i żądz manipulacji. Ray był przekonany, że systematycznie — choć potajemnie — zaspokaja też żądzę whisky i kobiet.

Rozmowa się urwała i przy stole zapadło niezręczne milczenie. Ojciec Abby zapalił następnego papierosa. Pal sobie, staruszk, pomyślał Mitch. Pal.

— Przejdźmy na deser na patio — zaproponowała Abby i zabrała się do sprzątanania ze stołu.

Pochwalili jego umiejętności ogrodnicze i Mitch bez słowa przyjął pochwałę. Ten sam chłopak z sąsiedztwa przyciął też gałęzie drzew, powyrywał chwasty, wyrównał żywopłot i oczyścił skraj patia. Mitch na swoje konto mógł zapisać jedynie pielienie i zbieranie psich kup. Umiał też włączyć zraszacze, ale zwykle zostawiał to panu Rice'owi.

Abby podała kruchy placek z truskawkami i kawę. Spojrzała bezradnie na męża, ale Mitch siedział nieporuszony.

— To naprawdę ładne miejsce — powiedział ojciec po raz trzeci, przyglądając się otoczeniu domu. Mitch czuł, co się dzieje w jego głowie. Rozejrzał się już po domu i sąsiedztwie i dręcząca go ciekawość stawała się nie do zniesienia. Ile to wszystko, cholera, kosztowało? Musiał to wiedzieć. Ile wyniosła pierwsza wpłata? Ile miesięczna rata? Wszystko. Będzie tak długo robił podchody, aż w końcu nadarzy się okazja i zapyta wprost.

— To urocze miejsce — zaćwierkała matka po raz dziesiąty.

— Kiedy zbudowano ten dom? — zapytał ojciec.

Mitch odstawił talerzyk i odchrząknął. Czuł, że zbliża się ten moment.



— Mniej więcej piętnaście lat temu — odrzekł.

— Jaką ma powierzchnię?

— Około dwustu metrów kwadratowych — odpowiedziała nerwowo Abby i Mitch skarcił ją wzrokiem. Zaczynał tracić cierpliwość.

— I takie urocze sąsiedztwo — dorzuciła jej matka.

— To nowy kredyt czy przejąłeś istniejący? — zapytał ojciec takim tonem, jakby miał przed sobą klienta ze słabym zabezpieczeniem kredytowym.

— Wziąłem nowy kredyt — powiedział Mitch. Abby milczała, modląc się w duchu.

Ojciec nie wytrzymał. Nie mógł dłużej czekać.

— Ile cię to kosztowało?

Mitch westchnął głęboko. Miał zamiar powiedzieć „za dużo”, ale Abby go ubiegła.

— Niezbyt dużo, tatusiu — powiedziała twardo, ściągając brwi. — Potrafimy dobrze gospodarować naszymi pieniędzmi.

Mitch zdobył się na uśmiech i przygryzł sobie język.

Pani Sutherland zerwała się od stołu.

— Chodźmy się przejechać po mieście, dobrze? Chciałabym zobaczyć rzekę i tę nową piramidę, którą nad nią zbudowali. Możemy? Chodźmy, Haroldzie.

Harold chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o domu, ale jego żona pociągnęła go za rękę.

— Doskonały pomysł. — Abby się uśmiechnęła.

Wszyscy wsiedli do lśniącego nowością bmw i pojechali popatrzeć na rzekę. Abby poprosiła rodziców, żeby w samochodzie nie palili. Mitch prowadził w milczeniu i starał się być miły.

# Rozdział 11

Nina wparowała do gabinetu z naręczem papierów i położyła je na biurku Mitcha.

— Trzeba to podpisać — oznajmiła, wręczając mu pióro.

— Czego to wszystko dotyczy? — spytał, posłusznie gryzmołąc podpis.

— Niech pan nie pyta. Proszę mi zaufać.

— W umowie Landmark Partners znalazłem błąd ortograficzny.

— To wina komputera.

— Rozumiem. To proszę naprawić komputer.

— Do której pan dziś pracuje?

Mitch przejrzał dokumenty i na każdym złożył podpis.

— Nie wiem. A bo co?

— Bo wygląda pan na zmęczonego. Niech pan wcześniej pójdzie do domu, tak koło dziesiątej czy wpół do jedenastej, i odpocznie. Pańskie oczy zaczynają przypominać oczy Nathana Locke'a.

— Bardzo śmieszne.

— Dzwoniła żona.

— Zadzwoń do niej za chwilę.

Skończył podpisywanie i Nina zebrała wszystkie papiery.

— Już piąta. Idę do domu. Oliver Lambert czeka na pana w bibliotece na parterze.

— Oliver Lambert? Czeka na mnie? — zdziwił się Mitch.

— Przecież mówię. Zadzwoił jakieś pięć minut temu. Powiedział, że to bardzo ważne.

Mitch poprawił krawat i ruszył szybko korytarzem, zbiegł po schodach i już spokojnym krokiem wszedł do biblioteki. Przy stole konferencyjnym siedział Lambert, Avery i gromada prawników. Obecni byli wszyscy pracownicy, stali za plecami wspólników. Krzesło u szczytu stołu było wolne, jakby na kogoś czekało. Na sali panowała ponura cisza, nikt się nie uśmiechał. Siedzący przy wejściu Lamar unikał jego wzroku, Avery wyglądał na lekko zmieszanego i zażenowanego. Wally Hudson zwinął w rurkę koniec muszki i pokręcił głową.

— Siadaj, Mitch — powiedział Lambert posępnym głosem. — Musimy o czymś z tobą porozmawiać.

Doug Turney zamknął za nim drzwi.

Mitch usiadł i spojrzał na twarze zebranych, szukając w nich oparcia. Nie znalazł go. Wspólnicy odsunęli się z fotelami od stołu i zwrócili do niego twarzami, jakby zwierali szyki. Pracownicy otoczyli go, nie spuszczając z niego wzroku.

— Co się stało? O co chodzi? — spytał słabym głosem, przenosząc błagalne spojrzenie na Avery'ego. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, serce waliło jak młotem, oddech zrobił się nagle ciężki i płytki.

Oliver Lambert pochylił się nad stołem i zdjął okulary. Skrzywił się boleśnie, jakby to, co ma do powiedzenia, sprawiało mu przykrość.

— Dostaliśmy wiadomość z Nashville, Mitch, i chcieliśmy z tobą o tym porozmawiać.

Nashville! Egzamin adwokacki! Nie zdał! Przejdzie do historii jako pierwszy pracownik wielkiej firmy Bendiniego, który oblał egzamin. Wlepił gniewne spojrzenie w Avery'ego, jakby chciał powiedzieć: „To wszystko twoja wina!”. Avery pomasażował sobie czoło, jak ktoś zmagający się z migreną, i odwrócił wzrok. Lambert powiódł zbolowanym spojrzeniem po wspólnikach i powrócił wzrokiem do Mitcha.

— Obawialiśmy się, Mitch, że coś takiego może się zdarzyć.

Chciał się usprawiedliwić, prosić o jeszcze jedną szansę za sześć miesięcy, obiecać, że wtedy zda śpiewająco i nie przyniesie im wstydu. Poczł ostry ból w dolnej części ciała.

— Tak, proszę pana — wyjąkał zgnębiony.

Lambert szykował się do zadania końcowego ciosu.

— Ludzie z Nashville poinformowali nas, że uzyskałeś najlepszy wynik ze wszystkich aplikantów! Gratulacje!

Sala eksplodowała huraganem śmiechu i wiwatów. Wszyscy obścąpili go i zaczęli ścisnąć mu rękę, poklepywać po plecach, śmiać się z jego miny. Avery precisnął się z chustką w rękę i wytarł mu czoło. Kendall Mahan postawił na stole trzy butelki szampana i je odkorkował. Rozlano szampana do plastikowych kieliszków. Mitch wreszcie zaczął oddychać i jego twarz rozjaśnił uśmiech. Wypił duszkiem zawartość kieliszka, a oni znów mu go napełnili.

Oliver Lambert objął go po przyjacielsku za szyję.

— Mitch, jesteśmy z ciebie bardzo dumni — powiedział. — Jesteś trzecim pracownikiem naszej firmy, który zdobył złoty medal. Dlatego uważamy, że zasługujesz na specjalną premię. Oto czek firmowy na dwa tysiące dolarów, który wręczam ci jako małą nagrodę za twój sukces.

Salę wypełniły pokrzykiwania i gwizdy.

— To oczywiście w uzupełnieniu do znaczącej podwyżki, na którą zasłużyłeś.

Kolejne okrzyki i gwizdy. Mitch wziął do ręki czek, ale nawet na niego nie spojrział.

Lambert podniósł rękę i poprosił o ciszę.

— Chciałbym w imieniu firmy wręczyć ci również to

— oznajmił. Lamar podał mu paczkę owiniętą w brązowy papier,

Lambert ją rozpakował i położył na stole. — To pamiątkowa plakietka, którą przygotowaliśmy wcześniej na tę okazję. To zrobione z brązu faksymile naszego papieru firmowego, na którym są nazwiska wszystkich naszych prawników. Jak widzisz, nazwisko mecenasa Mitchella Y. McDeere'a zostało już dodane.

Wręczył Mitchowi plakietkę, a ten przyjął ją trochę zmieszany. Czuł, że na jego twarz wracają rumieńce, a wypity szampan zaczyna mu poprawiać nastrój.

— Dziękuję — powiedział cicho.

• • •

Trzy dni później w lokalnej gazecie wydrukowano listę nazwisk prawników, którzy zdali egzamin. Abby kupiła kilka egzemplarzy, wycięła listę i wysłała wycinki do rodziców i jeden do Raya.

Parę dni później Mitch odkrył niedaleko Domu Bendiniego, między Front Street a Riverside Drive w pobliżu rzeki małe delikatesy. Była to nieduża dziupla w ścianie budynku, gdzie nielicznym klientom serwowano tłuste parówki z chili, ale jemu się tam podobało, bo mógł wyskakiwać na lunch i pracować nad jakimś dokumentem, nie przerywając jedzenia. Jako pełnoprawny pracownik firmy mógł równocześnie jeść hot doga i naliczać sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

Tydzień po ogłoszeniu nazwisk w gazecie Mitch siedział przy stoliku pod tylną ścianą i jadł pikantną kiełbaskę. Lokal był pusty i mógł spokojnie skupić się na wertowaniu grubego na dwa palce prospektu. Prowadzący lokal Grek drzemał za kasą.

Do stolika zbliżył się nieznajomy mężczyzna. Zatrzymał się w odległości dwóch metrów i zajął otwieraniem opakowania juicy fruit, niemiłosiernie szeleszcząc celofanową osłonką. Stwierdziwszy, że nie zwrócił tym niczyjej

uwagi, po prostu podszedł i bez słowa usiadł przy stoliku Mitcha. Ten spojrzał na intruza i odłożył czytany dokument na stół przykryty serwetą w biało-czerwoną kratę, obok szklanki z mrożoną herbatą.

— Mogę czymś służyć? — zapytał.

Intruz spojrzał na kontuar, prześlizgnął się wzrokiem po pustych stolikach i zatrzymał go na Mitchu.

— Pan jest McDeere, tak? — spytał z silnym brooklyńskim akcentem.

Mitch przyjrzał mu się uważnie. Miał około czterdziestki, włosy podgolone po bokach jak wojskowy, na czoło opadał mu długi siwy kosmyk sięgający prawie do brwi. Jego trzyczęściowy garnitur uszyto z materiału z co najmniej dziewięćdziesięcioprocentową domieszką poliestru, krawat był taną imitacją jedwabiu. Trudno było mu zarzucić nadmierną dbałość o wygląd, ale mimo to sprawiał wrażenie schludnego. A także pewnego siebie.

— Tak. A pan? — spytał Mitch.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął odznakę.

— Tarrance, Wayne Tarrance, agent specjalny FBI. — Uniósł brwi w oczekiwaniu na reakcję.

— Chce mnie pan obszukać?

— Nie teraz. Chciałem tylko pana poznać. Widziałem pańskie nazwisko w gazecie i słyszałem, że jest pan nowym nabytkiem firmy Bendini, Lambert i Locke.

— Dlaczego miałyby to interesować FBI?

— Interesuje nas cała firma.

Mitch stracił apetyt na hot doga z chili, odsunął talerz i dosypał trochę słodziku do herbaty w dużym styropianowym kubku.

— Chce się pan czegoś napić? — spytał.

— Nie, dziękuję — odrzekł agent.

— Dlaczego interesuje was ta firma?

Tarrance uśmiechnął się i zerknął w stronę Greka.

— Na razie nie mogę odpowiedzieć. Mamy swoje powody, ale nie przyszedłem tu, żeby o tym rozmawiać. Przyszedłem pana poznać i ostrzec.

— Ostrzec mnie? — zdziwił się Mitch.

— Tak, ostrzec pana co do firmy.

— Słucham.

— Trzy rzeczy. Po pierwsze, proszę nikomu nie ufać. W całej firmie nie ma nikogo, kogo mógłby pan obdarzyć zaufaniem. Proszę o tym pamiętać. To się stanie ważne później. Po drugie, każde wypowiedane przez pana słowo obojętne gdzie: w domu, w biurze, gdziekolwiek w budynku, jest zapewne nagrywane. Prawdopodobnie założyli podsłuch nawet w pańskim samochodzie.

Mitch przyglądał mu się uważnie, wsłuchując się w każde jego słowo. Tarrance'owi chyba to pochlebiało.

— A po trzecie?

— Po trzecie, pieniądze nie rosną na drzewach.

— Zechce pan to rozwinąć?

— Na razie nie mogę. Myślę, że pan i ja nawiążemy bliższą znajomość. Chciałbym, żeby pan mi ufał, i wiem, że będę musiał na to zasłużyć. Dlatego nie chcę działać pochopnie. Nie możemy się spotykać ani u pana w biurze, ani u mnie. Nie możemy nawet rozmawiać przez telefon. Dlatego od czasu do czasu będę pana znajdował. Na razie proszę pamiętać o tych trzech sprawach i zachować ostrożność.

Tarrance wstał i sięgnął do kieszeni po portfel.

— Tu jest moja wizytówka. Na odwrocie zapisałem numer domowy. Proszę dzwonić tylko z ulicznej budki.

Mitch przyjrzał się wizytówce.

— Po co w ogóle miałbym do pana dzwonić? — prychnął.

— Na razie nie będzie pan miał powodu. Ale proszę ją zachować.

Mitch schował wizytówkę do kieszonki koszuli.

— Jeszcze jedno — powiedział Tarrance. — Widzieliśmy pana na pogrzebach Hodge'a i Kozinskiego. To bardzo smutna historia. Ich śmierć nie była przypadkowa.

Spojrzał na Mitcha i lekko się uśmiechnął.

— Nie rozumiem — wybąkał Mitch.

Tarrance z rękami w kieszeniach ruszył do drzwi.

— Niech pan kiedyś do mnie zadzwoni, tylko proszę uważać — rzucił na odchodnym. — I niech pan pamięta, że oni słuchają.

• • •

Dutch usłyszał klakson parę minut po czwartej i aż podskoczył. Zaklął pod nosem, wyszedł z budki i podszedł do jarzących się reflektorów.

— Cholera jasna, Mitch! Jest czwarta rano. Co pan tu robi?

— Przepraszam, Dutch. Nie mogłem spać. Miałem ciężką noc.

Brama się otworzyła.

Do wpół do ósmej zdążył przedyktować tyle tekstu, że Nina będzie miała co robić przez dwa dni. Siedząc z nosem w monitorze, mniej się na nim wyżywała. Jego ambicją było zostanie pierwszym prawnikiem w firmie, któremu przydzielą drugą sekretarkę.

O ósmej usiadł w gabinecie Lamara i zaczął czekać, szczytując w tym czasie tekst kontraktu, wypijając dwie kawy i mówiąc sekretarce Lamara, żeby pilnowała swojego nosa. Lamar zjawił się o ósmej piętnaście.

— Musimy porozmawiać — powiedział Mitch, zamykając za nim drzwi. Jeśli Tarrance mówił prawdę, gabinet jest na podsłuchu i ich rozmowa zostanie nagrana. Nie bardzo wiedział, komu wierzyć.

— Zabrzmiało to poważnie — stwierdził Lamar.



— Słyszałeś kiedyś o facecie o nazwisku Tarrance? Wayne Tarrance?

— Nie.

— Z FBI.

Lamar przymknął oczy.

— Z FBI — powtórzył.

— Tak. Miał odznakę i w ogóle.

— Gdzie go spotkałeś?

— On spotkał mnie u Lansky'ego przy Union. Znał moje nazwisko i wiedział, że właśnie zostałem przyjęty. Oświadczył, że wie o firmie wszystko, bo się nami interesują.

— Powiedziałaś Avery'emu?

— Nikomu poza tobą. Nie bardzo wiem, co powinienem zrobić.

Lamar sięgnął po słuchawkę.

— Musimy zawiadomić Avery'ego. O ile wiem, to nie pierwszy taki przypadek.

— Co się tu dzieje, Lamar?

Lamar połączył się z sekretarką Avery'ego i poinformował, że sytuacja jest awaryjna. Po paru sekundach miał na linii Avery'ego.

— Mamy mały problem, Avery — rzucił do słuchawki. — Mitcha zaczął wczoraj agent FBI. Jest on teraz u mnie.

Słuchał przez chwilę, po czym spojrział na Mitcha.

— Kazał mi czekać. Powiedział, że od razu zadzwoni do Lamberta.

— Rozumiem, że to poważna sprawa — rzekł Mitch.

Lamar przyłożył słuchawkę do ucha, znów przez chwilę słuchał i ją odłożył.

— Za dziesięć minut mamy być u Lamberta — oznajmił.

W gabinecie czekali już Avery, Royce McKnight, Harold O'Kane, Nathan Locke i oczywiście Lambert. Wszyscy stali wokół niedużego stołu

konferencyjnego, zachowując pozory beztroski, ale było widać, że są zdenerwowani.

— Siadaj — rzekł Nathan Locke z plastikowym uśmiechem na twarzy.

— Chciałbym, żebyś nam wszystko dokładnie opowiedział.

— A to po co? — zdziwił się Mitch, wskazując magnetofon na środku stołu.

— Nie chcemy niczego przegapić — wyjaśnił Locke i wskazał puste krzesło. Mitch usiadł i wlepił wzrok w Czarnookiego. Avery między nimi. Nikt nie powiedział słowa.

— No więc tak. Poszedłem wczoraj na lunch do Lansky'ego przy Union. W pewnej chwili wszedł jakiś facet i usiadł przy moim stoliku. Znał moje nazwisko, pokazał mi odznakę i oświadczył, że nazywa się Wayne Tarrance i jest agentem specjalnym FBI. Przyjrzałem się odznace, była prawdziwa. Powiedział, że chce mnie poznać, bo będziemy się często widywali. Powiedział też, że mają tę firmę na oku i że bym nikomu nie ufał. Spytałem dlaczego, a on powiedział, że nie ma teraz czasu na wyjaśnienia, ale zrobi to później. Nie wiedziałem, jak zareagować, więc tylko siedziałem i słuchałem. Powiedział, że się jeszcze odezwie. Już wychodząc, dodał, że widzieli mnie na pogrzebach. A potem jeszcze, że śmierć Kozinskiego i Hodge'a nie była przypadkowa. I sobie poszedł. Wszystko nie trwało nawet pięciu minut.

Czarnooki siedział wpatrzony w Mitcha, chłonąc każde jego słowo.

— Widziałeś już kiedyś tego człowieka? — spytał.

— Nigdy.

— Komu o tym opowiedziałeś?

— Tylko Lamarowi. Powiedziałem mu dziś z samego rana.

— A żonie?

— Nie.

— Zostawił ci numer telefonu, na który masz zadzwonić?

— Nie.

— Chcę znać każde słowo, jakie zostało wypowiedziane — powiedział z naciskiem Locke.

— Nie pamiętam tak słowo w słowo. Powiedziałem panu wszystko, co zapamiętałem.

— Na pewno?

— Chwileczkę, niech pomyślę. — Mitch postanowił przemilczeć parę drobiazgów i teraz, patrząc na Czarnookiego, czuł, że tamten podejrzewa, iż czegoś nie powiedział.

— Zaraz. Powiedział też, że znalazł moje nazwisko w gazecie i wiedział, że jestem tu nowy. Tak, nic więcej. Wszystko przekazałem. To była bardzo krótka rozmowa.

— Spróbuj przypomnieć sobie wszystko — naciskał Locke.

— Spytałem go jeszcze, czy chce się napić herbaty. Odmówił.

Magnetofon został wyłączony i wspólnicy jakby trochę odetchnęli. Locke podszedł do okna.

— Mitch, w przeszłości miewaliśmy już kłopoty zarówno z FBI, jak i z urzędem skarbowym. Ciągnie się to od lat. Niektórzy z naszych klientów to kombinatorzy: bogaci faceci, którzy zarabiają miliony, wydają miliony i starają się płacić jak najmniejsze podatki lub nie płacić ich wcale. Płacą nam tysiące dolarów za to, że pomagamy im unikać podatków zgodnie z prawem. Cieszymy się opinią agresywnej firmy i nie wahamy się podejmować ryzyka, jeśli nasi klienci sobie tego życzą. Mówimy o bardzo wytrawnych biznesmenach, którzy wiedzą, co to ryzyko, i szczerze wynagradzają nas za kreatywność. Niektóre obmyślane przez nas schrony podatkowe i sposoby na odpisywanie od podatku bywały kwestionowane przez urząd skarbowy. Nieraz w ciągu minionych dwudziestu lat walczyliśmy z nimi przed sądem. Nie kochają nas, a my ich. Niektórzy nasi klienci nie zawsze mogą się

pochwalić najwyższymi standardami etycznymi i FBI wielokrotnie ich nękało. W ciągu ostatnich trzech lat zaczęło też nękać nas. Tarrance to żółtodziób, któremu marzy się kariera. Zajmuje się nami od niecałego roku i strasznie się nas czepia. Nie wolno ci więcej z nim rozmawiać. Wasza wczorajsza rozmowa została zapewne nagrana. To człowiek niebezpieczny, skrajnie niebezpieczny. Nie gra fair, podobnie jak większość federalnych.

— Jak wielu z tych klientów dostało wyroki skazujące? — spytał Mitch.

— Żaden. Wygrali sprawę przed sądem, podobnie jak my nasze potyczki sądowe z urzędem skarbowym — odpowiedział Locke.

— A co ze śmiercią Kozinskiego i Hodge'a?

— Dobre pytanie — włączył się Oliver Lambert. — Sami tego nie wiemy. Początkowo wyglądało to na wypadek, ale nie jesteśmy już tacy pewni. Razem z Martym i Joem na łodzi znajdował się miejscowy. Pełnił funkcję szypra i kierował nurkowaniem. Tamtejsze władze powiadomiły nas, że był być może kluczowym ogniwem w siatce narkotykowej z bazą na Jamajce i że wybuch mógł być zamachem na niego. Oczywiście on też zginął.

— Pewnie nigdy się nie dowiemy — rzekł Royce McKnight. — Miejscowa policja nie jest zbyt kompetentna. Naszym obowiązkiem jest zaopiekowanie się rodzinami i z naszego punktu widzenia był to wypadek. Ale tak naprawdę nie bardzo wiemy, co z tym zrobić.

— W każdym razie ani słowa nikomu — przypomniał Nathan Locke. — Trzymaj się z daleka od Tarrance'a, a jeśli znów się z tobą skontaktuje, natychmiast daj nam znać. Rozumiesz?

— Tak, proszę pana.

— Nie mów o tym nawet żonie — dodał Avery.

Mitch kiwnął głową.

Twarz Olivera Lamberta złagodniała, wyglądał teraz jak dobroduszny

dziadek. Uśmiechnął się, obracając w palcach okulary.

— Mitch, zdajemy sobie sprawę, że brzmi to przerażająco, ale już do tego przywykliśmy. Zostaw to nam i miej do nas zaufanie. Nie boimy się pana Tarrance'a, całego FBI, skarbowki ani kogokolwiek innego, bo nie zrobiliśmy nic złego. Anthony Bendini zbudował tę firmę dzięki ciężkiej pracy, talentowi i niezłomnym zasadom etycznym. I te zasady zostały nam wszystkim wpojone. Niektórzy z naszych klientów nie zaliczają się do świętych, ale prawnik nie jest od tego, żeby narzucać zasady moralne klientom. Nie chcemy, żebyś się tym zamartwiał. Unikaj tego człowieka, bo to bardzo niebezpieczne indywidualium. Jeśli zaczniesz z nim rozmawiać, od razu nabierze pewności siebie i już się nie odczepi.

Locke wycelował w Mitcha zakrzywiony palec.

— Dalsze kontakty z Tarrance'em zaszkodzą twojej przyszłości w tej firmie — powiedział.

— Rozumiem.

— On rozumie — odezwał się pojednawczo Avery. Locke przewiercił go spojrzeniem.

— To wszystko, Mitch — rzekł Lambert. — Pamiętaj, bądź ostrożny.

Mitch i Lamar skierowali się do drzwi i ruszyli korytarzem w stronę schodów.

— Połącz się z DeVasherem — warknął Locke i Lambert bez słowa podniósł słuchawkę. Dwie minuty później obaj współpracownicy seniorzy zostali wpuszczeni do twierdzy na czwartym piętrze i usiedli przed zawałonym papierami biurkiem szefa ochrony.

— Słuchałeś? — upewnił się Locke.

— Pewnie, że słuchałem, Nat. Słyszeliśmy każde słowo tego chłopca. Doskonale to rozegrałeś. Myślę, że jest przerażony i będzie uciekał przed Tarrance'em.

— A co z Lazarovem?

— Muszę mu o wszystkim powiedzieć. W końcu jest naszym szefem. Nie możemy udawać, że nic się nie stało.

— I co zrobią?

— Nic wielkiego. Uruchomimy całodobową inwigilację chłopaka, będziemy monitorowali wszystkie jego rozmowy telefoniczne. I poczekamy. On sam nie wykona żadnego ruchu. Wszystko będzie zależeć od tamtego. Tarrance na pewno się do niego zgłosi, a wtedy my też tam będziemy. Spróbujcie w miarę możliwości trzymać go w budynku. Jeśli będzie musiał wyjść, dajcie nam znać. Ale nie sądzę, żeby było aż tak groźnie.

— Dlaczego wybrali McDeere'a? — zastanawiał się Locke.

— Pewnie w ramach nowej strategii. Pamiętajcie, że Kozinski i Hodge sami się do nich zgłosili. Może powiedzieli więcej, niż sądzimy. Nie wiem. Może uważają, że McDeere będzie najłatwiejszym celem, bo jest tuż po szkole i ma jeszcze szczeniackie ideały. I niezłomne zasady etyczne, jak nasz niezłomnie etyczny przyjaciel Ollie. To było świetne, Ollie, naprawdę świetne.

— Przymknij się, DeVasher.

DeVasher przestał się uśmiechać i przygryzł dolną wargę, ale przełknął tę zniewagę.

— Wiesz, co teraz będzie, prawda? — Przeniósł wzrok na Locke'a. — Jeśli ten idiota Tarrance nie odpuści, to któregoś dnia Lazarov zadzwoni i każe mi go załatwić. Uciszyć na dobre. Wsadzić do beczki i wrzucić do zatoki. A gdy do tego dojdzie, wy wszyscy jako szanowani obywatele przejście na wcześniejsze emerytury i wyjedziecie z kraju.

— Lazarov nie da zlecenia na agenta.

— No cóż, byłoby to durne posunięcie, ale Lazarov to dureń. Bardzo go ta sytuacja niepokoi. Często dzwoni i zadaje mnóstwo pytań. A ja udzielam

mu mnóstwa odpowiedzi. Czasami słucha, czasami się wścieka. Czasami mówi, że musi porozmawiać z zarządem. Ale jeśli każe załatwić Tarrance'a, to Tarrance zostanie załatwiony.

— Niedobrze mi się robi, gdy tego słucham — mruknął Lambert.

— Niech ci się robi, Ollie. Pozwól jednemu ze swoich chłoptasiów w bucikach od Gucciego zaprzyjaźnić się z Tarrance'em i zacząć gadać, to zrobi ci się dużo gorzej niż niedobrze. Proponuję, chłopcy, żebyście zwalili na McDeere'a tyle roboty, żeby nie miał czasu nawet pomyśleć o tym agencie.

— Boże święty, DeVasher, on już pracuje po dwadzieścia godzin na dobę. Zaczął jak burza i ani na moment nie zwolnił.

— Po prostu miejcie go na oku. Każcie Quinowi tak się z nim zaprzyjaźnić, że gdy McDeere'a będzie coś uwierało, to przyjdzie do niego się zwierzyć.

— Dobry pomysł. — Locke skinął głową i spojrzał na Lamberta. — Weźmiemy Quina na dłuższą rozmowę. Jest blisko z McDeere'em i może uda mu się zbliżyć jeszcze bardziej.

— Słuchajcie, chłopcy, McDeere jest przerażony i sam nic nie robi — tłumaczył DeVasher. — Jeśli Tarrance znów się do niego odezwie, to postąpi tak, jak postąpił dziś rano. Poleci prosto do Lamara Quina. Już pokazał, komu ufa.

— Zwierzył się wczoraj żonie? — zapytał Locke.

— Właśnie przesłuchujemy taśmy. To nam zajmie jeszcze z godzinę. Mamy tak cholernie dużo pluskiew w całym mieście, że potrzeba sześciu komputerów, żeby coś znaleźć.

• • •

Mitch stał przy oknie w gabinecie Lamara i ostrożnie dobierał słowa. A

nuż Tarrance mówił prawdę, wszystko jest na podsłuchu i wszystko nagrywają.

— Lepiej się poczułeś? — spytał Lamar.

— Tak, chyba tak. Brzmiało to sensownie.

— Tak jak mówił Locke, to zdarzało się już wcześniej.

— Komu? Kogo wcześniej się czepiali?

— Nie pamiętam. Było to jakieś trzy czy cztery lata temu.

— Nie pamiętasz, o kogo chodziło?

— Nie. A jakie to ma znaczenie?

— Po prostu jestem ciekawy. Nie rozumiem, dlaczego wybrali akurat mnie. Nowego człowieka w firmie, jedyne z czterdziestu prawników, który wie najmniej o firmie i jej klientach. Dlaczego przyszli z tym do mnie?

— Nie wiem, Mitch. Słuchaj, najlepiej posłuchaj rady Locke'a i zapomnij o całej sprawie. Tylko trzymaj się z daleka od tego całego Tarrance'a. Nie musisz z nim w ogóle rozmawiać, chyba że pokaże ci oficjalny nakaz. Gdy znów się odezwie, każ mu spadać. To niebezpieczny koleś.

— Tak, chyba masz rację. — Mitch zmusił się do uśmiechu i ruszył do drzwi. — Jutrzejsza kolacja aktualna, tak?

— Jasne. Kay chce zrobić steki z grilla i zjeść nad basenem. Przyjedźcie odrobinę później, powiedzmy koło wpół do ósmej.

— Do zobaczenia jutro.



## Rozdział 12

Strażnik wywołał go po nazwisku, obszukał i poprowadził do dużego pomieszczenia z rzędem rozmównic, w których goście i więźniowie rozmawiali i szeptali przez oddzielające ich grube siatki.

— Do czternastki — powiedział strażnik i pokazał ręką. Mitch poszedł do rozmównicy i usiadł. Chwilę później przyszedł Ray i zajął miejsce za siatką ograniczoną po bokach przegródkami. Gdyby nie blizna na czole i trochę zmarszczek wokół oczu, mogliby uchodzić za bliźniaków. Obaj mieli metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, ważyli nieco ponad osiemdziesiąt kilo i mieli jasnobrązowe włosy, nieduże niebieskie oczy, wysokie kości policzkowe i wydatne podbródki. Zawsze im mówiono, że płynie w nich indiańska krew, ale ich przodkowie utracili ciemną karnację, pracując latami w kopalniach węgla.

Mitch nie był w Brushy Mountain od trzech lat. Dokładnie od trzech lat i trzech miesięcy. Od ośmiu lat regularnie do siebie pisywali, wymieniając dwa listy w miesiącu.

— Jak twój francuski? — zapytał Mitch. Testy przeprowadzone w wojsku wskazywały na wybitne uzdolnienie językowe Raya. Dwa lata służby spędził jako tłumacz z wietnamskiego. Niemiecki opanował w ciągu sześciomiesięcznej służby w tamtejszej bazie. Nauka hiszpańskiego potrwała cztery lata, ale musiał się go uczyć ze słownika w więziennej bibliotece. Ostatnio zajął się nauką francuskiego.

— Myślę, że można to uznać za biegłą znajomość — odrzekł Ray. — Trochę trudno się tu zorientować. Nie mam z kim ćwiczyć. W programach

edukacyjnych nie przewidują francuskiego i większość tutejszych braci jest jednojęzyczna. To niewątpliwie najpiękniejszy język.

— Trudny?

— W każdym razie trudniejszy od niemieckiego. Oczywiście z niemieckim było łatwiej, bo tam mieszkałem i wszyscy wokół mówili po niemiecku. Czy wiesz, że pięćdziesiąt procent naszego języka przeszło z niemieckiego za pośrednictwem staroangielskiego?

— Nie, nie wiedziałem.

— To prawda. Angielski i niemiecki to kuzyni.

— Jaki będzie następny?

— Chyba włoski. To język romansów, jak francuski, hiszpański i portugalski. Może rosyjski? Może grecki? Czytałem o greckich wyspach. Mam zamiar niedługo się tam wybrać.

Mitch się uśmiechnął. Do ubiegania się o przedterminowe zwolnienie Rayowi zostało jeszcze co najmniej siedem lat.

— Myślisz, że żartuję, co? Wynoszę się stąd, Mitchell, już niedługo.

— Co zamierzasz?

— Nie mogę powiedzieć. Ale pracuję nad tym.

— Ray, nie rób tego.

— Będzie mi potrzebna pomoc na zewnątrz i trochę pieniędzy, żebym mógł wydostać się z kraju. Tysiąc powinien wystarczyć. Będziesz mógł mi to załatwić, nie? Obiecuję, że nie będziesz w nic umoczony.

— Oni tu nie podsłuchują?

— Czasami.

— Porozmawiajmy o czymś innym.

— Jasne. Co u Abby?

— W porządku.

— Gdzie jest teraz?

— Akurat teraz w kościele. Chciała przyjechać, ale jej wytłumaczyłem, że i tak nie zezwolą jej na widzenie.

— Chciałbym ją zobaczyć. Z twoich listów wynika, że dobrze wam się wiedzie. Nowy dom, dwa samochody, członkostwo w country clubie. Jestem z ciebie bardzo dumny. Jesteś pierwszym McDeere'em od dwóch pokoleń, który coś osiągnął.

— Nasi rodzice byli dobrymi ludźmi, Ray. Mieli niewielkie szanse i wielkiego pecha. Ale starali się jak mogli.

Ray się uśmiechnął i odwrócił wzrok.

— No, pewnie tak. Rozmawiałeś z mamą?

— Od dawna nie.

— Nadal mieszka na Florydzie?

— Myślę, że tak.

Zamilkli i wpatrzyli się w swoje palce. Myślenie o matce obu sprawiało ból. Pamiętali lepsze czasy, kiedy byli młodszy i żył ojciec. Matka nigdy nie pozbierała się po jego śmierci, a gdy zginął Rusty, ciotki i wujkowie umieścili ją w zakładzie.

Ray wyprostował palec i powiodł nim po metalowych prętach siatki, a potem go obejrzał.

— Porozmawiajmy o czymś innym — mruknął.

Mitch przytaknął ruchem głowy. Mieli mnóstwo tematów do rozmowy, ale wszystkie dotyczyły przeszłości. Nie łączyło ich nic poza przeszłością, a tę lepiej było zostawić w spokoju.

— Wspomniałeś kiedyś w liście, że jeden z twoich byłych współwięźniów jest teraz prywatnym detektywem w Memphis.

— Eddie Lomax. Przez dziewięć lat był gliniarzem w Memphis, póki go nie wsadzili za gwałt.

— Za gwałt?

— Mhm. Miał ciężkie życie. Gwałciciele nie cieszą się tu sympatią. A byłych gliniarzy wszyscy nienawidzą. Póki się nie wtrąciłem, niewiele brakowało, a by go zamęczyli. Wyszedł jakieś trzy lata temu, ale wciąż do mnie pisze. Zajmuje się głównie śledzeniem niewiernych małżonków w celach rozwodowych.

— Jest w książce telefonicznej?

— Dziewięć-sześć-dziewięć-trzy-osiem-trzy-osiem. A do czego ci potrzebny?

— Mam kolegę prawnika, którego żona się puszcza, a jemu nie udaje się jej przyłapać. A ten twój detektyw jest dobry?

— Bardzo dobry. Przynajmniej tak twierdzi. Zrobił na tym niezłą forszę.

— Można mu zaufać?

— Żartujesz? Powiedz mu, że jesteś moim bratem, a będzie gotów dla ciebie zabić. Pomoże mi się stąd wydostać, tylko jeszcze o tym nie wie. Ale możesz mu o tym wspomnieć.

— Wolałbym, żebyś dał sobie spokój.

Za plecami Mitcha stanął strażnik.

— Trzy minuty — burknął.

— Co ci mogę przysłać? — spytał Mitch.

— Chciałbym cię prosić o przysługę.

— Wszystko, co chcesz.

— Przejdź się do księgarni i kup mi komplet kaset *Grecki w dwadzieścia cztery godziny*. Plus słownik grecko-angielski. Byłbym ci wdzięczny.

— Przyślę ci w przyszłym tygodniu.

— I może też komplet do nauki włoskiego.

— Nie ma problemu.

— Nie mogę się zdecydować, czy lepiej pojechać na Sycylię, czy na wyspy greckie. Naprawdę mam dylemat. Pytałem nawet więziennego

pastora, ale nie mógł mi pomóc. Zastanawiam się, czy zwrócić się z tym do oddziałowego. Co o tym sądzisz?

Mitch parsknął śmiechem i pokręcił głową.

— To już lepiej jedź do Australii.

— Świetny pomysł. To przyślij mi też kurs nauki australijskiego i słownik.

Obaj się uśmiechnęli, ale zaraz spoważnieli i popatrzyli na siebie, czekając tylko na sygnał strażnika. Mitch spojrział na bliznę na czole brata i pomyślał o niezliczonych barach i stoczonych bójkach, z których jakaś musiała skończyć się tragicznie. Ray nazywał to walką w samoobronie. Mitch przez całe lata chciał nakrzyczeć na niego, że jest głupi, ale złość już mu przeszła. Teraz chciałby go objąć i zabrać do domu. I pomóc znaleźć pracę.

— Nie użalaj się nade mną — poprosił Ray.

— Abby chce do ciebie napisać.

— Byłoby fajnie. Ledwo ją pamiętam jako małą dziewczynkę w Danesboro, jak kręci się pod bankiem swojego starego. Powiedz jej, żeby przysłała mi zdjęcie. I chciałbym też zdjęcie waszego domu. Jesteś pierwszym McDeere'em od stu lat, który jest właścicielem nieruchomości.

— Muszę już iść.

— Wyświadczy mi przysługę i odwiedź mamę. Choćby po to, żeby się upewnić, czy żyje. Skończyłeś naukę i byłoby miło wyciągnąć do niej rękę.

— Myślałem o tym.

— To pomyśl jeszcze trochę, dobra?

— Zrobię to. Zobaczymy się za jakiś miesiąc — rzucił Mitch na odchodnym.

• • •

DeVasher zaciągnął się cygarem i wypuścił kłęb dymu w stronę odświeżacza powietrza.

— Znaleźliśmy Raya McDeere'a — oznajmił z dumą.

— Gdzie? — spytał Ollie.

— W więzieniu stanowym w Brushy Mountain. Oskarżony o nieumyślne zabójstwo w Nashville osiem lat temu i skazany na piętnaście bez prawa ułaskawienia. Nazywa się Raymond McDeere, trzydzieści jeden lat, nie ma żony ani dzieci. Odsłużył trzy lata w wojsku. Karnie zwolniony. Prawdziwy nieudacznik.

— Jak go znaleźliście?

— Jego młodszy brat był u niego wczoraj na widzeniu. Tak się złożyło, że pojechaliśmy za nim. Jak pamiętasz, prowadzimy całodobową inwigilację.

— A więc znajduje się w rejestrze skazanych. Powinniście go byli znaleźć wcześniej.

— Zrobilibyśmy to, Ollie, gdyby to było ważne. Ale to nie jest ważne. Robimy co trzeba.

— Piętnaście lat, mówisz? Kogo zabił?

— Typowa historia. Banda ochlapusów pobiła się w barze o babę. Nawet bez użycia broni. W protokole policyjnym i z sekcji jest napisane, że Ray dwukrotnie uderzył ofiarę gołymi pięściami i rozwalił jej czaszkę.

— A za co to karne zwolnienie z wojska? — chciał wiedzieć Ollie.

— Za poważną niesubordynację. Do tego rzucił się na oficera. Nie wiem, jakim cudem nie stanął przed sądem wojennym. Wygląda na niezłego gagatka.

— Masz rację, to nie było ważne. Co jeszcze nowego?

— Niewiele. Wiesz, że mamy w jego domu podsłuch, tak? Żonie nie wspomniał ani słowem o agencie. Mamy go na podsłuchu przez dwadzieścia cztery godziny i mogę ręczyć, że nikomu o tym nie wspomniał.

Ollie uśmiechnął się i pokiwał z zadowoleniem głową. Był naprawdę dumny z McDeere'a. To się nazywa prawnik!

— A jak z seksem?

— Możemy tylko słuchać, Ollie. Wsłuchujemy się bardzo uważnie, ale wygląda na to, że od dwóch tygodni nic między nimi nie było. Oczywiście jest teraz na etapie szesnastogodzinnego magła dziennie, przez który przepuszczacie wszystkich świeżo upieczonych prawników pracoholików, i zdaje się, że ona zaczyna mieć tego dość. Może to zwykły syndrom żony nowicjusza. Często dzwoni do matki, zawsze na jej koszt, żeby mąż się nie zorientował. Poskarżyła się mamusi, że się zmienił. Znamy to. Uważa, że się zabija, tak ciężko pracując. Tyle słyszymy, Ollie, ale nie dysponuję żadnymi obrazkami. Żałuję, bo wiem, jak lubisz obrazki. Gdy tylko nam się uda, dostarczymy też obrazki.

Ollie wbił wściekle spojrzenie w ścianę, ale nic nie powiedział.

— Posłuchaj Ollie — ciągnął DeVasher — myślę, że byłoby dobrze wysłać go z Averym w podróż służbową na Wielki Kajman. Spróbuj to zorganizować.

— Nie ma problemu. Mogę spytać dlaczego?

— Nie teraz. Dowiesz się w swoim czasie.

• • •

Budynek mieścił się w podłej i taniej części śródmieścia, kilka przecznic od potężnych wieżowców ze szkła i stali stojących tak ciasno, jakby ziemia w Memphis była na wagę złota. Tabliczka na drzwiach kierowała na piętro, do biura Eddiego Lomaxa, prywatnego detektywa przyjmującego tylko wcześniej umówionych interesantów. Na drzwiach na piętrze wisiła tablica informująca, że firma prowadzi wszelkiego typu działalność śledczą w celach rozwodowych, a także szuka osób zaginionych i prowadzi obserwację.

Zajmuje się też nieszczęśliwymi wypadkami. Wspomniano również o policyjnych ekspertyzach, była też mowa o zakładaniu podsłuchu, podejmowaniu działań zapobiegawczych, dozorce dzieci, wykonywaniu dokumentacji fotograficznej, zbieraniu dowodów na użytek sądowy, analizie poziomu stresu na podstawie głosu, wyszukiwaniu aktywów, roszczeniach ubezpieczeniowych i przedmażeńskich wywiadach środowiskowych. Firma posiadała poręczenie, była ubezpieczona, miała ważną licencję i działała dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przestrzegała etyki zawodowej, była godna zaufania, dyskretna i zapewniała swoim klientom spokój sumienia.

Taka pewność siebie robiła na Mitchu wrażenie. Był umówiony na siedemnastą, ale przyjechał parę minut wcześniej. Kształtna platynowa blondynka w obcisłej skórzanej spódniczce i czarnych kozakach spytała go o nazwisko i wskazała pomarańczowe plastikowe krzeselko pod oknem. „Eddie za chwilę pana przyjmie”, powiedziała. Mitch przyjrzał się krzeselku i dostrzegł na nim cieniutką warstewkę kurzu i kilka tłustych plam. Podziękował i wyjaśnił, że cierpi na bóle kręgosłupa i woli postać. Sekretarka wzruszyła ramionami i wróciła do żucia gumy i pisania na maszynie jakiegoś pisma. Ciekawe, czy raportu przedmażeńskiego, czy może sprawozdania z wyników obserwacji, a może planu podejmowanych działań zapobiegawczych. Popielniczka na jej biurku była pełna niedopałków z różowymi obwódkami ze szminki. Stukając w klawiaturę lewą ręką, prawą wyćwiczonym ruchem wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa i włożyła między wilgotne wargi. Równie precyzyjnie skoordynowanym ruchem poruszyła lewą ręką i przytknęła płomyk do końca bardzo cienkiego i bardzo długiego papierosa. Płomyk zniknął, jej wargi instynktownie skurczyły się, owinęły wokół cieniutkiego filtra i zaczęły ciągnąć tak zawzięcie, jakby uczestniczyło w tym całe ciało. Litery musiały zamienić się w słowa, słowa w zdania, zdania w akapity, a ona wciąż nie mogła wystarczająco napełnić



płuc dymem. Z dwucentymetrowym stożkiem popiołu na końcu wreszcie przełknęła dym, dwoma palcami z jaskrawoczerwonymi paznokciami wyjęła papierosa z ust i zrobiła wydech. Chmura dymu poszybowała ku zaplamionemu sufitowi, gdzie zmieszała się z już wiszącą chmurą i owionęła zwisającą z sufitu oprawkę świetlówki. Z płuc Tammy wydobył się duszący kaszel, powodując, że jej twarz poczerwieniała, a obfite piersi zafalowały, niebezpiecznie zbliżając się do klawiatury. Chwyciła stojący na biurku kubek i popiła, potem znów włożyła do ust długą papierosa i spokojnie wróciła do pisania.

Po dwóch minutach Mitch poczuł, że jeszcze chwila, a ulegnie zatruciu tlenkiem węgla. Dojrzał niewielki otwór w szybie, którego z jakiegoś powodu pająki nie oplotły pajęczyną. Podszedł do wymiętoszonej i zakurzonej firanki i zaczął przez ten otwór oddychać. Czuł, że robi mu się niedobrze. Z tyłu dochodziły kolejne ataki drażniącego kaszlu i stukanie w klawiaturę. Spróbował otworzyć okno, ale nałożone na siebie i spękane ze starości warstwy farby na dobre zespoliły je z futryną.

Zaczynał czuć lekki zawrót głowy, gdy stukanie i kopczenie nagle ustało i padło pytanie:

— Jest pan prawnikiem?

Mitch odwrócił się od okna i spojrzał na sekretarkę. Przysiadła na krawędzi biurka z nogą założoną na nogę, a jej czarna skórzana spódniczka podjechała wysoko nad kolana. W ręku trzymała puszkę dietetycznej pepsi.

— Tak.

— W dużej firmie?

— Tak.

— Tak myślałam. Poznałam po ciuchach i tej szpanerskiej rozpinanej koszuli ze szpanerskim jedwabnym krawatem we wzorki. Zawsze rozpoznaję prawników z dużych firm w odróżnieniu od szmaciarzy, którzy tylko kręcą

się po budynku sądu.

Dym trochę się przerzedził, oddychanie stało się łatwiejsze i Mitch mógł podziwiać nogi sekretarki, które były świadomie w tym celu wyeksponowane. Ich właścicielka patrzyła teraz na jego buty.

— Czyli aprobejuje pani moje ubranie, tak? — upewnił się.

— Widać, że kosztowało kupę forsy. Krawat też. Ale nie byłabym taka pewna co do koszuli i butów.

Przyglądając się skórzanym kozakom, nogom, spódniczce i obcisłemu sweterkowi opinającemu duże piersi, Mitch szukał w głowie jakiejś fajnej riposty. Sekretarce to, że błądzi po niej wzrokiem, sprawiło wyraźną frajdę i z uśmiechem łyknęła pepsi.

W końcu chyba jej się znudziło, bo kiwnęła głową w stronę wewnętrznych drzwi i powiedziała:

— Może pan już wejść. Eddie czeka na pana.

Lomax rozmawiał przez telefon, próbując przekonać jakiegoś nieszczęśnika, że jego syn naprawdę jest homoseksualistą. Bardzo aktywnym. Nie przerywając rozmowy, wskazał ręką krzesło i Mitch usiadł. W pokoju były dwa okna, oba otwarte na oścież, więc odetchnął z ulgą.

Eddie zrobił zde gustowaną minę i zakrył ręką słuchawkę.

— Płacze — szepnął do Mitcha, który uśmiechnął się posłusznie, jakby go to rozbawiło.

Detektyw miał na sobie niebieskie kowbojki z wężowej skóry, dzinsy i wykrochmaloną na sztywno brzoskwiniową koszulę, rozpiętą niemal do pępka i eksponującą nagą pierś z ciemnym zarostem i dwoma ciężkimi złotymi łańcuchami, jednym wysadzonym kamieniami wyglądającymi na turkusy. Zapewne miłośnik Toma Jonesa lub Humperdincka albo innego kudłatego i zarośniętego ciemnookiego piosenkarza z bakami i wydatną szczęką.

— Dysponuję fotografiami — rzucił do słuchawki i odsunął ją od ucha, żeby nie słuchać krzyków rozmówcy. Wyjął z koperty dwie błyszczące fotografie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i szurnął po biurku w stronę Mitcha. Rzeczywiście nie było wątpliwości, że przedstawieni na nich mężczyźni to geje. Eddie uśmiechnął się z dumą. Dwa splecione ciała tańczyły na estradzie w jakimś pedalskim klubie. Mitch odłożył zdjęcia na biurko i spojrzał w okno. Fotografie były kolorowe i dobrej jakości i ten, kto je zrobił, musiał być w tym klubie. Mitch pomyślał o odsiadce za gwałt. Gliniarz skazany za gwałt.

Eddie rzucił słuchawkę i spojrzał na Mitcha.

— Więc ty jesteś Mitchell McDeere! Miło poznać.

Podali sobie ręce.

— Mnie też — powiedział Mitch. — Byłem w niedzielę u Raya.

— Czuję się tak, jakbym znał cię od lat. Jesteś taki podobny do Raya. Mówił mi o tym. Wszystko mi o tobie opowiedział. Pewnie tobie o mnie też. Praca w policji. Skazanie. Gwałt. Powiedział ci, że chodziło o siedemnastoletnią dziewczynę, która wyglądała na dwadzieścia pięć, i że zostałem wrobiony?

— Wspomniał. Znasz Raya i wiesz, że dużo nie mówi.

— To po byku facet. Zawdzięczam mu życie, całkiem dosłownie. Kiedy dowiedzieli się w pierdlu, że byłem gliniarzem, o mało mnie nie zatłukli. Wtedy on się wtrącił i nawet czarni się wycofali. Jak chce, umie zrobić krzywdę.

— Jest moją jedyną rodziną.

— Tak, wiem. Jeśli się siedzi z kimś latami w celi dwa i pół na trzy i pół metra, to się człowiek dużo o nim dowiadyje. Godzinami o tobie opowiadał. Gdy mnie ułaskawiali, to akurat wybierałeś się na studia prawnicze.

— Skończyłem w czerwcu tego roku i zacząłem pracę w firmie Bendini,

Lambert i Locke.

— Nigdy nie słyszałem.

— Mają biura przy Front Street, specjalizują się w prawie korporacyjnym i podatkowym.

— Prowadzę mnóstwo paskudnych spraw rozwodowych dla prawników. Inwigilacja, robienie zdjęć z ukrycia i zbieranie różnych brudów dla sądu. — Eddie mówił szybko, ścieśniając sylaby i całe słowa. Jego nogi w kowbojkach były wyłożone na biurku jak na wystawie. — No i znam paru prawników, dla których pracuję. Gdy natykam się na dobrą krakę samochodową albo roszczenie o odszkodowanie, to na rynku prawniczym szukam kogoś, kto mi najwięcej odpali. Dzięki temu mogłem kupić tę chałupę. Bo w tym jest prawdziwy szmal. W odszkodowaniach za uszkodzenie ciała. Prawnicy zabierają dla siebie czterdzieści procent wywalzonego odszkodowania. Czterdzieści procent! — Pokręcił z oburzeniem głową, jakby nie mógł uwierzyć, że w tym mieście zdarzają się tacy zachłanni prawnicy.

— Bierzesz od godziny? — zapytał Mitch.

— Trzydzieści dolców plus wydatki. Wczoraj wieczorem przesiedziałem w vanie sześć godzin pod Holiday Inn, czekając, aż mąż klientki wyjdzie z hotelu ze swoją kurwą i będę mógł pstryknąć jeszcze parę fotek. Sześć godzin. To sto osiemdziesiąt dolców za siedzenie na dupie, przeglądanie pisemek z gołymi dziewczynkami i czekanie. Dolczyłem jej też za zjedzoną kolację.

Mitch słuchał z taką miną, jakby żałował, że sam się czymś takim nie zajmuje.

Sekretarka wetknęła głowę przez drzwi, by poinformować, że wychodzi. Do pokoju Eddiego wdarło się śmierdzące powietrze i Mitch odwrócił głowę do okna. Tammy ostentacyjnie trzasnęła drzwiami.

— Świetna dziewczucha, ta moja Tammy — westchnął Eddie. — Ma kłopoty z mężem. Jest kierowcą ciężarówki, któremu się zdaje, że jest Elvisem. Ma czarne jak sadza włosy w kucyk i baki jak patelnie. Nosi okulary przeciwsłoneczne w grubych złotych oprawkach, takie jak Elvis. Jeśli akurat nie jest w trasie, siedzi w przyczepie, słucha płyt Elvisa i ogląda te jego koszmarnie filmy. Przeprowadzili się z Ohio tylko po to, żeby ten pajac mógł być bliżej grobu Króla. Zgadnij, jak się nazywa.

— Nie mam pojęcia.

— Elvis. Elvis Aaron Hemphill. Przeprowadził urzędową zmianę imion po śmierci Króla. Wieczorami występuje w zakazanych nocnych spelunach w całym mieście i naśladuje Elvisa. Któregoś wieczoru poszedłem go zobaczyć. Był ubrany w biały obcisły kombinezon rozpięty do pępka, co nie byłoby takie złe, gdyby nie jego obwisły kałdun wielkości arbuza. Wyglądało to żałośnie. Głos ma taki, że można się skichać ze śmiechu. Śpiewa jak stary wódz indiański, który zawodzi pieśni przy ognisku.

— No i z czym twoja Tammy ma problem?

— Z babami. Nie uwierzyłybyś, ile bab walniętych na punkcie Elvisa odwiedza to miasto. Zlatują się, żeby oglądać tego palanta, jak udaje Króla. Rzucają w niego majtkami. Wielkimi majtasami na wielkie grube dupska, a on wyciera sobie nimi czoło i je odrzuca. Wciskają mu kartki z numerami pokojów i podejrzewamy, że po występie je odwiedza i próbuje odgrywać ogiera jak Elvis. Ale jeszcze go nie przyłapałem.

Mitchowi nie przyszła do głowy żadna rozsądna odpowiedź, więc tylko uśmiechnął się jak idiota, jakby ta opowieść rzeczywiście go poruszyła. Lomax już wyczuł, co się święci.

— Masz kłopoty z żoną? — zapytał.

— Nie, nie, nic z tych rzeczy. Szukam informacji o czterech osobach. Trzy z nich już nie żyją, jedna żyje.

— Zaczyna się ciekawie. Słucham.

Mitch wyjął z kieszeni kartkę z notesu.

— Rozumiem, że będziesz dyskretny.

— Oczywiście. Jak ty w relacjach z klientami.

Mitch pokiwał głową i pomyślał o Tammy i Elvisie. To dlaczego Lomax mu o nich opowiedział?

— To musi pozostać w tajemnicy — zaznaczył.

— Już powiedziałem. Możesz mi zaufać.

— Trzydzieści dolców za godzinę?

— Dla ciebie dwadzieścia. Przysłał cię Ray, nie zapominaj.

— Cieszę się.

— Kim są ci ludzie? — spytał Eddie.

— Tych troje martwych pracowało kiedyś w naszej firmie. Robert Lamm zginął w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym w wypadku na polowaniu gdzieś w Arkansas. Gdzieś w tamtejszych górach. Szukali go przez dwa tygodnie i znaleźli z kulką w głowie. Przeprowadzono sekcję zwłok. Nic więcej nie wiem. Alice Knauss zginęła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym w wypadku samochodowym w Memphis. Podobno walnął w nią pijany kierowca. John Mickel popełnił samobójstwo w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Ciało znaleziono w jego biurze. Był pistolet i list pożegnalny.

— To wszystko, co wiesz?

— Wszystko.

— I czego jeszcze chcesz się dowiedzieć?

— Chcę wiedzieć możliwie jak najwięcej o ich śmierci. O towarzyszących im okolicznościach, kto prowadził śledztwa, czy zostały jakieś niewyjaśnione szczegóły lub podejrzenia.

— Co podejrzewasz?

— Na tym etapie nic. Po prostu jestem ciekaw.

— To coś więcej niż ciekawość.

— Zgoda, to coś więcej niż ciekawość, ale na razie zostawmy to tak, jak jest.

— W porządku. A ten czwarty?

— Facet nazywa się Wayne Tarrance. Jest agentem FBI w Memphis.

— FBI!

— To jakiś problem?

— Pewnie, że tak. Za gliniarzy biorę czterdzieści za godzinę.

— Nie ma sprawy.

— I co chcesz o nim wiedzieć?

— Sprawdź go. Od jak dawna tu pracuje? Od jak dawna jest agentem?

Jaką ma opinię?

— To dość proste.

Mitch złożył kartkę i schował do kieszeni.

— Ile ci to zajmie?

— Około miesiąca.

— Może być.

— Mówiłeś, że jak się nazywa ta twoja firma?

— Bendini, Lambert i Locke.

— A ci dwaj, którzy zginęli latem...

— Byli prawnikami w naszej firmie.

— Wobec nich też masz jakieś podejrzenia?

— Nie.

— Wolałem spytać.

— Słuchaj, Eddie, musisz być bardzo ostrożny. Nie dzwoń do mnie do domu ani do biura. Sam się odezwę za jakiś miesiąc. Podejrzewam, że ktoś mnie stale obserwuje.

— Kto?

— Żebym to ja wiedział.



# Rozdział 13

Avery spojrział z uśmiechem na wydruk komputerowy.

— W październiku pracowałeś przeciętnie sześćdziesiąt jeden godzin w tygodniu.

— Myślałem, że sześćdziesiąt dwie — odparł Mitch.

— Sześćdziesiąt jeden to dobra średnia. Nie słyszałem, żeby ktoś pracujący w firmie pierwszy rok miał taki wynik. Nie sądzisz?

— Skądże. Prawdę powiedziawszy, mógłbym pracować więcej.

— Ile godzin w tygodniu pracujesz?

— Od osiemdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu. Gdybym chciał, mógłbym pracować dziewięćdziesiąt pięć.

— Nie radziłbym, przynajmniej teraz. Mógłbyś wzbudzić zazdrość kolegów. Młodszy wspólnicy uważnie cię obserwują.

— Chcesz, żebym zwolnił tempo?

— Jasne, że nie. Pracujemy razem od miesiąca. Martwiłem się, że przesiadujesz do późna w robocie... To wszystko. Większość współpracowników zaczyna z wielkim zapałem... pracują po osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt godzin w tygodniu... ale po kilku miesiącach się wypalają. Przeciętna to sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu godzin. Odnoszę wrażenie, że jesteś niezwykle wytrzymały.

— Potrzebuję niewiele snu.

— Co na to twoja żona?

— Czy to ważne?

— Nie ma nic przeciwko temu, że przesiadujesz w pracy do późna?

Mitch spojrział na Avery'ego, myśląc przelotnie o awanturze, do której doszło ostatniej nocy, kiedy przyjechał na obiad trzy minuty przed północą. Był to kontrolowany wybuch, ale najgorszy z dotychczasowych. Zapowiadało się, że po nim nadejdą kolejne. Żadne nie ustąpiło. Abby powiedziała, że ich sąsiad, pan Rice, jest jej bliższy niż własny mąż.

— Ona rozumie. Powiedziałem jej, że w ciągu dwóch lat zostanę wspólnikiem i przejdę na emeryturę przed trzydziestką.

— Faktycznie się starasz.

— Chyba na mnie nie narzekasz, co? W ostatnim miesiącu zajmowałem się wyłącznie twoimi sprawami. Nie obchodziło cię, że się przepracowuję.

Avery położył wydruk na szafce i spojrział na Mitcha, ściągając brwi.

— Nie chcę, żebyś przedwcześnie się wypalił albo zaniedbał żonę.

Taka rada w ustach faceta, który zostawił żonę, wydawała się nieco osobliwa. Mitch spojrział na Avery'ego z nieukrywaną pogardą.

— Nie musisz się martwić o moją rodzinę. Powinieneś być zadowolony, dopóki mam wyniki.

Avery pochylił się nad biurkiem.

— Posłuchaj, Mitch, nie jestem dobry w tych sprawach. Dostałem polecenie z góry. Lambert i McKnight martwią się, że możesz przeholować. Zjawiasz się o piątej rano, codziennie, nawet w niektóre soboty. Narzuciłeś sobie ostre tempo.

— Co powiedzieli?

— Niewiele. Możesz mi wierzyć albo nie, ale tym facetom naprawdę zależy na tobie i twojej rodzinie. Chcą, żeby ich prawnicy byli szczęśliwi i mieli szczęśliwe żony. Jeśli wszystko układa się jak należy, prawnicy są produktywni. Lambert jest typem ojca. Za kilka lat zamierza przejść na emeryturę, więc stara się przeżyć na nowo lata swojej świetności za pośrednictwem ciebie i innych młodych pracowników. Jeśli będzie zadawał

zbyt dużo pytań albo prawił kazania, nie bierz sobie tego do serca. Facet zasłużył na to, żeby odgrywać tutaj rolę dziadka.

— Powiedz mu, że u mnie wszystko w porządku. U Abby też. Jesteśmy szczęśliwi, a ja jestem bardzo produktywny.

— W porządku. Skoro mamy to już za sobą, za tydzień od jutra obaj wyjeżdżamy na Kajmany. Muszę porozmawiać z paroma tamtejszymi bankierami w imieniu Sonny'ego Cappsa i trzech innych klientów. Przede wszystkim będziemy załatwiali interesy, ale uda się wykroić trochę czasu na nurkowanie i pływanie z rurką. Powiedziałem Royce'owi McKnightowi, że będziesz mi potrzebny. Wyraził zgodę. Dodał, że pewnie będziesz potrzebował przerwy na odpoczynek między kolejnymi bitwami. Chcesz pojechać?

— Oczywiście, jestem tylko trochę zaskoczony.

— To podróż w interesach, więc nie zabierzemy żon. Lambert trochę się niepokoi, że może to spowodować nieco problemów w domu.

— Myślę, że pan Lambert zbyt przejmuję się moją sytuacją rodzinną. Powiedz mu, że nad wszystkim panuję. Nie mamy żadnych problemów.

— Więc pojedziesz?

— Pewnie, że pojedę. Ile dni nam to zajmie?

— Kilka dni. Zatrzymamy się w jednym z firmowych mieszkań. Sonny Capps może zanocować w drugim. Staram się załatwić firmowy samolot, ale nie jest wykluczone, że będziemy musieli polecieć rejsowym.

— Nie ma sprawy.

• • •

W Miami tylko dwaj pasażerowie boeinga 727 należącego do Cayman Airways mieli krawaty, więc po pierwszej szklaneczce gratisowego ponczu z rumem Avery ściągnął swój i wetknął go do kieszeni marynarki. Poncz

podawała piękna stewardesa z Kajmanów o brązowej skórze, błękitnych oczach i uroczym uśmiechu. Avery kilka razy powtórzył, że na Kajmanach są piękne kobiety.

Mitch siedział przy oknie, próbując ukryć podniecenie towarzyszące jego pierwszej zagranicznej podróży. Znalazł w bibliotece książkę o Kajmanach. Wyspy były trzy: Wielki Kajman, Mały Kajman i Cayman Brac. Dwie mniejsze były słabo zaludnione i rzadko odwiedzane. Wielki Kajman miał osiemnaście tysięcy mieszkańców, a na jego terytorium działało dwanaście tysięcy zarejestrowanych firm oraz trzysta banków. Ludność składała się w dwudziestu procentach z białych, dwudziestu czarnych i pozostałych, którzy nie byli pewni i mieli to gdzieś. Stolica wyspy, Georgetown, w ostatnich latach stała się międzynarodowym rajem podatkowym, chlubiąc się bankierami równie dyskretnymi jak Szwajcarzy. Na wyspach nie było podatku dochodowego od osób fizycznych i prawnych, podatków od zysków kapitałowych, od nieruchomości i darowizn. Pewne firmy i fundusze inwestycyjne otrzymały gwarancję zwolnienia od podatków na pięćdziesiąt lat. Wyspy były terytorium zależnym od Wielkiej Brytanii o niespotykane stabilnym rządzie. Dochody czerpane z cła na towary importowane oraz turystyki dostarczały środków niezbędnych do funkcjonowania rządowej administracji. Jakby tego było mało, na Kajmanach nie występowała przestępczość ani bezrobocie.

Wielki Kajman miał trzydzieści siedem kilometrów długości i trzynaście szerokości, choć w niektórych miejscach z powietrza prezentował się znacznie skromniej. Przypominał małą skałę otoczoną czystą szafirową wodą.

Można było odnieść wrażenie, że wylądują w lagunie, ale w ostatniej chwili pod kołami samolotu pojawił się mały asfaltowy pas. Wysiedli i przeszli odprawę celną. Czarnoskóry chłopak wziął bagaże Mitcha i wrzucił

razem z manatkami Avery'ego do forda LTD rocznik 1972. Mitch wręczył mu duży napiwek.

— Siedmiomilowa Plaża! — powiedział Avery, dopijając ostatni poncz z rumem.

— W porządku, proszę pana! — odkrzyknął kierowca, przeciągając spólgłoski. Wcisnął gaz i wóz z piskiem opon ruszył w kierunku Georgetown. Z głośnika dolatywała głośna muzyka reggae, a szofer poruszał głową i podrygiwał, uderzając palcami w kierownicę w rytm muzyki. Jechał po niewłaściwej stronie drogi, ale wszyscy inni zachowywali się podobnie. Mitch zapadł się w sfatygowanym fotelu i założył nogę na nogę. W samochodzie nie było klimatyzacji, ale zastępowały ją otwarte okna. Parne tropikalne powietrze owiewało mu twarz i włosy. Miłe doznanie.

Wyspa wydawała się płaska, a na drodze do Georgetown roilo się od małych, zakurzonych, europejskich samochodów, skuterów i rowerów. Niewielkie jednopiętrowe domy miały dachy z cyny i schludne kolorowe ściany. Na niewielkich poletkach przed domostwami było niewiele trawy, ale ziemia była starannie zamieciona. W miarę zbliżania się do miasta pojawiły się warsztaty oraz dwu- i trzypiętrowe białe domy o drewnianej konstrukcji, z płóciennymi dachami, pod którymi stali turyści, chroniąc się przed słońcem. Kierowca ostro skręcił i nagle znaleźli się w centrum miasta pełnym nowoczesnych gmachów banków.

Avery wcielił się w rolę przewodnika.

— Działają tu banki za całego świata. Z Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii, Kanady, Hiszpanii, Japonii, Danii. Nawet z Arabii Saudyjskiej i Izraela. Kiedy ostatnio liczyłem, było ich ponad trzysta. Kajmany to raj podatkowy. Tutejsi bankierzy są niezwykle dyskretni. Szwajcarzy to przy nich puple.

Taksówka zwolniła w korku, a chłodny wietrzyk ustał.

— Zauważyłem dużo banków kanadyjskich — powiedział Mitch.

— Po prawej jest siedziba Royal Bank z Montrealu. Będziemy tu jutro o dziesiątej rano. Większość interesów prowadzimy z bankami kanadyjskimi.

— Dlaczego?

— Są bardzo bezpieczne i bardzo dyskretne.

Zatłoczona ulica okazała się drogą bez wylotu. Na horyzoncie za skrzyżowaniem lśniła błękitna toń Morza Karaibskiego. W zatoce zakotwiczył statek wycieczkowy.

— To zatoka Hogsty — wyjaśnił Avery. — Trzysta lat temu piraci cumowali tu swoje statki. Wyspę przemierzał sam Czarnobrody, ukrywając tu swoje łupy. Odnaleźli niektóre parę lat temu w jaskini niedaleko Bodden Town.

Mitch skinął głową, jakby uwierzył w tę bajeczkę, a kierowca uśmiechnął się do nich we wstecznym lusterku.

Avery otarł pot z czoła.

— To miejsce od zawsze przyciągało piratów. Kiedyś był to Czarnobrody, dziś współcześni piraci, którzy zakładają korporacje i ukrywają na Kajmanach swoje pieniądze. Mam rację?

— Tak, proszę pana — potwierdził kierowca.

— Oto Siedmiomilowa Plaża — oznajmił Avery. — Jedno z najpiękniejszych i najsłynniejszych miejsc na świecie. Mam rację?

— Tak, proszę pana.

— Mają dzisiaj przyjęcie z grillem w Palms?

— Tak, proszę pana. O osiemnastej.

— To niedaleko naszego apartamentu. Palms jest popularnym hotelem, na ich plaży dzieje się najwięcej.

Mitch uśmiechnął się do Avery'ego, obserwując mijane hotele. Przypomniał sobie rozmowę kwalifikacyjną na Harvardzie, podczas której

Oliver Lambert powiedział mu kazania, że firma nie toleruje rozwodów i uganiania się za spódniczkami. Nie wspominając o pijaństwie. Może Avery nie uczęszczał na te rekolekcje?

Apartamenty firmy znajdowały się w samym środku Siedmiomilowej Plaży, obok innego kompleksu mieszkalnego i hotelu Palms. Zgodnie z oczekiwaniami Mitcha były przestronne i elegancko umeblowane. Avery stwierdził, że mogliby je sprzedać za co najmniej pół miliona dolarów każdy, ale nie mieli takiego zamiaru. Nie były też do wynajęcia. Stanowiły schronienie dla znużonych prawników kancelarii Bendini, Lambert i Locke oraz nielicznego grona najbardziej wartościowych klientów.

Z balkonu sypialni na drugim piętrze Mitch obserwował małe łódki dryfujące bez celu po migoczącej tafli morza. Słońce zaczęło zachodzić, a małe fale odbijały jego promienie w miliony stron. Kilkanaście osób przechadzało się plażą, kopiąc piasek, rozchlapując wodę, goniąc kraby i pijąc poncz z rumem oraz jamajskie piwo Red Stripe. Od strony hotelu Palms dolatywała rytmiczna karaibska muzyka, a duży, kryty strzechą bar przyciągał spacerujących niczym magnes.

Avery wyszedł na balkon w lśniących pomarańczowo-żółtych szortach w kwiaty. Jego ciało było szczupłe i jędrne, bez śladu tłuszczu. Facet miał udział w klubie z siłownią w Memphis i ćwiczył dzień w dzień. Mitch był pod wrażeniem.

— Podoba ci się mój strój? — spytał Avery.

— Efektowny. Doskonale do niego pasujesz.

— Mam jeszcze jeden, jeśli chcesz.

— Nie, dzięki. Pozostanę przy moich sportowych szortach uniwersytetu Kentucky.

Avery sączył drinka i lustrował okolicę.

— Byłem tu kilkanaście razy, ale nadal jestem zachwycony. Może tu

zamieszkać, kiedy przejdę na emeryturę.

— Byłoby miło. Mógłbyś spacerować plażą i uganiać się za krabami.

— Grać w domino i pić red stripe'a. Piłeś kajmańskie piwo?

— Nie przypominam sobie.

— W takim razie chodźmy na kolejkę.

Bar pod gołym niebem nazywał się Rumheads. Siedzieli tam spragnieni turyści oraz garstka miejscowych, którzy skupili się przy drewnianym stole i grali w domino. Avery przedarł się przez tłum i wrócił z dwiema butelkami. Znaleźli miejsce obok stołu, przy którym toczyła się gra.

— Pewnie właśnie tym będę się zajmował, kiedy przejdę na emeryturę. Będę tu przychodził i grał w domino na pieniądze, żeby zarobić na życie. Będę grał w domino i pił red stripe'a.

— Faktycznie, dobre to piwo.

— A kiedy znudzę się dominem, będę rzucał strzałki. — Avery wskazał głową róg sali, w którym grupa wstawionych Anglików grała w strzałki, nie szczędząc sobie wyzwisk. — A kiedy będę miał dość strzałek... kto wie, co zrobię... Przepraszam. — Wstał od stołu i ruszył na patio, na którym przed chwilą usiadły dwie babki w bikini. Avery się przedstawił, a one poprosiły, żeby się przysiadł. Mitch zamówił kolejne piwo i poszedł na plażę. W oddali widać było banki Georgetown. Ruszył w ich stronę.

• • •

Jedzenie wyłożono na składanych stolikach wokół basenu. Serwowano granika z grilla, rekina z różną, ostroboki i smażone krewetki, żółwie i ostrygi, homary i różowego lucjana. Jadło pochodziło z morza i było świeże. Goście skupili się wokół stołów i nakładali sobie potrawy, a kelnerzy roznosili galony ponczu z rumem. Jedzono przy małych stolikach ustawionych na dziedzińcu, z widokiem na Rumheads i morze. Zespół reggae



zaczął stroić instrumenty. Słońce znikło za obłokiem, a później skryło się za horyzontem.

Mitch podążał za Averym wzdłuż bufetu do stolika, przy którym, jak można było oczekiwać, czekały dwie kobiety. Były siostrami. Obie dobiegały trzydziestki, obie były rozwiedzione i lekko wstawione. Jedna, o imieniu Carrie, poczuła słabość do Avery'ego, a druga, Julia, natychmiast zaczęła porozumiewawczo mrugać do Mitcha. Ciekawe, co Avery im powiedział.

— Widzę, że jesteś żonaty — szepnęła Julia, przysuwając się do niego.

— Tak, do tego szczęśliwie.

Uśmiechnęła się, jakby podjęła wyzwanie. Avery i jego partnerka spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Mitch wziął szklanekę z ponczem i opróżnił do dna.

Zaczął skubać jedzenie, nie mogąc myśleć o nikim prócz Abby. Trudno to było wytłumaczyć, jeśli w ogóle było to konieczne. Je obiad w towarzystwie dwóch skąpo ubranych atrakcyjnych kobiet. Nie potrafiłby jej tego wyjaśnić. Rozmowa przy stole się nie kleiła, a Mitch nie robił nic, żeby ją ożywić. Kelner postawił na stole duży dzbanek ponczu, który szybko opróżnili. Avery zrobił się okropny. Powiedział dziewczynom, że Mitch grał w drużynie New York Giants i ma dwa pierścienie za wygranie Superpucharu. Zarabiał milion dolarów, ale kontuzja kolana zniszczyła mu karierę. Mitch tylko kręcił głową i pił. Julia przysunęła się bliżej i zaczęła pożerać go wzrokiem.

Zespół Barefoot Boys grał coraz głośniejsze. Pora na tańce. Połowa gości weszła na parkiet pod dwoma drzewami, między basenem i plażą.

— Zatańczmy! — ryknął Avery, łapiąc swoją partnerkę za rękę. Pobiegli między stolikami i zginęli w tłumie energicznie podrygujących turystów.

Mitch poczuł, że Julia przysunęła się jeszcze bliżej i położyła mu rękę na nodze.

— Chcesz zatańczyć? — spytała.

— Nie.

— To dobrze, bo ja też nie mam ochoty. Co chciałbyś robić? — Otarła się piersiami o jego ramię, posyłając uwodzicielski uśmiech z odległości zaledwie kilku centymetrów.

— Nie mam żadnych planów — odparł, odsuwając jej rękę.

— Daj spokój. Zabawmy się. Żona nigdy się nie dowie.

— Posłuchaj, jesteś piękną młodą kobietą, ale tracisz czas. Jest jeszcze wcześniej, zdążysz poderwać prawdziwego ogiera.

— Uroczy jesteś.

Ręka wróciła na poprzednie miejsce. Mitch odetchnął głęboko.

— Spadaj.

— Przepraszam. — Tym razem ręka zniknęła.

— Powiedziałem „spadaj”.

Odsunęła się.

— Co z tobą nie tak?

— Mam awersję do chorób przenoszonych drogą płciową. Spadaj.

— Sam sobie spadaj!

— Świetny pomysł. Już mnie nie ma. Miłego wieczoru.

Mitch wziął szklankę z ponczem i zaczął się przeciskać między tańczącymi w kierunku baru. Zamówił red stripe'a i usiadł w ciemnym rogu patia. Plaża przed nim była pusta, a po wodzie przesuwały się wolno światła kilkunastu łodzi. Zza jego pleców dochodziły dźwięki Barefoot Boys i wesoły gwar typowej karaibskiej nocy. Fajnie, pomyślał, ale jeszcze fajniej byłoby być tu z Abby. Może przyjadą tu na wakacje następnego lata. Powinni spędzić trochę czasu razem, z dala od domu i biura. Między nimi pojawił się dystans — dystans, którego nie umiał określić. Dystans, którego się bał.

— Na co patrzysz? — Nieznajomy głos wyrwał go z zamyślenia.

Dziewczyna podeszła do stolika i usiadła obok niego. Miała ciemną skórę tubylców i niebieskie albo orzechowe oczy. Piękne oczy, serdeczne i śmiałe. Ciemne kręcone włosy sięgały do talii. Miała na sobie białą górę od bikini ledwo zasłaniającą duże piersi i długą jaskrawą spódnicę z rozcięciem, które odsłoniło prawie wszystko, gdy usiadła i skrzyżowała nogi. Była boso.

— Na nic — odparł.

Była młoda, o dziecięcym uśmiechu odsłaniającym idealne zęby.

— Skąd jesteś?

— Ze Stanów.

Uśmiechnęła się i zachichotała.

— Jasne, a dokładnie? — Mówiła cichym, delikatnym, precyzyjnym angielskim mieszkańców Karaibów.

— Z Memphis.

— Przyjeżdża tu wielu ludzi z Memphis.

— Mieszkaś na Kajmanach? — zainteresował się Mitch.

— Tak, całe życie. Moja matka pochodzi z Kajmanów, a ojciec jest Anglikiem. Wyjechał, wrócił tam, skąd przybył.

— Chcesz drinka? — spytał.

— Tak, rum z wodą sodową.

Mitch stanął przy barze, czekając na drinki. Poczł tępe, nerwowe ukłucie w brzuchu. Może zniknąć w ciemności, rozplnąć się w tłumie. Wrócić do bezpiecznego apartamentu. Zamknąć za sobą drzwi i poczytać książkę o międzynarodowych rajach podatkowych. Nuda. Na dodatek Avery już tam pewnie jest ze swoją napaloną partnerką. Dziewczyna jest nieszkodliwa, podszeptał wypity rum i red stripe. Wypiją parę drinków i się rozstaną, życząc sobie dobrej nocy.

Wrócił z drinkami i usiadł naprzeciwko dziewczyny, tak daleko, jak to możliwe. Na patiu nie było nikogo oprócz nich.

— Nurkujesz? — zapytała.

— Nie, możesz mi wierzyć albo nie, ale przyjechałem tu w interesach. Jestem prawnikiem. Jutro rano mam kilka spotkań z bankierami.

— Długo tu zabawisz?

— Parę dni. — Odpowiadał uprzejmie, ale zdawkowo. Im mniej powie, tym będzie bezpieczniejszy. Dziewczyna uśmiechnęła się niewinnie. Mitch poczuł, że robi mu się słabo.

— Ile masz lat? — spytał.

— Dwadzieścia. Mam na imię Eilene. Jestem wystarczająco dorosła.

— Mitch. — Poczul skurcz żołądka i lekki zawrót głowy. Szybko upił łyk piwa i spojrzał na zegarek.

Obserwowała go z tym samym kuszącym uśmiechem.

— Jesteś bardzo przystojny.

Akcja wyraźnie przyspieszyła. Wyluzuj, powiedział sobie. Wyluzuj, człowieku.

— Dziękuję.

— Jesteś sportowcem?

— Coś w tym rodzaju. Dlaczego pytasz?

— Wyglądasz na sportowca. Jesteś dobrze umięśniony i twardy. — Sposób, w jaki zaakcentowała słowo „twardy”, sprawił, że znów przewróciło mu się w brzuchu. Podziwiał jej ciało i starał się wymyślić jakiś komplement, który nie byłby zbyt sugestywny. Daremny trud.

— Gdzie pracujesz? — spytał, starając się skierować rozmowę na mniej zmysłowy temat.

— W mieście, w sklepie z biżuterią.

— Gdzie mieszkasz?

— W Georgetown. A ty gdzie się zatrzymałeś?

— W firmowym apartamencie w sąsiedztwie. — Skinął głową

w kierunku swojego lokum. Eilene spojrzała w lewo. Wiedział, że chciałaby je zobaczyć. Zaczęła popijać drinka.

— Dlaczego się nie bawisz? — zaciekawiała się.

— Nie przepadam za przyjęciami.

— Podoba ci się plaża?

— Tak, jest piękna.

— Najładniejsza jest w świetle księżyca. — Znów ten uśmiech.

Nie mógł tego skomentować.

— Kilometr dalej obok plaży jest lepszy bar. Chodźmy się przejść — powiedziała.

— Sam nie wiem, powinienem wrócić. Muszę się przygotować do porannych spotkań.

Eilene roześmiała się i wstała.

— Na Kajmanach nikt nie chodzi spać o tak wczesnej porze. Chodź. Jestem ci winna drinka.

— Nie, lepiej nie.

Chwyła jego dłoń, a on ruszył za nią na plażę. Szli w milczeniu, aż hotel zniknął im z oczu, a muzyka przycichła. Księżyc stał wysoko, jaśniejszy niż wcześniej, a plaża sprawiała wrażenie pustej. Eilene rozpięła jakiś guzik i zdjęła spódnicę, odsłaniając pasek wokół bioder i kolejny, między nogami. Zwinęła spódnicę, zarzuciła mu na szyję i wzięła go za rękę.

Jakiś głos kazał mu uciekać. Rzuć butelkę do oceanu. Ciśnij spódnicę na piasek i uciekaj ile sił w nogach. Do apartamentu. Zamknij za sobą drzwi. Zamknij okna. Uciekaj. Uciekaj. Uciekaj.

Inny głos kazał mu się rozluźnić. To niewinna zabawa. Wypij jeszcze parę drinków. Jeśli do czegoś dojdzie, ciesz się tym. Memphis jest tysiące kilometrów stąd. Avery się nie dowie. Dlaczego akurat Avery? Co ma do tego Avery? Przecież wszyscy to robią. Nawet jemu raz się to przydarzyło.

Kiedy był w college'u. Jeszcze nie pobrali się z Abby, ale byli już zaręczeni. Przypisywał to zbyt dużej ilości wypitego piwa, ale przeżył upadek bez większych obrażeń. Czas zatroszczył się o wszystko. Abby nigdy się nie dowie.

Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj!

Przeszli kilometr, ale na horyzoncie nadal nie było żadnego baru. Ten odcinek plaży wydawał się ciemniejszy. Obłok uczynnie zasłonił księżyc. Nie widzieli go od czasu, gdy minęli Rumheads. Dziewczyna pociągnęła go za rękę w kierunku dwóch plastikowych leżaków stojących przy brzegu.

— Odpocznijmy — zaproponowała. Mitch dopił piwo. — Nie jesteś zbyt rozmowny...

— Co chciałabyś, żebym powiedział?

— Myślisz, że jestem ładna?

— Bardzo ładna. Masz piękne ciało.

Usiadła na krawędzi leżaka, rozchlapując wodę stopami.

— Chodźmy popływać.

— Słuchaj... nie jestem w nastroju.

— Chodź, Mitch. Uwielbiam wodę.

— Idź sama. Popatrzę.

Uklęknęła obok na piasku i spojrzała mu w oczy, oddalona kilka centymetrów od niego. Leniwym ruchem sięgnęła za kark. Odpięła górę bikini, która bardzo wolno opadła na ziemię. Jej piersi, które teraz wydawały się znacznie większe, oparły się na jego lewym przedramieniu. Podała mu górę bikini.

— Popilnuj. — Tkanina była miękka i biała, ważąca zaledwie ułamek grama. Zamarł, a jego oddech, jeszcze przed chwilą ciężki, nagle zamarł.

Ruszyła wolno do wody. Białe stringi zasłaniały zaledwie kawałek pośladków. Długie, ciemne i piękne włosy sięgały talii. Weszła po kolana do

wody i odwróciła się w kierunku plaży.

— Chodź, Mitch. Woda jest cudowna.

Kiedy uśmiechnęła cię kusząco, zrozumiał. Ścisnął górę bikini, wiedząc, że to ostatnia chwila, żeby uciec. Wiedział, ale był zbyt oszołomiony i słaby. Nie miał siły biec. Zdecydował, że będzie siedział. Może dziewczyna po prostu odejdzie. Może utonie. Może nagle nadpłynie fala i wciągnie ją na głębinę.

— No chodź, Mitch!

Odłożył spódnicę i wszedł do wody. Eilene obserwowała go z uśmiechem, a kiedy do niej dotarł, wzięła go za rękę i poprowadziła głębiej. Oplotła ramionami jego szyję i pocałowała. Odnalazł jej stringi. Pocałowali się jeszcze raz.

Nagle bez słowa pobiegła w kierunku plaży. Powiódł za nią wzrokiem. Usiadła na piasku między dwoma leżakami i zdjęła dół bikini. Mitch zanurkował, wstrzymując oddech na całą wieczność. Kiedy się wynurzył, leżała na piasku, wspierając się na łokciach. Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. W tym momencie księżyc zniknął za kolejną chmurą. Na wodzie nie było ani jednej łódki, katamaranu czy dingi, ani jednego pływaka, nurka czy kogokolwiek.

— Nie mogę — wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

— Co powiedziałaś, Mitch?

— Nie mogę tego zrobić! — krzyknął.

— Ale tego chcesz!

— Nie mogę i już!

— Chodź, Mitch! Nikt się nie dowie!

Nikt się nie dowie. Nikt się nie dowie. Ruszył wolno w jej stronę. Nikt się nie dowie...

• • •

Jechali w milczeniu taksówką na spotkanie w Georgetown. Byli spóźnieni. Zaspali i nie poszli na śniadanie. Żaden nie czuł się szczególnie dobrze. Avery sprawiał wrażenie potwornie zmarnowanego. Miał zaczerwienione oczy i bladą twarz. Nawet się nie ogolił.

Szofer zatrzymał się w korku przed Royal Bank z Montrealu. Skwar i wilgoć stawały się nieznośne.

Randolph Osgood był bankierem — sztywnym Angolem w granatowym dwurzędowym garniturze i rogowych okularach, o wydatnym lśniącym czole i spiczastym nosie. Powitał Avery'ego jak starego znajomego i przedstawił się Mitchowi. Później udali się do dużego gabinetu na drugim piętrze z widokiem na zatokę Hogsty. Czekwały tam już na nich dwie urzędniczki bankowe.

— Wytlumacz mi dokładnie, czego chcesz, Avery — poprosił Osgood nosowym głosem.

— Zaczniemy od filizanki kawy. Przygotuj mi wydruki wszystkich operacji na kontach Sonny'ego Capps, Ala Coscii, Dolpha Hemmby, Ratzlaff Partners oraz Greene Group.

— Rozumiem. Z jakiego okresu?

— Ostatnich sześciu miesięcy. Dla wszystkich rachunków.

Osgood pstryknął palcami w stronę jednej z urzędniczek. Kobieta zniknęła, by po chwili wrócić z kawą i ciasteczkami.

Druga notowała.

— Oczywiście będzie nam potrzebne pisemne upoważnienie i pełnomocnictwo każdego z wymienionych klientów — przypomniał Osgood.

— Są w dokumentach — odparł Avery, otwierając teczkę.

— To prawda, ale upłynął okres ich ważności. Będziemy potrzebowali aktualnych. Dla każdego konta.



— Zgoda. — Avery przesunął po stole papierową teczkę. — Są tutaj. Aktualne. — Mrugnął porozumiewawczo do Mitcha.

Urzędniczka sięgnęła po dokumenty i rozłożyła je na stole. Sprawdziła wszystkie z koleżanką, a później Osgood zrobił to samo. Prawnicy pili kawę i cierpliwie czekali.

W końcu Osgood uśmiechnął się i powiedział:

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Za chwilę dostaniecie wydruki. Potrzeba wam czegoś jeszcze?

— Chcę zarejestrować trzy firmy. Dwie dla Sonny'ego Capps'a i jedną dla Greene Group. Ta sama procedura co zwykle. Bank w roli zarejestrowanego przedstawiciela i tak dalej.

— Przygotuję niezbędne dokumenty — powiedział Osgood i spojrzał na jedną z urzędniczek. — Coś jeszcze?

— Na razie wystarczy.

— Doskonale. Powinniśmy przygotować wszystko w pół godziny. Zjecie ze mną lunch?

— Przykro mi, Randolphie, ale muszę odmówić. Obaj z Mitchem jesteście już z kimś umówieni. Może jutro.

Mitch nie słyszał o żadnym spotkaniu, a przynajmniej o żadnym, w którym miałyby brać udział.

— Może — odrzekł Osgood i wyszedł z gabinetu razem z urzędniczkami.

Avery zamknął drzwi i zdjął marynarkę. Podszedł do okna, sącząc kawę.

— Słuchaj, Mitch... przepraszam za wczorajszą noc. Bardzo mi przykro. Wstawiłem się i przestałem myśleć. Wybacz, że naraziłem ci tę babkę.

— Przepraszam, ale nie rób tego więcej.

— Nie zrobię. Obiecuję.

— Była dobra? — spytał Mitch.

— Tak sądzę. Nie pamiętam zbyt dużo. Co zrobiłeś jej siostrze?

— Kazała mi spadać, więc poszedłem pospacerować plażą — skłamał Mitch.

Avery zjadł ciasteczko i wytarł usta.

— Jak wiesz, jestem w separacji. Za rok się rozwiedziemy. Staram się być ostrożny, bo sprawa rozwodowa mogłaby przybrać nieprzyjemny obrót. W firmie obowiązuje zasada: w Memphis nie gadamy o tym, co robimy, gdy wyjeżdżamy z miasta. Kapujesz?

— Daj spokój, Avery. Przecież wiesz, że nikomu nie powiem.

— Wiem, wiem.

Mitch ucieszył się z tej niepisanej zasady, choć obudził się w przeświadczeniu, że popełnił przestępstwo doskonałe. Myślał o tamtej dziewczynie w łóżku, pod prysznicem, w taksówce, a teraz miał problem, żeby skupić na czymkolwiek uwagę. Przyłapał się na tym, że w drodze do Georgetown gapi się na sklepy jubilerskie.

— Mam pytanie... — zaczął Mitch.

Avery skinął głową, wkładając do ust kolejne ciasteczko.

— Kiedy przyjmowano mnie do pracy kilka miesięcy temu, Oliver Lambert, McKnight i spółka powtarzali bez końca, że firma patrzy krzywym okiem na rozwody, kobiety, gorzałę i narkotyki. Na wszystko z wyjątkiem ciężkiej pracy i forsy. Dlatego przyjąłem tę robotę. Widziałem już ciężką pracę i forszę, ale teraz widzę coś innego. Czy zrobiłeś coś złego? Czy inni też to robią?

— Nie podoba mi się twoje pytanie.

— Wiedziałem, że ci się nie spodoba, ale chciałbym usłyszeć odpowiedź. Zasluguje na to. Mam wrażenie, że wprowadzono mnie w błąd.

— Co zamierzasz zrobić? Chcesz odejść, bo się upiłem i przespałem z dziwką?

— Nie myślałem o odejściu.

— To dobrze. Nie rób tego.

— Ale mam prawo znać odpowiedź.

— W porządku. Słusznie. Posłuchaj, jestem największym draniem w firmie. Dadzą mi wycisk, kiedy im powiem o rozwodzie. Jeśli chodzi o kobiety, zawsze się za nimi uganiałem, ale nikt o tym nie wie, a przynajmniej nikt mnie na tym nie przyłapał. Jestem pewny, że podobnie postępują inni wspólnicy, ale nigdy ich na tym nie nakryjesz. Nie wszyscy, ale paru. Większość z nich żyje jednak w udanych związkach i zamierzają dochować dozogonnej wierności żonom. Zawsze byłem niegrzecznym chłopcem, ale mnie tolerowali, bo jestem utalentowany. Wiedzą, że piję podczas lunchu, czasami w biurze. Wiedzą, że naruszam inne święte zasady, ale zrobili mnie wspólnikiem, bo jestem im potrzebny. Teraz, gdy już nim jestem, niewiele mogą mi zrobić. Z drugiej strony nie jestem wcale taki zły, Mitch.

— Wcale tego nie powiedziałem.

— Po prostu nie jestem doskonały. A niektórzy z nich są, możesz mi wierzyć. Przypominają maszyny, żywe roboty. Żyją, jedzą i śpią dla kancelarii Bendini, Lambert i Locke. Ja lubię się trochę zabawić.

— Zatem jesteś wyjątkiem...

— Tak, jestem raczej wyjątkiem niż regułą. Nie mam zamiaru za to przeproszać.

— Nie oczekiwałem przeprosin, tylko wyjaśnień.

— Teraz wszystko jasne?

— Tak. Zawsze podziwiałem twoją szczerą — wyznał Mitch.

— A ja twoją dyscyplinę. Tylko silny mężczyzna dochowałby wierności żonie w obliczu takich pokus, jakie miałeś ostatniej nocy. Ja nie jestem taki silny. Nie jestem i nie chcę być.

Pokusy. Mitch zastanawiał się, czy zajrzeć do sklepów jubilerskich podczas lunchu.

— Posłuchaj, Avery, nie jestem taki święty. Nie jestem też zaszokowany i nikogo nie osądzam. Mnie osądzano przez całe życie. Nie miałem tylko jasności w kwestii zasad.

— Zasady są niezmiennie. Odlane w betonie. Wyryte w granicie. Wytrawione w kamieniu. Jeśli złamiesz zbyt wiele, wykopią cię. Pozwól, że coś ci poradzę: złam, ile ci się podoba, ale nie daj się złapać.

— Słusznie.

Osgood wrócił w towarzystwie grupki urzędniczek niosących wydruki komputerowe i całe pliki dokumentów. Ułożyły je w schludne sterty na stole, w porządku alfabetycznym i tak dalej.

— To powinno wam zająć jakiś dzień albo dłużej — powiedział Osgood z wymuszonym uśmiechem. Pstryknął palcami i urzędniczki zniknęły. — Jeśli będę potrzebny, znajdziecie mnie w moim gabinecie.

— Rozumiem, dzięki — mruknął Avery, pochylając się nad pierwszym stosem dokumentów. Mitch zdjął marynarkę i poluzował krawat.

— Co będziemy robili? — zapytał.

— Dwie rzeczy. Po pierwsze, przejrzymy wszystkie dokonane transakcje. Będziemy sprawdzali przekazane odsetki. Jaka stopa, kwota i tak dalej. Przeprowadzimy zgrubny audyt każdego rachunku, aby sprawdzić, czy odsetki znalazły się tam, gdzie powinny. Dla przykładu, Dolph Hemmba przelewa swoje odsetki do dziewięciu różnych banków na Bahamach. Głupio robi, ale to czynni go szczęśliwym. Jest rzeczą prawie niemożliwą, żeby ktoś się w tym połapał. Nawet ja. Gość trzyma w tym banku dwanaście milionów, więc warto mieć oko na odsetki. Facet mógłby zrobić to sam, ale uważa, że będzie lepiej, jeśli my się tym zajmiemy. Płacą mi dwieście pięćdziesiąt dolców za godzinę, więc nie mam nic przeciwko temu. Skontrolujemy odsetki, które przelewają na każdy z rachunków. Stopa zależy od wielu czynników. W sumie to decyzja banku i dobrze, bo pomaga im to zachować

uczciwość.

— Sądziłem, że są uczciwi.

— Bo są, ale nie zapominaj, że to bankierzy.

— Racja.

— Zatem przejrzymy trzydzieści rachunków. Wychodząc, będziemy znali salda końcowe, wypłacone odsetki i konta, na które je przelano. Po drugie, zarejestrujemy na Kajmanach trzy nowe firmy. To legalne. Moglibyśmy wykonać tę robotę w Memphis, ale klienci sądzą, że trzeba to zrobić na miejscu. Pamiętaj, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy inwestują miliony. Parę tysięcy dolarów z tytułu opłat prawnych nie robi im żadnej różnicy.

Mitch przejrzał wydruki z rachunków niejakiego Hemmby.

— Co za jeden, ten Hemmba? Nigdy o nim nie słyszałem.

— Mam wielu klientów, o których nie słyszałeś. Hemmba to wielki farmer z Arkansas, jednego ze stanów, w którym są największe posiadłości ziemskie.

— Dwanaście milionów dolarów?

— Tylko w tym banku.

— Niezły wynik ze sprzedaży bawełny i soi.

— Powiedzmy, że facet prowadzi także inne przedsięwzięcia.

— Jakie?

— Nie mogę powiedzieć.

— Legalne czy nielegalne?

— Niech ci wystarczy, że ukrywa przed urzędem podatkowym ponad dwadzieścia milionów odsetek w różnych bankach na Karaibach.

— I my mu w tym pomagamy?

Avery rozłożył wydruki na końcu stołu i zaczął sprawdzać transakcje. Mitch patrzył na niego, czekając na odpowiedź. Cisza stawała się coraz bardziej wymowna, aż stało się jasne, że jej nie otrzyma. Mógł naciskać, ale

zadał już wystarczająco dużo pytań jak na jeden dzień. Zakasał rękawy i zabrał się do pracy.

• • •

W południe dowiedział się o umówionym spotkaniu Avery'ego. Wspólnik umówił się na randkę z Carrie w firmowym apartamencie. Avery zasugerował kilkugodzinną przerwę i podpowiedział Mitchowi kawiarnię w centrum miasta, do której mógłby zajrzeć.

Zamiast kawiarni Mitch znalazł bibliotekę miejską w Georgetown, w odległości czterech przecznic do banku. Na drugim piętrze odesłano go do regałów z periodykami, gdzie odnalazł półkę pełną starych numerów „Daily Caymanian”. Cofnął się pół roku wstecz i wyciągnął numer z dwudziestego siódmego grudnia. Położył czasopismo na małym stoliku przy oknie wychodzącym na ulicę. Wyjrzał przez nie, by po chwili skupić wzrok na mężczyźnie, którego widział niedawno na ulicy przed bankiem. Facet siedział za kółkiem sfatygowanego żółtego chevette zaparkowanego w wąskiej uliczce po drugiej stronie biblioteki. Gość był korpulentny, ciemnowłosy, o cudzoziemskim wyglądem, ubrany w jarmarczną zielono-pomarańczową koszulę i tanie okulary przeciwsłoneczne z rodzaju tych, jakie noszą turyści.

Ten sam chevette, z tym samym kierowcą za kółkiem, stał przed sklepem z pamiątkami obok banku, a teraz, zaledwie kilka minut później, parkował cztery przecznice dalej. Obok przystanął jakiś miejscowy na rowerze, a kierowca poczęstował go papierosem. Miejscowy zostawił rower i przeszedł szybko na drugą stronę ulicy.

Mitch złożył pismo i wsunął je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Przeszedł między regałami, sięgnął po numer „National Geographic” i usiadł przy stole. Przeglądał pismo, słuchając uważnie, jak Kajmańczyk wchodzi po schodach, patrzy na niego, a następnie mija, zwalniając na chwilę, żeby

zobaczyć, co czyta, i znika na schodach. Mitch odczekał minutę, a następnie wrócił do okna. Miejscowy odbierał kolejnego papierosa, rozmawiając z kierowcą chevette. Chwilę później zapalił papierosa i odjechał.

Mitch rozłożył gazetę na stole i przejrzał wstępniak z pierwszej strony: artykuł o dwóch amerykańskich prawnikach i ich przewodniku, którzy zginęli poprzedniego dnia w tajemniczych okolicznościach. Poczytał w myśli parę uwag i zwrócił gazetę.

Chevette nadal stał przed biblioteką. Mitch przeszedł przed samochodem, obszedł jeden kwartał i skręcił w stronę banku. Dzielnica handlowa wciskała się klinem pomiędzy gmachy banków i zatokę Hogsty. Zdjął marynarkę i wszedł do sklepu z pamiątkami, z pubem na pierwszym piętrze. Wdrapał się po schodach na górę, zamówił colę i usiadł na tarasie.

Kilka minut później w barze zjawił się miejscowy od roweru, zamówił red stripe'a i zaczął obserwować Mitcha zza napisanego odręcznie menu.

Mitch sączył colę i obserwował uliczny ruch. Nie dostrzegł chevette, ale wiedział, że samochód musi być w pobliżu. Zauważył, że przygląda mu się inny człowiek z ulicy, a następnie znika. Mężczyzna, a później kobieta. Czyżby miał paranoję? Nagle dwie przecznice dalej zza rogu wyjechał chevette i wolno przejechał ulicą.

Mitch zszedł do sklepu i kupił okulary przeciwsłoneczne. Pokonał jedną przecznicę, a następnie skręcił w boczną alejkę. Przebiegł w cieniu do następnej ulicy, by wejść do kolejnego sklepu z pamiątkami. Wyszedł tylnymi drzwiami na aleję. Zauważył duży sklep z rzeczami dla turystów i wszedł do niego bocznymi drzwiami. Zlustrował uważnie ulicę, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Półki pełne były szortów i koszulek we wszystkich kolorach — rzeczy, których miejscowi nie kupiliby za żadne skarby, ale Amerykanie je uwielbiali. Mitch pozostał konserwatywny: wybrał białe szorty i czerwony pulower z dzianiny. Znalazł sandały z rafii, pasujące

do kapelusza, który mu się podobał. Sprzedawczyni zachichotała i pokazała mu przymierzalnię. Znów spojrzał na ulicę. Tamtych ani śladu. Ubranie pasowało, więc spytał, czy mógłby na kilka godzin zostawić w sklepie garnitur i buty.

— Nie ma sprawy, proszę pana — odpowiedziała. Zapłacił gotówką, dał dziesięć dolarów napiwku i poprosił ekspedientkę, żeby wezwała taksówkę. Powiedziała, że jest bardzo przystojny.

Nerwowo obserwował ulicę do czasu przyjazdu taksówki, po czym przebiegł przez ulicę i usiadł z tyłu.

— Do centrum nurkowego Abanksa — rzucił.

— To kawał drogi, proszę pana.

Mitch podał kierowcy banknot dwudziestodolarowy.

— Jedź. Patrz w lusterka. Daj mi znać, jeśli ktoś będzie za nami jechał.

Taksówkarz wziął pieniądze.

— W porządku, proszę pana.

Mitch nasunął na czoło nowy słomkowy kapelusz i zsunął się lekko na tylnym siedzeniu, gdy szofer lawirował Shedden Road, wyjeżdżając z dzielnicy handlowej, objeżdżając zatokę Hogsty i skręcając na wschód. Minął zatokę Red, wyjechał z miasta i ruszył drogą w kierunku Bodden Town.

— Przed kim pan ucieka?

Mitch się uśmiechnął i opuścił szybę.

— Przed urzędem skarbowym. — Sądził, że to dobra wymówka, ale kierowca wydawał się zakłopotany. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że na Kajmanach nie ma podatków ani poborców podatkowych. Taksówkarz jechał w milczeniu.

W gazecie napisano, że przewodnikiem był nurek Philip Abanks, syn Barry'ego Abanksa, właściciela centrum nurkowego. Zmarły miał



dziewiętnaście lat. Cała trójka utonąła z powodu eksplozji na łodzi. Bardzo tajemniczej eksplozji. Ciała znaleziono na głębokości dwudziestu pięciu metrów, w pełnym sprzęcie do nurkowania. Nie było żadnych świadków wybuchu, nie ustalono również, dlaczego do eksplozji doszło cztery kilometry od brzegu, w miejscu, gdzie nikt nie nurkował. Autor artykułu napisał, że w tej sprawie jest wiele pytań bez odpowiedzi.

Bodden Town okazało się małą wioską oddaloną o dwadzieścia minut jazdy od Georgetown. Centrum nurkowe znajdowało się na południe od osady, na odludnym odcinku plaży.

— Czy ktoś nas śledził? — spytał Mitch.

Taksówkarz pokręcił głową.

— Dobra robota. Masz czterdzieści dolców. — Mitch spojrzał na zegarek. — Dochodzi pierwsza. Możesz przyjechać punktualnie o wpół do trzeciej?

— Bez problemu, proszę pana.

Droga kończyła się na skraju plaży, przechodząc w kamienisty biały parking ocieniony kilkunastoma dostojnymi palmami królewskimi. Frontowa część centrum nurkowego przypominała dwupiętrowy dom z cynowym dachem i zewnętrznymi schodami prowadzącymi do położonego na drugim piętrze biura. Tego rodzaju konstrukcje nazywano wielkim domem. Ściany pomalowano jasnoniebieską farbą, dodając schludne białe listwy wykończeniowe. Domostwo częściowo zasłaniały winorośle i szparagowce. Ściany zdobiły geometryczne, ręcznie wykonane różowe ornamenty. Solidne drewniane okiennice miały oliwkowy kolor. Było tu biuro i jadalnia centrum nurkowego Abanksa. Po prawej stronie palmy się przerzedzały, a mały podjazd okrężał wielki dom, opadając w stronę morza ku rozległemu, otwartemu terenowi pokrytemu białą skałą. Z każdej strony przycupnęła grupka kilkunastu krytych strzechą chatek, w których mieszkali nurkowie.

Labirynt drewnianych pomostów łączył chatki z położonym nad wodą odkrytym barem stanowiącym centralny punkt ośrodka.

Mitch skierował się w jego stronę, wiedziony znajomymi odgłosami śmiechu i muzyki reggae. Bar przypominał Rumheads, ale nie był zatłoczony. Po kilku minutach barman Henry przyniósł Mitchowi piwo Red Stripe.

— Gdzie znajdę Barry'ego Abanksa? — spytał Mitch.

Barman wskazał głową ocean i wrócił za ladę. W odległości kilometra od brzegu sunęła łódź, kierując się w stronę ośrodka. Mitch zjadł cheeseburgera, obserwując partię domina.

Łódź zacumowała przy pomoście pomiędzy barem i większą chatą, na której oknie widniał napis „Sklep nurkowy”. Z łodzi zeskoczyli nurkowie ze sprzętem i jak jeden mąż ruszyli do baru. Niski, krępy mężczyzna stał obok łodzi, wydając komendy załodze, która wyładowywała puste butle na pomost. Miał na sobie białą czapkę z daszkiem i skąpy przyodziewek: obcisłe czarne kąpielówki zasłaniające pachwinę i tylną część ciała. Wygląd jego brązowej szorstkiej skóry wskazywał, że ubierał się tak przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Zajrzał do sklepu, krzyknął coś do przewodnika nurkowego i marynarzy, a następnie również ruszył do baru. Zignorował tłum, podchodząc do lodówki, wydając heinekena, otwierając butelkę i upijając długi łyk.

Barman rzucił coś do Abanksa, wskazując głową Mitcha. Abanks otworzył kolejne piwo i podszedł do jego stolika.

Nie uśmiechnął się na powitanie.

— Szukałeś mnie? — spytał niemal wyzywająco.

— Pan Abanks?

— Tak, to ja. Czego pan chce?

— Mógłby mi pan poświęcić kilka minut?

Abanks napił się piwa i spojrział na ocean.

— Jestem zajęty. Za czterdzieści minut wyrusza łódź z nurkami.

— Nazywam się Mitch McDeere. Jestem prawnikiem z Memphis.

Abanks spojrział na niego gniewnie małymi brązowymi oczkami. Mitch zdobył jego uwagę.

— Słucham?

— Dwaj mężczyźni, którzy zginęli z pana synem, byli moimi przyjaciółmi. Nie zajmę panu dużo czasu, najwyżej parę minut.

Abanks usiadł, opierając łokcie na stole.

— Nie lubię o tym gadać — mruknął.

— Wiem, przykro mi.

— Policja powiedziała, żebym z nikim o tym nie rozmawiał.

— To poufna rozmowa. Daję słowo.

Abanks zmrużył oczy i spojrział na lśniąca błękitną wodę. Jego twarz i ciało nosiły blizny świadczące o tym, że spędził życie na morzu, na głębokości dwudziestu metrów, gdzie oprowadzał nowicjuszy wokół raf koralowych i wraków zatopionych okrętów.

— Czego chciałby się pan dowiedzieć? — zapytał cicho.

— Moglibyśmy pogadać gdzie indziej?

— Jasne, chodźmy się przejść. — Krzyknął coś do Henry'ego i zagadał do siedzących przy stole nurków. Ruszyli w kierunku plaży.

— Chciałbym porozmawiać o wypadku — zaczął Mitch.

— Proszę pytać, najwyżej nie odpowiem.

— Co spowodowało wybuch?

— Nie wiem. Może sprężarka powietrza. Może wyciek paliwa. Nie ma pewności. Łódź była poważnie uszkodzona, wraz z nią poszła z dymem większość śladów.

— To była pańska łódź?

— Tak, jedna z mniejszych. Dwadzieścia metrów długości. Pana przyjaciele wynajęli ją tamtego ranka.

— Gdzie znaleziono ciała?

— W wodzie, na głębokości dwudziestu pięciu metrów. Nie było na nich żadnych podejrzanych śladów, chyba tylko brak oparzeń i innych ran, które wskazywałyby na to, że padli ofiarą eksplozji. Według mnie właśnie to jest najdziwniejsze.

— Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci było utonięcie.

— Tak, utonęli, ale pańscy przyjaciele mieli na sobie cały sprzęt do nurkowania. Jeden z moich instruktorów później go sprawdził. Działał idealnie, a tamci byli dobrymi nurkami.

— A pana syn?

— Nie miał kombinezonu, ale pływał jak ryba.

— Gdzie doszło do wybuchu?

— Mieli nurkować przy rafie Roger's Wreck Point. Zna pan wyspę?

— Nie.

— To po drugiej stronie East Bay, w okolicy Northeastern Point. Pana przyjaciele nigdy tam nie nurkowali, więc syn zaproponował to miejsce. Dobrze znaliśmy pana przyjaciół. Byli doświadczonymi, odpowiedzialnymi nurkami. Zawsze wynajmowali całą łódź, tylko dla siebie, byli gotowi zapłacić. Zawsze też chcieli, żeby Philip był ich kapitanem. Nie wiemy, czy nurkowali w Northeastern Point. Płonącą łódź znaleziono w odległości czterech kilometrów od brzegu, daleko od miejsca, w którym mieli zejść pod wodę.

— Czy łódź mogła tam zdryfować?

— Wykluczone. Gdyby mieli problemy z silnikiem, Philip powiadomiłby nas przez radio. Mamy nowoczesny sprzęt, a nasi instruktorzy często zagląдают do sklepu. Do wybuchu nie mogło dojść na Northeastern Point.

Nikt ich nie widział ani nie słyszał, a zawsze ktoś tam jest. Po drugie, uszkodzona łódź nie mogła dryfować cztery kilometry przy takim stanie morza. Co ważniejsze, proszę pamiętać, że ciała nie były w łodzi. Jeśli dryfowała, jak wyjaśnić to, że ciała były na głębokości dwudziestu pięciu metrów? Znalezione je w odległości dwudziestu metrów od niej.

— Kto ich znalazł?

— Moi ludzie. Otrzymaliśmy wiadomość przez radio, więc wysłałem załogę. Wiedzieliśmy, że to nasza łódź. Moi zeszli pod wodę. W ciągu kilku minut znaleźli ciała.

— Wiem, że trudno panu o tym mówić.

Abanks dopił piwo i wrzucił butelkę do drewnianego kosza na śmieci.

— To prawda, ale rozmowa łagodzi ból. Dlaczego to pana interesuje?

— Rodziny zmarłych mają wiele pytań.

— Bardzo im współczuję. Rok temu poznałem żony obydwu. Spędzili z nami tydzień. Bardzo mili ludzie.

— Czy to możliwe, że gdy doszło do wypadku, badali nowy teren? — drażył Mitch.

— Możliwe, ale mało prawdopodobne. Kapitan łodzi informuje nas, kiedy ruszają z jednego miejsca nurkowania na drugie. To standardowa, bezwzględnie obowiązująca procedura. Kiedyś zwolniłem kapitana łodzi, który tego nie zrobił. Mój syn był najlepszym kapitanem na wyspie. Wychował się na tych wodach. Na pewno by mnie zawiadomił, gdyby na morzu coś się stało. To proste. Policja sądzi, że właśnie tak było, ale oni muszą w coś wierzyć. To jedyne wyjaśnienie, jakie mają.

— Czym tłumaczą nienaruszony stan ciał?

— Niczym. Dla nich to kolejny nieszczęśliwy wypadek podczas nurkowania.

— Czy pana zdaniem to był wypadek?

— Nie sędzę.

Sandały zaczęły obcierać Mitchowi skórę, więc je zdjął. Zaczęli iść w stronę chatek.

— Jeśli nie wypadek, to co?

Abanks szedł wolno, obserwując fale oceanu uderzające o piasek. Po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Jakie są inne możliwości? — spytał.

— W Memphis krążą plotki, że mogło chodzić o narkotyki.

— Niech pan mi o nich opowie.

— Mówią, że pana syn należał do grupy handlarzy narkotyków, że tego dnia mógł użyć łodzi, aby spotkać się z dostawcą na pełnym morzu. Że doszło do konfliktu i moi przyjaciele znaleźli się na linii ognia.

Abanks znów się uśmiechnął i pokręcił głową.

— To niepodobne do Philipa. O ile wiem, nigdy nie brał narkotyków. Wiem też, że nimi nie handlował. W ogóle nie interesowały go pieniądze. Tylko kobiety i nurkowanie.

— Zdecydowanie pan to wyklucza?

— Zdecydowanie. Nigdy nie słyszałem tych plotek. Wątpię, by w Memphis wiedzieli więcej. To mała wyspa. Do tej pory na pewno bym się dowiedział. To wierutna bzdura.

Rozmowa dobiegła końca. Zatrzymali się obok baru.

— Chciałbym poprosić pana o przysługę — powiedział Abanks. — Proszę nie wspominać rodzinom o tym, co panu powiedziałem. Nie mogę udowodnić, że mam rację, więc lepiej, jeśli nikt się o tym nie dowie. Szczególnie rodziny.

— Nikomu nie powiem — obiecał Mitch. — Proszę, żeby pan też nie wspominał o naszej rozmowie. Ktoś mógł mnie śledzić i może pytać o cel mojej wizyty. Powiedzmy, że rozmawialiśmy o nurkowaniu.

— Jak pan sobie życzy.

— Przyjędziemy tu z żoną na wakacje następnej wiosny. Na pewno się z panem skontaktuję.

# Rozdział 14

Szkoła episkopalna Świętego Andrzeja znajdowała się za kościołem pod tym samym wezwaniem, na gęsto zalesionej i wypielegnowanej pięcioakrowej działce w centrum Memphis. Gdzieniedzie między bluszczem widać było białe i żółte cegły, bo pnącza z jakiegoś powodu skręciły, obierając inny kierunek. Wzdłuż ścieżek i małego boiska rosły symetryczne rzędy przyciętych bukszpanów. Jednopiętrowy budynek w kształcie litery L stał cicho w cieniu kilkunastu starych dębów. Chlubiąca się ekskluzywnym charakterem szkoła należała do najdroższych placówek w Memphis, kształcąc dziatwę od przedszkola do szóstej klasy. Zamożni rodzice zapisywali się na listę oczekujących zaraz po narodzinach dziecka.

Mitch zatrzymał samochód na parkingu między kościołem i szkołą. Peugeot Abby w kolorze burgunda stał niewinnie trzy kroki dalej. Mitch przyjechał nieoczekiwanie, bo samolot wylądował godzinę wcześniej. Wpadł do domu, że się przebrać w jakieś mniej oficjalne ciuchy. Mógł się zobaczyć z Abby, a następnie wrócić do biura na kilka godzin płatnych po sto pięćdziesiąt dolców.

Chciał ją zobaczyć. W szkole. Niezapowiedziany. Przypuścić nieoczekiwany atak. Kontrakcja. Przywita się i powie, że za nią tęsknił. Że nie mógł się doczekać spotkania, więc wpadł do szkoły. Będzie się streszczał. Pierwszy dotyk, pierwsze wrażenie i pierwsze słowa po incydencie na plaży. Czy Abby spojrzy na niego i od razu wszystkiego się domysli? Może potrafi czytać w jego oczach? Może wyczuje lekkie napięcie w jego głosie? Nie żeby była zdziwiona. Nie żeby schlebiała jej jego wizyta.



Ścisnął kierownicę i spojrzał na jej wóz. Co za idiota! Głupiec! Dlaczego nie uciekł? Dlaczego nie rzucił spódnicy na piasek i nie zwiął, ile sił w nogach? Ale tego nie zrobił. Pomyślał, a co tam, nikt się nie dowie. Dlatego teraz musi się otrząsnąć i powiedzieć sobie: do licha, przecież wszyscy to robią.

Obmyślił plan w samolocie. Po pierwsze, zaczeka do późnej nocy, a potem powie Abby prawdę. Nie będzie kłamał, nie zamierza żyć w kłamstwie. Przyzna się i opowie, co się stało. Bo i dlaczego nie? Do licha, jaki mężczyzna by nie uległ? Kolejny ruch będzie zależał od jej reakcji. Jeśli zachowa spokój i okaże odrobinę współczucia, powie, że jest mu z tego powodu przykro, bardzo przykro, i że więcej tego nie zrobi. Jeśli Abby się wścieknie, będzie błagał, dosłownie błagał o przebaczenie i przysięgnie na Biblię, że popełnił błąd i nigdy więcej go nie powtórzy. Powie, jak bardzo ją kocha i czci, a później poprosi, żeby dała mu jeszcze jedną szansę. A jeśli Abby zacznie pakować manatki, pewnie dojdzie do wniosku, że nie powinien był jej o tym mówić.

Zaprzecz wszystkiemu. Zaprzecz. Zaprzecz. Jego profesorem prawa karnego na Harvardzie był radykał o nazwisku Moskowitz, który zyskał sławę, broniąc terrorystów, zabójców i pedofilów. Facet miał prostą teorię obrony: zaprzeczaj! Zaprzeczaj i jeszcze raz zaprzeczaj! Nie przyjmuj żadnego faktu, żadnego dowodu, który mógłby wskazywać na twoją winę.

Mitch przypomniał sobie o Moskowitzu, kiedy wylądowali w Miami, i zaczął pracować nad planem B obejmującym niespodziewaną wizytę w szkole i późny romantyczny obiad w ulubionej restauracji Abby. Nie będzie wspominał o niczym prócz ciężkiej pracy na Kajmanach. Otworzył drzwi samochodu, myśląc o jej pięknym uśmiechu i ufnej twarzy, a następnie powlókł się do drzwi w późnym jesiennym wietrze, czując mdłości i tępy ból brzucha.

W pustym holu panowała cisza. Z prawej strony znajdował się gabinet dyrektora. Mitch odczekał chwilę, sądząc, że ktoś zauważy jego obecność, ale nikogo nie było. Szedł cicho, aż z trzeciej sali doleciał cudowny głos żony. Przerabiała z dziećmi tabliczkę mnożenia, kiedy włożył głowę przez drzwi i uśmiechnął się do niej. Zamarła, by po chwili zachichotać. Przeprosiła uczniów, każąc im zostać na miejscach i przeczytać następną stronę. Zamknęła za sobą drzwi.

— Co tu robisz? — zapytała, kiedy przyparł ją do ściany. Rozejrzała się nerwowo po korytarzu.

— Stęskniłem się za tobą — odpowiedział bez przekonania. Tulił ją przez dobrą minutę, a później pocałował w szyję, czując słodką woń perfum. Wtedy wróciło wspomnienie tamtej. Dlaczego nie uciekłeś, draniu?

— Kiedy wróciłeś? — spytała, poprawiając włosy i rozglądając się po korytarzu.

— Godzinę temu. Cudownie wyglądasz.

W oczach Abby błysnęły łzy. Jej cudowne, uczciwe oczy.

— Jak minęła podróż?

— W porządku. Tęskniłem za tobą. Bez ciebie nie ma zabawy.

Uśmiechnęła się szeroko i odwróciła głowę.

— Ja też za tobą tęskniłam.

Wzięli się za ręce i ruszyli do drzwi.

— Chciałbym zaprosić cię na randkę dziś wieczorem — powiedział Mitch.

— Nie pracujesz?

— Nie, nie pracuję. Zamierzam pójść z żoną do jej ulubionej restauracji. Będziemy jedli i pili drogie wina. Zabawimy do późna, a gdy wrócimy do domu, poleżymy sobie nago.

— Tęskniłeś za mną. — Znów pocałowała go w usta i spojrzała w głąb

korytarza. — Lepiej stąd idź, zanim ktoś cię zobaczy.

Podeszli szybko do drzwi, niewidziani przez nikogo.

Mitch odetchnął głęboko zimnym powietrzem i ruszył do samochodu. Zrobił to. Patrzył jej w oczy, tulił i całował, jak zawsze. Niczego się nie domyśliła. Była wzruszona, może nawet poruszona.

• • •

DeVasher krążył niespokojnie za biurkiem, nerwowo paląc papierosa marki Roi-Tan. Usiadł na zużytych obrotowym fotelu, próbując skupić uwagę na notatce, by po chwili zerwać się i znów zacząć chodzić. Spojrzał na zegarek. Zadzwoił do swojej sekretarki i do sekretarki Olivera Lamberta, po czym podjął marsz.

Wreszcie, siedemnaście minut po czasie, Ollie przeszedł przez bramkę ochrony i zameldował się w gabinecie DeVashera.

DeVasher stanął za biurkiem i rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Spóźniłeś się!

— Jestem bardzo zajęty — odparł Ollie, siadając w zniszczonym fotelu marki Naugahyde. — Cóż to za ważna sprawa?

Twarz DeVashera wykrzywił chytry, zły uśmiech. Teatralnym gestem otworzył szufladę i z dumą wyciągnął dużą szarą kopertę, rzucając ją przez biurko na kolana współnika.

Lambert otworzył kopertę i spojrzał na czarno-białe zdjęcia formatu osiem na dziesięć. Przyglądał się każdemu, podsuwając pod nos na odległość kilku centymetrów, starając się zapamiętać każdy szczegół. DeVasher obserwował go z dumą.

Ollie jeszcze raz przejrzał zdjęcia i zaczął ciężko dyszeć.

— Niewiarygodne.

— Tak, też tak pomyśleliśmy.

— Co to za dziewczyna? — spytał Ollie, nie przestając gapić się na fotografię.

— Miejskowa prostytutka. Ładna, prawda? Nigdy wcześniej nie korzystaliśmy z jej usług, ale założę się, że jeszcze to zrobimy.

— Chcę ją poznać, i to szybko.

— Nie ma sprawy. Pomyślałem sobie, że zechcesz.

— To niewiarygodne. Jak tego dokonała?

— Początkowo kiepsko to wyglądało. Pierwszej powiedział, żeby spadała. Avery zabawiał się z drugą, ale twój facet nie miał ochoty na jej przyjaciółkę. Wyszedł i udał się do małego baru na plaży. Właśnie tam zjawiała się nasza dziewczyna. To prawdziwa profesjonalistka.

— Gdzie byli twoi ludzie?

— Wszędzie. Te zdjęcia zrobiono zza palmy, z odległości około dwudziestu pięciu metrów. Całkiem niezłe, co?

— Bardzo dobre. Wypłać premię fotografowi. Długo baraszkowali w piasku?

— Dość długo. Myślę, że przypadli sobie do gustu.

— Widzę, że niezłe się zabawili.

— Mieliśmy szczęście. Plaża była pusta, trafiliśmy na idealny moment.

Lambert podniósł fotografię i przysunął ją do oczu.

— Zrobiłeś mi odbitki? — spytał.

— Oczywiście, Ollie. Wiem, jak to lubisz.

— Sądziłem, że McDeere okaże się twardszy.

— To twardziel, ale jest człowiekiem. Do tego niegłupim. Podejrzewamy, że następnego dnia podczas lunchu domyślił się, że go obserwujemy. Był podejrzliwy i kluczył po dzielnicy handlowej, a później zniknął. Spóźnił się godzinę na spotkanie z Averym w banku.

— Dokąd poszedł?

— Nie wiemy. Obserwowaliśmy go z ciekawości, nic poważnego. Do licha, facet mógł pójść do jakiegoś baru w centrum, ale nas zgubił.

— Obserwuj go uważnie. Ten McDeere zaczyna mnie niepokoić.

DeVasher machnął kolejną szarą kopertą.

— Zapomnij o zmartwieniach, Ollie. Teraz jest nasz! Gdyby wiedział, że mamy takie fotki, mógłby dla nas zabić.

— Co z Tarrance'em?

— Ani śladu. McDeere nie wspomniał o nim nikomu, a przynajmniej nic o tym nie wiemy. Czasami trudno wyśledzić Tarrance'a, ale myślę, że trzyma się od nas z daleka.

— Miej oczy otwarte.

— Nie martw się o mnie, Ollie. Jesteś prawnikiem, doradcą i wielmożnym panem, i masz swoje fotki. Ty prowadzisz firmę, ja inwigilację.

— Jak McDeere radzi sobie w domu?

— Nieszczególnie. Żona bardzo chłodno zareagowała na jego podróż służbową.

— Co robiła, kiedy wyjechał?

— Babka nie należy do tych, co siedzą w domu. Dwa razy poszła wieczorem z żoną Quina do knajpy dla japiszonów. Później wybrały się do kina. Jedną noc spędziła z przyjaciółką, nauczycielką ze szkoły. Raz czy dwa poszła na zakupy. Często wydzwaniła do matki, na jej koszt. Widać nasz chłoptaş nie przepada za jej rodzicami, bo próbowała to ukryć. Łączy ją bliski związek z matką i cierpi, bo nie mogą być jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Chce pojechać do domu do Kentucky na święta Bożego Narodzenia, ale obawia się, że mąż nie będzie miał na to ochoty. Dużo tam tarć, dużo podtekstów. Powiedziała matce, że Mitch za dużo pracuje, a matka na to, że pewnie chce im zaimponować. Nie podoba mi się to, Ollie. Zła aura.

— Podśluchuj dalej. Próbowaliśmy go zmusić do zwolnienia tempa, ale facet pracuje jak maszyna.

— Nic dziwnego, płacicie mu sto pięćdziesiąt dolców za godzinę. Dlaczego nie ograniczycie współpracownikom liczby godzin do czterdziestu tygodniowo, żeby mogli spędzać więcej czasu z rodzinami? Mógłbyś obniżyć sobie pensję, sprzedać jednego jaguara albo dwa, zastawić diamenty starej, może nawet sprzedać rezydencję i kupić mniejszy dom niedaleko klubu na wsi.

— Zamknij się, DeVasher.

Kiedy Oliver Lambert wypadł z gabinetu, DeVasher wybuchnął tak głośnym śmiechem, że poczerwieniał na twarzy, a gdy został sam, zamknął zdjęcia w szafce na dokumenty.

— Mitchellu McDeere — mruknął do siebie z szerokim uśmiechem — teraz jesteś nasz.

# Rozdział 15

Wpiątek o dwunastej, dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, Abby pożegnała się z uczniami i opuściła szkołę, rozpoczynając świąteczną przerwę. O trzynastej zatrzymała się na parkingu pełnym volvo, bmw i saabów oraz innych peugeotów, i pobiegła w strugach zimnego deszczu do zatłoczonego terrarium, do którego przychodzili młodzi zamożni ludzie, żeby w otoczeniu roślin zjeść quiche, fajitę lub zupę z ciemnej fasoli. Kay Quin uważała to miejsce za najmodniejszą knajpę ostatniego roku. Miały tam zjeść drugi lunch w tym miesiącu. Kay jak zawsze się spóźniała.

Ich przyjaźń nadal była w początkowej fazie. Z natury ostrożna, Abby nigdy szybko się nie zaprzyjaźniała. Trzy lata studiów na Harvardzie były dla niej czasem bez przyjaciół, więc miała okazję przywyknąć do samotności. Podczas sześciu miesięcy spędzonych w Memphis poznała garstkę potencjalnych przyjaciółek w kościele oraz jedną w szkole, ale poruszała się ostrożnie.

Początkowo Kay Quin szybko parła naprzód. Kiedyś była przewodniczą wycieczek, sprzedawczynią, a nawet dekoratorką wnętrz. W odróżnieniu od Kay Abby poruszała się wolno, stopniowo poznając i uważnie obserwując nową przyjaciółkę. Kilka razy jadły w domu Quin. Spotykały się na firmowych obiadach i podczas różnych uroczystości, ale zawsze w tłumie. Cieszyły się swoim towarzystwem podczas czterech długich lunchów w miejscach uznawanych za modne przez młodych i pięknych posiadaczy złotych mastercards z Memphis. Kay zwracała uwagę na samochody, domy i ciuchy, ale udawała, że nie mają dla niej znaczenia. Pragnęła być kumpelą,

bliską przyjaciółką, powierniczką i serdecznym kompanem. Abby trzymała się na dystans, powoli dopuszczając ją bliżej.

Poniżej stolika Abby, na pierwszym poziomie obok baru, gdzie ludzie popijali drinki, czekając na wolny stolik, stała replika szafy grającej z lat pięćdziesiątych. Po dziesięciu minutach i dwóch kawałkach Roya Orbisona Kay wyłoniła się z tłumu nieopodal drzwi i spojrzała w górę, na trzeci poziom. Abby uśmiechnęła się do niej i pomachała.

Objęły się i cmoknęły w policzki, bez rozmazywania szminki.

— Przepraszam, znowu się spóźniłam — powiedziała Kay.

— Nic się nie stało. Zdążyłam się przyzwyczaić.

— Ależ tu dziś tłok — zauważyła Kay, rozglądając się ze zdumieniem, choć zawsze było tu pełno ludzi. — Skończyłaś szkołę?

— Tak. Godzinę temu. Mam wolne do szóstego stycznia.

Każda spojrzała z podziwem na ciuchy drugiej, wyrażając zachwyt swoją smukłością, młodością i pięknem.

Od razu zaczęły rozmawiać o bożonarodzeniowych zakupach i sklepach, wyprzedażach i dzieciach, aż podano im wino. Abby zamówiła krewetki z patelni, ale Kay pozostała wierna tradycyjnemu quiche'owi z brokułami.

— Jakie macie plany na święta? — spytała.

— Na razie żadnych — odrzekła Abby. — Chciałabym pojechać do rodziny do Kentucky, ale obawiam się, że Mitch nie będzie miał ochoty. Wysłałam mu kilka sygnałów, ale je zignorował.

— Nadal nie lubi twoich rodziców?

— Nic się nie zmieniło. W ogóle o nich nie rozmawiamy. Nie wiem, jak się do tego zabrać.

— Bardzo ostrożnie, jak sądzę.

— Taak, ostrożnie i z wielką cierpliwością. Moi rodzice się mylili, ale mimo to ich potrzebuję. To boli, gdy jedyny mężczyzna, którego kochasz, nie



toleruje twoich starych. Codziennie modlę się o mały cud.

— Wygląda na to, że przydałby ci się całkiem duży. Czy Mitch naprawdę tak ciężko pracuje, jak mówi Lamar?

— Nie wyobrażam sobie, by człowiek mógł pracować więcej. Tyra po osiemnaście godzin dziennie, od poniedziałku do piątku. W sobotę pracuje osiem godzin, a ponieważ niedziela jest dniem odpoczynku, ogranicza się do pięciu, najwyżej sześciu godzin.

— Czyżbym wyczuła nutkę frustracji w twoim głosie?

— Ogromnej frustracji, Kay. Byłam cierpliwa, ale jest coraz gorzej. Zaczynam się czuć jak wdowa. Mam dość spania na kanapie w oczekiwaniu na jego powrót.

— Masz mu dostarczać jedzenia i seksu, co?

— Dobrze by było. Jest zbyt zmęczony. Seks przestał być dla niego priorytetem, choć kiedyś nie miał go dość. Podczas studiów o mało się nie pozabijaliśmy. Teraz, jeśli mam szczęście, Kochamy się raz w tygodniu. Wraca do domu, je coś, jeśli ma siłę, i kładzie się spać. Uważam się za szczęściarę, gdy zamieni ze mną parę słów, zanim odpłynie. Jestem głodna rozmów z dorosłymi, Kay. Siedem godzin dziennie przebywam w towarzystwie ośmiolatków, pragnę słów składających się z więcej niż trzech sylab. Staram się mu to wytłumaczyć, a facet chrapie. Czy przechodziłaś to samo z Lamarem?

— Coś w tym stylu. Przez pierwszy rok pracował siedem dni w tygodniu. Myślę, że oni wszyscy tak mają. To rodzaj inicjacji poprzedzającej przyjęcie do bractwa. Męski rytuał, przez który chcą dowieść, że są prawdziwymi facetami. Po roku większość traci parę i schodzi do sześćdziesięciu, sześćdziesięciu pięciu godzin. Nadal ciężko pracują, ale nie zachowują się jak ci kamikadze nowicjusze.

— Czy Lamar pracuje w każdą sobotę?

— Zwykle tak, ale tylko parę godzin. Nigdy nie pracuje w niedzielę. Tupnęłam nogą. Oczywiście, jeśli ma jakiś ważny termin albo zbliża się czas składania deklaracji podatkowych, wszyscy tyrają na okrągło. Myślę, że Mitch zadziwił ich wszystkich.

— Ani trochę nie zwolnił. Zachowuje się jak opętany. Czasami wraca do domu o świcie, bierze szybki prysznic i jedzie do biura.

— Lamar mówi, że stał się u nich legendą.

Abby upiła łyk wina i spojrzała przez balustradę na bar.

— Super. Poślubiłam legendę.

— Myślałaś o dzieciach?

— Żeby mieć dzieci, trzeba uprawiać seks, zapomniałaś?

— Daj spokój, Aby. Przecież nie może być aż tak źle.

— Nie jestem gotowa na dzieci. Nie dam sobie rady jako samotna matka. Kocham męża, ale na pewno będzie miał bardzo ważne spotkanie i zostawi mnie samą na porodówce. Z rozwarciem osiem centymetrów. Tylko ta przeklęta kancelaria mu w głowie.

Kay delikatnie ujęła dłoń Abby.

— Będzie dobrze, zobaczysz — zapewniła z uśmiechem i spojrzeniem mędrca. — Pierwszy rok jest najtrudniejszy. Będzie lepiej, obiecuję.

Abby odpowiedziała uśmiechem.

— Przepraszam.

Kiedy zjawił się kelner z jedzeniem, zamówiły po jeszcze jednej lampce wina. Krewetki skwierczały w maślano-czosnkowym sosie i cudnie pachniały. Zimny quiche leżał samotnie na liściu sałaty obok mdłego trójkąta z pomidora.

Kay nadziała na widelec kawałek brokuła, włożyła do ust i pogryzła.

— Słuchaj, Abby, firma zachęca pracowników do tego, żeby mieli dzieci.

— Mam to gdzieś. W obecnej chwili nie pałam do niej szczególnie

miłością. Rywalizuję z firmą i przegrywam z kretesem. Mam gdzieś, czego chcę. Nie będą mi planowali rodziny. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się interesują sprawami, w które nie powinni wtykać nosa. To miejsce jest upiorne, Kay. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale ci ludzie sprawiają, że cierpnie mi skóra.

— Chcą, żeby ich prawnicy byli szczęśliwi i mieli udane życie rodzinne.

— A ja pragnę odzyskać męża. Chcą mi go odebrać, więc nasze życie rodzinne nie jest zbyt udane. Jeśli zejda mu z grzbietu, może staniemy się normalni i będziemy mieli ogród pełen dzieci, bo teraz to wykluczone.

Kelner przyniósł wino, a krewetki ostygły. Abby jadła powoli, popijając winem. Kay sięgnęła po mniej drażliwy temat:

— Lamar powiedział, że miesiąc temu Mitch był na Kajmanach.

— Tak. Bawił tam trzy dni razem z Averym. Wyłącznie w interesach, tak przynajmniej twierdzi. Byłaś tam kiedyś?

— Jestem co roku. To piękne miejsce z cudownymi plażami i ciepłą wodą. Jeździmy tam w czerwcu, po zakończeniu szkoły. Firma ma dwa duże apartamenty obok plaży.

— Mitch chce mnie tam zabrać na wakacje. W marcu, podczas wiosennej przerwy.

— Przyda ci się. Zanim urodzisz dzieci. Całymi dniami wylegiwaliśmy się na plaży, piliśmy rum i uprawialiśmy seks. Właśnie dlatego firma kupiła te apartamenty. Jeśli będziecie mieli szczęście, polecicie firmowym samolotem. Oni ciężko pracują, ale rozumieją potrzebę odpoczynku.

— Nie wspominaj mi o firmie, Kay. Nie chcę słyszeć o tym, co lubią i do czego zachęcają pracowników.

— Będzie lepiej, zobaczysz, Abby. Obiecuję. Nasi mężowie są bardzo dobrymi prawnikami, ale nigdzie indziej nie zarobią takiej forsy. Będziemy jeździły nowymi buickami zamiast peugeotami i mercedesami.

Abby przekroiła krewetkę na pół i umaczała w maślano-czosnkowym sosie, by chwilę później odsunąć talerz. Kieliszek był pusty.

— Wiem, Kay. Wiem, ale życie to coś więcej niż duży ogród i peugeot. Wygląda na to, że tutaj nikt nie zdaje sobie z tego sprawy. Przysięgam, że byliśmy bardziej szczęśliwi w dwupokojowym mieszkaniu w Cambridge.

— Jesteś tu zaledwie kilka miesięcy. Mitch w końcu zwolni, a ty wpadniesz we własną rutynę. Niebawem mali członkowie rodziny McDeere'ów zaczną buszować w ogrodzie, a ty nie zdążysz się obejrzeć, jak Mitch zostanie współnikiem. Wierz mi, Abby, wasza sytuacja się poprawi. Wszyscy przechodziliśmy przez ten okres i się udało.

— Dziękuję, Kay. Obyś miała rację.

• • •

Park był mały, położony na dwóch lub trzech akrach nadrzecznej skarpy, z rzędem armat i dwoma posągami z brązu upamiętniającymi dzielnych konfederatów walczących o ocalenie rzeki i miasta. Pod pomnikiem generała na koniu urządził sobie schronienie jakiś pijaczek. Kartonowe pudło i postrzępiona narzuta dawały niewielką ochronę przed przejmującym chłodem i drobnymi kropelkami lodowatego deszczu. Biegącą pięćdziesiąt metrów niżej Riverside Drive sunęły samochody. Było ciemno.

Mitch podszedł do armat i stanął, przypatrując się rzece i mostom prowadzącym do Arkansas. Zapiął pod szyję kurtkę przeciwdeszczową i postawił kołnierz, osłaniając uszy. Spojrzał na zegarek i czekał.

Niemal widział Dom Bendiniego znajdujący się w odległości sześciu przecznic od parku. Zostawił samochód na parkingu w centrum miasta i wrócił taksówką nad rzekę. Był pewny, że nikt go nie śledził. Czekał.

Lodowaty wiatr znad rzeki sprawił, że jego twarz poczerwieniała. Mitch przypomniał sobie zimy w Kentucky, po śmierci ojca. Lodowate i surowe.

Zimy samotne i ponure. Nosił kurtki po kuzynach lub przyjaciółach, które nigdy w wystarczającym stopniu nie chroniły przed chłodem. Używane ciuchy. Odpędził te ponure myśli.

Marznący deszcz zamienił się w deszcz ze śniegiem. Maleńkie drobinki lodu przyczepiły się do jego włosów, odbijały od chodnika pod nogami. Znowś spojrzął na zegarek.

Usłyszał kroki. Do armat zbliżał się pospiesznie jakiś człowiek. Przystanął, by po chwili wolno ruszyć dalej.

— Mitch? — Eddie Lomax miał na sobie dżinsy i długą kurtkę z królików. Gęste wąsy i biały kowbojski kapelusz sprawiały, że wyglądał jak model z reklamy papierosów. Facet z reklamy marlboro.

— Taak, to ja.

Lomax podszedł bliżej, stając z drugiej strony armaty. Wyglądali jak wartownicy konfederatów spoglądający na Missisipi.

— Śledzili cię? — zapytał Mitch.

— Nie, nie sędzę. A ciebie?

— Nie.

Mitch obserwował ruch na Riverside Drive i ulicach prowadzących w kierunku rzeki. Lomax wsunął głębiej ręce do kieszeni.

— Gadałeś z Rayem? — spytał.

— Nie. — Odpowiedź była krótka, jakby Mitch chciał dać do zrozumienia, że nie przyszedł tu na pogaduszki.

Lomax zapalił papierosa, stając się istnym facetem Marlboro.

— Nie znalazłem wielu informacji na temat tej trójki prawników. Alice Knauss zginęła w wypadku samochodowym w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. Z policyjnego raportu wynika, że zabił ją pijany kierowca, ale, o dziwo, nigdy go nie odnaleziono. Do wypadku doszło w srodę około północy. Pracowała w biurze do późna i jechała do domu.

Mieszkała na wschodzie, w Sycamore View. W odległości dwóch kilometrów od swojego mieszkania zderzyła się czołowo z jednonową furgonetką. Na New London Road. Prowadziła eleganckiego małego fiata. Wóz został rozbity w kawałki. Żadnych świadków. Kiedy gliniarze przyjechali na miejsce, ciężarówka była pusta. Ani śladu kierowcy. Sprawdzili tablice i okazało się, że trzy dni wcześniej wóz został ukradziony w St. Louis. Nie znaleźli żadnych odcisków palców, niczego.

— Próbowali je pobrać?

— Taak. Znam detektywa, który się tym zajmował. Mieli podejrzenia, ale nie udało się znaleźć żadnych tropów, którymi mogliby pójść. Na podłodze furgonetki leżała rozbita butelka whisky, więc uznali, że to wina pijanego kierowcy, i zamknęli sprawę.

— Przeprowadzili sekcję zwłok?

— Nie. Było wiadomo, jak umarła.

— Podejrzana sprawa.

— Bardzo. Wszystkie trzy są podejrzane. Robert Lamm polował na jelenie w Arkansas. Razem z przyjaciółmi miał domek myśliwski w okręgu Izard, w Ozarks. Wyjeżdżali tam dwa, trzy razy w roku podczas sezonu myśliwskiego. Rano wrócili wszyscy oprócz Lamma. Szukali go przez dwa tygodnie i znaleźli ciało w jarze, częściowo przysypane liśćmi. Został postrzelony w głowę. Nic więcej nie udało się ustalić. Samobójstwo wykluczono, ale nie natrafili na żadne ślady i nie mogli rozpocząć dochodzenia.

— Został zamordowany?

— Na to wygląda. Gość miał ranę wlotową u podstawy czaszki i wylotową, która rozerwała większą część twarzy. Samobójstwo nie wchodzi w grę.

— Może to był wypadek?

— Może. Facet mógł dostać kulę przeznaczoną dla jelenia, ale to mało prawdopodobne. Znalaziono go w sporej odległości od obozu, w rejonie rzadko odwiedzanym przez myśliwych. Przyjaciele Lamma twierdzą, że w dniu jego zniknięcia nie słyszeli ani nie widzieli żadnych myśliwych. Rozmawiałem z byłym szeryfem. Facet jest przekonany, że to morderstwo. Utrzymuje, że są dowody, iż ciało zostało celowo przykryte liśćmi.

— To wszystko?

— Taak, w sprawie Lamma.

— A co z Micklelem?

— Smutna sprawa. Gość popełnił samobójstwo w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. W wieku trzydziestu czterech lat. Postrzelił się w prawą skroń ze smitha i wessona trzy-pięć-siedem. Zostawił długi list pożegnalny, w którym napisał byłej żonie, że ma nadzieję, iż mu przebaczy, i takie tam pierdoły. Pożegnał się z dziećmi i z matką. Naprawdę wzruszające.

— Czy list został napisany jego pismem?

— Niezupełnie. Napisano go na maszynie, co nie jest niczym niezwykłym, bo facet dużo na niej pisał. Miał w biurze maszynę IBM Selectric i to właśnie na niej go napisano. Podobno strasznie gryzmolił.

— Co w tym podejrzanego?

— Pistolet. Facet nigdy w życiu nie miał pistoletu. Nikt nie wie, skąd go wytrzasnął. Brak dokumentów, numeru seryjnego, czegokolwiek. Jeden z przyjaciół z firmy miał rzekomo powiedzieć, że Mickel wspomniał mu, iż chce kupić broń dla ochrony.

— Co o tym sądzisz? — spytał Mitch.

Lomax cisnął niedopałek na chodnik smagany deszczem. Przyłożył dłonie do ust i chuchnął, żeby je ogrzać.

— Sam nie wiem. Trudno mi uwierzyć, że prawnik od podatków, który

nie miał zielonego pojęcia o broni, kupił pistolet bez numeru seryjnego, nie rejestrując go. Jeśli taki gość chciałby mieć pistolet, poszedłby do sklepu z bronią, wypełnił dokumenty i nabył ładną, lśniąca i nową sztukę. Ten gnat miał przynajmniej dziesięć lat i został wyczyszczony przez zawodowców.

— Czy gliniarze to sprawdzili?

— Niezupełnie. Sprawę otwarto i natychmiast zamknięto.

— Facet podpisał list?

— Taak, ale nie wiem, kto zweryfikował podpis. Gość rozwiódł się z żoną rok wcześniej. Babka wróciła do Baltimore.

Mitch rozpiął górny guzik kurtki i strząsnął lód z kołnierza. Deszcz ze śniegiem padał coraz gęściej, pokrywając chodnik bielą. Pod lufą armaty zaczęły się tworzyć maleńkie sople. Ruch na Riverside zwolnił, bo koła zaczęły się ślizgać i obracać w miejscu.

— Co sądzisz o naszej małej firmie? — spytał Mitch, przyglądając się odległej rzece.

— Niebezpiecznie w niej pracować. W ciągu ostatnich piętnastu lat stracili pięciu prawników. Kiepski wynik w statystykach bezpieczeństwa.

— Pięciu?

— Tak, jeśli uwzględnić Hodge'a i Kozinskiego. Mój informator wspominał o kilku pytaniach, na które nie ma odpowiedzi.

— Nie prosiłem cię, żebyś badał sprawę tamtych dwóch.

— Nie policzę ci za to. Ta sprawa mnie zaintrygowała, to wszystko.

— Ile ci wiszę?

— Sześćset dwadzieścia.

— Zapłacę gotówką. Żadnych kwitów, w porządku?

— Jasne. Wolę gotówkę.

Mitch odwrócił się od rzeki i spojrzał na wysokie budynki mające w odległości trzech przecznic od parku. Był zmarznięty, ale mu się nie



spieszyło. Lomax obserwował go kątem oka.

— Masz problemy, prawda kolego? — spytał.

— Tak uważasz? — mruknął Mitch.

— Ja bym tam nie pracował. Słuchaj, nie wiem tyle co ty. Podejrzewam, że o wielu sprawach mi nie powiedziałaś. Z drugiej strony stoimy tu w zamieci, bo nie chcemy, żeby nas ktoś zobaczył. Nie możemy gadać przez telefon. Nie możemy spotkać się w twoim biurze. Sądzisz, że cały czas cię śledzą. Powiedziałeś mi, że bym miał się na baczności i oglądał za siebie, bo kimkolwiek są tamci, mogą śledzić także mnie. Pięciu prawników waszej firmy zmarło w bardzo podejrzanych okolicznościach, a ty zachowujesz się tak, jakbyś mógł być następny. Taak, powiedziałbym, że masz problem. Poważny problem.

— Co z Tarrance'em?

— To jeden z ich najlepszych agentów. Przenieśli go do Memphis dwa lata temu.

— Skąd?

— Z Nowego Jorku.

Pijaczek wytoczył się spod brązowego konia i upadł na chodnik. Jęknął, dźwignął się na nogi, a następnie sięgnął po kartonowe pudło i narzute i ruszył w kierunku miasta. Lomax drgnął i rozejrzał się nerwowo.

— To włóczęga — uspokoił go Mitch. Obaj się rozluźnili.

— Przed kim się ukrywamy? — zapytał Lomax.

— Sam chciałbym wiedzieć.

Lomax przyjrzał mu się uważnie.

— Myślę, że wiesz.

Mitch nie odpowiedział.

— Posłuchaj, Mitch, nie płacisz mi, że bym się w to angażował. Wiem o tym, ale instynkt podpowiada mi, że jesteś w tarapatkach. Myślę, że przydałby

ci się przyjaciel, ktoś, komu mógłbyś zaufać. Mogę pomóc, jeśli będziesz mnie potrzebował. Nie wiem, kim są ci źli faceci, ale domyślam się, że to bardzo niebezpieczne typy.

— Dzięki — powiedział cicho Mitch, nie patrząc na Lomaxa, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że powinien już iść i zostawić go samego w zamieci.

— Wskoczyłbym do tej rzeki dla Raya McDeere'a i na pewno pomogę jego młodszemu bratu — dodał detektyw.

Mitch skinął lekko głową, nie odpowiadając. Lomax zapalił kolejnego papierosa i strząsnął lód ze swoich butów ze skóry jaszczurki.

— Dzwon o każdej porze. Bądź ostrożny. Tamci czają się w pobliżu i nie żartują.

# Rozdział 16

W centrum miasta, przy skrzyżowaniu Madison i Cooper, wyremontowano stare dwupiętrowe domy, przerabiając je na bary dla singli, knajpy, sklepy z upominkami i kilka dobrych restauracji. Rejon skrzyżowania nazywano Overton Square i właśnie tam skupiało się nocne życie Memphis. Teatr i księgarnia dodawały temu miejscu szczyptę kultury. Wąski środkowy pas dzielący Madison porastały drzewa. W weekendy roiło się tu od studentów college'u i marynarzy z bazy marynarki, ale w zwykłe wieczory restauracje były ciche i niezbyt zatłoczone. Paulette, uroczy francuski lokal w białym budynku ze sztukaterią, był znany z karty win i deserów oraz delikatnego głosu faceta akompaniującego sobie na steinwayu. Z nagłą zamożnością pojawiła się obfitość kart kredytowych, a McDeere'owie szastali nimi w poszukiwaniu najlepszych restauracji w mieście. Jak dotąd Paulette była ich ulubioną.

Mitch siedział w rogu baru, pijąc kawę i obserwując frontowe drzwi. Przyszedł przed czasem, tak jak zaplanował. Zadzwoił do Abby trzy godziny wcześniej i spytał, czy mógłby zaprosić ją na randkę o dziewiętnastej. Spytała dlaczego, a on odpowiedział, że później to wyjaśni. Od czasu wyjazdu na Kajmany wiedział, że jest śledzony, obserwowany i podsłuchiwany. W ostatnim miesiącu rozmawiał przez telefon, zachowując najwyższą ostrożność. Przyłapał się na tym, że patrzy we wsteczne lustro, a nawet starannie dobiera słowa we własnym domu. Był pewny, że ktoś ich obserwuje i podsłuchuje.

Abby wpadła do środka z zimnego dworu i rozejrzała się po sali

w poszukiwaniu męża. Przywitał ją przed barem i cmoknął w policzek. Kiedy zdjęła płaszcz, poszli za szefem sali do małego stolika stojącego wśród innych małych stolików, tak że znaleźli się w zasięgu słuchu innych gości. Mitch rozejrzał się, szukając innego miejsca, ale nie znalazł. Podziękował kelnerowi i usiadł naprzeciwko żony.

— Cóż to za okazja? — zapytała podejrzliwie.

— Czy muszę mieć powód, aby zaprosić żonę na obiad?

— Tak. Jest poniedziałek, dziewiętnasta, a ty nie jesteś w pracy. Okazja musi być naprawdę wyjątkowa.

Kelner przecisnął się między stolikami, pytając, co chcą zamówić do picia. Prosili o dwa białe wina. Mitch rozejrzał się po sali i kątem oka spostrzegł faceta siedzącego samotnie pięć stolików dalej. Jego twarz wydała mu się znajoma. Kiedy znów podniósł głowę, tamten ukrył się za menu.

— O co chodzi, Mitch?

Położył dłoń na dłoni Abby i ściągnął brwi.

— Abby, musimy pogadać.

Jej ręka lekko drgnęła. Z twarzy zniknął uśmiech.

— O co chodzi?

Zniżył głos:

— To bardzo poważna sprawa.

Westchnęła głęboko i powiedziała:

— Nie możesz z tym poczekać, aż przyniosą wino? Mogę go potrzebować.

Mitch znów rzucił wzrokiem na gościa ukrytego za menu.

— Nie możemy tutaj gadać.

— W takim razie dlaczego tu przyszliśmy?

— Posłuchaj uważnie, Abby. Wiesz, gdzie są łazienki? W korytarzu, po prawej.

— Tak, wiem.

— Na końcu korytarza jest tylne wejście. Wychodzi na boczną ulicę za restauracją. Chcę, żebyś poszła do łazienki, a później nim wyszła. Będę czekał na ciebie na ulicy.

Nie odpowiedziała. Opuściła głowę i zmrużyła oczy. Lekko przechyliła głowę w prawo.

— Zaufaj mi, Abby. Później ci wszystko wyjaśnię. Spotkamy się na zewnątrz i poszukamy innego lokalu. Tutaj nie mogę rozmawiać.

— Przerażasz mnie.

— Proszę — powiedział stanowczo, ściskając jej dłoń. — Wszystko jest w porządku. Przyniosę twój płaszcz.

Wstała, sięgnęła po torebkę i wyszła z sali. Mitch spojrzął przez ramię na człowieka o znajomej twarzy. Facet nagle wstał i zaprosił do stolika starszą panią. Nie zauważył wyjścia Abby.

W uliczce za Paulette Mitch zarzucił płaszcz na ramiona żony i wskazał na wschód.

— Wszystko ci wytłumaczę — powtórzył. Kilkadziesiąt metrów dalej skręcili między dwa budynki i weszli frontowymi drzwiami do Bombay Bicycle Club — baru dla singli, gdzie serwowano dobre jedzenie, a orkiestra grała bluesa. Mitch przywołał szefa kelnerów, obejrzał dwie sale, a następnie wskazał stół w tylnym rogu. — Ten — powiedział.

Usiadł plecami do ściany, zwrócony twarzą do sali i wejścia. W kącie panował półmrok. Stół oświetlały świece. Zamówili wino.

Abby siedziała bez ruchu, spoglądając na Mitcha, obserwując każdy jego ruch i czekając.

— Pamiętasz Ricka Acklina z Western Kentucky?

— Nie — zaprzeczyła, prawie nie poruszając wargami.

— Facet grał w kosza, mieszkał w akademiku. Mogliście się poznać.

Bardzo sympatyczny gość, schludny, dobry student. Pochodził z Bowling Green. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale się znaliśmy.

Abby pokręciła głową i czekała.

— Skończył studia rok przed nami i poszedł do szkoły prawniczej w Wake Forest. Teraz pracuje w FBI. Tutaj, w Memphis. — Przyjrzał jej się uważnie, jakby słowo „FBI” miało wyrzeć na niej wrażenie. Nie wywarło. — Jem sobie dzisiaj lunch w barze Obloe z hot dogami, tym przy Main Street, a Rick zjawia się jak spod ziemi i mówi „część”. Czysty zbieg okoliczności. Gadamy kilka minut, gdy pojawia się kolejny agent, gość o nazwisku Tarrance. Podchodzi do stolika i siada. Spotkałem go drugi raz od czasu, gdy zostałem przyjęty do palestry.

— Drugi...

— Tak, od sierpnia.

— Ci faceci to... agenci FBI?

— Tak, z odznakami i wszystkim. Tarrance jest doświadczonym agentem z Nowego Jorku. Pracuje tu od dwóch lat. Acklin to żółtodziób, którego sprowadzili trzy miesiące temu.

— Czego chcieli?

Kelner przyniósł wino, a Mitch rozejrzał się po sali. Zespół stroił instrumenty na małej scenie w przeciwległym rogu. W lokalu roiło się od elegancko ubranych przedstawicieli wolnych zawodów, którzy bez przerwy gadali. Sącząc piwo, z podziałem na role odegrał pierwszą wizytę Tarrance'a w delikatesach Lansky'ego przy Union, z ostrzeżeniem, komu nie ufać i gdzie nie rozmawiać. Powiedział też o swoim spotkaniu z Locke'em, Lambertem i innymi współnikami. Wyjaśnił, dlaczego FBI tak bardzo interesuje się firmą, a następnie dodał, że rozmawiał o tym z Lamarem i wierzy w każde słowo wypowiedziane przez Locke'a i Lamberta.

Abby słuchała z zapartym tchem, powstrzymując się od zadawania pytań.

— Dzisiaj, gdy rozmyślałem o robocie i posilałem się kanapką z cebulką, ten gość, z którym chodziłem do college'u, podchodzi do mojego stolika i mówi, że FBI wie na sto procent, iż moje telefony są na podsłuchu. Że w naszym domu są pluskwy i ktoś z kancelarii Bendini, Lambert i Locke wie, kiedy chrapię albo się załatwiam. Pomyśl, Abby, Rick Acklin został tu przeniesiony, gdy zdałem egzamin i przyjęli mnie do palestry. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

— Czego od ciebie chcą?

— Nie powiedzieli. Nie mogą mi jeszcze powiedzieć. Chcą, żebym im zaufał i tak dalej. Sam nie wiem, Abby. Nie mam pojęcia, o co im chodzi, ale musieli mieć powód, żeby mnie wybrać.

— Powiadomiłeś Lamara o tej wizycie?

— Nie. Nie powiedziałem nikomu. Nikomu oprócz ciebie. I nie mam takiego zamiaru.

Abby upiła łyk wina.

— Czy nasze rozmowy telefoniczne są nagrywane?

— FBI sądzi, że tak. Nie mam pojęcia, jak na to wpadli.

— Nie są głupi, Mitch. Gdyby FBI powiedziało, że moje rozmowy są nagrywane, uwierzyłabym. Ty nie wierzysz?

— Locke i Lambert gładko i wiarygodnie wyjaśnili, że ich firma walczy z urzędem skarbowym i FBI. Chcę w to wierzyć, ale ich wersja nie trzyma się kupy. Spójrz na to w ten sposób: jeśli firma ma bogatego klienta, który prowadzi szemrane interesy i zasługuje na obserwację FBI, dlaczego Biuro wybrało właśnie mnie, nowicjusza, który nie ma o niczym pojęcia, a później zaczęło mnie śledzić? Co ja wiem? Pracuję nad dokumentami, które mi przekazują. Nie mam żadnego własnego klienta. Robię, co mi każą. Dlaczego nie zajęli się jednym ze wspólników?

— Może chcą, żebyś zakablował, jakich mają klientów?

— Wykluczone. Jestem prawnikiem, złożyłem przysięgę, że nie ujawnię informacji na temat spraw moich klientów. Wszystko, co wiem o kliencie, jest ściśle poufne. Federalni o tym wiedzą. Nikt nie oczekuje od prawnika, że będzie rozmawiał o swoich klientach.

— Byłeś świadkiem jakichś nielegalnych interesów?

Mitch strzelił knykciami i rozejrzał się po sali, po czym posłał Abby uśmiech. Wino zaczęło działać.

— Nie powinienem odpowiadać na takie pytania, nawet jeśli ty je zadasz, Abby, ale ci odpowiem: nie. Zajmowałem się sprawami dwudziestu klientów Avery'ego i kilku innych, tu i tam. Nie zauważyłem niczego podejrzanego. Może parę ryzykownych lokat w rajach podatkowych, ale to nie jest nielegalne. Mam parę pytań na temat rachunków bankowych, do których miałem dostęp na Kajmanach, ale to nic poważnego. — Kajmany! Ścisnęło go w żołądku, kiedy pomyślał o dziewczynie na plaży. Poczł mdłości.

Przy stoliku pojawił się kelner i spojrzał wymownie na menu.

— Jeszcze raz wino — poprosił Mitch, wskazując szklanki.

Abby pochyliła się do przodu, przysuwając do świeczek i patrząc na niego ze zdumieniem.

— Rozumiem. W takim razie kto nagrywa nasze rozmowy?

— Nie mam pojęcia. Zakładając, że ktoś faktycznie to robi. Podczas naszego pierwszego spotkania w sierpniu Tarrance zasugerował, że to ktoś z firmy. Tak przynajmniej zrozumiałem. Powiedział, że bym nie ufał nikomu, że wszystko, co powiem, zostanie usłyszane i nagrane. Uznałem, że sądzi, iż to sprawka kogoś z firmy.

— Co na to pan Locke?

— Nic. Nie powiedziałem mu. Zachowałem kilka rzeczy dla siebie.

— Ktoś nagrywa rozmowy telefoniczne i założył podsłuch w naszym domu?



— Być może także w samochodach. Rick Acklin zrobił z tego dzisiaj wielką sprawę. Ciągłe powtarza, że bym nic nie mówił, jeśli nie chcę zostać nagrany.

— Mitch, to niewiarygodne. Dlaczego firma prawnicza miałaby to robić?  
Mitch wolno pokręcił głową i zajrzał do pustego kieliszka.

— Nie mam pojęcia, kochanie. Po prostu nie wiem.

Kelner postawił na stoliku dwa pełne kieliszki i stanął obok z rękami za plecami.

— Zamówią państwo coś jeszcze? — spytał.

— Za kilka minut — odpowiedziała Abby.

— Damy panu znak, kiedy będziemy gotowi — dodał Mitch.

— Wierzysz w to, Mitch?

— Myślę, że coś się święci. Jest coś jeszcze.

Abby splotła ręce na stole i spojrzała na Mitcha z lękiem. Opowiedział jej o Hodge'u i Kozinskim, zaczynając od spotkania z Tarrance'em w delikatesach, a później o tym, że był śledzony na Kajmanach. Opowiedział o spotkaniu z Abanksem i o wszystkim, co od niego usłyszał. A później o Eddiem Lomaxie oraz tajemniczej śmieci Alice Knauss, Roberta Lamma i Johna Mickela.

— Straciłam apetyt — powiedziała Abby, kiedy skończył.

— To tak jak ja, ale mi ulżyło, bo teraz wiemy oboje.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

— Miałem nadzieję, że sprawa wyjaśni się sama. Liczyłem na to, że Tarrance da mi spokój, że znajdzie sobie inną ofiarę do dręczenia. Facet nie odszedł. Właśnie dlatego przenieśli Ricka Acklina do Memphis. Żeby nade mną popracował. FBI wybrało mnie do misji, o której nie mam zielonego pojęcia.

— Słabo mi.

— Musimy być ostrożni, Abby. Musimy żyć tak, jakbyśmy niczego nie podejrzewali.

— Nie mogę w to uwierzyć. Siedzę tu i słucham, co mówisz... słucham i nie wierzę własnym uszom. To jakiś sen, Mitch. Oczekujesz, że będę mieszkała w domu, w którym założono podsłuch, gdzie nagrywane są nasze rozmowy, a ktoś, nie wiadomo gdzie, podsłuchuje każde nasze słowo?

— Masz lepszy pomysł?

— Tak. Zatrudnijmy tego Lomaxa, żeby sprawdził nasz dom.

— Też o tym myślałem. A jeśli facet coś znajdzie? Zastanów się. Jeśli potwierdzi się, że w naszym domu założono podsłuch, co wtedy? Co się stanie, jeśli zniszczy urządzenie podsłuchowe? Tamci, kimkolwiek są, będą wiedzieli, że my wiemy. To zbyt niebezpieczne, przynajmniej na tę chwilę. Może później.

— To czysty obłąd, Mitch. Mamy się wymykać na podwórko, żeby porozmawiać?

— Nie. Możemy korzystać z trawnika przed domem.

— Nie mam ochoty na żarty.

— Przepraszam. Posłuchaj, Abby, zachowujmy się normalnie i bądźmy cierpliwi. Tarrance zapewnił, że myśli o mnie poważnie i nie zapomni. Nie mogę go powstrzymać. Znajdzie mnie, pamiętaj o tym. Myślę, że tamci mnie śledzą i czekają na odpowiednią chwilę. Dlatego powinniśmy zachowywać się tak jak zwykle.

— Jak zwykle? Właściwie jeśli się nad tym zastanowić, ostatnio i tak niewiele rozmawiamy. Trochę mi ich żal, bo będą musieli długo czekać, jeśli chcą usłyszeć jakiś dłuższy dialog. Z drugiej strony często rozmawiam z Plotkiem.

# Rozdział 17

Śnieg zniknął na długo przed Bożym Narodzeniem, pozostawiając po sobie wilgotną ziemię gotową na typową świąteczną pogodę panującą na Południu, z szarym niebem i lodowatym deszczem.

W Kentucky leżał śnieg, ale drogi były czyste. Abby zadzwoniła do rodziców wczesnym rankiem, w pierwszy dzień świąt, kiedy już się spakowała. Przyjedzie, powiedziała, ale sama. Odpowiedzieli, że są rozczarowani, i zasugerowali, żeby została w domu, jeśli jej przyjazd ma być powodem problemów. Nalegała. Czekają ją dziesięć godzin jazdy. Ruch na drogach był niewielki, więc powinna dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

Mitch odzywał się półgębkiem. Rozłożył poranną gazetę na podłodze obok choinki i udawał skupionego, kiedy pakowała samochód. Pies schował się pod krzesłem, jakby oczekiwał awantury. Rozpakowali prezenty i ułożyli je starannie na kanapie. Ubrania, perfumy i albumy oraz jej długą kurtkę z lisów. Pierwszy raz w historii swojego młodego małżeństwa mieli pieniądze na bożonarodzeniowe podarunki.

Narzuciła kurtkę na ramiona i podeszła do gazety.

— Wyjeżdżam — powiedziała cicho, ale stanowczo.

Podniósł się wolno i spojrzał na nią.

— Chciałabym, żebyś ze mną pojechał — westchnęła.

— Może za rok. — Oboje wiedzieli, że to kłamstwo. Mimo to jego słowa zabrzmiały dobrze, obiecująco.

— Bądź ostrożna.

— Zaopiekuj się moim psem.

— Damy sobie radę.

Wziął ją w ramiona i cmoknął w policzek. Spojrzał jej w oczy i się uśmiechnął. Była piękna, znacznie piękniejsza niż wtedy, gdy się pobierali.

Kiedy podeszli do wiaty, pomógł jej wsiąść do samochodu. Pocałowali się jeszcze raz i Abby wycofała na podjazd.

„Wesołych świąt”, powiedział do siebie. „Wesołych świąt”, powtórzył do psa.

• • •

Po dwóch godzinach gapienia się na ściany Mitch wrzucił do bmw zmianę ubrania, posadził Plotka na przednim siedzeniu i wyjechał z miasta. Jechał na południe, międzystanową pięćdziesiątką, opuszczając Memphis w kierunku Missisipi. Droga była pusta, ale co jakiś czas spoglądał we wsteczne lusterko. Pies skomlał dokładnie co sześćdziesiąt minut. Mitch zaplanował, że stanie na poboczu za wzgórzem. Znajdzie kępę drzew, w których ukryje się, by obserwować ruch, kiedy Plotek będzie załatwiał swoje sprawy. Nie zauważył niczego podejrzanego. Po pięciu postojach był pewny, że nie jest śledzony. Pewnie w Boże Narodzenie zrobili sobie wolne.

Po sześciu godzinach jazdy był w Mobile, a dwie godziny później przejechał zatokę w Pensacoli, ruszając w kierunku Emerald Coast na Florydzie. Autostrada 98 prowadziła przez nadmorskie miasta Navarre, Fort Walton Beach, Destin i Sandestin. Omijała grupki domów i moteli, długie kilometry centrów handlowych, a później szereg podniszczonych wesołych miasteczek i sklepów z pamiątkami wynajmowanych za niewielki czynsz, z których większość była zamknięta i opuszczona od Święta Pracy. Później biegła przez pustkowia, ze wspaniałym widokiem na pokryte śniegiem plaże i szmaragdowe wody zatoki, zamiast mijać bezładne skupiska domów i korki na drodze. Na wschód od Sandestin autostrada się zwężała i oddalała od

wybrzeża. Przez godzinę Mitch jechał samotnie dwupasmówką, mogąc podziwiać wyłącznie lasy oraz nieliczne samoobsługowe stacje benzynowe i sklepy ogólnospożywcze, w których można było zrobić szybkie zakupy.

O zmroku minął wysokie wzniesienie i znak informujący, że do Panama City Beach pozostało trzynaście kilometrów. Droga znów dotarła do wybrzeża, rozwidlając się w prowadzący na północ objazd i biegnącą na wprost drogę nazywaną Miracle Strip. Wybrał malowniczą drogę obok plaży — pas ciągnący się wzdłuż brzegu na długości dwudziestu czterech kilometrów z domami, tanimi motelami, parkingami przyczep kempingowych, wakacyjnymi domkami, barami szybkiej obsługi i sklepikami po obu stronach. Dotarł do Panama City Beach.

Większość domów była pusta, ale przed kilkoma stały samochody, więc uznał, że niektóre rodziny postanowiły spędzić bożonarodzeniowe wakacje na plaży. Wybrali święta w ciepłym klimacie. Przynajmniej są razem, mruknął do siebie. Pies zaszczekał. Zatrzymali się obok molo, na którym faceci z Pensylwanii, Ohio i Kanady łowili ryby i przyglądali się ciemnym wodom.

Przejechali wolno całą Miracle Strip. Plotek stał oparty o drzwi i podziwiał widoki, poszczekując od czasu do czasu do migającego neonu motelu z pustaków, ogłaszającego, że jest otwarty i tani. W Boże Narodzenie przy Miracle Strip wszystko było zamknięte z wyjątkiem kilku kawiarni i moteli dla twardzieli.

Mitch zajechał na całodobową stację benzynową Texaco, żeby zatankować. Pracownik sprawiał wrażenie wyjątkowo przyjaznego.

— Gdzie jest San Luis Street? — zapytał Mitch.

— Na drugich światłach w prawo, a później pierwsza w lewo. To San Luis Street — odpowiedział z wyraźnym akcentem, wskazując na wschód.

Funkcję przedmieść pełniło bezładne skupisko starych przyczep

kempingowych, które nie ruszyły się stąd od dziesiątków lat. Stały stłoczone obok siebie niczym kostki domina. Wydawało się, że krótkie, wąskie podjazdy znajdują się kilkanaście centymetrów od siebie, zagracone furgonetkami i zardzewiałymi meblami ogrodowymi. Ulice były zapchane zaparkowanymi samochodami i innymi porzuconymi pojazdami. Motocykle i rowery opierały się o ściany przyczep, a spod wszystkich domów wystawały rączki kosiarek do trawników. Znak informował, że to miejsce — wioska emerytów o wdzięcznej nazwie San Pedro Estates — znajduje się w odległości jednego kilometra od Emerald Coast.

Kiedy Mitch odnalazł San Luis Street, poczuł nagłe zdenerwowanie. Była to kręta wąska uliczka z mniejszymi przyczepami, w gorszym stanie niż inne „domy emerytów”. Jechał wolno, niespokojnie obserwując numery i mnóstwo tablic rejestracyjnych z innych stanów. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć zaparkowanych i porzuconych samochodów.

Dom o numerze czterysta osiemdziesiąt sześć należał do najstarszych i najmniejszych. Właściwie był niewiele większy od składanej przyczepy kempingowej. Kiedyś musiał być srebrny, ale farba popękała i się złuszczyła, a dach pokryła ciemnozielona warstwa pleśni, opadając w dół niemal do okien. W oknach nie było zasłon. Jedno, nad zaczepem, było pęknięte i zabezpieczone szarą taśmą izolacyjną. Mała zadaszona weranda otaczała jedyne drzwi. Dodatkowe drzwi zabezpieczające przed wichurą były otwarte. Mitch dostrzegł przez siatkę włączony kolorowy telewizor i zarys postaci.

Nie tego chciał. Celowo nigdy nie poznał drugiego męża swojej matki, a teraz nie była na to właściwa pora. Przejechał obok, żałując, że się tu zjawił.

Odnalazł w Strip znajomą markizę Holiday Inn. Motel był pusty, ale otwarty. Zaparkował auto tak, żeby nie było go widać z autostrady, zameldował się jako Eddie Lomax z Danesboro w Kentucky i zapłacił za jednoosobowy pokój z widokiem na ocean.

• • •

W książce telefonicznej Panama City Beach przy Emerald Strip były trzy restauracje sieci Waffle Hut. Mitch położył się na łóżku i wybrał pierwszy numer. Bez powodzenia. Wybrał kolejny i zapytał o Idę Ainsworth. Kazali mu chwilę poczekać. Rozłączył się. Była dwudziesta trzecia. Spał dwie godziny.

Taksówka potrzebowała dwudziestu minut, żeby dotrzeć do Holiday Inn. Kierowca zaczął tłumaczyć, że był w domu i dojadł indyka z żoną, dziećmi i rodziną, kiedy zadzwonił dyspozytor. Są święta, więc miał nadzieję spędzić cały dzień z bliskimi i choć jeden dzień w roku nie przejmować się robotą. Mitch rzucił dwudziestkę na siedzenie i poprosił go, żeby się zamknął.

— Cóż takiego jest w Waffle Hut, proszę pana? — spytał szofer.

— Jedź pan.

— Waffles, czy tak? — Zaśmiał się i mruknął coś pod nosem. Włączył radio i nastawił swoją ulubioną stację z muzyką soul. Spojrzał w lusterko, wyjrzał przez okno, pogwizdał chwilę i zapytał: — Co pana tu sprowadza w święta?

— Szukam kogoś.

— Kogo?

— Kobiety.

— Jak my wszyscy. Kogoś szczególnego?

— Starej przyjaciółki.

— Pracuje w Waffle Hut?

— Tak sądzę.

— Jest pan prywatnym detektywem czy co?

— Nie.

— Wygląda mi to bardzo podejrzanie.

— Proszę się zająć kierowaniem.

Waffle Hut okazał się małym, prostokątnym, pudełkowatym budynkiem z kilkunastoma stolikami i długą ladą zwróconą w kierunku grilla, gdzie przyrządzano wszystkie dania na oczach gości. Wzdłuż stolików ciągnęły się duże okna, przez które można było podziwiać Strip i wznoszące się w oddali domy, rozkoszując się goframi z bekonem. Mały parking był prawie pełny. Mitch wskazał kierowcy puste miejsce obok budynku.

— Nie wsiądzie pan? — spytał kierowca.

— Nie, proszę nie wyłączać licznika.

— Dziwna sprawa.

— Zapłacę.

— Dobrze pan to ujął.

Mitch pochylił się do przodu, opierając ręce o przednie siedzenie. Licznik cicho tykał, gdy obserwował znajdujących się w środku gości. Taksówkarz pokręcił głową i opadł na fotel, nie przestając z zaciekawieniem obserwować Mitcha.

W rogu, przy stoliku obok automatu z papierosami, siedzieli otyli turyści o białych nogach, w czarnych skarpetach i koszulach z długim rękawem, popijając kawę. Wszyscy mówili jednocześnie, przeglądając karty dań. Przywódca grupy, gość w rozpiętej koszuli, z grubym złotym łańcuchem na owłosionej piersi, o gęstych bokobrodach i w bejsbolówce drużyny Philadelphia Phillies na głowie, spoglądał raz po raz w stronę grilla w poszukiwaniu kelnerki.

— Widzisz ją? — spytał taksówkarz.

Mitch nie odpowiedział, ale jeszcze bardziej pochylił się do przodu i ściągnął brwi. Kobieta wyrosła jakby spod ziemi z długopisem i bloczkiem w ręku. Szef powiedział coś zabawnego i otyli goście wybuchnęli śmiechem. Kelnerka nie odpowiedziała, zapisując coś w notesie. Wydawała się krucha, znacznie szczuplejsza od tamtych. Niemal za szczupła. Dopasowany czarno-



biały uniform opinał jej drobną talię. Włosy upięła pod firmowym czepkiem Waffle Hut. Miała pięćdziesiąt jeden lat i z tej odległości wyglądała na swój wiek. Nie starzej. Sprawiała wrażenie inteligentnej. Kiedy skończyła pisać, zabrała karty dań, powiedziała coś miłego, niemal się uśmiechnęła i odeszła. Poruszała się szybko między stolikami, nalewając kawę, podając butelki z keczupem i wydając polecenia kucharzowi.

Mitch się rozluźnił. Licznik powoli tykał.

— To ona? — spytał kierowca.

— Tak.

— Co teraz?

— Nie wiem.

— Cóż, znaleźliśmy ją, prawda?

Mitch nie odpowiedział, śledząc ją wzrokiem. Nalała kawy mężczyźnie siedzącemu samotnie przy stoliku. Powiedział coś, a ona się uśmiechnęła. Cudownym łaskawym uśmiechem. Uśmiechem, który widział tysiące razy, gdy w ciemności wpatrywał się w sufit. Uśmiechem jego matki.

Zaczął siąpić słaby deszczyk, a wycieraczki co dziesięć sekund przesuwają się po szybie. Dochodziła północ pierwszego dnia świąt.

Taksówkarz nerwowo uderzył w kierownicę i zaczął się wiercić.

— Długo będziemy tak sterczeli?

— Niedługo.

— Człowieku, to chore.

— Zapłacę ci.

— Pieniądze to nie wszystko. Jest Boże Narodzenie. W domu czekają dzieci, odwiedzili nas krewni. Trzeba dokończyć wino i indyka, a ja tkwię przed Waffle Hut, żeby mógł pan patrzeć przez okno na jakąś starą kobietę.

— To moja matka.

— Co?!

— Słyszałeś.

— Człowieku, różnych wozilem...

— Zamknij się, dobrze?

— W porządku. Nie chcesz z nią porozmawiać? W końcu jest Boże Narodzenie... odnalazłeś swoją matkę. Chyba do niej pójdziesz, co?

— Nie, nie teraz.

Mitch wyprostował się i spojrzał na pustą plażę po drugiej stronie autostrady.

— Jedźmy.

• • •

O świcie poszedł z Plotkiem na spacer plażą. Włożył tylko dzinsy i sweter, nie zaprzatając sobie głowy skarpetami i butami. Szli na wschód w kierunku pomarańczowej poświaty jaśniejącej nad horyzontem. Fale przewalały się delikatnie trzydzieści metrów dalej i toczyły cicho do brzegu. Piasek był chłodny i wilgotny, a niebo czyste, pełne trajkoczących mew. Plotek wbiegł odważnie do wody, by po chwili wycofać się jak szalony na widok nadciągającej białej piany. Dla domowego psa bezkresna plaża i woda były terenem wymagającym zbadania, więc pędził sto metrów przed Mitchem.

Po trzech kilometrach dotarli do pomostu — dużej betonowej budowli wychodzącej sześćdziesiąt metrów w głąb oceanu. Nieustraszony Plotek wpadł na pomost i podbiegł do kubła z przynętą stojącego obok dwóch nieruchomych mężczyzn wpatrujących się w wodę. Mitch przeszedł za nimi na koniec pomostu, gdzie kilkunastu rybaków prowadziło swobodną pogawędkę, czekając, aż ryba zacznie brać. Pies otarł się o nogę Mitcha i znieruchomiał. Blask wschodzącego słońca sprawił, że ciemne połacie wody zaczęły przybierać zielonkawą barwę.

Mitch oparł się o poręcz i zadrżał w lodowatym wietrze. Jego gołe stopy były zimne i zapiaszczone. Ciągająca się kilometrami plaża z hotelami i domami czekała w milczeniu na nadejście dnia. Nie było na niej nikogo. Kolejny pomost wychodzący w morze znajdował się dobrych kilka kilometrów dalej.

Rybacy wymieniali ostre precyzyjne słowa z akcentem ludzi pochodzących z północy. Mitch przysłuchiwał im się wystarczająco długo, aby wiedzieć, że ryba nie bierze. Spojrzał na morze. Odwrócony w stronę południowego wschodu, myślał o Kajmanach i Abanksie. O dziewczynie, która zjawiała się na chwilę i znikła. Wróci tam w marcu na wakacje z żoną. Do diabła z dziewczyną. Na pewno więcej jej nie zobaczy. Będzie nurkował z Abanksem i pielęgnował przyjaźń. Będą pili w barze heinekena i red stripe'a, gadając o Hodge'u i Kozinskim. Będzie śledził tego, kto odważy się go obserwować. Abby mu pomoże, bo teraz stała się jego współpracownicą.

• • •

Facet czekał w ciemności obok lincolna town cara. Spoglądał nerwowo na zegarek i obserwował słabo oświetlony chodnik, który znikał przed budynkiem. W pokoju na drugim piętrze zgasło światło. Minutę później prywatny detektyw ruszył z hotelu w stronę samochodu. Po chwili podszedł do niego jakiś człowiek.

— Jesteś Eddie Lomax? — zapytał nerwowo.

Lomax zwolnił i przystanął.

— Taak, a ty coś za jeden?

Gość trzymał ręce w kieszeniach. Były zimne i wilgotne. Cały dygotał.

— Al Kilbury. Potrzebuję pomocy, panie Lomax. Naprawdę. Zapłacę od razu, gotówką, ile pan zechce. Niech mi pan tylko pomoże.

— Późno już, kolego.

— Bardzo proszę, mam pieniądze. Proszę wymienić cenę. Musi mi pan pomóc, panie Lomax. — Wyciągnął zwitek banknotów z lewej kieszeni spodni i czekał, by odliczyć żadaną sumę.

Lomax rzucił okiem na pieniądze i obejrzał się przez ramię.

— W czym problem?

— Chodzi o moją żonę. Za godzinę spotka się z facetem w motelu w południowym Memphis. Mam numer pokoju i tak dalej. Chcę tylko, żeby pan ze mną pojechał i zrobił zdjęcia, jak wchodzi i wychodzi.

— Skąd o tym wiesz?

— Założyłem podsłuch w telefonie. Pracuje z nim. Od dawna ją podejrzewałem. Jestem zamożnym człowiekiem, panie Lomax. Muszę wygrać sprawę rozwodową. Zapłacę panu tysiąc dolców gotówką. — Szybko odliczył dziesięć banknotów i podał Lomaxowi.

Eddie wziął pieniądze.

— W porządku. Pójdę po aparat.

— Niech się pan pospieszy. Płacę gotówką, dobrze? Żadnych kwitów.

— Dobra — mruknął Lomax i ruszył w kierunku budynku.

Dwadzieścia minut później lincoln wtoczył się wolno na zatłoczony parking Days Inn. Kilbury wskazał pokój na drugim piętrze, w tylnej części motelu, a następnie wolne miejsce obok brązowego vana chevroleta. Lomax ostrożnie wycofał, parkując swojego town cara obok vana. Kilbury znów pokazał pokój, a następnie spojrzął na zegarek i powtórzył Lomaxowi, jak bardzo jest mu wdzięczny za pomoc. Lomax pomyślał o forsie. Tysiąc dolców za dwie godziny pracy. Nieźle. Wyjął aparat, założył film i zmierzył światło. Kilbury przyglądał mu się nerwowo, przesuwając wzrok z aparatu na pokój po drugiej stronie parkingu. Wyglądał na zranionego. Opowiadał o żonie i wspaniałych latach, które ze sobą przeżyli. Dlaczego, dlaczego, do licha, mu to zrobiła?

Lomax słuchał, obserwując rząd zaparkowanych samochodów. Trzymał aparat.

Nie zauważył, że drzwi brązowego vana stojącego zaledwie dwa metry za nim uchylły się wolno i bezszelestnie. Człowiek w czarnym golfie i czarnych rękawiczkach przykucnął i cicho czekał. Kiedy parking był pusty, wyskoczył z samochodu, otworzył tylne drzwi lincolna i oddał trzy strzały w głowę Eddiego. Broń miała tłumik, więc strzały nie mogły być słyszane na zewnątrz.

Kiedy martwy Eddie osunął się na kierownicę, Kilbury wyskoczył z lincolna, podbiegł do vana i odjechał z piskiem opon razem z zabójcą.

## Rozdział 18

Po trzech dniach bezpłatnego urlopu spędzonego na wygnaniu, z dala od prawniczego sanktuarium, obżarłszy się indykiem, szynką i sosem żurawinowym, i złożywszy nowe zabawki, wypoczęci i odmłodzeni prawnicy kancelarii Bendini, Lambert i Locke wrócili do swojej twierdzy przy Front Street, kipiąc żądzą powetowania strat.

O siódmej trzydzieści parking był pełny. Prawnicy tkwili wygodnie za ciężkimi biurkami, wypijali hektolitry kawy, medytowali nad listami, korespondencją i dokumentami oraz mamrotali nieskładnie do dyktafonów. Wyszczekiwali polecenia sekretarkom, urzędnikom i asystentom, powarkując na kolegów. Na korytarzach i obok dzbanków z kawą z rzadka dało się słyszeć pytanie: „Jak tam święta?”, bo takie pogaduszki były tanie i niepłatne. Stukanie maszyn do pisania, dźwięk interkomów i automatycznych sekretarek zlały się w jeden chwalebny szum, gdy fabryka forsy zaczęła rozruch po przykrej świątecznej przerwie. Oliver Lambert łąził po salach, uśmiechając się z zadowoleniem i nasłuchując dźwięku szmalu, który zarabiali godzina po godzinie.

W południe Lamar wszedł do gabinetu Mitcha i pochylił się nad jego biurkiem. Ten był akurat zajęty analizowaniem jakiejś indonezyjskiej umowy na ropę i gaz.

— Zjemy lunch? — spytał Lamar.

— Nie, dzięki. Już jadłem.

— Jak my wszyscy. Pomyślałem, że moglibyśmy wpaść do delikatesów przy Front Street na miseczkę chili.

— Dzięki. Tym razem sobie daruję.

Lamar spojrział przez ramię na drzwi, a następnie pochylił się niżej, jakby miał do zakomunikowania niezwykle ważną wiadomość.

— Wiesz, którego dzisiaj mamy?

Mitch rzucił okiem na zegarek.

— Dwudziestego ósmego grudnia.

— Właśnie. Wiesz, co się dzieje rok w rok o tej porze?

— Masz wypróżnienie? — podsunął Mitch.

— Tak. I co jeszcze?

— W porządku. Poddaję się. Powiedz mi, co takiego się dzieje o tej porze?

— Właśnie w tej chwili, w restauracji na piątym piętrze wspólnicy spotykają się na lunch, żeby raczyć się pieczoną kaczką i popijać francuskie wina — wyjaśnił Lamar.

— Wino? Na lunch?

— Tak, bo widzisz, Mitch, to bardzo wyjątkowa okazja.

— Mów dalej.

— Kiedy po godzinie Roosevelt i Jessie Frances wyjdą, a Lambert zamknie drzwi, zostaną sami. Tylko wspólnicy, kapujesz? Wtedy Lambert przedstawi raport finansowy za ostatni rok. Są w nim nazwiska wszystkich wspólników wraz liczbą oznaczającą roczny zarobek każdego. Na następnej stronie jest wyliczenie zysku netto, po odjęciu kosztów. Później podzielą tort na podstawie osiągniętych wyników...

Mitch chłonał każde słowo.

— I?

— Rok temu przeciętny kawałek tortu wynosił trzysta trzydzieści tysięcy. Oczywiście w tym roku spodziewamy się więcej. Jak co roku.

— Trzysta trzydzieści tysięcy dolarów — powtórzył wolno Mitch.

— Taak. Mówimy o średniej. Locke dostanie około miliona, a Victor Milligan niewiele mniej.

— A co z nami?

— My też dostaniemy kawałeczek. Bardzo mały. Rok temu było tego około dziewięciu tysięcy. Przeciętnie. Dokładna kwota jest uzależniona od stażu i wyników.

— Moglibyśmy tam pójść, żeby popatrzeć?

— Nie sprzedaliby biletu samemu prezydentowi. Spotkanie ma charakter poufny, ale wszyscy o nim wiemy. Krążą plotki, że dzisiaj rozpocznie się nieco później — dodał Lamar.

— Wiesz, kiedy będzie głosowanie w sprawie przyjęcia następnego wspólnika?

— Odbyłoby się dzisiaj, ale krążą plotki, że z powodu Marty'ego i Joego w tym roku nie wybiorą nikogo. Myślę, że Marty był następny w kolejce, a po nim Joe. Teraz będą mogli poczekać rok lub dwa.

— Kto jest następny?

Lamar z dumnym uśmiechem wypiął pierś.

— Za rok od dziś zostanę nowym wspólnikiem w kancelarii Bendini, Lambert i Locke. Jestem następny w kolejności, więc w tym roku nie wchodzi mi w paradę.

— Słyszałem o Massengillu. Mógłbym dodać, że gość jest z Harvardu.

— Massengill nie ma szans — orzekł Lamar. — Przez następne pięćdziesiąt dwa tygodnie mam zamiar pracować sto czterdzieści godzin tygodniowo. Będą mnie błagali, żebym zgodził się zostać wspólnikiem. Dostanę gabinet na czwartym piętrze, a Massengill skończy w piwnicy razem z asystentami.

— Stawiam kasę ma Massengilla.

— Massengill to gnojek. Wdepczę go w ziemię. Chodźmy na miseczkę



chili. Opowiem ci o swojej strategii.

— Dzięki, ale mam robotę.

Lamar wyszedł dumnie z biura, mijając Ninę niosącą stertę papierów. Położyła ją na zagraconym rogu biurka.

— Idę na lunch. Chcesz coś? — zapytała.

— Nie, dzięki... Tak, kup mi dietetyczną colę.

W porze lunchu na korytarzach robiło się cicho, bo sekretarki wychodziły z biura i podążały w kierunku centrum do kilkunastu małych kawiarenek i delikatesów, które działały w pobliżu. Ponieważ w budynku zostało jedynie pół tuzina prawników liczących forszę na piątym piętrze, cichy szum młócenia gotówki nieco przycichł.

Mitch znalazł na biurku Niny jabłko i wytarł je o ubranie. Otworzył podręcznik dotyczący regulacji IRS\*, położył na kserokopiarce za jej biurkiem i wcisnął zielony guzik z napisem „drukuj”. Natychmiast zapaliła się czerwona lampka i ukazał się komunikat: „Wprowadź numer dokumentu”. Cofnął się i spojrzął na maszynę. Coś podobnego! Obok guzika „drukuj” był inny z napisem „obejdź”. Nacisnął go kciukiem. Z wnętrza maszyny dobiegł ostrzegawczy sygnał. Mitch rozejrzał się bezradnie, nie zauważył nikogo i rozpaczliwie sięgnął po instrukcję obsługi.

— Co się stało? — usłyszał czyjś głos przebijający się przez wycie kserokopiarki.

— Nie mam pojęcia! — krzyknął, machając instrukcją.

Lela Parker, sekretarka, która była zbyt stara, żeby wyjść na lunch, sięgnęła do tyłu i wyłączyła maszynę. Sygnał ucichł.

— Co za diabelstwo? — spytał Mitch, ciężko dysząc.

— Nie powiedzieli ci? — spytała, wyrywając mu instrukcję i odkładając na miejsce. Przewierciła go małymi gniewnymi oczkami, jakby przyłapała go na szperaniu w swojej torebce.

\* IRS — Internal Revenue Service  
— amerykański urząd skarbowy.

— Nie, o co chodzi?

— Mamy nowy system kopiowania dokumentów — oznajmiła z wyższością nosowym głosem. — Zainstalowano go dzień po Bożym Narodzeniu. Trzeba wprowadzić kod dokumentu, zanim maszyna go skopiuje. Twoja sekretarka powinna była ci o tym powiedzieć.

— Chcesz powiedzieć, że to cholerstwo niczego nie skopiuje, dopóki nie wprowadzę liczby złożonej z dziecięciu cyfr?

— Dokładnie.

— A co ze zwykłymi kopiami, które nie mają kodu?

— Nie będzie można ich kopiować. Pan Lambert powiedział, że zbyt dużo nas to kosztuje. Od tej pory każda kopia będzie automatycznie połączona z kodem. Wprowadzasz kod, a maszyna zapamiętuje liczbę skopiowanych egzemplarzy i przesyła do głównego terminalu, gdzie obciąża rachunek danego klienta.

— A kopie na użytek osobisty?

Lela pokręciła głową wyraźnie sfrustrowana.

— Nie mogę uwierzyć, że twoja sekretarka ci o tym nie powiedziała.

— Nie możesz mi pomóc, skoro ona tego nie zrobiła?

— Dostałeś czterocyfrowy kod dostępu. Pod koniec miesiąca zostaniesz obciążony kosztem wszystkich kopii wykonanych na użytek osobisty.

Mitch spojrział na kserokopiarkę i pokręcił głową.

— Po co ten przeklęty system alarmowy?

— Pan Lambert powiedział, że wyłączą go po trzydziestu dniach. Teraz jest potrzebny dla takich ludzi jak ty. Pan Lambert jest bardzo stanowczy w tej sprawie. Powiedział, że wydajemy tysiące na kopiowanie dokumentów.

— Rozumiem. Domyślam się, że wymieniono wszystkie kserokopiarki w budynku?

Lela uśmiechnęła się z satysfakcją.

— Tak, wszystkie siedemnaście.

— Dzięki. — Mitch wrócił do swojego gabinetu, żeby poszukać kodu dokumentu.

• • •

O piętnastej uroczystość na piątym piętrze dobiegła radosnego końca i wspólnicy, nieco bardziej zamożni i wstawieni, zaczęli wychodzić z jadalni i wracać do swoich gabinetów na niższych piętrach. Avery, Oliver Lambert i Nathan Locke przeszli krótkim korytarzem do bramki bezpieczeństwa i nacisnęli guzik. DeVasher już na nich czekał.

Wskazał krzesła w swoim gabinecie i poprosił, żeby usiedli. Lambert wyciągnął z kieszeni kilka honduraskich cygar. Zapalili.

— Widzę, że jesteście w dobrym nastroju — zauważył DeVasher z ironicznym uśmiechem. — Ile zgarnęliście? Przeciętnie po trzysta dziewięćdziesiąt?

— Zgadłeś, DeVasher — odrzekł Lambert. — Mieliśmy bardzo dobry rok. — Zaciągnął się głęboko i wolno wydmuchnął kłęb dymu w stronę sufitu.

— Wszyscy mieliście wspaniałe święta? — zapytał DeVasher.

— O co ci chodzi? — warknął Locke.

— Wesołych świąt, Nat. Mam kilka spraw. Dwa dni temu spotkałem się z Lazarovem w Nowym Orleanie. Jak wiecie, Lazarov nie obchodzi urodzin Chrystusa. Zapoznałem go z aktualną sytuacją, kładąc nacisk na pana McDeere'a i FBI. Zapewniłem go, że nie doszło do kolejnych spotkań. Nie uwierzył mi i powiedział, że zasięgnie języka w Biurze. Nie mam pojęcia, co to może oznaczać, ale kimże ja jestem, żeby zadawać pytania? Powiedział, żebym śledził McDeere'a dwadzieścia cztery godziny na dobę przez następne pół roku. Ja na to, że już to robimy. Nie chce kolejnego epizodu w stylu

Hodge — Kozinski. Jest bardzo zdenerwowany z tego powodu. McDeere nie może wyjeżdżać w podróże służbowe, chyba że pojedzie z nim przynajmniej dwóch naszych.

— Za dwa tygodnie ma jechać do Waszyngtonu — wtrącił Avery.

— Po co?

— Amerykański Instytut Podatków. To czterodniowe seminarium, w którym muszą uczestniczyć wszyscy nowi współpracownicy. Obiecaliśmy mu to, więc będzie coś podejrzewał, jeśli się teraz wycofamy.

— Zrobiliśmy mu rezerwację we wrześniu — dodał Ollie.

— Omówię to z Lazarovem — powiedział DeVasher. — Podajcie mi daty, numery lotów i hotelową rezerwację. Lazarowowi się to nie spodoba.

— Co się działo w święta? — chciał wiedzieć Locke.

— Niewiele. Jego żona pojechała do rodziców do Kentucky. Nadal zresztą tam przebywa. McDeere zabrał psa i udał się do Panama City Beach na Florydzie. Sądzimy, że pojechał zobaczyć się z matką, ale nie jesteśmy pewni. Spędził jedną noc w motelu Holiday Inn przy plaży. Tylko on i pies. Nuda. Później pojechał do Birmingham i zanocewał w innym hotelu tej samej sieci, żeby wczoraj wczesnym rankiem pojechać do Brushy Mountain, do brata. Nieszkodliwa wizyta.

— Co powiedział żonie? — zapytał Avery.

— O ile wiemy, nic. Trudno wszystko podsłuchać.

— Kogo jeszcze śledzicie?

— Wszystkich, ale robimy to sporadycznie. Oprócz McDeere'a nie mamy innych podejrzanych, a i to z powodu Tarrance'a. Teraz jest spokój.

— Facet musi pojechać do Waszyngtonu, DeVasher — powiedział z naciskiem Avery.

— Dobrze, dobrze. Pomówię z Lazarovem. Będzie chciał, żebyśmy posłali tam pięciu ludzi, aby go obserwowali. Idiota!

• • •

Bar lotniskowy U Erniego faktycznie znajdował się niedaleko lotniska. Mitch znalazł go za trzecim razem i zaparkował między dwoma wozami terenowymi z napędem na cztery koła i prawdziwym błotem oblepiającym opony i światła. Parking był pełny podobnych pojazdów. Rozejrzył się i instynktownie zdjął krawat. Dochodziła dwudziesta trzecia. Knajpa była długa i mroczna, z barwnymi znakami piwa świecącymi w pomalowanych oknach.

Znów spojrzał na karteczkę, żeby się upewnić.

*Drogi panie McDeere. Spotkajmy się dziś późnym wieczorem U Erniego w Winchester. Chodzi o Eddiego Lomaxa. To bardzo ważne. Jego sekretarka, Tammy Hemphill.*

Karteczka była wetknięta w kuchenne drzwi, kiedy przyjechał do domu. Zapamiętał Tammy, gdy w listopadzie odwiedził Eddiego w biurze. Obcisła skórzana spódnica, duże piersi, tlenione włosy, czerwona szminka na lepkich wargach i obłoki dymu wydobywające się z nosa. No i pamiętał historię jej męża Elvisa.

Mitch otworzył drzwi i wszedł do środka. Lewą część sali zajmował rząd stołów bilardowych. Przez mrok i ciemny obłok dymu dostrzegł w głębi mały parkiet. Z prawej ciągnął się długi bar w stylu kowbojskiego saloonu, przy którym siedzieli kowboje i kowbojki, popijając budweisera z butelek o długich szyjkach. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Podszedł szybko do końca baru i usiadł na stołku.

— Jedno piwo. — Skinął na barmana.

Tammy zjawiała się przed piwem. Siedziała i czekała na zatłoczonej ławie obok stołów do bilardu. Miała na sobie obcisłe sprane dżinsy, wypłowiałą dżinsową koszulę i perwersyjne czerwone szpilki. Musiała niedawno rozjaśnić włosy.

— Dzięki, że przyszedłeś — szepnęła mu w twarz. — Czekałam cztery godziny. Nie wiedziałam, jak inaczej do ciebie dotrzeć.

Mitch się uśmiechnął i skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „W porządku, dobrze zrobiłaś”.

— O co chodzi?

Rozejrzała się nerwowo.

— Musimy pogadać, ale nie tutaj.

— Co proponujesz?

— Pojeździmy sobie po okolicy?

— W porządku, tylko nie moim samochodem. To nie najlepszy pomysł.

— Mam wóz. Jest stary, ale się nada.

Mitch zapłacił i ruszył za nią do drzwi. Kowboj siedzący przy drzwiach rzucił:

— Tylko spójrzcie! Facet przychodzi w garniturze i wyrywa laskę w trzydzieści sekund!

Mitch posłał mu uśmiech i wybiegł na dwór. Volkswagen rabbit zaparkowany w pobliżu pożerających błoto potworów przypominał karła. Tammy otworzyła drzwi. Mitch zgiął się wpół, wciskając na zaśmiecony fotel. Tammy kilka razy wcisnęła gaz, a następnie przekręciła kluczyk. Mitch wstrzymał oddech, czekając, aż zapali.

— Dokąd chcesz jechać? — spytała.

Tam gdzie nas nie zobaczą, pomyślał.

— Ty prowadzisz — odpowiedział.

— Jesteś żonaty, co? — zapytała.

— Tak, a ty?

— Też. Mój stary by tego nie zrozumiał. Dlatego wybrałam tę spelunę. Nigdy tu nie zaglądamy.

Powiedziała to tak, jakby ona i jej mąż byli wytrawnymi znawcami

mrocznych spelunek odwiedzanych przez wsioków z Południa.

— Nie sądzę, aby moja żona to zrozumiała, ale wyjechała z miasta.

Tammy ruszyła w stronę lotniska.

— Mam pomysł — powiedziała wyraźnie zdenerwowana, ściskając kierownicę.

— Co cię gnębi? — spytał Mitch.

— Słyszałeś o Eddiem?

— Tak.

— Kiedy go ostatnio widziałeś?

— Dziesięć dni przed Bożym Narodzeniem. To było potajemne spotkanie.

— Tak sobie pomyślałam. Nie robił notatek w sprawie, którą dla ciebie prowadził. Powiedział, że sobie tego zażyczyłeś. Nie powiedział mi dużo, ale ja i Eddie... no wiesz... byliśmy blisko.

Mitch nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Bardzo blisko. Wiesz, co mam na myśli?

Mruknął coś i upił łyk budweisera.

— Mówił mi o rzeczach, o których pewnie nie powinien był mówić. Że twoja sprawa jest dziwna, że niektórzy prawnicy z twojej firmy zginęli w podejrzanych okolicznościach. Że zawsze podejrzewasz, iż ktoś cię śledzi i podsłuchuje. Dziwna ta wasza kancelaria...

To mi dopiero poufność, pomyślał Mitch.

— Tak to już jest — westchnął.

Tammy skręciła na teren lotniska i ruszyła wśród akrów zaparkowanych samochodów.

— Kiedy skończył dla ciebie pracować, powiedział mi... raz... tylko raz... że miał wrażenie, iż ktoś go śledzi. To było trzy dni przed świętami. Spytałam, kto go śledził, a on na to, że nie wie, ale wspomniał o twojej

sprawie i dodał, że to ma pewnie związek z ludźmi, którzy za tobą łążą. Nie powiedział dużo.

Zaparkowała na krótkoterminowym parkingu obok terminalu.

— Kto inny mógłby go śledzić? — zastanawiał się Mitch.

— Nikt. Był dobrym detektywem i nie zostawiał śladów. Wiesz, jako były gliniarz i skazaniec wiedział, jak się poruszać na ulicy. Zarabiał na życie śledzeniem ludzi i zbieraniem brudów na ich temat. Nikt go nie śledził. Nigdy.

— To kto go zamordował?

— Ten, kto go śledził. W gazecie napisali, że pewnie został przyłapany na szpiegowaniu jakiegoś bogatego ważniaka i go sprzątnęli. To nieprawda.

Nagle, nie wiedzieć skąd, Tammy wyciągnęła papierosa z filtrem i zapaliła. Mitch otworzył okno.

— Nie masz nic przeciwko temu, że palę? — spytała.

— Nie, ale wypuszczaj dym na zewnątrz — poprosił, wskazując okno.

— Jestem przerażona. Eddie był przekonany, że ludzie, którzy cię śledzą, są bardzo niebezpieczni i bardzo inteligentni. Wyrafinowani, tak się wyraził. Skoro go zabili, co stanie się ze mną? Może pomyślą, że coś wiem? Nie byłam w biurze od czasu, gdy dowiedziałam się o jego śmierci. Nie zamierzam tam wracać.

— No tak, na twoim miejscu bym tego nie robił.

— Nie jestem głupia. Pracowałam dla niego dwa lata i dużo się nauczyłam. Na świecie jest mnóstwo czubków. Widzieliśmy najróżniejszych.

— Jak go zastrzelili?

— Eddie miał kumpla w wydziale zabójstw. Facet powiedział mi w zaufaniu, że Eddie dostał trzy kulki w potylicę. Z małej odległości. Pistolet kalibru dwadzieścia dwa. Policja nie ma zielonego pojęcia, kto mógł to zrobić. Przyjaciel Eddiego stwierdził, że to czysta, profesjonalna robota.



Mitch dopił piwo i postawił butelkę na podłodze obok pół tuzina puszek po piwie.

— To nie ma sensu — ciągnęła Tammy. — Słuchaj, jak ktoś mógł zająć Eddiego od tyłu, wsiąść na tylne siedzenie i strzelić mu trzy razy w tył głowy? Jego w ogóle nie powinno tam być!

— Może zasnął i go zaskoczyli?

— Nie. Kiedy pracował do późna, działał na innych obrotach. Był czujny.

— Trzymał w biurze jakieś notatki?

— Na twój temat?

— Taak, na mój.

— Wątpię. Nigdy nie zauważyłam, żeby coś zapisywał. Powiedział, że sobie tego nie życzysz.

— To prawda. — Mitch poczuł ulgę.

Patrzyli, jak boeing 727 wzbija się w niebo i kieruje na północ. Parking zadygotał.

— Jestem przerażona, Mitch. Mogę ci mówić „Mitch”?

— Jasne.

— Myślę, że został zamordowany, bo pracował dla ciebie. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Skoro go zabili, bo coś wiedział, uznają, że ja też wiem. Jak sądzisz?

— Na twoim miejscu bym nie ryzykował.

— Mogłabym zniknąć na jakiś czas. Mąż dostał małą robotę w nocnym klubie. Moglibyśmy wyjechać, gdybyśmy chcieli. Jeszcze mu o tym nie powiedziałam, ale chyba będę musiała. Co o tym sądzisz?

— Dokąd byście pojechali?

— Do Little Rock, St. Louis, Nashville. Mąż ma wolne, więc chyba moglibyśmy wyjechać... — Zapaliła kolejnego papierosa.

„Bardzo czysta, profesjonalna robota”, powtórzył w myślach Mitch.

Spojrzał na Tammy i zauważył małą łzę na jej policzku. Nie była brzydka, lecz lata spędzone w barach i nocnych klubach odcisnęły na niej piętno. Miała wyraziste rysy twarzy, a gdyby zrezygnowała z rozjaśniania włosów i ostrego makijażu, byłaby całkiem atrakcyjna jak na swój wiek. Na jakąś czterdziestkę, pomyślał.

Zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła kłęb dymu za okno.

— Jedziemy na jednym wózku, prawda? Wiesz, tropią nas oboje. Zamordowali tych wszystkich prawników, a później dopadli Eddiego. Teraz pewnie nasza kolej.

Nie tłum uczuć, wyrzuc to z siebie, mała, pomyślał Mitch.

— Posłuchaj, powinniśmy być w kontakcie — powiedział. — Nie możesz do mnie dzwonić, nie mogą też zobaczyć nas razem. Moja żona o wszystkim wie. Opowiem jej o naszym spotkaniu. Nie obawiaj się jej. Raz w tygodniu napisz mi kartkę z wiadomością, gdzie jesteś. Jak ma na imię twoja matka?

— Doris.

— Dobrze. To będzie nasze hasło. Podpisuj tym imieniem wszystko, co mi prześlesz.

— Myślisz, że czytają twoje listy?

— Tak, Doris. Chyba to robią. Pewnie tak.

## Rozdział 19

O siedemnastej Mitch zgasił światło w swoim gabinecie, zabrał dwie teczki i zatrzymał się przy biurku Niny. Pisała na maszynie IBM ze słuchawką telefonu przyklejoną do ramienia. Zobaczyła go i sięgnęła do szuflady, by wyjąć kopertę.

— To potwierdzenie rezerwacji w Capital Hilton — rzuciła.

— Zostawiłem na biurku dyktafon z tekstem do przepisania — powiedział Mitch. — Do zobaczenia w poniedziałek. — Wszedł schodami na czwarte piętro do narożnego gabinetu Avery'ego, w którym trwało małe trzęsienie ziemi. Jedna sekretarka upychała dokumenty do pokaźnej teczki, a druga mówiła ostrym tonem do Avery'ego, który krzyczał na kogoś przez telefon. Jakby tego było mało, asystentka prawna wykrzykiwała polecenia do pierwszej sekretarki.

Avery z hukiem odłożył słuchawkę.

— Jesteś gotowy? — spytał Mitcha.

— Zaczekam na ciebie — odrzekł McDeere.

— Nie mogę znaleźć dokumentów Greenmark — warknęła sekretarka do asystentki.

— Była razem z dokumentami Rocconiego — odpowiedziała asystentka.

— Nie potrzebuję dokumentów Rocconiego! — krzyknął Avery. — Ile razy mam ci powtarzać?! Głucha jesteś czy co?!

Sekretarka spojrzała gniewnie na Avery'ego.

— Nie, mam doskonały słuch. Wyraźnie słyszałam, jak powiedziałeś: „Zapakuj dokumenty Greenmark”.

— Limuzyna już czeka — oznajmiła druga z sekretarek.

— Nie potrzebuję pieprzonych dokumentów Greenmarka! — ryknął Avery.

— A Rocconiego? — zapytała asystentka.

— Tak! Tak! Powtórzyłem to dziesięć razy! Potrzebuję dokumentów Rocconiego!

— Samolot też już czeka — poinformowała sekretarka.

Avery zamknął z hukiem teczkę i zaczął szperać w dokumentach leżących na biurku.

— Gdzie akta Fendera? Gdzie są moje dokumenty?! Dlaczego nie mogę niczego znaleźć?!

— Masz tu Fendera — powiedziała pierwsza sekretarka, upychając papiery do drugiej teczki.

Avery rzucił okiem na kartkę z notatkami.

— W porządku. Czy mam dokumenty Fendera, Rocconiego, Cambridge Partners, Greene Group, Sonny'ego Capps'a i Otaki, Burton Brothers, Galveston Freight i McQuede'a?

— Tak, tak, tak — zapewniła pierwsza sekretarka.

— To by były wszystkie — dodała asystentka.

— Nie wierzę! — rzucił Avery, biorąc marynarkę. — Chodźmy! Ruszył do drzwi, a sekretarki, asystentka i Mitch podążyli za nim. Mitch niósł dwie teczki, asystentka dwie, a sekretarka jedną. Druga sekretarka notowała polecenia wykrzykiwane przez Avery'ego i sprawy, które miały zostać załatwione pod jego nieobecność. Cały korowód wpakował się do małej windy, która zjechała na pierwsze piętro. Kiedy wyszli na dwór, szofer rzucił się, by otworzyć drzwi i włożyć teczki do bagażnika.

Mitch i Avery opadli na fotele.

— Rozluźnij się, Avery — powiedział Mitch. — Czekają cię trzy dni na

Kajmanach. Wyluzuj się, człowieku.

— Racja, racja. Zabrałem tyle roboty, że starczyłoby na miesiąc. Klienci dybią na moje życie, grożą, że mnie pozwą za błąd w sztuce. Mam dwa miesiące opóźnienia, a ty wyjeżdżasz sobie na cztery dni nudnego kursu prawa podatkowego w Waszyngtonie. Cudownie się składa, McDeere! Po prostu cudownie!

Avery otworzył lodówkę i zrobił sobie drinka. Mitch odmówił. Limuzyna sunęła Riverside Drive w porze szczytu. Po trzech łykach ginu Avery westchnął głęboko.

— Kontynuowanie kształcenia! Dobre sobie! — burknął.

— Sam to robiłeś, kiedy byłeś zielony. Jeśli się nie mylę, niedawno poleciałeś do Honolulu na seminarium o międzynarodowych podatkach. Zapomniałeś?

— To była praca! Nic, tylko praca! Zabrałeś swoje sprawy?

— Oczywiście, Avery. Osiem godzin dziennie będę spędzał na seminariach poświęconych ostatnim zmianom podatkowym uchwalonym przez Kongres, a w wolnym czasie wyrabiał pięć godzin dziennie.

— Może dasz radę sześć? Mamy duże zaległości, Mitch.

— Zawsze je mieliśmy, Avery. Zrób sobie jeszcze jednego drinka. Musisz się wyluzować.

— Zamierzam to zrobić w Rumheads.

Mitch pomyślał o barze z piwem Red Stripe, dominie, strzałkach i, tak, o babkach w bikini. I o dziewczynie.

— Pierwszy raz polecisz learem? — spytał Avery, tym razem nieco spokojniej.

— Tak. Pracuję w firmie siódmy miesiąc, a dopiero teraz zobaczę samolot. Gdybym to wiedział rok temu, pewnie tyrałbym w jakiejś firmie na Wall Street.

— Nie nadajesz się na Wall Street. Wiesz, jak postępują tamci faceci? Zatrudniają trzystu prawników, kapujesz? Co roku biorą trzydziestu nowych współpracowników, może więcej. Każdy chce tej roboty, bo to Wall Street, nie? Miesiąc później zapędzają całą trzydziestkę do jednej sali i informują, że mają pracować po dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo przez pięć lat. Przed ich upływem połowy już nie będzie. Mają niewiarygodną rotację. Starają się wykosić żółtodziobów, płacąc im po sto, sto pięćdziesiąt dolców za godzinę, wyciskając z nich siódme poty, a później wywalają na bruk. Oto twoje Wall Street! Taki mały chłoptaş jak ty nigdy by tam nie uświadczył firmowego samolotu czy limuzyny. Ty to masz szczęście, Mitch. Powinieneś codziennie dziękować Bogu, że dostałeś robotę w poczciwej starej kancelarii Bendini, Lambert i Locke.

— Dziewięćdziesiąt godzin brzmi jak bajka. Mógłbym wykorzystać wolny czas.

— To ci się opłaci. Wiesz, jaką premię dostałem rok temu?

— Nie.

— Cztery, osiem, pięć. Nieźle, co? A to tylko premia.

— A ja sześć tysięcy — bąknął Mitch.

— Trzymaj się mnie, a wkrótce zagrasz w superlidze.

— Taak, ale najpierw muszę uzupełnić wykształcenie.

Dziesięć minut później minęli tablicę „Lotnisko Memphis” i limuzyna skręciła w drogę prowadzącą do rzędu hangarów. Smukły srebrny lear 55 wolno kołował w stronę terminalu. Odprawili się w ciągu dziesięciu minut i dostali pozwolenie na start. Mitch zapiął pasy, podziwiając wnętrze wykonane ze skóry i mosiądzu. Było takie, jak oczekiwał — luksusowe i pełne przepychu. Avery przygotował sobie kolejnego drinka i zapiął pasy.

• • •

Godzinę i piętnaście minut później Lear zaczął podchodzić do lądowania na lotnisku Baltimore-Washington International. Kiedy maszyna się zatrzymała, Avery i Mitch wysiedli i otworzono luk bagażowy. Avery wskazał mężczyznę w mundurze stojącego obok bramy.

— To twój szofer. Limuzyna czeka przed budynkiem. Idź za nim. Za czterdzieści minut będziesz w hotelu Capitol Hilton.

— Własna limuzyna? — zdziwił się Mitch.

— Taak. Ci z Wall Street nie zrobiliby tego dla ciebie.

Uścisnęli sobie dłonie i Avery wrócił na pokład samolotu. Kiedy po trzydziestu minutach tankowania wystartowali i skierowali się na południe, zasnął.

Trzy godziny później wylądował w Georgetown na Wielkim Kajmanie. Maszyna przejechała obok budynku terminalu i podkołowała do małego hangaru, gdzie miała spędzić noc. Ochroniarz, który czekał na Avery'ego i jego bagaż, odprowadził go do hali przylotów i pomógł przejść przez odprawę celną. W tym czasie kapitan i pierwszy oficer odbębnił rytuał związany z zakończeniem lotu. Oni także zostali odprowadzeni do budynku terminalu.

Po północy, gdy światła w hangarze już zgasły, a pół tuzina samolotów stało w ciemności, otworzyły się boczne drzwi i do środka weszło trzech facetów, wśród nich Avery. Podeszli szybko do Leara. Avery otworzył luk bagażowy i we trzech wyladowali dwadzieścia pięć kartonowych pudeł. W parnym tropikalnym skwarze hangar przypominał kuchenny piec. Pocili się obficie, ale żaden nie odezwał się słowem, aż wszystkie pudła znalazły się na ziemi.

— Powinno być dwadzieścia pięć. Przelicz — rzucił Avery do umięśnionego krajowca w kamizelce i z pistoletem na biodrze. Trzeci facet trzymał w ręku podkładkę i przyglądał się uważnie, jakby przyjmował towar

w magazynie. Miejscowy szybko liczył, a krople potu kapały na pudła.

— Zgadza się. Dwadzieścia pięć.

— Ile? — spytał gość z podkładką.

— Sześć i pół miliona.

— W gotówce?

— Wszystko w gotówce. Amerykańskie dolary. Setki i dwudziestki.

Załadujmy kartony.

— Dokąd pojedą?

— Quebec Bank. Już na nas czekają.

Każdy wziął jedno pudło i ruszyli w ciemności do bocznych drzwi, gdzie czekał na nich kolega z uzi. Kartony załadowano do zdezelowanej furgonetki z nagryzmołonym napisem „Płody rolne z Kajmanów”. Uzbrojeni krajowcy siedzieli z bronią, kiedy urzędnik przyjmujący dostawę oddalał się od hangaru w kierunku centrum Georgetown.

• • •

Rejestracja uczestników rozpoczęła się o ósmej przed salą Century Room na półpiętrze. Mitch zjawił się wcześniej, wpisał na listę uczestników, odebrał ciężki notatnik z materiałami ze swoim nazwiskiem wydrukowanym na okładce i wszedł do środka. Zajął miejsce pośrodku dużej sali. W broszurce informacyjnej napisano, że liczba uczestników nie przekroczy dwustu osób. Kiedy kelner podał kawę, Mitch rozłożył przed sobą „Washington Post”. Wiadomości zdominowało kilkanaście opowieści o jego ukochanej drużynie Redskins, która miała znów grać w Superpucharze.

Sala powoli się zapełniała, kiedy prawnicy podatkowi z całego kraju przybywali, by usłyszeć o najnowszych trendach w prawie podatkowym, które zmieniało się każdego dnia. Kilka minut przed dziewiątą z lewej strony Mitcha usiadł bez słowa schludny prawnik o chłopcym wyglądzie. Mitch



rzucił na niego okiem i wrócił do czytania gazety. Kiedy sala była pełna, prowadzący seminarium powitał gości i przedstawił pierwszego prelegenta, kongresmena jakiegoś tam z Oregonu, przewodniczącego podkomisji budżetowej. Kiedy facet ruszył w kierunku mównicy, by przedstawić godzinną prezentację, prawnik siedzący z lewej strony Mitcha pochylił się ku niemu i wyciągnął rękę.

— Cześć, Mitch — wyszeptał. — Jestem Grant Harbison z FBI. — Podał Mitchowi wizytówkę.

Kongresmen zaczął dowcipem, którego Mitch nie usłyszał. Przyglądał się wizytówce, trzymając ją blisko piersi. W odległości metra od niego siedziało pięć osób. Nie znał tu nikogo, ale czułby się niezręcznie, gdyby ktoś się zorientował, że trzyma w ręku wizytówkę Biura. Pięć minut później skonsternowany Mitch spojrzał na Harbisona.

— Muszę zamienić z tobą słówko — szepnął agent.

— A jeśli jestem zajęty?

Agent wyjął z notatnika czystą białą kopertę i podsunął Mitchowi, a ten ją otworzył. Wiadomość napisano ręcznie. W nagłówku widniał mały, choć imponujący napis: „Biuro dyrektora FBI”.

Liścik miał następującą treść:

*Drogi Panie McDeere,*

*chciałbym zamienić z panem słówko podczas lunchu. Proszę postępować zgodnie ze wskazówkami agenta Harbisona. Nie zabiorę panu dużo czasu. Będziemy wdzięczni za współpracę.*

*Dziękuję,*

*F. Denton Voyles dyrektor FBI*

Mitch złożył kartkę, wsunął ją do koperty i powoli umieścił w notatniku. „Będziemy wdzięczni za współpracę”. List od dyrektora FBI. Wiedział, jak ważne jest zachowanie spokoju, niewzruszonej, kamiennej twarzy, jakby to

była zwykła rutyna. Wiedział, ale potarł skronie obiema rękami i spojrzał na podłogę. Zamknął oczy i poczuł, że kręci mu się w głowie. FBI. Obok niego siedzi agent! Czekają na niego. Dyrektor i cholera wie kto jeszcze. Pewnie w pobliżu jest Tarrance.

Nagle sala wybuchnęła śmiechem po kolejnym dowcipie kongresmena. Harbison pochylił się szybko i wyszeptał.

— Za dziesięć minut. W męskiej toalecie za rogiem. — Agent zostawił swój notatnik na stole i wyszedł wśród salw śmiechu.

Mitch otworzył pierwszą część notatnika, udając, że przegląda materiały. Kongresmen opisywał, jak dzielnie walczył o ochronę rajów podatkowych dla zamożnych przy jednoczesnym zmniejszaniu obciążeń klasy pracującej. Pod jego nieustraszoną kierownictwem podkomisja odrzuciła poprawki ograniczające odpisy z tytułu poszukiwania złóż ropy naftowej i gazu. Facet był jednoosobową armią na Kapitolu.

Mitch odczekał piętnaście minut, a po nich kolejnych pięć. Zakaszłał. Musiał się napić wody. Z ręką przy ustach przemknął między krzesłami na tył sali i wyszedł bocznymi drzwiami. W tym czasie Harbison dziesiąty raz z rzędu mył ręce w męskiej toalecie.

Mitch podszedł do umywalki obok niego i odkręcił zimną wodę.

— O co wam chodzi, chłopaki? — spytał.

Harbison spojrzał na niego w lustrze.

— Wykonuję polecenia. Dyrektor Voyles chce z tobą porozmawiać. Wysłali mnie, żebym cię przyprowadził.

— O co mu chodzi?

— Nie chciałbym go ubiec, ale jestem pewny, że to ważna sprawa.

Mitch rozejrzał się ostrożnie po toalecie. Była pusta.

— A jeśli jestem zbyt zajęty, żeby się spotkać?

Harbison zakręcił wodę i otrząsnął ręce.

— To spotkanie jest nieuchronne, Mitch. Dajmy sobie spokój z gierkami. Kiedy twoje małe seminarium się skończy, odszukaj taksówkę z numerem osiem tysięcy sześćset sześćdziesiąt siedem, będzie czekała na lewo od głównego wejścia. Zabierze cię do pomnika Weteranów Wietnamu. Będziemy czekać. Musisz być ostrożny. Dwóch śledziło cię tu od Memphis.

— Jakich dwóch?

— Dwóch chłopaków z Memphis. Rób, co ci powiemy, a się nie połapią.

• • •

Prowadzący seminarium podziękował drugiemu prelegentowi, profesorowi prawa podatkowego z Uniwersytetu Nowojorskiego, i ogłosił przerwę na lunch.

Mitch nie odezwał się ani słowem do kierowcy taksówki. Facet ruszył jak wariat i szybko zniknęli w morzu pojazdów. Piętnaście minut później zaparkowali obok pomnika.

— Nie wysiadaj — polecił władczo taksówkarz. Mitch ani drgnął. Całe dziesięć minut siedział bez ruchu, nie mówiąc ani słowa. W końcu obok taksówki stanął biały ford escort i cicho zatrąbił.

Kierowca spojrzał przed siebie i oznajmił:

— W porządku, podejdź do ściany. Znajdą cię za pięć minut.

Mitch wysiadł, a taksówka odjechała. Wsunął ręce do kieszeni wełnianej kurtki i ruszył wolnym krokiem w stronę pomnika. Podmuchy chłodnego wiatru z północy rozwiewały liście na wszystkie strony. Mitch zadrżał i postawił kołnierz kurtki, chroniąc uszy.

Na wózku inwalidzkim siedział sztywno samotny pielgrzym, wpatrując się w ścianę. Kolana miał przykryte grubym pledem. Pod przydużym beretem widniały ciemne okulary zasłaniające oczy, wózek stał przy końcu ściany, obok nazwisk żołnierzy poległych w 1972 roku. Mitch szedł chodnikiem,

mijając kolejne lata, by w końcu zatrzymać się obok wózka. Zaczął czytać nazwiska, nagle zapomniawszy o obecności inwalidy.

Westchnął głęboko, czując, że ma nogi jak z waty i boli go brzuch. Opuścił wzrok i ujrzał napis na dole kolumny. Wryte schludnie i rzeczowo, jak pozostałe, imię i nazwisko: Rusty McDeere.

Kilka centymetrów poniżej napisu obok pomnika stał kosz ze zmrożonymi, przywiędłymi kwiatami. Mitch delikatnie odłożył je na bok i uklęknął. Dotknął wrytych liter, którymi wypisano imię Rusty'ego. Rusty McDeere. Osiemnaście lat, na wieki. Po siedmiu tygodniach w Wietnamie wpakował się na minę przeciwpiechotną. Mówili, że śmierć była natychmiastowa. Zdaniem Raya zawsze tak mówili. Mitch otarł małą łzę i wstał, spoglądając na długą ścianę. Pomyślał o pięćdziesięciu ośmiu tysiącach rodzin, którym powiedziano, że śmierć była natychmiastowa i żaden nie cierpiał.

— Mitch, już czekają.

Odwrócił się i spojrział na mężczyznę na wózku, jedyne go człowieka w zasięgu wzroku. Okulary utkwione w ścianie nie podniosły się. Mitch się rozejrzał.

— Rozluźnij się, Mitch. Zabezpieczyliśmy teren. Tamci nie patrzą.

— Kim jesteś? — spytał Mitch.

— Jednym z nich. Musisz nam zaufać, Mitch. Dyrektor ma dla ciebie ważną wiadomość. Wiadomość, która może ocalić ci życie.

— Gdzie on jest?

Mężczyzna na wózku odwrócił głowę i spojrział w kierunku chodnika.

— Idź w tamtą stronę. Znajdą cię.

Mitch spojrział jeszcze raz na nazwisko brata i przeszedł za wózkiem. Minął pomnik trzech żołnierzy. Szedł wolno, włożywszy ręce do kieszeni. W odległości pięćdziesięciu metrów od pomnika zza drzewa wyłonił się

Wayne Tarrance i zaczął iść obok niego.

— Dlaczego nie jestem zaskoczony, że cię widzę? — mruknął Mitch.

— Po prostu idź. Wiemy, że przynajmniej dwóch zbirów przyleciało tu z Memphis przed tobą. Zatrzymali się w tym samym hotelu, w pokoju obok. Śledzili cię, ale myślę, że ich zgubiliśmy.

— Co się, do licha, dzieje, Tarrance?

— Za chwilę się dowiesz. Idź dalej. Rozluźnij się. Nikt cię nie obserwuje z wyjątkiem dwudziestu naszych agentów.

— Dwudziestu?

— Taak. Zabezpieczyliśmy teren. Chcieliśmy być pewni, że ci dranie z Memphis się tu nie pokażą. Osobiście się ich nie spodziewam.

— Co to za jedni?

— Dyrektor ci wyjaśni.

— Dlaczego jest w to zaangażowany dyrektor?

— Zadajesz dużo pytań, Mitch.

— A ty udzielasz niewiele odpowiedzi.

Tarrance wskazał w prawo. Zeszli z chodnika i ruszyli w stronę ciężkiej betonowej ławki stojącej obok kładki prowadzącej do niewielkiego lasku. Woda w sadzawce zamarzła, przybierając białą barwę.

— Usiądźmy — rzucił Tarrance. Usiedli. Od strony kładki ruszyli ku nim dwaj mężczyźni. W niższym Mitch natychmiast rozpoznał F. Dentona Voylesa, dyrektora FBI za kadencji trzech prezydentów. Twardego, surowego pogromcę przestępców, słynącego z bezwzględności.

Mitch wstał z szacunkiem, kiedy stanęli przy ławce. Voyles wyciągnął zimną dłoń i spojrzał na Mitcha, zwracając ku niemu dużą, okrągłą twarz rozpoznawaną na całym świecie. Uścisnęli sobie ręce i wymienili nazwiska. Voyles wskazał ławkę. Tarrance i drugi agent ruszyli w kierunku kładki, lustrując horyzont. Mitch spojrzał na drugi brzeg sadzawki i ujrzał dwóch

mężczyzn o krótko ostrzyżonych włosach, niewątpliwie agentów, w identycznych czarnych trenczach, opartych o drzewo w odległości stu metrów od nich.

Voyles usiadł blisko Mitcha, tak że ich nogi się stykały. Na dużej łysej głowie sterczała przekrzywiona fedora. Miał przynajmniej siedemdziesiątkę, ale czujne ciemnozielone oczy rozglądały się przez cały czas. Siedzieli nieruchomo na zimnej ławce z dłońmi wsuniętymi głęboko w kieszenie.

— Dziękuję, że przyszedłeś — zaczął Voyles.

— Nie sądzę, żebym miał wybór. Potraficie być nieustępliwi.

— Tak. To dla nas bardzo ważne.

Mitch westchnął głęboko.

— Zdaje pan sobie sprawę, jaki jestem zagubiony i przerażony? Zupełnie się pogubiłem. Chciałbym usłyszeć jakieś wyjaśnienie.

— Panie McDeere... mogę mówić ci Mitch?

— Jasne, czemu nie?

— Doskonale, Mitch. Nie jestem gadułą. To, co za chwilę powiem, na pewno cię zaszokuje. Będiesz przerażony. Możesz mi nie uwierzyć, ale zapewniam cię, że to wszystko prawda. Jeśli nam pomożesz, zdołamy ocalić ci życie.

Mitch wziął się w garść i czekał.

— Posłuchaj uważnie, Mitch. Żaden prawnik nie odszedł żywy z waszej firmy. Trzech próbowało i zostali zabici. Dwóch zamierzało odejść, ale zmarli ostatniego lata. Kiedy jakiś prawnik zatrudni się w kancelarii Bendini, Lambert i Locke, nie może odejść, chyba że przejdzie na emeryturę i będzie trzymał gębę na kłódkę. Dodam, że gdy odchodzą na emeryturę, stają się uczestnikami spisku i nie mogą mówić. Firma ma rozległe centrum inwigilacji na piątym piętrze. Twój dom i samochód są na podsłuchu. Nagrywają wszystkie rozmowy telefoniczne. Założyli podsłuch w twoim

gabinecie na biurku. Każde słowo, które wypowiedasz, jest słyszane i nagrywane. Śledzą cię, czasami śledzą także twoją żonę. O ile wiemy, są także tu, w Waszyngtonie. Jak widzisz, Mitch, wasza firma to coś więcej. To część bardzo dużego i bardzo dochodowego interesu. Bardzo nielegalnego. Firma nie jest własnością wspólników.

Mitch się odwrócił i obserwował go uważnie. Dyrektor mówił, spoglądając na zamrożoną sadzawkę.

— Widzisz, Mitch, firma prawnicza Bendini, Lambert i Locke należy do rodziny Morolto z Chicago. Do mafii. To oni rozdają karty. Stąd nasza obecność. — Złapał Mitcha za kolano i spojrzał mu w twarz z odległości piętnastu centymetrów. — To mafia, Mitch. Działalność firmy jest nielegalna jak cholera.

— Nie wierzę — wyjąkał Mitch sparaliżowany strachem. Jego głos był cichy i drżał.

Dyrektor Voyles się uśmiechnął.

— Wierzysz, Mitch. Wierzysz. Od jakiegoś czasu miałeś podejrzenia. Dlatego rozmawiałeś z Abanksem na Kajmanach. Dlatego zatrudniłeś tego szemranego prywatnego detektywa, którego sprzątnęli ci z piątego piętra. Wiesz, że w firmie śmierdzi, Mitch.

Mitch pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. Utkwił wzrok w ziemi.

— Nie wierzę — wymamrotał.

— O ile wiemy, około dwudziestu pięciu procent ich albo twoich spraw jest legalnych. W waszej firmie pracuje paru bardzo dobrych prawników. Zajmują się sprawami podatkowymi bogatych klientów i dochodami z papierów wartościowych. To doskonała fasada. Większość spraw, nad którymi dotąd pracowałeś, była legalna. Tak działają. Zatrudniają żółtodzioba, obsypują go forszą, kupują bmw, dom i tak dalej. Podejmują

wystawnie i wyprawiają na Kajmany, zawalając legalną robotą. Podsyłają prawdziwych klientów. Dają prawdziwą prawniczą robotę. Trwa to kilka lat, nowy niczego nie podejrzewa. Wspaniała firma, wspaniali faceci. Góra forsy. Wszystko wydaje się wspaniałe. Później, po pięciu, sześciu latach, kiedy gość zarabia naprawdę przyzwoite pieniądze, ma hipotekę, żonę i dzieci, i wszystko wydaje się bezpieczne, zrzucają bombę. Mówią prawdę. Nie ma ucieczki. To mafia, Mitch. Ci goście nie żartują. Mogą zabić ci dziecko albo żonę. Zarabiasz więcej forsy, niż mógłbyś wyciągnąć gdzie indziej. Szantażują cię, bo masz rodzinę, która dla mafii nic nie znaczy. Co zatem robisz, Mitch? Zostajesz. Nie możesz odejść. Zostajesz, zarabiasz milion i młodo odchodzisz na emeryturę z nietkniętą rodziną. Jeśli będziesz chciał odejść wcześniej, usuną twoje zdjęcie z biblioteki na pierwszym piętrze. Potrafią być bardzo przekonujący.

Mitch potarł skronie i zaczął się trząść.

— Posłuchaj, Mitch, wiem, że masz mnóstwo pytań. Rozumiem. Powiem ci wszystko, co wiem. Każdy z pięciu zabitych prawników chciał tylko odejść, bo dowiedział się prawdy. Nie rozmawialiśmy z pierwszymi trzema, bo, szczerze mówiąc, dowiedzieliśmy się o firmie dopiero siedem lat temu. Wykonywali świetną robotę, siedzieli cicho i nie zostawiali śladów. Pierwsi trzej przypuszczalnie chcieli odejść, więc ich wynieśli. W trumnie. Hodge i Kozinski byli inni. Nawiązali z nami kontakt. Mieliśmy kilka spotkań w ciągu roku. Zrzucili bombę na Kozinskiego, gdy przepracował u nich siedem lat. Ten powiedział Hodge'owi. Szeptali między sobą od roku. Kozinski miał zostać współnikiem, więc chciał odejść, zanim to się stanie. Nie podejrzewali, że trzej poprzedni zostali zabici, a przynajmniej nigdy nam o tym nie powiedzieli. Wysłaliśmy Wayne'a Tarrance'a do Memphis, żeby ich sprowadził. Tarrance to specjalista od zorganizowanej przestępczości z Nowego Jorku. Nawiązał bardzo bliski kontakt z Hodge'em i Kozinskim,



ale sprzątnęli ich na Kajmanach. Ci goście z Memphis są bardzo dobrzy, Mitch. Nigdy o tym nie zapominaj. Mają pieniądze i zatrudniają najlepszych. Po śmierci Hodge'a i Kozinskiego postanowiłem, że dobiore im się do skóry. Gdyby udało się zdemaskować firmę, mógłbym wsadzić do pudła każdego ważnego członka rodziny Morolto. Moglibyśmy przygotować ponad pięćset aktów oskarżenia. Unikanie płacenia podatków, pranie brudnych pieniędzy, wymuszenia okupu, co zechcesz. Coś takiego mogłoby zniszczyć rodzinę Morolto, a to oznaczałoby najbardziej druzgoczący cios zadany zorganizowanej przestępczości w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Pomyśl, Mitch, że to wszystko znajduje się w aktach cichej, małej firmy Bendiniego w Memphis.

— Dlaczego akurat w Memphis?

— Dobre pytanie. Kto by podejrzewał małą firmę z Memphis w Tennessee? Nie ma tam żadnej mafijnej działalności. To ciche, urocze i spokojne miasto nad rzeką. Równie dobrze mogliby wybrać Durham, Topekę albo Wichita Falls, ale zdecydowali się na Memphis. Jest wystarczająco duże, żeby można było ukryć czterdziestoosobową firmę. Doskonały wybór.

— Chce pan powiedzieć, że każdy wspólnik... — Mitch nie dokończył.

— Tak. Każdy wspólnik wie i postępuje zgodnie z obowiązującymi zasadami. Podejrzewamy, że wie także większość współpracowników, ale nie mamy pewności. Nie wiemy wielu rzeczy, Mitch. Nie wiemy, jak działa firma, czym zajmują się poszczególne osoby. Mamy jednak uzasadnione podejrzenia, że kancelaria Bendini, Lambert i Locke jest zamieszana w wiele działań przestępczych.

— Jakich?

— W oszustwa podatkowe. Zajmują się podatkami rodziny Morolto. Co roku składają ładne, schludne, z pozoru rzetelne zeznania podatkowe, ale

deklarują tylko niewielką część dochodów. Piorą forszę jak diabli. Za pomocą brudnych pieniędzy zakładają legalne interesy. Ten bank z St. Louis, wasz ważny klient... przypomnij mi, jak się nazywa?

— Commercial Guaranty.

— Właśnie. Jego właścicielem jest mafia. Firma Bendini, Lambert i Locke zajmuje się prawną stroną przedsięwzięcia. Morolto zarabiają około trzystu milionów dolarów rocznie na hazardzie, handlu narkotykami i grach liczbowych. W gotówce. Większość tej forsy lokują w bankach na Kajmanach. Wiesz, jak przewożą pieniądze z Chicago na wyspy? Masz jakiś pomysł? Podejrzewamy, że robią to samolotem. Połączony lear, którym tu przyleciałeś, raz w tygodniu lata do Georgetown.

Mitch siedział wyprostowany, obserwując Tarrance'a, który stał na mostku poza zasięgiem słuchu.

— Dlaczego nie przygotujecie aktów oskarżenia i nie zgarniecie wszystkich?

— Nie możemy. Zapewniam cię, że chętnie byśmy to zrobili. Przydzieliłem pięciu agentów do prowadzenia śledztwa w Memphis i trzech tutaj, w Waszyngtonie. Dopadniemy ich, Mitch, obiecuję, ale musimy mieć kogoś w środku. To bardzo sprytni ludzie i mają mnóstwo forsy. Do tego są bardzo ostrożni i nie popełniają błędów. Potrzebujemy twojej pomocy lub pomocy innego pracownika firmy. Musimy zdobyć kopie ich akt i dokumentów bankowych. Skopiować miliony stron. Może to zrobić tylko ktoś z wewnątrz. Inaczej się nie da.

— Dlatego wybraliście mnie?

— Właśnie. Wybraliśmy ciebie. Jeśli odmówisz, będziesz mógł pójść własną drogą, zarobić kupę forsy i zostać wziętym prawnikiem, ale nie przestaniemy próbować. Zaczekamy na następnego nowego współpracownika i spróbujemy go pozyskać. Jeśli się nie uda, zwrócimy się

do jednego ze starszych kolegów. Do człowieka, który ma dość odwagi, moralności i jaj, żeby zrobić to, co należy. Kiedyś go znajdziemy, Mitch, a wówczas postawimy cię w stan oskarżenia razem z całą resztą i wyekspedujemy do pudła twoją zamożną i czcigodną dupę. Możesz mi wierzyć, że prędzej czy później to nastąpi.

W tamtej chwili, w tamtym miejscu i czasie Mitch mu uwierzył.

— Zmarłem, panie Voyles, czy moglibyśmy się przejść?

— Oczywiście, Mitch.

Ruszyli wolno do chodnika i skręcili w stronę pomnika Weteranów Wietnamu. Mitch obejrzał się przez ramię. Tarrance i drugi agent szli za nimi w pewnej odległości. Inny podejrzany facet w ciemnobrązowym ubraniu przysiadł na ławce obok chodnika.

— Kim był Anthony Bendini? — zapytał Mitch.

— W tysiąc dziewięćset trzydziestym roku poślubił dziewczynę z rodziny Morolto. Został zięciem starego. Działali wtedy w Filadelfii, więc go tam wysłano. Później, w latach czterdziestych, z tego samego powodu przenieśli go do Memphis, żeby otworzył nowy warsztat. Z tego, co wiemy, był bardzo dobrym prawnikiem.

Przez głowę Mitcha przemknęły tysiące pytań, walcząc ze sobą o to, żeby je zadał. Próbował zachować spokój, być sceptyczny i opanowany.

— A Oliver Lambert?

— Królewicz z bajki? Idealny starszy wspólnik, który w jakiś sposób dowiedział się o Hodge'u i Kozinskim, a później zaplanował, jak ich sprzątnąć. Kiedy następnym razem zobaczysz w biurze pana Lamberta, przypomnij sobie, że zamordował z zimną krwią. Oczywiście nie miał wyboru. Gdyby nie współpracował, znaleźliby jego zwłoki unoszące się gdzieś na wodzie. Oni wszyscy tacy są, Mitch. Zaczynali podobnie jak ty. Młodzi, błyskotliwi i ambitni, pewnego dnia dowiadawali się, że nie mają

dokąd uciec. Dlatego współpracowali, harowali, wykonywali świetną robotę, stwarzając doskonałe pozory i udając małą szanowaną kancelarię prawniczą. Co roku zatrudniają inteligentnego młodego studenta prawa z biednego domu, bez rodzinnego majątku, z żoną, która chce mieć dzieci, a następnie obsypują go forszą i rekrutują.

Mitch pomyślał o pieniądzach, o dużym wynagrodzeniu od małej firmy z Memphis, o samochodzie i pożyczce hipotecznej na niski procent. Chciał podjąć pracę na Wall Street, ale skusiła go forsa. Tylko forsa.

— A Nathan Locke?

Dyrektor się uśmiechnął.

— Locke to inna historia. Dorastał w Chicago jako biedny dzieciak. Gdy miał dziesięć lat, załatwiał różne sprawy dla starego Morolto. Całe życie był żulem. Kiedy jakoś przeczłgał się przez szkołę prawniczą, starszek wysłał go na Południe, żeby popracował z Anthonym Bendinim w tamtejszym wydziale przestępstw urzędniczych. Zawsze był ulubieńcem starego.

— Kiedy zmarł Morolto?

— Jedenaście lat temu jako osiemdziesięcioośmioletni starzec. Miał dwóch obleśnych synalków, Mickeya Bużkę i Joeya Księżulka. Mickey mieszka w Las Vegas i odgrywa drugorzędną rolę w życiu rodziny, ale Joey został szefem.

Doszli do skrzyżowania z inną alejką. Z lewej strony w oddali rysował się pomnik Jerzego Waszyngtona stojący niewzruszenie mimo chłodnego wiatru. Ścieżka z prawej wiodła do ściany z nazwiskami poległych. Garstka ludzi spoglądała na nią w poszukiwaniu synów, mężów i przyjaciół. Mitch skreślił w kierunku ściany.

— Nie rozumiem, jak firma zdołała wykonać tyle nielegalnej roboty i utrzymać wszystko w tajemnicy — powiedział cicho Mitch. — Przecież zatrudniają mnóstwo sekretarek, pracowników biurowych i asystentów.

— Dobrze pytanie. Nie potrafię udzielić na nie wyczerpującej odpowiedzi. Sądzymy, że firma prowadzi podwójną działalność. Przy tej legalnej pracują nowi współpracownicy, większość sekretarek i personelu pomocniczego. Hodge i Kozinski mieli nam przekazać dużo informacji, ale nie zdążyli. Hodge wspomniał Tarrance'owi o grupie asystentów prawniczych pracujących w piwnicy, o których niewiele wiedział. Podlegali bezpośrednio Locke'owi, Milliganowi i McKnightowi oraz kilku innym wspólnikom. Nikt nie miał pojęcia, czym się zajmują. Sekretarki wiedzą o wszystkim, więc sądzymy, że niektóre zostały wtajemniczone. Jeśli faktycznie tak jest, są dobrze opłacane i zbyt przerażone, żeby pisać słówko. Zastanów się, Mitch, czy gdybyś zarabiał w firmie duże pieniądze i miał liczne przywileje, zadawałbyś pytania albo plotkował o tym, co się u was dzieje? Milczałbyś i brał forszę.

Zatrzymali się przy końcu ściany, w miejscu, gdzie z ziemi wyrastał czarny granit, by ciągnąć się na długości siedemdziesięciu metrów rzędem identycznych paneli. Dwadzieścia metrów dalej dwoje starszków wpatrywało się w ścianę, cicho płacząc. Obejmowali się, żeby się ogrzać i dodać sobie nawzajem otuchy. Kobieta pochyliła się i postawiła na chodniku czarno-białą fotografię. Ojciec umieścił obok pudełko po butach wypełnione pamiątkami z ogólniaka. Z programami meczów, klasowymi zdjęciami, listami miłosnymi, kólkami na klucze i złotym łańcuchem. Zaczęli głośniej szlochać.

Mitch odwrócił się plecami do ściany i spojrział na pomnik Waszyngtona. Dyrektor obserwował jego oczy.

— Co miałbym zrobić? — spytał Mitch.

— Po pierwsze, nie wspominaj nikomu o naszej rozmowie. Jeśli zaczniesz zadawać pytania, twoje życie będzie zagrożone. A także życie twojej żony. W najbliższej przyszłości nie planuj dzieci. Stanowią łatwy cel.

Najlepiej udawaj głupiego, jakby wszystko było wspaniale, jakbyś zamierzał zostać największym prawnikiem na świecie. Po drugie, musisz podjąć decyzję. Nie teraz, ale wkrótce. Musisz zdecydować, czy chcesz z nami współpracować. Jeśli zdecydujesz się pomóc, zadbamy, żeby ci się to opłaciło. Jeśli odmówisz, nadal będziemy obserwować firmę, dopóki nie zdecydujemy się zwrócić do kolejnego współpracownika. Jak powiedziałem, pewnego dnia znajdziemy kogoś z jajami i dopadniemy drani. Rodzina Morolto przestanie istnieć. Będziemy cię chronili, Mitch. Nie będziesz musiał pracować do końca życia.

— Co to za życie? Będę żył w strachu do ostatniego dnia, jeśli w ogóle przeżyję. Słyszałem opowieści o świadkach, których miało ukrywać FBI. Dziesięć lat później ich samochód wylatywał w powietrze, gdy wyjeżdżali do pracy. Fragmenty ciał leżały rozrzucone w promieniu trzech przecznic. Mafia nigdy nie zapomina, dyrektorze. Dobrze pan o tym wie.

Voyles spojrzał na zegarek.

— Powinieneś wrócić na seminarium, bo zaczną coś podejrzewać, Mitch. Obiecuję, że ochronimy ciebie i twoją żonę. Tarrance będzie z tobą w kontakcie. Zaufaj mu. Stara się ocalić ci życie. Ma pełne uprawnienia, by działać w moim imieniu. Jeśli coś powie, traktuj to tak, jakby pochodziło ode mnie. Upoważniłem go również do prowadzenia negocjacji.

— Jakich negocjacji?

— Do negocjowania warunków, Mitch. Tego, co dostaniesz w zamian za przekazane nam informacje. Wymień cenę, a nasz rząd ją zapłaci za pośrednictwem FBI. Oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Osobiście ci to obiecuję, Mitch. — Ruszyli wolno wzdłuż ściany, zatrzymując się obok agenta na wózku inwalidzkim. Voyles wyciągnął rękę. — W miejscu, gdzie wysiadłeś, czeka na ciebie taksówka. Numer tysiąc siedemdziesiąt trzy. Ten sam kierowca. Powinieneś już wracać. Więcej się nie zobaczymy, ale

Tarrance skontaktuje się z tobą w ciągu kilku dni. Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Nie oszukuj się, że firma jest niezwyciężona i może działać w nieskończoność, bo na to nie pozwolimy. W najbliższej przyszłości przystąpimy do działania, mogę ci to obiecać. Mam nadzieję, że będziesz wtedy po naszej stronie.

— Nie wiem, co miałbym robić.

— Tarrance przygotował plan gry. Bardzo dużo zależy od ciebie i tego, czego się dowiesz, kiedy podejmiesz zobowiązanie.

— Zobowiązanie?

— Tak, Mitch. Kiedy podejmiesz zobowiązanie, nie będzie odwrotu. Tamci potrafią być bardziej bezlitośni niż jakakolwiek inna organizacja na świecie.

— Dlaczego wybraliście właśnie mnie?

— Musieliśmy kogoś wybrać. Nie, to nieprawda. Wybraliśmy ciebie, bo masz odwagę, żeby z tym zerwać. Nie masz rodziny oprócz żony. Żadnych więzi, żadnych korzeni. Zostałeś zraniony przez każdą osobę, na której ci zależało, z wyjątkiem Abby. Odniosłeś sukces, stałeś się samodzielny i niezależny. Nie potrzebujesz firmy. Możesz odejść. Jesteś twardy, doświadczony i wystarczająco inteligentny, żeby się od nich uwolnić, Mitch. Nie dasz się złapać. Dlatego cię wybraliśmy. Życzę miłego dnia. Dziękuję, że przyszedłeś. Wracaj już.

Voyles się odwrócił i szybko oddalił. Tarrance czekał przy końcu ściany, by pozdrowić Mitcha szybkim skinieniem głowy, jakby chciał powiedzieć: „Na dziś wystarczy”.

## Rozdział 20

Po obowiązkowym postoju w Atlancie DC 9 linii Delta wylądował w chłodnym deszczu na międzynarodowym lotnisku w Memphis. Maszyna podkołowała do bramy numer dziewiętnaście i zbity tłum pasażerów podróżujących w sprawach służbowych szybko opuścił samolot. Mitch miał tylko teczkę i numer „Esquire'a”. Zauważył Abby czekającą w pobliżu automatów telefonicznych i szybko ruszył przez ciżbę. Oparł teczkę i magazyn o ścianę i przytulił żonę. Cztery dni w Waszyngtonie wydawały się całym miesiącem. Całowali się i cicho szeptali.

— Jak tam nasza randka? — zapytał.

— Obiad czeka na stole, a wino chłodzi się w lodówce — odrzekła Abby. Szli przez halę przylotów w kierunku punktu odbioru bagażu, trzymając się za ręce, popychani przez tłum.

— Musimy porozmawiać — szepnął. — Nie możemy zrobić tego w domu.

Ścisnęła mocniej jego dłoń.

— Tak?

— Tak. Szczerze mówiąc, czeka nas dłuższa pogawędka.

— Co się stało?

— Będę potrzebował trochę czasu, żeby ci to wyjaśnić.

— Dlaczego nagle się zdenerwowałam?

— Zachowaj spokój. Uśmiechaj się. Obserwują nas.

Abby uśmiechnęła się i spojrzała w prawo.

— Kto?



— Za chwilę ci to wytłumaczę.

Nagle pociągnął ją w lewo. Przedarli się przez tłum podróżnych i wbiegli do ciemnego zatłoczonego baru pełnego biznesmenów sączących drinki i oglądających telewizję w oczekiwaniu na lot. Właśnie zwolnił się mały okrągły stolik pełen pustych szklanek po piwie. Usiedli plecami do ściany tak, by widzieć bar i halę. Blisko siebie, w odległości metra od sąsiedniego stolika. Mitch obserwował drzwi i analizował każdą nową twarz.

— Jak długo tu będziemy? — spytała Abby.

— Dlaczego pytasz?

Zdjęła kurtkę z lisów i położyła na krześle z drugiej strony stołu.

— Na co patrzysz?

— Uśmiechaj się przez chwilę. Udawaj, że naprawdę tęskniłaś. Pocałuj mnie. — Cmoknął ją w usta. Spojrzeli sobie w oczy z uśmiechem. Pocałował ją w policzek i spojrzał na drzwi. Kelner podszedł do stolika i sprzątnął naczynia. Zamówili wino.

Abby uśmiechnęła się do niego.

— Jak tam seminarium? — spytała.

— Nudne. Osiem godzin zajęć przez cztery dni. Drugiego dnia prawie nie wychodziłem z hotelu. W ciągu trzydziestu dwóch godzin omówili zmiany przepisów podatkowych z sześciu ostatnich miesięcy.

— Zwiedziłaś miasto?

Mitch uśmiechnął się i spojrzał na nią rozmarzony.

— Tęskniłem za tobą, Abby. Za nikim tak nie tęskniłem. Kocham cię. Jesteś cudowna, absolutnie olśniewająca. Nie lubię podróżować sam i budzić się bez ciebie w obcym hotelu. Na dodatek mam ci do powiedzenia coś strasznego.

Przestała się uśmiechać. Mitch rozejrzał się po sali. Goście przy barze zachowywali się, jakby byli po trzech głębszych, z wrzaskiem dopingując

Knicksów i Lakersów. Nagle zrobiło się głośniejsze.

— Powiem ci — wyszeptał — choć istnieje duże prawdopodobieństwo, że ktoś w barze nas obserwuje. Nie mogą nas usłyszeć, ale mogą patrzeć. Uśmiechaj się od czasu do czasu, choć wiem, że będzie to trudne.

Podano wino i Mitch zaczął swoją opowieść. Nie pominął niczego. Abby odezwała się tylko raz. Opowiedział jej o Anthonym Bendinim i starym Morolto, i Nathanie Locke'u dorastającym na ulicach Chicago. O Oliverze Lambercie i chłopakach z piątego piętra.

Abby nerwowo popijała wino, bez powodzenia udając normalną kochającą żonę, która stęskniła się za mężem, a teraz z zapartym tchem słucha jego opowieści o seminarium podatkowym. Obserwowała ludzi przy barze, upijała łyk wina i słuchała, jak Mitch opowiada jej o praniu brudnych pieniędzy i zabijaniu prawników. Drżała, jej oddech stał się płytki i nieregularny. Mimo to słuchała i udawała.

Kelner przyniósł drugą kolejkę wina, a tłum gości się przerzedził. Godzinę później Mitch zakończył cichym szeptem:

— Voyles powiedział, że Tarrance skontaktuje się ze mną za kilka dni, żeby zapytać, czy zgodzę się współpracować. Pożegnał się i odszedł.

— To było we wtorek? — spytała Abby.

— Tak, pierwszego dnia.

— Co robiłeś przez resztę tygodnia?

— Trochę spałem, trochę jadłem i łąziłem z tępych bólem głowy.

— Myślę, że za chwilę i mnie rozboli głowa.

— Przepraszam, Abby. Chciałem natychmiast wrócić do domu, żeby ci powiedzieć. Przez trzy dni byłem w szoku.

— Też jestem w szoku. Nie mogę uwierzyć własnym uszom, Mitch. Czuję się, jakbym śniła zły sen, choć rzeczywistość jest o wiele gorsza.

— To dopiero początek. FBI nie żartuje. Dlaczego miałby się ze mną

spotykać sam dyrektor? Z pozbawionym znaczenia młodym prawnikiem z Memphis. Dlaczego miałyby ze mną rozmawiać na betonowej ławce przy dziesięciu stopniach poniżej zera? Powiedział, że przydzielił do tej roboty pięciu agentów w Memphis i trzech w Waszyngtonie. Zrobią wszystko, żeby dobrać im się do skóry. Jeśli będę milczał, udawał, że ich nie dostrzegam, i robił swoje jako dobry i lojalny pracownik kancelarii Bendini, Lambert i Locke, zjawią się pewnego dnia i wyprowadzą wszystkich w kajdankach. Jeśli pójdę na współpracę, któregoś dnia opuścimy Memphis w środku nocy, kiedy podam ich federalnym na tacy. Wyjedziemy i zamieszkamy w Boise, w Idaho, jako pan i pani Gates. Będziemy mieli dużo pieniędzy, ale będziemy musieli pracować, żeby uniknąć podejrzeń. Po operacji plastycznej zatrudnię się w magazynie jako operator wózka widłowego, a ty, na pół etatu, w ośrodku opieki społecznej. Będziemy mieli dwójkę, może trójkę dzieci i modlili się co noc, żeby jacyś nieznajomi ludzie trzymali usta na kłódkę i o nas zapomnieli. Codziennie, godzina za godziną, będziemy żyli w paraliżującym strachu, że zostaniemy zdemaskowani.

— To cudowne, Mitch. Po prostu cudowne — jęknęła Abby, z trudem powstrzymując łzy.

Uśmiechnął się i rozejrzył po sali.

— Jest też trzecie wyjście. Możemy wyjść tymi drzwiami, kupić dwa bilety do San Diego, przekraść się przez granicę i do końca życia zajadać tortille.

— Zróbmy to.

— Sęk w tym, że będą nas szukali. Przy moim szczęściu Oliver Lambert będzie na nas czekał w Tijuanie z całą bandą zbirów. To się nie uda. Sama pomyśl.

— Co Lamarem?

— Nie wiem. Pracuje w firmie sześć albo siedem lat, więc pewnie wie.

Avery jest współnikiem, zatem przypuszczalnie należy do spisku.

— A Kay?

— Kto wie? Uważam za bardzo prawdopodobne, że żadna z żon nie wie. Myślałem o tym przez cztery dni, Abby. To doskonała przykrywka. Firma wygląda dokładnie tak, jak powinna. Oszukaliby każdego. W jaki sposób ja albo ty, albo inny kandydat mógłby się tego domyślić? Jedyne minus polega na tym, że federalni się dowiedzieli.

— A teraz oczekują, że wykonasz za nich brudną robotę. Dlaczego wybrali akurat ciebie, Mitch? W firmie pracuje czterdziestu prawników.

— Bo o niczym nie wiem. Jestem łatwym celem. FBI nie jest pewne, kiedy wspólnicy przekazują współpracownikom tę zaskakującą wiadomość, więc nie chcieli ryzykować z nikim innym. Jestem nowy, więc zastawili pułapkę, kiedy tylko zdałem egzamin.

Abby zagryzła wargi i powstrzymała łzy. Spojrzała obojętnie na drzwi przez mroczną salę.

— Wszystko podsłuchują? — spytała.

— Nie. Tylko telefony i rozmowy prowadzone w domu i samochodach. Możemy swobodnie rozmawiać tutaj i w większości restauracji. Zawsze pozostaje patio, choć sugerowałbym, żebyśmy odsunęli się dalej od drzwi. Żeby bezpiecznie rozmawiać, musimy się prześlizgnąć za szopę i mówić szeptem.

— Starasz się być zabawny? Mam nadzieję, że nie. Nie pora na żarty. Jestem przerażona i wściekła, zagubiona i oszalała jak cholera. Nie wiem, dokąd mam się zwrócić. Boję się rozmawiać we własnym domu. Pilnuję każdego wypowiedzianego słowa, nawet jeśli to pomyłka. Za każdym razem, gdy dzwoni telefon, skaczę ze strachu i patrzę na telefon. A teraz to!

— Przyda ci się kolejna lampka wina — uznał Mitch.

— Chyba dziesięć!

Mitch chwycił ją za nadgarstek i mocno uścisnął.

— Zaczekaj chwilę. Widzę znajomą twarz. Nie oglądaj się.

Abby wstrzymała oddech.

— Gdzie?

— Po drugiej stronie baru. Uśmiechnij się i spójrz na mnie.

Na barowym stołku siedział opalony blondyn w krzykliwym błękitnoniebieskim swetrze, z zapartym tchem oglądając telewizję. Jakby przyjechał prosto z gór. Tylko że Mitch widział gdzieś w Waszyngtonie tę opaleniznę oraz grzywkę i blond wąsy. Mitch przyglądał mu się uważnie. Twarz tamtego oświetlała niebieskawa poświata telewizora, a Mitch siedział ukryty w ciemności. Facet podniósł butelkę z piwem, zawahał się i nagle bum! — spojrzał w kąt, gdzie tulili się McDeere'owie.

— Jesteś pewny? — spytała Abby przez zaciśnięte zęby.

— Tak, facet był w Waszyngtonie, ale nie potrafię powiedzieć gdzie.

Właściwie widziałem go dwa razy.

— Jest jednym z nich?

— Skąd mam wiedzieć?

— Chodźmy stąd.

Mitch położył na stole dwudziestkę i opuścili lotnisko.

• • •

Mitch usiadł za kierownicą peugeota i z piskiem opon przejechał przez parking krótkoterminowy, zapłacił strażnikowi i ruszył w stronę centrum. Po pięciu minutach milczenia Abby pochyliła się ku niemu i szepnęła do ucha:

— Możemy rozmawiać?

Pokręcił głową.

— Jaką mieliście pogodę, gdy wyjechałem?

Abby przewróciła oczami i spojrzała przez boczną szybę.

— Było chłodno — odpowiedziała. — Dziś w nocy może spaść śnieg.

— W Waszyngtonie cały czas były ujemne temperatury.

Abby zrobiła osłupiałą minę na taką rewelację.

— A śnieg? — zapytała, unosząc brwi i robiąc wielkie oczy, jakby była oczarowana rozmową.

— Nie było śniegu, tylko przejmujący chłód.

— Cóż za zbieg okoliczności! Tutaj też nic tylko chłód i chłód.

Mitch się uśmiechnął. Jechali w milczeniu do następnego skrzyżowania dróg międzystanowych.

— Kto wygra Superpuchar? — zagaił.

— Nafciarze.

— Tak sądzisz? Ja dopinguję Redskinsom. W Waszyngtonie rozmawiają tylko o tym.

— Naprawdę? To musi być bardzo zabawne miasto.

Znów zamilkli. Abby zasłoniła ręką usta i obserwowała światła samochodów jadących przed nimi. Czowała się zagubiona, gotowa poszukać szczęścia w Tijuanie. Jej mąż, trzeci na roku (na Harvardzie!), jeden z tych, przed którym firmy z Wall Street rozwijają czerwony dywan, który mógł wyjechać wszędzie, dostać angaż w każdej firmie, zaczął pracować dla... mafii! Mają na koncie pięciu zabitych prawników, więc nie zawahają się przy szóstym. Jej mężu! W głowie Abby rozbrzmiewały fragmenty rozmów z Kay Quin. Firma zachęca pracowników do posiadania dzieci. Firma pozwala, aby żony pracowały, lecz nie naciska. Firma nie zatrudnia nikogo, kto odziedziczył rodzinny majątek. Firma żąda lojalności. Firma ma najniższą rotację pracowników w kraju. Istny cud.

Mitch przyglądał się uważnie żonie. Dwadzieścia minut po wyjeździe z lotniska peugeot stanął pod wiatą obok bmw. Wzięli się za ręce i ruszyli do końca podjazdu.

— To jakiś koszmar, Mitch — jęknęła Abby.

— Masz rację, ale ten koszmar nie minie.

— Co zrobimy?

— Nie wiem, kochana, ale musimy szybko się zdecydować i nie popełnić błędu.

— Boję się. — Ja też mam stracha.

• • •

Tarrance nie czekał długo. Tydzień po tym, jak pomachał Mitchowi na pożegnanie przy ścianie poległych, zauważył go idącego energicznym krokiem w kierunku sądu przy North Main, osiem przecznic od Domu Bendiniego. Szedł za nim dwie przecznice, a następnie wślizgnął się do małej kawiarenki z rzędem okien wychodzących na ulicę albo pasaż handlowy, jak ją nazywano. Samochody miały zakaz wjazdu na Main Street. Kiedy bulwar przestał pełnić funkcję ulicy, asfalt pokryto płytkami, zamieniając go w Mid-America Mall. Co kilkadziesiąt metrów spomiędzy płytek sterczały bezużyteczne obumarłe drzewa, wyciągając uschłe konary w stronę budynków. Pijacy i miejscy nomadzi włóczyli się bez celu z jednego końca pasażu na drugi, zebrząc o pieniądze i jedzenie.

Tarrance usiadł przy frontowym oknie, obserwując z oddali, jak Mitch zniknął w budynku sądu. Zamówił kawę i paczka z czekoladą. Rzucił okiem na zegarek. Była dziesiąta rano. Zgodnie z protokołem McDeere miał krótkie przesłuchanie przed sądem gospodarczym w sprawie podatkowej. Powinno być bardzo krótkie, poinformował Tarrance'a urzędnik sądowy. Czekał.

Oczywiście w sądzie nic nie trwa krótko. Godzinę później Tarrance przysunął twarz do okna, obserwując małą gromadkę ludzi rozpierzchających się na wszystkie strony. Dopił trzeci kubek kawy, położył dwa dolary na stoliku i stanął ukryty w drzwiach. Kiedy Mitch pojawił się na drugim końcu

pasażu, Tarrance ruszył szybko w jego stronę.

Mitch go dostrzegł i zwolnił na sekundę.

— Cześć, Mitch. Moglibyśmy zamienić słówko?

— Nie, Tarrance. To niebezpieczne, zapomniałeś?

Przyspieszyli kroku, nie patrząc na siebie.

— Widzisz tamten sklep? — Tarrance wskazał głową na prawo. — Potrzebuję butów. — Weszli do salonu obuwniczego Don Panga. Tarrance ruszył w kierunku zaplecza wąskiego sklepu i stanął między dwoma rzędami podrobionych reeboków po cztery dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów za parę. Mitch udał się za nim i wybrał buty w rozmiarze dziesiątym. Don Pang albo inny Koreańczyk spojrział na niego podejrzliwie, ale nie powiedział ani słowa. Obserwowali frontowe drzwi przez sklepowe półki.

— Wczoraj zadzwonił dyrektor — powiedział Tarrance, prawie nie poruszając ustami. — Pytał o ciebie. Powiedział, że czas, abyś podjął decyzję.

— Powiedz mu, że jeszcze nie podjąłem.

— Powiedziałaś chłopakom z firmy?

— Nie, wciąż się zastanawiam.

— To dobrze. Uważam, że nie powinieneś im mówić. — Podał Mitchowi wizytówkę. — Zatrzymaj ją. Z tyłu są dwa numery. Zadzwoń na dowolny z budki. Odezwie się automatyczna sekretarka, więc po prostu zostaw wiadomość. Powiedz dokładnie, kiedy i gdzie mamy się spotkać.

Mitch wsunął wizytówkę do kieszeni.

Nagle Tarrance pochylił się niżej.

— Co jest? — syknął Mitch.

— Chyba nas namierzyli. Przed chwilą jakiś zbir przeszedł obok sklepu, zaglądając do środka. Posłuchaj uważnie, Mitch. Wyjdź za mną natychmiast. Kiedy znajdziemy się na ulicy, krzyknij, żebym się odczepił i mnie



odepchnij. Gdy zacznę udawać, że chcę się bić, pobiegnij w kierunku kancelarii.

— Przez ciebie mnie zabijają, Tarrance.

— Rób, co mówię. Kiedy dotrzesz do kancelarii, opowiedz współnikom o tym incydencie. Powiedz, że próbowałem przyprzeć cię do muru i musiałeś uciekać.

Gdy znaleźli się na ulicy, Mitch pchnął Tarrance'a mocniej, niż było trzeba, i krzyknął:

— Idź do diabła! Zostaw mnie w spokoju!

Przebiegł dwie przecznice Union Avenue i wpadł do Domu

Bendiniego. Zatrzymał się w męskiej toalecie, żeby złapać oddech. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i odetchnął głęboko dziesięć razy.

Avery stał przy telefonie, na którym migwały dwa światełka sygnalizujące oczekujące rozmowy. Sekretarka siedziała na kanapie z notatnikiem do stenografowania, gotowa na każde skinienie. Mitch spojrzał na nią i wykrztusił:

— Możesz na chwilę wyjść? Muszę pomówić z Averym na osobności. — Wstała, a Mitch odprowadził ją do drzwi.

Avery odłożył słuchawkę, obserwując go uważnie.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Kiedy wracałem z sądu, przyczepiło się do mnie FBI.

— Do diabła! Kto to był?

— Ten sam agent.

Avery podniósł słuchawkę i zaczął mówić.

— Gdzie to się stało? — rzucił do Mitcha.

— W pasażu. Na północ od Union. Szedłem sam, byłem zamyślony.

— To pierwsza próba nawiązania kontaktu od tamtego razu?

— Tak. Początkowo nie rozpoznałem gościa.

Avery rzucił do mikrofonu:

— Tu Avery Tolleson. Muszę niezwłocznie mówić z Oliverem Lambertem... mam gdzieś, że rozmawia przez telefon!

— O co chodzi, Avery? — spytał Lambert.

— Cześć, Oliverze. Mówi Avery. Przepraszam, że przeszkadzam. Mam tu Mitcha McDeere'a. Kiedy wracał z sądu, w pasażu podszedł do niego agent FBI... Co? Tak, przed chwilą wszedł do mojego gabinetu i o tym opowiedział... W porządku, będziemy za pięć minut. — Odłożył słuchawkę. — Rozluźnij się, Mitch. Mieliśmy już podobne przypadki.

— Wiem, Avery, ale to wszystko nie ma najmniejszego sensu. Dlaczego zwracają sobie mną głowę? Jestem najbardziej zielony w firmie.

— To nękanie, Mitch. W najczystszej postaci. Nic innego jak nękanie. Usiądź.

Mitch podszedł do okna i spojrzał na płynącą w oddali rzekę. Avery był znakomitym kłamcą. Sięgnął po rutynową zagrywkę „uczepili się nas”. Rozluźnij się, Mitch. Ma się rozluźnić? Kiedy firmę rozpracowuje ośmiu agentów FBI, a dyrektor, pan Denton Voyles, osobiście nadzoruje sprawę dzień po dniu? Rozluźnić się? Przed chwilą przyłapano go na szeptaniu z agentem FBI w sklepie z tanimi butami, a teraz jest zmuszony udawać nieświadomego pionka nękanego przez mroczne siły rządowe. Nękanie? Dlaczego jakiś zbir śledził go w drodze do sądu? Możesz to wytłumaczyć, Avery?

— Jesteś przestraszony, prawda? — spytał Avery, obejmując go ramieniem i wyglądając przez okno.

— Niezupełnie. Locke wszystko mi wyjaśnił. Po prostu chcę, żeby dali mi spokój.

— To poważna sprawa, Mitch. Nie lekceważ jej. Chodźmy do Lamberta.

Mitch i Avery skręcili za róg i przeszli korytarzem. Jakiś nieznajomy

w czarnym garniturze otworzył im drzwi, a następnie zamknął. Lambert, Nathan Locke i Royce McKnight stali przy małym stole konferencyjnym, na którym znów pojawił się magnetofon. Mitch usiadł naprzeciwko niego. Czarnooki rozparł się u szczytu stołu i spojrzał poważnie na Mitcha.

Ściągnął groźnie brwi i przemówił. Nikt z obecnych w pokoju się nie uśmiechnął.

— Czy Tarrance albo ktoś inny z FBI skontaktował się z tobą od sierpnia, Mitch?

— Nie.

— Jesteś pewny?

Mitch grzmotnął w stół.

— Do licha! Przecież powiedziałem! Nie! Mam to zeznać pod przysięgą? Locke był zdumiony. Wszyscy byli. Gęste, pełne napięcia milczenie trwało pół minuty. Mitch spojrzał gniewnie na Czarnookiego, który odwrócił wzrok.

Lambert, jak zawsze dyplomata i mediator, podjął się interwencji:

— Posłuchaj, Mitch, wiemy, że to przerażające.

— To prawda, do licha! Mam tego dość! Pilnuję swojego nosa, haruję po dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo, staram się być dobrym pracownikiem, a FBI nie przestaje mnie nękać z jakiegoś nieznanego powodu. Chciałbym usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań.

Locke wcisnął czerwony guzik magnetofonu.

— Pomówimy o tym za minutę. Najpierw opowiedz nam o wszystkim od początku.

— To prosta sprawa, panie Locke. Poszedłem do sądu, bo o dziesiątej miałem przesłuchanie przed sędzią Koferem w sprawie Malcolma Delaneya. Byłem tam około godziny. Kiedy wszystko załatwiłem i opuściłem budynek sądu, ruszyłem w kierunku naszego biura. Mógłbym dodać, że robiłem to

w pośpiechu. Był mróz. Przeszedłem Union przecznicę lub dwie, kiedy nagle ten facet, Tarrance, wyrósł jak spod ziemi. Złapał mnie za ramię i wepchnął do małego sklepu. Myślałem, żeby zacząć się szamotać, ale w końcu gość jest agentem FBI. W dodatku nie chciałem robić scen. Kiedy znaleźliśmy się w środku, powiedział, że chce chwilę pogadać. Wyrwałem się i podbiegłem do drzwi. Ruszył za mną i próbował złapać, więc go odepchnąłem. Pobiegnę do biura i udałem się prosto do gabinetu Avery'ego. Później przyszliśmy tutaj. Nie mam nic więcej do dodania. Opowiedziałem wszystko, ze szczegółami.

— O czym chciał porozmawiać?

— Nie dałem mu okazji do rozmowy, panie Locke. Nie mam zamiaru gadać z agentem FBI, jeśli nie przedstawi nakazu.

— Jesteś pewny, że to ten sam agent?

— Tak sądzę. W pierwszej chwili go nie rozpoznałem. Nie widziałem gościa od sierpnia. Kiedy znaleźliśmy się w sklepie, wyciągnął legitymację i jeszcze raz się przedstawił. Wtedy rzuciłem się do ucieczki.

Locke nacisnął czerwony guzik i rozparł się w fotelu. Lambert usiadł za nim i uśmiechnął się serdecznie.

— Posłuchaj, Mitch, jak powiedziałem ostatnim razem, ci faceci robią się coraz bardziej zuchwali. Miesiąc temu zagadnęli Jacka Aldricha, kiedy jadł lunch w małym barze z grillem przy Drugiej Ulicy. Nie jesteśmy pewni, o co im chodzi, najwyraźniej Tarrance'owi odbiło. To nic innego jak nękanie.

Mitch obserwował jego wargi, ale niewiele słyszał. Lambert mówił, a on myślał o Kozinskim i Hodge'u oraz pięknych wdowach i dzieciach na pogrzebie.

Czarnooki odchrząknął.

— To poważna sprawa, ale nie mamy nic do ukrycia. Zrobiliby lepiej, śledząc naszych klientów, jeśli zarzucają im jakieś nadużycia. Jesteśmy

prawnikami. Możemy reprezentować ludzi, którzy są na bakier z prawem, ale nie zrobiliśmy nic złego. To wszystko wprawia nas w wielkie zakłopotanie.

Mitch uśmiechnął się i rozłożył ręce.

— Czego ode mnie chcecie? — spytał otwarcie.

— Nie możesz nic na to poradzić, Mitch — odrzekł Lambert. — Po prostu trzymaj się od nich z daleka i uciekaj, kiedy się pojawią. Jeśli znów zobaczysz tego Tarrance'a, niezwłocznie mnie powiadom.

— Przecież to zrobił — wtrącił defensywnie Avery.

Mitch zrobił najbardziej żalostną minę, jaką potrafił.

— Możesz odejść, Mitch — powiedział Lambert. — Informuj nas o wszystkim.

I wyszedł.

• • •

DeVasher krążył po pokoju, nie zwracając uwagi na współników.

— Kłamie! Mówię wam, że kłamie! Łże sukinsyn! Wiem, że kłamie!

— Co widział twój człowiek? — zapytał Locke.

— Co innego. Nieznaczenie, a jednocześnie bardzo innego. Widział, jak McDeere i Tarrance wchodzi jak gdyby nigdy nic do sklepu z butami. Zero fizycznej presji ze strony Tarrance'a. Nic takiego. Tarrance podchodzi do faceta, gadają i po chwili obaj dają nura do sklepu. Mój człowiek powiedział, że zniknęli na tyłach i byli tam trzy może cztery minuty. Później inny z naszych przeszedł obok sklepu, ale niczego nie zauważył. Najwyraźniej go zobaczyli, bo kilka sekund później wypadli na ulicę. McDeere szamotał się i krzyczał. Mówię wam, coś tu nie gra.

— Czy Tarrance złapał go za ramię i wciągnął do sklepu? — spytał wolno Nathan Locke.

— Do licha, nie! W tym problem! McDeere wszedł dobrowolnie.

Skłamał, mówiąc, że tamten chwycił go za ramię. Mój człowiek uważa, że zostaliby tam dłużej, gdyby ich nie dostrzegli.

— Ale nie jesteś tego pewny? — drążył Nathan Locke.

— Nie jestem, do licha! Nie zaprosili mnie do środka!

DeVasher nadal chodził po pokoju, a prawnicy siedzieli ze wzrokiem wbitym w podłogę. DeVasher wyciągnął z paczki papierosa Roi-tan i włożył go do ust.

Wreszcie odezwał się Oliver Lambert:

— Posłuchaj, DeVasher, bardzo możliwe, że McDeere mówi prawdę, a twój człowiek źle odczytał sytuację. To bardzo prawdopodobne. Myślę, że McDeere zasługuje na przywilej wątpliwości.

DeVasher burknął coś pod nosem i zignorował jego słowa.

— Czy wiesz o innych spotkaniach od sierpnia? — zapytał Royce McKnight.

— Nie, co nie znaczy, że nie rozmawiali, prawda? O dwóch ostatnich dowiedziałem się, gdy było już prawie za późno. Nie można obserwować każdego ich ruchu. To niewykonalne.

Zaczął chodzić tam i z powrotem obok szafki na dokumenty, zatopiony w myślach.

— Muszę z nim pogadać — oznajmił w końcu.

— Z kim?

— Z McDeere'em. Pora, żebyśmy odbyli małą pogawędkę.

— O czym? — spytał nerwowo Lambert.

— Zostaw to mnie, dobrze? Po prostu się nie wtrącaj!

— Myślę, że to trochę przedwcześnie — odrzekł Locke.

— Mam gdzieś, co myślisz. Gdybyście to wy odpowiadali za bezpieczeństwo, pacany, wszyscy siedzielibyśmy w pudle.

• • •

Mitch zamknął drzwi i siedział w swoim gabinecie, utkwivszy wzrok w ścianie. U podstawy czaszki zaczęła narastać migrena. Czuł mdłości. Ktoś zapukał do drzwi.

— Wejść — powiedział cicho.

Wszedł Avery.

— Idziesz na lunch? — spytał.

— Nie, dzięki. Nie jestem głodny.

Wspólnik włożył ręce do kieszeni spodni i uśmiechnął się serdecznie.

— Posłuchaj, Mitch, wiemy, że się martwisz. Zróbmy sobie przerwę. Mam umówione spotkanie w centrum. Może moglibyśmy się spotkać w klubie Manhattan o trzynastej? Zarezerwuję ci limuzynę. Będzie czekała kwadrans przed trzynastą.

Mitch zdołał wykrzywić twarz w bladym uśmiechu, jakby ta propozycja go ujęła.

— Jasne, Avery. Dlaczego nie?

— Doskonale, w takim razie do zobaczenia o trzynastej.

Za kwadrans pierwsza Mitch wyszedł na ulicę i podszedł do samochodu. Szofer otworzył drzwi, a Mitch wsiadł. Okazało się, że będzie miał towarzystwo.

Z tyłu w rogu siedział niski, otyły, łysy facet z ogromnym, potężnie umięśnionym karkiem. Wyciągnął łapsko w jego stronę.

— Jestem DeVasher, Mitch. Miło cię poznać.

— Wsiadłem do niewłaściwej limuzyny? — spytał Mitch.

— Nie, skądże. Wyluzuj się. — Szofer ruszył.

— Czym mogę panu służyć?

— Możesz mnie chwilę posłuchać. Musimy odbyć małą pogawędkę. — Szofer skręcił w Riverside Drive, w kierunku mostu Hernanda de Soto.

— Dokąd jedziemy? — chciał wiedzieć Mitch.

— Na małą przejażdżkę. Rozluźnij się, synu.

Będę szósty, pomyślał Mitch. Jak nic. Nie, zaczekaj chwilę, oni mordują w nieco bardziej pomysłowy sposób.

— Mitch... Mogę tak do ciebie mówić?

— Jasne.

— Świetnie. Posłuchaj, Mitch, odpowiadam w firmie za ochronę...

— Na co firmie ochrona?

— Daj mi powiedzieć, synu. Wszystko ci wyjaśnię. Firma ma bardzo rozbudowany system bezpieczeństwa stworzony przez starego Bendiniego. Facet miał bzika na punkcie tajemnicy i bezpieczeństwa. Moim zadaniem jest chronienie firmy. Mówiąc otwarcie, jesteśmy bardzo zaniepokojeni tą sprawą z FBI.

— Ja również.

— Sądzimy, że FBI chce przeniknąć do naszej firmy, żeby zdobyć informacje na temat pewnych klientów.

— Których?

— Podejrzanie bogatych facetów lokujących forszę w rajach podatkowych.

Mitch skinął głową i spojrzał na płynącą w dole rzekę. Byli w Arkansas, a rysujące się w oddali Memphis malało na horyzoncie. DeVasher siedział jak ropucha, z rękami splecionymi na brzuchu. Mitch czekał, aż stało się jasne, że przerwy w rozmowie i niezręczne milczenie nie przeszkadzają DeVasherowi. Kilka kilometrów za rzeką kierowca skręcił z autostrady międzystanowej na wyboistą wiejską odnogę, która zataczała krąg, powracając na wschód. Jechali żwirową drogą przez pola fasoli nad rzeką. Nagle Memphis ukazało się po drugiej stronie rzeki.

— Dokąd jedziemy? — zaniepokoił się Mitch.

— Wyluzuj się. Chcę ci coś pokazać. — Limuzyna zatrzymała się nad



urwiskiem opadającym w stronę piaszczystej łąchy nad brzegiem. Po drugiej stronie rysowała się imponująca linia horyzontu. Mitch dostrzegł wierzchołek Domu Bendiniego.

— Chodźmy się przejść — powiedział DeVasher.

— Dokąd?

— Chodź. Spodoba ci się. — DeVasher otworzył drzwi i podszedł do tylnego zderzaka. Mitch ruszył za nim.

— Jak powiedziałem, Mitch, martwią nas twoje spotkania z FBI. Jeśli zaczniesz z nimi gadać, jeszcze bardziej się ośmielą, a później, kto wie, czego ci durnie spróbują. Nie możesz z nimi rozmawiać. Nigdy więcej. Zrozumiałeś?

— Tak. Zrozumiałem to już w sierpniu.

Nagle DeVasher stanął naprzeciwko niego. Twarzą w twarz. Nosem w nos. Stanął i uśmiechnął się szyderczo.

— Mam tu coś, co pomoże ci być uczciwym. — Sięgnął za pazuchę sportowej kurtki i wyciągnął szarą kopertę.

— Obejrzyj — powiedział, a szyderczy uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Mitch oparł się o limuzynę i nerwowo otworzył kopertę. W środku były cztery czarno-białe zdjęcia formatu osiem na dziesięć. Bardzo wyraźne. Z plażą. Plażą i dziewczyną.

— Boże! Kto je zrobił?! — krzyknął.

— Co za różnica. To ty, nie?

Nie miał najmniejszych wątpliwości, kto jest na zdjęciach. Podarł fotografię na drobne kawałeczki i cisnął DeVasherowi w twarz.

— Nic nie szkodzi. Mamy w biurze sporo odbitek — odparł spokojnie DeVasher. — Całkiem sporo. Nie mam zamiaru robić z nich użytku, ale jeśli jeszcze raz odbędziesz małą pogawędkę z panem Tarrance'em albo innym

federalnym, prześlemy je twojej żonie. Co ty na to, Mitch? Wyobraź sobie, że twoja mała śliczniutka żoneczka idzie do skrzynki pocztowej po swojego „Redbooka” i katalogi, a tu widzi dziwną kopertę ze swoim nazwiskiem. Spróbuj to sobie wyobrazić, Mitch. Następnym razem, gdy postanowicie z Tarrance'em zajrzeć do sklepu z plastikowym obuwiem, pomyśl o nas, Mitch. Będziemy cię obserwowali.

— Kto wie o zdjęciach? — spytał Mitch.

— Ja, mój fotograf, a teraz także ty. Nikt w firmie nie wie, nie zamierzam im mówić. Jeśli jednak znów schrzaniś sprawę, podejrzewam, że będą je sobie podawali z rąk do rąk podczas lunchu. Nie będę się z tobą cackał, Mitch.

Mitch przysiadł na bagażniku i potarł skronie, a DeVasher stanął obok niego.

— Posłuchaj, synu. Jesteś bardzo inteligentnym młodym człowiekiem, który jest na najlepszej drodze do dużej forsy. Nie schrzaj tego. Ciężko pracuj, graj zgodnie z zasadami, kupuj nowe samochody, większe domy z modnymi gadżetami. Tak jak inni koledzy. Nie próbuj zostać bohaterem. Nie chciałbym wykorzystać tych zdjęć.

— Dobrze, w porządku.

# Rozdział 21

Przez siedemnaście dni i siedemnaście nocy życie udręczonych Mitcha i Abby McDeere'ów płynęło spokojnie, nie zakłócili go Wayne Tarrance i jego kumple. Wrócili do dawnej rutyny. Mitch pracował osiemnaście godzin dziennie, siedem dni w tygodniu. Z biura wychodził chyba tylko po to, żeby pojechać do domu. Nawet lunch jadał przy biurku. Avery wysyłał innych chłopaków, żeby załatwiali sprawy na mieście, przekazywali dokumenty i stawiali się w sądzie. Mitch rzadko opuszczał swój gabinet, sanktuarium o wymiarach cztery i pół na cztery i pół metra, pewny, że Tarrance go tam nie znajdzie. Jeśli było to możliwe, trzymał się z daleka od korytarzy, łazienek i świetlicy. Był pewny, że jest obserwowany, ale nie był pewny przez kogo. Nie miał jednak wątpliwości, że paru kolegów jest żywo zainteresowanych tym, co robi. Tak więc przesiadywał w gabinecie za zamkniętymi drzwiami, pracując jak szalony, nabijając godziny i próbując zapomnieć, że Dom Bendiniego ma piąte piętro, gdzie rezyduje niski, otyły i podły drań o nazwisku DeVasher, mający zdjęcia, które mogą go zniszczyć. Z każdym monotonnym dniem Mitch wycofywał się coraz bardziej do swojego azylu, mając nadzieję, że epizod w koreańskim sklepie z butami przeraził Tarrance'a i spowodował jego zwolnienie. Może Voyles odwołał operację i Mitch będzie mógł wieść szczęśliwy żywot, nieprzyzwoicie się bogacąc, awansując na wspólnika i kupując wszystko w zasięgu wzroku. Wiedział jednak, że oszukuje samego siebie.

Dla Abby ich dom stał się więzieniem, chociaż mogła wychodzić i wracać, kiedy chciała. Długo siedziała w szkole, spędzała dużo czasu

w pasażach handlowych i przynajmniej raz dziennie jeździła do sklepu spożywczego. Obserwowała wszystkich, szczególnie facetów w czarnych garniturach, którzy jej się przyglądali. Nosiła okulary przeciwsłoneczne, żeby nie mogli zobaczyć jej oczu. Zakładała je nawet, gdy padało. Późnym wieczorem przesiadywała samotnie po kolacji, czekając na męża i gapiąc się na ściany. Gapiąc się i walcząc z pokusą ich zbadania. Telefony można było sprawdzić przez szkło powiększające. Tłumaczyła sobie, że przewody i mikrofony nie mogą być niewidoczne. Raz lub dwa pomyślała o kupieniu książki na temat takich urządzeń, ale Mitch jej zabronił. Na pewno je zainstalowali, a każda próba ich znalezienia może się zakończyć katastrofą.

Krążyła w milczeniu po domu, czując się sponiewierana i wiedząc, że długo nie wytrzyma. Zdawali sobie sprawę, że powinni zachowywać się normalnie i prowadzić normalne rozmowy. Próbowali rozmawiać o minionym dniu, o pracy w kancelarii i szkole, o pogodzie, o tym i owym, ale ich pogawędki były nudne, pełne napięcia i wymuszone. Kiedy Mitch studiował prawo, kochali się często, dziko i namiętnie. Teraz nie robili tego prawie w ogóle. Ktoś ich słuchał.

Nabrali nawyku spacerowania po okolicy w środku nocy. Co wieczór, po pospiesznym zjedzeniu kanapki i odbębnieniu paru wyuczonych linijek o potrzebie regularnych ćwiczeń fizycznych, wychodzili na ulicę. Trzymali się za ręce i szli w zimnie, gadając o firmie, FBI i decyzji, którą musieli podjąć. Niezmiennie dochodzili do tego samego wniosku: z ich sytuacji nie ma wyjścia. Żadnego. W ten sposób minęło siedemnaście dni i siedemnaście nocy.

Osiemnastego dnia sytuacja się zmieniła. O dwudziestej pierwszej Mitch poczuł się zmęczony i postanowił wrócić do domu. Pracował bez przerwy przez piętnaście i pół godziny. Po dwie stowy za godzinę. Jak zwykle przeszedł korytarzem na drugim piętrze, a następnie wbiegł schodami na

trzecie. Od niechcienia zajrzał do gabinetów, żeby sprawdzić, kto pracuje. Na trzecim piętrze nie było nikogo. Wszedł na czwarte i przeszedł szerokim prostokątnym korytarzem, jakby czegoś szukał. Wszystkie światła były zgaszone oprócz jednego. Royce McKnight pracował do późna. Mitch przemknął bezszelestnie obok jego gabinetu. Drzwi pokoju Avery'ego były zamknięte. Nacisnął klamkę. Ani drgnęła. Poszedł do biblioteki w głębi korytarza, szukając książki, której nie potrzebował. Podczas przelotnych inspekcji dokonywanych późnym wieczorem ustalił, że w korytarzach i gabinetach prawników nie ma kamer. Uznał, że tamci poprzestają na podsłuchu. Nie widzą.

Pożegnał się z Dutchem Hendrixem przy drzwiach wejściowych i pojechał do domu. Abby nie oczekiwała go o tak wczesnej porze. Cicho otworzył drzwi od strony wiaty i wślizgnął się do kuchni. Zapalił światło. Była w sypialni. Między kuchnią i pokojem był mały hol z sekretarzykiem o żaluzjowym zamknięciu, na którym Abby zostawiała codzienną korespondencję. Położył cicho teczkę na biurku i wtedy ją zobaczył. Dużą brązową kopertę zaadresowaną czarnym markerem na nazwisko Abby McDeere. Nie podano adresu zwrotnego. Zamiast tego dużymi czarnymi literami napisano ZDJĘCIA — NIE ZGINAĆ. Najpierw zamarło mu serce, a po nim ustał oddech. Wziął kopertę. Była otwarta.

Poczuł na czole ciężkie krople potu. W ustach mu zaschło tak, że nie mógł przełknąć śliny. Serce zaczęło walić jak wiertarka udarowa. Oddech stał się ciężki i bolesny. Poczł mdłości. Wolno cofnął się od biurka, trzymając kopertę. Abby jest w łóżku, pomyślał. Cierpiąca i chora, zdruzgotana i wściekła jak diabli. Otarł czoło, próbując wziąć się w garść. Zachowaj się jak mężczyzna.

Abby leżała w łóżku, czytając książkę. Telewizor był włączony, a pies buszował w ogrodzie. Kiedy Mitch otworzył drzwi sypialni, podskoczyła

z przerażenia. Niemal krzyknęła na widok intruza, rozpoznając go w ostatniej chwili.

— Przestraszyłeś mnie, Mitch.

W jej oczach błysnął strach, a później radość. Te oczy nie płakały. Spoglądały na niego jak zawsze. Bez bólu. Bez gniewu. Nie mógł wydobyć głosu.

— Dlaczego wróciłeś do domu? — spytała, siadając na łóżku i uśmiechając się do niego.

Uśmiechała się?

— Przecież tu mieszkam — wybąkał.

— Dlaczego wcześniej nie zadzwoniłeś?

— Czy muszę zadzwonić, żeby móc wrócić do domu? — Jego oddech niemal wrócił do normy. Z Abby wszystko w porządku!

— Byłoby miło. Chodź tu i mnie pocałuj.

Pochylił się nad łóżkiem i pocałował żonę w usta. Podał jej kopertę.

— Co to takiego? — spytał nonszalancko.

— Może ty mi powiesz. Ta koperta została wysłana na mój adres, ale w środku niczego nie było. Po prostu niczego. — Zamknęła książkę i położyła ją na nocnym stoliku.

Niczego! Uśmiechnął się i pocałował ją jeszcze raz.

— Spodziewałaś się jakichś zdjęć? — spytał, udając, że nic nie wie.

— Nie. To pewnie jakaś pomyłka.

Niemal usłyszał rechot DeVashera dolatujący z piątego piętra. Tłusty mały drań stoi gdzieś w mrocznym pokoju pełnym przewodów i urządzeń, ze słuchawkami na okrągłej łepetynie i rechocze bez opamiętania.

— Dziwna sprawa — mruknął Mitch. Abby włożyła dzinsy i wskazała tylne podwórko. Mitch skinął głową. Sygnał był prosty, szybki ruch głową lub skinienie w kierunku patia.

Położył kopertę na sekretarzyku i ukradkiem dotknął liter. Niemal usłyszał śmiech DeVashera; niemal widział nalaną twarz i nikczemny uśmieszek. Pewnie pokazał zdjęcia podczas lunchu w pokoju wspólników. Wyobraził sobie, jak Lambert i McKnight, a nawet Avery gapią się na niego z podziwem przy kawie i deserze.

Do cholery, niech się cieszą. Niech się radują przez kilka ostatnich miesięcy swojej świetlanej, szczęśliwej, prawniczej kariery.

Kiedy Abby podeszła, chwycił jej dłoń.

— Co mamy na obiad? — spytał dla tych, którzy słuchali.

— Może zjemy coś na mieście? Trzeba uczcić to, że wróciłeś do domu o przyzwoitej porze.

Przeszli przez pokój.

— Świetny pomysł — powiedział Mitch. Wyślizgnęli się tylnymi drzwiami, przeszli przez patio i zniknęli w ciemności.

— O co chodzi? — spytał Mitch.

— Dostałeś list od Doris. Napisała, że jest w Nashville, ale dwudziestego siódmego lutego wróci do Memphis. Chce się z tobą spotkać. To ważne. List był bardzo krótki.

— Dwudziestego siódmego? To było wczoraj!

— Wiem. Pewnie już jest w mieście. Zastanawiam się, czego chce.

— Taak. Czego chce i gdzie jest?

— Mówiła, że jej mąż ma robotę w mieście.

— Dobrze. Znajdzie nas — powiedział Mitch.

• • •

Nathan Locke zamknął drzwi i wskazał DeVasherowi mały konferencyjny stół stojący przy oknie. Darzyli się nieskrywaną nienawiścią, ale biznes to biznes, a obaj wykonywali polecenia tego samego człowieka.

— Lazarov chciał, żebym pomówił z tobą w cztery oczy — zaczął DeVasher. — Spędziliśmy z nim dwa dni w Vegas. Jest bardzo zaniepokojony. Wszyscy się niepokoją, Locke. On ci ufa, ufa bardziej niż komukolwiek w firmie. Ufa i lubi bardziej niż mnie.

— To zrozumiałe — odparł Locke bez uśmiechu. Ciemne zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się. Zmrużył oczy i spojrzał na DeVashera przenikliwym wzrokiem.

— Tak czy siak, chce, żebyśmy przedyskutowali kilka rzeczy.

— Słucham.

— McDeere kłamie. Nigdy mu nie wierzyliśmy i nadal nie wierzymy, przynajmniej w większości spraw. Jak wiesz, Lazarov zawsze się przechwalał, że ma wtyczkę w FBI. Teraz powiedział, że jego informator twierdzi, iż doszło do tajnego spotkania McDeere'a z jakąś szychą z FBI. W styczniu, kiedy wasz chłoptaş był w Waszyngtonie. Byliśmy tam i nasi ludzie niczego nie zauważyli, ale nie można obserwować gościa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę tak, żeby się nie połapał. Możliwe, że wymknął się na chwilę bez naszej wiedzy.

— Wierzysz w to?

— Moja wiara jest bez znaczenia. Lazarov wierzy i tylko to się liczy. W każdym razie kazał mi przygotować wstępny plan zlikwidowania McDeere'a.

— Do diabła, DeVasher! Nie możemy bez końca likwidować ludzi.

— To tylko wstępny plan, nic poważnego. Powiedziałem Lazarovowi, że za wcześnie na taką decyzję, że możemy popełnić błąd, ale oni są bardzo zaniepokojeni.

— Psiakrew, DeVasher! Nie można dłużej tego ciągnąć! Musimy dbać o reputację. Mamy wyższy wskaźnik umieralności niż platformy wiertnicze. Ludzie zaczną gadać. Dojdziemy do punktu, w którym żaden student prawa



przy zdrowych zmysłach nie zgodzi się dla nas pracować.

— Nie sądzę, żebyś musiał się o to martwić. Lazarov postanowił wstrzymać rekrutację. Poprosił, żebym ci o tym powiedział. Chce też wiedzieć, ilu współpracowników nie zostało wtajemniczonych.

— Pięciu, tak mi się wydaje. Policzymy: Lynch, Sorrell, Buntin, Myers i McDeere.

— Daruj sobie McDeere'a. Lazarov jest przekonany, że facet wie więcej, niż nam się wydaje. Jesteś pewny, że żaden z pozostałych niczego się nie domyśla?

Locke pomyślał chwilę i mruknął:

— Cóż, my im nie powiedzieliśmy. To wy patrzycie i słuchacie. Podśluchałeś coś?

— Nie, przynajmniej w przypadku tych czterech. Chyba nie wiedzą, a przynajmniej zachowują się tak, jakby niczego nie podejrzewali. Możesz ich zwolnić?

— Zwolnić?! Przecież to prawnicy, DeVasher! Prawników się nie zwalnia! To lojalni pracownicy naszej firmy!

— Nasza firma się zmienia, Locke. Lazarov chce zwolnić wszystkich, którzy nie wiedzą, i wstrzymać dalszą rekrutację. To oczywiste, że federalni zmienili strategię, więc pora, żebyśmy zmienili naszą. Lazarov chce ustawić wozy w kręgu i uszczelnić dziury, żeby nie było przecieków. Nie możemy czekać bezczynnie, aż zwerbują naszych chłopców.

— Zwolnić? — powtórzył z niedowierzaniem Locke. — Ta firma nigdy nie zwolniła prawnika.

— Wzruszający jesteś, Locke. Sprzątnęliśmy pięciu, ale nie zwolniliśmy ani jednego! A to dobre! Masz na to miesiąc, więc możesz zacząć szukać pretekstu. Sugeruję, żebyś zwolnił całą czwórkę jednocześnie. Powiedz im, że straciliście ważnego kontrahenta i jesteście zmuszeni do oszczędności.

— Mamy klientów, a nie kontrahentów!

— W porządku. Twój największy klient mówi, żeby zwolnić Lyncha, Sorrella, Buntina i Myersa. Zacznij to planować.

— Jak mamy zwolnić tych czterech, nie zwolniwszy McDeere'a?

— Wymyślisz coś, Nat. Masz miesiąc. Pozbądź się ich i nie przyjmuj nowych. Lazarov chce, żeby powstał mały zwarty zespół, w którym każdemu można ufać. Jest przerażony, Nat. Przerażony i wściekły. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, co się stanie, jeśli jeden z twoich chłoptasiów go wkurzy.

— Nie, nie musisz. Jakie ma plany wobec McDeere'a?

— Na razie wszystko ma zostać tak jak do tej pory. Podśluchujemy gościa na okrągło. Dzieciak nie pisnął słowa żonie ani komukolwiek innemu. Ani słowa! Dwa razy Tarrance przyparł go do muru i za każdym razem o tym powiedział. Nadal uważam, że drugie spotkanie było nieco podejrzanym, więc jesteśmy bardzo ostrożni. Z drugiej strony Lazarov jest pewny, że doszło do spotkania w Waszyngtonie. Stara się to potwierdzić. Powiedział, że jego informatorzy niewiele wiedzą, ale się rozglądają. Jeśli McDeere faktycznie spotkał się z federalnymi i nam o tym nie powiedział, jestem pewny, że Lazarov zażąda szybkiej reakcji. Właśnie dlatego chce, żeby przygotować wstępny plan sprzątnięcia faceta.

— Jak zamierzasz to zrobić?

— Za wcześnie na szczegóły. Mam dużo spraw do przemyślenia.

— Za dwa tygodnie McDeere jedzie z żoną na wakacje na Kajmany. Zamieszkają w jednym z naszych apartamentów, jak zwykle.

— Nie zrobimy tego na Kajmanach. To zbyt niebezpieczne. Lazarov chce, żeby zaszła w ciążę.

— Żona McDeere'a?

— Taak. Chce, żeby mieli dziecko. Moglibyśmy wywrzeć na nich nacisk. Bierze pigułki, więc musimy się włamać, znaleźć jej małe pudełeczko

i zastąpić pigułki placebo.

Wielkie czarne oczy Locke'a posmutniały. Spojrzał przez okno.

— DeVasher, co się tu, u licha, dzieje? — zapytał cicho.

— Firma musi się zmienić, Nat. Wygląda na to, że federalni są nami bardzo zainteresowani i nie przestają węszyć. Pewnego dnia jeden z twoich chłoptasiów może złapać przynętę i będziesz musiał wyjechać z miasta w środku nocy.

— Nie mogę w to uwierzyć, DeVasher. Prawnik nie da się ogłupić. Nie zaryzykuje życia swojego i rodziny dla kilku obietnic federalnych. Ci faceci są zbyt inteligentni i zarabiają za dużo forsy.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz.

## Rozdział 22

Administrator budynku stał oparty o ścianę windy, podziwiając od tyłu obcisłą skórzaną minispódniczkę. Powędrował wzorkiem niemal do kolan, gdzie zaczynały się szwy na czarnych jedwabnych pończochach zmierzające w dół do czarnych szpilek. Perwersyjnych szpilek z małymi czerwonymi paskami na palcach. Wolno przesunął wzrok w górę, wzdłuż linii szwów, by zatrzymać go na skórzanej spódniczce, podziwiając zgrabny tyłeczek i czerwony kaszmirowy sweterek, który niewiele odsłaniał, ale jego zawartość była imponująca, co zauważył w lobby. Włosy kończyły się lekko poniżej łopatek, ładnie kontrastując z czerwienią. Domyślił się, że są rozjaśnione, ale jeśli dodać takie włosy do skórzanej minispódniczki i pończoch ze szwami oraz perwersyjnych szpilek i obcisłego swetra opinającego piersi, wiadomo było, z jaką kobietą ma do czynienia. Chciał, żeby wynajęła to biuro. Powiedziała, że potrzebuje niewielkiego pomieszczenia. Czynnysz do uzgodnienia.

Winda stanęła. Kiedy drzwi się otworzyły, wyszedł za nią na wąski korytarz.

— Tędy — pokazał, zapalając światło. Gdy dotarli do końca, włożył klucz do zamka starych drewnianych drzwi.

— To tylko dwa pokoje — zastrzegł, wciskając kolejny włącznik. — Około sześćdziesięciu metrów kwadratowych.

Kobieta podeszła do okna.

— Piękny widok — powiedziała, patrząc w dal.

— Faktycznie, niczego sobie. Wykładzina jest nowa. Pokoje pomalowano

ostatniej jesieni. Łazienka w korytarzu. To ładne miejsce. W ciągu ośmiu lat odnowiono cały budynek. — Administrator nie mógł oderwać wzroku od czarnego szwu pończochy.

— Nieźle — mruknęła Tammy, nie mając na myśli niczego konkretnego. Nadal patrzyła przez okno. — Jak się nazywa to miejsce?

— Giełda Bawełny. Jedno z najstarszych w Memphis. To bardzo prestiżowy adres.

— Jak prestiżowy jest czynsz?

Mężczyzna odchrząknął i otworzył teczkę. Nie patrzył do środka, ale podziwiał szpilki.

— Cóż, to małe biuro. Jaką działalność będzie pani prowadziła?

— Usługi sekretarskie. Niezależny sekretariat. — Podeszła do drugiego okna, wyraźnie go ignorując. Podążył za nią wzrokiem.

— Rozumiem. Na jaki okres chce pani wynająć lokal?

— Sześć miesięcy z możliwością przedłużenia do roku.

— W porządku. Możemy wynająć to biuro na sześć miesięcy za trzysta pięćdziesiąt miesięcznie.

Nie mrugnęła okiem ani nie odwróciła się od okna. Wsunęła z pantofelka prawą stopę i podrapała nią lewą łydkę. Zauważył, że szew biegnie dalej, pod stopą. Paznokcie były... czerwone! Przechyliła się w lewo i oparła o parapet. Teczka zadrżała mu w rękach.

— Zapłacę dwieście pięćdziesiąt — oznajmiła władczo.

Odchrząknął. Łakomienie się na forszę nie miało sensu. Nikt nie chciał wynająć maleńkich pokoików, więc stały puste od lat. Na dodatek firmy mające siedzibę w jego budynku mogłyby skorzystać z usług niezależnej sekretarki. Do licha, może nawet jemu by się przydała?

— Trzysta i ani dolara mniej. Ten budynek cieszy się dużym wzięciem. Wynajmujemy dziewięćdziesiąt procent powierzchni. Trzysta miesięcznie to

i tak za tanio. Ledwo pokryjemy koszty.

Nagle odwróciła się i znów miał je przed sobą. Patrzyły na niego, ciasno opięte kaszmirem.

— W ogłoszeniu było napisane, że macie do wynajęcia umeblowane biura — zauważyła.

— Możemy wstawić meble — odpowiedział, skory do współpracy. — Czego pani potrzebuje?

Rozejrzała się.

— Chciałbym biurko sekretarskie i szafkę na akta. Tutaj. Kilka półek na dokumenty i krzesła dla klientów. Nic specjalnego. W drugim pokoju nie trzeba mebli. Wstawię tam kserokopiarkę.

— Nie ma problemu — odparł z uśmiechem.

— Zapłacę trzysta miesięcznie, razem z meblami.

— Zgoda — powiedział, otwierając teczkę i wyciągając druk umowy najmu lokalu.

— Pani nazwisko?

— Doris Greenwood. — Jej matka nazywała się Doris Greenwood, a ona była Tammy Inez Greenwood, zanim spotkała na swej drodze Bustera Hemphilla, który później (całkiem legalnie) został Elvisem Aaronem Hemphilem, a jej życie znalazło się na równi pochyłej. Matka mieszkała w Effingham w Illinois.

— W porządku, Doris. — Administrator skinął głową, siłąc się na uprzejmość, jakby właśnie wymienili nazwiska i zaczęli się bliżej zapoznawać. — Adres domowy?

— Na co panu adres? — spytała z rozdrażnieniem.

— Cóż, potrzebujemy tej informacji.

— To nie wasza sprawa.

— Dobrze, już dobrze, nie ma problemu. — Teatralnym ruchem

przekreślił tę część formularza. Pochylił się nad kartką. — Spójrzmy do kalendarza. Okres wynajmu zacznie się od dziś, to jest od drugiego marca, i będzie trwał sześć miesięcy, do drugiego września. Czy to pani odpowiada?

Tammy skinęła głową i zapaliła papierosa.

Przeczytał jej następny paragraf.

— W porządku. Musi pani zapłacić trzysta dolarów kaucji i za pierwszy miesiąc z góry.

Wyciągnęła zwitek banknotów z kieszeni obcisłej, czarnej, skórzanej spódniczki. Odliczyła sześćset i położyła na stole.

— Proszę o pokwitowanie.

— Zaraz przygotuję. — Administrator zapisał coś na kartce.

— Które to piętro? — spytała, wracając do okna.

— Dziewiąte. Pobieramy dziesięcioprocentową opłatę za zaległe należności po piętnastym danego miesiąca. Mamy prawo wejść do pomieszczeń o rozsądnej porze w celu dokonania inspekcji. Biura nie można wykorzystywać do celów niezgodnych z prawem. Płaci pani za wszystkie media plus ubezpieczenie wnętrza. Przysługuje pani jedno miejsce parkingowe na parkingu po drugiej stronie ulicy. Oto dwa klucze. Jakież pytania?

— Taak. Czasami pracuję w dziwnych porach, do późnej nocy.

— Nie ma problemu. Może pani wchodzić i wychodzić, kiedy zechce. Po zapadnięciu zmroku ochroniarz przy wejściu od strony Front Street wpuści panią do środka.

Tammy włożyła papierosa między lepkie wargi i podeszła do stołu. Spojrzała na umowę, zawahała się i podpisała nazwiskiem Doris Greenwood.

Kiedy zamknęli biuro, administrator ruszył za nią ostrożnie korytarzem w stronę windy.

Następnego dnia do biura dostarczono dziwną kolekcję mebli, a Doris

Greenwood z Greenwood Services postawiła na biurku wypożyczoną maszynę do pisania i telefon. Usiadła za biurkiem przed maszyną i spojrzała lekko w lewo, obserwując przez okno samochody na Front Street. Wypełniła szuflady papierem, notatnikami, ołówkami oraz różnymi drobiazgami. Ułożyła magazyny na szafkach na dokumenty i małym stoliku między dwoma krzesłami dla klientów.

Usłyszała pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytała.

— Twoja kserokopiarka.

Odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi. Do holu wpadł niski żwawy facet o imieniu Gordy, rozejrzał się po pokoju i spytał rzeczowo:

— Gdzie ją postawić?

— Tutaj — odpowiedziała Tammy, wskazując pusty pokój bez drzwi o wymiarach trzy na cztery metry. Dwaj młodzi mężczyźni w niebieskich kombinezonach wepchnęli i wciągnęli wózek z kserokopiarką.

Gordy położył dokumentację na biurku.

— To potężna kserokopiarka jak na takie biuro. Robi dziewięćdziesiąt kopii na minutę, ma segregator i automatyczny podajnik. Wielka maszyna.

— Gdzie mam podpisać? — spytała Tammy, ignorując jego głędzenie.

Wskazał miejsce długopisem.

— Na pół roku, dwieście czterdzieści dolców miesięcznie. Cena obejmuje konserwację i serwis plus pięćset kartek papieru przez dwa miesiące. Ma być do dokumentów czy listowy?

— Do dokumentów.

— Pierwsza opłata do dziesiątego, podobnie jak pięć następnych. Instrukcja obsługi jest na podajniku. Proszę dzwonić, jeśli będzie pani miała jakieś pytania.

Dwaj serwisanci wyszli wolno z biura, gapiąc się na obcisłą spódniczkę



i czerwone szpilki. Gordy oddał żółtą kartkę i podał ją Tammy.

— Dziękuję za skorzystanie z naszych usług — powiedział.

Zamknęła za nimi drzwi, podeszła do okna przy biurku i wyjrzała na północ, przesuwając wzrok wzdłuż Front Street. Dwie przecznice dalej, po przeciwnej stronie ulicy, znajdowało się czwarte i piąte piętro Domu Bendiniego.

• • •

Mitch unikał towarzystwa, przesiadując z nosem w książkach i stertach dokumentów. Był dla nich zbyt zajęty. Dla wszystkich oprócz Lamara. Zdawał sobie sprawę, że jego zachowanie nie pozostanie niezauważone, dlatego pracował jeszcze bardziej wytrwale. Może nie będą podejrzliwi, jeśli będzie tyrał po dwadzieścia godzin dziennie? Może pieniądze zdołają go odizolować?

Nina zostawiła mu pudełko z zimną pizzą, kiedy wyszła po lunchu. Jadł, sprząając na biurku. Później zadzwonił do Abby. Powiedziała, że jedzie zobaczyć się z Rayem i wróci do Memphis w niedzielę późnym wieczorem. Wyszedł bocznymi drzwiami i ruszył na parking.

Przez trzy i pół godziny pędził międzystanową czterdziestką ze wzrokiem utkwionym we wstecznym lusterku. Nic. Nie zauważył nikogo. Pewnie ruszyli przodem i gdzieś na niego czekają, pomyślał. W Nashville nagle zjechał w kierunku centrum. Używając naszkicowanej odręcznie mapy, zawracał wszędzie, gdzie było to możliwe, i ogólnie jechał jak czubek. W południowej części miasta skręcił szybko w kierunku dużej dzielnicy domów mieszkalnych i przemknął między budynkami. Całkiem ładna okolica. Parkingi były czyste, a twarze mieszkańców białe. Wszystkie. Zaparkował obok biura i zamknął auto. Automat obok krytej pływalni działał. Wezwał taksówkę i podał adres dwie przecznice dalej. Przebiegł

między budynkami, kierując się w stronę bocznej uliczki, i zjawił się dokładnie w tym samym momencie co taksówka.

— Na dworzec autobusowy linii Greyhound! — rzucił kierowcy. — Proszę się pospieszyć! Zostało mi dziesięć minut!

— Spokojnie, kolego. To sześć przecznic stąd.

Mitch obserwował ruch. Kierowca jechał ze spokojną pewnością siebie, by siedem minut później skręcić w Ósmą Ulicę i stanąć przed dworcem autobusowym. Mitch podał mu nad fotelem dwie piątki i popędził do hali. Kupił bilet w jedną stronę na autobus do Atlanty odjeżdżający o szesnastej trzydzieści. Zegar w hali wskazywał szesnastą trzydzieści jeden. Kasjerka wskazała mu wahadłowe drzwi.

— Autobus czterysta pięćdziesiąt cztery — powiedziała. — Za chwilę odjeżdża.

Kierowca zatrzasnął drzwi luku bagażowego, odebrał jego bilet i zaprowadził do autobusu. W trzech pierwszych rzędach siedzieli starzy Murzyni. Kilkunastu innych rozproszyło się w tylnej części pojazdu. Mitch ruszył wolno przejściem, przypatrując się twarzom pasażerów i nie dostrzegając nikogo znajomego. Zajął miejsce przy oknie, w czwartym rzędzie od końca. Założył okulary przeciwsłoneczne i spojrzał za siebie. Nikogo. Jasny szlag! Czyżby wsiadł do innego autobusu? Wyjrzał przez ciemną szybę, kiedy samochód włączył się do ruchu. Mieli postój w Knoxville. Może ich człowiek dosiądzie się tam?

Kiedy wjechali na autostradę międzystanową, a kierowca jechał ze stałą prędkością, przed Mitchem nieoczekiwanie wyrósł facet w niebieskich dżinsach i koszuli w kratę. Pojawił się i wślizgnął na miejsce obok. Mitch rozpoznał Tarrance'a i odetchnął z ulgą.

— Gdzie byłeś? — zapytał.

— W toalecie. Zgubiłeś ich? — Tarrance mówił cicho, obserwując

odwrócone głowy pasażerów. Nikt nie słuchał. Nikt nie mógł usłyszeć.

— Nie zauważyłem nikogo podejrzanego, Tarrance, więc nie wiem, czy ich zgubiłem. Musieliby być supermenami, żeby tym razem za mną nadążyć.

— Widziałeś naszego człowieka na dworcu?

— Tak. Obok automatu telefonicznego, w czerwonej czapce Falcons. Czarny goguś.

— To on. Dałby znak, gdyby cię śledzili.

— Dał mi znak, że mogę iść.

Tarrance nosił srebrne okulary przeciwsłoneczne pod zieloną bejsbolówką drużyny Michigan State. Mitch poczuł świeży zapach gumy do żucia Juicy Fruit.

— To jakiś mundur czy co? — mruknął bez uśmiechu. — Voyles pozwolił wam się tak ubierać?

— Zapomniałem go spytać. Wspomnę o tym jutro rano.

— W niedzielę? — zdziwił się Mitch.

— W niedzielę. Będzie mnie wypytywał o naszą małą przejażdżkę autobusem. Miałem u niego godzinną odprawę, zanim wyjechałem z miasta.

— Zacznijmy od początku. Co z moim samochodem?

— Za kilka minut go zabierzemy. Zaopiekujemy się nim. Znajdziesz go w Knoxville, kiedy będzie ci potrzebny. Nie martw się o wóz.

— Myślisz, że nas znajdą?

— Na ma mowy. Nikt cię nie śledził, gdy wyjeżdżałeś z Memphis. W Nashville też nie zauważyliśmy niczego podejrzanego. Jesteś czysty jak łąza.

— Wybacz, że się niepokoję, ale po wpadce w sklepie z butami wiem, że nie jesteście nieomylni.

— Zgoda, to był błąd. Sądziliśmy...

— Wielki błąd. Mogłem trafić na listę gości do odstrzału.

— Dobrze to rozegrałeś. Więcej nie popełnimy takiego błędu.

— Obiecaj mi, Tarrance. Obiecaj, że nigdy nie podejdziecie do mnie w miejscu publicznym.

Tarrance spojrział na przejście i skinął głową.

— Dobrze, dobrze. Przyrzekam, że to się więcej nie powtórzy.

— Dzięki. Będę mógł jeść spokojnie bez obawy, że zostanę zdemaskowany.

— Zrozumiałem.

Stary Murzyn z laską ruszył w ich stronę, uśmiechnął się i poszedł dalej. Drzwi toalety zamknęły się z trzaskiem. Greyhound sunął lewym pasem, mijając jadących przepisowo kierowców.

Tarrance zaczął przeglądać jakiś magazyn, a Mitch podziwiał wiejskie widoki. Staruszek z laską załatwił potrzebę i wrócił chwiejnym krokiem na swoje miejsce z przodu autobusu.

— Dlaczego autobus? — zapytał Tarrance, przeglądając pismo.

— Nie lubię samolotów, zawsze podróżuję autobusem.

— Rozumiem. Od czego chciałbyś zacząć?

— Voyles powiedział, że masz plan gry.

— Mam, potrzebny mi tylko rozgrywający.

— Dobry rozgrywający jest bardzo drogi — ostrzegł Mitch.

— Mamy pieniądze.

— Będzie was to kosztować znacznie więcej, niż sądzisz. Wszystko wskazuje na to, że będę musiał zrezygnować z czterdziestu lat prawniczej kariery za, powiedzmy, pół miliona dolarów rocznie.

— To razem dwadzieścia milionów.

— Wiem, ale możemy negocjować.

— Dobrze wiedzieć. Zakładasz, że będziesz pracował lub prowadził praktykę przez czterdzieści lat. To bardzo niepewne założenie. Przypuśćmy,

dla zabawy, że w ciągu kilku lat dopadniemy waszą firmę i aresztujemy twoich kumpli. Że uzyskamy wyroki skazujące i trafisz do pierdła na kilka lat. Nie będą cię tam długo trzymali, bo będziesz siedział za przestępstwo urzędnicze, ale pewnie słyszałeś, jak wygodne są federalne pensjonaty. Jednak, na moje oko, stracisz licencję, dom i swoje małe bmw. Pewnie także żonę. Kiedy wyjdiesz, będziesz mógł świadczyć usługi detektywistyczne jak twój stary kumpel Lomax. To łatwa robota, chyba że zaczniesz węszyć tam, gdzie nie trzeba.

— Powiedziałem, że cena jest do negocjacji.

— Zgoda. Negocjujmy. Ile chcesz?

— Za co?

Tarrance zamknął czasopismo, otworzył grubą książkę w broszurowej oprawie i zaczął udawać, że czyta. Mitch siedział ze wzrokiem utkwionym w pas oddzielający jezdnie.

— Bardzo dobre pytanie — odrzekł cicho Tarrance ponad dalekim szumem silnika Diesla. — Czego od ciebie chcemy? Dobre pytanie. Po pierwsze, musisz zrezygnować z kariery prawniczej. Będziesz musiał zdradzić tajemnice i przekazać dokumenty swoich klientów. Wyrzucą cię z palestry, ale to pikuś. Powiedzmy sobie jasno: podasz nam firmę na srebrnej tacy. Kiedy zawrzemy umowę, oczywiście jeśli do tego dojdzie, reszta się ułoży. Po drugie i najważniejsze, przekażesz nam wystarczająco dużo dokumentów, żeby skazać każdego pracownika firmy i większość czołowych postaci rodziny Morolto. Dokumenty są w małym domu przy Front Street.

— Skąd wiesz?

Tarrance się uśmiechnął.

— Bo wydajemy miliardy dolarów na walkę ze zorganizowaną przestępczością. Bo od dwudziestu lat śledzimy rodzinę Morolto. Bo mamy

informatorów w mafii. Bo Hodge i Kozinski zaczęli mówić, zanim zostali zamordowani. Nie lekceważ nas, Mitch.

— Myślisz, że mogę zdobyć takie informacje?

— Tak, panie adwokacie. Działając w środku, zbudujesz akt oskarżenia, który pogrąży jedną z największych rodzin mafijnych w kraju. Naszkicujesz strukturę firmy. Gdzie są gabinety poszczególnych osób? Podasz nazwiska wszystkich sekretarek, pracowników biurowych i asystentów prawnych. Kto nad czym pracuje? Kto ma jakich klientów? Jaka jest hierarchia służbowa? Gdzie jest gabinet szefa na piątym piętrze? Co się w nim znajduje? Gdzie są przechowywane dokumenty? Czy mają centralny magazyn akt? W jakim stopniu są skomputeryzowani? Ile materiałów mają na mikrofilmach? Co najważniejsze, musisz wynieść akta i je nam przekazać. Kiedy zdobędziemy wystarczającą ilość dowodów, wkroczymy z małą armią i zgarniemy wszystko, ale to cholernie duża operacja. Musimy mieć solidne podstawy, zanim władujemy się do kancelarii z nakazem rewizji.

— To wszystko, czego chcecie?

— Nie. Będziesz zeznawał przeciwko swoim kumplom na procesach. To może się ciągnąć latami.

Mitch westchnął głęboko i zamknął oczy. Autobus zwolnił za kolumną kamperów, która rozdzieliła się na dwie części. Zapadał zmierzch i kolejne auta jadące na zachód zapalały światła. Chcą, żeby zeznawał na procesach! O tym nie pomyślał. Dysponując grubymi milionami, mogą wynająć najlepszych specjalistów od prawa karnego i przeciągać procesy latami.

Tarrance zaczął czytać powieść, coś Louisa L'Amoura. Poprawił górną lampkę, jakby był prawdziwym pasażerem odbywającym prawdziwą podróż. Po pięćdziesięciu kilometrach bez rozmów i negocjacji Mitch zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał na Tarrance'a.

— Co się ze mną stanie?

— Będziesz miał dużo forsy za coś, co okaże się tego warte. Jeśli masz poczucie przyzwoitości, będziesz mógł codziennie patrzeć sobie w twarz. Będziesz mógł zamieszkać w dowolnym miejscu w kraju, oczywiście pod nowym nazwiskiem. Znajdziemy ci robotę, zrobimy plastykę nosa, wszystko, co zechcesz.

Mitch próbował skupić wzrok na drodze, ale nie mógł. Spojrzał gniewnie na Tarrance'a.

— Poczucie przyzwoitości? Moralność? Nie wymawiaj przy mnie tego słowa, Tarrance. Dobrze wiesz, że jestem niewinną ofiarą.

Tarrance mruknął coś do siebie z uśmiechem cwaniaczka.

Przejechali w milczeniu kilka kilometrów.

— Co będzie z moją żoną?

— Żoną? Będziesz mógł ją zatrzymać.

— Bardzo zabawne.

— Przepraszam. Dostanie wszystko, co zechce. Ile wie?

— Wszystko. — Mitch pomyślał o dziewczynie na plaży. — No, prawie.

— Załatwimy jej dobrze płatną państwową posadkę w ubezpieczeniach społecznych. Zapewniam cię, że nie będzie źle, Mitch.

— Będzie cudownie, dopóki jeden z twoich nie otworzy ust i nie piśnie czegoś niewłaściwej osobie. Wtedy przeczytasz o mnie i mojej żonie w gazetach. Mafia nie zapomina, Tarrance. Są gorsi od słoni. Na dodatek strzegą sekretów lepiej od was. Straciliście kilku ludzi, więc nie zaprzeczaj.

— Nie zamierzam. Przyznam, że potrafią być też pomysłowi w zabijaniu.

— Dzięki. Dokąd pojedę?

— To zależy od ciebie. W chwili obecnej mamy około dwóch tysięcy świadków w całym kraju. Pod nowymi nazwiskami, w nowych domach i robocie. Masz znacznie większą szansę od nich.

— Mam podjąć ryzyko?

— Tak. Albo weźmiesz forszę i czmychniesz, albo będziesz zgrywał prawnika ważniaka i liczył na to, że nie zdołamy przeniknąć do firmy.

— Wspaniały wybór, Tarrance — prychnął Mitch.

— Faktycznie. Cieszę się, że to ty przed nim stoisz.

Czarnoskóra staruszka towarzysząca dziadkowi z laską podniosła się chwiejnie i zaczęła kuśtykać w ich stronę, trzymając się foteli. Tarrance pochylił się w stronę Mitcha, kiedy przechodziła obok nich. Nie odważyłby się wymówić słowa, gdy w pobliżu była obca osoba. Staruszka miała co najmniej dziewięćdziesiąt lat, była na pół sparaliżowana, pewnie nie potrafiła czytać i miała gdzieś, czy Tarrance odetchnął po raz kolejny. Mimo to natychmiast zamilkł jak grób.

Piętnaście minut później drzwi toalety się otworzyły i usłyszeli szum wody spuszczonej do szamba Greyhounda. Staruszka pokuśtykała przejściem i zajęła swoje miejsce.

— Kim jest Jack Aldrich? — spytał Mitch. Podejrzewał, że Tarrance zacznie kręcić, więc przyglądał mu się kątem oka. Tarrance podniósł wzrok znad książki i spojrzał na fotel przed sobą.

— Aldrich. Słyszałem gdzieś to nazwisko, ale nie kojarzę.

Mitch spojrzał przez okno. Tarrance wiedział. Wzdrygnął się i zmrużył oczy na ułamek sekundy przed udzieleniem odpowiedzi. Mitch obserwował samochody jadące na zachód.

— Co to za jeden? — spytał w końcu Tarrance.

— Nie znasz go?

— Gdybym znał, nie pytałbym, kim jest.

— To pracownik naszej firmy. Powinieneś wiedzieć, Tarrance.

— W Memphis roi się od prawników, domyślam się, że znasz ich wszystkich.

— Znam tych, którzy pracują w kancelarii Bendini, Lambert i Locke,



w spokojnej małej firmie, której przyglądacie się od dziesięciu lat. Aldrich jest zatrudniony od sześciu lat, kilka miesięcy temu FBI miała podjąć próbę jego zwerbowania. To prawda czy fałsz?

— Fałsz. Kto ci powiedział?

— Nieważne. Plotkowali o tym w biurze.

— To kłamstwo. Nie rozmawialiśmy z nikim od sierpnia. Daję słowo. Nie zamierzamy tego zrobić, chyba że odrzucisz propozycję i będziemy musieli znaleźć kogoś innego.

— Nigdy nie rozmawiałeś z Aldrichem?

— Przecież powiedziałem.

Mitch skinął głową i sięgnął po magazyn. Tarrance wrócił do swojej książki, by w końcu powiedzieć:

— Posłuchaj, Mitch, wyjechaliśmy z Nashville godzinę temu. Musimy się dogadać, jeśli ma coś z tego być. Dyrektor Voyles będzie miał jutro rano tysiące pytań.

— Ile proponujecie?

— Pół miliona.

Każdy prawdziwy prawnik wie, że pierwszą ofertę należy kategorycznie odrzucić. Bezwzględnie. Mitch widział na własne oczy, jak Avery otwiera ze zdumienia usta, jak z obrzydzeniem i niewiarą kręci głową na pierwszą propozycję, choćby była nie wiem jak rozsądna. Zgłaszano kolejne propozycje i prowadzono negocjacje, bo pierwsza oferta zawsze była odrzucana.

Pokręcił głową i uśmiechnął się do okna, jakby właśnie tego oczekiwał. Pół miliona dolarów było kwotą nie do przyjęcia.

— Czyżbym powiedział coś śmiesznego? — spytał Tarrance, który nie był prawnikiem i nie miał pojęcia o sztuce negocjacji.

— Zabawny jesteś, Tarrance. Chyba nie oczekujesz, że zostawię kopalnię

złota za pół miliona dolców. Po zapłaceniu podatków w najlepszym razie zostanie mi trzysta tysięcy.

— A jeśli zamkniemy tę twoją kopalnię złota i wyślemy do pudła wszystkich mądrali w trzewikach od Gucciego?

— Jeśli, jeśli, jeśli. Skoro tyle wiecie, dlaczego nic nie zrobiliście? Voyles powiedział, że od dziesięciu lat obserwujecie firmę i czekacie. To szmat czasu, Tarrance. Zawsze jesteście tacy szybcy?

— Chcesz zaryzykować, McDeere? Powiedzmy, że zajmie nam to jeszcze pięć lat. Po pięciu latach zrobimy nalot i wyekspedujemy cię do pierdła. Z tego punktu widzenia czas się nie liczy, prawda? Rezultat będzie taki sam, Mitch.

— Przepraszam, sądziłem, że to negocjacje, a nie groźby.

— Złożyłem ci propozycję.

— Stanowczo za niską. Oczekujesz, że zaryzykuję życie i dostarczę ci dowody, dzięki którym oskarżysz stu najbardziej parszywych przestępców w Stanach. Prosisz o tak dużo i proponujesz takie marne grosze? Chcę dostać co najmniej trzy miliony.

Tarrance nie skrzywił się ani nie mrugnął okiem. Przyjął kontrpropozycję z nieprzeniknioną twarzą pokerzysty, a Mitch negocjator wiedział, że wymieniona kwota mieści się w dopuszczalnych granicach.

— To dużo forsy — mruknął Tarrance jakby do siebie. — Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek zapłacili taką sumę.

— Ale możecie, prawda?

— Wątpię. Będę musiał porozmawiać z dyrektorem.

— Dyrektorem?! Sądziłem, że masz jego pełnomocnictwo w tej sprawie. Chcesz biegać tam i z powrotem, dopóki się nie dogadamy?

— Czego chcesz oprócz tego?

— Chodzi mi po głowie kilka rzeczy, ale nie chcę o nich rozmawiać,

dopóki nie porozumiemy się w sprawie pieniędzy.

Czarnoskóry staruszek z laską najwyraźniej miał słabe nerki. Znowu wstał i zaczął kuśtykać na tył autobusu. Tarrance wetknął nos w książkę, a Mitch zaczął wertować stary numer „Field & Stream”.

• • •

Autobus linii Greyhound zjechał z autostrady międzystanowej w Knoxville dwie minuty przed dwudziestą. Tarrance pochylił się do Mitcha i szepnął:

— Wejdz do hali głównymi drzwiami. Zobaczysz młodego faceta w pomarańczowym dresie z napisem „University of Tennessee”, stojącego obok białego forda bronco. Zawiezie cię do twojego samochodu.

— Gdzie jest? — spytał szeptem Mitch.

— Za akademikiem, na terenie kampusu.

— Sprawdziliście, czy założyli podsłuch?

— Tak sędzę. Spytaj naszego człowieka w bronco. Jeśli cię śledzili, kiedy wyjeżdżałeś z Memphis, mogli zacząć coś podejrzewać. Powinieneś pojechać do Henderson. To około siedemdziesięciu kilometrów po tej stronie Nashville. Jest tam motel Holiday Inn. Przenocuj w nim i rano pojedź do brata. Będziemy cię obserwowali. Jeśli uznamy, że sytuacja jest podejrzana, odnajdę cię w poniedziałek rano.

— Kiedy znowu się przejedziemy?

— We wtorek twoja żona ma urodziny. Zrób rezerwację na dwudziestą u Grisantiego, w tej włoskiej restauracji przy Airways. Dokładnie o dwudziestej pierwszej podejdz do automatu z papierosami przy barze, wrzuć sześć ćwierćdolarówek i kup cokolwiek. Kiedy pudełko wypadnie, znajdziesz na tacy kasetę magnetofonową. Kup sobie jeden z tych małych odtwarzaczy ze słuchawkami, których używają biegacze, i odsłuchaj ją w samochodzie.

Nie rób tego w domu, a tym bardziej w biurze. Nie zapomnij o włożeniu słuchawek. Niech twoja żona też ją odsłucha. Nagram wiadomość i podam ci naszą maksymalną ofertę. Wyjaśnię również parę rzeczy. Kiedy kilka razy odsłuchacie taśmę, zniszczcie ją.

— To trochę skomplikowane, nie sądzisz?

— Tak, ale przez kilka tygodni nie będziemy musieli ze sobą gadać. Oni obserwują i słuchają, Mitch. Są bardzo dobrzy. Nigdy o tym nie zapominaj.

— Nie martw się.

— Jaki miałeś numer na futbolowej koszulce w ogólniaku?

— Czternaście.

— A w college'u?

— Też czternaście.

— W porządku. Twoje hasło to jeden-cztery-jeden-cztery. W czwartek wieczorem zadzwoń z automatu z klawiaturą na numer siedemset pięćdziesiąt siedem i sześć i trzy zera. Usłyszysz głos automatycznej sekretarki, przeprowadzi cię przez małą procedurę, do której będzie potrzebne hasło. Kiedy ją przejdziesz, usłyszysz nagranie mojego głosu. Zadam ci kilka pytań. Później ruszymy dalej.

— Dlaczego nie mogę po prostu praktykować prawa?

Autobus zajechał na dworzec i stanął.

— Jadę do Atlanty — powiedział Tarrance. — Nie zobaczymy się przez kilka tygodni. Jeśli wyniknie jakaś sytuacja awaryjna, zadzwoń na dwa numery, które ci wcześniej podałem.

Mitch stanął w przejściu i spojrzął na agenta.

— Trzy miliony, Tarrance. Trzy i ani centa mniej. Jeśli wydajecie miliardy na walkę ze zorganizowaną przestępczością, z pewnością znajdziecie trzy miliony dla mnie. Pamiętaj, Tarrance, że mam także trzecie wyjście: mogę zniknąć w środku nocy, rozpląnąć się w powietrzu. Jeśli do

tego dojdzie, będziecie sobie mogli walczyć z Morolto, aż zamarznie piekło, a ja będę grał w domino na Karaibach.

— Jasne, Mitch. Możesz spróbować, ale znajdą cię w ciągu tygodnia, a nas nie będzie w pobliżu, żeby cię chronić. Do zobaczenia, kolego.

Mitch wyskoczył z autobusu i przebiegł przez halę.

## Rozdział 23

We wtorek, o ósmej trzydzieści rano, Nina uformowała na biurku Mitcha schludne sterty z papierowego gruzowiska, które je zaścielało. Lubiła poranny rytuał doprowadzania jego miejsca pracy do porządku i planowania nowego dnia. Notatnik ze spotkaniami leżał na widoku, w rogu biurka. Zajrzała do niego i oznajmiła:

— Czeka pana bardzo pracowity dzień, panie McDeere.

Mitch zaczął kartkować zawartość jakiejś teczki, starając się ignorować jej obecność.

— Nie przypominam sobie dnia, który nie byłby pełny zajęć.

— O dziesiątej ma pan spotkanie w biurze pana Mahana w sprawie apelacji dotyczącej Delta Shipping.

— Wprost nie mogę się doczekać — mruknął Mitch.

— O jedenastej trzydzieści zaplanowano spotkanie w biurze pana Tollesona w sprawie zakończenia działalności Greenbriar. Jego sekretarka poinformowała mnie, że potrwa co najmniej dwie godziny.

— Dlaczego aż dwie?

— Nie płacą mi za zadawanie takich pytań, panie McDeere.

Gdybym to robiła, mogłabym stracić posadę. O piętnastej chce się z panem spotkać Victor Milligan.

— W jakiej sprawie?

— Panie McDeere, powtarzam, że moją rolą nie jest zadawanie takich pytań. Dodam, że za piętnaście minut ma pan spotkanie w biurze Franka Mulhollanda w centrum miasta.

— Wiem. Gdzie to jest?

— W Giełdzie Bawełny. To cztery albo pięć przecznic w górę Front Street, przy skrzyżowaniu z Union. Przechodził pan obok setki razy.

— W porządku. Coś jeszcze?

— Mam panu coś przynieść, kiedy wyjdę na lunch?

— Nie, kupię jakąś kanapkę w centrum.

— Wspaniale. Ma pan wszystko dla Mulhollanda?

Mitch wskazał bez słowa wypchaną czarną teczkę. Sekretarka wyszła. Kilka sekund później Mitch zszedł na dół i opuścił budynek frontowymi drzwiami. Zatrzymał się na światłach, a później odwrócił się i ruszył energicznym krokiem w stronę centrum. W prawej ręce trzymał czarną teczkę, a w lewej dyplomatkę ze skóry węgorza w kolorze burgunda. Umówiony znak.

Na dziewiątym piętrze Giełdy Bawełny Tammy Greenwood z Greenwood Services cofnęła się od okna i włożyła płaszcz. Zamknęła za sobą drzwi i wcisnęła guzik windy. Czekwała. Za chwilę miała spotkać się z człowiekiem, przez którego może zostać zabita.

Mitch wszedł do holu i ruszył w kierunku wind. Nie zauważył nikogo szczególnego. Pół tuzina biznesmenów rozmawiało, wchodząc i wychodząc z budynku. Jakaś kobieta szeptała do słuchawki automatu telefonicznego. Ochroniarz kręcił się w pobliżu wyjścia na Union Avenue. Mitch wcisnął guzik i czekał. Kiedy drzwi się otworzyły, do windy wszedł młody facet z takich, którzy pracują dla Merrill Lynch, o krótko obciętych włosach i w błyszczących półbutach. Mitch liczył na samotną przejażdżkę.

Biuro Mulhollanda znajdowało się na siódmym piętrze. Mitch wcisnął siódemkę, ignorując dzieciaka w czarnym garniturze. Kiedy winda ruszyła, obaj mężczyźni zaczęli potulnie obserwować cyfry migające nad drzwiami. Mitch stanął w kącie małej kabiny, umieszczając ciężką teczkę na podłodze,

obok prawej stopy. Na czwartym piętrze drzwi się otworzyły i do windy weszła Tammy. Dzieciak rzucił jej przelotne spojrzenie. Miała na sobie zdumiewająco konserwatywne ubranie: prostą, krótką sukienkę z dzianiny bez głębokiego dekoltu. Żadnych perwersyjnych butów. Jej włosy były ufarbowane na delikatny odcień czerwieni. Spojrzał na nią jeszcze raz, a następnie wcisnął guzik z napisem „Zamknąć drzwi”.

Tammy wniosła do windy dużą czarną teczkę podobną do teczki Mitcha. Nie patrząc mu w oczy, postawiła ją obok jego teczki. Na siódmym piętrze Mitch zabrał jej teczkę i wyszedł z windy. Na ósmym piętrze wysiadł młody przystojniak w czarnym garniturze, a na dziewiątym Tammy, dźwigając ciężką teczkę pełną dokumentów z kancelarii Bendini, Lambert i Locke. Zniosła ją do swojego biura, zamknęła starannie drzwi, szybko zdjęła płaszcz i przeszła do małego pokoju, w którym czekała włączona kserokopiarka. W teczce było siedem tomów akt o grubości co najmniej trzech centymetrów. Położyła je na składanym stoliku obok kserokopiarki i sięgnęła po oznaczony napisem „Od Koker-Hanks do East Texas Pipe”. Zdjęła aluminiową klamrę, a następnie wyjęła zawartość z okładek, ostrożnie układając stos dokumentów, listów i notatek na automatycznym podajniku. Wcisnęła guzik z napisem „drukuj” i patrzyła, jak maszyna wykonuje dwie doskonałe kopie wszystkiego.

Po trzydziestu minutach siedem tomów powędrowało do teczki, a czternaście nowych kopii do ognioodpornego sejfu ukrytego w małej szafie. Tammy zamknęła sejf i szafkę, postawiła teczkę przy drzwiach i czekała.

• • •

Frank Mulholland był współnikiem w dziesięcioosobowej firmie specjalizującej się w usługach bankowych i papierach wartościowych. Jego klientem był starszy facet, który założył sieć sklepów z artykułami żelaznymi



i warsztatami, w których klienci mogli własnoręcznie wykonywać niezbędne przedmioty. Kiedy firma osiągnęła wartość osiemnastu milionów, jego syn i renegaci z zarządu przejęli nad nią kontrolę i zmusili go do odejścia na emeryturę. Staruszek pozwał drani do sądu. Firma odpowiedziała kolejnym pozwem. Każdy pozywał każdego, co doprowadziło do impasu trwającego osiemnaście miesięcy. Teraz, gdy prawnicy byli już utuczeni i szczęśliwi, przyszła pora na ugodę. Bendini, Lambert i Locke udzielali porad podatkowych synkowi i nowemu zarządowi, a dwa miesiące temu Avery wprowadził Mitcha w kulisy sporu. Plan polegał na zaproponowaniu staruszkowi pięciu milionów dolarów w formie pakietu zwykłych akcji, wymienialnych świadectw udziałowych i paru obligacji.

Mulholland nie był zachwycony tym pomysłem. Jego klient nie jest chciwy, powtarzał bez przerwy, i wie, że nigdy nie odzyska kontroli nad firmą. Jego firmą, proszę o tym nie zapominać. Z drugiej strony pięć milionów go nie satysfakcjonowało. Każda ława przysięgłych mająca choć odrobinę rozumu okaże sympatię starszemu człowiekowi. Ba, nawet głupiec wie, że gra toczy się przynajmniej o, no cóż... przynajmniej o dwadzieścia milionów!

Po godzinie przesuwania propozycji i kontrpropozycji po biurku Mulhollanda Mitch zwiększył wartość proponowanego pakietu do ośmiu milionów, a prawnik staruszka zakomunikował, że jego klient zgodziłby się na piętnaście. Mitch grzecznie zapakował dyplomatkę, a Mulholland grzecznie odprowadził go do drzwi. Obiecali, że za tydzień spotkają się ponownie, i podali sobie ręce jak najlepsi przyjaciele.

Winda zatrzymała się na piątym piętrze i Tammy jak gdyby nigdy nic weszła do środka. W kabinie nie było nikogo oprócz Mitcha. Kiedy drzwi się zamknęły, zapytał:

— Jakież problemy?

— Żadnych. Zamknęłam w szafie dwa komplety kopii.

— Ile czasu ci to zajęło?

— Pół godziny.

Winda stanęła na czwartym piętrze i Tammy szybko wysiadła, zabierając pustą teczkę.

— Jutro w południe? — spytała.

— Tak — odpowiedział Mitch. Drzwi się otworzyły i Tammy zniknęła w korytarzu na czwartym piętrze, a Mitch zjechał do holu, który świecił pustkami, jeśli nie liczyć tego samego ochroniarza. Mitchell McDeere, adwokat, wyszedł szybkim krokiem z budynku, dźwigając w każdej ręce ciężką teczkę, i dumnym krokiem ruszył w stronę kancelarii.

• • •

Obchody dwudziestych piątych urodzin Abby miały raczej spokojny przebieg. Szeptali przy słabym świetle świeczki w mrocznym rogu restauracji Grisanti, próbując się do siebie uśmiechać. Nie było łatwo. Gdzieś w restauracji ciał się niewidoczny agent FBI z kasetą, którą miał podrzucić do automatu z papierosami w barze dokładnie o dwudziestej pierwszej, a Mitch miał się tam znaleźć kilka sekund później, żeby zabrać ją tak, by nikt nie widział, i by nie zostać przyłapanym przez złych facetów, niezależnie od tego, gdzie się znajdują i jak wyglądają. Taśma miała ujawnić, ile twardej gotówki Mitch i Abby otrzymają w zamian za dostarczenie dowodów i ukrywanie się do końca życia.

Skubali jedzenie, próbowali się uśmiechać i rozmawiać, ale głównie wiercili się na krzesłach i spoglądali na zegarki. Obiad trwał krótko. O dwudziestej czterdzieści pięć przestali gmerać w talerzach. Mitch oddalił się w kierunku toalety, pod drodze rzucając okiem w stronę ciemnego baru. Automat z papierosami stał w rogu, dokładnie tam, gdzie powinien.

Zamówili kawę. Dokładnie o dwudziestej pierwszej Mitch wrócił do baru, podszedł do automatu, nerwowo wrzucił sześć ćwierćdolarówek i wcisnął przycisk pod papierosami marki Marlboro Ligth na pamiątkę Eddiego Lomaxa. Szybko sięgnął do tacy, wyjął paczkę papierosów, pomacał w ciemności i znalazł taśmę magnetofonową. Podskoczył, kiedy obok zadzwonił automat. Odwrócił się i rozejrzał po lokalu. Był pusty, z wyjątkiem dwóch mężczyzn wpatrzonych w telewizor zawieszony nad barem. Z odległego rogu doleciała gromka salwa pijackiego śmiechu.

Abby obserwowała każdy jego ruch, dopóki nie usiadł naprzeciwko niej.

— I? — Uniosła pytająco brwi.

— Mam. Mam twoją zwykłą czarną kasetę marki Sony. — Mitch wziął do ust łyk kawy i uśmiechnął się niewinnie, jednocześnie szybko lustrując zatłoczoną salę restauracyjną. Nikt nie patrzy. Nikogo nie obchodzą.

Podał kelnerowi kartę American Express.

— Spieszmy się — rzucił obcesowo. Kelner wrócił po kilku sekundach. Mitch zapisał swoje nazwisko.

W bmw faktycznie założono podsłuch. Było tego sporo. Ludzie Tarrance'a po cichu sprawdzili wszystko za pomocą szkła powiększającego, kiedy cztery dni temu czekali na przyjazd autobusu linii Greyhound. Pluskwy zainstalowano fachowo, wykorzystując niezwykle drogi sprzęt zdolny do podsłuchiwania i nagrywania najsłabszego kichnięcia lub kaszlnięcia. Na szczęście urządzenia mogły tylko podsłuchiwać i nagrywać, nie potrafiły śledzić ich poczynań. Mitch pomyślał, że to bardzo uprzejmie z ich strony, iż tylko podsłuchują i nie śledzą ich podróży bmw.

Kiedy wóz opuszczał parking przed restauracją Grisanti, jego pasażerowie nie rozmawiali. Abby ostrożnie otworzyła przenośny magnetofon i włożyła kasetę. Następnie podała Mitchowi słuchawki, które ten umieścił w uszach. Na koniec wcisnęła przycisk z napisem

„odtworzenie”. Obserwowała go, gdy słuchał i jechał przed siebie w kierunku autostrady międzystanowej.

Głos należał do Tarrance'a. „Cześć, Mitch. Mamy wtorek, dwudziestego piątego lutego. Jest kilka minut po dwudziestej pierwszej. Najserdeczniejsze życzenia urodzinowe dla twojej uroczej małżonki. Nagranie trwa około dziesięciu minut. Odsłuchajcie je uważnie raz lub dwa, a następnie zniszczcie. W ostatnią niedzielę odbyłem rozmowę w cztery osoby z dyrektorem Voylesem, składając mu raport z naszego spotkania. Nawiasem mówiąc, podróż autobusem sprawiła mi frajdę. Dyrektor Voyles jest bardzo zadowolony z obrotu sprawy, ale uważa, że za długo rozmawialiśmy. Chce jak najszybciej dojść do porozumienia. Oznajmił mi bez ogródek, że nigdy nie zapłaciliśmy trzech milionów dolarów i nie zamierzamy tego zrobić. Przeklinał jak diabli. Krótko mówiąc, zgodził się zapłacić milion gotówką i ani centa więcej. Powiedział, że pieniądze zostaną przelane na konto w banku szwajcarskim i nikt, nawet skarbowka, się o tym nie dowie. Milion dolarów bez podatku. To wszystko, co możemy ci zaproponować. Voyles powiedział, że możesz iść do diabła, jeśli odmówisz. Rozpieprzymy tę małą firmę z twoją pomocą lub bez niej, Mitch”.

Mitch uśmiechnął się ponuro i spojrzał na samochody przejeżdżające obok nich na pętli przy drodze I-240. Abby obserwowała go, wypatrując znaku, sygnału, mruknięcia lub jęku, czegoś, co mogłoby oznaczać dobrą albo złą wiadomość. Nie powiedziała ani słowa.

Głos ciągnął: „Zatroszczymy się o was, Mitch. Będziesz miał zapewnioną ochronę FBI zawsze, gdy uznasz to za konieczne. Co jakiś czas będziemy was sprawdzali, jeśli sobie tego zażycycie. Co kilka lat będziecie mogli przenieść się do innego miasta, będziemy mieli was na oku i znajdziemy wam pracę. Dobrą robotę w Urzędzie do spraw Kombatantów, ubezpieczeniach społecznych lub na poczcie. Voyles powiedział, że

znajdziemy ci nawet dobrze płatną robotę w prywatnej firmie realizującej zamówienia rządowe. Wystarczy, że powiesz, czego chcesz, a będziesz to miał. Oczywiście zapewnimy nową tożsamość tobie i twojej żonie. Jeśli zechcecie, będziecie mogli zmieniać ją co roku. Nie ma problemu. Będziemy także otwarci na wszelkie pomysły. Jeśli zechcecie zamieszkać w Europie lub Australii, dajcie nam znać. Zostaniecie potraktowani w szczególny sposób. Wiem, że dużo obiecujemy, ale jesteśmy poważni i zagwarantujemy to na piśmie. Zapłacimy gotówką, forszą wolną od podatku, i umieścimy was, gdziekolwiek zechcecie. W zamian musisz nam tylko wystawić firmę i rodzinę Morolto. O tym pomówimy później. Teraz kolej na ciebie. Czuję oddech Voylesa na karku, więc musimy działać szybko. Zadzwoń na podany numer w czwartek wieczorem, z automatu obok męskiej ubikacji w restauracji Houston's on Poplar. Do zobaczenia, Mitch".

Kiedy Mitch przesunął palcem po gardle, Abby nacisnęła klawisz „stop”, a następnie „przewiń”. Mitch podał jej słuchawki i zaczęła słuchać. Na jej twarzy malowało się napięcie.

• • •

Wybrali się na niewinny spacer do parku. Dwoje kochanków trzymających się za ręce i przechadzających wolnym krokiem w chłodną, pogodną noc przy świetle księżyca. Zatrzymali się obok armaty i spojrzeli na majestatyczną rzekę powoli toczącą wody w stronę Nowego Orleanu. Tej samej armaty, obok której stał nieżyjący już Eddie, kiedy przekazywał jeden ze swoich ostatnich raportów podczas burzy z deszczem i śniegiem.

Abby trzymała kasetę, spoglądając na płynącą w dole rzekę. Odsłuchiwała ją dwa razy i nie chciała zostawić w samochodzie, bojąc się, że ktoś mógłby ją ukraść. Po długich tygodniach wyćwiczonego milczenia i rozmawiania wyłącznie na dworze, słowa przychodziły im z trudnością.

— Słuchaj, Abby — odezwał się w końcu Mitch, stukając butem w drewniane koło armaty — zawsze chciałem pracować na poczcie. Miałem wuja, który był wiejskim listonoszem. Wiesz, byłoby fajnie.

Zaryzykował żart i podziałało. Abby zawahała się trzy sekundy i cicho roześmiała. Czuł, że naprawdę uznała to za zabawne.

— Taak, a ja mogłabym zmywać podłogi w szpitalu dla weteranów wojennych.

— Nie musiałybyś zmywać podłóg. Mogłabyś zmieniać baseny, robić coś sensownego, niewzbudzającego podejrzeń. Mieszkalibyśmy w schludnym, małym, białym, drewnianym domku przy Maple Street w Omaha. Ja nazywałbym się Harvey, a ty Thelma. Nosilibyśmy jakieś krótkie bezpretensjonalne nazwisko.

— Poe — podsunęła Abby.

— Świetnie. Harvey i Thelma Poe. Państwo Poe. Mielibyśmy na koncie milion dolarów, ale nie moglibyśmy wydać ani centa, bo wszyscy na Maple Street by się o tym dowiedzieli i stalibyśmy się inni, a to ostatnia rzecz, jakiej pragniemy.

— Zrobiłabym plastykę nosa.

— Przecież twój nos jest idealny.

— Ale to nos Abby, a nie Thelmy. Dałoby się to załatwić, prawda?

— Taak, chyba. — Nagle żarty zmęczyły Mitcha i umilkł. Abby stanęła przed nim, a Mitch położył jej ręce na ramionach. Patrzyli, jak holownik cicho przepycha pod mostem sto barek. Czasami księżyc zasłaniała mała chmurka i od zachodu nadciągał lodowaty wiatr, by po chwili ustać.

— Wierzysz Tarrance'owi? — spytała Abby.

— W jakim sensie?

— Przypuśćmy, że nic nie zrobisz. Sądzisz, że pewnego dnia uda im się przeniknąć do firmy?

— Boję się w to nie uwierzyć.

— Może w takim razie trzeba zabrać forszę i uciec?

— Mnie byłoby łatwiej, Abby, bo nie mam nikogo. Z tobą jest inaczej. Nigdy nie zobaczysz rodziny.

— Dokąd byśmy pojechali?

— Nie mam pojęcia, ale nie chciałbym zostać w Stanach. Nie można tak do końca ufać federalnym. Czułbym się bezpieczniej w innym kraju, ale nie powiem o tym Tarrance'owi.

— Co teraz?

— Zawrzemy umowę. Szybko zbierzemy wystarczająco dużo informacji, by zatopić okręt. Nie mam pojęcia, czego chcą, ale mogę to dla nich znaleźć. Kiedy Tarrance dostanie wystarczająco dużo dowodów, znikniemy. Weźmiemy forszę, zrobimy sobie plastikę nosów i znikniemy.

— Ile forsy?

— Więcej niż milion. Grają tą forszą. Wszystko jest do wynegocjowania.

— Ile dostaniemy?

— Dwa miliony gotówką, wolne od podatków. Ani centa mniej.

— Zapłacą?

— Tak, ale nie to jest pytaniem. Pytanie brzmi: czy weźmiemy pieniądze i uciekniemy?

Abby była zziębnięta, więc Mitch narzucił jej na ramiona swoją kurtkę i przytulił.

— To śmierdząca sprawa, Mitch, ale przynajmniej będziemy razem.

— Nazywam się Harvey, a nie Mitch.

— Myślisz, że będziemy bezpieczni, Harvey?

— Tu też nie jesteśmy bezpieczni.

— Mnie się tu nie podoba. Jestem samotna i wystraszona.

— A ja mam dość bycia prawnikiem.

— Weźmy forszę i zmiatajmy.

— Umowa stoi, Thelmo.

Abby podała mu kasetę. Spojrzał na nią i rzucił ponad Riverside Drive, w kierunku rzeki. Wzięli się za ręce i ruszyli szybkim krokiem przez park do samochodu zaparkowanego przy Front Street.



## Rozdział 24

Po raz drugi w karierze pozwolono Mitchowi złożyć wizytę w okazałej sali jadalnej na piątym piętrze. Avery wytłumaczył zaproszenie tym, że współpracownicy są pod wrażeniem jego lutowej średniej wynoszącej siedemdziesiąt jeden godzin pracy w tygodniu i chcą go skromnie wynagrodzić zaproszeniem na lunch. Żaden współpracownik nie mógł odrzucić takiej propozycji, niezależnie od rozkładu zajęć, spotkań, klientów, terminów i wszystkich innych niezwykle ważnych, pilnych i krytycznych aspektów pracy w kancelarii Bendini, Lambert i Locke. Nigdy w historii firmy współpracownik nie odrzucił zaproszenia do sali jadalnej na piątym piętrze. Każdego zapraszano tam dwa razy w roku i skrupulatnie to odnotowywano.

Mitch miał dwa dni, żeby się przygotować. W pierwszej chwili chciał odrzucić zaproszenie. Kiedy Avery go o tym poinformował, przemknęło mu przez głowę kilkanaście kiepskich wymówek. Biesiadowanie i wymienianie uśmiechów, gadanie i bratanie się z przestępcami niezależnie od tego, jak są bogaci i wytworni, wydawało się mniej atrakcyjne od podzielenia się miską zupy z bezdomnym na dworcu autobusowym. Z drugiej strony odmowa stanowiłaby poważne naruszenie tradycji. Poza tym jego działania były już wystarczająco podejrzane.

Usiadł więc plecami do okna i z wymuszonym uśmiechem prowadził pogawędkę z Averym, Royce'em McKnightem i, oczywiście, Oliverem Lambertem. Wiedział, że będzie jadł przy tym samym stoliku co oni. Wiedział to od dwóch dni. Wiedział, że będą go uważnie i dyskretnie

obserwowali, próbując wychwycić najślabszą oznakę braku entuzjazmu albo cynizmu lub bezradności. Właściwie wszystkiego. Wiedział, że będą analizowali każde jego słowo, niezależnie od tego, co powie. Wiedział też, że będą hojnie sypali pochwałami i obietnicami, zwalając je na jego znużone barki.

Oliver Lambert jeszcze nigdy nie był tak czarujący. Lutowe siedemdziesiąt jeden godzin pracy w tygodniu było firmowym rekordem, wynikiem, którego nie udało się osiągnąć żadnemu ze współpracowników, powiedział, kiedy Roosevelt serwował swoje znakomite żeberka. Wszyscy wspólnicy są zdumieni i uszczęśliwieni, dodał cicho, rozglądając się po sali. Mitch uśmiechnął się sztucznie i zabrał do żeberek. Inni wspólnicy, zdumieni lub obojętni, prowadzili swobodną rozmowę, koncentrując się na jedzeniu. Mitch doliczył się osiemnastu obecnych wspólników i siedmiu emerytowanych, ubranych w spodnie khaki i swetry, rozglądających się zrelaksowanym wzrokiem.

— Jesteś niezwykle wytrwały, Mitch — zauważył Royce McKnight z pełnymi ustami. Mitch uprzejmie skinął głową. Tak, tak, cały czas ćwiczę wytrwałość, pomyślał. Starał się nie pamiętać o Joem Hodge'u i Martym Kozinskim oraz trzech innych zamordowanych prawnikach, których portrety wisiały na dole. Nie mógł jednak uwolnić się od obrazu dziewczyny na plaży. Zastanawiał się, czy wiedzą. Czy wszyscy widzieli zdjęcia? Czy puścili je wokół stołu podczas jednego z tych swoich lunchów, kiedy nie było gości, a tylko sami wspólnicy? DeVasher przyrzekł, że zachowa je w tajemnicy, ale ile jest warta obietnica zbira? Pewnie, że je widzieli. Voyles powiedział, że wszyscy wspólnicy i większość współpracowników należą do spisku.

Jak na człowieka niemającego apetytu doskonale radził sobie z jedzeniem. Żeby nie wzbudzić podejrzeń, posmarował masłem i zjadł dodatkową bułkę. Z jego apetytem wszystko w porządku.

— Za tydzień jedziecie z Abby na Kajmany, prawda? — zagadnął Oliver Lambert.

— Tak. Ma wtedy wiosenną przerwę. Dwa miesiące temu zarezerwowałem jeden z apartamentów. Nie możemy się doczekać wyjazdu.

— Wybrałeś najgorszy moment — powiedział Avery, krzywiąc się. — Mamy miesięczne zaległości.

— Jak zawsze, Avery. Czy jeden tydzień coś zmieni? Chcesz, żebym zabrał ze sobą robotę?

— Niezły pomysł, ja zawsze to robię.

— Daj sobie spokój z robotą, Mitch — zaprotestował bez przekonania Oliver Lambert. — Do twojego powrotu firma się nie zawali. Ty i Abby zasługujecie na tydzień dla siebie.

— Spodoba wam się — zapewnił Royce McKnight, jakby Mitch nigdy nie był na Kajmanach, jakby nie przydarzyła się ta przygoda na plaży i nikt nie wiedział o żadnych fotkach.

— Kiedy wyjeżdżacie? — zapytał Lambert.

— W niedzielę rano. Wcześniej.

— Polecicie learem?

— Nie, liniami Delta. Bez przesiadki.

Lambert i McKnight spojrzeli na siebie ukradkiem, tak by Mitch tego nie spostrzegł. Wspólnicy siedzący przy innych stołach rzucali spojrzenia w ich stronę, szybkie i zaciekawione. Mitch zauważył je, gdy tylko wszedł do sali. Poszedł tam, by dostrzeżono jego obecność.

— Nurkujesz? — spytał Lambert, nadal zastanawiając się nad learem i lotem liniami Delta, bez przesiadki.

— Nie, ale chcę popływać z rurką.

— W Rum Point, na północnym krańcu wyspy, jest facet o nazwisku Adrian Bench. Gość ma doskonały ośrodek nurkowy i wyrobi ci papiery

w ciągu tygodnia. To tydzień ciężkiej pracy, dużo nauki, ale warto.

Inaczej mówiąc, trzymaj się z dala od Abanksa, pomyślał Mitch.

— Jak się nazywa jego ośrodek? — zapytał.

— Rum Point Divers. Wspaniałe miejsce.

Mitch ściągnął brwi, udając, że stara się zapamiętać przydatną radę. Nagle na twarzy Olivera Lamberta pojawił się smutek.

— Uwważaj, Mitch. To miejsce przywołuje wspomnienia Marty'ego i Joego.

Na ułamek sekundy Avery i McKnight utkwili wzrok w talerzach, wspominając zmarłych kolegów. Mitch z trudem przełknął ślinę i o mało nie uśmiechnął się szyderczo do Olivera Lamberta. Na szczęście udało mu się zachować kamienną twarz, a nawet zdołał posłać mu smutne spojrzenie. Marty i Joe, dwie młode wdowy, i dzieci, które zostały bez ojców. Marty i Joe, dwóch młodych, zamożnych prawników zamordowanych, usuniętych, zanim zdołali pisać słowo. Voyles poradził Mitchowi, żeby pomyślał o Martym i Joem zawsze, gdy zobaczy Olivera Lamberta.

A teraz, za nędzny milion dolców, ma zrobić to, co zamierzali zrobić tamci, i to tak, by nie dać się złapać. Może za rok od dziś na tym krześle będzie siedział nowy współpracownik, obserwując, jak posmutniali wspólnicy wspominają młodego Mitcha McDeere'a, wytrwałego młodzieńca, który mógłby zostać wspaniałym prawnikiem, gdyby nie ten tragiczny wypadek. Ilu jeszcze gotowi są zabić?

Chciał dwa miliony. Dwa miliony i parę innych rzeczy.

Po godzinie poważnej gadki i dobrego jedzenia lunch dobiegł końca. Wspólnicy zaczęli się żegnać, zamieniając słówko z Mitchem i wychodząc z sali. Są z niego dumni, mówili. Jest ich najjaśniejszą gwiazdą. Przyszłością firmy Bendini, Lambert i Locke. Mitch słuchał, uśmiechał się i dziękował.

• • •

Kiedy Roosevelt podawał placek bananowy, Tammy Greenwood Hemphill z Greenwood Services zaparkowała swojego brudnego brązowego volkswagena rabbita za lśniącym peugeotem stojącym na szkolnym parkingu. Zrobiła cztery kroki, włożyła kluczyk do zamka bagażnika peugeota i wyjęła ciężką czarną teczkę. Zatrzasnęła klapę, wsiadła do swojego wozu i odjechała.

Abby stała przy małym oknie pokoju nauczycielskiego, pijąc kawę i patrząc przez drzewa i boisko na majaczący w oddali parking. Ledwo widziała swój samochód. Uśmiechnęła się i rzuciła okiem na zegarek. Dwunasta trzydzieści, jak zaplanowali.

Tammy jechała ostrożnie w południowym ruchu, kierując się do centrum miasta. Prowadzenie samochodu było męczące, kiedy człowiek musiał się przez cały czas gapić we wsteczne lusterko. Jak zwykle nie zauważyła niczego podejrzanego. Zaparkowała na swoim miejscu po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Giełdy Bawełny.

Tym razem teczek było dziewięć. Ułożyła je starannie na składanym stoliku i zaczęła kserować. Sigalas Partners, Lettie Plunk Trust, HandyMan Hardware i dwie teczki spięte grubą gumową opaską z napisem „Dokumenty Avery'ego”. Wykonała po dwie kopie każdej strony i starannie odłożyła na miejsce. W księdze wprowadziła datę, czas i tytuł każdego z tomów. Skopiowali już dwadzieścia dziewięć. Umieściła jedną kopię każdego dokumentu w zamykanym sejfie ukrytym w szafie, a następnie zapakowała do teczki komplet oryginalnych akt oraz jedną kopię.

Zgodnie z poleceniem Mitcha tydzień wcześniej wynajęła na swoje nazwisko magazyn o wymiarach trzy na trzy metry w Mini Storage przy Summer Avenue, w odległości dwudziestu kilometrów od centrum. Trzydzieści minut później otworzyła pomieszczenie oznaczone numerem 38C. W małym kartonowym pudle umieściła kopie dziewięciu tomów,

zapisując datę na wieczku. Następnie położyła je na podłodze obok trzech innych.

Punktualnie o piętnastej stanęła za peugeotem, otworzyła bagażnik i zostawiła walizkę tam, gdzie ją znalazła.

Kilka sekund później Mitch wyszedł frontowymi drzwiami Domu Bendiniego i rozprostował ramiona. Odetchnął głęboko i rozejrzał się po Front Street. Był piękny wiosenny dzień. Pięć przecznic na północ i dziewięć pięter w górze dostrzegł okno z opuszczonymi żaluzjami. Umówiony znak. Dobrze. Wszystko poszło znakomicie. Uśmiechnął się do siebie i wrócił do kancelarii.

• • •

O trzeciej rano Mitch wysunął się z łóżka. Cicho włożył wypłowiałe dżinsy i flanelową koszulę z nazwą szkoły prawniczej, białe ciepłe skarpety i stare buty robocze. Chciał wyglądać jak kierowca ciężarówki. Bez słowa pocałował Abby, która się obudziła, i wyszedł z domu. East Meadowbrook była pusta, podobnie jak inne ulice między ich domem i autostradą międzystanową. Z pewnością nie będą go śledzili o tej porze.

Pojechał międzystanową pięćdziesiątką na południe, do oddalonego czterdzieści kilometrów miasteczka Senatobia w stanie Missisipi. Ruchliwy całonocny parking ciężarówek, oznaczony symbolem 4-55, świecił jasno w odległości stu metrów od czteropasmówki.

Czarnoskóry facet w czapce Atlanata Falcons wyszedł zza rogu i spojrzał na bmw. Mitch rozpoznał agenta z dworca autobusowego w Knoxville. Zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

— McDeere? — spytał agent.

— Oczywiście, a któżby inny? Gdzie Tarrance?

— W boksie przy oknie. Czeka na ciebie.

Mitch otworzył drzwi auta i podał kluczyki agentowi.

— Dokąd go zabierzecie?

— Kawaleczek drogi stąd. Zatroszczymy się o twoje bmw.

Kiedy wyjeżdżałeś z Memphis, nikt cię nie śledził. Odpręż się.

Agent wszedł do samochodu, przejechał między dwiema pompami ropy i ruszył w kierunku autostrady międzystanowej. Mitch wszedł do kawiarenki dla kierowców, patrząc, jak jego samochód znika w oddali. Była trzecia czterdzieści pięć.

Hałaśliwe pomieszczenie wypełniali zwalisci faceci w średnim wieku, popijający kawę i pałaszujący placki. Wszyscy grzebali w zębach kolorowymi wykałaczkami i gadali basem o wędkowaniu i polityce. Wielu mówiło donośnym głosem z północnym akcentem, a z szafy grającej zawodził Merle Haggard.

Mitch szedł niezgrabnie w kierunku tylnej części sali, aż w nieoświetlonym rogu dostrzegł znajomą twarz ukrytą za ciemnymi okularami i bejsbolówką Michigan State. Twarz rozpromienił uśmiechem. Tarrance trzymał kartę dań i obserwował drzwi. Mitch wślizgnął się do boksu.

— Cześć, kolego — przywitał go Tarrance. — Jak się jeździ ciężarówką?

— Wspaniale, ale wolę autobus.

— Następnym razem spróbujemy pociągu albo czegoś w tym rodzaju. Dla urozmaicenia. Laney zabrał twój wóz?

— Laney?

— Ten czarnoskóry goguś. Agent, no wiesz.

— Nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Tak, odjechał moim samochodem. Dokąd go zabierze?

— Pojedzie kawalek międzystanową. Wróci za jakąś godzinę. Chcemy cię wyprawić przed piątą, żebyś zdążył do biura na szóstą. Nie chcielibyśmy

zdezorganizować ci dnia.

— Jest już wystarczająco zdezorganizowany.

Częściowo sparaliżowana kelnerka o imieniu Dot podeszła do ich stolika, żeby przyjąć zamówienie. Poprzestali na kawie. W drzwiach stanęła kolejna grupa królów szos, wypełniając kawiarnię. Zawodzenie Merle'a stało się ledwie słyszalne.

— Co słyhać w biurze? — zagadnął radośnie Tarrance.

— Wszystko w porządku. Licznik tyka, kiedy gadamy, i każdy staje się coraz bogatszy. Dzięki, że spytałeś.

— Nie ma sprawy.

— Jak się miewa mój stary kumpel Voyles? — zapytał Mitch.

— Jest zaniepokojony. Nie żartuję. Dzwonił dziś dwa razy i powtórzył po raz dziesiąty, że chce usłyszeć twoją odpowiedź. Powiedział, że miałeś wystarczająco dużo czasu i tak dalej. Odrzekłem, żeby się nie denerwował. Wspomniałem o naszym dzisiejszym spotkaniu przy autostradzie, był naprawdę podekscytowany. Dla ścisłości dodam, że mam do niego zadzwonić za cztery godziny.

— Powiedz mu, że milion dolców to za mało, Tarrance. Przechwalacie się, że wydajecie miliardy na zwalczanie zorganizowanej przestępczości, więc dlaczego nie mielibyście rzucić trochę w moją stronę? Czym są dwa miliony dolarów dla agencji federalnej?

— Dwa miliony?

— Dwa, dwa, do licha, i ani centa mniej. Chcę milion teraz i milion po robocie. Jestem w trakcie kopiowania dokumentów. Za kilka dni powinienem skończyć. Myślę, że to legalne sprawy. Gdybym je komuś przekazał, zostałbym na zawsze wykluczony z palestry. Chcę milion, kiedy je przekażę. Nazwijmy to zaliczką.

— Jak mamy zapłacić?



— Przelewem, na rachunek banku w Zurychu. Później omówimy szczegóły.

Dot postawiła na stole dwa spodki, na których umieściła dwie różne filiżanki. Napełniła je, rozpryskując kawę na wszystkie strony.

— Dokładki są darmo — wymamrotała i odeszła.

— A drugi milion? — zapytał Tarrance, ignorując kawę.

— Kiedy ty, ja i Voyles uznamy, że dostarczyłem dość dowodów, aby uzyskać wyrok skazujący, dostanę połowę drugiego miliona, a gdy ostatni raz złożę zeznania w sądzie, kolejną. To sprawiedliwie, Tarrance.

— Tak. Umowa stoi.

Mitch odetchnął głęboko, czując, że ogarnia go fala słabości. Umowa. Kontrakt. Porozumienie. Takie, które nigdy nie zostanie spisane, ale mimo to będzie potwornie wykonalne. Upił łyk podłej kawy. Umówili się co do pieniędzy. Jest na ich liście płac. Musi dążyć dalej.

— Jeszcze coś, Tarrance.

Tarrance opuścił głowę i nieznacznie przechylił w prawo.

— Taak?

Mitch przysunął się bliżej, opierając ciężar ciała na przedramionach.

— Nie będzie was to kosztować ani centa, załatwicie to bez trudu, rozumiesz?

— Słucham.

— Mój brat Ray siedzi w Brushy Mountain. Do zwolnienia warunkowego zostało mu siedem lat. Chcę, żeby wyszedł.

— Nie żartuj, Mitch. Mamy duże możliwości, ale, do licha, nie możemy załatwić zwolnienia warunkowego więźniom stanowym. Może federalnym, ale nie stanowym. To wykluczone.

— Posłuchaj mnie, Tarrance. Uważnie posłuchaj. Jeśli wyruszę w drogę z mafią na karku, brat pojedzie ze mną. To transakcja wiązana. Wiem, że jeśli

dyrektor Voyles będzie chciał go wyciągnąć, załatwi sprawę. Jestem tego pewny. Musicie tylko wykombinować, jak to zrobić.

— Nie możemy mieszać się do więźniów stanowych.

Mitch się uśmiechnął i upił łyk kawy.

— James Earl Ray uciekł z Brushy Mountain. Bez pomocy z zewnątrz — przypomniał.

— Wspaniale. Zaatakujemy więzienie jak komandosi i uwolnimy twojego brata. Piękna sprawa.

— Nie rznij głupka, Tarrance. To nie podlega dyskusji.

— Dobrze, dobrze. Zobaczę, co da się zrobić. Coś jeszcze? Jakies niespodzianki?

— Nie, tylko zwykłe pytania. Dokąd pojedziemy i co będziemy robili? Gdzie się ukryjemy na początku? I gdzie będziemy mieli kryjówkę podczas procesów? Gdzie zamieszkamy do końca życia? Takie tam banalne kwestie.

— Omówimy to później.

— Co powiedzieli Hodge i Kozinski?

— Za mało. Mamy notatnik, gruby notatnik, w którym zebraliśmy i uporządkowaliśmy wszystko, co wiemy o Morolto i firmie. Większość materiałów dotyczy rodziny Morolto, ich organizacji, głównych graczy, nielegalnych działań i tak dalej. Będziesz musiał go przeczytać, zanim zaczniemy.

— Co, oczywiście, nastąpi, kiedy otrzymam pierwszy milion.

— Jasne. Kiedy będziemy mogli obejrzeć twoje dokumenty?

— Za jakiś tydzień. Udało mi się skopiować cztery teczki należące do kogoś innego. Może uda mi się zgarnąć kilka innych.

— Kto kopiuje dokumenty?

— Nie twoja sprawa.

Tarrance pomyślał chwilę i machnął ręką.

— Ile tego będzie?

— Od czterdziestu do pięćdziesięciu teczek. Wynoszę je po kilka. Nad niektórymi sprawami pracowałem od ośmiu miesięcy, nad innymi zaledwie od tygodnia. O ile wiem, to legalni klienci.

— Ilu z nich poznałeś osobiście?

— Dwóch albo trzech.

— Nie zakładaj, że wszyscy są legalni — ostrzegł Tarrance. — Hodge powiedział nam o lewych teczkach, zapoconych, jak mówią wspólnicy. Sprawy ciągną się latami i każdy nowy współpracownik łamie sobie na nich zęby. To trudne przypadki wymagające setek godzin pracy, które sprawiają, że nowicjusze zaczynają się czuć jak prawdziwy prawnicy.

— Zapocone teczki?

— Tak powiedział Hodge. Sprawa jest prosta, Mitch. Kuszą cię forszą i zavalają robotą, która wygląda na legalną i w większości taka jest. Później, po kilku latach, okazuje się, że nieświadomie stałeś się uczestnikiem spisku. Jesteś osaczony, nie masz wyjścia. Nawet ty, Mitch. Podjąłeś pracę w lipcu, osiem miesięcy temu, więc pewnie miałeś już kontakt z kilkoma lewymi sprawami. Nie wiedziałeś o tym, nie miałeś powodu, by coś podejrzewać.

— Dwa miliony, Tarrance. Chcę dwa miliony i mojego brata — przypomniał Mitch.

Tarrance dopił letnią kawę, a kiedy Dot znalazła się w zasięgu głosu, zamówił kawałek kokosowego placka. Spojrzał na zegarek i przesunął wzrokiem po ciżbie kierowców ciężarówek palących papierosy, popijających kawę i gadających bez końca.

Poprawił okulary.

— Co mam powiedzieć Voylesowi? — spytał.

— Że nie dobijamy targu, jeśli nie zgodzi się wyciągnąć Raya z pudła. Bez tego się nie dogadamy, Tarrance.

— Pewnie zdoła coś załatwić.

— Nie mam wątpliwości.

— Kiedy wylatujesz na Kajmany?

— W niedzielę, wczesnym rankiem. Dlaczego pytasz?

— Z ciekawości.

— Słuchaj, chciałbym wiedzieć, ile grup będzie mnie tam śledziło. Czy proszę o zbyt wiele? Z pewnością przyciągnę całe tłumy, a szczerze mówiąc, mamy nadzieję na odrobinę prywatności.

— Zamieszkacie w firmowym apartamencie?

— Oczywiście.

— Możecie zapomnieć o prywatności. Więcej tam kabli niż w tablicy rozdzielczej. Może nawet zamontowali jakieś kamery.

— No to mnie pocieszyleś. Może spędzimy kilka nocy w ośrodku nurkowym Abanks Dive Lodge. Jeśli będziecie w pobliżu, wpadnijcie na drinka.

— Bardzo śmieszne. Jeśli się tam zjawimy, na pewno będziemy mieli powód, a ty nie będziesz wiedział o naszej obecności.

Tarrance pożarł placek trzema ruchami szczęk. Zostawił dwa dolary na stoliku i ruszyli w ciemny róg parkingu. Brudny asfalt drżał w nieprzerwanym pomruku całych akrów pracujących silników Diesla. Czekali w ciemności.

— Za kilka godzin pomówię z Voylesem — powiedział Tarrance. — Może zabrałbyś jutro żonę na spokojną przejażdżkę?

— W jakieś konkretne miejsce?

— Taak. Pięćdziesiąt kilometrów stąd jest miasto Holly Springs. Bardzo stare, pełne domów sprzed wojny secesyjnej i miejsc związanych z historią konfederatów. Kobiety lubią tam jeździć i oglądać stare rezydencje. Zjawcie się około szesnastej. Znajdziemy was. Nasz kumpel Laney będzie prowadził

jasnoczerwonego chevroleta blazera z rejestracją z Tennessee. Jedź za nim. Znajdziemy miejsce, w którym będzie można pogadać.

— Bezpieczne?

— Zaufaj nam. Jeśli zauważymy albo wyczujemy coś podejrzanego, rozstaniemy się. Kręćcie się po mieście przez jakąś godzinę. Jeśli nie zobaczycie Laneya, kupcie kanapki i wracajcie do domu. To znaczy, że tamci są za blisko. Nie będziemy ryzykowali.

— Dzięki. Wspaniałe z was chłopaki.

Laney wyjechał z za rogu bmw i wyskoczył z samochodu.

— Czysto. Nie zauważyłem niczego podejrzanego.

— Świetnie — powiedział Tarrance. — Do zobaczenia jutro, Mitch. Powodzenia w nowej robocie kierowcy. — Uścisnęli sobie ręce.

— Pamiętaj, że moje warunki nie podlegają negocjacji — przypomniał Mitch.

— Mów mi Wayne. Do zobaczenia jutro.

## Rozdział 25

Czarne burzowe chmury i zacinający deszcz dawno przepędziły turystów z Siedmiomilowej Plaży, kiedy McDeere'owie, przemoczeni i zmęczeni, stanęli przed drzwiami luksusowego dwupoziomowego apartamentu. Mitch zaparkował wypożyczonego jeepa mitsubishi przy krawężniku, naprzeciwko małego trawnika i frontowych drzwi apartamentu B. Poprzednim razem nocował w apartamencie A. Wyglądały identycznie oprócz koloru ścian i wykończeń. Klucz pasował do zamka. Kiedy wnieśli bagaże do środka, na niebie pojawiły się błyskawice, a deszcz się nasilił.

Znalazłszy się w suchym wnętrzu, rozpakowali walizki w głównej sypialni na piętrze, z długim balkonem wychodzącym na mokrą plażę. Uważając na słowa, zbadali dom, przeszukując każdy pokój i ubikację. Kiedy Mitch przygotował dwa drinki, rum z colą na cześć wyspiarzy, usiedli na balkonie i ze stopami w deszczu obserwowali wzburzony ocean gniewnie smagający brzeg. W oddali majaczył opustoszały bar Rumheads, gdzie siedzieli dwaj miejscowi, popijając drinki i przyglądając się morzu.

— To Rumheads — wyjaśnił Mitch, wskazując lokal szklanką.

— Rumheads?

— Opowiadałem ci. To modne miejsce, w którym turyści popijają miejscowe trunki, a miejscowi grają w domino.

— Rozumiem — mruknęła Abby bez większego entuzjazmu. Ziewnęła i rozparła się wygodnie na plastikowym krześle, zamykając oczy.

— Co ty wyprawiasz, Abby? To nasz pierwszy wspólny wyjazd z kraju, nasz miodowy miesiąc, a ty zasypiasz dziesięć minut po dotarciu na miejsce?

— Jestem zmęczona, Mitch. Całą noc się pakowałam, kiedy ty spałeś w najlepsze.

— Zabrałaś osiem walizek. Sześć dla siebie i dwie dla mnie. Nic dziwnego, że zajęło ci to całą noc.

— Nie chcę, żeby skończyły nam się ubrania.

— Jak to skończyły? Ile kompletów bikini zapakowałaś? Dziesięć? Dwanaście?

— Sześć.

— Wspaniale. Po jednym na każdy dzień. Może byś któreś włożyła?

— Co?

— Nie udawaj głuchej. Włóż to niebieskie, które wydłuża nogi. To z kilkoma sznureczkami z przodu, które waży pół grama i kosztuje sześćdziesiąt dolców. Kiedy chodzisz, podskakują ci w nich pośladki. Chciałbym to zobaczyć.

— Przecież pada, Mitch. Przywiozłeś mnie na tę wyspę w porze monsunów. Tylko spójrz na chmury. Są czarne, gęste i nieruchome. Czuję, że w najbliższym tygodniu nie będę potrzebowała bikini.

Mitch się uśmiechnął i zaczął masować jej nogi.

— Lubię deszcz. Właściwie miałem nadzieję, że będzie padać przez cały tydzień. Nie będziemy musieli wychodzić. Zostaniemy w łóżku, pijąc rum i próbując zrobić sobie krzywdę.

— Jestem zdumiona. Czyżbyś miał ochotę na seks? Przecież robiliśmy to już raz w tym miesiącu

— Dwa razy.

— Sądziłam, że chcesz cały tydzień pływać z rurką i nurkować.

— Nie. Pewnie w wodzie czai się na mnie jakiś rekin.

Podmuchy wiatru się nasiliły i balkon siekły strugi deszczu.

— Zdejmijmy ubrania — zaproponował Mitch.

• • •

Po godzinie burza zaczęła się oddalać. Deszcz osłabł, przerodził się w delikatną mżawkę, by w końcu całkowicie ustać. Niebo pojaśniało, kiedy ciemne niskie chmury przesunęły się znad małej wyspy, podążając na północ, w kierunku Kuby. Tuż przed planowanym zachodem słońce wynurzyło się nagle na krótki bis. Opróżniło domki przy plaży i mieszkania w mieście, apartamenty i pokoje hotelowe, zachęcając turystów do spacerów plażą. Bar Rumheads nagle zapełnił się graczami w rzutki i spragnionymi spacerowiczami. Gracze wrócili też do partyjki domina tam, gdzie ją przerwali, a zespół grający reggae w pobliskim Palms zaczął stroić instrumenty.

Mitch i Abby szli brzegiem oceanu w kierunku Georgetown, oddalając się od miejsca, w którym Mitch poznał dziewczynę. Czasami o niej myślał, o niej i zdjęciach. Doszedł do wniosku, że była profesjonalistką, że DeVasher zapłacił jej, aby go uwiodła przed ukrytym fotografem. Nie spodziewał się, że teraz ją spotka.

Nagle muzyka ucichła. Ludzie na plaży zamarli i jak na komendę podnieśli głowy. Hałas dolatujący od strony Rumheads ucichł i wszystkie oczy obserwowały chwilę spotkania słońca z oceanem. Szare i białe obłoki, sunące po niebie niczym wspomnienie burzy, wisiały nisko nad horyzontem, skąpane w promieniach słońca. Z wolna zmieniały odcień, przybierając pomarańczową, żółtą i czerwoną barwę. Blade kolory nagle nabrały intensywności i zaśniły. Przez kilka krótkich sekund niebo przypominało płótno ubarwione przez słońce śmiałymi pociągnięciami pędzla, wspaniałą feerię barw. Później jasny pomarańczowy dysk dotknął wody i po chwili zniknął. Chmury zrobiły się czarne i rozproszone. Taki był zachód słońca na Kajmanach.



• • •

Zdenerwowana Abby ostrożnie lawirowała między pojazdami, przedzierając się przez dzielnicę handlową w porannym szczycie. Pochodziła z Kentucky i nigdy tak długo nie jeździła lewą stroną drogi. Mitch udzielał jej wskazówek i zerkał we wsteczne lusterko. Wąskie uliczki i chodnik były wypełnione turystami oglądającymi wystawy, szukającymi sklepów bezcłowych z porcelaną, kryształami, perfumami, aparatami fotograficznymi i biżuterią.

Kiedy Mitch wskazał niewidoczną boczną uliczkę, jeep skręcił szybko między dwie grupy turystów. Pocałował Abby w policzek.

— Spotkamy się tu o siedemnastej.

— Bądź ostrożny — poprosiła. — Pojadę do banku, a później będę na plaży, w pobliżu apartamentu.

Mitch zatrzasnął drzwi i zniknął między dwoma małymi sklepikami. Aleja prowadziła do szerszej ulicy opadającej w kierunku zatoki Hogsty. Dał nura do zatłoczonego sklepu pełnego stojaków i półek z koszulkami dla turystów, słomkowymi kapeluszami i okularami przeciwsłonecznymi. Wybrał krzykliwą zielonopomarańczową koszulę w kwiaty oraz panamę. Dwie minuty później wybiegł ze sklepu i wskoczył na tylne siedzenie przejeżdżającej taksówki.

— Na lotnisko! — krzyknął. — Szybko! Oglądaj się do tyłu! Ktoś może nas śledzić!

Kierowca nie odpowiedział. Przemknął obok banków i wyjechał z miasta. Dziesięć minut później zatrzymał się przed budynkiem lotniska.

— Czy ktoś nas śledził? — spytał Mitch, sięgając po pieniądze.

— Nie, proszę pana. Należą się cztery dolary i dziesięć centów.

Mitch podał piątkę przez fotel i wszedł szybko do hali terminalu. Samolot linii Cayman Airways do Cayman Brac odlatywał o dziewiątej. W sklepie

z upominkami kupił kubek kawy i ukrył się między rzędami półek z pamiątkami. Obserwował poczekalnię, ale nie zauważył nikogo podejrzanego. Oczywiście nie miał zielonego pojęcia, jak tamci wyglądają, ale nikt nie węszył w pobliżu ani nie szukał zaginionych pasażerów. Może pojechali za jeepem albo przeczesywali dzielnicę handlową, żeby go znaleźć. Może.

Za siedemdziesiąt pięć kajmańskich dolarów zarezerwował ostatnie miejsce w dziesięcioosobowym trzysilnikowym trislanderze. Abby zabukowała miejsce z automatu telefonicznego w noc ich przylotu na wyspę. W ostatniej chwili wybiegł z hali odlotów na pas startowy i wszedł na pokład. Pilot zatrzaskała drzwi. Chwilę później zaczęli kołować do startu. Z prawej strony zauważył mały hangar.

Dziesięcioro turystów podziwiała błękitne jasne niebo, niewiele mówiąc podczas trwającego dwadzieścia minut lotu. Kiedy zaczęli podchodzić do lądowania na lotnisku w Cayman Brac, pilot zamienił się w przewodnika i wykonał małe koło nad maleńką wysepką. Pokazał im wysokie urwiska na wschodnim krańcu. Bez tych urwisk, powiedział, wyspa byłaby tak płaska jak Wielki Kajman. Później miękko posadził maszynę na wąskim asfaltowym pasie.

Obok małego białego domu o drewnianej konstrukcji z napisem „Lotnisko” wymalowanym na wszystkich ścianach stał mężczyzna rasy kaukaskiej o krótko obciętych włosach, obserwując pasażerów w pośpiechu opuszczających samolot. Agent specjalny Rick Acklin czuł, jak pot kapie mu z nosa, a koszulka lepi się do pleców. Zrobił kilka kroków do przodu.

— Mitch — rzucił jakby do siebie.

McDeere zawahał się, ale po chwili ruszył za nim.

— Samochód czeka przed budynkiem — poinformował Acklin.

— Gdzie Tarrance? — Mitch rozejrzał się nerwowo.

— Czeka.

— Czy wóz ma klimatyzację?

— Obawiam się, że nie. Szkoda.

Samochód nie miał klimatyzacji, wspomagania ani kierunkowskazów. To LTD rocznik 1974, powiedział Acklin. Gdy jechali zakurzoną drogą, wyjaśnił, że na Cayman Brac nie ma większego wyboru, jeśli chodzi o samochody do wynajęcia. Rząd Stanów Zjednoczonych wynajął wóz, bo on i Tarrance nie mogli znaleźć taksówki. Mieli szczęście, że w ogóle zdołali wynająć pokój.

Ujrzeni małe schludne domki, a po chwili pojawiło się morze. Zaparkowali na piaszczystym parkingu ośrodka nurkowego o nazwie Brac Divers. Przy starym pomoście wychodzącym w morze kotwiczyła setka łodzi różnej wielkości. Po zachodniej stronie wzdłuż plaży stało kilkanaście krytych strzechą domków, w których mieszkali nurkowie z całego świata. Obok pomostu przycupnął otwarty bar — bezimienny, ale za to z dominem i strzałkami. Wykonane z dębu i mosiądzu wentylatory bezszelestnie wirowały między krokwiami, chłodząc grających w domino i barmana.

Wayne Tarrance siedział samotnie przy stoliku, popijając colę i obserwując grupę nurków ładujących tysiące identycznych żółtych butli z pomostu do łodzi. Jego strój był odlotowy, nawet jak na turystę. Okulary przeciwsłoneczne w żółtych oprawkach, brązowe sandały z rafii, najwyraźniej nowe, do tego czarne skarpety, obcisła hawajska koszula luau w dwudziestu krzykliwych barwach i złote sportowe szorty, bardzo stare, bardzo krótkie i zasłaniające bardzo niewielką część chorobliwie białych nóg spoczywających pod stołem. Skinął szklanką coli, wskazując dwa miejsca.

— Ładna koszulka, Tarrance — zauważył Mitch, nie kryjąc rozbawienia.

— Dzięki. Też się nieźle odstroileś.

— Piękna opalenizna.

— Taak, taak. Trzeba zadbać o stosowny wygląd.

Obok stanął kelner, czekając na zamówienie. Acklin poprosił o colę, a Mitch o colę z odrobiną rumu. Cała trójka utkwiała wzrok w łodzi i nurkach ładujących na pokład sprzęt.

— Co się stało w Holly Springs? — spytał w końcu Mitch.

— Przepraszam, ale nie mogliśmy nic zrobić. Jechali za wami od Memphis, a w Holly Springs czekały dwa inne samochody.

— Czy rozmawiałeś z żoną o tym wyjeździe? — spytał Acklin.

— Tak. Wspomnieliśmy o nim kilka razy.

Acklin wyraźnie się uspokoił.

— Byli gotowi na wasz przyjazd. Zielony skylark jechał za wami trzydzieści kilometrów. Później zniknął. Wtedy odwołaliśmy operację.

Tarrance wypił łyk coli i powiedział:

— W sobotę późną nocą wasz lear wyleciał z Memphis. Wylądował na Wielkim Kajmanie bez lądowania technicznego. Sądzymy, że na pokładzie było dwóch albo trzech zbirów. Maszyna wystartowała w niedzielę wczesnym rankiem i wróciła do Memphis.

— A więc są tutaj i nas śledzą?

— Oczywiście. Mieli pewnie jednego albo dwóch ludzi w samolocie, którym przyleciałeś z Abby. Mężczyzn, kobiety albo parę. Tajniak mógł być czarnoskórym gogusiem lub Azjatką. Kto wie? Pamiętaj, Mitch, że mają mnóstwo forsy. Rozpoznaliśmy dwóch z nich. Jeden był w Waszyngtonie, kiedy brałeś udział w konferencji. Blondyn, koło czterdziestki, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Krótkie włosy, silny gość o nordyckich rysach. Bardzo szybko się porusza. Zauważyliśmy go wczoraj za kierownicą czerwonego forda escorta wypożyczonego w Coconut Car Rentals na wyspie.

— Chyba go widziałem — odrzekł Mitch.

— Gdzie? — zapytał Acklin.

— W barze na lotnisku w Memphis tamtej nocy, gdy wróciłem do Memphis. Zauważyłem, że mnie obserwuje, i pomyślałem, że widziałem go już wcześniej w Waszyngtonie.

— To on. Facet tu jest — potwierdził Tarrance.

— A drugi?

— Tony Verkler. Nazywamy go Dwutonowym Tonym. To recydywista o imponującej liście wyroków, głównie w Chicago. Od lat pracuje dla Morolto. Waży ze sto pięćdziesiąt kilogramów, ale świetnie sobie radzi w inwigilacji, bo nie wzbudza podejrzeń.

— Siedział w Rumheads ostatniej nocy — dodał Acklin.

— Ostatniej nocy? Byliśmy tam.

Łódź nurków odbiła od pomostu i skierowała się na otwarte morze. Za pomostem rybacy w małych łodziach ze skośnymi żaglami wyciągali sieci, a żeglarze sterowali barwnymi katamaranami, oddalając się od brzegu. Po ospałym przebudzeniu wyspa ożyła. Połowa łódek zacumowanych przy pomoście wypłynęła w morze albo się do tego szykowała.

— Kiedy przyjechaliście? — spytał Mitch, popijając drinka, w którym więcej było rumu niż coli.

— W niedzielę wieczorem — odrzekł Tarrance, obserwując łódź nurków wolno znikającą na horyzoncie.

— Zapytam z czystej ciekawości: ilu ludzi macie na Kajmanach?

— Czterech mężczyzn i dwie kobiety — powiedział Tarrance. Acklin milczał, przekazując ciężar prowadzenia rozmowy przełożonemu.

— Dlaczego przylecieliście? — chciał wiedzieć Mitch.

— Z kilku powodów. Po pierwsze, chcemy z tobą pogadać i w końcu dobić targu. Dyrektorowi Voylesowi bardzo zależy na umowie, którą uznasz za satysfakcjonującą. Po drugie, chcemy ich obserwować, żeby ustalić, ilu

mają tu ludzi. Poświęcimy cały tydzień, żeby ustalić, kim są. Wyspa jest mała. To dobre miejsce do takiej obserwacji.

— Po trzecie, chciałeś się opalić?

Acklin cicho zachichotał. Tarrance się uśmiechnął, po czym ściągnął brwi.

— Niezupełnie. Jesteśmy tu, żeby cię chronić.

— Chronić?

— Tak. Ostatnim razem rozmawiałem przy tym stole z Joem Hodge'em i Martym Kozinskim. Jakies dziewięć miesięcy temu. Dokładnie dzień przed ich śmiercią.

— Myślisz, że chcą mnie zamordować?

— Nie, przynajmniej nie teraz.

Mitch skinął na barmana, prosząc o kolejnego drinka. Partyjka domina zaczynała się robić emocjonująca. Patrzył, jak miejscowi kłócą się i piją piwo.

— Posłuchajcie, chłopcy. Kiedy tak sobie gaworzymy, te zbiry, jak ich nazywacie, śledzą pewnie moją żonę na Wielkim Kajmanie. Będę trochę zdenerwowany, kiedy wrócę. Co z naszą umową?

Tarrance odwrócił głowę i utkwiał wzrok w Mitchu.

— Zgadzą się na dwa miliony i...

— Znakomicie, Tarrance. Czy nie doszliśmy już do porozumienia w tej sprawie?

— Uspokój się, Mitch. Zapłacimy pierwszy milion, kiedy przekażesz dokumenty. Od tego momentu, jak to mówią, nie będzie odwrotu. Będiesz w tym tkwił po szyję.

— Rozumiem, Tarrance. Pamiętaj, że sam to zaproponowałem.

— To łatwa część. Nie zależy nam na twoich aktach, bo są czyste. To dobre akta. Legalne. Chcemy dotrzeć do brudnych, Mitch, z wyrokiem

skazującym wypisanym na okładce. Te będzie znacznie trudniej zdobyć, ale gdy to zrobisz, zapłacimy kolejne pół miliona. Reszta zostanie wypłacona po ostatnim procesie.

— Co z moim bratem?

— Spróbujemy.

— To za mało, Tarrance. Chcę zobowiązania.

— Nie możemy obiecać, że wyciągniemy twojego brata z pudła. Do licha, zostało mu jeszcze co najmniej siedem lat odsiadki.

— To mój brat, Tarrance. Nie obchodzi mnie, czy jest seryjnym mordercą czekającym w celi śmierci na ostatni posiłek. To mój brat, jeśli chcecie mnie, musicie wyciągnąć jego.

— Powiedziałem, że spróbujemy, ale nie możemy się zobowiązać. Nie istnieje legalny, oficjalny ani zgodny z prawem sposób wyciągnięcia go z pudła, więc będziemy musieli improwizować. Co byś powiedział, gdyby został zastrzelony podczas próby ucieczki?

— Po prostu go wyciągnijcie, Tarrance.

— Spróbujemy.

— Czy użyjecie wszystkich wpływów i środków, jakimi dysponuje FBI, żeby pomóc mojemu bratu w ucieczce, Tarrance?

— Masz moje słowo.

Mitch rozparł się na krześle i upił duży łyk. Wreszcie doszli do porozumienia. Odetchnął z ulgą i posłał uśmiech wspaniałym Karaibom.

— Kiedy dostaniemy twoje akta? — spytał Tarrance.

— Sądziłem, że ich nie chcecie. Że są zbyt czyste, zapomniałeś?

— Chcemy ich, Mitch, bo gdy będziemy je mieli, będziemy mieli ciebie. Dowiedzisz swoich intencji, kiedy przekażesz nam dokumenty, swoją prawniczą licencję, jeśli można się tak wyrazić.

— Za dziesięć do piętnastu dni.

— Ile tego będzie?

— Od czterdziestu do pięćdziesięciu tomów. Małe mają prawie trzy centymetry grubości. Większe nie zmieściłyby się na stole. Nie mogę kopiować ich w biurze, więc musiałem znaleźć inne rozwiązanie.

— Może moglibyśmy ci pomóc w kopiowaniu? — spytał Acklin.

— Chyba nie. Gdybym potrzebował waszej pomocy, może bym zapytał.

— Jak chcesz je przekazać? — zainteresował się Tarrance, a Acklin znów zamilkł.

— W bardzo prosty sposób, Wayne. Kiedy wszystkie skopiuję, a mój milion znajdzie się tam, gdzie chcę, żeby się znalazł, przekażę wam klucz do pewnego małego pokoju w rejonie Memphis, a wtedy będziecie mogli załadować je do swojej furgonetki.

— Powiedziałem, że przelejemy forszę na rachunek w banku szwajcarskim — przypomniał Tarrance.

— Nie chcę, żeby pieniądze powędrowały na szwajcarski rachunek, rozumiesz? Sam ustalę warunki transferu, zrobicie dokładnie to, o co poproszę. Chodzi o moją głowę, chłopcy, więc to ja będę decydował. Przynajmniej w większości spraw.

Tarrance się uśmiechnął, mruknął coś pod nosem i spojrzał na pomost.

— Nie ufasz Szwajcarom?

— Poprzestańmy na tym, że upatrzyłem sobie inny bank. Pamiętaj, że pracuję dla gości, którzy piorą brudną forszę, Wayne. Stałem się specjalistą od ukrywania forsy na zagranicznych kontach.

— Przekonamy się.

— Kiedy będę mógł zapoznać się z notatnikiem o Morolto? — spytał Mitch.

— Gdy dostaniemy twoje dokumenty i zapłacimy pierwszą ratę. W miarę możliwości wprowadzimy cię w sprawę, ale zasadniczo będziesz zdany na



własne siły. Będziemy musieli się często spotykać, a to, oczywiście, jest bardzo niebezpieczne. Możemy przejechać się kilka razy autobusem.

— Zgoda, tylko następnym razem siadam obok przejścia.

— Jasne. Gość wart dwa miliony może sobie wybrać miejsce w autobusie Greyhound.

— Nie dożyję tego, by się nimi nacieszyć, Wayne. Przecież wiesz.

• • •

Mitch zobaczył go pięć kilometrów za Georgetown, na wąskiej krętej drodze prowadzącej do Bodden Town. Facet zaglądał pod otwartą maskę volkswagena beetle, jakby pojazd odmówił posłuszeństwa. Był ubrany jak miejscowy, żadnych turystycznych ciuchów. Mógłby bez trudu zostać wzięty za jednego z Brytyjczyków pracujących dla rządu lub banków. Był opalony. Trzymał w ręku jakiś klucz, któremu przyglądał się z uwagą, jednocześnie obserwując jeepa mitsubishi zbliżającego się lewą stroną drogi. Nordyk.

Mieli nie zauważyć jego obecności.

Mitch instynktownie zwolnił do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, by na niego zaczekać. Abby odwróciła się i obserwowała drogę. Wąska autostrada biegnąca do Bodden Town przywarła do linii wybrzeża na odcinku ośmiu kilometrów, a następnie rozwidła się i ocean znikł z oczu. Kilka minut później zielony volkswagen Nordyka wypadł z za lekkiego zakrętu. Jeep McDeere'a był znacznie bliżej, niż sądził. Zorientowawszy się, że jest widoczny, skręcił w pierwszy wysypany białym żwirem podjazd po stronie oceanu.

Mitch dodał gazu i jego jeep odjechał z dużą szybkością w kierunku Bodden Town. Na zachód od małej osady skręcił na południe, a po przejechaniu około kilometra znalazł się nad oceanem.

Była dziesiąta, a parking przed ośrodkiem Abanks Dive Lodge był

w połowie pełni. Dwie łodzie z nurkami wypłynęły pół godziny temu. McDeere'owie weszli szybko do baru, gdzie Henry podawał już piwo i papierosy grającym w domino.

Barry Abanks stał oparty o słup, na którym wspierał się trzciniowy dach, obserwując, jak dwie łodzie z nurkami znikają za cyplem. Każda miała w planie dwa nurkowania w takich miejscach, jak Bonnie's Arch, Devil's Grotto, Eden Rock i Roger's Wreck Point, gdzie Abanks tysiące razy nurkował i oprowadzał wycieczki. Niektóre z tych miejsc odkrył.

McDeere'owie podeszli do niego i Mitch cicho przedstawił żonę. Ten powitał ją uprzejmie, choć z dystansem. Cała trójka ruszyła w kierunku małego pomostu, przy którym marynarze przygotowywali do wypłynięcia dwudziestometrową łódź rybacką. Abanks rzucił niezrozumiałą wiązaną komend w kierunku młodych żeglarzy, którzy udawali głuchych albo nie bali się szefa.

Mitch stanął obok Abanksa, który przejął rolę kapitana i wskazał bar oddalony pięćdziesiąt metrów od pomostu.

— Zna pan tych ludzi przy barze? — zapytał.

Abanks spojrzał na niego i ściągnął brwi.

— Ktoś mnie śledził, kiedy tu jechałem. Spytałem z ciekawości — wyjaśnił Mitch.

— Ci sami co zwykle — odparł Abanks. — Żadnych obcych.

— Zauważył pan jakichś obcych kręcących się tu dziś rano?

— Posłuchaj pan, to miejsce przyciąga obcych. Nie zapisuję w księdze wszystkich obcych i znajomych, którzy się tu kręcą.

— Widział pan otyłego Amerykanina o rudych włosach? Ważącego ze sto pięćdziesiąt kilogramów?

Abanks pokręcił głową. Odepchnęli łódź i odbili od pomostu, kierując się w stronę horyzontu. Abby siedziała na małej wyściełanej ławce i patrzyła, jak

w oddali znikają budynki centrum nurkowego. W winylowej torbie leżącej między jej nogami znajdowały się dwa komplety nowych płetw i masek. Wyprawa wyglądała na typową podróż w celu nurkowania z rurką i wędkowania, oczywiście jeśli ryby będą brać. Szef zgodził się z nimi popłynąć dopiero wtedy, gdy Mitch oznajmił, że muszą pomówić o sprawach osobistych. Sprawach osobistych związanych ze śmiercią jego syna.

• • •

Z osłoniętego balkonu domku plażowego Cayman Kai Nordyk obserwował dwie głowy nurkujących znikające pod wodą i wynurzające się w pobliżu łodzi rybackiej. Podał lornetkę Dwutonowemu Tony'emu Verklerowi, który szybko znudził się patrzeniem i zwrócił ją koledze. Piękna blondynka w jednoczęściowym czarnym kostiumie z wycięciami na nogi sięgającymi niemal żeber stanęła za Nordykiem i sięgnęła po lornetkę.

— Nie kapuję — westchnął Tony. — Skoro chcieli poważnie pogadać, po co wzięli chłopaka? Na co im dodatkowa para uszu?

— Może gadają o nurkowaniu z rurką i łowieniu ryb? — podsunął Nordyk.

— Wątpię — powiedziała blondynka. — Abanks rzadko wypływa łodzią rybacką. Woli towarzystwo nurków. Musiał mieć dobry powód, żeby zmarnować dzień w towarzystwie dwóch niedoświadczonych pływaków.

— Co to za mały? — spytał Tony.

— Jeden z chłopców na posyłki — odpowiedziała blondynka. — Ma ich kilkunastu.

— Mogłabyś z nim pogadać? — spytał Nordyk.

— Racja — przyklasnął Tony. — Pokaż mu kawałek ciała, daj niuch koki, to zaśpiewa.

— Spróbuję.

— Jak mu na imię? — spytał Nordyk.

— Keith Rook.

• • •

Keith Rook zacumował łódź do pomostu przy barze Rum Point. Mitch, Abby i Abanks wyszli na brzeg i ruszyli w kierunku plaży. Keith nie został zaproszony na lunch. Został na łodzi i zaczął leniwie czyścić pokład.

Bar Shipwreck znajdował się w odległości stu metrów od brzegu, pod gęstą zasłoną drzew dających cień. Za oknami z zamkniętymi okiennicami panował półmrok i wilgoć, a wiatraki u sufitu obracały się, skrzypiąc. Nie było tam muzyki reggae, domino ani strzałek. Południowi goście skupili się przy stołach, pogrążeni w rozmowie.

Siedząc przy stole, mieli widok na północ, na morze. Zamówili cheeseburgery i piwo — typowe żarcie wyspiarzy.

— Ten bar jest inny — zauważył cicho Mitch.

— Zupełnie inny — przytaknął Abanks. — Nie bez powodu. To ulubione miejsce spotkań handlarzy narkotyków, którzy mają dużo ładnych domów i apartamentów na wyspie. Przylatują prywatnymi odrzutowcami, deponują pieniądze w naszych licznych znakomitych bankach i spędzają kilka dni, by skontrolować stan swoich nieruchomości.

— Miłe sąsiedztwo.

— Bardzo, naprawdę. Mają miliony i trzymają się z boku.

Kelnerka, silna, dobrze zbudowana Mulatka, postawiła na stole trzy butelki jamajskiego piwa Red Stripe, nie mówiąc ani słowa. Abanks pochylił się do przodu, opierając ciężar tułowia na łokciach i pochylając głowę w sposób charakterystyczny dla ludzi prowadzących rozmowy w barze Shipwreck.

— Sądzicie, że zdołacie odejść? — zapytał.

Mitch i Abby pochylili się ku niemu jak na komendę, tak że trzy głowy zetknęły się pośrodku stołu, nad piwem.

— Nie odejść, ale uciec. Zamierzamy zwiewać, ile sił w nogach. Uciekniemy, ale będziemy potrzebowali twojej pomocy.

Abanks pomyślał chwilę, po czym podniósł głowę.

— Co mam zrobić? — spytał, upijając pierwszy łyk red stripe'a.

Abby zauważyła ją pierwsza, bo tylko kobieta mogłaby dostrzec inną kobietę wysilającą się tak elegancko, by podsłuchać ich małą pogaduszkę. Siedziała odwrócona plecami do Abanksa, była dobrze zbudowaną blondynką z twarzą częściowo ukrytą za tanimi czarnymi gumowymi okularami przeciwsłonecznymi zasłaniającymi znaczną część twarzy. Babka obserwowała ocean i przysłuchiwała im się odrobinę zbyt uporczywie. Kiedy pochylili się ku sobie, wyprostowała się i nasłuchiwała jak diabli. Siedziała sama przy stoliku dla dwóch osób.

Abby wbiła paznokcie w nogę męża i przy ich stoliku zrobiło się cicho. Blondynka w czerni nasłuchiwała, by po chwili skierować uwagę na swój stolik i swojego drinka.

• • •

W piątek, po tygodniu spędzonym na Kajmanach, Wayne Tarrance zadbał o swoją garderobę. Zniknęły sandały, obcisłe szorty i okulary przeciwsłoneczne dobre dla małolata. Zniknęły też chorobliwie blade nogi. Przybrały teraz jasnoróżowy kolor, spalone jak raki. Po trzech dniach spędzonych na tropikalnym zadupiu, znanym jako Cayman Brac, on i Acklin, działając w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych, wynajęli tani pokoik na Wielkim Kajmanie, kilka kilometrów od Siedmiomilowej Plaży, z dala od niezamieszkanego części wyspy. Urządzili w nim centrum dowodzenia, z którego monitorowali wszystkie wyjścia i powroty McDeere'ów oraz

innych ludzi, którzy wzbudzili ich zainteresowanie. W motelu o wdzięcznej nazwie Coconut dzielili mały pokój, w którym znajdowały się dwa łóżka i prysznic z zimną wodą. W środę rano skontaktowali się z obiektem, czyli McDeere'em, żądając jak najszybszego spotkania. Odmówił. Był zbyt zajęty. Powiedział, że razem z żoną odrabiają zaległy miesiąc miodowy i nie ma czasu na spotkanie. Może później, oznajmił.

W czwartek wieczorem, kiedy Mitch i Abby jedli granika z grilla w restauracji Lighthouse przy drodze do Bodden Town, Laney, a właściwie agent Laney, ubrany w miejscowe ciuchy i wyglądający jak typowy czarnuch z Kajmanów, zatrzymał się przy ich stoliku i podyktował zasady. Tarrance nalegał na spotkanie.

Na Kajmany trzeba było sprowadzać kurczaki. Nie te najlepsze, ale wyłącznie średniej wielkości, których nie jadali miejscowi, a jedynie Amerykanie przebywający z dala od domu, traktujący je jako podstawowy składnik swojego jadłospisu. Pułkownik Sanders dokonał pieprzonego cudu, ucząc dziewczęta z wyspy, które miały czarną albo prawie czarną skórę, jak piec kurczaki, bo wiedza ta była im wcześniej zupełnie obca.

Dzięki temu agent specjalny Wayne Tarrance, gość pochodzący z Bronxu, mógł zaaranżować szybkie potajemne spotkanie w barze sieci Kentucky Fried Chicken na Wielkim Kajmanie. W jedynym punkcie tego rodzaju. Sądził, że lokal będzie świecił pustkami. Okazało się, że był w błędzie.

Setka wygłodzonych turystów z Georgii, Alabamy i Teksasu obsiadła bar, pozerając chrupiącego kurczaka z sałatką coleslaw i ziemniaczanym purée. W Tupelo smakowało to lepiej, ale od biedy dało się zjeść.

Tarrance i Acklin siedzieli w boksie w zatłoczonej restauracji i nerwowo obserwowali wejście. Mogli jeszcze odwołać akcję. W lokalu było po prostu za dużo ludzi. Wreszcie zjawił się Mitch i stanął w długiej kolejce. Po kilku

minutach przysiadł się do ich stolika z małym czerwonym pudełeczkiem. Nie powiedział „cześć” ani nic w tym rodzaju. Nie przywitał się, tylko zaczął jeść posiłek złożony z trzech składników, za który zapłacił prawie pięć kajmańskich dolarów. Za importowanego kurczaka!

— Gdzie byłeś? — spytał Tarrance.

Mitch zaatakował udko.

— Na wyspie. To idiotyczne miejsce na spotkanie, Tarrance. Za dużo ludzi.

— Wiemy, co robimy.

— Jasne, jak w koreańskim sklepie z butami.

— Wspaniale. Dlaczego nie chciałeś spotkać się w środę?

— W środę byłem zajęty. Jestem czysty?

— Jasne. Laney zagroziłby ci drogę w drzwiach, gdyby było inaczej.

— To miejsce mnie denerwuje, Tarrance.

— Dlaczego pojechałeś do Abanksa?

Mitch otarł usta, trzymając w ręku częściowo zjedzone udko niezbyt okazałych rozmiarów.

— Facet ma łódkę. Chciałem popływać z rurką i połowić ryby, więc dobiliśmy targu. Gdzie byłeś, Tarrance? Śledziłeś nas łodzią podwodną?

— Co powiedział Abanks?

— Słuchaj, facet zna mnóstwo słów! „Cześć”. „Podaj piwo”. „Kto nas śledzi?”. Ma naprawdę bogate słownictwo.

— Śledzili cię? Widziałeś?

— Oni? Jacy oni? Wy czy oni? Śledzą mnie tak uporczywie, że z mojego powodu tworzą się korki na ulicach.

— Żli faceci, Mitch. Ci z Memphis, Chicago i Nowego Jorku. Ci, którzy jutro cię zabiją, jeśli nie będziesz milutki.

— Jestem wzruszony. No więc śledzili mnie. Gdzie ich za sobą

zaciągnąłem? Na pływanie? A może na ryby? Daj spokój, Tarrance. Oni śledzą mnie, ty śledzisz ich, ty śledzisz mnie, oni śledzą ciebie. Jeśli za bardzo przyhamuję, będę miał w dupie dziesięć nosów. Dlaczego się tu spotkaliśmy, Tarrance? To miejsce aż roi się od ludzi.

Tarrance rozejrzał się, wyraźnie sfrustrowany.

Mitch zamknął pudełko po udkach.

— Posłuchaj, Wayne, jestem zdenerwowany, odechciało mi się jeść.

— Wyluzuj się. Byłeś czysty od chwili, gdy wyszedłeś ze swojego apartamentu.

— Zawsze jestem czysty, Tarrance. Pewnie tak samo było z Hodge'em i Kozinskim. U Abanksa też byli czysti. Byli czysti na łodzi, a później na swoim pogrzebie. To kiepski pomysł, Tarrance. Wychodzę.

— W porządku. Kiedy odlatuje twój samolot?

— Dlaczego pytasz? Chcecie go śledzić? Zamierzacie śledzić mnie czy tamtych? A jeśli oni zaczną śledzić was? Jeśli wszystko nam się pomiesza i zaczną śledzić każdego?

— Daj spokój, Mitch.

— O dziewiątej czterdzieści rano. Spróbuję zarezerwować ci miejsce. Przy oknie, obok Dwutonowego Tony'ego.

— Kiedy dostaniemy nasze teczki? — chciał wiedzieć Tarrance.

Mitch wstał, trzymając pudełko z jedzeniem.

— Za jakiś tydzień. Daj mi dziesięć dni, Wayne. Żadnych spotkań w miejscach publicznych. Pamiętaj, że oni zabijają prawników, a nie głupich agentów FBI.



## Rozdział 26

O ósmej rano, w poniedziałek, Oliver Lambert i Nathan Locke przeszli przez bramkę w betonowej ścianie na piątym piętrze i ruszyli labiryntem małych pokoików. DeVasher już na nich czekał. Zamknął za nimi drzwi i wskazał krzesła. Jego krok nie należał do najbardziej energicznych. Nocą stoczył długą, przegraną bitwę z wódką. Oczy nabiegły mu krwią, a z każdym oddechem mózg napierał na kości czaszki.

— Wczoraj rozmawiałem z Lazarovem w Las Vegas. Wyjaśniłem najlepiej, jak umiałem, dlaczego macie opory przed wylaniem czterech prawników: Lyncha, Sorrella, Buntina i Myersa. Przekazałem mu wasze rozsądne argumenty. Powiedział, że się nad tym zastanowi, ale zażądał, aby ci czterej pracowali wyłącznie nad czystymi sprawami. Mamy nie ryzykować i uważnie ich obserwować.

— Ten Lazarov to naprawdę miły gość, prawda? — mruknął Oliver Lambert.

— Tak. Potrafi być czarujący. Powiedział, że pan Morolto od sześciu tygodni przynajmniej raz w tygodniu pyta o firmę. Dodał, że wszyscy są naprawdę zaniepokojeni.

— Co mu odpowiedziałeś?

— Że obecnie sytuacja wydaje się bezpieczna. Przecieki zostały uszczelnione. Nie sądzę, żeby mi uwierzył.

— Co słyhać u McDeere'a?

— Spędził z żoną upojny tydzień. Widziałeś ją w bikini? Nosła je przez cały tydzień. Niesamowity widok. Zrobiliśmy kilka zdjęć, dla żartu.

— Nie przyszedłem tu, żeby oglądać zdjęcia! — odburknął Locke.

— Nie musisz mi tego mówić. Spędzili cały dzień z tym małym gościem Abanksem. Tylko oni trzej i jeden marynarz. Pływali, łowili ryby i długo gadali. Nie wiemy o czym. Nie udało nam się zbliżyć na odpowiednią odległość. Mam poważne podejrzenia, chłopaki. Bardzo poważne.

— Nie widzę powodu — odrzekł Oliver Lambert. — Mogli rozmawiać wyłącznie o łowieniu ryb i nurkowaniu oraz Hodge'u i Kozinskim. Nawet jeśli gadali o nich, co w tym złego?

— McDeere nie miał okazji ich poznać, Oliverze — zauważył Locke. — Dlaczego miałby się interesować ich śmiercią?

— Pamiętaj, że podczas pierwszego spotkania Tarrance powiedział mu, że śmierć tamtych nie była przypadkowa — powiedział DeVasher. — Może wcielił się w rolę Sherlocka Holmesa i szuka dowodów?

— Nie znajdzie ich, prawda DeVasher?

— Do czorta, nie! Wykonaliśmy doskonałą robotę. Oczywiście kilka pytań pozostało bez odpowiedzi, ale kajmańska policja jest przekonana, że nie zdoła ich znaleźć. Naszemu McDeere'owi też się to nie uda.

— W takim razie, dlaczego się martwisz? — zapytał Lambert.

— Bo martwią się ci w Chicago, Ollie. Płacą mi bardzo przyzwoitą forszę, żebym martwił się w Memphis. Dopóki federalni nie zostawią nas w spokoju, wszyscy będą zmartwieni, rozumiesz?

— Co robili oprócz tego?

— To, co zwykle się robi, wypoczywając na Kajmanach. Seks, słońce, rum, zakupy i zwiedzanie. Mieliśmy na Kajmanach trzech ludzi. Kilka razy ich zgubili, ale miejmy nadzieję, że to nic poważnego. Już mówiłem, że nie można śledzić gościa dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu tak, żeby się nie połapał. Czasami musieliśmy odpuścić.

— Myślisz, że McDeere zaczął sypać? — zapytał Locke.

— Wiem, że facet kłamie. Okłamał nas w sprawie tego incydentu w koreańskim sklepie z butami miesiąc temu. Nie chcieliście mi uwierzyć, ale jestem przekonany, że dobrowolnie wszedł do sklepu, bo chciał pogadać z Tarrance'em. Jeden z naszych popełnił błąd i za bardzo się zbliżył, więc spotkanie zostało przerwane. McDeere mówi co innego, ale sądzę, że właśnie tak było. Taak, Nat, uważam, że facet sypie. Może spotyka się z Tarrance'em, żeby kazać mu iść do diabła? Może razem popalają trawkę? Nie wiem.

— Nie masz niczego konkretnego, DeVasher — stwierdził Ollie.

Mózg DeVashera wywierał coraz większy nacisk na czaszkę. Bolało tak, że można było oszaleć.

— Nie, Ollie. Nic takiego, jak w przypadku Hodge'a i Kozinskiego, jeśli o to pytasz. Tamtych mamy na taśmie i wiemy, o czym rozmawiali. McDeer jest inny.

— Ale również jest złotodziobem — przypomniał Nat.

— Pracuje u nas dopiero od ośmiu miesięcy i nic nie wie. Spędza tysiące godzin nad zapoconymi aktami i zajmuje się tylko legalnymi klientami. Avery bardzo ostrożnie podsuwa mu sprawy. Już o tym rozmawialiśmy.

— Nie ma nic do powiedzenia, bo nic nie wie — dodał Ollie. — Marty i Joe dużo wiedzieli, ale pracowali u nas od lat. McDeere jest nowy.

DeVasher delikatnie rozmasował sobie skronie.

— W takim razie zatrudniliście niezłego kretyna. Załóżmy, że FBI ma przecucie, kto jest naszym największym klientem. W porządku. Spróbujcie myśleć razem ze mną. Załóżmy, że Hodge i Kozinski przekazali im dość informacji, aby ustalić jego tożsamość. Rozumiecie, do czego zmierzam? Załóżmy, że federalni powiedzieli McDeere'owi wszystko, co wiedzą, oczywiście z pewnymi upiększeniami. Nagle wasz nieopierzony nowicjusz zamienia się w bardzo inteligentnego faceta. Bardzo inteligentnego i bardzo niebezpiecznego.

— Jak chcesz tego dowieść?

— Po pierwsze, nasilimy obserwację. Będziemy śledzili jego żonę przez okrągłą dobę. Już zadzwoniłem do Lazarova i poprosiłem o więcej ludzi. Powiedziałem, że potrzebujemy kilku nowych twarzy. Jutro jadę do Chicago, żeby zdać sprawozdanie Lazarowowi i być może panu Morolto. Lazarov sądzi, że Morolto ma kreta w FBI, faceta z bliskiego otoczenia Voylesa, który sprzeda nam informacje. Domyślam się, że to będzie sporo kosztowało. Mają dokonać oceny sytuacji i podjąć decyzję.

— Powiesz im, że McDeere zaczął sypać? — spytał Locke.

— Powiem im, co wiem i co podejrzewam. Obawiam się, że jeśli będziemy biernie czekali na dowody, może być za późno. Jestem pewny, że Lazarov będzie chciał omówić plan wyeliminowania faceta.

— Wstępny plan? — spytał Ollie z nutką nadziei.

— Etap wstępny mamy już za sobą, Ollie.

• • •

Do tawerny Hourglass\* w Nowym Jorku wchodzi się z Czterdziestej Szóstej Ulicy, niedaleko skrzyżowania z Dziewiątą Aleją. Mały lokal, ciemna dziura w ścianie, z dwudziestoma dwoma miejscami, stał się sławny z powodu wyśrubowanych cen dań i ograniczenia czasu posiłku do pięćdziesięciu dziewięciu minut. Na ścianach, nieco powyżej stolików, klepsydry z białym piaskiem cicho przesypują sekundy i minuty, czekając, aż sędzia czasowy — kelnerka — ogłosi koniec. Lokal odwiedzany licznie przez mieszkańców Broadwayu jest zwykle pełny, a wierni fani czekają na chodniku na wolne miejsce.

Lou Lazarov lubił ten lokal z powodu półmroku i tego, że można w nim było swobodnie porozmawiać. Krótco, nie

\* *Hourglass* (ang.)  
— klepsydra.

dłużej niż pięćdziesiąt dziewięć minut. Lubił go, bo nie znajdował się na terenie Małych Włoch i nie był włoską knajpą. Chociaż tawerna należała do Sycylijszczyków, nie musiał jeść ich zarcia. Lubił ten lokal, bo urodził się i przeżył pięćdziesiąt lat w dzielnicy teatrów. Później centrala przeniosła się do Chicago, więc on też tam powędrował. Jednak gdy interesy wymagały jego obecności w Nowym Jorku, co zdarzało się przynajmniej dwa razy w tygodniu, i gdy musiał się spotkać z kimś o równorzędnej pozycji z innej rodziny, zawsze proponował Hourglass. Tubertini zajmował taką samą pozycję jak on, no, może ciut wyższą. Niechętnie zgodził się na ten lokal.

Lazarov zjawił się pierwszy i nie musiał czekać na stolik. Wiedział z doświadczenia, że tłum rzednie około szesnastej, szczególnie w czwartki. Zamówił lampkę czerwonego wina. Kelnerka przewróciła klepsydrę nad jego głową i zaczął się wyścig z czasem. Siedział przy stoliku od frontu, zwrócony twarzą do ulicy, plecami do wnętrza lokalu. Był grubym pięćdziesięcioośmioletnim mężczyzną o masywnej klatce piersiowej i dużym brzuchu. Oparł się ciężko o stół przykryty biało-czerwonym kraciastym obrusem i obserwował ruch na Czterdziestej Szóstej Ulicy.

Na szczęście Tubertini zjawił się tuż po nim. Czekając na niego, stracił niecałą jedną czwartą piasku w klepsydrze. Kiedy uprzejmie podali sobie ręce, Tubertini rozejrzał się pogardliwie po małej salce, posłał Lazarowowi sztuczny uśmiech i spojrzał niechętnie na swoje miejsce przy oknie. Będzie siedział plecami do ulicy, co uznał za bardzo irytujące. Bardzo irytujące i niebezpieczne. Ale jego samochód stał na zewnątrz, a w środku siedziało dwóch ludzi. Postanowił być uprzejmy. Zręcznie precyzyjnie przycisnął się koło małego stolika i usiadł.

Z Tubertiniego był niezły elegant. Trzydziestosiedmioletni facet miał za teścia staruszkę Palumbo. Został członkiem rodziny, poślubił jego córkę jedynaczkę. Był szczupły i opalony, o krótkich czarnych włosach starannie

wypomadowanych i zaczesanych do tyłu. Zamówił czerwone wino.

— Jak się miewa mój przyjaciel Joey Morolto? — spytał z olśniewającym uśmiechem.

— Znakomicie, a pan Palumbo?

— Bardzo chory i bardzo nerwowy. Jak zwykle.

— Przekaż mu wyrazy uszanowania ode mnie.

— Nie omieszkam.

Kelnerka podeszła do stolika i spojrzała groźnie na klepsydrę.

— Tylko wino — powiedział Tubertini. — Nie będę jadł.

Lazarov rzucił okiem na menu i oddał je kelnerce.

— Proszę o grindwala z wody i jeszcze jedną lampkę wina.

Tubertini rzucił okiem na swoich ludzi w samochodzie. Wyglądali, jakby zapadli w drzemkę.

— Co się stało w Chicago?

— Nic. Potrzebujemy tylko paru informacji, to wszystko. Słyszeliśmy, oczywiście z niepotwierdzonego źródła, że macie w Biurze wiarygodnego informatora. W bliskim otoczeniu Voylesa.

— A jeśli mamy, to co?

— Potrzebujemy od niego paru informacji. Mam małą firmę w Memphis, na którą FBI ma dużą chrapkę. Podejrzewamy, że jeden z pracowników może być na ich liście płac, ale pewnie nie uda nam się go przyłapać.

— A gdybyście go przyłapali?

— Wycięlibyśmy draniowi wątrobę i nakarmili nią szczury.

— Widzę, że sprawa jest poważna.

— Bardzo poważna. Coś mi mówi, że federalni wzięli naszą małą firmę na cel, i jesteśmy trochę zdenerwowani.

— Powiedzmy, że mój człowiek ma na imię Alfred i jest bliskim współpracownikiem Voylesa.

— Rozumiem. Potrzebujemy od Alfreda bardzo prostej odpowiedzi. Musimy wiedzieć, czy nasz pracownik współpracuje z FBI. Tak lub nie.

Tubertini obserwował Lazarova, popijając wino.

— Proste odpowiedzi to specjalność Alfreda — odrzekł w końcu. — Najbardziej przepada za tymi w rodzaju „tak” lub „nie”. Z jego usług korzystaliśmy dwa razy. W krytycznej sytuacji. W obu przypadkach pytanie brzmiało: „Czy federalni wejdą tu albo tam?”. Alfred jest bardzo ostrożny. Nie sądzę, aby przekazał wam wiele szczegółów.

— Ma dokładne informacje?

— Śmiertelnie dokładne.

— W takim razie powinien być w stanie nam pomóc. Jeśli odpowiedź będzie twierdząca, podejmiemy odpowiednie kroki. Jeśli przecząca, nasz pracownik zostanie uwolniony od podejrzeń, a firma będzie funkcjonować jak dawniej.

— Alfred jest bardzo drogi — ostrzegł Tubertini.

— Tego się obawiałem. Ile?

— Pracuje w Biurze od szesnastu lat. Przywiązuje dużą wagę do kariery. Właśnie dlatego jest taki ostrożny. Ma dużo do stracenia.

— Ile?

— Pół miliona.

— Cholera!

— Oczywiście będziemy mieli mały udział w tej transakcji. W końcu Alfred to nasz człowiek.

— Mały udział?

— Bardzo mały, naprawdę. Większość forsy powędruje do Alfreda. Wiesz, gość codziennie rozmawia z Voylesem. Ma gabinet niedaleko jego biura.

— Zgoda. Zapłacimy.

Tubertini uśmiechnął się zwycięsko, skosztował wina i powiedział:

— Myślę, że mnie pan okłamał, Lazarov. Wspomniał pan o małej firmie w Memphis. To kłamstwo?

— Tak.

— Jak się nazywa?

— Kancelaria Bendini, Lambert i Locke.

— Rozumiem.

— A nazwisko tego pracownika?

— Mitchell McDeere.

— Może to zająć dwa do trzech tygodni. Zaaranżowanie spotkania z Alfredem to poważniejsza akcja.

— Rozumiem. Spróbujcie się pospieszyć.



## Rozdział 27

Wizyty żon w cichej fortecy przy Front Street praktycznie się nie zdarzały. Mówiono co prawda, że są tam mile widziane, ale raczej nie zachęcano ich do odwiedzin. I dlatego Abby McDeere weszła frontowymi drzwiami niezaproszona i niezapowiedziana. Stwierdziła, że koniecznie musi zobaczyć się z mężem. Recepcjonistka zadzwoniła do Niny na drugie piętro, która już po kilku sekundach zjawiała się i ciepło przywitała żonę szefa. Wyjaśniła, że Mitch jest na spotkaniu. „Zawsze ma jakieś cholerne spotkanie, odpowiedziała Abby. Wyciągnij go stamtąd!”. Szybko przeszły do jego gabinetu, gdzie Abby zamknęła za sobą drzwi i czekała.

Mitch przyglądał się chaotycznym przygotowaniom Avery'ego do kolejnego wyjazdu. Sekretarki wpadały na siebie i pakowały teczki, gdy tymczasem Avery wrzeszczał do telefonu. Mitch siedział na sofie z notesem w rękę i patrzył. Partner wybierał się na dwa dni na Kajmany. Piętnasty kwietnia majaczył w kalendarzu niczym tykająca bomba, a tamtejsze banki dysponowały pewnymi dokumentami, które miały krytyczne znaczenie. Taka praca, powtarzał Avery. Mówił o tym wyjeździe od pięciu dni, bał się go, kłął na niego, ale uważał, że jest nieunikniony. Leciał learem, który już czekał, jak powiedziała sekretarka.

Stoi na lotnisku prawdopodobnie wyładowany forszą, pomyślał Mitch.

Avery z trzaskiem odłożył słuchawkę i wziął płaszcz. Weszła Nina i spojrzała na Mitcha.

— Panie McDeere, przyszła pańska żona. Mówi, że to wyjątkowa sprawa — oznajmiła.

Chaos ustał. Mitch popatrzył spokojnie na Avery'ego. Sekretarki zamarły.

— O co chodzi? — zapytał, podnosząc się.

— Czeka w pańskim gabinecie — dodała Nina.

— Muszę lecieć, Mitch — rzucił Avery. — Jutro do ciebie zadzwonię.

Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

— Jasne. — Mitch w milczeniu zszedł za Niną po schodach. W gabinecie Abby siedziała przy jego biurku. Zamknął drzwi na klucz. Przyglądał jej się bardzo uważnie.

— Muszę jechać do domu, Mitch.

— Dlaczego? Co się stało?

— Ojciec właśnie zadzwonił do szkoły. Znaleźli guz w płucach mamy. Jutro będzie operowana.

Mitch odetchnął głęboko.

— Współczuję ci. — Nie dotknął jej. Ona nie płakała.

— Muszę iść. Wzięłam wolne w szkole.

— Na jak długo? — To było drażliwe pytanie.

— Nie wiem, Mitch. Powinniśmy od siebie odpocząć. W tej chwili męczy mnie mnóstwo rzeczy, potrzebuję czasu. Myślę, że to dobrze zrobi nam obojgu.

— Porozmawiajmy o tym.

— Jesteś zbyt zajęty, żeby rozmawiać, Mitch. Od sześciu miesięcy próbuję z tobą porozmawiać, ale ty mnie nie słyszysz.

— Jak długo cię nie będzie, Abby?

— Nie wiem. To zależy od mamy. Nie, to zależy od wielu rzeczy.

— Przerażasz mnie, Abby.

— Wrócę, obiecuję. Nie wiem kiedy. Może za tydzień. Może za miesiąc.

Muszę uporządkować parę spraw.

— Miesiąc?

— Nie wiem, Mitch. Potrzebuję trochę czasu, i tyle. I powinnam być przy mamie.

— Mam nadzieję, że z tego wyjdzie. Naprawdę.

— Wiem. Pojadę do domu, spakuję trochę rzeczy i wyjadę mniej więcej za godzinę.

— Dobrze. Uważaj na siebie.

— Kocham cię, Mitch.

Skinął głową i patrzył, jak Abby otwiera drzwi. Nie uściskali się.

• • •

Technik na piątym piętrze przewinął taśmę i nacisnął guzik alarmowy połączony bezpośrednio z gabinetem DeVashera, który zjawił się natychmiast i założył słuchawki na swoją wyjątkowo dużą głowę. Słuchał przez moment.

— Przewiń do tyłu — polecił. Milczał przez kolejną chwilę. — Kiedy to było? — zapytał.

Technik popatrzył na cyfrowy wyświetlacz.

— Dwie minuty i czternaście sekund temu. W jego gabinecie na drugim piętrze.

— Niech to jasna cholera. Ona od niego odchodzi, prawda? Wcześniej nie było słowa o rozwodzie albo separacji?

— Nie. Wiedziאלby pan o tym. Kłócili się o jego pracoholizm, on nienawidzi jej rodziców. Ale nigdy coś takiego.

— Tak, tak. Zapytaj Marcusa i dowiedz się, czy słyszał coś wcześniej. Przesłuchaj taśmy na wypadek, gdybyśmy coś przeoczyli. Cholera, cholera, cholera!

• • •

Abby wyruszyła do Kentucky, ale nigdy tam nie dojechała. Godzinę jazdy na zachód od Nashville zjechała z autostrady międzystanowej numer 40 i skręciła na północ w autostradę numer 13. Nie zauważyła, żeby ktoś za nią jechał. Czasami pędziła sto trzydzieści na godzinę, potem jechała osiemdziesiątką. Nadal nikogo. W małym mieście Clarksville, niedaleko granicy Kentucky, skierowała się niespodziewanie na wschód autostradą numer 112. Godzinę później wjechała do Nashville lokalną szosą i jej czerwony peugeot wtopił się w miejski ruch uliczny.

Samochód zostawiła na długoterminowym parkingu na lotnisku w Nashville i złapała autobus do terminalu. W toalecie na lotnisku przebrała się w szorty khaki, mokasyny i granatowy wełniany pulower. Ubranie było trochę za lekkie jak na tę porę roku, ale jechała do cieplejszego miejsca. Sięgając do ramion włosy związała w koński ogon i wcisnęła go za kołnierz. Zmieniła okulary przeciwsłoneczne, a sukienkę, pantofle i rajstopy wepchnęła do płóciennej sportowej torby.

Niecałe pięć godzin od wyjazdu z Memphis podeszła do stanowiska odprawy Delta i podała bilet. Poprosiła o miejsce przy oknie.

Żaden z lotów Delta nie omija Atlanty, na szczęście jednak nie musiała przesiadać się do innego samolotu. Siedziała przy oknie i patrzyła na zmrok zapadający nad ruchliwym lotniskiem. Denerwowała się, ale próbowała o tym nie myśleć. Wypiła kieliszek czerwonego wina i czytała „Newsweeka”.

Dwie godziny później wylądowała w Miami i wysiadła z samolotu. Szybko przeszła przez lotnisko, podchwytyjąc spojrzenia, które ignorowała. Powtarzała sobie, że to zwykłe, przydarzające się jej na co dzień spojrzenia wywołane podziwem i pożądaniem. I nic więcej.

Przy stanowisku Cayman Airways pokazała bilet powrotny oraz wymagany akt urodzenia i prawo jazdy. Kajmańczycy to uroczy ludzie, ale nie wpuszczą do swojego kraju nikogo, kto nie ma wykupionego biletu

powrotnego. Przyjeżdżajcie, prosimy, wydawajcie tu pieniądze, ale potem wracajcie do siebie. Jeśli łaska.

Abby usiadła w kącie zatłoczonej sali i próbowała czytać. Młody ojciec ze śliczną żoną i dwojgiem małych dzieci bez przerwy zerkał na jej nogi, poza tym jednak nikt nie zwracał na nią uwagi. Samolot na Kajmany startował za pół godziny.

• • •

Po trudnym początku Avery nabrał rozpędu i spędził siedem godzin w mieszczącej się w Georgetown na Kajmanach filii Royal Bank of Montreal. Kiedy wyszedł o siedemnastej, w udostępnionej mu bezpłatnie sali konferencyjnej pełno było wydruków komputerowych i wyciągów z kont. Miał zamiar dokończyć nazajutrz. Potrzebował McDeere'a, ale okoliczności bardzo ograniczały jego możliwości wyjazdu. Avery był wykończony, chciało mu się pić. Na plaży panował upał.

W Rumheads zamówił piwo i precyzyjnie przeszedł przez ludzką cizbę na patio, gdzie rozglądał się za stolikiem. Gdy pewnym siebie krokiem mijał stół, przy którym grano w domino, Tammy Greenwood Hemphill z Greenwood Services, zdenerwowana, choć z pozoru zupełnie spokojna, usiadła na stołku przy barze. Przyglądała mu się. Jej opalenizna pochodziła ze sklepu, była utrwalona w solarium, niektóre miejsca miała ciemniejsze od innych, niemniej można jej było pozazdrościć takiego koloru skóry pod koniec marca. Włosy miała teraz ufarbowane, nie tlenione, na ciepły piaskowy blond, jej makijaż również był stonowany. Bikini było małym cudem: jaskrawopomarańczowe i fluorescencyjne, natychmiast przyciągało uwagę. Ogromne piersi cudownie wypychały miseczki i napinały ramiączka do granic możliwości. Niewielki skrawek materiału z tyłu nie miał szans na zakrycie czegokolwiek. Dobiegała czterdziestki, ale ze dwadzieścia par

wygłodniałych oczu podążało za nią do baru, gdzie zamówiła wodę sodową i zapaliła papierosa. Paliła i obserwowała Avery'ego.

Był kobieciarzem. Dobrze wyglądał i wiedział o tym. Sączył piwo i bez pośpiechu oglądał wszystkie kobiety w promieniu pięćdziesięciu metrów. Zatrzymał wzrok na młodej blondynce i wydawało się, że jest gotowy do startu, gdy pojawił się jej facet, a ona usiadła mu na kolanach. Avery wrócił do popijania piwa i omiatania wzrokiem okolicy.

Tammy zamówiła następną wodę sodową z kroplą soku z limonki i ruszyła na patio. Avery natychmiast wlepił wzrok w jej duże piersi i patrzył, jak podrygują, gdy szła.

— Mogę się dosiąść? — zapytała.

Wstał i odsunął dla niej krzesło.

— Proszę bardzo.

Dla niego była to wspaniała chwila. Ze wszystkich wygłodniałych sępów kręcących się po barze i patiu w Rumheads wybrała jego. Miewał młodsze laleczki, ale w tym miejscu i czasie ona była najlepszym towarem.

— Jestem Avery Tolleson. Z Memphis.

— Miło mi poznać. Jestem Libby. Libby Lox z Birmingham. — Teraz stała się Libby. Miała siostrę o tym imieniu i matkę Doris. Miała też cholerną nadzieję, że zabrzmiało to naturalnie. Choć nie nosiła obrączki, była żoną faceta, który przedstawiał się jako Elvis i przebywał teraz w Oklahoma City, wcielając się w Króla, i prawdopodobnie rznął nastolatki w podkoszulkach z napisem „Love Me Tender”.

— Co panią tu sprowadza? — zagadnął Avery.

— Tylko wypoczynek. Przyjechałam dziś rano. Zatrzymałam się w Palms. A pana?

— Jestem doradcą podatkowym i choć zabrzmiało to idiotycznie, przyjechałem w interesach. Muszę tu przyjeżdżać kilka razy w roku.

Prawdziwa tortura.

— Gdzie pan mieszka?

Pokazał ręką.

— Moja firma ma dwa apartamenty, o tam. To śliczny, drobny skutek odpisów od podatku.

— Ładnie wyglądają.

Podrywacz nie wahał się ani chwili.

— Chciałaby je pani obejrzyć?

Tammy zachichotała jak nastolatka.

— Może później.

Uśmiechnął się do niej. To będzie łatwe. Uwielbiał te wyspy.

— Co pani pije? — zainteresował się.

— Gin z tonikiem. Plus kropla limonki.

Poszedł do baru i wrócił z drinkami. Przysunął swoje krzesło bliżej kobiety. Teraz ich nogi się stykały. Piersi spoczywały wygodnie na stoliku. Spojrzał na nie.

— Jesteś sama? — Odpowiedź nie była trudna do przewidzenia, ale musiał zadać to pytanie.

— Tak. A ty?

— Też. Masz jakieś plany na obiad?

— Właściwie żadnych.

— To dobrze. Od osiemnastej zaczynają podawać na wolnym powietrzu w świetnej knajpie w Palms. Najlepsze owoce morza na wyspie. Dobra muzyka. Poncz. Oprawa jak trzeba. I żadnych wymagań dotyczących ubioru.

— Brzmi cudownie.

Teraz siedzieli jeszcze bliżej siebie, a jego ręka nagle znalazła się między jej kolanami. Łokieć położył obok jej lewej piersi i się uśmiechał. Ona też się uśmiechnęła. W sumie nie jest to znowu takie nieprzyjemne, pomyślała, ale

ma przecież sprawę do załatwienia.

Barefoot Boys zaczęli stroić instrumenty i rozpoczęła się impreza. Włóczędzy żyjący ze zbierania na plażach tego, co wyrzuciło morze, nadciągali do Palms ze wszystkich stron. Tubylcy w białych kurtkach i białych szortach ustawiali w rzędach składane stoliki i nakrywali je grubymi bawełnianymi obrusami. Powietrze wypełniał zapach gotowanych krewetek, grillowanych serioli i smażonych filetów z rekina. Zakochana para, Avery i Libby, przyszli, trzymając się za ręce na dziedzińcu Palms i ustawili w kolejce do bufetu.

Przez trzy godziny ucztowali, tańczyli i pili, i znowu tańczyli, i strasznie się na siebie napalali. Kiedy on już się upił, Libby wróciła do wody sodowej. Miała sprawę do załatwienia. O dwudziestej drugiej Avery zaczął się rozczulać, więc zabrała go z parkietu do tańca i zaprowadziła do apartamentu znajdującego się obok. Zaatakował ją przy frontowych drzwiach, gdzie całowali się i obmacywali przez pięć minut. Udało mu się otworzyć drzwi kluczem, więc weszli do środka.

— Jeszcze jeden drink — powiedziała Libby zawsze chętna do wypicia.

Avery poszedł do baru i przygotował dla niej gin z tonikiem. Sam pił whisky z wodą. Usiedli na balkonie przed sypialnią i patrzyli na półksiężyc odbijający się w łagodnie falującym morzu.

Libby piła równo z nim, pomyślał, więc skoro ona da radę wypić jeszcze jednego, to on nie będzie gorszy. Tymczasem znów musiał iść za potrzebą, dlatego przeprosił ją i wyszedł. Szkocka z wodą stała na wiklinowym stoliku między nimi. Uśmiechnęła się na ten widok. Jest łatwiej, niż się o to modliła. Zza pomarańczowego skrawka między nogami wyjęła małą plastikową torebkę i wrzuciła do jego szklanki dwie pastylki wodzianu chloralu. Napiła się ginu z tonikiem.

— Do dna, wielkoludzie — powiedziała, kiedy wrócił. — Chcę iść do



łóżka.

Wziął szklanę i upił spory łyk. Kubki smakowe miał zablokowane od wielu godzin. Kolejny łyk i zaczął się odprężyć. Następny łyk. Głowa kiwała mu się na boki i w końcu broda opadła na pierś, a oddech stał się ciężki.

— Słodkich snów, kochanie — szepnęła Tammy.

Dwie pastylki wodzianu chloralu skutecznie usypiają mężczyznę o wadze około osiemdziesięciu kilogramów na dziesięć godzin. Wzięła jego szklanę i wylała to, co zostało. Niewiele tego było. Osiem godzin, żeby niepotrzebnie nie ryzykować. Ściągnęła go z fotela i zawlokła do łóżka. Bardzo delikatnie zdjęła mu żółto-niebieskie szorty i rzuciła na podłogę. Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, a potem opatulila prześcieradłem i kocem. Pocałowała go też na dobranoc.

Na toaletce znalazła kółko z jedenastoma kluczami. Na dole w holu, między kuchnią i salonem z widokiem na plażę, znalazła tajemnicze drzwi, na które Mitch natrafił w listopadzie. Obszedł wtedy wszystkie pokoje na górze i na dole i ustalił, że to pomieszczenie musi mieć co najmniej cztery i pół na cztery i pół metra. Budziło podejrzenia, bo drzwi były metalowe, zamknięte na klucz i przymocowano do nich niewielką tabliczkę z napisem „Magazyn”. W całym mieszkaniu tylko ten pokój oznaczono. Tydzień wcześniej w apartamencie B Mitch i Abby nie natknęli się na podobne pomieszczenie.

Na kółku były klucze do mercedesa, dwa do Domu Bendiniego, do prywatnego domu, dwa do apartamentów i do biurka. Klucze na drugim kółku niczym się nie wyróżniały i nie były opisane. Tammy wypróbowała je jako pierwsze. Czwarty pasował. Wstrzymała oddech i otworzyła drzwi. Żadnego porażenia prądem, alarmu, nic. Mitch powiedział jej, żeby otworzyła drzwi i odczekała pięć minut, sprawdzając, czy nic się nie stanie, a dopiero potem zapaliła światło.

Odczekała dziesięć minut. Mitch przypuszczał, że apartament A był wykorzystywany przez współników i zaufanych gości, a apartament B przez współpracowników i innych ludzi wymagających ciągłej obserwacji. Przez to, jak miał nadzieję, apartament A nie jest nafaszerowany podsłuchami, kamerami, magnetofonami i alarmami. Po dziesięciu minutach otworzyła drzwi na oścież i zapaliła światło. Znowo odczekała chwilę, ale niczego nie usłyszała. Pokój okazał się kwadratowy, mniej więcej cztery i pół na cztery i pół metra, z białymi ścianami, bez żadnych dywanów. Stało tam, jak policzyła, dwanaście ognioodpornych szafek na akta. Powoli podeszła do jednej z nich i wyciągnęła górną szufladę. Nie była zamknięta.

Zgasiła światło, zamknęła drzwi i wróciła do sypialni na górze, gdzie nieprzytomny Avery głośno chrapał. Była dwudziesta druga trzydzieści. Miała zamiar tyrać jak wariatka przez osiem godzin i skończyć o szóstej rano.

Obok biurka w rogu stały w równym rzędzie trzy duże teczki. Wzięła je, zgasiła światło i wyszła frontowymi drzwiami. Na niewielkim parkingu było ciemno i pusto. Żwirowany podjazd prowadził do autostrady. Chodnik biegł wzdłuż żywopłotu przed każdym z apartamentów i kończył się przy białym płocie ogradzającym działkę. Przez furtkę wychodziło się na niski porośnięty trawą pagórek, za którym znajdował się pierwszy budynek Palms.

Od apartamentów do Palms było niedaleko, ale teczki stały się znacznie cięższe, gdy dotarła do pokoju sto osiemdziesiąt osiem, który znajdował się na parterze od frontu, z widokiem na basen, ale nie na plażę. Dyszała i pociła się, gdy zapukała do drzwi.

Otworzyła Abby. Wzięła od niej teczki i postawiła na łóżku.

— Jakież problemy?

— Nie, jak na razie. Myślę, że padł jak trup. — Tammy wytarła twarz ręcznikiem i otworzyła puszkę coli.

— Gdzie on jest? — zapytała Abby rzeczowo, bez uśmiechu.

— We własnym łóżku. Moim zdaniem mamy osiem godzin. Do szóstej.

— Dostałaś się do tego pokoju? — spytała Abby, podając jej szorty i luźną bawełnianą bluzkę.

— Tak. Stoi tam dwanaście szafek na akta, nie są zamknięte. Kilka kartonowych pudeł i jakieś inne śmiecie, ale prawie nic poza tym.

— Dwanaście?

— Tak. Wysokich. Wszystkie na szerokość teczek z aktami. Będziemy miały szczęście, jeśli skończymy do szóstej.

Pokój był jednoosobowy z dość dużym łóżkiem. Sofa, niewielki stolik i łóżko zostały przesunięte pod ścianę, a pośrodku stała włączona już maszyna — canon z automatycznym podajnikiem papieru. Kserokopiarka została wypożyczona z firmy zaopatrzenia biurowego za paskarską cenę trzystu dolarów za dwadzieścia cztery godziny z dostawą. Była największa i najnowocześniejsza, jaką można było wypożyczyć na wyspie, a pracownik biura dał jasno do zrozumienia, że rozstawanie się z nią tylko na jeden dzień niezbyt go uszczęśliwia. Jednak Abby wypróbowała na nim swój urok i zaczęła wykladać na ladę studolarowe banknoty. Dwa pudła papieru, dziesięć tysięcy arkuszy, stały obok łóżka.

Otworzyły pierwszą teczkę i wyciągnęły sześć cienkich skoroszytów.

— Takie same skoroszyty — wymamrotała Tammy. Rozpięła metalowe kółka i wyjęła kartki. — Mitch mówi, że przywiązują ogromną wagę do akt — wyjaśniła, rozpinając dziesięciokartkowy dokument. — Mówi, że prawnicy mają szósty zmysł i niemal wyczuwają, kiedy sekretarka albo inny pracownik grzebał im w aktach. Dlatego musisz być bardzo ostrożna. Pracuj powoli. Kseruj po jednym dokumencie, a jeśli trzeba zszyć kartki ponownie, staraj się trafić zszywką w stare dziurki. To bardzo mozolne. Kseruj tylko po jednym dokumencie, niezależnie od tego, ile ma kartek. A potem odłóż go na

miejsce. A potem zszyj kopię, żeby wszystko było w takim samym porządku.

Dzięki automatycznemu podajnikowi dziesięciokartkowy dokument został skopiowany w osiem sekund.

— Całkiem szybko — uznała Tammy.

Pierwszą teczkę skończyły w dziesięć minut. Tammy podała Abby dwa kółka z kluczami i wzięła dwie nowe, puste, płócienne walizki Samsonite. Wyszła, by wrócić do apartamentu.

Abby opuściła pokój zaraz po niej i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Poszła na front Palms, gdzie Tammy zaparkowała wypożyczonego nissana stanę. Zręcznie manewrując, bo jechała pod prąd, podążała wzdłuż Siedmiomilowej Plaży do Georgetown. Dwie przecznice za siedzibą Swiss Bank, przy wąskiej ulicy, przy której stały schludne drewniane domy, znalazła ten, który należał do jedyne go ślusarza na Kajmanach. W każdym razie był jedyny, jakiego udało jej się zlokalizować. Miał zielony dom z dużymi oknami, z białym obramowaniem wokół okiennic i drzwi.

Zaparkowała na ulicy i przeszła po piasku do niewielkiej frontowej werandy, na której ślusarz pił i słuchał radia z sąsiadami. Porządne reggae. Umilkli, gdy się zbliżyła, żaden z nich się nie podniósł. Dochodziła dwudziesta trzecia. Wcześniej ślusarz powiedział jej, że wykona zlecenie w warsztacie na tyłach domu, że cena nie jest wysoka i że chciałby trzy czwarte litra rumu Myers jako zaliczkę, zanim zacznie.

— Panie Dantley, przepraszam, że przychodzę tak późno. Przyniosłam panu skromny prezent. — Wyciągnęła rękę z butelką rumu.

Pan Dantley wyłonił się z ciemności i wziął rum. Obejrzał butelkę.

— Chłopaki, to butelka myersa.

Abby nie rozumiała tej paplaniny, ale było jasne, że grupa na werandzie jest bardzo podekscytowana. Dantley dał gościom trunek i zaprowadził Abby za dom, gdzie znajdowała się mała przybudówka pełna narzędzi, niewielkich

maszyn i setek gadżetów. Z sufitu zwieszała się żółta żarówka zwabiająca setki komarów. Abby podała Dantleyowi jedenaście kluczy, a on starannie ułożył je na stole.

— To będzie proste — powiedział, nie patrząc na nią.

Choć pił i była dwudziesta trzecia, wydawało się, że kontroluje swoje ruchy. Może jego organizm uodpornił się na działanie rumu. Pracował w okularach ochronnych, wycinając i szlifując każdy duplikat klucza. Skończył po dwudziestu minutach. Wręczył Abby dwa zestawy oryginałów i kopii.

— Dziękuję, panie Dantley. Ile się należy?

— Robota nie była trudna — wymamrotał. — Dolara od klucza.

Abby szybko zapłaciła i wyszła.

• • •

Tammy napełniła dwie niewielkie walizki zawartością górnej szuflady pierwszej szafki z aktami. Pięć szuflad, dwanaście szafek, sześćdziesiąt wypraw do kserokopiarki i z powrotem. W osiem godzin. To wykonalne. Znalazła tam teczki, notesy, wydruki komputerowe i jeszcze więcej teczek. Mitch prosił, żeby skopiować wszystko. Nie do końca wiedział, czego szuka, dlatego chciał mieć całość.

Zgasiła światło i wbiegła na górę sprawdzić, co z kochankiem. Nie poruszył się.

Samsonite ważyły piętnaście kilogramów każda. Bolały ją ramiona, gdy dotarła do pokoju sto osiemdziesiąt osiem. Pierwsza wyprawa z sześćdziesięciu, nie da rady. Abby nie wróciła jeszcze z Georgetown, dlatego Tammy otworzyła walizki i wyłożyła starannie ich zawartość na łóżko. Wypiła łyk coli i znów wyszła z pustymi walizkami, z powrotem do apartamentu. Druga szuflada była identyczna. Ułożyła teczki w walizkach

i zamknęła je na suwaki. Pociła się i dyszała. Cztery paczki papierosów dziennie, pomyślała. Przysięgła sobie, że ograniczy się do dwóch. Może nawet jednej. Weszła na górę sprawdzić, co z nim. Nie poruszył się od jej ostatniego wyjścia.

Gdy wróciła z wyprawy numer dwa, kserokopiarka szumiała i klikała. Abby kończyła drugą walizkę i czekała na rozpoczęcie kopiowania zawartości trzeciej.

— Załatwiłaś klucze? — zapytała Tammy.

— Tak, bez problemu. A co robi twój facet?

— Gdyby ksero nie chodziło, usłyszałybyś jego chrapanie. — Tammy wyłożyła dokumenty na łóżko. Wytarła twarz mokrym ręcznikiem i wyruszyła do apartamentu.

Abby skończyła trzecią walizkę i zabrała się do kolejnego stosu. Szybko połapała się w działaniu automatycznego podajnika i po półgodzinie poruszała się pewnie i z gracją stażysty obsługującego ksero. Dokładała dokumenty, rozpiniała je i zszywała, podczas gdy maszyna szybko pracowała, wypluwając kopie na tacę.

Tammy wróciła z trzeciej wyprawy, bez oddechu i z potem kapiącym z nosa.

— Trzecia szuflada — zameldowała. — Nadal chrapie. — Odsunęła suwaki walizek i ułożyła następne równe stosy na łóżku. Odzyskała oddech, wytarła twarz i załadowała skopiowaną zawartość szuflady do walizek. Przez resztę nocy miała chodzić w obie strony obciążona ładunkiem.

O północy Barefoot Boys zaśpiewali ostatnią piosenkę. Palms zaczęło szykować się do snu. Cichego szumu kserokopiarki poza pokojem nie było słychać. Drzwi były zamknięte, zasłony zasunięte i wszystkie światła zgaszone poza lampką stojącą przy łóżku. Nikt nie zauważył zmęczonej kobiety ociekającej potem, taszczącej dwie walizki do pokoju w tę i z

powrotem.

Po północy przestały rozmawiać. Obie padały z nóg, zbyt zajęte i wystraszone, zresztą nie było nic do komunikowania poza ruchami kochasia w łóżku, jeśli w ogóle warto było o nich wspominać. Do pierwszej w nocy leżał jak martwy, a potem nieświadomie przetoczył się na bok i trwał tak około pół godziny, po czym znowu wrócił do leżenia na plecach. Tammy zaglądała do niego przy każdej wizycie i za każdym razem pytała samą siebie, co by zrobiła, gdyby nagle jego oczy się otworzyły, a on by się na nią rzucił. W kieszeniach szortów miała niewielki pojemnik z gazem łzawiącym na wypadek, gdyby doszło do takiej konfrontacji i musiałaby uciekać. Mitch wyraził się niejasno w sprawie ucieczki. Powiedział, żeby nie naprowadziła Avery'ego na motel. Miała prysnąć na niego gazem i zwiewać ile sił w nogach, krzycząc: „Gwałcą!”.

Jednak po dwudziestu pięciu wyprawach nabrała przekonania, że od odzyskania przytomności dzielą go całe godziny. Nie dość, że ganiała w tę i z powrotem niczym objuczony muł, to musiała jeszcze wspinać się po schodach, czternastu, za każdym razem, gdy wracała do Casanovy. Dlatego postanowiła zachodzić do niego co drugi raz. A potem co trzeci.

O drugiej nad ranem, w połowie całego przedsięwzięcia, skserowały zawartość pięciu szafek. Zrobiły ponad cztery tysiące kopii, a na łóżku leżały równiutkie stosy dokumentów. Kopie ułożyły pod ścianą obok sofy w siedmiu równych kolumnach sięgających niemal bioder.

Zrobiły sobie kwadrans przerwy.

• • •

O wpół do szóstej na wschodzie pokazały się pierwsze promienie słońca, a one zapomniały o zmęczeniu. Abby przyspieszyła obsługiwanie kopiarki i miała tylko nadzieję, że urządzenie się nie zapali. Tammy rozmasowywała

sobie łydki i szybszym krokiem szła do apartamentu. Była to jej pięćdziesiąta pierwsza albo pięćdziesiąta druga wyprawa. Straciła rachubę. Na jakiś czas miała to być jej ostatnia wędrówka. On na nią czekał.

Otworzyła drzwi i jak zawsze od razu ruszyła do magazynu. Jak zawsze też postawiła walizki na podłodze. Po cichu weszła po schodach do sypialni i zamarła w bezruchu. Avery siedział na skraju łóżka przodem do balkonu. Usłyszał ją i odwrócił się powoli w jej stronę. Oczy miał opuchnięte i szklane. Popatrzył na nią gniewnie.

Odruchowo rozpięła szorty, pozwalając by opadły na ziemię.

— Cześć, olbrzymie — powiedziała, starając się oddychać normalnie i zachowywać jak rozrywkowa dziewczyna. Podeszła do niego. — Trochę wcześniej wstałeś. Pośpijmy jeszcze trochę.

Avery zapatrzył się w okno. Nic nie powiedział. Usiadła obok niego i zaczęła głaskać go po wewnętrznej stronie uda. Wsunęła dłoń między jego nogi, a on nawet się nie poruszył.

— Obudziłeś się? — zapytała.

Żadnej odpowiedzi.

— Powiedz coś do mnie, Avery, kochany. Pośpijmy jeszcze. Na dworze jest jeszcze ciemno.

Opadł na bok na poduszkę. Chrząknął. Nie próbował mówić. Po prostu chrząknął. A potem zamknął oczy. Ułożyła mu nogi na łóżku i okryła.

Siedziała przy nim przez dziesięć minut, a kiedy jego chrapanie nabrało poprzedniej intensywności, włożyła szorty i pobiegła do Palms.

— Obudził się, Abby! — oznajmiła w panice. — Obudził się, a potem znowu stracił przytomność.

Abby zamarła i patrzyła przed siebie. Obie kobiety wpatrywały się w łóżko pokryte nieskopiowanymi jeszcze dokumentami.

— W porządku. Weź szybki prysznic — powiedziała Abby spokojnie. —



A potem położy się obok niego na łóżku. Zamknij na klucz drzwi do magazynu i zadzwoń do mnie, gdy wstanie i pójdzie się myć. Będę kserowała to, co zostało, i spróbujemy to odnieść, gdy on pójdzie do pracy.

— To strasznie ryzykowne.

— To wszystko jest ryzykowne. Pospiesz się.

Pięć minut później Tammy/Doris/Libby w jaskrawopomarańczowym, bardzo skąnym bikini wyruszyła — bez walizek — do apartamentu. Zamknęła frontowe drzwi, potem magazyn, i poszła do sypialni. Zdjęła pomarańczowy stanik i wsunęła się pod koc.

Chrapanie nie pozwoliło jej zmrużyć oka przez piętnaście minut. A potem na chwilę przysnęła. Usiadła, żeby nie zasnąć. Bała się, bo była w łóżku z nagim mężczyzną, który zabiłby ją, gdyby wiedział. Jej zmęczone ciało odprężyło się powoli, sen stał się nieunikniony. Znowu zasnęła.

• • •

Kochaś obudził się ze śpiączki trzy minuty po dziewiątej. Jęknął głośno i przekręcił się na bok. Powieki miał zamknięte. Uniósł je powoli. Ostre światło słońca zalało mu oczy. Znowu jęknął. Głowa ciążyła Avery'emu, gdy kołysał nią niepewnie z lewa na prawo, za każdym razem ulegając wrażeniu, że jego mózg się przesuwają. Wciągnął głęboko powietrze, aż w skroniach czując dopływ tlenu. Jego uwagę zwróciła prawa ręka. Usiłował ją podnieść, ale z mózgu nie wyszedł żaden impuls. W końcu uniosła się powoli. Popatrzył na nią spod zmrużonych powiek. Usiłował skoncentrować wzrok najpierw w prawym, potem w lewym oku. Zegar.

Wpatrywał się w cyfrowy zegar przez trzydzieści sekund, zanim udało mu się odczytać cyfry. Dziewiąta zero pięć. Cholera! O dziewiątej miał być w banku. Jęknął. Ta kobieta!

Tammy poczuła, że się poruszył i usłyszała odgłosy, jakie wydawał, lecz

leżała nieporuszona z zamkniętymi oczami. Modliła się, żeby jej nie dotknął. Wiedziała, że wbija w nią wzrok.

Prowadził łajdacki tryb życia, był kobieciarzem i przeżył wiele kaców. Ale nigdy takiego jak ten. Patrzył na jej twarz i próbował sobie przypomnieć, czy była dobra w te klocki. Zawsze pamiętał, nawet jeśli nie kojarzył niczego innego. Niezależnie od stopnia skacowania zawsze pamiętał kobiety. Przez moment mierzył ją wzrokiem, a potem się poddał.

— Cholera! — jęknął, gdy wstał i usiłował iść. Nogi jak z ołowiu niechętnie poddawały się jego woli. Oparł się o przesuwane drzwi balkonowe.

Łazienka znajdowała się w odległości sześciu metrów i postanowił do niej dotrzeć. Biurko i toaletka posłużyły za podpórki. Powlókł się, choć stopy bolały go przy każdym niezdarnym kroku, i w końcu tam dotarł. Zastygł nad sedesem i sobie ulżył.

Tammy tymczasem obróciła się w stronę balkonu, a kiedy skończył, poczuła, że usiadł przy niej na brzegu łóżka. Delikatnie dotknął jej ramienia.

— Obudź się, Libby. — Potrząsnął nią, a ona zeszywniała.

— Obudź się, kochanie — powtórzył. Dżentelmen.

Posłała mu najśłodszy rozespany uśmiech, na jaki potrafiła się zdobyć. Uśmiech z serii „nazajutrz”, gdy ktoś jest spełniony i zadowolony. Uśmiech Scarlett O'Hary rankiem po tym, gdy posiadł ją Rhett.

— Byłeś wspaniały, olbrzymie — zagruchała z zamkniętymi oczami.

Mimo bólu i mdłości, mimo ołowianych stóp i zamętu w głowie był z siebie dumny. Zrobił na tej kobiecie wrażenie. Nagle przypomniał sobie, że zeszłej nocy był wspaniały.

— Posłuchaj, Libby, zasnęłam. Muszę lecieć do pracy. Już jestem spóźniony.

— Nie masz nastroju, co? — Zachichotała. Modliła się, żeby nie był

w nastroju.

— Nie, nie teraz. Może wieczorem, co ty na to?

— Będę tu, olbrzymie.

— To dobrze. Muszę wziąć prysznic.

— Obudź mnie, gdy będziesz wychodził.

Wstał i coś wymamrotał, a potem zamknął za sobą drzwi łazienki. Tammy sięgnęła przez łóżko po telefon i zadzwoniła do Abby. Ta odebrała po trzecim dzwonku.

— Jest pod prysznicem.

— Z tobą wszystko w porządku?

— Tak. Dzięki. Nie mógłby tego zrobić, nawet gdyby musiał.

— Dlaczego trwało to tak długo?

— Bo się nie budził.

— Podejrzewa coś?

— Nie. Niczego nie pamięta. Myślę, że wszystko go boli.

— Jak długo jeszcze tam będziesz?

— Aż pocałuję go na do widzenia, kiedy wyjdzie spod prysznic. Dziesięć, może piętnaście minut.

— Dobra. Pospiesz się. — Abby odłożyła słuchawkę, a Tammy przesunęła się na swoją stronę łóżka.

Na strychu nad kuchnią magnetofon kliknął i ustawił się w gotowości do następnego nagrania.

O wpół do jedenastej były gotowe na ostatni najazd na apartament. Kontrabanda została podzielona na trzy równe części. Trzy śmiałe wypady w biały dzień. Tammy wsunęła błyszczące nowe klucze do kieszeni bluzki i ruszyła z walizkami. Szła szybko, zza ciemnych okularów rozglądała się we wszystkich kierunkach. Parking przed apartamentami nadal był pusty. Na autostradzie panował niewielki ruch.

Nowy klucz pasował. Znalazła się w środku. Klucz do magazynu również okazał się dobry i pięć minut później opuściła apartament. Druga i trzecia wyprawa odbyła się równie szybko i bezproblemowo. Wychodząc z magazynu ostatni raz, Tammy uważnie mu się przyjrzała. Wszystko było na swoim miejscu, tak jak zastała. Zamknęła apartament i zaniósła puste, teraz nieźle podniszczone walizki Samsonite do swojego pokoju.

Abby i Tammy przez godzinę leżały obok siebie na łóżku i śmiały się z Avery'ego i kaca, który go dręczył. Skończyły, w każdym razie najważniejszą część przestępstwa doskonałego. A kochaś był chętnym, choć niczego nieświadomym uczestnikiem. To było łatwe, uznały.

Niewielka góra dowodów wypełniła jedenaście i pół aluminiowych skrzyń. Tubylec w słomianym kapeluszu i bez koszuli zapukał do drzwi o czternastej trzydzieści i oznajmił, że jest z firmy o nazwie Magazyny Kajmańskie. Abby wskazała skrzynie. Nie spiesząc się, mężczyzna wziął pierwszą z nich i bardzo wolno zaniósł ją do furgonetki. Jak wszyscy tubylcy miał kajmańskie poczucie czasu. Żadnego pospiechu, człowieku.

Pojechały za nim stanzą do magazynu w Georgetown. Abby sprawdziła oferowane pomieszczenie magazynowe i zapłaciła gotówką za trzy miesiące.

## Rozdział 28

Wayne Tarrance siedział w tylnym rzędzie autobusu Greyhounnda, który wyruszył o jedenastej czterdzieści z Louisville przez Indianapolis do Chicago. Choć siedział sam, w autobusie panował tłok. Był piątkowy wieczór. Autobus wyjechał z Kentucky pół godziny przed czasem. Wayne zdążył nabrać przekonania, że coś jest nie w porządku. Trzydzieści minut i ani słowa czy sygnału od nikogo. Może to zły autobus? Może McDeere zmienił zdanie? Może tysiąc innych powodów? Miejsce z tyłu znajdowało się kilka centymetrów nad silnikiem Diesla i Wayne Tarrance z Bronxu wiedział już teraz, dlaczego pasażerowie często jeżdżący Greyhoundem walczą o fotele tuż za kierowcą. Książka Louisa L'Amoure'a tak trzęsała mu się w rękach, że rozboleła go głowa. Trzydzieści minut. To nic.

Ktoś spuścił wodę w klozecie i drzwi od toalety się otworzyły. Smród wydostał się na zewnątrz. Tarrance odwrócił wzrok i patrzył na samochody zmierzające na południe. Kobieta pojawiła się znikąd i wsunęła na miejsce przy przejściu, a potem odchrząknęła. Tarrance odwrócił się gwałtownie w prawo. Gdzieś już ją widział.

— Czy pan Tarrance? — Miała na sobie dzinsy, białe trampki i gruby zielony sweter. Twarz ukryła za ciemnymi okularami.

— Tak. A pani jest...

Wzięła go za rękę i potrząsnęła nią energicznie.

— Abby McDeere.

— Spodziewałem się pani męża.

— Wiem. Postanowił, że się nie pojawi, więc jestem za niego.

— Cóż... hm... liczyłem, że z nim porozmawiam.

— Wiem, ale on przysłał mnie. Niech mnie pan uważa za jego pełnomocniczkę.

Tarrance odłożył książkę pod fotel i zapatrzył się na drogę.

— Gdzie on jest?

— Dlaczego to ważne, panie Tarrance? Przysłał mnie, żebyśmy rozmawiali o interesach. Więc rozmawiajmy.

— W porządku. Proszę mówić cicho, a jeśli ktoś pojawi się w przejściu, niech mnie pani weźmie za rękę i zamilknie. Niech się pani zachowuje, jakbyśmy byli małżeństwem lub coś w tym rodzaju. Dobrze? A teraz Voyles... wie pani, kto to jest?

— Wiem wszystko, panie Tarrance.

— To dobrze. Voyles dostanie zawału, bo jak do tej pory nie mamy akt Mitcha. Dobrych akt. Rozumie pani, dlaczego są takie ważne, prawda?

— Dokładnie.

— Więc chcemy tych akt.

— A my chcemy miliona dolarów.

— Tak, taka była umowa. Ale najpierw dostaniemy dokumenty.

— Nie. Nie tak się umawialiśmy. Umowa była taka, panie Tarrance, że przekażecie milion dolarów tam, gdzie będziemy chcieli, a potem my przekażemy wam akta.

— Nie ufacie nam państwo?

— Słuszna uwaga. Nie ufamy panu, Voylesowi i nikomu innemu. Pieniądze mają być przelane na określone konto w banku we Freeport na Bahamach. Zostaniemy o tym natychmiast powiadomieni i przelejemy je do innego banku. Kiedy będziemy je mieli tam, gdzie chcemy, żeby były, dokumenty będą pańskie.

— Gdzie one są?

— W niewielkim magazynie w Memphis. Jest tego pięćdziesiąt jeden teczek, wszystkie odpowiednio uporządkowane i przechowywane. Będzie pan pod wrażeniem. My dobrze pracujemy.

— My? Widziała pani te dokumenty?

— Oczywiście. Pomagałam je pakować. Trochę niespodzianek jest w pudle numer osiem.

— No dobrze. Co takiego?

— Mitchowi udało się skopiować trzy komplety akt Avery'ego Tollesona, budzących pewne wątpliwości. Dwa dotyczą firmy o nazwie Dunn Lane Ltd., o której wiemy, że jest kontrolowana przez mafię i zarejestrowana na Kajmanach. Powstała za dziesięć milionów wypranych dolarów w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku. Dokumenty dotyczą dwóch inwestycji budowlanych finansowanych przez tę firmę. Ta lektura będzie fascynująca.

— Skąd wiecie, że zarejestrowano ją na Kajmanach? I skąd wiecie o dziesięciu milionach? Tego na pewno nie ma w aktach.

— Nie, nie ma. Dysponujemy innymi dokumentami.

Tarrance zastanawiał się nad tymi innymi dokumentami przez dziesięć kilometrów. Stało się jasne, że niczego nie zobaczy, dopóki McDeere'owie nie dostaną miliona. Starał się o tym nie myśleć.

— Nie mam pewności, czy będziemy mogli przelać pieniądze zgodnie z państwa życzeniem, jeśli nie otrzymamy tych dokumentów — powiedział wreszcie, ale była to raczej słaba próba blefu. Abby od razu ją rozszyfrowała i uśmiechnęła się.

— Czy musimy bawić się w gierki, panie Tarrance? Dlaczego nie da nam pan tych pieniędzy i nie przestanie się szamotać?

Jakiś zagraniczny student, prawdopodobnie Arab, zaczął iść wolno przejściem, kierując się do toalety. Tarrance zamarł i wlepił wzrok w szybę.

Abby poklepała go po ramieniu jak najprawdziwsza kochanka. Odgłos spuszczonej wody zabrzmiał niczym wodospad.

— Jak szybko może to nastąpić? — zapytał Tarrance. Abby już go nie dotykała.

— Dokumenty są gotowe. Jak szybko możecie przesłać milion dolców?

— Jutro.

Abby spojrzała przez okno i mówiła lewym kąciem ust:

— Dziś mamy piątek. W przyszły wtorek o dziesiątej czasu wschodniego, czasu na Bahamach, przelejecie milion dolarów z waszego konta w Chemical Bank na Manhattanie na tymczasowo otworzone konto w Ontario Bank we Freeport. To czysty, legalny przelew, zajmie około piętnastu sekund.

Tarrance zmarszczył czoło i słuchał bardzo uważnie.

— A jeśli nie mamy konta w Chemical Bank na Manhattanie?

— Nie macie w tej chwili, ale do poniedziałku będziecie mieli. Jestem przekonana, że ktoś w Waszyngtonie może zająć się prostym przelewem bankowym.

— Tego jestem pewny.

— To dobrze.

— Ale dlaczego Chemical Bank?

— Polecenie Mitcha, panie Tarrance. Niech mu pan zaufa, on wie, co robi.

— Widzę, że odrobił pracę domową.

— On zawsze odrabia lekcje. I jest coś, o czym nie powinien pan nigdy zapominać: jest od pana znacznie cwańszy.

Tarrance prychnął i udał, że kaszle. Przez dwa, trzy kilometry jechali w milczeniu, oboje zastanawiali się nad następnymi pytaniami i odpowiedziami.

— W porządku — odezwał się Tarrance, jakby do siebie. — A kiedy



dostaniemy te dokumenty?

— Kiedy pieniądze trafią bezpiecznie do Freeport, zostaniemy o tym powiadomieni. W środę rano przed wpół do jedenastej dostanie pan do biura w Memphis przesyłkę dostarczoną przez Federal Express z informacją i kluczem do magazynu.

— Więc mogę zapewnić Voylesa, że będziemy mieli te dokumenty w środę po południu?

Abby wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała. Tarrance'owi zrobiło się głupio, że zadał to pytanie. Szybko pomyślał o czymś znacznie lepszym.

— Potrzebny nam będzie numer konta we Freeport — przypomniał.

— Mam zapisany. Dam go panu, kiedy autobus się zatrzyma.

Szczegóły zostały dopięte. Tarrance sięgnął pod fotel i wyciągnął książkę. Przerzucił kilka kartek, udając, że czyta.

— Niech pani tu posiedzi jeszcze przez minutę — poprosił.

— Jakież pytania?

— Tak. Czy możemy porozmawiać o tych innych źródłach, o których pani wspomniała?

— Jasne.

— Gdzie są?

— Dobre pytanie. Wyjaśniono mi, że dostaniemy pierwszą ratę, pół miliona, jak mi się wydaje, w zamian za dowody, które pozwolą panu na sformułowanie aktu oskarżenia. Pozostałe materiały zostaną przekazane po otrzymaniu drugiej raty.

Tarrance przewrócił stronę.

— Chce pani powiedzieć, że macie już te... hm... kompromitujące akta?

— Mamy większość tego, co jest nam potrzebne. Tak, mamy stertę kompromitujących dokumentów.

— Gdzie one są?

Abby uśmiechnęła się łagodnie i poklepała go po ramieniu.

— Zapewniam pana, że nie ma ich w magazynie razem z czystymi dokumentami.

— Ale są w państwa posiadaniu? — upewnił się agent.

— Tak jakby. Chciałby pan obejrzeć kilka z nich?

Tarrance zamknął książkę i głęboko wciągnął powietrze.

Popatrzył na Abby.

— Oczywiście.

— Tak myślałam. Mitch mówi, że damy panu dwadzieścia centymetrów dokumentów dotyczących Dunn Lane Ltd.: kserokopie wyciągów bankowych, rejestrów firmowych, protokołów, wewnętrznych rozporządzeń, listy urzędników, właścicieli udziałów, potwierdzenia przelewów bankowych, listów od Nathana Locke'a do Joeya Morolto, bieżących dokumentów i setki innych smakowitych kąsków, przez które nie będzie pan mógł zasnąć. Fantastyczne rzeczy. Mitch mówi, że na podstawie samych dokumentów Dunn Lane uda się panu zmontować prawdopodobnie ze trzydzieści aktów oskarżenia.

Tarrance chłonął każde słowo i wierzył jej.

— Kiedy mogę je zobaczyć? — zapytał z przejęciem.

— Kiedy Ray wyjdzie z więzienia. To część umowy, pamięta pan?

— A, tak, Ray.

— Tak, tak. On wychodzi z za kratki, panie Tarrance, albo może pan zapomnieć o firmie Bendiniego. Mitch i ja zabierzemy ten marny milion i znikniemy w siennej dali.

— Pracuję nad tym.

— Lepiej niech się pan do tego przyłoży. — To było więcej niż groźba i Tarrance zdawał sobie z tego sprawę. Znow otworzył książkę i wbił w nią wzrok.

Abby wyjęła z kieszeni wizytówkę firmy Bendini, Lambert i Locke i upuściła ją na książkę. Z tyłu napisała numer konta: 477DL-19584, Ontario Bank, Freeport.

— Wracam na swoje miejsce z przodu autobusu, byle dalej od silnika. Wszystko jasne, jeśli chodzi o przyszły wtorek?

— Całkowicie. Wysiada pani w Indianapolis?

— Tak.

— Dokąd pani jedzie?

— Do rodziców do Kentucky. Jestem z Mitchem w separacji.

I już jej nie było.

• • •

Tammy stała w duchocie w jednej z tuzina długich kolejek do oprawy celnej w Miami. Miała na sobie szorty, sandały, trykotową bluzkę bez pleców, ciemne okulary i słomkowy kapelusz. Wyglądem nie różniła się od tysięcy zmęczonych turystów wracających z upalnych plaż Karaibów. Przed nią czekała para zniecierpliwionych nowożeńców, najwyraźniej w samym środku poważnej kłótni, dźwigających torby z alkoholem i perfumami ze strefy wolnocłowej. Za sobą miała dwie nowiutkie walizki Hartmana wypełnione taką ilością dokumentów i akt, jaka wystarczyłaby do postawienia w stan oskarżenia czterdziestu prawników. Jej pracodawca, również prawnik, poradził, żeby kupiła walizki na kółkach, bo dzięki temu będzie mogła przeciągnąć je przez lotnisko międzynarodowe w Miami. Miała też ze sobą niewielką torbę podróżną z kilkoma ubraniami i szczoteczką do zębów, żeby wszystko wyglądało jak trzeba.

Mniej więcej co dziesięć minut para młodych ludzi przesuwiała się piętnaście centymetrów, a Tammy szła za nimi z bagażami. Po godzinie od chwili, gdy stanęła w kolejce, dotarła do punktu kontrolnego.

— Żadnych deklaracji? — rzucił urzędnik łamaną angielszczyzną.

— Nie! — odpowiedziała mu równie sucho.

Wskazał głową jej duże skórzane walizki.

— Co w nich jest?

— Papiery.

— Papiery?

— Papiery.

— Jakiego rodzaju papiery?

Papier toaletowy, pomyślała. Spędziłam wakacje na jeździe po Karaibach i zbieraniu papieru toaletowego.

— Dokumenty prawne i podobne bzdety. Jestem prawnikiem.

— Tak, tak. — Otworzył jej torbę podręczną i zajrzał do środka. — W porządku. Następny!

Ostrożnie przeciągnęła walizki, tak po prostu. Bagażowy wziął je i ułożył wszystkie trzy na wózku.

— Lot Deltę numer dwieście osiemdziesiąt dwa do Nashville. Bramka czterdziesta czwarta, sektor B — powiedziała, wręczając mu pięciodolarowy banknot.

Tammy z całym bagażem dotarła do Nashville w sobotę o północy. Załadowała wszystko do rabbita i wyjechała z lotniska. Na przedmieściu w Brentwood zaparkowała na wyznaczonym miejscu i po kolei zaciągnęła walizki do kawalerki.

Poza wypożyczonym rozkładanym łóżkiem nie było tam innych mebli. Rozpakowała walizki w sypialni i przystąpiła do żmudnego procesu rozkładania dokumentów. Mitch chciał mieć listę, na której zostałyby uwzględniony każdy papier, każdy wyciąg bankowy, wszystkie firmy. Właśnie tego oczekiwał. Powiedział, że któregoś dnia wszystko przejrzy, ale chciał, żeby najpierw całość została uporządkowana.

Przez dwie godziny Tammy robiła inwentaryzację. Siedziała na podłodze i starannie notowała. Po trzech jednodniowych podróżach na Kajmany pokój zaczynał się zapełniać. W poniedziałek wyruszała ponownie.

Miała wrażenie, jakby przez ostatnie dwa tygodnie spała nie dłużej niż trzy godziny. Ale to pilne, powiedział Mitch. Sprawa życia lub śmierci.

• • •

Tarry Ross, znany też jako Alfred, siedział w najciemniejszym kącie hotelowego baru w Washington Phoenix Inn. Spotkanie miało być bardzo krótkie. Pił kawę i czekał.

Czekał i przysięgał sobie, że zostanie tam jeszcze tylko pięć minut. Filizanka drżała, gdy spróbował napić się kawy. Rozlał ją na stolik. Spojrzał na blat i rozpaczliwie próbował się nie rozglądać.

Facet pojawił się znikąd i usiadł tyłem do ściany. Nazywał się Vinnie Cozzo i był zbirem z Nowego Jorku. Z rodziny Palumbo.

Vinnie zauważył drżącą filizankę i rozlaną kawę.

— Odpręż się, Alfredzie. Tutaj jest wystarczająco ciemno.

— Czego chcesz? — syknął Alfred.

— Napiłbym się czegoś.

— Nie ma czasu na picie. Wychodzę.

— Uspokój się, koleś. Wyluzuj. Nie ma tu nikogo innego.

— Czego chcesz? — znów syknął Alfred.

— Kilku informacji.

— To będzie kosztowało.

— Zawsze kosztuje.

Podszedł do nich kelner, a Vinnie zamówił whisky i wodę.

— Jak się miewa mój kumpel Denton Voyles? — zapytał.

— Pocałuj mnie w dupę, Cozzo. Wychodzę. Idę stąd.

— W porządku, kolego. Odpręż się. Potrzebuję pewnej informacji.

— Załatwmy to szybko. — Alfred omiół spojrzeniem bar. Filiżankę miał pustą, większość jej zawartości była na blacie.

Whisky została przyniesiona. Vinnie upił spory łyk.

— Mamy mały problem w Memphis. Niektórzy chłopcy tak jakby trochę się tym denerwują. Słyszałeś kiedyś o firmie Bendiniego?

Alfred pokręcił odruchowo głową. Zawsze mów „nie”, na początku. A potem, po starannym przyjrzeniu się sprawie, wróc z ładniutką informacją i powiedz, że tak. Tak, słyszał o kancelarii Bendiniego i ich ulubionym kliencie. Operacja „Pralnia”. Sam Voyles nadał jej tę nazwę i był bardzo dumny ze swojej pomysłowości.

Vinnie znów upił spory łyk whisky.

— No więc jest tam facet, który nazywa się McDeere, Mitchell McDeere. Pracuje w kancelarii Bendiniego i podejrzewamy, że robi naszym ludziom koło pióra. Wiesz, co mam na myśli? Prawdopodobnie sprzedaje federalnym informacje o Bendinim. Muszę wiedzieć, czy to prawda. To wszystko.

Alfred słuchał z obojętnym wyrazem twarzy, choć nie było to łatwe. Znał grupę krwi McDeere'a i jego ulubioną restaurację w Memphis. Wiedział, że McDeere rozmawiał z Tarrance'em jak do tej pory ponad pięć razy i że następnego dnia, we wtorek, McDeere zostanie milionerem. Bułka z masłem.

— Zobaczą, co da się zrobić. Pogadajmy o pieniądzach.

Vinnie zapalił salema lighta.

— Cóż, Alfredzie, sprawa jest poważna. Nie będę kłamał: dwieście tysięcy gotówką.

Alfred o mało nie upuścił filiżanki. Wyciągnął chustkę z tylnej kieszeni spodni i historycznie przecierał nią szkła okularów.

— Dwieście tysięcy? Gotówką? — wybąkał.

— Tak jak powiedziałem. Ile zapłaciliśmy ci ostatnim razem?

— Siedemdziesiąt pięć.

— Rozumiesz teraz, o co mi chodzi. To jest cholernie ważne, Alfredzie.

Podejmiesz się tego?

— Tak.

— Kiedy?

— Daj mi dwa tygodnie.

## Rozdział 29

Tydzień przed piętnastym kwietnia pracownicy od Bendiniego, Lamberta i Locke'a dotarli do granicy stresu i zasuwali na pełnych obrotach napędzani wyłącznie adrenaliną. I strachem. Strachem przed przeoczeniem jakiegoś odliczenia, odpisu albo amortyzacji, które kosztowałyby bogatego klienta dodatkowy milion lub coś koło tego. Strachem przed podniesieniem słuchawki i zadzwonieniem do klienta, żeby poinformować go, iż skończyli wypełnianie jego deklaracji podatkowej i aż przykro to mówić, ale trzeba będzie zapłacić jeszcze osiemset tysięcy. Strachem, że nie wyrobią się do piętnastego, że będą musieli przesunąć termin złożenia, co łączyłoby się z karami i odsetkami. Parking był zapełniony już o szóstej rano. Sekretarki pracowały po dwanaście godzin dziennie. Panowało nerwowe napięcie. Rzadko rozmawiano, a jeśli już, to krótko.

Mitch tyrał dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo i tak nie miał po co wracać do pustego domu. Abby w nim nie było. Sonny Capps kłął i grzmiał na Avery'ego, bo musiał zapłacić czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Od zysku w wysokości dwunastu milionów. Avery z kolei grzmiał na Mitcha i razem przedzierali się przez dokumenty Capps'a, kopiąc w nich i przeklinając. Mitch wymyślił dwa bardzo ryzykowne odpisy, które zmniejszyły tę sumę do trzystu dwudziestu tysięcy. Capps powiedział, że zastanawia się nad znalezieniem nowej kancelarii podatkowej. Jednej z waszyngtońskich.

Gdy zostało tylko sześć dni, Capps zażądał spotkania z Averym w Houston. Lear był dostępny, dlatego Avery wyleciał o północy. Mitch



odwiózł go na lotnisko pouczany przez całą drogę.

Tuż po wpół do drugiej w nocy Mitch wrócił do biura. Trzy mercedesy, bmw i jaguar stały w różnych miejscach parkingu. Ochroniarz otworzył tylne wejście, Mitch wjechał windą na czwarte piętro. Jak zwykle Avery zamknął swój gabinet na klucz. Drzwi wspólników zawsze były zamykane na klucz. Z końca korytarza dochodził jakiś głos. Victor Milligan, szef działu podatków, siedział przy biurku i mówił bardzo nieprzyjemne rzeczy do komputera. W pozostałych pokojach było ciemno.

Mitch wstrzymał oddech i wsunął klucz do drzwi Avery'ego. Gałka przekręciła się i był w środku. Zapalił wszystkie światła i podszedł do niewielkiego stołu konferencyjnego, przy którym spędził z kolegą cały dzień i większość nocy. Skoroszyty leżały wokół krzeseł w stosach niczym cegły. Tu i tam poniewierała się jakaś kartka. Zbiory przepisów podatkowych piętrzyły się jeden na drugim.

Mitch usiadł przy stole i znów zajął się analizowaniem dokumentów Capps'a. Zgodnie z informacjami FBI Capps był działającym legalnie człowiekiem interesu, który korzystał z usług firmy od co najmniej ośmiu lat. Federalni się Cappsem nie interesowali.

Po godzinie głos zamilkł, Milligan zgasił światło i zamknął drzwi na klucz. Ruszył w kierunku schodów i nawet się nie pożegnał. Mitch szybko sprawdził pokoje na czwartym piętrze, potem na trzecim. Wszystkie były puste. Dochodziła trzecia.

Obok regału z książkami w gabinecie Avery'ego stały cztery solidne dębowe szafki na akta. Mitch przyglądał się im od miesięcy i nigdy nie widział, żeby ktoś z nich korzystał. Bieżące dokumenty były przechowywane w trzech metalowych szafkach ustawionych pod oknem. Sekretarki w nich grzebały, zwykle przy wtórze krzyków Avery'ego. Mitch zatrzasnął za sobą drzwi i podszedł do dębowych szafek. Zamknięte, oczywiście. Powinny do

nich pasować małe klucze, każdy nie dłuższy niż dwa i pół centymetra. Pierwszy wszedł idealnie do zamka pierwszej szafki. Otworzył ją.

Ze spisu kontrabandy, który zrobiła Tammy, Mitch zapamiętał nazwy wielu firm działających na Kajmanach, zaczynających od brudnych pieniędzy, ale teraz już czystych. Pomagając sobie kciukiem, przejrzał akta w górnej szufladzie. Nazwy były po oczach: Dunn Lane Ltd., Eastpointe Ltd. Virgin Bay Ltd., Inland Contractors Ltd., Gulf-South Ltd. Na więcej znajomych nazw natknął się w drugiej i trzeciej szufladzie. W teczkach znajdowała się dokumentacja kredytów branych z banków na Kajmanach, potwierdzenia przelewów, poręczenia, dzierżawy, hipoteki i tysiące innych papierów. Szczególnie zainteresowały go Dunn Lane i Gulf-South. Tammy wpisała na listę znaczącą liczbę dokumentów dotyczących obu firm.

Mitch wyjął jedną z teczek Gulf-South wypełnioną potwierdzeniami przelewów i dokumentów kredytowych z Royal Bank z Montrealu. Poszedł do kserokopiarki znajdującej się pośrodku czwartego piętra i ją włączył. Kiedy się nagrzewała, rozejrzał się odruchowo. Biuro było wymarłe. Przyjrzał się sufitowi. Żadnych kamer. Sprawdzał to już wcześniej wielokrotnie. Zablysnął napis „Kod dostępu”, wcisnął więc numer sprawy pani Lettie Plunk. Jej zeznanie podatkowe leżało na jego biurku na drugim piętrze, dzięki czemu mógł zrobić kilka kserokopii. Ułożył zawartość teczki na automatycznym podajniku i po trzech minutach dokumenty były powielone. Sto dwadzieścia osiem stron na konto pani Lettie Plunk. Z powrotem przy szafce. I znowu przy kserokopiarce z kolejną stertą dokumentów Gulf-South. Wcisnął numer sprawy Greenmark Partners, inwestora budowlanego z Bartlett w Tennessee. Firmy działającej zgodnie z prawem. Jej zeznanie podatkowe również leżało na jego biurku, i znowu zyskał kilkanaście kserokopii. Dziewięćdziesiąt jeden, mówiąc dokładnie.

Mitch miał w pokoju osiemnaście zeznań podatkowych przygotowanych

do podpisania i złożenia. Skończył powierzoną mu pracę sześć dni przed terminem. Wszystkich osiemnastu klientów zostanie automatycznie obciążonych kosztami kserowania dowodów przeciwko Gulf-South i Dunn Lane. Zapisał numery ich spraw na kartce z notesu, która leżała teraz obok kserokopiarki. Po wykorzystaniu wszystkich osiemnastu wcisnął trzy numery akt Lamara i trzy numery dotyczące spraw Cappsa.

Od kserokopiarki odchodził kabel wpuszczony w ścianę, dochodzący do szafki, gdzie łączył się z kablami pozostałych trzech maszyn z czwartego piętra. Potem grubszy kabel przechodził przez sufit i biegł wzdłuż listwy przypodłogowej do rachunkowości na trzecim piętrze, gdzie komputer wszystko rejestrował i wystawiał rachunki za każdą kserokopię wykonaną w firmie. Nieszkodliwie wyglądający szary kabelek wychodził z komputera i ukryty w ścianie biegł przez sufit na czwarte piętro i jeszcze wyżej, na piąte, gdzie inny komputer rejestrował kody dostępu, liczbę odbitek i lokalizację urządzenia wykonującego każdą kopię.

• • •

O siedemnastej piętnastego kwietnia firma Bendini, Lambert i Locke zamknęła podwoje. O osiemnastej parking był pusty, a drogie samochody znalazły się niecałe cztery kilometry dalej, przed bardzo porządną knajpą z owocami morza noszącą nazwę Anderton's. Niewielka sala bankietowa została zarezerwowana na coroczną wyżerkę odbywającą się właśnie piętnastego kwietnia. Obecni byli wszyscy wspólnicy i partnerzy razem z jedenastoma emerytami. Emerycy wyglądali na wypoczętych i opalonych, pracujący na wymizerowanych i przemęczonych. Wszystkim jednak dopisywał dobry humor i byli gotowi się urznąć. Tego wieczoru zapomniano o umiarkowaniu i higienicznym trybie życia. Inna zasada głosiła, że wszyscy prawnicy i sekretarki mają zakaz pracy szesnastego kwietnia.

Półmiski z zimnymi gotowanymi krewetkami i surowymi ostrygami były już na stołach ustawionych przy ścianach. Powitała ich wielka drewniana beczka napełniona lodem i butelkami z zimnym kanadyjskim piwem. Dziesięć skrzynek stało za beczką. Roosevelt zdejmował kapsle tak szybko, jak się dało. Późnym wieczorem upije się z całą resztą towarzystwa, a potem Oliver Lambert zamówi dla niego taksówkę, która odwiezie go do domu, do Jessie Frances. To był rytuał.

Kuzyn Roosevelta, Little Bobby Blue Baker, siedział przy buduarowym fortepianie i śpiewał smętnie, podczas gdy prawnicy wypełniali salę. Na razie miał ich zabawiać. Potem nie będzie już potrzebny.

Mitch nie zainteresował się jedzeniem, wziął lodowato zimną zieloną butelkę do stolika stojącego w pobliżu fortepianu. Lamar poszedł za nim z kilogramem krewetek. Patrzyli, jak koledzy zdejmują płaszcze, krawaty i atakują beczkę.

— Wszystkie skończyłeś? — zapytał Lamar, pożerając krewetki.

— Tak. Swoje skończyłem wczoraj. Tyraliśmy z Averym do piątej przy Sonnym Cappsie. Zdążyliśmy.

— Ile?

— Ćwierć miliona.

— O kurde. — Lamar obrócił butelkę i wypił połowę jej zawartości. — Nigdy jeszcze tyle nie zapłacił, prawda?

— Nie. I jest wściekły. Nie rozumiem tego faceta. Zgarnął dwanaście milionów ze wszystkich przedsięwzięć, a dostaje szalu, że musi zapłacić dwa procent podatków.

— A jak Avery?

— Trochę się martwi. Capps zmusił go w zeszłym tygodniu, żeby poleciał do Houston, i nie poszło mu za dobrze. Wystartował learem o północy. Powiedział mi później, że Capps czekał na niego w swoim biurze o

czwartej rano, wściekły z powodu bałaganu z podatkami. Całą winę zrzucił na Avery'ego. Powiedział nawet, że może zmieni kancelarię.

— Coś mi się zdaje, że powtarza to za każdym razem. Chcesz piwo?

Lamar odszedł i wrócił z czterema butelkami.

— Jak się czuje matka Abby?

Mitch podebrał mu krewetkę i obrał ją ze skorupki.

— Już dobrze. Usunęli jej płuco.

— A Abby? — Lamar obserwował przyjaciela i nie jadł.

Mitch napoczął drugie piwo.

— Czuje się świetnie.

— Posłuchaj, Mitch, nasze dzieciaki chodzą do Świętego Andrzeja. Nie jest tajemnicą, że Abby wzięła wolne. Nie ma jej od dwóch tygodni. Wiemy o tym i to nas martwi.

— Wszystko jakoś się ułoży. Chce pobyć trochę beze mnie. Naprawdę, właściwie nie ma sprawy.

— Daj spokój, Mitch. To bardzo poważna sprawa, jeśli żona wyjeżdża z domu i nie mówi, kiedy wróci. Tak przynajmniej powiedziała dyrektorce w szkole.

— To prawda. Nie wie, kiedy wróci. Prawdopodobnie za jakiś miesiąc. Trudno było jej przyzwyczać się do moich godzin pracy.

Wszyscy prawnicy, przeliczeni, byli już obecni, dlatego Roosevelt zamknął drzwi. W sali wzmógł się gwar. Bobby Blue spełniał życzenia.

— Zastanawiałeś się nad zwolnieniem tempa? — zapytał Lamar.

— Nie, właściwie nie. A powinienem?

— Posłuchaj, Mitch, jestem twoim przyjacielem, prawda? I martwię się o ciebie. Nie dasz rady zarobić miliona w pierwszym roku.

Gadaj zdrów, pomyślał Mitch. Milion zarobiłem w zeszłym tygodniu. W dziesięć sekund suma na koncie we Freeport podskoczyła z dziesięciu

tysięcy do miliona dziesięciu tysięcy. A piętnaście minut później konto zostało zamknięte, a pieniądze spoczywały bezpiecznie w szwajcarskim banku. Prawdziwy cud przelewów bezgotówkowych. I właśnie z powodu tego miliona dolarów było to pierwsze i ostatnie przyjęcie z okazji piętnastego kwietnia w jego krótkiej, niemniej błyskotliwej karierze prawnika. A jego dobry przyjaciel, który tak przejmował się losami ich małżeństwa, najprawdopodobniej niedługo trafi do więzienia. Razem ze wszystkimi innymi w tej sali poza Rooseveltem. Cholera, Tarrance może tak się zapędzić, że dla samej frajdy oskarży też o coś Roosevelta i Jessie Frances.

A potem procesy. „Ja, Mitchell Y. McDeere, przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Tak mi dopomóż Bóg”. Będzie siedział na miejscu dla świadków i wskazywał palcem serdecznego przyjaciela Lamara Quina. A Kay i dzieciaki będą w pierwszym rzędzie, cicho pochlipując, żeby zrobić wrażenie na przysięgłych.

Dokończył drugie piwo i zaczął trzecie.

— Wiem, Lamar, ale nie zamierzam wyhamować. Abby się przyzwyczai. Wszystko będzie dobrze.

— Skoro tak twierdzisz. Kay zaprasza cię jutro na wielkiego steka. Będziemy piekli na grillu i zjemy na patiu. Co ty na to?

— Zgoda, ale pod jednym warunkiem: nie będziemy rozmawiali o Abby. Pojechała do domu zobaczyć się z matką i wróci. W porządku?

— W porządku. Jasne.

Avery usiadł po drugiej stronie stołu z talerzem krewetek i zaczął je obierać.

— Właśnie gadaliśmy o Cappsie — odezwał się Lamar.

— To nie jest przyjemny temat — mruknął Avery.

Mitch wpatrywał się uważnie w krewetki do chwili, gdy urósł mały stos

złożony z kilku świeżo obranych sztuk. Wziął je, sięgając ponad stołem, i wpackował całą ich garść do ust.

Avery popatrzył na niego zmęczonymi smutnymi oczami. I przekrwionymi. Usiłował wymyślić coś odpowiedniego, potem jednak zaczął jeść nieobrane krewetki.

— Szkoda, że są bez głów — powiedział między kęsami. — Znacznie lepiej smakują z głowami.

Mitch nabrał krewetek w obie dłonie i zabrał się do ich chrupania.

— Ja najbardziej lubię ogony. Zawsze byłem za ogonami.

Lamar przestał jeść i gapił się na nich.

— Wygłupiacie się — stwierdził.

— Nic a nic — zapewnił Avery. — Kiedy byłem dzieciakiem w El Paso, chodziliśmy z siecią i łowiliśmy krewetki. Zjadaliśmy je od razu, kiedy jeszcze się ruszały. — Chrup, chrup. Głowy są najlepsze, bo mają soki mózgowy.

— Krewetki w El Paso?

— Tak, w Rio Grande jest ich pełno.

Lamar poszedł po następne piwa. Alkohol szybko złagodził zmęczenie, stres i wyczerpanie. W sali zrobiło się jeszcze głośniejsze. Bobby Blue grał kawałek Steppenwolfa. Nawet Nathan Locke uśmiechał się i mówił na cały głos. Był teraz jednym z chłopaków. Roosevelt dołożył pięć skrzynek do beczki z lodem.

O dwudziestej drugiej zaczęły się śpiewy. Wally Hudson, tym razem bez muszki, stanął na krześle przy fortepianie i dyrygował chórem wyjców wykonującym huczną składankę australijskich piosenek pijackich. O tej porze restauracja była już zamknięta, więc nikomu to nie przeszkadzało. Kendall Mahan był następny. Grał kiedyś w rugby w Cornell i dysponował zadziwiającym repertuarem sprośnych piosenek biesiadnych. Pięćdziesiąt

falszujących i pijanych głosów śpiewało razem z nim z ogromnym zadowoleniem.

Mitch przeprosił i poszedł do toalety. Pomocnik kelnera otworzył tylne drzwi i wypuścił go na parking. Z pewnej odległości śpiew brzmiał nawet przyjemnie. Mitch ruszył do samochodu, ale zatrzymał się i podszedł do okna. Stał w ciemności za rogiem budynku, patrzył i słuchał. Kendall siedział przy fortepianie i prowadził chór skandujący obsceniczny refren.

Gromkie głosy bogatych i szczęśliwych ludzi. Przyglądał im się po kolei. Wszystkim. Ich oczy jaśniały. Byli jego przyjaciółmi — mężczyznami z żonami i dziećmi — i wszyscy dali się złapać w sieć straszliwego matactwa.

W poprzednim roku Joe Hodge i Marty Kozinski śpiewali razem z resztą.

W zeszłym roku był prymusem Harvardu z ofertami pracy w każdej kieszeni.

Teraz jest milionerem i wkrótce za jego głowę zostanie wyznaczona cena. Zabawne, jak dużo może się zdarzyć w ciągu roku.

Śpiewajcie, bracia.

Mitch odwrócił się i odszedł.

• • •

Taksówki ustawiły się w szeregu na Madison około północy. Najbogatszych prawników w mieście odnoszono i pakowano na tylne siedzenia. Rzecz jasna Oliver Lambert był najtrzeźwiejszy i kierował tą ewakuacją. W sumie piętnaście taksówek z pijanymi prawnikami.

W tym samym czasie po drugiej stronie miasta przy Front Street dwie identyczne granatowo-żółte furgonetki Forda z jaskrawym napisem „Pogromcy kurzu” na bokach podjechały do bramy. Dutch Hendrix otworzył ją i machnięciem ręki dał znać, żeby wjeżdżały. Podjechały do tylnych drzwi,



a osiem kobiet w identycznych bluzkach przystąpiło do wyładowywania odkurzaczy i wiader wypełnionych najróżniejszymi środkami czystości. Wyjmowały szczotki, mopy i rolki papieru toaletowego. Rozmawiały cicho, gdy szły przez budynek. Zgodnie z zaleceniem sprzątały po jednym piętrze naraz, zaczynając od czwartego. Ochroniarze chodzili po piętrach i nie spuszczały z nich oka.

Kobiety ignorowały ich, zajęte opróżnianiem koszy na śmieci, czyszczeniem mebli, odkurzaniem i szorowaniem ubikacji. Nowa dziewczyna pracowała wolniej od pozostałych. Zwracała uwagę na wszystko. Gdy ochroniarze nie widzieli, otwierała szuflady biurek i szafek z aktami. Zachowywała czujność.

To była jej trzecia noc w nowej pracy i dopiero uczyła się tego miejsca. Na gabinet Tollesona natrafiła na czwartym piętrze już pierwszej nocy i uśmiechnęła się do siebie.

Miała na sobie brudne dżinsy i znoszone tenisówki. Niebieska bluzka „Pogromców kurzu” była w rozmiarze XL, żeby ukryć zgrabną figurę i nadać jej wygląd kobiety z nadwagą, podobną do reszty sprzątaczek. Na identyfikatorze przypiętym nad kieszenią widniało imię „Doris”. Doris, sprzątaczką.

Kiedy były w połowie drugiego piętra, jeden z ochroniarzy poprosił Doris oraz dwie inne sprzątaczkę, Susie i Charlotte, żeby za nim poszły. Włożył klucz do kontrolki windy i zjechali do piwnicy. Otworzył ciężkie metalowe drzwi i weszli do ogromnego pomieszczenia podzielonego na dwanaście boksów. Każde biurko było zagracone i zdominowane przez ogromny komputer. Terminale widać było wszędzie. Pod ścianami stały czarne szafki na kartoteki.

— Wszystko, co jest potrzebne, macie tutaj — powiedział, wskazując schowek.

Wyjęły odkurzaczy, środki czystości i zabrały się do pracy.  
— Nie dotykajcie biurka — ostrzegł.

## Rozdział 30

Mitch zawiązał sznurowadła nike'ów do joggingu i usiadł na sofie. Czekał na telefon. Plotek, zgnębiony po dwóch tygodniach nieobecności pani, przysiadł obok niego i próbował drzemać. Dokładnie o dwudziestej drugiej trzydzieści telefon zadzwonił. To była Abby.

Obyło się bez ckliwych „kochanie”, „najdroższy” i „skarbie”. Ich wymuszona rozmowa przebiegała chłodno.

— Jak czuje się matka? — zapytał Mitch.

— Znacznie lepiej. Wstaje już i trochę chodzi, jest jednak bardzo obolała. Ale jakoś się trzyma.

— Miło słyszeć. A ojciec?

— Bez zmian. Jak zawsze zajęty. A jak się ma mój pies?

— Samotny i przygnębiony. Myślę, że jest bliski załamania.

— Tęsknię za nim. Jak w pracy?

— Przetrwaliśmy piętnasty kwietnia bez żadnej katastrofy. Wszyscy mają lepsze nastroje. Połowa współników wyjechała na urlop od razu szesnastego, więc jest znacznie spokojniej.

— Domyślam się, że wróciłeś do szesnastu godzin dziennie?

Mitch zawahał się i puścił te słowa mimo uszu. Nie było sensu zaczynać kłótni.

— Kiedy wrócisz do domu?

— Nie wiem. Mama będzie mnie potrzebowała jeszcze przez kilka tygodni. Z ojca jest niewielki pożytek. Mają gosposię i tak dalej, ale mama teraz mnie potrzebuje. — Przerwała na chwilę, jakby szykując się do czegoś

bardzo poważnego. — Zadzwoiłam dzisiaj do szkoły Świętego Andrzeja i powiedziałam, że nie wrócę do końca semestru.

Przyjął to spokojnie.

— Do końca semestru zostały jeszcze dwa miesiące. Będiesz tam przez dwa miesiące?

— Co najmniej, Mitch. Potrzebuję trochę czasu, to wszystko.

— Czasu na co?

— Nie zaczynamy, dobrze? Nie mam ochoty się kłócić.

— Świetnie. Świetnie. Świetnie. A na co masz ochotę?

Zignorowała to. Zapadła długa cisza.

— Ile kilometrów przebiegasz? — spytała w końcu Abby.

— Kilka. Idę na bieżnię i robię mniej więcej osiem okrążeń.

— Uważaj na bieżni. Tam jest strasznie ciemno.

— Dzięki.

Kolejna długa pauza.

— Muszę iść — powiedziała Abby. — Mama jest gotowa do spania.

— Zadzwoisz jutro wieczorem?

— Tak. O tej samej porze.

Rozłączyła się bez „do widzenia” czy „kocham cię”, bez słowa. Po prostu się rozłączyła.

Mitch podciągnął białe sportowe skarpetki i włożył biały podkoszulek z długimi rękawami. Zamknął na klucz kuchenne drzwi i pobiegł truchcikiem ulicą. Miejscowe gimnazjum znajdowało się sześć przecznic na wschód od East Meadowbrook. Za budynkiem szkoły z czerwonej cegły i salą gimnastyczną było boisko do baseballu, a dalej, na końcu ciemnej ulicy, boisko do futbolu. Żułowa bieżnia otaczająca boisko stała się ulubionym miejscem biegaczy mieszkających w okolicy.

Ale nie o dwudziestej trzeciej, szczególnie przy braku księżyca. Bieżnia

była pusta, lecz Mitchowi to pasowało. Wiosenne powietrze okazało się rześkie i przyjemne, przebiegł kilometr w pięć minut. Zaczął iść. Gdy mijał aluminiowe trybuny po stronie gospodarzy, spostrzegł kogoś kątem oka. Nie przerwał marszu.

— Psssst.

Mitch się zatrzymał.

— Kto tam jest?

— Joey Morolto — odpowiedział zachrypnięty, drażniący głos.

Mitch ruszył w kierunku trybuny.

— Bardzo śmieszne, Tarrance. Jestem czysty?

— Jasne, że jesteś czysty. Laney z latarką siedzi na górze w szkolnym autobusie. Błysnął na zielono, kiedy go minąłeś, a jak zauważysz, że coś błyska na czerwono, wracaj na bieżnię i zasuwasz jak Carl Lewis.

Weszli na górę trybuny i do łoży dla dziennikarzy. Usiedli w ciemności na stołkach i patrzyli na budynek szkoły. Szkolne autobusy stały zaparkowane w idealnym szeregu na podjeździe.

— Wystarczająco ustronnie dla ciebie? — zapytał Mitch.

— Ujdzie. Kim jest ta dziewczyna?

— Wiem, że wolisz spotykać się w ciągu dnia, najchętniej w tłumie, powiedzmy w knajpie z fast foodem albo koreańskim sklepie z butami, ale mnie bardziej odpowiadają takie miejsca.

— Super. Kim jest ta dziewczyna?

— Mądrze, co nie?

— Doskonały pomysł. Kim ona jest?

— Moją pracownicą.

— Gdzie ją znalazłeś?

— A co za różnica? Dlaczego zawsze zadajesz pytania, które nie mają związku ze sprawą?

— Nie mają związku? — obruszył się Tarrance. — Zadzwoiła do mnie dzisiaj jakaś kobieta, której nie znam, i powiedziała, że musi ze mną porozmawiać w błahej sprawie dotyczącej Domu Bendiniego. Powiedziała, że musimy zmienić telefony, poinstruowała mnie, że mam podejść do określonej budki telefonicznej przed jakimś sklepem spożywczym, o określonej godzinie, i ona zadzwoni dokładnie o wpół do drugiej. Poszedłem tam i dokładnie o wpół do drugiej zadzwoniła. Zwróć uwagę, że miałem trzech facetów czekających w odległości trzydziestu metrów i obserwujących wszystkich ludzi. No i powiedziała, że mam być tutaj dokładnie o dwudziestej drugiej czterdzieści pięć, otworzyć to miejsce i wtedy ty nadbiegniesz.

— Udało się, prawda?

— Tak, jak do tej pory. Ale kim ona jest? Chodzi o to, że włączyłeś kogoś jeszcze, a to naprawdę mnie niepokoi, McDeere. Kim ona jest i ile wie?

— Zaufaj mi, Tarrance. Prawdę mówiąc, gdybyś wiedział to, co ona wie, już teraz krzątałbyś się przy aktach oskarżenia, zamiast tu siedzieć i na nią wyklinać.

Tarrance odetchnął i głęboko się zamyślił.

— No dobrze, więc powiedz mi, co ona wie.

— Wie, że przez ostatnie trzy lata gang Morolto i jego wspólnicy wywieźli z kraju ponad osiemset milionów dolarów w gotówce i ulokowali te pieniądze w różnych bankach na Karaibach. Wie, które to banki, zna numery rachunków, daty i mnóstwo innych szczegółów. Wie, że Morolto kontrolują co najmniej trzysta pięćdziesiąt firm zarejestrowanych na Kajmanach, a te firmy odsyłają regularnie do Stanów wyprane pieniądze. Zna daty i wielkości tych przelewów. Wie o co najmniej czterdziestu amerykańskich korporacjach należących do korporacji z Kajmanów, które z kolei są własnością Morolto.

Wie cholernie dużo, Tarrance. Ta kobieta ma ogromną wiedzę, nie uważasz?

Tarrance'owi odebrało mowę. Wpatrywał się intensywnie w tonący w mroku podjazd.

Mitcha zaczęło to bawić.

— Wie, w jaki sposób zmieniają brudną gotówkę na studolarowe banknoty i cichcem wywożą z kraju.

— W jaki?

— Firmowym learem, oczywiście. Ale korzystają też z kurierów. Mają niewielką armię kurierów, zwykle to ich najmarniej opłacani wykidajki i ich dziewczyny, i wolni strzelcy. Dają im po dziewięć tysięcy osiemset w gotówce i kupują bilet na Kajmany albo Bahamy. Przy sumach niższych od dziesięciu tysięcy nie trzeba tego zgłaszać na cle, rozumiesz? I kurierzy latają tam jako zwykli turyści, z kieszeniami pełnymi forsy, i wpłacają wszystko do ich banków. Suma może nie robi wrażenia, ale jeśli weźmie się pod uwagę trzysta osób jeżdżących tam dwadzieścia razy w roku, to okaże się, że z kraju wywożone są poważne pieniądze. Nazywają to smerfowaniem, wiesz?

Tarrance lekko skinął głową, jakby wiedział.

— Mnóstwo ludzi chce smerfować, bo dostają wakacje za darmo i pieniądze na wydatki. Ale mają też superkurierów. To zaufani ludzie Morolto, którzy biorą milion dolców w gotówce, bardzo starannie pakują pieniądze w gazetę, żeby maszyny na lotnisku niczego nie wykryły, wkładają je do dużych teczek i wchodzą do samolotu jak wszyscy inni. Ubrani w garnitury, w płaszczach. Wyglądają na typowych ludzi z Wall Street. Albo mają na sobie sandały i słomiane kapelusze i przewożą forsy w bagażu podręcznym. Czasami udaje wam się złapać któregoś z nich, myślę, że około jednego procentu, a kiedy do tego dochodzi, superkurier trafia do więzienia. Tyle że żaden z nich nigdy nie puścił pary z ust, prawda, Tarrance? Od czasu do czasu jakiś smerfer zaczyna myśleć o gotówce, którą wiezie w torbie, i jak

łatwo byłoby polecieć z nią gdzieś dalej i cieszyć się tymi pieniędzmi. I znika. Ale mafia nigdy nie zapomina i choć może to potrwać rok czy dwa, w końcu go znajdują. Po pieniądzach nie będzie już oczywiście śladu, a zaraz potem i po nim. Mafia nigdy nie zapomina, prawda, Tarrance? Tak samo nie zapomni o mnie.

Tarrance słuchał do chwili, gdy stało się jasne, że chce coś powiedzieć.

— Masz swój milion dolców — przypomniał Mitchowi.

— Doceniam to. Jestem prawie gotowy na następną ratę.

— Prawie?

— Tak, musimy jeszcze z tą dziewczyną zrobić kilka rzeczy. Próbujemy wyciągnąć trochę więcej dokumentów z Front Street.

— A ile dokumentów macie?

— Ponad dziesięć tysięcy.

Tarrance'owi opadła szczęka. Siedział z otwartymi ustami i wpatrywał się w Mitcha.

— Cholera! Skąd pochodzą? — wykrztusił.

— Kolejne z twoich pytań.

— Dziesięć tysięcy dokumentów — powtórzył Tarrance.

— Co najmniej dziesięć tysięcy. Wyciągi bankowe, potwierdzenia przelewów, akty założycielskie, dokumenty kredytowe korporacji, wewnętrzne notatki, korespondencja pomiędzy najróżniejszymi ludźmi. Mnóstwo dobrego towaru, Tarrance.

— Twoja żona wspomniała o firmie Dunn Lane Ltd. Przejrzeliśmy akta, które już nam przekazałeś. Całkiem dobry materiał. Co jeszcze o niej wiesz?

— Bardzo dużo. Założona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, z kapitałem dziesięć milionów, które zostały przelane do firmy z konta numerycznego w Banco de Mexico, te same dziesięć milionów, które przyleciały na Kajmany pewnym prywatnym odrzutowcem należącym do



niewielkiej kancelarii prawniczej w Memphis. Początkowo było to co prawda czternaście milionów, ale po opłaceniu kajmańskich celników i bankierów suma zmniejszyła się do dziesięciu milionów. Kiedy firma została założona, zarejestrowano ją na faceta o nazwisku Diego Sánchez, który dziwnym zbiegiem okoliczności jest wiceprezesem Banco de Mexico. Prezesem został uroczy człowiek Nathan Locke, a sekretarzem nasz stary znajomy Royce McKnight. Z kolei skarbnikiem tej malutkiej korporacji jest gość o nazwisku Al Rubinstein. Jestem pewny, że go znasz. Bo ja nie.

— To człowiek Morolto.

— Niespodzianka, co? Chcesz więcej?

— Mów dalej.

— Po zainwestowaniu pierwszych dziesięciu milionów w to przedsięwzięcie przez następne trzy lata złożono w depozycie kolejne dziewięćdziesiąt milionów. Bardzo dochodowy interes. Firma zaczęła kupować najróżniejsze rzeczy w Stanach Zjednoczonych: farmy bawełny w Teksasie, kompleksy mieszkaniowe w Dayton, sklepy jubilerskie w Beverly Hills, hotele w St. Petersburgu\* i Tampie. Większość transakcji dokonywano przelewami z czterech czy pięciu banków na Kajmanach. To typowa operacja prania brudnych pieniędzy.

— I masz na to dowody?

— Głupie pytanie, Wayne. Gdybym nie miał na to dowodów, to skąd bym o tym wiedział? Pracuję tylko przy czystych sprawach, pamiętasz?

— Ile jeszcze czasu ci to zajmie? — chciał wiedzieć Tarrance.

— Dwa tygodnie. Ja i moja pracownica nadal wędzimy przy Front Street. I nie wygląda to dobrze. Bardzo trudno będzie wyprowadzić stamtąd akta.

— A skąd pochodzi tamte dziesięć tysięcy dokumentów?

Mitch zignorował to pytanie. Zerwał się na równe nogi i ruszył w stronę

\* Chodzi o St. Petersburg na Florydzie.

drzwi.

— Chcemy z Abby zamieszkać w Albuquerque. To duże miasto i trochę jakby na uboczu. Zaczynaj nad tym pracować.

— Żeby tylko to nie był falstart. Jest jeszcze mnóstwo roboty.

— Powiedziałem „dwa tygodnie”, Tarrance. Będę miał wszystko do przekazania za dwa tygodnie, a to oznacza, że muszę wtedy zniknąć.

— Nie tak szybko. Chcę najpierw zobaczyć trochę tych papierów.

— Masz krótką pamięć, Tarrance. Moja urocza żona obiecała ci całą furę dokumentów Dunn Lane w chwili, gdy Ray znajdzie się na wolności.

Tarrance popatrzył na boisko pogrążone w mroku.

— Zobaczę, co da się zrobić — mruknął.

Mitch podszedł do niego i wycelował palec w jego twarz.

— Posłuchaj, Tarrance, posłuchaj uważnie. Chyba się nie rozumiemy. Dzisiaj jest siedemnasty kwietnia. Za dwa tygodnie będzie pierwszy maja, a pierwszego maja dostarczę ci, jak obiecałem, ponad dziesięć tysięcy dokumentów bardzo obciążających i bardzo przekonujących, które poważnie zaszkodzą jednej z największych rodzin przestępczych na świecie. W ostateczności mogę zapłacić za to życiem. Ale obiecałem, że to zrobię. A ty obiecałeś, że wyciągniesz z więzienia mojego brata. Masz tydzień, do dwudziestego czwartego kwietnia. Jeśli nie, zniknę. A ze mną twoja sprawa i twoja kariera.

— A co on ma zamiar robić po wyjściu?

— Ty i te twoje kretyńskie pytania! Zwieje, aż się będzie za nim kurzyło, to właśnie robi. Ma brata z milionem dolarów, który jest ekspertem od prania brudnych pieniędzy i bankowości elektronicznej. Będzie poza krajem w ciągu dwunastu godzin. Pojedzie odszukać ten milion.

— Bahamy.

— Bahamy? Jesteś idiotą, Tarrance — prychnął Mitch. — Te pieniądze

spędziły na Bahamach mniej niż dziesięć minut. Nie można ufać tamtejszym skorumpowanym durniom.

— Pan Voyles nie lubi, gdy wyznacza mu się nieprzekraczalne terminy. Naprawdę się wtedy wkurza.

— To powiedz panu Voylesowi, żeby pocałował mnie w dupę. Powiedz mu, żeby szykował następne pół miliona, bo jestem prawie gotowy. Powiedz mu, żeby wyciągnął mojego brata, albo odstępuję od umowy. Powiedz mu, co chcesz, ale Ray ma wyjść w ciągu tygodnia, bo zniknę.

Mitch trzasnął drzwiami i zaczął schodzić po trybunie. Tarrance ruszył za nim.

— Kiedy znowu pogadamy?! — zawołał.

Mitch przeskoczył przez ogrodzenie i był na bieżni.

— Moja pracownica do ciebie zadzwoni. Rób tylko to, co ci powie.

# Rozdział 31

Coroczny trzydniowy odpoczynek po piętnastym kwietnia Nathana Locke'a w Vail został odwołany. Przez DeVashera na polecenie Lazarova. Locke i Oliver Lambert siedzieli w biurze na piątym piętrze i słuchali. DeVasher przedstawiał swoją fragmentaryczną wiedzę i próbował bez powodzenia rozwikłać zagadkę.

— Jego żona wyjeżdża. Mówi, że musi jechać do matki, która ma raka płuc. I że ma dość jego zafajdanej pracy. Od kilku miesięcy co jakiś czas pojawiały się między nimi problemy. Narzekała trochę na jego godziny pracy i tak dalej, ale to nie było nic poważnego. No więc jedzie do mamusi. Mówi, że nie wie, kiedy wróci. Mamusia jest chora, prawda? Usunęli jej płuco, prawda? Ale nie możemy znaleźć szpitala, w którym słyszano by o Maxine Sutherland. Sprawdziliśmy we wszystkich szpitalach w Kentucky, Indianie i Tennessee. To wydaje się dziwne, chyba przyznacie, panowie?

— Daj spokój, DeVasher — powiedział Lambert. — Moja żona miała operację cztery lata temu, więc poleciliśmy do kliniki Mayo. Nie słyszałem o przepisach zmuszających do poddawania się operacji w odległości nie większej niż sto pięćdziesiąt kilometrów od miejsca zamieszkania. To absurd. Może zapisali ją pod innym nazwiskiem, bo chciała utrzymać to w tajemnicy. Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy.

Locke pokiwał głową, zgadzając się z nim.

— Jak często z nią rozmawia? — zapytał.

— Ona dzwoni mniej więcej raz dziennie. Całkiem miło rozmawiają o tym i tamtym. O psie. Jej matce. Biurze. Wczoraj powiedziała mu, że nie

wróci jeszcze przez co najmniej dwa miesiące.

— Czy kiedykolwiek wspomniała, o który szpital chodzi? — zapytał Locke.

— Nigdy. Jest naprawdę bardzo ostrożna. Niewiele mówi o operacji. Mamusia podobno jest już w domu. Jeśli kiedykolwiek z niego wychodziła.

— Do czego zmierzasz, DeVasher? — zapytał Lambert.

— Zamknij się, to skończę. Założmy, że to wszystko jest przykrywką, żeby mogła wyjechać z miasta. Żeby znalazła się jak najdalej od nas. Od tego, co się zbliża. Nadążacie?

— Przypuszczasz, że ona z nimi pracuje? — zapytał Locke.

— Płacą mi za snucie takich przypuszczeń, Nat. Podejrzewam, że on wie o podsłuchu w telefonie i dlatego uważają na każde słowo. Podejrzewam, że Mitch chciał, żeby wyjechała dla własnego bezpieczeństwa.

— Bardzo to niepewne — mruknął Lambert. — Bardzo niepewne.

DeVasher chodził za biurkiem w tę i z powrotem. Popatrzył na Olliego i puścił to mimo uszu.

— Mniej więcej dziesięć dni temu ktoś robi cały stos kserokopii na czwartym piętrze. To dziwne, bo odbywa się to o trzeciej nad ranem. Zgodnie z naszymi rejestrami, kiedy kserokopiarka chodziła, było tu tylko dwóch prawników, McDeere i Scott Kimble. Żaden z nich nie miał nic do roboty na czwartym piętrze. Użyto dwudziestu czterech kodów dostępu. Trzy należały do spraw Lamara Quina. Trzy do Sonny'ego Capps'a. Pozostałe osiemnaście do spraw prowadzonych przez McDeere'a. Żaden nie należał do Kimble'a. Victor Milligan wyszedł ze swojego gabinetu koło wpół do trzeciej, a McDeere pracował w biurze Avery'ego. Odwiózł go wcześniej na lotnisko. Avery twierdzi, że zamknął swój gabinet na klucz, ale mógł zapomnieć. Albo on zapomniał zamknąć, albo McDeere ma klucz. Przycisnąłem w tej sprawie Avery'ego. Jest prawie pewny, że zamknął drzwi na klucz. Ale była północ,

padał z nóg i się spieszył. Mógł zapomnieć, prawda? Niemniej nie upoważnił McDeere'a do pracy w swoim gabinecie. Tak naprawdę nie byłoby o czym mówić, bo cały dzień męczyli się nad zeznaniem podatkowym Cappsa. Kserokopiarka ma numer jedenaście i dziwnym trafem stoi najbliżej gabinetu Avery'ego. Moim zdaniem spokojnie można przyjąć, że to McDeere zrobił te kopie.

— Ile?

— Dwa tysiące dwanaście.

— Z jakich dokumentów?

— Osiemnaście dotyczyło wyłącznie klientów podatkowych. Teraz mam pewność; tłumacząc się z tego, powiedziałyby nam, że po prostu skończyły zeznania podatkowe i zrobiły kopie wszystkich dokumentów. Brzmi przekonująco, prawda? Tyle że to zawsze sekretarki robią kopie, a poza tym, o co, do cholery, chodzi w tym, że zrobił ponad dwa tysiące kopii na czwartym piętrze o trzeciej nad ranem? To było nad ranem siódmego kwietnia. Jak wielu z waszych chłopców kończy przed czasem robotę związaną z piętnastym kwietnia i robi kopie dokumentów tydzień wcześniej?

Przestał chodzić i wpatrywał się w nich. Myśleli. Tu ich miał.

— A teraz gwóźdź programu. Pięć dni później jego sekretarka używa tych samych osiemnastu numerów dostępu na swojej kserokopiarce na drugim piętrze. Zrobiła około trzystu odbitek, które, jak się domyślam, choć nie jestem prawnikiem, rzeczywiście były kopiami dokumentów tych spraw. Zgodzicie się ze mną?

Obaj skinęli głowami, choć żaden się nie odezwał. Byli prawnikami, mieli doświadczenie w podważaniu każdego twierdzenia. Ale nic nie powiedzieli. DeVasher uśmiechnął się złośliwie i znów zaczął chodzić.

— Przyłapaliśmy go na zrobieniu dwóch tysięcy kopii i nie da się wytłumaczyć po co mu one. Pytanie brzmi: co kserował? Jeśli posługiwał się

złymi numerami dostępu, żeby uruchomić maszynę, co, do cholery, powiełał? Nie wiem. Wszystkie pokoje były pozamykane poza, oczywiście, gabinetem Avery'ego. Dlatego zapytałem Tolbesona. Ma cały rząd metalowych szafek, w których trzyma czyste akta. Ma je pod kluczem. On, McDeere i sekretarki grzebali w tych kartotekach przez cały dzień. Mógł zapomnieć je zamknąć, kiedy spieszył się na samolot. Wielka mi rzecz. Po co McDeere kopiowałyby legalne dokumenty? Nie kopiowałyby. Podobnie jak wszyscy z czwartego piętra Avery ma cztery drewniane szafki na utajnione dokumenty. Nikt ich nie dotyka, prawda? To zasada firmy. Nawet inni wspólnicy. Są niedostępne jeszcze bardziej niż moje materiały. Więc McDeere nie mógłby się do nich dostać bez klucza. Avery pokazał mi swoje klucze. Powiedział, że nie dotykał tych szafek przez dwa dni przed siódmym. Avery obejrzał ich zawartość i uznał, że wszystko jest w porządku. Nie umie powiedzieć, czy ktoś przy nich majdrował. Ale czy możecie spojrzeć na dokument i stwierdzić, że został skopiowany? Nie, nie możecie. Ja też nie mogę. Dlatego wyjąłem dziś rano te akta i wysłałem je do Chicago. Sprawdzą na nich odciski palców. To potrwa mniej więcej tydzień.

— Nie skopiowałyby tych dokumentów — powiedział Lambert.

— A co innego mógłby kserować, Ollie? Przecież na czwartym piętrze i na trzecim wszystko było pozamykane. Wszystko poza gabinetem Avery'ego. Zakładając przy tym, że on i Tarrance szepczą sobie do uszek, czego szukałby w gabinecie Tolbesona? Niczego poza tajnymi aktami.

— Teraz zakładasz, że on ma klucz — powiedział Locke.

— Tak. Zakładam, że ma komplet kluczy Avery'ego.

Ollie prychnął i roześmiał się z irytacją.

— To niewiarygodne. Nie wierzę.

Lambert wpatrywał się w DeVashera z ironicznym uśmiechem.

— Jakim cudem zdobyłby zapasowe klucze?

— Dobrze pytanie, ale nie umiem na nie odpowiedzieć. Avery pokazał mi swoje klucze. Dwa kółka, jedenaście kluczy. Cały czas nosi je przy sobie. Zasada firmy, prawda? Tak jak powinien robić dobry, grzeczny prawnik. Kiedy nie śpi, ma klucze w kieszeni. A kiedy śpi poza domem, trzyma klucze pod materacem.

— Dokąd wyjeżdżał w ostatnim miesiącu? — zainteresował się Lambert.

— O wyjeździe do Houston w zeszłym tygodniu na spotkanie z Cappsem nie ma sensu wspominać, bo był niedawno. Przedtem pojechał pierwszego kwietnia na dwa dni na Kajmany.

— Pamiętam — powiedział Ollie, słuchając z natężoną uwagą.

— I dobrze, Ollie. Zapytałem go, co robił w obie noce i odpowiedział, że nic poza pracą. W jeden wieczór posiedział w barze, i to wszystko. Przysięga, że w obie noce spał sam. — DeVasher nacisnął guzik przenośnego magnetofonu. — Ale kłamie. Ten telefon wykonano o dziewiątej piętnaście drugiego kwietnia z sypialni apartamentu A. — Taśma ruszyła:

— „Jest pod prysznicem.

— Z tobą wszystko w porządku?

— Tak. Dzięki. Nie mógłby tego zrobić, nawet gdyby musiał.

— Dlaczego trwało to tak długo?

— Bo się nie budził.

— Podejrzewa coś?

— Nie. Niczego nie pamięta. Myślę, że wszystko go boli.

— Jak długo jeszcze tam będziesz?

— Aż pocałuję go na »do widzenia«, kiedy wyjdzie spod prysznic. Dziesięć, może piętnaście minut.

— Dobra. Pospiesz się".

DeVasher wcisnął inny klawisz i nie przestawał chodzić.

— Nie mam pojęcia, kim były te kobiety, i jeszcze nie skonfrontowałem



tego z Averym. Mimo wszystko on mnie martwi. Jego żona wystąpiła o rozwód, a on stracił nad sobą kontrolę. Cały czas ugania się za babami. To bardzo poważne naruszenie reguł bezpieczeństwa i podejrzewam, że Lazarov dostanie szału.

— Mówiła, jakby chodziło o paskudnego kaca — uznał Locke.

— Najwyraźniej.

— Myślisz, że zrobiła repliki kluczy? — zapytał Ollie.

DeVasher wzruszył ramionami i usiadł na podniszczonym skórzanym fotelu. Stracił pewność siebie.

— To możliwe, ale raczej wątpię. Zastanawiałem się nad tym całymi godzinami. Zakładając, że poderwał w barze jakąś kobietę i razem pili, to prawdopodobnie dość późno poszli do łóżka. Jak mogłaby dorobić komplet kluczy w środku nocy na tej małej wyspie? Po prostu wątpię.

— Miała przecież współniczkę. — Locke upierał się przy swoim.

— Tak, i tego nie mogę rozpracować. Może próbowały ukraść mu portfel i coś poszło nie tak? On nosi przy sobie kilka tysięcy w gotówce, a kiedy się upije, diabli wiedzą, co im mówi. Może zamierzała podprowadzić mu te pieniądze w ostatniej chwili i zwiać. Jednak tego nie zrobiła. Sam nie wiem...

— Żadnych więcej przypuszczeń? — spytał Ollie.

— W tej chwili nie. Uwielbiam to robić, ale zakładanie, że te kobiety podprowadziły klucze, w jakiś sposób dorobiły drugi komplet w środku nocy na wyspie, bez jego wiedzy, a potem ta pierwsza wróciła do niego do łóżka, to jak dla mnie trochę za dużo. I że jest to w jakiś sposób powiązane z McDeere'em i jego użyciem kserokopiarki na czwartym piętrze. To stanowczo za dużo.

— Zgadzam się — powiedział Ollie.

— A co z magazynem? — zapytał Lambert.

— Pomyślałem o tym, Nat. Prawdę mówiąc, cierpię na bezsenność, od

kiedy o tym myślę. Jeśli była zainteresowana dokumentami z magazynu, to musi istnieć jakieś powiązanie z McDeere'em albo węszy ktoś inny. A ja nie umiem ustalić tego powiązania. Powiedzmy, że znalazła to pomieszczenie i dokumenty. Co miałyby z nimi zrobić po nocy, mając Avery'ego śpiącego na górze?

— Mogła je przeczytać.

— Tak, jest ich tylko milion. Nie zapominajcie, że musiała pić z Averyem, bo inaczej stałby się podejrzliwy. Więc spędziła noc na chlaniu i pieprzeniu się. Zaczekała, aż on zaśnie, a potem nagle poczuła przymus, żeby zejść na dół i czytać wyciągi bankowe. Dla mnie to się nie trzyma kupy, panowie.

— Może pracuje dla FBI? — podsunął Ollie.

— Nie, nie może.

— Dlaczego?

— To proste, Ollie. FBI by tego nie zrobiło, bo takie przeszukanie byłoby niezgodne z prawem i jego wyniki nie nadawałyby się do wykorzystania w sądzie. Ale jest znacznie prostsze wyjaśnienie.

— Jakie?

— Gdyby była agentką federalną, nie skorzystałaby z telefonu. Zawodowiec nie zrobiłby czegoś takiego. Myślę, że była złodziejką.

• • •

Hipotezę o złodziejce przedstawiono Lazarowowi, który choć kombinował na tysiąc sposobów, nie wymyślił niczego lepszego. Wydał polecenie, by wymieniono zamki na trzecim i czwartym piętrze, w piwnicy oraz w obu apartamentach na Kajmanach. Kazał odszukać wszystkich ślusarzy na wyspie — powiedział, że nie będzie ich wielu — żeby ustalić, czy któryś z nich dorabiał klucze w nocy pierwszego albo rankiem drugiego kwietnia. Przekupcie ich, doradził DeVasherowi. Powiedzą wszystko za

niewielkie pieniądze. Kazał sprawdzić odciski palców na dokumentach z gabinetu Avery'ego. DeVasher z dumą oznajmił, że już się tym zajął. Odciski McDeere'a uzyskano z jego kartoteki w stanowej izbie adwokackiej.

Zarządził też dwumiesięczne zawieszenie w obowiązkach Avery'ego Tollesona. DeVasher zwrócił mu uwagę, że to może obudzić czujność McDeere'a, jako coś, co nie ma precedensu. Skoro jednak to konieczne, powiedział DeVasher, kaź Tollesonowi zgłosić się do szpitala z bólem w klatce piersiowej. Dwa miesiące zwolnienia od lekarza. Powiedz mu, żeby po sobie posprzątał. Zamknął gabinet. Przydzielił McDeere'a Victorowi Milliganowi.

— Powiedziałeś, że masz dobry plan wyeliminowania McDeere'a — odezwał się DeVasher.

Lazarov skrzywił się i podrapał po nosie.

— Tak. Myślę, że skorzystamy z samolotu. Wyślemy go na wyspy w krótką podróż służbową i nastąpi tajemnicza eksplozja.

— Poświęcimy dwóch pilotów? — zdziwił się DeVasher.

— Tak. To musi dobrze wyglądać.

— Tylko nie rób tego nigdzie w pobliżu Kajmanów. Zbieg okoliczności będzie zbyt podejrzany.

— W porządku, ale to musi się wydarzyć nad wodą. Mniej szczątków. Użyjemy dużego ładunku, więc niewiele znajda.

— Samolot jest drogi — zauważył DeVasher.

— Najpierw pogadam o tym z Joeyem.

— Ty jesteś szefem. Daj znać, gdybyśmy mogli w czymś pomóc.

— Jasne. Zaczynij się nad tym zastanawiać.

— A co z twoim człowiekiem w Waszyngtonie? — zapytał DeVasher.

— Czekam. Dzwoniłem dziś rano do Nowego Jorku i teraz to sprawdzają. Powinniśmy coś wiedzieć za tydzień.

— To ułatwi sprawę.

— Tak. Jeśli odpowiedź będzie na tak, musimy go zlikwidować w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Zabieram się do planowania.

• • •

W sobotni rano w biurze panował spokój. Garstka wspólników i kilkunastu pracowników krzątało się w spodniach khaki i koszulkach polo. Nie było żadnej sekretarki. Mitch sprawdził pocztę i podyktował listy. Wyszedł po dwóch godzinach. Była pora odwiedzin u Raya.

Przez pięć godzin jechał autostradą międzystanową numer 40 na wschód. Prowadził jak wariat. Najpierw siedemdziesiąt na godzinę, a potem prawie sto czterdzieści. Uważnie przyglądał się wszystkim parkingom na poboczach i stacjom ważenia ciężarówek. Niespodziewanie zjechał z autostrady, zatrzymał się pod wiaduktem, czekał i patrzył. Nie zobaczył ich jednak. Żaden z samochodów, żadna z furgonetek i ciężarówek nie wydały mu się podejrzane. Przyglądał się nawet kilku osiemnastokołowym potworom. Nic. Nikt za nim nie jedzie, i tyle. Zauważyłyby ich.

Paczka z książkami i papierosami została sprawdzona w dyżurce i wskazano mu kabinę numer dziewięć. Kilka minut później Ray usiadł po drugiej stronie grubej szyby.

— Gdzie się podziewałeś? — zapytał lekko zirytowany. — Jesteś jedyną osobą na świecie, która mnie odwiedza, a dziś to dopiero drugi raz w ciągu czterech miesięcy.

— Wiem. To przez koniec okresu podatkowego, byłem zarobiony. Poprawię się. Ale przecież pisałem.

— Tak, kilka zdań raz na tydzień. *Cześć, Ray. Jak prycza? Jak jedzenie? Jak ci w ogóle? Jak tam grecki albo włoski? U mnie wszystko dobrze. Abby*

ma się doskonale. Pies chory. Muszę kończyć. Niedługo cię odwiedzę. Uściski, Mitch. Piszesz naprawdę fantastyczne listy, braciszku. To dla mnie prawdziwe skarby, naprawdę.

— Twoje nie są lepsze.

— A o czym mam pisać? Strażnicy handlują prochami. Przyjaciela zadźgali, wbijając mu nóż trzydzieści jeden razy. Widziałem gwałt na dzieciaku. Daj spokój, Mitch, kto chciałby o tym czytać?

— Poprawię się.

— Jak mama?

— Nie wiem. Nie rozmawiałem z nią od Bożego Narodzenia.

— Prosiłem cię, żebyś się dowiedział, co u niej. Martwię się o nią. Jeśli ten matoł ją bije, chcę, żeby to się skończyło. Gdybym mógł stąd wyjść, sam bym to przerwał.

— Wyjdiesz. — To było twierdzenie, nie hipoteza. Mitch położył palec na ustach i lekko kiwnął głową. Ray pochylił się do przodu i uważnie się w niego wpatrywał.

Mitch mówił powoli:

— *Espan~ol. Hable despacio.* — Hiszpański. Mów wolno.

Ray uśmiechnął się lekko.

— *¿Cuándo?* — Kiedy?

— *La semana próxima.* — W przyszłym tygodniu.

— *¿Qué día?* — Którego dnia?

Mitch zastanawiał się sekundę.

— *Martes o miércoles.* — Wtorek albo środa.

— *¿Qué tiempo?* — O której godzinie?

Mitch uśmiechnął się i wzruszył ramionami, a potem się rozejrzał.

— Jak się ma Abby? — zapytał Ray.

— Jest w Kentucky od paru tygodni. Jej matka zachorowała. —

Wpatrywał się w Raya i dodał, bezdźwięcznie poruszając ustami: — Zaufaj mi.

— Co jej jest?

— Usunęli jej płuco. Rak. Przez całe życie kopcila jak komin. Ty też powinieneś rzucić.

— Rzucę, jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę.

Mitch uśmiechnął się i wolno pokiwał głową.

— Zostało ci co najmniej siedem lat.

— Tak, a ucieczka jest niemożliwa. Co jakiś czas ktoś jej próbuje, ale albo go zabijają, albo łapią.

— James Earl Ray pokonał mury, prawda? — Mitch skinął głową, gdy zadawał to pytanie. Ray uśmiechnął się i patrzył bratu w oczy.

— Ale go złapali. Sprowadzili bandę górali z psami tropiącymi i zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Wątpię, czy komukolwiek udało się przeżyć w tych górach po ucieczce z więzienia.

— Porozmawiajmy o czymś innym — zaproponował Mitch.

— Dobry pomysł.

Dwóch strażników stało przy oknie za rzędem kabin dla odwiedzających. Zabawiali się oglądaniem świńskich zdjęć zrobionych polaroidem, które ktoś próbował przeszmużować przez dyżurkę. Chichotali, ignorując odwiedzających. Po stronie więźniów jeden strażnik chodził wolno z pałką w tę i z powrotem, na wpół drzemiąc.

— Kiedy mogę się spodziewać małych bratanic i bratanków? — zapytał Ray.

— Może za kilka lat. Abby chce i chłopca, i dziewczynkę. Zabrałyby się do tego już teraz, gdybym chciał. Ale nie jestem gotowy.

Strażnik przeszedł za Rayem, ale nawet na niego nie spojrział. Bracia wpatrywali się w siebie, próbując czytać sobie w oczach.

— *¿Adónde voy?* — zapytał Ray szybko. — Dokąd pojedę?

— Hilton na plaży Perdido. Byliśmy z Abby w zeszłym miesiącu na Kajmanach. Mieliśmy cudowne wakacje.

— Nigdy nie słyszałem o tym miejscu. Gdzie to jest?

— Na Karaibach, poniżej Kuby.

— *¿Qué es mi nombre?* — Jak się nazywam?

— Lee Stevens. Trochę ponurkowaliśmy. Woda jest ciepła i wspaniała. Firma ma tam dwa apartamenty tuż przy Siedmiomilowej Plaży. Zapłaciłem tylko za przelot. Było cudownie.

— Przynieś mi książkę. Chciałbym o tym poczytać.

*¿Pasaporte?*

Mitch kiwnął z uśmiechem głową. Strażnik przystanął za Rayem. Zaczęli rozmawiać o dawnych czasach w Kentucky.

• • •

O zmierzchu Mitch zaparkował bmw po nieoświetlonej stronie podmiejskiego pasażu handlowego w Nashville. Zostawił kluczyki w stacyjce i zamknął drzwi. W kieszeni miał zapasowe. Gwarny tłum klientów robiących zakupy przed Wielkanocą przepychał się drzwiami do Searsa. Mitch dołączył do nich. W środku przyczał się w dziale z męską odzieżą. Oglądał skarpetki i slipy, nie spuszczać oczu z drzwi. Nikogo podejrzanego. Wyszedł z Searsa i ruszył przez pasaż szybkim krokiem między tłoczącymi się ludźmi. Jego uwagę zwrócił czarny sweter na wystawie z męskimi ubraniami. Wszedł do środka, znalazł go, przymierzył i postanowił od razu włożyć, tak bardzo mu się podobał. Kiedy sprzedawca kładł resztę na kontuarze, Mitch przerzucił książkę telefoniczną w poszukiwaniu firmy taksówkowej. Gdy znowu znalazł się w pasażu, wjechał ruchomymi schodami na pierwsze piętro, gdzie był automat.

Taksówka miała nadjechać za dziesięć minut.

Było już zupełnie ciemno, panował chłód typowy dla zmierzchu wiosną na Południu. Z wnętrza baru obserwował wejście do pasażu. Miał pewność, że nikt go nie śledził. Podeszedł spokojnie do taksówki.

— Brentwood — powiedział do kierowcy i zniknął na tylnym siedzeniu.

Brentwood znajdowało się w odległości dwudziestu minut jazdy.

— Apartamenty Savannah Creek — dodał.

Taksówka krążyła po rozległym kompleksie, aż dotarła pod numer 480E. Mitch rzucił kierowcy dwudziestodolarowy banknot i zatrzasnął za sobą drzwi. Za schodami przeciwpożarowymi znalazł drzwi 480E. Były zamknięte.

— Kto tam? — zapytał ze środka zdenerwowany kobiecy głos. Zrobiło mu się słabo.

— Barry Abanks — odpowiedział.

Abby otworzyła drzwi i rzuciła się na niego. Całowali się histerycznie, gdy uniósł ją do góry, wszedł do mieszkania i nogą zatrzasnął drzwi. Jego ręce szalały. W niecałe dwie sekundy ściągnął jej sweter przez głowę, rozpiął stanik i opuszczył do kolan jej trochę luźną spódnicę. Nie przestawali się całować. Jednym okiem zerknął z niepokojem na składane łóżko w tym tanim, zapyziałym, wynajętym mieszkaniu, które na nich czekało. Albo ono, albo podłoga. Położył Abby delikatnie i sam się rozebrał.

Łóżko okazało się za krótkie i skrzypiało. Materac zrobiono w pięciocentymetrowej gumowej pianki obszytej prześcieradłem. Rama pod nimi wyginała się niebezpiecznie.

Ale McDeere'owie nawet tego nie zauważyli.

• • •

Kiedy wszystko było w porządku i zrobiło się ciemno, a tłum robiących



zakupy w pasażu na chwilę się przerzedził, lśniący czarny pick-up chevrolet silverado stanął za bmw. Niski, krótko ostrzyżony mężczyzna z baczkami wysiadł energicznie, rozejrzał się i wsunął śrubokręt w zamek drzwi bmw. Kilka miesięcy później, gdy będzie skazywany, powie sędziemu, że ukradł ponad trzysta samochodów i pick-upów w ośmiu stanach i że potrafi włamać się do wozu i uruchomić silnik szybciej, niż udałoby się to sędziemu mającemu kluczyki. Powiedział, że jego średni czas wynosił dwadzieścia osiem sekund. Na sędzim nie zrobiło to wrażenia.

Zdarzało się, gdy dzień należał do wyjątkowo fartownych, że jakiś idiota zostawiał kluczyki w stacyjce, co znacznie skracało średni czas. Jeden z kumpli wyczał ten samochód z kluczykami w środku. Uśmiechnął się i przekręcił kluczyk. Silverado odjechało pospiesznie, a za nim podążyło bmw.

Nordyk wyskoczył z furgonetki i patrzył. Działo się to zbyt szybko. Spóźnił się. Pick-up podjechał, jak gdyby nigdy nic i w jednej chwili zasłonił mu widok. A potem, bum! — bmw zniknęło. Ukradzione! Na jego oczach. Kopnął furgonetkę. Jak się z tego wytłumaczy?

Wpełznął z powrotem do furgonetki i czekał na McDeere'a.

• • •

Po godzinie w łóżku Abby i Mitch zapomnieli o bólu rozłąki. Chodzili po niewielkim mieszkaniu, trzymając się za ręce i całując. W sypialni Mitch po raz pierwszy zobaczył coś, co ich trójka nazywała papierami Bendiniego. Czytał notatki i zestawienia Tammy, ale nie oglądał nigdy samych dokumentów. Pokój przypominał szachownicę z rzędami równych stosów kartek. Na dwóch ścianach Tammy przypięła dwa ogromne arkusze bristolu, a potem pokryła je notatkami, wykazami i diagramami.

W niedługim czasie, któregoś dnia, przyjdzie mu spędzić wiele godzin

w tym pokoju na studiowaniu papierów i przygotowywaniu własnej sprawy. Ale nie tego wieczoru. Za kilka minut musi zostawić Abby i wrócić do pasażu handlowego.

Zaprowadziła go z powrotem do łóżka.

## Rozdział 32

Hol na dziesiątym piętrze skrzydła Madison w Szpitalu Baptistów był pusty, poza jakąś staruszką i pielęgniarzem zapisującym coś na podkładce z klipsem. Pora odwiedzin skończyła się o dwudziestej pierwszej, a teraz dochodziła dwudziesta druga trzydzieści. Mitch przeszedł przez hol, zagadnął staruszkę, został zignorowany przez pielęgniarza i zapukał do drzwi.

— Proszę wejść — odpowiedział stanowczy głos.

Pchnął ciężkie drzwi i stanął przy łóżku.

— Cześć, Mitch — odezwał się Avery. — Dasz wiarę?

— Co się stało?

— Obudziłem się dzisiaj o szóstej rano ze skurczami żołądka, przynajmniej tak mi się wydawało. Wziąłem prysznic i wtedy poczułem ostry ból, o tutaj, w ramieniu. Miałem trudności z oddychaniem, zacząłem się pocić. Pomyślałem, nie, tylko nie ja. Cholera, mam czterdzieści cztery lata, jestem w świetnej formie, ćwiczyłem cały czas, jadłem zdrową żywność, no, trochę za dużo piłem. To nie może być prawda. Zadzwoiłem do lekarza, a on powiedział, żebym przyjechał do niego do szpitala. Uważa, że to lekki atak serca. Nic poważnego, jak ma nadzieję, ale przez kilka następnych dni będą mi robili badania.

— Atak serca?

— Tak powiedział.

— Wcale nie jestem zaskoczony, Avery. To cud, że w firmie jakiś prawnik dożywa pięćdziesiątki.

— Capps mi to zafundował, Mitch. Sonny Capps. To jego atak serca.

Zadzwoił w piątek i powiedział, że znalazł inną kancelarię podatkową w Waszyngtonie. Chce zabrać wszystkie swoje dokumenty. To mój najważniejszy klient. W zeszłym roku wystawiłem mu rachunek na czterysta tysięcy, co i tak odliczył sobie od podatku. Nie wścieka się z powodu honorarium radcy prawnego, ale dostaje szału na samą myśl o podatkach. Dla mnie to nie ma sensu, Mitch.

— Nie jest wart, żeby za niego umierać. — Mitch rozglądał się za kropłówką, ale żadnej nie zauważył. Nie było też rurek ani kabli. Usiadł na jedynym krześle i oparł nogi o łóżko.

— Wiesz, Jean wystąpiła o rozwód — powiedział Avery.

— Słyszałem. Nie jesteś chyba zaskoczony, prawda?

— Jestem zaskoczony, że nie zrobiła tego w zeszłym roku. Zaproponowałem jej niewielką fortunę za ugodę. Mam nadzieję, że na to pójdzie. Nie chciałbym mieć burzliwego rozwodu.

A kto by chciał? — pomyślał Mitch.

— Co powiedział Lambert? — zainteresował się.

— Właściwie to było na swój sposób zabawne. Przez dziewiętnaście lat nigdy nie widziałem, żeby stracił nad sobą panowanie, ale je stracił. Powiedział mi, że za dużo piję, uganiem się za babami i kto wie, co jeszcze wyczyniam. Powiedział, że przynoszę firmie wstyd. Zasugerował, żebym poszedł do psychiatry.

Avery mówił powoli i wyraźnie, tylko czasami głos mu słabł, stawał się zachrypnięty. Jakby udawał. Co któreś zdanie zapominał się i wracał do normalnego tonu. Leżał nieruchomo jak trup, dokładnie opatulony pościelą. Na twarzy wyglądał całkiem dobrze.

— Myślę, że potrzebny ci psychiatra. Może nawet dwóch — stwierdził Mitch.

— Dzięki. Potrzebny mi miesiąc na słońcu. Lekarz powiedział, że

wypiszą mnie za trzy, cztery dni, ale nie będę mógł wrócić do pracy przez dwa miesiące. Sześćdziesiąt dni, Mitch — jęknął Avery. — Powiedział, że przez te sześćdziesiąt dni nie mogę pod żadnym pozorem nawet zbliżyć się do firmy.

— Prawdziwy uśmiech losu. Chyba sam dostanę lekkiego ataku serca.

— Przy twoim trybie życia masz to zagwarantowane.

— A ty co, zostałeś lekarzem?

— Nie. Jestem wystraszony — wyznał Avery. — Dopada cię coś takiego i zaczynasz się zastanawiać nad różnymi rzeczami. Dzisiaj po raz pierwszy w życiu pomyślałem o śmierci. A jeśli nie myśli się o śmierci, nie docenia się życia.

— To się robi coraz poważniejsze.

— Tak, wiem. Jak się miewa Abby?

— Dobrze. Tak myślę. Nie widziałem jej od jakiegoś czasu.

— Powinieneś pojechać do niej i zabrać ją do domu. I ją uszczęśliwić. Sześćdziesiąt godzin tygodniowo to mnóstwo czasu, Mitch. Zrujnujesz swoje małżeństwo i zabijesz się, jeśli będziesz więcej tyrał. Ona chce dzieci, więc zadbaj o to. Żałuję, że sam nie postępowałem inaczej.

— Cholera, Avery. Kiedy pogrzeb? Masz czterdzieści cztery lata, i to był łagodny atak serca. W niczym nie przypominasz warzywa.

Pielęgniarz wszedł bezgłośnie i wpatrywał się w Mitcha.

— Godziny odwiedzin już się skończyły, proszę pana. Musi pan wyjść — odezwał się.

Mitch zerwał się na równe nogi.

— Tak, jasne. — Klepnął Avery'ego w stopę i ruszył do drzwi. — Do zobaczenia za kilka dni.

— Dzięki, że przyszedłeś. Pozdrów ode mnie Abby.

Winda była pusta. Mitch nacisnął guzik szesnastego piętra i wysiadł

z niej kilka sekund później. Wbiegł po schodach na osiemnaste piętro, złapał oddech i otworzył drzwi. W korytarzu, z dala od wind, Rick Acklin obserwował wszystko i szeptał coś do słuchawki telefonicznej. Skinął Mitchowi, który ruszył w jego stronę. Acklin wskazał ręką, a Mitch skręcił do niewielkiego pomieszczenia służącego jako poczekalnia dla zaniepokojonych krewnych. Panowała tam ciemność, było pusto, poza dwoma rzędami krzeseł i wyłączonym telewizorem. Światło dochodziło jedynie z automatu z colą. Tarrance siedział obok niego i kartkował jakiś stary magazyn. Miał na sobie dres, granatowe skarpety, trampki, a na głowie opaskę. Tarrance jako biegacz.

Mitch zajął miejsce obok niego, przodem do korytarza.

— Jesteś czysty. Szli za tobą z kancelarii na parking, a potem zniknęli. Acklin jest na korytarzu. Laney gdzieś w pobliżu. Odpręż się.

— Podoba mi się twoja opaska.

— Dzięki.

— Widzę, że dostałeś wiadomość.

— Najwyraźniej. Naprawdę sprytnie, McDeere. Siedzę sobie przy biurku dziś po południu, zajmuję się swoimi obowiązkami, usiłując pracować nad czymś innym niż sprawa Bendiniego. Bo mam też inne, rozumiesz. A tu wchodzi sekretarka i mówi, że dzwoni jakaś kobieta, która chce rozmawiać o mężczyźnie o nazwisku Marty Kozinski. Zrywam się fotela, łapię telefon, a to oczywiście twoja dziewczyna. Mówi, że to pilne, jak zawsze zresztą. Więc odpowiadam w porządku, pogadajmy. Nie, nie chce się w to bawić. Zmusza mnie, żebym rzucił wszystko i pobiegł do Peabody, wszedł do baru... jakżeż on się nazywa? Mallards?... i usiadł. No więc siedzę tam i myślę, jakie to głupie, bo nasze telefony są czyste. Cholera jasna, Mitch, wiem, że nasze telefony są czyste. Możemy rozmawiać przez nasze telefony! Piję kawę, a tu podchodzi do mnie barman i pyta, czy nazywam się Kozinski. Kozinski i co

dalej? Pytam, tak dla zabawy. Bo przecież świetnie się bawimy, prawda? Marty Kozinski, odpowiada zdziwiony. Więc mówię, tak, to ja. Czułem się strasznie głupio, Mitch. On na to, że jest do mnie telefon. Podchodzę do baru i znowu ta twoja dziewczyna. Tolleson miał zawał serca czy coś w tym rodzaju. I będziesz tutaj koło dwudziestej trzeciej. Naprawdę sprytnie.

— Ważne, że się udało, mam rację?

— Tak, ale poszłoby równie dobrze, gdyby powiedziała mi wszystko przez telefon, który stoi na moim biurku.

— Mój sposób bardziej mi się podoba. Jest bezpieczniejszy. Poza tym możesz dzięki temu wyjść z biura.

— Racja jak diabli, mogę. Ja i trzech innych.

— Posłuchaj, Tarrance, będziemy to robili po mojemu, dobrze? To ja nadstawiam karku, nie ty — przypomniał Mitch.

— Tak, tak. Czym ty, do cholery, jeździsz?

— Wynajętym celebrity. Ładny, prawda?

— A co się stało z tym małym czarnym samochodem adwokata?

— Miałem problemy z robactwem. Mnóstwo pluskw. Zostawiłem go w Nashville na parkingu przy centrum handlowym w sobotę wieczorem z kluczykami w stacyjce. Ktoś go sobie pożyczył. Uwielbiam śpiewać, ale mam fatalny głos. Od kiedy zrobiłem prawo jazdy, śpiewam w samochodzie, gdy jestem sam. Ale przy tych pluskwach i całej reszcie za bardzo się wstydziłem. W końcu miałem dość.

Tarrance nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— To bardzo fajnie, McDeere, bardzo fajnie.

— Szkoda, że nie widziałeś Olivera Lamberta dziś rano, kiedy wszedłem i położyłem mu na biurku zgłoszenie kradzieży na policji. Zaczął się jąkać i dukać, że mi współczuje. Zachowywałem się tak, jakbym naprawdę był smutny. Ubezpieczenie zwróci pieniądze, a poczciwy Oliver zapewnił mnie,

że dadzą mi inny wóz. A tymczasem, jak powiedział, wynajmą dla mnie samochód. Odpowiedziałem mu, że już coś wynająłem. W Nashville, w sobotę wieczorem. Nie spodobało mu się to, bo wiedział, że w tym wozie nie ma robactwa. Osobiście zadzwonił do dealera BMW, kiedy stałem obok niego, żeby dowiedzieć się o nowy samochód dla mnie. Zapytał, jaki chciałbym kolor. Powiedziałem, że czarny już mi się znudził i wolałbym kolor burgunda z beżowym wnętrzem. Pojechałem wczoraj do salonu BMW i rozejrzałem się. Nie było tam żadnego modelu w tym kolorze. Oliver przekazał gościowi przy telefonie, czego chcę, i usłyszał w odpowiedzi, że nie mają niczego takiego. Spytał, co powiem na czarny, granatowy albo czerwony lub biały? Nie, nie, nie. Chcę w kolorze burgunda. Będą musieli go zamówić, przekazał mi. Świetnie, odpowiedziałem. Odłożył słuchawkę i zapytał, czy na pewno nie mógłbym wybrać innego koloru. Burgund, powiedziałem. Miał ochotę się wykłócać, ale szybko zrozumiał, że wyglądałoby to kretyńsko. Tak więc po raz pierwszy od dziesięciu miesięcy mogę śpiewać w samochodzie.

— Wszystko tylko nie celebryty. Dla wybitnego doradcy od podatków. To musi boleć.

— Jakoś sobie z tym radzę.

Tarrance nadal się uśmiechał, był najwyraźniej pod dużym wrażeniem.

— Zastanawiam się, co zrobią chłopaki w warsztacie, gdy zaczną go rozbierać i znajdą te wszystkie pluskwy.

— Prawdopodobnie sprzedadzą w lombardzie jako sprzęt stereo. Ile to może być warte?

— Nasi spece mówią, że to był najlepszy sprzęt. Dziesięć, piętnaście tysięcy. Nie wiem. To śmieszne.

Przeszły dwie pielęgniarki, głośno rozmawiając. Skręciły za rogiem i w korytarzu znów zapadła cisza. Acklin udawał, że telefonuje.



— Jak się czuje Tolleson? — zapytał Tarrance.

— Doskonale. Mam nadzieję, że jeśli będę miał atak serca, to tak łagodny jak w jego przypadku. Zostanie tu przez kilka dni, a potem pójdzie na dwa miesiące zwolnienia. Nic poważnego.

— Możesz się dostać do jego pokoju?

— A po co? Wszystko już skserowałem.

Tarrance pochylił się do Mitcha, czekając na więcej.

— Nie, nie mogę wejść do jego gabinetu. Zmienili zamki na trzecim i czwartym piętrze. I w piwnicy.

— Skąd to wiesz?

— Dziewczyna, Tarrance. W zeszłym tygodniu była w każdym pokoju w budynku, w piwnicy też. Sprawdziła wszystkie drzwi, wyciągnęła każdą szufladę. Czytała pocztę, zaglądała do akt i przeszukiwała śmieci. Tam nie ma za dużo śmieci, naprawdę. W budynku są trzy niszcarki. Czwarta stoi w piwnicy. Wiedziałeś o tym?

Tarrance słuchał uważnie, nie poruszał ani jednym mięśniem.

— Jakim cudem ona...

— Nie pytaj, Tarrance, bo ci nie powiem.

— Ona tam pracuje! Jest sekretarką lub kimś takim. Pomaga ci od środka?

Mitch pokręcił głową.

— Genialne, Tarrance. Dzwoniła dzisiaj do ciebie dwa razy. Pierwszy raz koło czternastej piętnaście, a potem mniej więcej godzinę później. W jaki sposób sekretarce udałoby się zadzwonić dwa razy do FBI w odstępie godziny?

— Może dzisiaj nie pracowała? Może dzwoniła z domu?

— Mylisz się, Tarrance, i przestań snuć domysły. Nie marnuj czasu na martwienie się o nią. Ona pracuje dla mnie i razem wszystko ci dostarczymy.

— Co jest w piwnicy? — chciał wiedzieć agent.

— Jedno wielkie pomieszczenie z dwunastoma boksami. Dwanaście biur, przy których widać pracę, i tysiące szafek. Szafki napełnione elektroniką. Myślę, że to centrum operacyjne prania pieniędzy. Na ściankach boksów zauważyła nazwiska i numery telefonów dziesiątków banków na Karaibach. Nie ma tam za dużo informacji na wierzchu. Są bardzo ostrożni. Jest niewielki pokój z boku, bardzo solidnie zamknięty, pełen komputerów większych od lodówek.

— Wygląda na to, że to właśnie tam.

— Bo tak jest, ale możesz o tym zapomnieć. Nie ma szans na wyjście stamtąd choćby kartki bez wszczynania alarmu. Niemożliwe. Znam tylko jeden sposób na wyniesienie stamtąd rzeczy.

— W porządku.

— Nakaz przeszukania.

— Zapomnij. Brak dostatecznych podstaw prawnych.

— Posłuchaj mnie, Tarrance. Tak właśnie będzie, zrozum. Nie mogę dać ci wszystkich dokumentów, które chcesz. Ale mogę dać ci wszystko, czego będziesz potrzebował. Mam ponad dziesięć tysięcy dokumentów i choć nie przejrzałem jeszcze wszystkich, widziałem wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że jeśli je dostaniesz, będziesz mógł pokazać je sędziemu, a on wyda nakaz przeszukania Front Street. Możesz wziąć akta, które mam, i postawić w stan oskarżenia mniej więcej połowę firmy. Ale te same dokumenty załatwią ci nakaz przeszukania i w konsekwencji mnóstwo obciążających dowodów. Nie ma innego sposobu, żeby to zrobić.

Tarrance wyszedł na korytarz i się rozejrzył. Pusto. Rozprostował nogi i podszedł do automatu z colą. Oparł się o niego i wyjrzał przez niewielkie okno wychodzące na wschód.

— Dlaczego tylko połowę firmy? — zainteresował się.

— Na początek tylko połowę. Plus całkiem sporo emerytowanych wspólników. W dokumentach pojawiają się tu i tam najróżniejsze nazwiska wspólników, którzy zakładali fikcyjne firmy za pieniądze Morolto. Oskarżenie ich nie będzie trudne. Kiedy tylko będziesz dysponował wszystkimi dowodami, twoja teoria spiskowa się potwierdzi i postawisz przed sądem każdego z nich.

— Skąd masz te dokumenty?

— Dopisało mi szczęście. Ogromne szczęście. Domyślałem się, że ludzie z firmy mają na tyle rozumu, że nie będą trzymali wyciągów z banku na Kajmanach w Ameryce. Coś mi mówiło, że te dokumenty mogą być na Kajmanach. I tak się składa, że miałem rację. Skserowaliśmy dokumenty na Kajmanach.

— My?

— Dziewczyna. I przyjaciółka.

— Gdzie są teraz te papiery?

— Ty i te twoje pytania, Tarrance. Są w moim posiadaniu. Nie musisz wiedzieć nic więcej.

— Chcę dokumentów z piwnicy.

— Posłuchaj mnie, Tarrance. Uważnie. Te dokumenty nie wyjdą z piwnicy, dopóki nie pójdziesz tam z nakazem przeszukania. To jest niemożliwe, słyszysz?

— Kim są faceci z piwnicy?

— Nie wiem. Pracuję tam od dziesięciu miesięcy i nigdy tam nie byłem. Nie wiem, gdzie parkują ani jak wchodzi i wychodzą. Są niewidzialni. Domyślałem się, że wspólnicy i chłopcy z piwnicy zajmują się brudną robotą.

— Jaki rodzaj sprzętu tam jest? — dążył Tarrance.

— Dwie kserokopiarki, cztery niszczarki, drukarki i komputery. Prawdziwe dzieła sztuki.

Tarrance podszedł do okna pogrążony w zadumie.

— To ma sens. To ma sens jak diabli — mruknął. — Zawsze mnie zastanawiało, w jaki sposób firma, z tymi wszystkimi sekretarkami, urzędnikami i asystentami, jest w stanie utrzymać w tajemnicy sprawy Morolto.

— To łatwe. Sekretarki, urzędnicy i asystenci o niczym nie wiedzą — wyjaśnił Mitch. — Są zajęci prawdziwymi klientami. Wspólnicy i starsi partnerzy siedzą w swoich wielkich gabinetach i wymyślają najdziwniejsze sposoby prania pieniędzy, a ekipa z piwnicy wciela je w życie. Kapitalna organizacja.

— Więc jest wielu zwykłych klientów?

— Setki. To bardzo utalentowani prawnicy z zadziwiającą klientelą. Wspaniała przykrywka.

— I mówisz mi, McDeere, że masz teraz dokumenty, które wystarczą do oskarżenia i nakazu przeszukania? Masz je... są w twoim posiadaniu?

— To właśnie powiedziałem.

— W tym kraju?

— Tak, chłopie, te papiery są w tym kraju. Zresztą całkiem niedaleko stąd.

Tarrance zrobił się niespokojny. Kołysał się, przestępując z nogi na nogę, i strzelał kostkami dłoni. Oddech miał przyspieszony.

— Co jeszcze możesz wyjąć z Front Street?

— Nic. To zbyt niebezpieczne. Zmienili zamki i to nie daje mi spokoju. Bo pomyśl, dlaczego zmienili zamki na trzecim i czwartym piętrze, a na pierwszym i drugim nie? Zrobiłem trochę kserokopii na czwartym piętrze dwa tygodnie temu, ale to chyba nie był dobry pomysł. Zaczynam wyczuwać złe wibracje. Żadnych więcej dokumentów z Front Street.

— Co z dziewczyną?

— Nie ma już dostępu.

Tarrance obgryzał paznokcie i wciąż się kiwał, patrząc w okno.

— Chcę mieć te dokumenty, McDeere, chcę je mieć naprawdę szybko. Na przykład jutro.

— Kiedy Ray dostanie papiery na wyjście?

— Dziś mamy poniedziałek. Myślę, że wszystko jest przygotowane na jutrzejszy wieczór. Nie uwierzyłybyś, jak Voyles mnie skłął. Musiał pociągnąć za wszelkie możliwe sznurki. Myślisz, że żartuję? Zadzwoił do obu senatorów z Tennessee, a oni osobiście przylecieli do Nashville i złożyli wizytę gubernatorowi. Och, McDeere, nieźle dostałem po uszach. A wszystko z powodu twojego brata.

— On na pewno to doceni.

— Co ma zamiar robić po wyjściu?

— To już moja sprawa. Ty go tylko stamtąd wyciągnij.

— Niczego nie gwarantuję. Jeśli stanie mu się krzywda, to nie będzie nasza wina.

Mitch wstał i spojrział na zegarek.

— Muszę bieć. Jestem pewny, że ktoś na mnie czeka.

— Kiedy znowu się spotkamy?

— Ona zadzwoni. I po prostu rób, co ci powie.

— Och, daj spokój, Mitch! Nie przerabiamy tego znowu. Mogę z nią rozmawiać przez mój telefon. Przysięgam! Mamy czyste linie. Błagam, tylko znowu nie to samo.

— Jak się nazywa twoja matka, Tarrance?

— Co? Doris.

— Doris?

— Tak, Doris.

— Jaki ten świat jest mały. Nie możemy użyć Doris. Z kim poszedłeś na

bal maturalny?

— Hm, chyba na nim nie byłem.

— Wcale mnie to nie dziwi. Z kim się umówiłeś na pierwszą randkę, jeśli w ogóle taka była?

— Z Mary Alice Brenner. Ona też była napalona. Chciała mnie.

— Jestem o tym przekonany. Moja dziewczyna nazywa się Mary Alice. Kiedy Mary Alice zadzwoni następnym razem, zrób dokładnie to, o co cię poprosi, dobrze?

— Nie mogę się doczekać.

— Wyświadczyć mi przysługę, Tarrance. Myślę, że Tolleson symuluje, i mam dziwne przeczucie, że jego udawany atak serca jest powiązany ze mną. Każ swoim chłopakom powęszyć tutaj i sprawdzić ten atak.

— Jasne. Przecież nie mamy nic do roboty.

## Rozdział 33

We wtorkowy ranek w firmie głośno przejmowano się stanem Avery'ego Tollesona. Czuł się dobrze. Nie miał żadnych nieodwracalnych zmian. Przepracowanie. Ogromny stres. To przez Cappsa. To przez rozwód. Ma zwolnienie lekarskie.

Nina przyniosła stertę listów do podpisania.

— Pan Lambert chce cię zobaczyć, jeśli nie jesteś zajęty. Właśnie dzwonił — powiedziała.

— W porządku. Mam o dziesiątej spotkanie z Frankiem Mulhollandem. Wiesz o tym?

— Oczywiście, że wiem. Jestem sekretarką. Wiem o wszystkim. W twoim gabinecie czy u niego?

Mitch zajrzał do kalendarza i udawał, że to sprawdza. W biurze Mulhollanda. W Giełdzie Bawełny.

— U niego — powiedział, marszcząc czoło.

— Ostatnim razem też spotkałeś się z nim u niego, prawda? Nie uczyli cię na prawie o terytorium? Nigdy, powtarzam, nigdy nie spotykaj się dwa razy z rzędu na terytorium przeciwnika. To nieprofesjonalne. To uległość. Dowodzi słabości.

— Czy kiedykolwiek mi to wybaczysz?

— Poczekaj, aż powiem o tym innym dziewczynom. Wszystkie myślą, że jesteś taki macho, taki przystojniak. Kiedy im powiem, że jesteś mięczakiem, przeżyją szok.

— Szok dobrze im zrobi, będzie jak smagnięcie batem.

— Jak się czuje mama Abby?

— Znacznie lepiej. Jadę tam w ten weekend.

Nina wzięła dwie teczki z dokumentami.

— Lambert czeka — przypomniała.

Oliver Lambert wskazał Mitchowi twardą sofę i zaproponował kawę. Sam, z idealnie prostymi plecami, usiadł na fotelu z uszami i trzymał filiżankę niczym brytyjski arystokrata.

— Martwię się o Avery'ego — zagaił.

— Widziałem go wczoraj wieczorem — odpowiedział Mitch. — Lekarz każe mu iść na dwumiesięczne zwolnienie.

— Tak, i z tego powodu tu jesteś. Chcę, żebyś przez następne dwa miesiące pracował z Victorem Milliganem. Przejmie większość spraw Avery'ego, więc łatwo się w tym połapiesz.

— Świetnie. Jesteśmy z Victorem dobrymi przyjaciółmi.

— Bardzo dużo się od niego nauczysz. To geniusz podatkowy. Czyta dwie książki dziennie.

Wspaniale, pomyślał Mitch. W więzieniu pewnie podniesie tę średnią do dziesięciu.

— Tak, to bardzo mądry człowiek. Pomógł mi raz czy dwa, kiedy się zaplątałem.

— Myślę, że będzie wam się dobrze współpracowało. Zobacz się z nim koniecznie dziś przed południem. Jeszcze jedno, Avery nie dokończył interesu na Kajmanach. Jak wiesz, często tam lata i spotyka się z pewnymi bankierami. Prawdę mówiąc, miał wylecieć jutro na kilka dni. Powiedział mi, że znasz tych klientów i ich sytuacje księgowo, dlatego chcielibyśmy, żebyś tam pojechał.

Lear, łup, apartament, magazyn, konta bankowe. Tysiące myśli kłębiło się w głowie Mitcha. To nie trzymało się kupy.



— Na Kajmany? Jutro?

— Tak, sprawa jest dość pilna. Trzech z jego klientów potrzebuje jak najszybciej pomocy przy wyciągach bankowych i rady prawnika w innych sprawach. Chciałem, żeby poleciał Milligan, ale on musi być rano w Denver. Avery twierdzi, że sobie poradzisz.

— Oczywiście, że sobie poradzę.

— Doskonale. Polecisz learem. Wystartujesz koło południa i wrócisz normalnym lotem rejsowym w piątek wieczorem. Jakież problemy?

Tak, dużo problemów. Ray wychodzi z więzienia. Tarrance domaga się kontrabandy. Trzeba przejąć pół miliona dolarów. A on sam ma lada moment zniknąć.

— Żadnych problemów.

Mitch wrócił do swojego pokoju i zamknął drzwi. Zrzucił buty, położył się na podłodze i zamknął oczy.

• • •

Winda zatrzymała się na siódmym piętrze, a Mitch wbiegł potem szybko po schodach na dziewiąte. Tammy otworzyła drzwi i zamknęła je za nim. Podeszedł do okna.

— Obserwowałaś? — zapytał.

— No pewnie. Ochroniarz z twojego parkingu stał na chodniku i patrzył, jak tu wchodziłeś.

— Super. Nawet Dutch mnie śledzi.

Mitch odwrócił się i popatrzył na nią uważnie.

— Wyglądasz na zmęczoną.

— Zmęczoną? Ja padam z nóg. W ciągu trzech tygodni byłam sprzątaczką, sekretarką, prawniczką, bankierem, dziwką, kurierem i prywatnym detektywem. Latałam na Kajmany dziewięć razy, kupiłam

dziewięć zestawów walizek i przewiozłam tonę ukradzionych dokumentów. Pojechałam samochodem do Nashville cztery razy i poleciałam tam samolotem dziesięć razy. Przeczytałam tyle wyciągów bankowych i prawniczego badziewia, że prawie oślełam. A kiedy jest pora, żeby iść do łóżka, wkładam bluzę „Pogromców kurzu” i sprzątam przez sześć godzin. Mam tyle nazwisk i imion, że zapisuję je na rękę, żeby mi się nie pomyliły.

— Mam dla ciebie następne.

— Mogłam się tego spodziewać. Jakie?

— Mary Alice. Od tej chwili, gdy będziesz rozmawiała z Tarrance'em, jesteś Mary Alice.

— Zapiszę to sobie. Nie lubię go. Przez telefon jest bardzo nieprzyjemny.

— Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość.

— Nie mogę się doczekać.

— Możesz rzucić „Pogromców kurzu”.

— Chyba się rozpłaczę z radości. Dlaczego?

— To beznadziejne.

— Mówiłam ci o tym tydzień temu. Houdini nie dostałby się tam do akt, nie mówiąc o skopiowaniu ich i wyniesieniu. Od razu by go złapali.

— Rozmawiałś z Abanksem? — zapytał Mitch.

— Tak.

— Dostał pieniądze?

— Tak. Przelano je w piątek.

— Jest gotowy?

— Powiedział, że tak.

— To dobrze. A co z fałszerzem?

— Mam się z nim spotkać dziś po południu.

— Kto to?

— Siedział w więzieniu. On i Lomax to starzy kumple. Eddie powiedział,

że to najlepszy spec od dokumentów w kraju.

— Lepiej, żeby to była prawda. Ile?

— Pięć tysięcy. Gotówką, rzecz jasna. Nowy dowód, paszport, prawo jazdy i wizy.

— Jak dużo czasu będzie potrzebował?

— Nie wiem. Na kiedy to ma być?

Mitch usiadł na brzegu biurka. Oddychał głęboko i próbował zebrać myśli. Kalkulował.

— Jak najszybciej. Myślałem, że mam tydzień, ale teraz sam już nie wiem. Załatw to jak najszybciej. Możesz pojechać do Nashville dziś wieczorem?

— Och, tak. Z przyjemnością. Nie byłam tam od dwóch dni.

— Chcę mieć kamerę wideo Sony na statywie ustawioną w sypialni. Kup pudełko taśm. I chcę, żebyś tam została przy telefonie przez następne kilka dni. Przejrzyj jeszcze raz papiery Bendiniego. Popracuj nad podsumowaniami.

— To znaczy, że mam tam zostać?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Nadwerężyłam dwa dyski spaniem na tym łóżku.

— Ty je wypożyczyłaś.

— A co z paszportami?

— Jak ten gość się nazywa?

— Doc coś tam. Mam numer jego telefonu.

— Daj mi go. Powiedz mu, że niedługo do niego zadzwonię. Ile mamy pieniędzy?

— Cieszę się, że o to zapytałeś. Zaczynałam z pięćdziesięcioma tysiącami, prawda? Na bilety lotnicze, hotele, bagaże i wynajmowanie samochodów wydałam dziesięć. I nadal wydaję. Teraz chcesz kamerę wideo.

I fałszywe dokumenty. Aż mi się niedobrze robi, gdy pomyślę, ile pieniędzy tracimy na tę sprawę.

Mitch ruszył do drzwi.

— Co powiesz na następne pięćdziesiąt tysięcy?

— Biorę.

Puścił do niej oko i zamknął za sobą drzwi, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy.

• • •

Cela miała dwa i pół na dwa i pół metra, sedes znajdował się w rogu, pod ścianą stała piętrowa prycza. Na górnym łóżku nikt nie spał i tak było od roku. Ray leżał na dolnym i miał słuchawki w uszach. Mówił do siebie w bardzo egzotycznym języku. Po turecku. Można się było spokojnie założyć, że w tej chwili na tym piętrze jest jedyną osobą słuchającą tureckiej mowy. W korytarzu słychać było ciche pogawędki, ale większość światel już zgaszono. Dwudziesta trzecia, wtorkowa noc.

Strażnik podszedł cicho do jego celi.

— McDeere — rzucił konspiracyjnym szeptem przez kraty.

Ray usiadł na skraju pryczy pod górnym łóżkiem i wpatrywał się w niego. Wyjął słuchawki z uszu.

— Naczelnik chce cię widzieć.

Gadaj zdrów, pomyślał, naczelnik siedzi przy biurku i czeka na mnie o jedenastej w nocy.

— Dokąd idziemy? — zapytał zaniepokojony.

— Wkładaj buty i chodź.

Ray rozejrzał się po celi i zrobił szybką inwentaryzację swojego dobytku. Przez osiem lat zgromadził tu czarno-biały telewizor, wielki magnetofon kasetowy, dwa tekturowe pudła pełne taśm i książek. Zarabiał trzy dolary

dziennie, pracując w więziennej pralni, ale po kupieniu papierosów niewiele mu zostawało na coś konkretnego. To były wszystkie jego rzeczy. Po ośmiu latach.

Strażnik wsunął ciężki klucz do zamka drzwi i uchylił je na kilka centymetrów. Zgasił światło.

— Chodź za mną. Tylko bez wygłupów. Nie wiem, kim jesteś, kolego, ale masz bardzo wpływowych przyjaciół.

Inne klucze otwierały kolejne drzwi, aż znaleźli się na dworze pod tablicą z koszem do koszykówki.

— Trzymaj się za mną — polecił strażnik.

Ray omiótł wzrokiem boisko pogrążone w mroku. W dali wznosił się mur przypominający górę, za dziedzińcem i spacerniakiem, gdzie przemaszerował tysiące kilometrów i wypalił tysiące papierosów. Mur miał prawie pięć metrów, ale nocą wydawał się wyższy. Wieżyczki strażników były od siebie oddalone o piętnaście metrów i dobrze oświetlone. Nie wspominając o ciężkim uzbrojeniu.

Strażnik wydawał się wyluzowany i obojętny. Oczywiście był w mundurze i miał broń. Poruszał się pewnie między dwoma budynkami z pustaków, powtarzał Rayowi, żeby szedł za nim i zachował spokój. Więc Ray starał się być spokojny. Zatrzymali się przy rogu budynku, a strażnik zaczął wpatrywać się w mur oddalony o dwadzieścia pięć metrów. Snopy światła punktowców omiatały dziedziniec, dlatego cofnęli się w ciemność.

Dlaczego się ukrywamy? — zastanawiał się Ray. Czy ci faceci na górze z karabinami są po naszej stronie? Wolałby to wiedzieć, zanim wykona jakiś ruch.

Strażnik wskazał na murze dokładnie to samo miejsce, w którym James Earl Ray i jego paczka przedostali się na zewnątrz. Bardzo znane miejsce, studiowane i podziwiane przez większość więźniów Brushy Mountain.

W każdym razie przez większość białych skazanych.

— Za mniej więcej piętnaście minut podstawią tam drabinę. Drut na górze jest już przecięty. Po drugiej stronie znajdziesz grubą linę.

— Mogę zadać kilka pytań?

— Byle szybko.

— Co z tymi reflektorami?

— Skierują je w inną stronę. Będziesz w całkowitej ciemności.

— A te karabiny na górze?

— Nie przejmuj się. Będą patrzyli gdzie indziej.

— Cholera! Skąd taka pewność?

— Posłuchaj, człowieku, widziałem już kilka ucieczek, i to od środka, ale to jest bułka z masłem. Naczelnik Lattemer sam to zaplanował. Jest tam na górze. — Strażnik wskazał najbliższą wieżyczkę.

— Naczelnik?

— Aha. Więc nic nie może się zdarzyć.

— Kto podstawia drabinę?

— Paru strażników.

Ray wytarł czoło rękawem i odetchnął głęboko. W ustach miał sucho, nogi jak z waty.

Strażnik wyszeptał:

— Będzie tam czekał na ciebie koleś. Nazywa się Bud. Biały koleś. Znajdzie cię po drugiej stronie. Rób to, co ci powie.

Snopy światła znów przemknęły i znikły.

— Szykuj się — rzucił strażnik.

Znów zapanował mrok, któremu towarzyszyła upiorna cisza. Mur stał się teraz czarny. Z najbliższej wieżyczki dobiegły dwa gwizdnięcia. Ray uklęknął i patrzył.

Zobaczył sylwetki mężczyzn wybiegających zza sąsiedniego budynku

i kierujących się w stronę muru. Podnieśli coś leżącego w trawie i postavili.

— No, biegnij, kolego — szepnął strażnik. — Biegnij!

Ray ruszył sprintem z nisko pochyloną głową. Na miejscu stała już drabina. Strażnicy chwycili go za ramiona i podsadzili do pierwszego szczebla. Drabina kołysała się, gdy szybko się po niej wspinał. Szczyt muru był szeroki na pół metra. W spirali z drutu kolczastego wycięto dość duże przejście. Ray prześlizgnął się, nawet go nie dotykając. Lina znajdowała się tam, gdzie powinna. Spuścił się po niej po drugiej stronie muru. Dwa i pół metra nad ziemią zeskoczył. Przykucnął i się rozejrzał. Nadal panowała ciemność. Reflektory były zgaszone.

Otwarta przestrzeń kończyła się po trzydziestu metrach gęstym lasem.

— Tutaj — powiedział ktoś spokojnym głosem.

Ray ruszył ku niemu. Bud czekał przy pierwszych krzakach.

— Szybko. Za mną.

Ray biegł za nim, aż mur zniknął im z oczu. Zatrzymali się na niewielkiej polanie obok polnej drogi. Mężczyzna wyciągnął rękę.

— Jestem Bud Riley. Niezła zabawa, co nie?

— Niewiarygodna. Ray McDeere.

Bud okazał się zwalistym mężczyzną z czarną brodą i w czarnym berecie. Miał na sobie wojskowe buty, dżinsy i kurtkę moro. Żadnej broni na widoku. Poczęstował Raya papierosem.

— Dla kogo pracujesz? — zapytał Ray.

— Dla nikogo. Czasami biorę niewielkie zlecenia od naczelnika. Dzwonią do mnie zwykle, kiedy ktoś pryska przez mur. Oczywiście teraz jest trochę inaczej, bo normalnie mam ze sobą psy. Pomyślałem, że zaczekamy tu chwilę, aż zawyją syreny, żebyś mógł je usłyszeć. To byłoby nie w porządku, gdybyś ich nie usłyszał. To znaczy, są jakby na twoją cześć.

— Nie ma sprawy. Już raz je słyszałem.

— Tak, ale tu słychać je inaczej. To piękny dźwięk.

— Ale, Bud, ja...

— Posłuchaj, Ray, mamy mnóstwo czasu. Nie będą cię ścigali. Za bardzo.

— Za bardzo?

— Tak. Urządzą niezłe przedstawienie, obudzą wszystkich, jakby to była prawdziwa ucieczka. Ale nie będą cię ścigali. Nie mam pojęcia, dlaczego uciekłeś, ale to naprawdę coś.

Syreny zaczęły wyc, a Ray aż podskoczył. Słupy światła wbiły się w ciemne niebo, słychać było odległe głosy strażników z wieżyczek.

— Już wiesz, o czym mówiłem?

— Chodźmy — powiedział Ray.

— Moja fura stoi niedaleko stąd na drodze. Przywiozłem ci ubranie. Naczelnik podał mi twoje wymiary. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Kiedy dotarli do ciężarówki, Budowi zaczynało brakować tchu. Ray szybko przebrał się w oliwkowe spodnie i granatową koszulę z flaneli.

— Bardzo ładne, Bud — pochwalił.

— Więzienne łachy wyrzucić w krzaki.

Jechali krętą górską drogą przez trzy kilometry, po czym skręcili w asfaltową szosę. Bud słuchał Conwaya Twitty'ego i milczał.

— Dokąd jedziemy, Bud? — zapytał w końcu Ray.

— Cóż, naczelnik powiedział, że guzik go to obchodzi, i tak naprawdę nie chciał wiedzieć. Powiedział, że to zależy od ciebie. Proponowałbym, żebyśmy pojechali do dużego miasta, gdzie jest dworzec autobusowy. Potem będziesz zdany na siebie.

— Jak daleko mnie podwiesziesz?

— Mam całą noc, Ray. Powiedz, do jakiego miasta chciałbyś się dostać?

— Chciałbym, żebyśmy przejechali jakiś kawałek drogi, zanim zaczną



kręcić się po dworcu autobusowym. Co powiesz na Knoxville?

— Załatwione. Knoxville. Dokąd stamtąd wyruszysz?

— Jeszcze nie wiem. Muszę wyjechać z kraju.

— Z twoimi znajomościami to nie powinien być problem. Ale bądź ostrożny. Od jutra twoje zdjęcie będzie wisiało w biurze każdego szeryfa w dziesięciu stanach.

Trzy samochody z błyskającymi na niebiesko kogutami zjeżdżały z góry naprzeciwko nich. Ray przykucnął na podłodze.

— Spokojnie, Ray. Nie zobaczą cię.

Patrzył we wstecznym lusterku, jak znikają.

— A co z blokadą dróg?

— Posłuchaj, Ray, nie będzie żadnych blokad, rozumiesz? Zaufaj mi. — Bud włożył rękę do kieszeni i rzucił na fotel garść pieniędzy.

— Pięćset dolców. Doręczone osobiście przez naczelnika. Masz bardzo wpływowych przyjaciół, kolego.

## Rozdział 34

Środa rano. Tarry Ross wszedł po schodach na czwarte piętro Phoenix Inn. Zatrzymał się na podeście przed drzwiami prowadzącymi na korytarz, żeby złapać oddech. Nad brwiami zbierały mu się krople potu. Zdjął ciemne okulary i wytarł twarz rękawem płaszcza. Poczł nudności, dlatego pochylił się nad poręczą schodów. Postawił pustą teczkę na betonowej posadzce i usiadł na ostatnim stopniu. Ręce trzęsły mu się jak przy parkinsonie, był bliski płaczu. Objął brzuch rękami i starał się powstrzymać wymioty.

Po chwili nudności minęły i znów oddychał normalnie. Odwagi, człowieku, odwagi. W korytarzu czeka dwieście tysięcy. Jeśli masz jaja, dasz radę tam dotrzeć i je weźmiesz. Uda ci się z nimi wyjść, ale musisz być odważny. Oddychał głębiej, ręce przestały drżeć. Masz jaja, facet, masz jaja.

Choć ugiwały się pod nim nogi, doszedł jakoś do drzwi. I dalej korytarzem, mijając pokoje. Ósme drzwi po prawej stronie. Wstrzymał oddech i zapukał.

Mijały sekundy. Patrzył na ciemny korytarz przez ciemne okulary i nic nie widział.

— Tak! — rozległ się głos za drzwiami, oddalony o centymetry.

— To ja, Alfred. — Beznadziejne imię, pomyślał. Skąd je wytrzasnęli?

Drzwi skrzypnęły, uchyliły się i w szparze za krótkim łańcuchem pokazała się twarz. Drzwi się zamknęły, a potem otworzyły na oścież. Alfred wszedł do środka.

— Dzień dobry, Alfredzie — powiedział ciepło Vinnie Cozzo. — Napijesz się kawy?

— Nie przyszedłem tu na kawę — warknął Alfred. Postawił teczkę na łóżku i wpatrywał się w Cozzo.

— Zawsze jesteś taki zdenerwowany, Alfredzie. Może się trochę odprężysz. Nikt cię tu na niczym nie przyłapie.

— Zamknij się, Cozzo. Gdzie pieniądze?

Vinnie wskazał skórzaną torbę. Przestał się uśmiechać.

— Mów, co wiesz, Alfredzie.

Fala nudności znowu go dopadła, ale jakoś się trzymał. Wpatrywał się we własne stopy. Serce waliło mu jak młotem.

— W porządku, twojemu człowiekowi, McDeere'ewi, zapłacono już milion dolarów. Kolejny milion jest w drodze. Dostarczył jedną partię dokumentów Bendiniego i twierdzi, że ma dziesięć tysięcy więcej. — Poczul w pachwinie ostry ból. Usiadł na brzegu łóżka i zdjął okulary.

— Mów dalej — ponaglił go Cozzo.

— Przez ostatnie sześć miesięcy McDeere wielokrotnie rozmawiał z naszymi ludźmi. Będzie zeznawał na procesach, a potem schowa się za programem ochrony świadków. On i jego żona.

— Gdzie są te inne dokumenty?

— Nie wiem, cholera. Nie chce powiedzieć. Ale są gotowe do przekazania. Daj mi pieniądze, Cozzo.

Vinnie cisnął na łóżko skórzaną torbę. Alfred otworzył i ją, i teczkę. Rzucił się na pliki pieniędzy, ręce mu się trzęsły.

— Dwieście tysięcy? — zapytał desperacko.

Vinnie się uśmiechnął.

— Taka była umowa, Alfredzie. Za kilka tygodni będę miał dla ciebie następną robotę.

— Wykluczone, Cozzo. Dłużej tego nie wytrzymam. — Alfred zatrzasnął teczkę i podbiegł do drzwi. Zatrzymał się na moment i próbował odzyskać

spokój.

— Co zrobicie z McDeere'em? — zapytał, patrząc na drzwi.

— A jak myślisz, Alfredzie?

Zagryzł usta, mocniej ścisnął rączkę teczki i wyszedł z pokoju. Vinnie uśmiechnął się i zamknął drzwi. Wyjął z kieszeni wizytówkę i zadzwonił do domu pana Lou Lazarova do Chicago.

Tarry Ross szedł spanikowany korytarzem. Przez ciemne okulary niewiele widział. Siedmioro drzwi dalej, niemal przy samej windzie, z ciemności wychynęła wielka łapa i wciągnęła go do pokoju. Ta sama ręka uderzyła go mocno w policzek, a pięść wylądowała na jego brzuchu. Kolejna pięść uderzyła w nos. Leżał oszołomiony na podłodze i krwawił. Zawartość teczki została wyrzucona na łóżko.

Ktoś cisnął go na fotel. Rozbłysło światło. Wpatrywało się w niego trzech agentów FBI, kolegów. Dyrektor Voyles szedł ku niemu, kręcąc głową. Agent o wielkich, skutecznych rękach stał w pobliżu, na odległość ciosu. Inny agent liczył pieniądze.

Voyles pochylił się nad jego twarzą.

— Jesteś zdrajcą, Ross. Najgorszą łajzą. Nie mogę w to uwierzyć.

Ross zagryzł usta i zaczął popłakiwać.

— Kto to jest? — zapytał poważnie Voyles.

Płacz stał się głośniejszy. Żadnej odpowiedzi.

Voyles zamachnął się i otwartą dłonią uderzył Rossa w lewą skroń. Ross wrzasnął z bólu.

— Kto to jest, Ross? Powiedz mi.

— Vinnie Cozzo — wyjąkał, szlochając.

— Wiem, że to Vinnie Cozzo! Cholera jasna! To wiem! Ale co mu powiedziałaś?

Łzy płynęły mu z oczu, z nosa ciekła krew. Trząsał się i wił z bólu. Żadnej

odpowiedzi.

Voyles uderzył go ponownie i jeszcze raz.

— Gadaj, skurwysynu. Powiedz mi, co Cozzo chciał wiedzieć. —  
I kolejny cios.

Ross zgiął się w pół, głowę miał na kolanach. Jego płacz przycichł.

— Dwieście tysięcy dolarów — odezwał się agent.

Voyles przyklęknął na jedno kolano i niemal wyszeptał do Rossa:

— Chodzi o McDeere'a, Ross? Błagam, proszę, powiedz mi, że nie chodzi o McDeere'a. Powiedz, Tarry, że to nie McDeere.

Tarry oparł przedramiona na kolanach i wpatrywał się w podłogę. Kapiąca krew utworzyła na dywanie małą okrągłą kałużę. Próba odwagi, Tarry. Nie zatrzymasz tych pieniędzy. Jesteś na prostej drodze do więzienia. Przynosisz wstyd, Tarry. Jesteś śliskim, obrzydliwym, śmierdzącym tchórzem, wszystko skończone. Co można zyskać, nie zdradzając tajemnicy? Próba odwagi, Tarry.

Voyles prosił go cichym głosem. Grzesznicy, nie wyznacie win?

— Proszę, powiedz, że to nie McDeere, Tarry, błagam, powiedz, że to nie on.

Tarry usiadł prosto i wytarł palcami oczy. Nabrał powietrza. Odchrząknął. Zagryzł usta, popatrzył Voylesowi prosto w oczy i skinął głową.

• • •

DeVasher nie miał czasu czekać na windę. Zbiegł po schodach na czwarte piętro, minął róg i wpadł do gabinetu Locke'a. Była tam połowa wspólników: Locke, Lambert, Milligan, McKnight, Dunbar, Denton, Lawson, Banahan, Kruger, Welch i Shottz. Pozostałą połowę wezwano.

W pokoju dawało się wyczuć panikę. DeVasher usiadł u szczytu stołu

konferencyjnego, a oni zajęli swoje miejsca.

— W porządku, chłopcy. Nie pora brać ogony pod siebie i zwiewać do Brazylii. W każdym razie jeszcze nie. Potwierdziliśmy dziś rano, że McDeere bardzo często kontaktował się z federalnymi, że zapłacili mu milion w gotówce i obiecali następny, że ma pewne dokumenty, które są podobno rozstrzygające. To wiadomości prosto z FBI. Kiedy rozmawiamy, Lazarov i jego mała armia lecą do Memphis. Wygląda na to, że szkody jeszcze nie wyrządzono. Jeszcze nie. Zgodnie z informacjami z naszego źródła... agenta federalnego, który stoi bardzo wysoko... McDeere ma ponad dziesięć tysięcy dokumentów i jest gotów je przekazać. Ale jak do tej pory dał im tylko kilka. Tak myślimy. Wszystko wskazuje na to, że zajęliśmy się tym w samą porę. Jeśli uda nam się zapobiec dalszym szkodom, powinniśmy wyjść z tego bez szwanku. Mówię tak, choć mają jakieś dokumenty. To jasne, że niezbyt dużo, bo już by tu byli z nakazem przeszukania.

DeVasher był w centrum zainteresowania. Szalenie mu się to podobało. Mówił z protekcyjnym uśmiechem i patrzył po kolei na zaniepokojone twarze.

— A więc, gdzie jest McDeere? — zapytał.

— W swoim gabinecie — odpowiedział Milligan. — Właśnie z nim rozmawiałem. Niczego nie podejrzewa.

— Wspaniale. Za trzy godziny ma lot na Kajmany. Dobrze mówię, Lambert?

— Zgadza się. Koło południa.

— Panowie, ten samolot nigdy tam nie doleci. Pilot wyląduje w Nowym Orleanie, bo będzie musiał coś załatwić, potem wystartuje na wyspę. Mniej więcej po półgodzinie nad Zatoką Meksykańską maleńka kropka zniknie z radarów na zawsze. Szczątki będą rozrzucone w promieniu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych, a żadne ciało nigdy nie zostanie odnalezione.

Smutne, ale konieczne.

— Lear? — zapytał Denton.

— Tak, synu, lear. Kupimy ci następną zabawkę.

— Bardzo dużo w tym przypuszczeń, DeVasher — zauważył Locke. — Przypuszczamy, że dokumenty, które już mają, są niegroźne. Cztery dni temu uważałeś, że McDeere skserował jakieś tajne akta Avery'ego. Jaki z tego wniosek?

— Zbadali te akta w Chicago. Tak, jest w nich mnóstwo obciążających dowodów, ale nie tyle, żeby mogli ruszyć z miejsca. Nie dotarliby nawet do pierwszego wyroku. Wiecie przecież, panowie, że cała trefna dokumentacja jest na Kajmanach. I oczywiście w piwnicy. Nikt nie jest w stanie się tam dostać. Sprawdziliśmy akta w apartamencie. Wszystko jest w idealnym porządku, jak się wydaje.

Locke'a to nie satysfakcjonowało.

— To skąd wziął te dziesięć tysięcy dokumentów?

— Zakładasz, że on ma te dziesięć tysięcy. A ja bardzo w to wątpię. Nie zapominaj, że próbuje wyrwać następny milion, zanim zniknie. Łże im prawdopodobnie w żywe oczy i węszy w poszukiwaniu większej ilości materiałów. Jeśli ma dziesięć tysięcy dokumentów, dlaczego federalni jeszcze ich nie przejęli?

— W takim razie, czego się boimy? — zapytał Lambert.

— Boimy się tego, czego nie wiemy, Ollie. Nie wiemy, co on ma, poza tym, że ma milion dolarów. Nie jest idiotą, a może zostawiony sam sobie na coś się natknął. Nie możemy do tego dopuścić. Lazarov powiedział, żeby wysadzić go w pizdu w powietrze. Cytat i koniec cytatu.

— Nie ma takiej możliwości, żeby taki żółtodziób znalazł i skopiował tak dużo obciążających nas dowodów — rzekł Kruger stanowczo i spojrzął na zebranych, szukając aprobaty. Kilku kiwnęło głowami, marszcząc przy tym

czoła.

— Po co Lazarov przyjeżdża? — zapytał Dunbar, człowiek od nieruchomości. Nazwisko „Lazarov” wymówił tak, jakby na obiad miał przyjść Charles Manson.

— To głupie pytanie — warknął DeVasher i zmierzył wzrokiem tego durnia. — Po pierwsze, musimy zająć się McDeere'em i mieć nadzieję, że szkody są minimalne. Potem dobrze się temu przyjrzymy i dokonamy wszystkich koniecznych zmian.

Locke wstał i popatrzył na Olivera Lamberta.

— Dopilnuj, żeby McDeere znalazł się w samolocie.

• • •

Tarrance, Acklin i Laney siedzieli w milczeniu oszołomieni i słuchali stojącego na biurku telefonu nastawionego na tryb głośnomówiący. Voyles dzwonił z Waszyngtonu i wyjaśniał im ze szczegółami, co się wydarzyło. Wyjeżdża do Memphis za godzinę. Był na granicy desperacji.

— Musisz go sprowadzić, Tarrance, i to szybko. Cozzo nie wie, że my wiemy o Tarrym Rossie, ale Ross powiedział mu, że McDeere jest bliski przekazania dokumentów. Mogą go zdjąć w każdej chwili. I to zaraz! Wiecie, gdzie on jest?

— W pracy — odpowiedział Tarrance.

— W porządku. Świetnie. Sprowadźcie go. Będę tam za dwie godziny. Chcę z nim rozmawiać. Do zobaczenia.

Tarrance się rozłączył, po czym wybrał kolejny numer.

— Do kogo dzwonisz? — zapytał Acklin.

— Bendini, Lambert i Locke. Kancelaria adwokacka.

— Oszalałeś, Wayne? — syknął Laney.

— Tylko posłuchajcie.



Recepcjonistka odebrała telefon.

— Z Mitchem McDeere'em poproszę — powiedział Tarrance.

— Proszę poczekać — odpowiedziała, a potem zgłosiła się sekretarka: —  
Biuro pana McDeere'a.

— Chcę rozmawiać z Mitchellem McDeere'em.

— Bardzo mi przykro, proszę pana, ale jest teraz na spotkaniu.

— Posłuchaj mnie, panienko, mówi sędzia Henry Hugo. McDeere miał być na mojej sali sądowej piętnaście minut temu. Czekamy na niego. Sprawa jest pilna.

— Cóż, w jego terminarzu nie mam takiego wpisu na dziś rano.

— To pani ustala jego harmonogram spotkań?

— Tak, proszę pana.

— W takim razie to pani wina. A teraz niech mnie pani z nim połączy.

Nina pobiegła korytarzem do gabinetu Mitcha.

— Mitch, dzwoni sędzia Hugo. Mówi, że powinieneś być teraz w sądzie.  
Radziłabym ci z nim porozmawiać.

Mitch zerwał się na równe nogi. Zbladł.

— Tak — bąknął.

— Panie McDeere — odezwał się Tarrance — tu sędzia Hugo. Spóźnił się pan do sądu. Proszę tu natychmiast przyjechać.

— Tak, panie sędzio. — Mitch złapał płaszcz, teczkę i wykrzywił się do Niny.

— Przepraszam. Nie ma tego w twoim terminarzu — usprawiedliwiła się.

Mitch pobiegł korytarzem, potem w dół schodami, minął recepcjonistkę i znalazł się na ulicy. Biegł na północ Front Street do Union, przemknął przez lobby Giełdy Bawełny. Na Union skręcił na wschód i biegł w kierunku centrum handlowego Mid-America.

Widok dobrze ubranego młodego mężczyzny z teczką biegnącego jak

zaszczute zwierzę w niektórych miastach jest może czymś zwykłym, ale nie w Memphis. Ludzie się gapili.

Mitch schował się za straganem z owocami i łąpał oddech. Przekonał się, że nikt za nim nie biegnie. Zjadł jabłko. Miał nadzieję, że jego śladem nie podąża Dwutonowy Tony.

Wayne Tarrance nigdy nie robił na nim specjalnego wrażenia. Sklep z koreańskimi butami to fiasko. Knajpa z kurczakami na Kajmanach okazała się równie durna. Nie lepsza niż jego notatki dotyczące Morolto, które mogły być autorstwa harcerzyka. Niemniej pomysł na hasło alarmowe, „nie zadawaj pytań, tylko zwiewaj, jakby od tego zależało twoje życie”, był genialny. Od miesiąca Mitch wiedział, że jeśli zadzwoni sędzia Hugo, powinien uciekać, gdzie pieprz rośnie. Musiało wydarzyć się coś złego i chłopcy z piątego piętra wkroczyli do akcji. Gdzie jest Abby? — zastanawiał się.

Union szło tylko kilka par. Potrzebny był mu zatłoczony chodnik, ale nie mógł na to liczyć. Wystartował z rogu Front i Union. Nie zauważył niczego podejrzanego. Dwie przecznice dalej na wschód wszedł spokojnie przez lobby hotelu Peabody i rozejrzał się za automatem telefonicznym. Znalazł go na antresoli wychodzącej na lobby w krótkim korytarzu prowadzącym do męskiej toalety. Wybrał numer biura FBI w Memphis.

— Poproszę w Wayne'em Tarrance'em. To pilne. Mówi Mitch McDeere.

Tarrance odebrał po kilku sekundach.

— Mitch, gdzie jesteś?

— W porządku, Tarrance, co się dzieje?

— Gdzie jesteś?

— Wyszedłem z budynku, sędzio Hugo. Na razie jestem bezpieczny. Co się stało?

— Mitch musisz przyjść.

— Niczego nie muszę, Tarrance, do jasnej cholery. I niczego nie zrobię,

dopóki mi nie powiesz.

— Cóż, mamy... hm, jest mały problem. Doszło do niewielkiego przecieku. Potrzebujesz...

— Przeciek, Tarrance? Powiedziałeś „przeciek”? Nie ma czegoś takiego jak niewielki przeciek. Mów, zanim odłożę słuchawkę i zniknę. Namierzasz ten telefon, prawda? Rozłączam się.

— Nie! Posłuchaj, Mitch, oni wiedzą. Wiedzą, że byłeś rozmowny, wiedzą o pieniądzach i dokumentach.

Zapadła długa cisza.

— Niewielki przeciek, Tarrance, brzmi jak pieprzony wyłom. Opowiedz mi szybko o tym przecieku.

— Boże, to boli, Mitch. Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo to jest bolesne. Voyles jest zdruzgotany. Jeden z naszych ludzi, stojący znacznie wyżej ode mnie, sprzedał te informacje. Przyłapaliśmy go dziś rano w hotelu w Waszyngtonie. Zapłacili mu dwieście tysięcy za twoją historię. Jesteśmy w szoku, Mitch.

— Och, przykro to słyszeć. Naprawdę bardzo się przejmuję waszym szokiem i bólem, Tarrance. Domyślam się, że chcesz, żebym przybiegł teraz do twojego biura, to usiądziemy i będziemy się wzajemnie pocieszać.

— Voyles będzie tu w południe. Leci samolotem ze swoimi najlepszymi ludźmi. Chce się z tobą spotkać. Wywieziemy cię z miasta.

— Rozumiem. Chcesz, żebym padł wam w ramiona, a wy mnie ochronicie. Jesteś idiotą. Voyles jest idiotą. A ja też jestem idiotą, bo wam zaufałem. Namierzasz ten telefon?

— Nie!

— Kłamiesz. Rozłączam się. Siedź na miejscu, a ja zadzwonię do ciebie za pół godziny z innego telefonu.

— Nie, Mitch! Posłuchaj. Jeśli nie przyjdiesz, już nie żyjesz.

— Do usłyszenia, Wayne. Czekał przy telefonie.

Mitch odwiesił słuchawkę i się rozejrzył. Podeszedł do marmurowej kolumny i zerknął na lobby poniżej. W fontannie pływały kaczki. Bar świecił pustkami. Przy jednym stoliku siedziały bogate staruszki, sączyły herbatę i plotkowały. Samotny klient płacił przy kasie.

Nagle zza drzewka w donicy wyszedł Nordyk i spojrzął na Mitcha.

— Na górze! — krzyknął przez lobby do współnika. Wpatrywali się w niego uważnie, zerkając jednocześnie na schody pod nim. Barman podniósł wzrok na Mitcha, potem spojrzął na Nordyka i jego przyjaciela. Staruszki gapiły się w milczeniu.

— Niech ktoś wezwie policję! — krzyknął Mitch, odchodząc od poręczy. Obaj mężczyźni rzucili się przez lobby i wpadli na schody. Mitch odczekał pięć sekund i wrócił do poręczy. Barman się nie poruszył. Starsze panie zamarły w bezruchu.

Na schodach rozległ się głośny hałas. Mitch usiadł na poręczy, zrzucił teczkę, przełożył obie nogi, zawahał się przez chwilę, a potem skoczył z wysokości sześciu metrów na dywan, którym wyłożona była podłoga lobby. Spadał jak kamień, ale wylądował dokładnie na obu stopach. Ból przeszył mu kostki u nóg i biodra. Kontuzjowane kolano dało o sobie znać, ale wytrzymało.

Za nim, obok wind, znajdował się sklep z męską galanterią z wystawą pełną krawatów i najnowszych wyrobów Ralpa Laurena. Pokuśtykał do niego. Za kontuarem stał pełen dobrych chęci młody, najwyżej dziewiętnastoletni sprzedawca. Nie było żadnych innych klientów. Zewnętrzne drzwi prowadziły na Union.

— Czy te drzwi są zamknięte? — Mitch zapytał spokojnie.

— Tak, proszę pana.

— A chcesz zarobić tysiąc dolarów gotówką? I wszystko będzie zgodne

z prawem. — Mitch szybko odliczył dziesięć studolarowych banknotów i rzucił je na ladę.

— Och, jasne. Chyba tak.

— Nic niezgodnego z prawem, rozumiesz? Przysięgam. Nie pakowałbym cię w kłopoty. Otwórz te drzwi, a kiedy za mniej więcej dwadzieścia sekund wpadnie tu dwóch facetów, powiesz im, że wybiegłem tymi drzwiami i wskoczyłem do taksówki.

Nastolatek uśmiechnął się jeszcze szerzej i zgarnął pieniądze.

— Jasne. Nie ma sprawy.

— Gdzie są przymierzalnie?

— O tam, proszę pana, obok schowka.

— Otwórz drzwi — polecił Mitch, wślizgnął się do przymierzalni i usiadł. Masował kolana i kostki.

Sprzedawca poprawiał krawaty, kiedy Nordyk i jego kumpel wbiegli do sklepu z lobby.

— Dzień dobry — powiedział sprzedawca wesoło.

— Widziałeś faceta, który tu wbiegł, średniej budowy, w ciemnoszarym garniturze i czerwonym krawacie?

— Tak, proszę pana. Przebiegł przez sklep i potem wypadł tamtymi drzwiami, a następnie wskoczył do taksówki.

— Taksówka! Szlag!

Drzwi otworzyły się i zamknęły, w sklepie zapadła cisza. Nastolatek podszedł do półki z butami obok schowka.

— Już poszli, proszę pana.

Mitch rozmasowywał kolana.

— Dobrze. Idź teraz do drzwi i obserwuj wszystko przez dwie minuty. Powiesz mi, jeśli ich zobaczysz.

Dwie minuty później chłopak wrócił.

— Nie ma ich.

Mitch nadal siedział. Uśmiechnął się do drzwi.

— Świetnie. Chcę jedną z tych zielonych sportowych kurtek i białe adidas. Przynieś je tutaj, dobrze? I nie przestawaj obserwować.

— Już przynoszę. — Chłopak pogwizdywał, gdy brał rzeczy ze sklepu, a potem wsunął je pod drzwi.

Mitch zdjął krawat i szybko się przebrał.

— Ile jestem ci winien? — zapytał z przymierzalni.

— Policzmy. Co pan powie na pięćset dolarów?

— W porządku. Załatw mi taksówkę i powiedz, kiedy będzie na zewnątrz.

• • •

Tarrance przeszedł wokół biurka co najmniej pięć kilometrów. Telefon namierzono w Peabody, ale Laney zjawił się tam za późno. Zdążył już wrócić i siedział zdenerwowany obok Acklina. Czterdzieści minut po pierwszym telefonie w interkomie rozległ się głos sekretarki:

— Panie Tarrance, to pan McDeere.

Tarrance rzucił się na aparat.

— Gdzie jesteś?

— W mieście. Ale nie będę tu długo.

— Posłuchaj, Mitch, sam nie przetrwasz nawet dwóch dni. Ściągną tu tylu zbirów, że wystarczy ich do prowadzenia regularnej wojny. Przyjmij naszą pomoc.

— Sam nie wiem, Tarrance. Z jakiegoś dziwnego powodu nie ufam wam, panowie. Nie umiem sobie nawet wyobrazić dlaczego. Mam po prostu złe przeczucie.

— Proszę, Mitch, nie popełniaj tego błędu.

— Pewnie chcesz, żebym uwierzył, że wy, chłopcy, potraficie mnie chronić przez resztę mojego życia. Trochę to zabawne, prawda, Tarrance? Dogadałem się z FBI i niewiele brakowało, a zarobiłbym kulkę w moim biurze. To prawdziwa ochrona.

Tarrance dyszał w słuchawkę. Długo milczał.

— Co z dokumentami? Zapłaciliśmy ci za nie milion dolarów — odezwał się wreszcie.

— Trochę się zapędzasz, Tarrance. Zapłaciliście mi milion za czyste akta. Macie je, a ja mam milion. Oczywiście to była tylko część umowy. Ochrona również była jej częścią.

— Przekaż nam te cholerne dokumenty, Mitch. Powiedziałaś, że są ukryte niedaleko nas. Znikaj, jeśli chcesz, ale zostaw te akta.

— To na nic, Tarrance. Mogę zniknąć w tej chwili, a Morolto mogą mnie ścigać albo nie. Dopóki nie dostaniesz tych dokumentów, nie masz szans na akty oskarżenia. Jeśli Morolto nie zostaną oskarżeni, może, jeżeli dopisze mi szczęście, pewnego dnia po prostu o mnie zapomną. Naprawdę ich wystraszyłem, ale nie powstały żadne szkody. Cholera, może pewnego dnia zdecydują się nawet znowu mnie zatrudnić.

— Tak naprawdę w to nie wierzysz. Będą cię ścigali, aż cię dopadną. Jeżeli nie dostaniemy tych dokumentów, my też będziemy cię ścigali. To takie proste, Mitch.

— Stawiałbym na Morolto. Jeśli wy znaleźlibyście mnie pierwsi, nastąpiłby przeciek. Niewielki przeciek.

— Rozum ci odebrało, Mitch. Jeśli wydaje ci się, że możesz zabrać swój milion i odejść w siną dal, jesteś durniem. Wyślą bandziorów, którzy będą cię szukali choćby na wielbłądach na pustyni. Nie rób tego, Mitch.

— Żegnaj, Wayne. Ray przesyła ukłony.

W słuchawce zapadła cisza. Tarrance chwycił aparat telefoniczny i cisnął

nim o ścianę.

Mitch spojrział na zegar na ścianie lotniska i wybrał kolejny numer.

— Cześć, kochanie. Przepraszam, że cię budzę — powiedział.

— Nie ma sprawy, na tym łóżku nie da się spać. Co się dzieje? — spytała Tammy.

— Poważny kłopot. Weź coś do pisania i słuchaj bardzo uważnie. Nie mogę zmarnować nawet sekundy. Uciekam, a oni są tuż za mną.

— Strzelaj.

— Po pierwsze, zadzwoń do Abby do jej rodziców. Powiedz jej, żeby rzuciła wszystko i wyjechała z miasta. Nie ma czasu nawet na pożegnanie się z matką ani pakowanie rzeczy. Powiedz, żeby rzuciła słuchawkę, wsiadła do samochodu i wyjechała. I nie odwracała się za siebie. Niech jedzie międzystanową pięćdziesiąt pięć do Huntington w Wirginii Zachodniej i idzie na lotnisko. Musi polecieć z Huntington do Mobile. W Mobile wynajmie samochód i pojedzie międzystanową dziesiątką do Gulf Shores, a potem autostradą sto osiemdziesiąt dwa do Perdido Beach. Zamelduje się tam w Hiltonie pod nazwiskiem Rachel James. I niech tam czeka. Masz to?

— Tak.

— Po drugie, chcę, żebyś wsiadła w samolot i poleciała do Memphis. Dzwoniłem do Doca. Paszporty i tak dalej nie są gotowe. Skłamałem go, ale to nic nie dało. Obiecał pracować przez całą noc i zrobić je na rano. Mnie rano już tu nie będzie, ale ty będziesz. Odbierzesz te dokumenty.

— Tak jest.

— Po trzecie, wskoczysz do samolotu i wrócisz do mieszkania w Nashville. I będziesz czekała przy telefonie. Nie odchodź od telefonu pod żadnym pozorem.

— Zrozumiałam.

— Po czwarte, zadzwoń do Abanksa.



— W porządku. A jakie ty masz plany?

— Przyjadę do Nashville, ale nie jestem pewny kiedy. Muszę kończyć. Posłuchaj, Tammy, powiedz Abby, że może nie żyć w ciągu godziny, jeśli zaraz nie wyjedzie. Więc niech ucieka, cholera, niech ucieka!

— W porządku, szefie.

Przeszedł szybko do bramki numer 32 i wsiadł do samolotu Delty lecącego o dziesiątej cztery do Cincinnati. Miał przy sobie stertę biletów w jedną stronę kupionych przy użyciu MasterCard. Jeden do Tulsy na lot 233 American Airlines, startujący o dziesiątej czternaście, kupiony na nazwisko Mitchell McDeere; jeden do Chicago na lot 861 Northwest, startujący o dziesiątej piętnaście, kupiony na nazwisko Mitchell McDeere; jeden do Dallas na lot 562 United Airlines, startujący o dziesiątej trzydziści i kupiony na nazwisko Mitchell McDeere; i jeden do Atlanty na lot 790 Delty, startujący o jedenastej dziesięć, kupiony na nazwisko Mitchell McDeere.

Bilet do Cincinnati kupił za gotówkę na nazwisko Sam Fortune.

• • •

Lazarov wszedł do biura zarządu na czwartym piętrze. Wszystkie głowy się pochyliły. DeVasher stanął przed nim wystraszony jak zbity pies. Wspólnicy wpatrywali się w sznurowadła swoich butów i usiłowali panować nad żołądkami.

— Nie możemy go znaleźć — powiedział DeVasher.

Lazarov nie należał do ludzi, którzy wrzeszczą i przeklinają. Był bardzo dumny z tego, że potrafi zachować spokój niezależnie od presji.

— Chcesz przez to powiedzieć, że ot tak po prostu wstał i stąd wyszedł?  
— zapytał chłodno.

Nie padła żadna odpowiedź. Nie była potrzebna.

— W porządku, DeVasher, plan wygląda następująco: wyślesz

wszystkich ludzi na lotnisko i sprawdzisz wszystkie linie lotnicze. Gdzie jest jego samochód?

— Na parkingu.

— Wspaniale. Więc oddalił się stąd na piechotę. Wyszedł z waszej małej fortecy pieszo. Joey będzie zachwycony. Sprawdź wszystkie wypożyczalnie samochodów. Ilu mamy tu szanownych wspólników?

— Obecnych jest szesnastu.

— Odwiesz ich parami na lotniska w Miami, Nowym Orleanie, Houston, Atlancie, Chicago, Los Angeles, San Francisco i Nowym Jorku. Będą się wałęsali po halach tych lotnisk. Będą mieszkali na tych lotniskach. Jedli na tych lotniskach. Obserwowali loty międzynarodowe na tych lotniskach. Jutro wyślemy wsparcie. Znać go dobrze, szanowni panowie, więc jedźcie i go znajdźcie. Szanse są co prawda niewielkie, ale co mamy do stracenia? Dzięki temu będziecie czymś zajęci. I choć nieprzyjemnie mi o tym mówić, ale za te godziny nie dostaniecie ani centa. A teraz, gdzie jest jego żona?

— W Danseboro w Kentucky. U rodziców.

— Jedź po nią. Nie rób jej krzywdy, po prostu ją tutaj sprowadź.

— Mamy zacząć niszczenie papierów? — zapytał DeVasher.

— Zaczekamy z tym dwadzieścia cztery godziny. Wyślij kogoś na Kajmany, niech zlikwiduje wszystkie dokumenty. Pospiesz się, DeVasher.

Pokój zarządu opustoszał.

• • •

Voyles chodził, głośno tupiąc, wokół biurka Tarrance'a i wyszcze kiwał rozkazy. Kilkunastu poruczników notowało każde jego słowo.

— Obstawić lotnisko. Sprawdzić wszystkie linie lotnicze. Zawiadomić każde biuro we wszystkich ważniejszych miastach. Skontaktować się

z celnikami. Mamy jego zdjęcie?

— Możemy je znaleźć.

— To znajdźcie, tylko migiem. Do wieczora powinno być w każdym biurze FBI i u każdego celnika. On ucieka. Skurwysyn!

## Rozdział 35

Autobus wyjechał z Birmingham w środę tuż przed czternastą. Ray usiadł na końcu i przyglądał się uważnie każdej osobie, która wsiadała i zajmowała miejsce. Wyglądał na sportowca. Wcześniej podjechał taksówką do centrum handlowego w Birmingham i w pół godziny kupił nowe wyblakłe lewisy, koszulę w kratę z krótkim rękawem i czerwono-białe reeboki. Zjadł również pizzę i ostrzygł się na krótko w stylu marine. Założył też ciemne okulary i bejsbolówkę.

Obok niego usiadła niska, gruba, ciemnoskóra kobieta.

Uśmiechnął się do niej.

— *¿De dónde es usted?* — zapytał. — Skąd pani jest?

Na jej twarzy odmalowała się radość. Uśmiechnęła się szeroko, pokazując kilka zębów.

— *México* — odpowiedziała z dumą. — *¿Habla español?* — spytała z zapalem.

— *Si.*

Przez dwie godziny gawędzili po hiszpańsku, a autobus toczył się do Montgomery. Co jakiś czas kobieta musiała coś powtórzyć, ale i tak Ray był zaskoczony, że tyle pamięta. Od ośmiu lat nie używał tego języka, który trochę zardzewiał.

Agenci specjalni Jenkins i Jones jechali dodge'em ariesem za autobusem. Jenkins prowadził, a Jones spał. Jazda stała się nudna już po dziesięciu minutach od opuszczenia Knoxville. Rutynowe siedzenie na ogonie, jak im powiedziano. Jeśli go zgubicie, nic wielkiego się nie stanie. Ale starajcie się

go nie zgubić.

• • •

Do lotu z Huntington do Atlanty zostały dwie godziny. Abby siedziała w kącie ciemnego baru i obserwowała. Po prostu patrzyła. Na fotelu obok niej stała torba. Mimo szczegółowych instrukcji spakowała szczotkę do zębów, kosmetyki i kilka ubrań. Napisała też krótki list do rodziców z wiadomością, że musi jak najszybciej wyjechać do Memphis na spotkanie z Mitchem, że wszystko jest w porządku, żeby się nie martwili, buziaki i uściski, wasza Abby. Nie zwracała uwagi na kawę, przypatrywała się przylatującym i odlatującym pasażerom.

Nie miała pojęcia, czy Mitch żyje, czy już jest martwy. Tammy powiedziała, że się bał, ale nad sobą panował. Jak zawsze. Dowiedziała się też od niej, że Mitch leci do Nashville, a ona, Tammy, do Memphis. Można się było w tym pogubić, ale była pewna, że Mitch wie, co robi. Ona ma dotrzeć do Perdido Beach i czekać.

Abby nigdy wcześniej nawet nie słyszała o Perdido Beach. I nie wątpiła, że Mitch też nigdy tam nie był.

W barze panowała nerwowa atmosfera. Co dziesięć minut wtaczał się pijany biznesmen i składał jej sugestywną propozycję. „Spadaj”, odpowiadała kilka razy.

Po dwóch godzinach zaczęto wpuszczać na pokład. Abby trafiło się miejsce przy przejściu. Zapięła pas i odprężyła się. I wtedy ją zobaczyła.

Była to olśniewająca blondynka o wydatnych kościach policzkowych i ostro zarysowanej szczęce, niemal już niekobiecej, a mimo to atrakcyjna i silna. Abby widziała już kawałek jej twarzy. Kawałek, bo podobnie jak wcześniej oczy były zasłonięte. Spojrzała na Abby i odwróciła wzrok, przechodząc obok na miejsce gdzieś z tyłu samolotu.

Bar Shipwreck! Blondyna z baru Shipwreck. Blondyna, która podsłuchiwała ją, Mitcha i Abanksa. Znaleźli ją. A skoro ją znaleźli, gdzie podziewa się jej mąż? Co mu zrobili? Pomyślała o dwugodzinnej jeździe z Danseboro do Huntington krętymi górskimi drogami. Pędziła jak wariatka. Nie byłoby w stanie za nią jechać.

Samolot kołował i za kilka minut wzniósł się w powietrze.

Po raz drugi w ciągu trzech tygodni Abby patrzyła na zmierzch na lotnisku w Atlancie z wnętrza 727. Ona i blondynka. Stali na płycie pół godziny, a potem wystartowali do Mobile.

• • •

Z Cincinnati Mitch poleciał do Nashville. Dotarł tam o osiemnastej w środę, długo po zamknięciu banków. W książce telefonicznej znalazł wypożyczalnię ciężarówek U-Haul i złapał taksówkę.

Wynajął jeden z mniejszych modeli, pięciometrowy wóz. Zapłacił gotówką, ale został zmuszony do pokazania prawa jazdy i karty kredytowej w ramach zastawu. Jeżeli przez to DeVasher namierzy go w Nashville, to trudno. Kupił dwadzieścia kartonowych pudeł i ruszył do mieszkania.

Nie jadł od wtorkowego wieczoru, ale dopisało mu szczęście. Tammy zostawiła torebkę z popcornem do mikrofalówki i dwa piwa. Wsuwał, aż mu się uszy trzęsły. O dwudziestej wykonał pierwszy telefon do Hiltona w Perdido Beach. Poprosił o połączenie z Lee Stevenssem. Nie przyjechał, odpowiedziała recepcjonistka. Rozciągnął się na podłodze i myślał o tysiącach rzeczy, które mogły przydarzyć się Abby. Mogła umrzeć w Kentucky i on nawet by o tym nie wiedział. Nie mógł zadzwonić.

Łóżko nie było złożone, tania pościel zwieszała się przez ramę aż do podłogi. Tammy nie należała do kobiet dbających o porządek. Popatrzył na niewielkie wypożyczone łóżko i pomyślał o Abby. Zaledwie pięć nocy temu

próbowali się na nim pozabijać. Musi mieć nadzieję, że Abby jest w samolocie. Sama.

Usiadł na zamkniętym pudle Sony i patrzył zdumiony na pokój pełen dokumentów. Na całym dywanie Tammy ułożyła idealnie równe kolumny papierów, wszystkie starannie podzielone na kajmańskie banki i kajmańskie firmy. Na górze każdego stosu leżał żółty notatnik z nazwą firmy, po której następowały całe strony dat i wpisów. I nazwiska!

Nawet Tarrance zorientowałby się, co w nich jest. Sędziowie przysięgli łyknęliby to bez słowa. Prokurator generalny mógłby zwołać konferencję prasową. A sędziowie skazywaliby i skazywali, i skazywali...

• • •

Agent specjalny Jenkins ziewnął, trzymał w ręku słuchawkę telefonu i wybierał numer biura w Memphis. Nie spał od dwudziestu czterech godzin. Jones chrapał w samochodzie.

— FBI — odezwał się męski głos.

— Tak, a kto jest? — zapytał Jenkins. Zwykła rutynowa kontrola.

— Acklin.

— Hej, Rick. Mówi Jenkins. Jesteśmy...

— Jenkins! Gdzie się podziewał? Poczekaj!

Jenkins przestał ziewać i rozejrzał się po terminalu dworca autobusowego. Jakiś rozzłoszczony głos zaczął mu wrzeszczeć do ucha:

— Jenkins! Gdzie jesteście?

To był Wayne Tarrance.

— Jesteśmy na dworcu autobusowym w Mobile. Zgubiliśmy go.

— Co takiego? Jak mogliście go zgubić?

Jenkins nagle przestał być senny i pochylił się nad telefonem.

— Chwila moment, Wayne. Mieliśmy jechać za nim przez osiem godzin,

żeby się zorientować, dokąd zmierza. Rutyna, sam powiedziałaś.

— Nie mogę uwierzyć, że go zgubiliście.

— Wayne, nikt nam nie powiedział, że mamy się za nim włączyć do końca jego życia. Osiem godzin, Wayne. Mieliśmy go na oku przez dwadzieścia godzin, a teraz on zniknął. O co tyle krzyku?

— Dlaczego nie zadzwoniliście wcześniej?

— Dzwoniliśmy dwa razy. Z Birmingham i Montgomery. Za każdym razem telefon był zajęty. Co się dzieje, Wayne?

— Zaczekaj.

Jenkins ścisnął mocniej słuchawkę i czekał.

— Halo, Jenkins? — rozległ się inny głos.

— Tak.

— Mówi dyrektor Voyles. Co się, do cholery, stało?

Jenkins wstrzymał oddech i rozejrzał się zdezorientowany po terminalu.

— Zgubiliśmy go, dyrektorze. Jechaliśmy za nim przez dwadzieścia godzin, a kiedy wysiadł z autobusu w Mobile, wmieszał się w tłum i straciliśmy go z oczu.

— To wspaniale, synu. Jak dawno temu?

— Dwadzieścia minut.

— W porządku, posłuchaj, musimy go znaleźć. Sytuacja jest paskudna. Zadzwonź do miejscowych w Mobile. Powiedz, kim jesteś, a potem przekaż, że zbiegły morderca szwenda im się po mieście. Prawdopodobnie mają zdjęcie i nazwisko Raya McDeere'a na ścianie. Jego matka mieszka w Panama City Beach, więc zaalarmuj wszystkie lokalne posterunki od tego miejsca do Mobile. Wysyłam naszych ludzi.

— W porządku. Przepraszam, dyrektorze. Nikt nam nie powiedział, że mamy się za nim ciągnąć do końca świata. — Porozmawiamy o tym później.

• • •



O dwudziestej drugiej Mitch zadzwonił do Hiltona w Perdido Beach po raz drugi. Poprosił o połączenie z Rachel James. Nie przyjechała. Spytał o Lee Stevensa. Chwileczkę, usłyszał. Mitch siedział na podłodze i czekał w napięciu. Telefon w pokoju hotelowym zaczął dzwonić. Po ponad dziesięciu dzwonek ktoś podniósł słuchawkę.

— Tak — padło tylko to krótkie słowo.

— Lee? — zapytał Mitch.

Cisza.

— Tak.

— Mówi Mitch. Gratuluję.

Ray opadł na łóżko i zamknął oczy.

— Wszystko poszło tak łatwo, Mitch. Jak to zrobiłeś?

— Opowiem ci, kiedy będziemy mieli czas. W tej chwili pewna grupa ludzi próbuje mnie zabić. I Abby. Oboje jesteśmy uciekinierami.

— Kto, Mitch?

— Zrelacjonowanie pierwszego rozdziału zajęłoby mi dziesięć godzin. Zrobię to później. Zapisz sobie numer: sześć, jeden, pięć, osiem, osiem, dziewięć, cztery, trzy, osiem, zero.

— To nie jest w Memphis — stwierdził Ray.

— Nie, to w Nashville. Jestem w mieszkaniu, które służy nam jako centrum operacyjne. Naucz się tego numeru na pamięć. Jeśli mnie tu nie będzie, telefon odbierze dziewczyna o imieniu Tammy.

— Tammy?

— To długa historia. Zrób, co mówię. Dziś wieczorem Abby zamelduje się w twoim hotelu pod nazwiskiem Rachel James. Przyjedzie wynajętym samochodem.

— Ona tu przyjeżdża!

— Posłuchaj, Ray, ścigają nas kanibale, ale wyprzedzamy ich o krok.

— Kogo wyprzedzamy?

— Mafię. I FBI.

— To wszystko?

— Prawdopodobnie. A teraz słuchaj. Istnieje niewielkie ryzyko, że Abby jest śledzona. Musisz ją znaleźć, obserwować i upewnić się, że nikt za nią nie łązi.

— A jeśli łązi?

— Zadzwoń do mnie, to o tym pogadamy.

— Nie ma problemu.

— Nie używaj telefonu poza dzwonieniem na ten numer. I nie możemy długo rozmawiać.

— Mam parę pytań, braciszku.

— A ja znam odpowiedzi, ale nie teraz. Zaopiekuj się moją żoną i zadzwoń do mnie, kiedy tam dotrze.

— Zadzwonię. I, Mitch, dzięki.

— *Adios.*

• • •

Godzinę później Abby zjechała z autostrady 182 na kręty podjazd do Hiltona. Zaparkowała czterodrzwiowego cutlassa z tablicami rejestracyjnymi z Alabamy i przeszła nerwowo przez werandę do frontowych drzwi. Zatrzymała się na sekundę, obejrzała za siebie na podjazd i weszła do środka.

Dwie minuty później żółta taksówka z Mobile zatrzymała się przed werandą hotelu za mikrobusem kursującym wahadłowo na lotnisko. Ray przyglądał się taksówce. Na tylnym fotelu siedziała jakaś kobieta i rozmawiała z kierowcą. Trwało to minutę. Wyjęła pieniądze z torebki i zapłaciła mu. Wysiadła i zaczekała, aż taryfa odjedzie. Kobieta była blondynką i to zauważył jako pierwsze. Bardzo zgrabna, w obcisłych

czarnych spodniach ze sztruksu. I w ciemnych okularach, co wydało mu się dziwne, jako że zbliżała się północ. Zbliżyła się do frontowych drzwi, zaczęła minutę, a potem je otworzyła. Przyglądał jej się uważnie. Przemieścił się w kierunku lobby.

Blondynka podeszła do jedynej recepcjonistki za kontuarem recepcji.

— Jedynekę, poproszę — usłyszał.

Recepcjonistka przesunęła po blacie formularz meldunkowy. Blondynka wpisała imię i nazwisko.

— Pani, która tu weszła tuż przede mną, jak ona się nazywa? Wydaje mi się, że to moja przyjaciółka.

Recepcjonistka przejrzała formularze meldunkowe.

— Rachel James.

— Ach tak, to ona. Skąd jest?

— Podała adres w Memphis — odpowiedziała recepcjonistka.

— Jaki ma numer pokoju? Chciałabym się przywitać.

— Nie mogę podać pani numeru pokoju — powiedziała recepcjonistka.

Blondynka szybko wyciągnęła z torebki dwa banknoty dwudziestodolarowe i przesunęła je po blacie.

— Chcę się tylko z nią przywitać.

Recepcjonistka wzięła pieniądze.

— Pokój sześćset dwadzieścia dwa.

Kobieta zapłaciła gotówką.

— Gdzie są telefony? — spytała.

— Zaraz za rogiem.

Ray wślizgnął się za róg i zobaczył cztery automaty. Złapał słuchawkę środkowego i zaczął mówić do głuchego telefonu.

Blondynka wybrała ostatni automat i odwróciła się tyłem do niego. Mówiła bardzo cicho. Słyszał jedynie fragmenty.

— ...zameldowała się... Pokój sześćset dwadzieścia dwa... Mobile... jakaś pomoc... Nie mogę... godzina?... tak... pospieszcie się...

Odwiesiła słuchawkę, podczas gdy on wciąż głośno mówił.

Dziesięć minut później rozległo się pukanie do drzwi. Blondynka zerwała się z łóżka, chwyciła czterdziestkępiątkę i zatknęła ją za pasek sztruksów pod bluzą. Nie zawracała sobie głowy łańcuchem i uchyliła drzwi.

Otworzyły się z hukiem, aż rzuciło ją na ścianę. Ray zabrał jej pistolet i przyspilił ją do podłogi. Trzymając jej twarz wciśniętą w dywan, przyłożył jej lufę do ucha.

— Jeśli wydasz jakiś dźwięk, zabiję!

Przestała się szamotać i zamknęła oczy. Żadnej odpowiedzi.

— Kim jesteś? — dopytywał się Ray. Wsunął lufę głębiej w jej ucho. Znowu żadnej odpowiedzi. — Nie ruszaj się i bądź cicho, dobrze? Z przyjemnością odstrzeliłbym ci łeb.

Odprężył się. Nadal siedział na plecach kobiety. Gwałtownym ruchem otworzył jej torbę podróżną, wyrzucił zawartość na podłogę i znalazł parę czystych skarpetek do tenisa.

— Otwórz usta — zażądał.

Kobieta nawet nie drgnęła. Lufa wróciła do jej ucha. Dopiero wtedy powoli rozchyliła wargi. Ray wcisnął skarpetki między jej zęby, a potem ciasno zawiązał oczy jedwabną koszulą nocną. Skrępował jej nogi i ręce rajstopami, a potem podarł prześcieradło na długie pasy. Kobieta się nie poruszała. Kiedy skończył ją wiązać i kneblować, przypominała mumię. Wsunął ją pod łóżko.

W torebce było sześćset dolarów w gotówce i portfel z prawem jazdy wystawionym w Illinois. Karen Adair z Chicago. Data urodzenia: 4 marca 1962 roku. Wziął portfel i broń.

• • •

Telefon zadzwonił o pierwszej. Mitch nie spał. Siedział po pachy w wyciągach bankowych. Fascynujących i bardzo obciążających.

— Halo — odezwał się niepewnie.

— Czy to centrum operacyjne? — W tle słychać było szafę grającą.

— Gdzie jesteś, Ray?

— W spelunie o nazwie FloraBama. Dokładnie na granicy stanu.

— Gdzie jest Abby?

— W samochodzie. Ma się dobrze.

Mitch odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do telefonu. Słuchał.

— Musieliśmy opuścić hotel. Jakaś kobieta przyjechała tam za Abby... kobieta, którą widzieliście w barze na Kajmanach. Abby próbuje to wszystko zrozumieć. Ta baba śledziła ją przez cały dzień i zjawiała się w hotelu. Zająłem się nią i zniknęliśmy.

— Zająłeś się nią?

— Tak, nie będzie mówiła, ale nie na długo usunąłem ją z drogi.

— Abby nic się nie stało?

— Nic. Oboje jesteśmy śmiertelnie zmęczeni. A właściwie co ci chodzi po głowie?

— Jesteście mniej więcej trzy godziny jazdy od Panama City Beach. Wiem, że padasz z nóg, ale musicie stamtąd zwiewać. Dojedź do Panama City Beach, tam porzucicie samochód i weźmiecie dwa pokoje w Holiday Inn. Zadzwon do mnie, gdy się zameldujecie.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

— Zaufaj mi, Ray.

— Ufam ci, ale zaczynam żałować, że nie siedzę w więzieniu.

— Już nie możesz zawrócić, Ray. Albo znikniemy, albo będzie po nas.

## Rozdział 36

Taksówka zatrzymała się na czerwonych światłach w centrum Nashville. Mitch wyskoczył z niej na sztywnych i bolących nogach. Pokuśtykał przez ruchliwe skrzyżowanie, omijając poranny ruch.

Budynek Southeastern Bank był trzydziestopiętrowym szklanym walcem zaprojektowanym na wzór pojemnika na piłki tenisowe. Miał ciemny kolor, prawie czarny. Stał w sporej odległości od rogu ulic między labiryntem chodników, fontann i przystrzyżonej zieleni.

Mitch wszedł obrotowymi drzwiami razem z tłumem pracowników spieszących do biur. W wyłożonym marmurem atrium znalazł plan i wjechał ruchomymi schodami na trzecie piętro. Otworzył ciężkie szklane drzwi i znalazł się w przestronnym okrągłym pomieszczeniu. Zza szklanego biurka patrzyła na niego piękna kobieta około czterdziestki. Nie uśmiechała się.

— Ja do pana Masona Laycooka — powiedział Mitch.

Wskazała fotel.

— Proszę usiąść.

Pan Laycook nie tracił czasu. Wyłonił się zza rogu i był równie skwaszony jak jego sekretarka.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał nosowym głosem.

Mitch wstał.

— Tak. Chciałbym przesłać trochę pieniędzy.

— Rozumiem. Czy ma pan konto w Southeastern?

— Tak.

— Pańskie nazwisko?

— To konto numeryczne. — Innymi słowy, nie usłyszy pan nazwiska, panie Laycook. Nie musi pan go znać.

— Bardzo dobrze. Proszę za mną. — Gabinet nie miał okien, żadnego widoku. Rząd klawiatur i monitorów stał na komodzie za szklanym biurkiem. Mitch usiadł.

— Poproszę numer konta.

Mitch podał go z pamięci:

— Dwa, jeden, cztery, trzy, jeden, trzy, pięć.

Laycook stuknął w klawiaturę i wpatrywał się w monitor.

— To konto z dodatkowym zabezpieczeniem, otworzone przez T. Hemphill z dostępem możliwym jedynie dla niej i określonego mężczyzny spełniającego następujące warunki wyglądu: około metra osiemdziesięciu wzrostu, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć kilogramów wagi, niebieskie oczy, brązowe włosy, w wieku mniej więcej dwudziestu pięciu, dwudziestu sześciu lat. Pasuje pan do tego opisu. — Laycook nie odrywał oczu od monitora. — Ostatnie cztery cyfry pańskiego ubezpieczenia społecznego to?

— Osiem, pięć, osiem, pięć.

— Bardzo dobrze. Ma pan dostęp. A teraz, co mogę dla pana zrobić?

— Chciałbym przelać trochę pieniędzy z banku na Kajmanach.

Laycook zmarszczył czoło i wyjął z kieszeni ołówek.

— Z jakiego banku na Kajmanach?

— Royal Bank of Montreal.

— Jaki rodzaj konta?

— Konto numeryczne.

— Zakładam, że zna pan jego numer.

— Cztery, dziewięć, dziewięć, D, F, H, dwa, jeden, dwa, dwa.

Laycook zapisał numer i wstał.

— Zaraz do pana wrócę. — Wyszedł z pokoju.

Minęło dziesięć minut. Mitch stukał posiniaczoną stopą o podłogę i patrzył na monitory stojące za biurkiem.

Laycook wrócił ze swoim przełożonym, panem Nokesem, wiceprezesem czy kimś w tym rodzaju. Nokes przedstawił się, stając za biurkiem. Obaj mężczyźni wyglądali na zdenerwowanych. Nie odrywali oczu od Mitcha.

Mówił Nokes. Trzymał w ręku niewielką kartkę z wydrukiem komputerowym.

— To zastrzeżone konto, proszę pana. Musi pan udzielić pewnych informacji, zanim będziemy mogli dokonać przelewu.

Mitch skinął głową, zupełnie niezbity z tropu.

— Daty i wielkości ostatnich trzech depozytów, proszę pana?

Obaj wpatrywali się w niego z napięciem, z góry zakładając, że tym razem noga mu się powinie.

Znów z pamięci. Żadnych notatek.

— Trzeciego lutego tego roku, sześć i pół miliona. Czternastego grudnia zeszłego roku, dziewięć milionów dwieście tysięcy. I ósmego października zeszłego roku, jedenaście milionów.

Laycook i Nokes gapili się na niewielki wydruk. Nokes zdobył się na nikły uśmiech profesjonalisty.

— Bardzo dobrze. Ma pan dostęp do poziomu prywatnego kodu dostępu.

Laycook stał w gotowości z ołówkiem.

— Jaki jest pański prywatny kod dostępu? — zapytał Nokes.

Mitch uśmiechnął się i założył nogę na nogę.

— Siedem, dwa, zero, osiem, trzy.

— Jakiego przelewu pan oczekuje?

— Proszę natychmiast przekazać dziesięć milionów dolarów do państwa banku na konto dwa, jeden, cztery, trzy, jeden, trzy, pięć. Zaczekam.



— Nie musi pan czekać, proszę pana.

— Zaczekam. Kiedy przelew zostanie dokonany, będę miał do panów jeszcze kilka próśb.

— Wrócimy za chwilę. Może napije się pan kawy?

— Nie, dziękuję. Czy macie panowie jakąś gazetę?

— Oczywiście — odpowiedział Laycook. — Jest tam, na stole.

Wyszli pospiesznie z pokoju. Puls Mitcha zaczął zwalniać. Otworzył nashvillski „Tennessean” i omiół wzrokiem trzy działy, zanim natrafił na krótką notatkę o ucieczce z Brushy Mountain. Bez zdjęcia. Niewiele szczegółów. Są bezpieczni w Holiday Inn przy Miracle Strip w Panama City Beach na Florydzie.

Drogę mają wolną, jak do tej pory, pomyślał. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Laycook wrócił sam. Teraz stał się przyjacielski. Prawdziwy kumpel.

— Przelew został zrobiony. Pieniądze już tutaj są. Co teraz możemy dla pana zrobić?

— Chcę je stąd wysłać. Większość, w każdym razie.

— Ile przekazów?

— Trzy.

— Proszę podać szczegóły pierwszego.

— Milion dolarów do Coast National Bank w Pensacoli, na konto numeryczne, do którego dostęp będzie miała wyłącznie jedna osoba, biała kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat. Dam jej numer kodu dostępowego.

— Czy to istniejące konto?

— Nie. Chcę, żeby je pan tam otworzył.

— Bardzo dobrze. Drugi przelew?

— Milion dolarów do Dane County Bank w Danesboro w stanie Kentucky, na jakiegokolwiek konto na nazwisko Harold lub Maxine Sutherland,

albo na nich oboje. To mały bank, ale współpracuje z United Kentucky w Louisville.

— Bardzo dobrze. Trzeci przelew?

— Siedem milionów do Deutschbanku w Zurychu. Numer konta siedem, siedem, dwa, zero, trzy, B, L, sześć, zero, zero. Reszta pieniędzy zostaje tutaj.

— To zajmie około godziny — uprzedził Laycook, notując.

— Zadzwoń za godzinę, żeby spytać o potwierdzenie.

— Bardzo dobrze.

— Dziękuję, panie Laycook.

Każdy krok był bolesny, ale Mitch nie zwracał na to uwagi. Zjechał ruchomymi schodami i wyszedł z budynku.

• • •

Na ostatnim piętrze Royal Bank of Montreal, w filii na Kajmanach, księgowa z działu przelewów wsunęła wydruk komputerowy pod bardzo ostry, ale poza tym normalny nos Randolpha Osgooda. Zakończyła właśnie niezwykłą operację przelania dziesięciu milionów. Niezwykłą dlatego, ponieważ pieniądze z tego konta nigdy nie wracały do Stanów Zjednoczonych, i jeszcze dlatego, że poszły do banku, z którym nigdy nie współpracowali. Osgood przestudiował wydruk i zadzwonił do Memphis. Sekretarka poinformowała go, że pan Tolleson jest na zwolnieniu lekarskim. W takim razie Nathan Locke? — poprosił. Pan Locke wyjechał z miasta. Victor Milligan? Pana Milligana również nie ma.

Osgood odłożył wydruk na stertę spraw do załatwienia następnego dnia.

• • •

Na Emerald Coast na Florydzie i w Alabamie, od przedmieść Mobile na wschód przez Pensacole, Fort Walton Beach, Destin i Panama City, ciepła

wiosenna noc była spokojna. Na całym wybrzeżu popełniono tylko jedno przestępstwo: młoda kobieta została obrabowana, pobita i zgwałcona w pokoju w hotelu Hilton w Perdido Beach. Jej chłopak, wysoki blondyn o skandynawskich rysach, znalazł ją związaną i zakneblowaną. Nazywał się Rimmer, Aaron Rimmer, i pochodził z Memphis.

Prawdziwym wydarzeniem tej nocy było jednak zakrojone na ogromną skalę polowanie na obszarze Mobile na zbiegłego mordercę Raya McDeere'a. Widziano go, jak tuż po zmroku przyjechał na dworzec autobusowy. Jego zdjęcie z kartoteki policyjnej znalazło się na pierwszej stronie porannej gazety i przed dziesiątą zgłosiło się trzech świadków, którzy go widzieli. Jego ruchy prześledzono na trasie od Mobile Bay do Foley w Alabamie, a potem do Gulf Shores.

Ponieważ Hilton jest oddalony tylko o piętnaście kilometrów od Gulf Shores autostradą numer 182 i ponieważ wiedziano o tylko jednym zbiegłym przestępcy w okolicy, kiedy wyszła na jaw sprawa przestępstwa, wniosek był jeden i nieunikniony. Nocna recepcjonistka hotelu rozpoznała prawie na pewno Raya McDeere'a, a z dokumentów wynikało, że zameldował się około dwudziestej pierwszej trzydzieści jako pan Lee Stevens. Zapłacił gotówką. Później zameldowała się ofiara, którą zaatakował. Ofiara również zidentyfikowała pana Raya McDeere'a.

Nocna recepcjonistka pamiętała również, że ofiara pytała o jakąś Rachel James, która zameldowała się pięć minut przed nią i zapłaciła gotówką. Rachel James zniknęła, nie zwracając sobie głowy wymeldowaniem. Podobnie jak Ray McDeere vel Lee Stevens. Pracownik parkingu rozpoznał McDeere'a i powiedział, że podejrzany wsiadł z kobietą do białego czterodrzwiowego cutlassa między północą a pierwszą. Powiedział, że to ona prowadziła i najwyraźniej bardzo się spieszyli. Dodał, że skierowali się na wschód autostradą numer 182.

• • •

Dzwoniąc z pokoju hotelowego na szóstym piętrze Hiltona, Aaron Rimmer anonimowo doradził zastępcy szeryfa okręgu Baldwin, żeby sprawdził wypożyczalnie samochodów w Mobile. I pytał o Abby McDeere. To pański biały cutlass, powiedział. Z Mobile do Miami rozpoczęły się poszukiwania białego cutlassa wynajętego w firmie Avis przez Abby McDeere. Śledczy z biura szeryfa obiecał, że będzie informował chłopaka ofiary, Aarona Rimmera, o wszelkich postępach.

Pan Rimmer miał czekać w hotelu Hilton. Dzielił pokój z Tonym Verklerem. Pokój obok zajmował jego szef DeVasher. Czternastu jego przyjaciół siedziało w swoich pokojach na siódmym piętrze i czekało.

• • •

Mitch musiał siedemnaście razy przejść z mieszkania do wynajętej ciężarówki i z powrotem, ale w południe papiery Bendiniego były gotowe do transportu. Pozwolił potem odpocząć spuchniętym nogom. Usiadł na łóżku i napisał instrukcje dla Tammy. Wyszczególnił transakcje w banku i poprosił, żeby odczekała tydzień, zanim skontaktuje się z jego matką. Wkrótce starsza pani stanie się milionerką.

Postawił sobie aparat telefoniczny na kolanach i przygotowywał się do nieprzyjemnego zadania. Zadzwoił do Dane County Bank i poprosił o połączenie z Haroldem Sutherlandem. Sprawa jest pilna, powiedział.

— Halo — odezwał się jego teść, a w jego głosie słychać było złość.

— Panie Southerland, mówi Mitch. Czy...

— Gdzie jest moja córka? Czy nic jej się nie stało?

— Nie. Wszystko z nią w porządku. Jest ze mną. Wyjeżdżamy z kraju na kilka dni. Może tygodni. Może parę miesięcy.

— Rozumiem — powiedział teść wolno. — A dokąd to się wybieracie?

— Jeszcze nie jesteśmy pewni. Pojeździmy przez jakiś czas, i tyle.

— Dzieje się coś złego, Mitch?

— Tak. Coś bardzo złego, ale teraz nie mogę tego wyjaśnić. Może któregoś dnia w przyszłości. Niech pan śledzi uważnie gazety. W ciągu dwóch tygodni powinna być opisana spora sprawa z Memphis.

— Grozi wam niebezpieczeństwo?

— Coś w tym rodzaju. Czy dostał pan jakieś niezwykle przelewów dziś rano?

— Szczerze mówiąc, tak. Ktoś wrzucił nam milion dolarów mniej więcej przed godziną.

— Tym kimś byłem ja, a pieniądze są dla państwa.

Nastąpiła bardzo długa chwila ciszy.

— Mitch, myślę, że należy mi się wyjaśnienie.

— Tak, na pewno, ale nie mogę panu niczego wyjaśnić. Jeśli uda nam się bezpiecznie wyjechać z kraju, dostanie pan wiadomość za mniej więcej tydzień. Mam nadzieję, że pieniądze się państwu przydadzą. Muszę kończyć.

Mitch odczekał minutę i zadzwonił do pokoju 1028 w Holiday Inn w Panama City Beach.

— Halo? — To była Abby.

— Cześć, kochanie, jak się czujesz?

— Strasznie, Mitch. Zdjęcie Raya jest na pierwszych stronach wszystkich tutejszych gazet. Najpierw chodziło o to, że uciekł z więzienia i ktoś widział go w Mobile. A teraz mówią w telewizji, że jest głównym podejrzanym o gwałt z zeszłego wieczoru.

— Co?! Gdzie?!

— W Hiltonie w Perdido Beach. Ray dopadł tę blondynkę, która mnie śledziła aż do hotelu. Wdarł się do jej pokoju i ją związał. Nic poważnego.

Zabrał jej broń i pieniądze, a teraz ona twierdzi, że została pobita i zgwałcona przez Raya McDeere'a. Wszyscy gliniarze na Florydzie szukają samochodu, który wynajęłam wczoraj w Mobile.

— Gdzie jest ten samochód?

— Zostawiliśmy go niecałe dwa kilometry na zachód, przy dużej budowie jakiegoś osiedla mieszkaniowego. Tak się boję, Mitch.

— Gdzie jest Ray?

— Leży na plaży i próbuje opalić twarz. Zdjęcie w gazetach jest dość stare. Ma na nim długie włosy i jest bardzo blady. To nie jest dobre zdjęcie. Teraz jest krótko ostrzyżony i chce mieć zaróżowioną skórę. Moim zdaniem to będzie pomocne.

— Czy oba pokoje są na twoje nazwisko?

— Rachel James.

— Posłuchaj, Abby, zapomnijcie o Rachel i Lee, i Rayu, i Abby. Zaczekajcie, aż się ściemni, i opuśćcie te pokoje. Po prostu stamtąd odejdźcie. Mniej więcej kilometr na wschód jest niewielki motel o nazwie Blue Tide. Idźcie plażą, aż go znajdziecie. Pójdiesz do recepcji i wynajmiesz dwa pokoje obok siebie. Zapłać gotówką. Powiedz, że nazywasz się Jackie Nagel. Zapamiętałaś? Jackie Nagel. Posługuj się tym nazwiskiem, bo kiedy tam dotrę, będę o nie pytał.

— A jeśli nie będą mieli dwóch pokoi obok siebie?

— W porządku, jeżeli coś pójdzie nie tak, bardzo niedaleko jest następny motel. Nazywa się Seaside. Zameldujcie się tam. Na to samo nazwisko. Wyjadę stąd powiedzmy o trzynastej i powinienem do was dojechać za dziesięć godzin.

— A jeżeli znajdą samochód?

— Znajdą i zarzucą sieć wokół Panama City Beach. Musicie być ostrożni. Po zmroku spróbuj wymknąć się do drogerii i kupić farbę do włosów. Obetnij

włosy możliwie krótko i przefarbuj się na blond.

— Blond!

— Albo na rudo, wszystko jedno. Ale zmień kolor. Powiedz Rayowi, żeby nie wychodził z pokoju. Nie podejmujcie żadnego ryzyka.

— On ma pistolet, Mitch.

— Przekaż mu, że powiedziałem, że nie może go użyć. Prawdopodobnie już dziś wieczorem będą tam tysiące policjantów. Nie wygra w strzelaninie.

— Kocham cię, Mitch. I strasznie się boję.

— Nie ma nic złego w tym, że się boisz, kochanie. Tylko nie przestawaj myśleć. Nie wiedzą, gdzie jesteście, i nie złapią was, jeśli będziecie w ruchu. Będę przed północą.

• • •

Lamar Quin, Wally Hudson i Kendall Mahan siedzieli w sali konferencyjnej na trzecim piętrze i zastanawiali się nad następnym posunięciem. Jako że zajmowali w firmie wyższe stanowiska, wiedzieli o piątym piętrze i piwnicy, o panu Lazarovie i panu Morolto, o Hodge'u i Kozinskim. Wiedzieli, że kiedy ktoś dołącza do firmy, już z niej nie odchodzi.

Opowiedzieli sobie historię o przełomowym dniu. Porównywali go do przeżycia, jakim było poznanie prawdy o Świętym Mikołaju. Smutnym i przerażającym dniu, kiedy Nathan Locke zaprosił ich do swojego gabinetu i powiedział o najważniejszym kliencie. A potem przedstawił im DeVashera. Byli pracownikami rodziny Morolto i oczekiwano od nich ciężkiej pracy, trwonienia okazałych pensji i trzymania wszystkiego w tajemnicy. I wszyscy trzej tak postępowali. Myśleli czasami o odejściu, ale nigdy na poważnie tego nie planowali. Kochali swoje rodziny. Z czasem o tym zapomnieli. Mieli tak wielu innych, czystych klientów do obsłużenia. Tak dużo ciężkiej pracy

zgodnej z prawem.

Wspólnicy odwalali większość brudnej roboty, ale stopniowe awansowanie łączyło się z coraz większym zaangażowaniem w nielegalną działalność. Wspólnicy zapewniali ich, że nigdy nie zostaną na tym złapani. Są za sprytni. Mają zbyt dużo pieniędzy. To idealna przykrywka. Tymczasem ogromny niepokój przy stole konferencyjnym budziło to, że wspólnicy wyjechali z miasta. W Memphis nie było nawet jednego. Avery Tolleson też zniknął. Bo wyszedł już ze szpitala.

Rozmawiali o Mitchu. Był nie wiadomo gdzie i uciekał przerażony, by ratować życie. Jeśli dopadł go DeVasher, już nie żyje i zostanie pochowany podobnie jak Hodge i Kozinski. Ale jeżeli pierwsi dorwą go federalni, przejmą dokumenty i wtedy dobiorą się do firmy, w tym do nich trzech.

A jeśli, spekulowali, nikt go jeszcze nie złapał? Jeśli mu się udało i po prostu zniknął? Razem z dokumentami, rzecz jasna. Jeżeli siedzi teraz z Abby na jakiejś plaży, popija rum i liczy pieniądze? Ta myśl im się podobała i przez chwilę o niej rozmawiali.

W końcu postanowili poczekać do następnego dnia. Jeżeli okaże się, że Mitch nie żyje, zostaną w Memphis. Jeżeli nigdy nikt go nie odnajdzie, zostaną w Memphis. Jeżeli federalni go złapią, zwieją, gdzie pieprz rośnie.

Uciekaj, Mitch, uciekaj!

• • •

Pokoje w motelu Blue Tide okazały się wąskie i zapyziałe. Wytarty dywan miał ze dwadzieścia lat. W pościeli były dziury powypalane papierosami. Ale w końcu nie chodziło o luksus.

We wtorek po zmierzchu Ray stanął za Abby z nożyczkami w ręku i obciął jej delikatnie włosy wokół uszu. Dwa ręczniki leżące pod krzesłem pokryły się jej ciemnymi włosami. Obserwowała go uważnie w lustrze



umieszczonym obok muzealnego telewizora i spokojnie instruowała. Była to chłopięca fryzura, wysoko nad uszami, z równo obcięta grzywką. Ray cofnął się o krok i podziwiał efekty swojej pracy.

— Nieźle — mruknął.

Abby uśmiechnęła się i strzepnęła włosy z ramion.

— Teraz chyba muszę je ufarbować — powiedziała ze smutkiem. Weszła do maleńkiej łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Wyłoniła się z niej po godzinie jako blondynka. Złotawa blondynka. Ray spał na nieposłanym łóżku. Abby uklękła na brudnym dywanie i zebrała włosy.

Pozbierała je też z podłogi i włożyła do plastikowego worka na śmieci. Pusta buteleczka po farbie i aplikator znalazły się w worku z włosami, który mocno zawiązała. Rozległo się pukanie do drzwi.

Abby zamarła i nasłuchiwała. Zasłony były zaciągnięte. Klepnęła Raya w stopę. Ten zerwał się z łóżka i wziął broń.

— Kto tam? — zapytała głośnym szeptem, stojąc przy oknie.

— Sam Fortune — usłyszała w odpowiedzi.

Ray otworzył drzwi i do pokoju wszedł Mitch. Przytulił Abby i uściskał Raya. Drzwi zostały zamknięte na klucz, światło zgaszone. Siedzieli na łóżku w ciemności. Mitch mocno obejmował Abby. Choć mieli sobie tak dużo do powiedzenia, całej trójce brakowało słów.

Przez szczelinę w zasłonach wpadał cienki promień światła i w miarę jak mijały minuty, stopniowo oświetlał toaletkę i telewizor. Żadne z nich nic nie mówiło. Z motelu Blue Tide nie dochodziły żadne odgłosy. Parking był pusty.

— To, że ja tu jestem, potrafię jakoś wytłumaczyć — odezwał się w końcu Ray — ale nie bardzo wiem, co ty tu robisz.

— Musimy zapomnieć, dlaczego tu jesteśmy — odpowiedział Mitch —

i skupić się na tym, jak stąd zniknąć. We trójkę. Bezpiecznie.

— Abby wszystko mi opowiedziała — odrzekł Ray.

— Nie wiem wszystkiego — sprostowała Abby. — Nie wiem, kto nas ściga.

— Zakładam, że są w komplecie — tłumaczył Mitch. — DeVasher i jego gangsterzy krążą w pobliżu. Siedzą w Pensacoli, jak myślę. To najbliższe lotnisko. Tarrance jest gdzieś na linii wybrzeża i kieruje swoimi chłopcami, szukającymi na wszystkie możliwe sposoby Raya McDeere'a, gwałciciela. I jego współpracownicy Abby McDeere.

— Co potem? — zapytała Abby.

— Znajdą samochód, jeśli do tej pory go nie znaleźli. To będzie wskazywało na Panama City Beach. W gazecie napisali, że poszukiwania zostały rozszerzone na teren od Mobile do Miami, więc teraz się rozproszyli. Kiedy natkną się na samochód, skoncentrują się na tej okolicy. Ale tu są tysiące tanich moteli podobnych do tego. Przy Strip, na długości prawie dwudziestu kilometrów, nie ma niczego poza motelami, apartamentami i sklepami z pamiątkami. To oznacza mnóstwo ludzi, mnóstwo turystów w szortach i sandałach, a jutro i my będziemy turystami w szortach i sandałach, pójdziemy na całość. Myślę, że nawet jeśli wyślą za nami setkę ludzi, mamy dwa albo trzy dni.

— A kiedy uznają, że tu jesteśmy, co się stanie? — zapytała.

— Ty i Ray mogliście po prostu porzucić samochód i odjechać innym. Nie mogą mieć pewności, że jesteśmy na Strip, ale zaczną tu szukać. Ale daleko im do gestapo. Nie mogą wyważać drzwi i przeszukiwać miejsc bez nakazu.

— DeVasher może — zauważył Ray.

— Tak, tylko że mamy w tej okolicy milion drzwi. Ustawią blokady na drogach i będą obserwowali każdy sklep i każdą restaurację. Porozmawiają

z każdym recepcjonistą w każdym hotelu, pokażą zdjęcie policyjne Raya. Rozleżą się jak mrówki na kilka dni, ale jeśli dopisze nam szczęście, nie trafią na nas.

— Do czego zmierzasz, Mitch? — zapytał Ray.

— Ciężarówka U-Haul.

— Nie rozumiem, dlaczego od razu nie zapakujemy tyłków do tej ciężarówki i stąd nie spieprzymy. Przecież samochód stoi niecałe dwa kilometry dalej przy drodze, aż się prosi, żeby go znaleźć, a my wiemy, że oni się zbliżają. Radziłbym zwiewać.

— Posłuchaj, Ray, w tej chwili mogą ustawiać blokady drogowe. Zaufaj mi. Wyciągnąłem cię z więzienia? Daj spokój.

Na drodze zawyła syrena. Zamarli bez ruchu, słuchając, jak się oddala i wreszcie cichnie.

— No dobra, bando — powiedział Mitch. — Spadamy stąd. Nie podoba mi się to miejsce. Parking jest pusty i znajduje się zbyt blisko autostrady. Ciężarówkę zaparkowałem trochę dalej przy eleganckim motelu Sea Gull's Rest. Mam tam dwa urocze pokoje. Karaluchy są znacznie mniejsze. Pójdziemy na leniwy spacer po plaży. Potem trzeba będzie rozładować ciężarówkę. Brzmi ekscytująco?

# Rozdział 37

W piątek przed wschodem słońca Joey Morolto i jego grupa szturmowa wylądowali wycarterowanym DC-9 na lotnisku w Pensacoli. Lazarov czekał z dwoma limuzynami i ośmioma wynajętymi furgonetkami. Zaczął relacjonować Joeyowi wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin, gdy konwój wyjechał z Pensacoli i podążał autostradą numer 98. Po godzinnym zapoznawaniu go z sytuacją dojechali do dwunastopiętrowego bloku mieszkalnego o nazwie Sandpiper pośrodku nadmorskiej promenady w Destin, godzinę jazdy od Panama City Beach. Penthouse na ostatnim piętrze został wynajęty przez Lazarova za jedyne cztery tysiące dolarów tygodniowo. Stawka poza sezonem. Pozostałe jedenaście pięter wynajęto dla zbirów.

Pan Morolto wyszczeniwał rozkazy niczym przejęty rolę sierżant od musztry. Stanowisko dowodzenia utworzono w największym pokoju z widokiem na spokojną szmaragdową wodę. Morolto nic nie pasowało. Chciał śniadania, więc Lazarov wysłał dwie furgonetki do pobliskiego supermarketu. Chciał McDeere'a, ale w tym przypadku Lazarov prosił go o cierpliwość.

Gdy nastał dzień, oddziały rozlokowały się w mieszkaniach w bloku i czekały.

Pięć kilometrów dalej plażą, skąd widać było Sandpiper, F. Denton Voyles i Wyane Tarrance siedzieli na balkonie na ósmym piętrze hotelu Hilton w Sandestin. Pili kawę, patrzyli na wschód słońca nad horyzontem i omawiali strategię. Noc nie minęła najlepiej. Samochodu nie odnaleziono.

Mitcha też nie. Sześćdziesięciu agentów FBI i setki miejscowych policjantów przeszukiwało wybrzeże, więc powinni przynajmniej natknąć się na wóz. McDeere'owie oddalali się z każdą godziną.

W teczce leżącej na stoliku znajdowały się nakazy aresztowania. Ray McDeere był oskarżony o ucieczkę, napad i gwałt. Grzech Abby polegał jedynie na współudziale. Zarzuty wobec Mitcha wymagały trochę większej wyobraźni. Utrudnianie działania wymiaru sprawiedliwości, bliżej niesprecyzowane wymuszenie pieniędzy. I oczywiście, zawsze trzymane w zanadrzu na takie okazje, oszustwa pocztowe. Tarrance nie był pewny, czy oszustwa pocztowe w ogóle do tego pasują, ale pracował dla FBI i nigdy nie spotkał przypadku, który by ich nie zawierał.

Nakazy zostały wydane i leżały gotowe, pokazano je też dziesiątkom dziennikarzy prasowych i telewizyjnych z redakcji na całym Południowym Wschodzie. Wyszkolony do zachowywania kamiennej twarzy i gardzący prasą Tarrance doskonale bawił się ich kosztem.

Nagłośnienie sprawy było konieczne i miało decydujące znaczenie. Funkcjonariusze państwowi muszą znaleźć McDeere'ów, zanim zrobi to mafia.

Rick Acklin przebiegł przez pokój i wpadł na balkon.

— Znaleźli samochód! — oznajmił.

Tarrance i Voyles zerwali się na równe nogi.

— Gdzie?

— W Panama City Beach. Na parkingu przy budowie.

— Wezwij naszych ludzi, wszystkich co do jednego!

— krzyknął Voyles. — Niech przerwą poszukiwania w innych miejscach.

Chcę mieć wszystkich agentów w Panama City. Przewróćmy to miejsce do góry nogami. Załatw, ilu zdołasz, miejscowych policjantów. Każ im ustawić blokady na wszystkich autostradach, szosach, zwirowych podjazdach

prowadzących z miasta i do miasta. Sprawdźcie odciski palców w tym samochodzie. Jak to miasto wygląda?

— Podobne do Destin. Dwudziestokilometrowy pas wzdłuż plaży z hotelami, motelami, apartamentami i tak dalej — odpowiedział Acklin.

— Niech nasi ludzie zaczną chodzić od motelu do motelu, od drzwi do drzwi. Czy portret pamięciowy Abby jest gotowy?

— Powinien być — odpowiedział Acklin.

— Dopilnuj, żeby jej portret pamięciowy, portret pamięciowy Mitcha, portret pamięciowy Raya i zdjęcie Raya trafiły do rąk każdego agenta i gliniarza. Chcę, żeby ludzie chodzili w tę i z powrotem po promenadzie i machali tymi pieprzonymi portretami.

— Tak jest.

— Jak daleko jest Panama City Beach?

— Mniej więcej piętnaście minut jazdy na wschód.

— Sprowadź mój samochód.

• • •

W Perdido Beach telefon obudził Aarona Rimmera w pokoju w Hiltonie. Dzwonił śledczy z biura szeryfa okręgu Baldwin. Znaleźli samochód, panie Rimmer, powiedział, w Panama City Beach. Zaledwie kilka minut temu. Niecałe dwa kilometry od Holiday Inn. Przy autostradzie numer 98. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej dziewczyny. Mam nadzieję, że dochodzi do siebie, dodał.

Pan Rimmer podziękował i natychmiast zadzwonił do Lazarova, do Sandpiper. Dziesięć minut później on i jego współlokator Tony, DeVasher oraz czternastu pozostałych pędziło na wschód. Od Panama City Beach dzieliły ich trzy godziny drogi.

W Destin Lazarov postawił na nogi grupę szturmową. Wyszli bardzo

szybko, załadowali się do furgonetek i ruszyli na wschód. *Blitzkrieg* właśnie się zaczął.

• • •

Tylko minuty dzieliły ciężarówkę U-Haul od zmiany w trefny samochód. Zastępcą kierownika w firmie wynajmującej auta w Nashville był facet o nazwisku Billy Weaver. W piątek otworzył biuro wcześniej rano, zrobił sobie kawę i przejrzał gazetę. Na dole pierwszej strony Billy przeczytał z zainteresowaniem doniesienie o wyczynach Raya McDeere'a i poszukiwaniach na całym wybrzeżu. Wspomniano tam również o Abby. I o bracie zbiega Mitchu McDeerze. To nazwisko coś mu mówiło.

Billy otworzył szufladę i przerzucił formularze klientów, którzy wydawali mu się co najmniej dziwni. No jasne, mężczyzna o nazwisku McDeere wynajął w środę późnym wieczorem niewielką ciężarówkę. M.Y. McDeere, głosił podpis, ale na prawie jazdy było napisane Mitchell Y. z Memphis.

Jako prawdziwy patriota i płatnik podatków Billy zadzwonił do kuzyna pracującego w policji. Ten powiadomił biuro FBI w Nashville i piętnaście minut później ciężarówka U-Haul stała się trefna.

Tarrance odebrał radiotelefon, podczas gdy Acklin prowadził. Voyles siedział z tyłu. U-Haul? Po co mu ciężarówka? Wyjechał z Memphis bez własnego samochodu, ubrań, butów, a nawet szczoteczki do zębów. Zostawił głodnego psa. Niczego ze sobą nie zabrał, więc dlaczego ciężarówka?

Dokumenty Bendiniego, rzecz jasna. Albo wyjechał z Nashville z papierami na ciężarówce, albo jedzie nią dokądś, żeby je zabrać. Ale dlaczego Nashville?

• • •

Mitch wstał równo ze słońcem. Posłał długie pożądliwe spojrzenie żonie z uroczymi blond włosami i postanowił zapomnieć o seksie. To może poczekać. Pozwolił jej spać. Przeszedł przez mały pokój obok stosów pudeł i wszedł do łazienki. Szybko wziął prysznic i włożył szary dres kupiony w Wal-Marcie w Montgomery. Przebiegł plażą kilometr, aż znalazł sklep. Kupił zgrzewkę coli, kilka ciastek, chipsy, okulary przeciwsłoneczne, czapki i trzy gazety.

Kiedy wrócił, Ray czekał na niego przy ciężarówce. Rozłożyli gazety na łóżku Raya. Było gorzej, niż się spodziewali. W Mobile, Pasadenie i Montgomery na pierwszych stronach widniały artykuły z portretami pamięciowymi Raya i Mitcha razem ze zdjęciem policyjnym Raya. Portretu pamięciowego Abby nie opublikowano, jak informowała gazeta z Pensacoli, bo go nie udostępniono.

Jak to przy portretach pamięciowych, w niektórych szczegółach się zgadzały, w innych były zupełnie chybione. Trudno jednak zachować przy nich obiektywność. Cholera, Mitch wpatrywał się we własny portret i usiłował bezstronnie ocenić, na ile jest bliski prawdy. W artykułach zamieszczono całe mnóstwo chaotycznych wypowiedzi Wayne'a Tarrance'a, agenta specjalnego FBI. Tarrance powiedział, że Mitchell McDeere był widziany w okolicach Gulf Shores — Pensacola. Wiadomo, że on i Ray są uzbrojeni po zęby i stanowią wyjątkowe zagrożenie, że przysięgli nie poddać się żywcem, że szykowane są już pieniądze na nagrodę, że jeśli ktokolwiek widział jakiegoś mężczyznę, który choćby w niewielkim stopniu był podobny do któregoś z braci McDeere'ów, powinien natychmiast zadzwonić na policję.

Zjedli ciastka i uznali, że portrety pamięciowe nie są zbyt wierne. A zdjęcie z policyjnej kartoteki wydało im się komiczne. Przeszli do pokoju obok i obudzili Abby. Zaczęli rozpakowywać papiery Bendiniego i ustawili



kamerę wideo.

O dziewiątej Mitch zadzwonił do Tammy na jej koszt. Miała nowe dokumenty i paszporty. Polecił jej, żeby wysłała je FedExem na nazwisko Sama Fortune'a do odbioru w recepcji motelu Sea Gull's Rest, numer posesji 16694 przy autostradzie 98, West Panama City Beach na Florydzie. Przeczytała mu artykuł z pierwszej strony miejscowej gazety o nim i jego małej bandzie. Nie było tam żadnych portretów pamięciowych.

Poprosił ją, żeby wysłała paszporty, a potem wyjechała z Nashville. Ma jechać cztery godziny do Knoxville, zameldować się w jakimś dużym motelu i zadzwonić do niego do pokoju 39 w Sea Gull's Rest. Podał jej numer.

• • •

Dwóch agentów FBI zapukało do starej zdezelowanej przyczepy kempingowej z numerem 486 w San Luis. Pan Ainsworth podszedł do drzwi w bieliźnie. Błysznieli legitymacjami.

— Czego ode mnie chcecie? — warknął.

Jeden z agentów podał mu poranną gazetę.

— Zna pan tych dwóch mężczyzn?

Wpatrywał się w kartkę.

— To chyba chłopaki mojej żony. Nigdy ich nie poznałem.

— A jak się nazywa pańska żona?

— Ida Ainsworth.

— Gdzie teraz jest?

Pan Ainsworth nadal oglądał papier.

— W pracy. W Waffle Hut. Tu pisze, że oni są gdzieś w pobliżu, co?

— Tak, proszę pana. Nie widział ich pan?

— Nie, do diabła. Ale wyciągnę pistolet.

— Czy pańska żona ich widziała?

— O ile wiem, to nie.

— Dziękujemy, panie Ainsworth. Mamy polecenie obserwowania tego miejsca, ale nie będziemy się panu naprzykrzali.

— I dobrze. Te chłopaki są szurnięte. Zawsze to powtarzałem.

Niecałe dwa kilometry dalej inna para agentów zaparkowała dyskretnie obok Waffle Hut i przystąpiła do obserwacji.

• • •

W południe wszystkie autostrady i wiejskie drogi na wybrzeżu wokół Panama City Beach były zablokowane. Wzdłuż Strip gliniarze zatrzymywali samochody co sześć kilometrów. Chodzili od jednego sklepu z pamiątkami do następnego i pokazywali portrety pamięciowe. Przypinali je do tablic ogłoszeniowych w Shoney's, Pizza Hut, Taco Bell i w dziesiątkach innych miejsc z fast foodem. Mówili kasjerkom i kelnerkom, żeby miały oczy szeroko otwarte i wypatrywały McDeere'ów. Bo to bardzo niebezpieczni przestępcy.

Lazarov i jego ludzie założyli obóz w Best Western, trzy kilometry od Sea Gull's Rest. Lazarov wynajął tam wielką salę konferencyjną i zmienił ją w punkt dowodzenia. Jego cztery oddziały zostały wysłane do sklepów z pamiątkami. Wróciły z najróżniejszymi ubraniami dla turystów, czapkami i słomkowymi kapeluszami. Wynajął dwa fordy escorty i wyposażył je w podsłuch radiotelefonów policyjnych. Samochody patrolowały wybrzeże i podsłuchiwały niekończącą się gadaninę. Informacja o poszukiwaniu ciężarówki została natychmiast przechwycona. Włączyli się do poszukiwań. DeVasher strategicznie ustawił wynajęte furgonetki wzdłuż Strip. Nie wzbudzając podejrzeń, stały na wielkich parkingach, a ich pasażerowie czekali przy radiotelefonach.

Około czternastej Lazarov odebrał telefon od pracownika piątego piętra

w Domu Bendiniego. Dwie sprawy. Po pierwsze, człowiek węszący na Kajmanach odnalazł starego ślusarza, który, gdy mu zapłacono, przypomniał sobie, że około północy pierwszego kwietnia dorobił jedenaście kluczy. Jedenaście kluczy na dwóch kółkach. Powiedział, że zleciła to kobieta, bardzo atrakcyjna Amerykanka, brunetka o ładnych nogach, która zapłaciła gotówką i bardzo się spieszyła. Powiedział, że dorobienie kluczy było łatwe, poza kluczykiem do mercedesa, którego nie był pewny. Po drugie, dzwonił bankier z Kajmanów. W czwartek o dziewiątej trzydzieści trzy rano dziesięć milionów dolarów zostało przelanych z Royal Bank of Montreal do Southeastern Bank w Nashville.

• • •

Między szesnastą a szesnastą trzydzieści policyjne radiotelefony oszalały. Paplanina trwała bez przerwy. Recepcjonistka z Holiday Inn rozpoznała Abby jako kobietę, która zapłaciła gotówką za dwa pokoje o czwartej siedemnaście rano w czwartek. Zapłaciła za trzy noce, ale nie widziano jej od chwili, gdy pokoje były sprzątane koło trzynastej w czwartek. Najwyraźniej nikt nie spał w obu pokojach w czwartkową noc. Nie wymeldowała się, a pokoje zostały opłacone do południa w sobotę. Recepcjonistka nie widziała jej współnika. Przez godzinę w Holiday Inn roiło się od gliniarzy, agentów federalnych i zbirów Morolto. Tarrance osobiście przesłuchał recepcjonistkę.

Są tam! Gdzieś w Panama City Beach. Obecność Abby i Raya została potwierdzona. Podejrzewano, że Mitch do nich dołączył, ale tego nie dawało się potwierdzić. Aż do szesnastej pięćdziesiąt osiem w piątkowe popołudnie.

Sensacja. Funkcjonariusz okręgu podjechał do taniego motelu i zauważył szaro-białą maskę ciężarówki. Przeszedł między dwoma budynkami i uśmiechnął się na widok niewielkiej ciężarówki U-Haul sprytnie ukrytej pomiędzy jednopiętrowym budynkiem z pokojami do wynajęcia i wielkim

kontenerem na śmieci. Zapisał numery i zadzwonił, żeby je sprawdzić.

Pasowały! Motel został otoczony w ciągu pięciu minut. Właściciel wybiegł z recepcji i zażądał wyjaśnień. Patrzył na portrety pamięciowe i kręcił głową. Pięć odznak FBI błysnęło mu przed twarzą, a wtedy natychmiast nabrał ochoty na współpracę.

W eskorcie ponad dziesięciu agentów wziął klucze i ruszył od drzwi do drzwi. Czterdzieści osiem pokoi.

Tylko siedem było zajętych. Właściciel wyjaśnił, otwierając kolejne drzwi, że to czas zastoju w Beachcomber Inn. Wszystkie mniejsze motele balansują na granicy zamknięcia aż do Dnia Pamięci, jak im tłumaczył.

Nawet w Sea Gull's Rest, sześć kilometrów dalej, też ledwo wiążą koniec z końcem.

• • •

Andy Patrick po raz pierwszy został skazany w wieku dziewiętnastu lat i odsiedział cztery miesiące za sfałszowanie czeków. Uznany za oszusta, nie potrafił zająć się uczciwą pracą i przez następne dwadzieścia lat bez powodzenia popełniał drobne przestępstwa. Jeździł po całym kraju, kradnąc w sklepach, tu i tam fałszując чеки i włamując się do domów. Niski, wątki, nieskory do przemocy mężczyzna. Kiedy miał dwadzieścia siedem lat, w Teksasie pobił go ciężko gruby, arogancki funkcjonariusz. Stracił wtedy oko i cały szacunek dla prawa.

Sześć miesięcy wcześniej wylądował w Panama City Beach i znalazł uczciwe zajęcie, płatne cztery dolary za godzinę. Pracował na nocną zmianę w recepcji Sea Gull's Rest. Koło dwudziestej pierwszej w piątek oglądał telewizję, kiedy spasiony i bezczelny policjant wtoczył się przez drzwi.

— Mamy polowanie na człowieka — oznajmił, kładąc portrety pamięciowe i policyjne zdjęcie na brudnym kontuarze. — Szukamy tych

ludzi. Uważamy, że są gdzieś w tej okolicy.

Andy wpatrywał się w portrety. Obrazek przedstawiający Mitchella Y. McDeere'a wyglądał znajomo. Trybiki w jego mózgu oszusta zaczęły się obracać.

Jednym okiem popatrzył na grubego, aroganckiego funkcjonariusza i powiedział:

— Nie widziałem ich. Ale będę czujny.

— Są niebezpieczni — ostrzegł gliniarz.

To ty jesteś niebezpieczny, pomyślał Andy.

— Przypnij je do ściany — polecił policjant.

A co, jesteś właścicielem tego cholernego miejsca? — pomyślał Andy.

— Bardzo przepraszam, ale nie mam pozwolenia na przypinanie czegokolwiek do ścian.

Funkcjonariusz zeszywniał, pokiwał na boki wielką głową i spojrział na Andy'ego przez ciemne okulary.

— Posłuchaj, głupku, ja ci pozwalam.

— Bardzo przepraszam, ale nie mogę powiesić niczego na ścianach, chyba że szef każe mi to zrobić.

— A gdzie jest twój szef?

— Nie wiem. Prawdopodobnie w jakimś barze.

Policjant wziął ostrożnie portrety, przeszedł za kontuar i przypiął je do tablicy ogłoszeń. Kiedy skończył, popatrzył groźnie na Andy'ego i powiedział:

— Wrócę za parę godzin. Jeśli je zdejmiesz, aresztuję cię za utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości.

Andy nawet nie mrugnął.

— To nie przejdzie. Zamknęli mnie za to raz w Kansas i teraz wiem o tym wszystko — odparował.

Tłuste policzki funkcjonariusza zmieniły kolor na czerwony, zazgrzytał zębami.

— Taki jesteś cwany, co, dupku?

— Tak, proszę pana.

— Zdejmiesz je, a ja obiecuję, że trafisz do więzienia pod jakimkolwiek pretekstem.

— Już tam byłem i uważam, że to nic takiego.

Ciszę na Strip zakłóciły czerwone światła i syreny, policjant odwrócił się i obserwował powstałe zamieszanie. Wymamrotał coś i wytoczył się przez drzwi. Andy wyrzucił portrety pamięciowe do kosza na śmieci. Patrzył przez kilka minut na samochody mijające się powoli na ulicy, a potem ruszył przez parking do budynku znajdującego się na tyłach. Zapukał do pokoju numer trzydzieści osiem.

Odczekał chwilę i zapukał jeszcze raz.

— Kto tam? — zapytała kobieta.

— Kierownik zmiany — odpowiedział Andy, dumny ze swojego tytułu.

Drzwi się otworzyły i wysunął się z nich mężczyzna bardzo podobny do portretu Mitchella Y. McDeere'a.

— Słucham, o co chodzi?

Był zdenerwowany, Andy od razu to zauważył.

— Przed chwilą byli tu gliniarze, wie pan, co mam na myśli?

— Czego chcieli?

Dobrać ci się do tyłka, pomyślał Andy.

— Zadawali pytania i pokazywali obrazki. Widziałem te obrazki, wie pan.

— Aha — mruknął Mitch.

— Bardzo dobre obrazki — dodał Andy.

Pan McDeere wpatrywał się w Andy'ego naprawdę intensywnie.

— Gliniarz powiedział, że jeden z nich uciekł z więzienia — ciągnął Andy. — Wie pan, co mam na myśli? Sam byłem w więzieniu i moim zdaniem wszyscy powinni stamtąd uciekać. Wie pan?

Pan McDeere uśmiechnął się, ale raczej nerwowo.

— Jak się pan nazywa? — zapytał.

— Andy.

— Mam dla ciebie propozycję umowy, Andy. Dam ci teraz tysiąc dolarów i następny tysiąc rano, jeśli nie będziesz w stanie rozpoznać kogokolwiek. Tyle samo za każdy następny dzień.

Wspaniała umowa, pomyślał Andy, ale skoro może zarobić tysiąc dolarów dziennie, może równie dobrze zarobić pięć tysięcy dziennie. Taka szansa nie trafiała się co dzień.

— Nic z tego — odpowiedział. — Pięć tysięcy dziennie.

Pan McDeere nawet się nie zawahał.

— Umowa stoi. Pójdę po pieniądze. — Wszedł do pokoju i wrócił z plikiem banknotów.

— Pięć tysięcy za dzień, Andy, taką mamy umowę?

Andy wziął pieniądze i się rozejrzał. Później je przeliczył.

— Domyślam się, że wolałby pan, żeby pokojówki wam nie przeszkadzały?

— Świetny pomysł. To byłoby miłe.

— To kolejne pięć tysięcy — oznajmił Andy.

Pan McDeere tym razem jakby się zawahał.

— W porządku, mamy następną umowę. Jutro rano przyjdzie do mnie do motelu przesyłka FedExu na nazwisko Sam Fortune. Przyniesiesz mi ją i będziesz trzymał pokojówki z daleka od nas, a ja dam ci wtedy kolejne pięć tysięcy.

— Nie da rady. Pracuję na nocną zmianę.

— W porządku, Andy. A co byś powiedział na pracę przez cały weekend, dwadzieścia cztery godziny na dobę, trzymanie pokojówek z dala i przyniesienie mi tej paczki? Możesz zrobić coś takiego?

— Jasne. Mój szef to pijus. Bardzo by chciał, żebym pracował przez cały weekend.

— Ile za to chcesz, Andy?

Kuj żelazo póki gorące, pomyślał Andy.

— Następne dwadzieścia tysięcy.

Pan McDeere się uśmiechnął.

— Załatwione.

Andy wykrzywił się w uśmiechu i włożył pieniądze do portfela. Odszedł, nie mówiąc już ani słowa, a Mitch wrócił do pokoju.

— Kto to był? — zapytał nerwowo Ray.

Mitch uśmiechnął się i wyjrzał przez rozchyloną żaluzję w oknie.

— Wiedziałem, że kiedyś musi nastąpić jakiś przełom, żeby nam się udało. I myślę, że właśnie nastąpił.



## Rozdział 38

Pan Morolto miał na sobie czarny garnitur i czerwony krawat. Siedział u szczytu plastikowego stołu konferencyjnego w sali konferencyjnej Best Western przy Strip. Dwadzieścia krzeseł zajęli jego najlepsi i najbystrzejsi ludzie. Przy wszystkich czterech ścianach stało jeszcze więcej lojalnych oprychów. Choć byli to zabójcy o potężnych karkach, którzy wykonywali swoją robotę skutecznie i bez wyrzutów sumienia, wyglądali teraz jak klauni w kolorowych koszulach, wzorzystych szortach i zadziwiająco różnorodnych słomianych kapeluszach i czapkach. Morolto uśmiechnąłby się, widząc, jak głupkowato wyglądają, ale powaga sytuacji sprawiła, że nie było mu do śmiechu. Słuchał.

Tuż obok niego po prawej stronie siedział Lou Lazarov, po lewej zaś DeVasher i wszystkie uszy w niewielkim pomieszczeniu wsłuchiwały się w każde słowo, gdy tych dwóch uzupełniało nawzajem swoje relacje.

— Są tutaj. Wiem, że tu są — powiedział DeVasher teatralnie, uderzając otwartymi dłońmi o blat przy każdej sylabie. Ten mężczyzna miał wycucie rytmu.

Lazarov: — Zgadzam się. Oni tu są. Dwoje przyjechało samochodem, jeden ciężarówką. Znaleźliśmy oba porzucone pojazdy pełne ich odcisków palców. Tak, oni tu są.

DeVasher: — Ale dlaczego Panama City Beach? To nie ma sensu.

Lazarov: — Po pierwsze, on tu już kiedyś był. Przyjechał tu na Boże Narodzenie, pamiętasz? Zna to miejsce, więc pewnie pomyślał, że mając do dyspozycji takie mnóstwo tanich moteli przy plaży, bez trudu ukryje się na

jakiś czas. Prawdę mówiąc, to nie jest głupi pomysł. Ale szczęście nie do końca mu dopisuje. Jak na uciekiniera ma ze sobą za dużo bagażu, choćby brata, którego wszyscy chcą dorwać. I żonę. I ciężarówkę pełną dokumentów, jak przypuszczamy. Skoro musi uciekać, zabiera wszystkich, którzy go kochają. Potem jego brat gwałci dziewczynę, jak im się wydaje, i nagle każdy gliniarz w Alabamie i na Florydzie ich szuka. Naprawdę pech, prawdziwy pech.

— Co z jego matką? — zapytał Morolto.

Lazarov i DeVasher skinęli głowami temu wspaniałemu człowiekowi, przyjmując do wiadomości to inteligentne pytanie.

Lazarov: — Nic, to czysty przypadek. To bardzo prosta kobiecina, która serwuje wafle w cukierni i nic nie wie. Obserwujemy ją od chwili, gdy tu przyjechaliśmy.

DeVasher: — Zgadza się. Nie nawiązali żadnego kontaktu.

Morolto pokiwał inteligentnie głową i zapalił papierosa.

Lazarov: — Zatem jeśli tu są, a my wiemy, że tu są, to federalni i gliniarze też wiedzą, że tu są. Mamy sześćdziesięciu ludzi, a oni setki. A więc przewaga jest po ich stronie.

— Jesteście pewni, że ta trójka trzyma się razem? — zapytał Morolto.

DeVasher: — Absolutnie. Wiemy, że kobieta i więzień zameldowali się tej samej nocy w Perdido, że opuścili to miejsce i trzy godziny później ona zameldowała się tutaj, w Holiday Inn, zapłaciła gotówką za dwa pokoje, a potem wynajęła samochód, na którym są też jego odciski palców. Wiemy, że Mitch w środę wynajął ciężarówkę w Nashville, że przelał dziesięć milionów z naszych pieniędzy do banku w Nashville w czwartek rano i najwyraźniej wziął dupę w troki. Ciężarówka została znaleziona tutaj cztery godziny temu. Tak, proszę pana, są razem.

Lazarov: — Jeśli wyjechał z Nashville zaraz po dokonaniu przelewu,

dotarłby tutaj nocą. Znaleziona ciężarówka U-Haul była pusta, więc musieli ją rozładować gdzieś tutaj, a potem ukryć. To nastąpiło prawdopodobnie później tej samej nocy, w czwartek. Należy jednak pamiętać, że od czasu do czasu muszą spać. Myślę, że zostali tutaj na noc, planując, że dzisiaj wyjadą. Ale obudzili się dziś rano, ich twarze są w gazetach, gliniarze latają dookoła, wpadając na siebie, i nagle wszystkie drogi zostały zablokowane. Tkwią tu w pułapce.

DeVasher: — Żeby się stąd wydostać, muszą pożyczyć, wynająć albo ukraść samochód. W żadnej z wypożyczalni w tych okolicach nie ma po nich śladu. Ona wynajęła samochód w Mobile na swoje nazwisko, Mitch zaś ciężarówkę w Nashville. Na prawdziwe dokumenty. Stąd prosty wniosek, że nie są aż tak cholernie cwani.

Lazarov: — Najwyraźniej nie mają lewych papierów. Jeśli wynajęliby tu samochód, zrobiliby to pod prawdziwym nazwiskiem. A na to brak dowodów.

Pan Morolto machnął ręką sfrustrowany.

— W porządku, w porządku. Więc są tutaj. Jesteście geniuszami. Jestem z was bardzo dumny. I co teraz?

Kolej DeVashera: — Federalni stoją nam na drodze. Prowadzą poszukiwania, a nam nie pozostaje nic innego, jak siedzieć i czekać.

Lazarov: — Dzwoniłem do Memphis. Wszyscy wtajemniczeni pracownicy firmy już tu jadą. Naprawdę dobrze znają Mitcha i jego żonę, więc rozstawimy ich na plaży, w restauracjach i hotelach. Może oni coś zauważą.

DeVasher: — Moim zdaniem są w jednym z tych małych moteli. Mogli podać fałszywe nazwiska, zapłacić gotówką i nikt niczego nie podejrzewał. Te miejsca mają teraz bardzo niewielu gości. Tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś ich zauważy. Zameldowali się w Holiday Inn,

ale nie zostali tam długo. Założę się, że przenieśli się dalej na Strip.

Lazarov: — Po pierwsze, pozbędziemy się federalnych i gliniarzy. Jeszcze o tym nie wiedzą, ale zaczną przemieszczać się ze swoim cyrkiem dalej. Potem wczesnie rano zaczniemy pukać do wszystkich drzwi w małych motelach. Większość z tych nor ma mniej niż pięćdziesiąt pokoi. Wyobrażam sobie, że dwóch naszych ludzi dałoby radę przeszukać jedno takie miejsce w pół godziny. Wiem, że to będzie mozolne zajęcie, ale nie możemy tak po prostu siedzieć z założonymi rękami. Może kiedy gliniarze się wyniosą, McDeere'owie trochę się odprężą i popełnią błąd.

— To znaczy, że chcesz, żeby nasi ludzie sprawdzali pokoje w motelach?  
— upewnił się pan Morolto.

DeVasher: — Nie ma takiego sposobu, żebyśmy otworzyli wszystkie drzwi, ale trzeba spróbować.

Pan Morolto wstał i rozejrzał się po sali.

— A co z wodą? — zapytał, zwracając się do Lazarova i DeVashera.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie zupełnie zbici z tropu tym pytaniem.

— Woda! — wrzasnął Morolto. — Co z wodą?

Wszyscy rozglądali się desperacko, a potem jak jeden mąż spojrzeli na Lazarova.

— Przepraszam pana, ale nie rozumiem — wybąkał DeVasher.

Pan Morolto pochylił się nad Lazarovem.

— A co z wodą, Lou? Jesteśmy na plaży, prawda? Jest tu łódź i autostrady, kolej i lotniska z jednej strony, a z drugiej woda i łódzie. Skoro drogi są zablokowane, a lotniska i kolej nie wchodzą w grę, dokąd, twoim zdaniem, mogli się skierować? Wydaje się oczywiste, że spróbują znaleźć łódź i wymknąć się po zmierzchu. To ma sens, nie uważacie, chłopcy?

Wszyscy obecni w pokoju kiwali energicznie głowami. DeVasher odezwał się pierwszy:

— Dla mnie ma sens jak jasna cholera.

— Wspaniale — powiedział pan Morolto. — Więc gdzie są nasze łodzie?

Lazarov zerwał się z miejsca i zaczął wyszczekiwać rozkazy swoim pomagierom.

— Idźcie do doków! Wynajmijcie na dzisiejszy wieczór i na cały dzień jutro każdą łódź, jaką się da. Zapłaćcie, ile będą chcieli. Nie odpowiadajcie na żadne pytania, po prostu płąćcie, i tyle. Posadźcie naszych ludzi na tych łodziach i zacznijcie patrolować morze tak szybko, jak się da. Trzymajcie się w promieniu półtora kilometra od brzegu.

• • •

Tuż przed dwudziestą trzecią w piątek Aaron Rimmer stał przy kasie na całodobowej stacji benzynowej Texaco w Tallahassee i płacił za piwo korzenne oraz czterdzieści pięć litrów benzyny. Potrzebował też drobnych na telefon. Na zewnątrz, obok myjni samochodowej, przekartkował książkę telefoniczną i zadzwonił na miejscowy posterunek policji. Sprawa była pilna. Wyjaśnił, o co mu chodzi, więc dyżurny połączył go z kapitanem zmiany.

— Niech pan posłucha! — Rimmer mówił podniesionym głosem. — Jestem teraz na stacji Texaco i pięć minut temu widziałem tych przestępców, których wszyscy teraz szukają! Wiem, że to byli oni!

— Jacy przestępcy? — zapytał kapitan.

— McDeere'owie. Dwóch mężczyzn i kobieta. Wyjechałem z Panama City Beach niecałe dwie godziny temu i widziałem ich zdjęcia w gazecie. Potem zatrzymałem się tutaj, żeby zatankować, i zobaczyłem ich.

Rimmer powiedział, gdzie dokładnie jest, i czekał tylko trzydzieści sekund na pojawienie się pierwszego radiowozu z błyskającymi niebieskimi kogutami. Bardzo szybko po nim przyjechał drugi, a potem trzeci i czwarty. Posadzili Rimmera na przednim fotelu i zawieźli go do South Precinct.

Kapitan i niewielki tłumek czekali już na niego zdenerwowani. Rimmer został odprowadzony w eskorcie niczym jakaś osobistość do pokoju kapitana, gdzie na biurku leżały trzy portrety pamięciowe i zdjęcie policyjne.

— To oni! — krzyknął. — Dopiero co ich widziałem, nie minęło nawet dziesięć minut. Byli w zielonym fordzie pick-upie z rejestracją z Tennessee. Ciągnęli za sobą długą przyczepę z U-Haul, taką na dwie ośki.

— Gdzie pan dokładnie był? — zapytał kapitan. Reszta gliniarzy spijała słowa z jego ust.

— Tankowałem benzynę z dystrybutora numer cztery, zwykłą, bezołowiową, kiedy oni wjechali na parking. Wyglądali naprawdę podejrzanie. Postawili samochód z dala od dystrybutorów, a kobieta wysiadła i weszła do środka. — Wziął do ręki portret Abby i wpatrywał się w niego. — Tak. To ona. Bez wątpienia. Włosy ma o wiele krótsze i jasne. Bardzo szybko była z powrotem, ale niczego nie kupiła. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej i biegiem wsiadła do samochodu. Skończyłem tankowanie, więc poszedłem do kasy. W chwili gdy otwierałem drzwi, przejechali obok mnie w odległości pół metra. Widziałem całą trójkę.

— Kto prowadził? — zapytał kapitan.

Rimmer wpatrywał się w zdjęcie Raya.

— Nie on. Ten drugi. — Wskazał portret Mitcha.

— Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy? — odezwał się sierżant.

Rimmer nosił przy sobie trzy zestawy dokumentów. Podał sierżantowi prawo jazdy wystawione w Illinois, z jego zdjęciem i nazwiskiem Frank Temple.

— W jakim kierunku pojechali? — zapytał kapitan.

— Na wschód.

W tej samej chwili, mniej więcej sześć kilometrów od nich, Tony Verkler odwiesił słuchawkę automatu telefonicznego, uśmiechnął się do siebie

i wrócił do Burger Kinga.

Kapitan rozmawiał przez telefon, sierżant spisywał dane z prawa jazdy Rimmera/Temple'a, a kilku podekscytowanych gliniarzy paplało, gdy do pokoju wbiegł policjant.

— Właśnie odebrałem telefon! Znowu ich widziano. W Burger Kingu na wschód od miasta. Ta sama informacja. Cała trójka w zielonym fordzie pick-upie z przyczepą U-Haul. Facet nie chciał podać nazwiska, ale powiedział, że widział ich portrety pamięciowe w gazecie. Powiedział, że podjechali do okienka na wynos, kupili trzy zestawy i odjechali.

— To muszą być oni! — powiedział kapitan, szeroko się uśmiechając.

• • •

Szeryf okręgu Bay popijał mocną kawę ze styropianowego kubka i trzymał nogi w czarnych butach z cholewami na stole konferencyjnym w Sali Karaibskiej hotelu Holiday Inn. Agenci FBI wchodzili i wychodzili, pili kawę i szeptem przekazywali sobie najnowsze informacje. Bohater szeryfa, we własnej osobie, dyrektor F. Denton Voyles, siedział przy stole i studiował z trzema podwładnymi plan miasta. Aż trudno to sobie wyobrazić, Denton Voyles w okręgu Bay! W pomieszczeniu panował ruch jak w ulu. Policjanci z Florydy wpadali i wypadali, radiotelefony i telefony dzwoniły i podrygiwały na prowizorycznym stanowisku dowodzenia w rogu. Policjanci z trzech miast wałęsali się w pobliżu, bardzo przejęci pościgiem, niepewnością i pojawieniem się agentów FBI. I Voylesa.

Przez drzwi wpadł jak burza jeden z funkcjonariuszy. Oczy miał wielkie i błyszczące z podniecenia.

— Przed chwilą odebrałem telefon z Tallahassee! Mają dwie pozytywne identyfikacje z ostatnich piętnastu minut! Cała trójka w zielonym fordzie pick-upie z rejestracją z Tennessee!

Voyles odłożył plan miasta i podszedł do policjanta.

— Gdzie ich widziano?

W pokoju zapadła cisza, słyhać było tylko dzwonki telefonów.

— Pierwszy raz w sklepie na stacji benzynowej Texaco. Drugi raz sześć kilometrów dalej w Burger Kingu. Podjechali do okienka na wynos. Obaj świadkowie nie mieli wątpliwości, że to oni.

Voyles odwrócił się do szeryfa.

— Proszę zadzwonić do Tallahassee i to potwierdzić, szeryfie. Jak to daleko stąd?

Czarne buty uderzyły o podłogę.

— Półtorej godziny. Prosto autostradą międzystanową numer dziesięć.

Voyles wskazał palcem Tarrance'a. Obaj przeszli do niewielkiego pokoju służącego za bar. W pokoju dowodzenia znów słyhać było stłumiony gwar.

— Jeśli te informacje są prawdziwe, marnujemy tutaj czas — powiedział Voyles do Tarrance'a.

— Tak jest. Brzmiało to przekonująco. Gdyby chodziło o pojedynczą identyfikację, mogłaby pochodzić od jakiegoś wariata albo nadgorliwca, ale dwie, i to tak blisko siebie, brzmią cholernie wiarygodnie.

— Jakim cudem, do cholery, udało im się stąd wydostać?

— To na pewno ta kobieta, szefie. Pomaga McDeere'owi od miesiąca. Nie wiem, kim jest ani gdzie ją znalazł, ale ona nas obserwuje i przekazuje mu wszystkie potrzebne informacje.

— Myślisz, że jest z nimi?

— Wątpię. Prawdopodobnie znajduje się niedaleko, poza terenem działań, i jest przez niego instruowana.

— On jest genialny, Wayne. Planował to od miesięcy.

— Najwyraźniej.

— Wspominałeś przy jakiejś okazji o Bahamach.



— Tak jest. Milion dolców, który mu zapłaciliśmy, został przelany do banku we Freeport. Powiedział mi później, że pieniądze nie były tam długo.

— Myślisz, że właśnie tam może się kierować?

— Kto wie? To oczywiste, że musi wydostać się z kraju.

Rozmawiałem dzisiaj z naczelnikiem więzienia. Powiedział mi, że Ray McDeere mówi płynnie pięcioma albo sześcioma językami. Mogą jechać dokądkolwiek.

— Moim zdaniem powinniśmy się stąd wycofać — powiedział Voyles.

— Niech zablokują drogi wokół Tallahassee. Nie ujadą zbyt daleko, skoro mamy dobry opis samochodu. Do rana powinniśmy ich mieć.

— Chcę, żeby wszyscy gliniarze ze środkowej Florydy w ciągu godziny znaleźli się na autostradach. Wszędzie blokady na drogach. Każdy ford pick-up ma być przeszukany, jasne? Nasi ludzie zaczekają tutaj do świtu, a potem zbieramy manatki.

— Tak jest — odpowiedział Tarrance z grymasem zmęczenia na twarzy.

• • •

Wiadomość o identyfikacji w Tallahassee rozeszła się po wybrzeżu lotem błyskawicy. Panama City Beach odetchnęło. McDeere'owie odjechali. Z siebie tylko wiadomych powodów uciekali w głąb lądu. Widziani i rozpoznani, nie raz, ale dwa razy, byli teraz gdzie indziej i pędzili desperacko ku nieuchronnej konfrontacji jedną z autostrad pogrążonych w mroku.

Gliniarze z całego wybrzeża wrócili do domów. Kilka blokad zostało na drogach przez resztę nocy w okręgach Bay i Gulf. Godziny przed świtem niczym się nie wyróżniały. Oba końce Strip pozostały zamknięte. Policjanci sprawdzali tam każdemu prawo jazdy. Drogi prowadzące z miasta na północ stały otworem. Poszukiwania przeniosły się na wschód.

• • •

Na przedmieściach Oscali na Florydzie, niedaleko Silver Springs, przy autostradzie numer 40 Tony Verkler wyszedł powoli ze sklepu 7-Eleven i włożył ćwierćdolarówkę do automatu telefonicznego. Zadzwoił na posterunek policji w Oscali z pilnym doniesieniem, że właśnie widział trójkę przestępców, których wszyscy szukają w Panama City Beach. McDeere'ów! Powiedział, że dzień wcześniej zobaczył ich podobizny w gazecie, kiedy przejeżdżał przez Pensacole, a teraz ma ich przed oczami. Dyspozytor poinformował go, że wszystkie patrole są na miejscu paskudnego wypadku i w związku z tym zapytał, czy byłby tak uprzejmy i przyjechał na posterunek, żeby złożyć pisemne oświadczenie. Tony odpowiedział, że bardzo się spieszy, ale ponieważ to chyba ważne, będzie za minutę.

Kiedy się tam zjawił, komendant czekał na niego w podkoszulku i dżinsach. Oczy miał opuchnięte i przekrwione, włosy potargane. Zaprowadził go do gabinetu i podziękował za to, że przyjechał. Notował, gdy Tony wyjaśniał, że tankował benzynę przed 7-Eleven, kiedy przed sklepem zajeżdżał zielony ford pick-up z przyczepą U-Haul, a potem wysiadła z niego kobieta i zadzwoniła gdzieś z automatu. Tony powiedział, że jest w drodze z Mobile do Miami i w Panama City dowiedział się o poszukiwaniach zbiegów. Czytał gazety, słuchał radia i wiedział wszystko o trójce McDeere'ów. W każdym razie wszedł do środka, żeby zapłacić za benzynę, i pomyślał, że gdzieś już widział tę kobietę. I wtedy przypomniał sobie o portrecie w gazetach. Podeszedł do stojaka z magazynami przy frontowej szybie, skąd miał dobry widok na mężczyzn. Jego zdaniem nie było wątpliwości. Kobieta odwiesiła słuchawkę, wróciła do pick-upu i odjechali. Zielony pick-up z rejestracją z Tennessee.

Komendant podziękował mu i zadzwonił do biura szeryfa okręgu Marion. Tony się pożegnał i wrócił do samochodu, w którym Aaron Rimmer spał na

tylnym fotelu.

Ruszyli na północ w kierunku Panama City Beach.

## Rozdział 39

Sobota, siódma rano. Andy Patrick popatrzył na wschód i na zachód wzdłuż Strip, a potem przeszedł szybko przez parking do pokoju numer 39. Zapukał delikatnie.

Po dłuższej chwili kobiecy głos zapytał:

— Kto tam?

— Kierownik — odpowiedział.

Drzwi się otworzyły i mężczyzna podobny do portretu pamięciowego Mitchella Y. McDeere'a wyślizgnął się na zewnątrz. Włosy miał teraz bardzo krótkie i przefarbowane na złoty blond. Andy wpatrywał się w niego.

— Dzień dobry, Andy — powiedział miłym tonem, rozglądając się jednocześnie po parkingu.

— Dzień dobry. Zastanawiałem się właśnie, czy jeszcze tu jesteście.

Pan McDeere skinął głową i nie przestawał patrzeć na parking.

— To znaczy, w telewizji mówią, że zeszłej nocy przejechaliście przez połowę Florydy.

— Tak, oglądaliśmy to. Pogrywają sobie, prawda, Andy?

Andy kopnął kamyk leżący na chodniku.

— W telewizji mówili, że wczoraj w nocy trzy osoby was rozpoznały. W trzech różnych miejscach. Pomyślałem, że to trochę dziwne. Byłem tu przez całą noc, pracowałem, siedziałem w recepcji, tak że wszystko miałem na oku, ale nie widziałem, żebyście odjeżdżali. Przed wschodem słońca poszedłem na drugą stronę drogi do kawiarni, o tam, jak zawsze. W środku byli gliniarze. Usiadłem blisko nich. Zgodnie z tym, co mówili, poszukiwania

w tej okolicy zostały przerwane. Stwierdzili, że agenci federalni wynieśli się zaraz po ostatniej informacji o tym, że ktoś was widział dziś rano około czwartej. Większość innych gliniarzy też wyjechała. Mają blokować Strip do południa, a potem zlikwidować blokadę. Krążą plotki, że pomaga wam ktoś z zewnątrz i próbujecie dotrzeć na Bahamy.

McDeere słuchał uważnie i nie spuszczał oczu z parkingu.

— Co jeszcze mówili?

— Ciągłe gadali o ciężarówce U-Haul pełnej ukradzionych rzeczy i o tym, jak ją znaleźli, ale była pusta, i o tym, że nikt nie ma pojęcia, jak załadowaliście te ukradzione rzeczy na przyczepę i wymknęliście się z miasta tuż pod ich nosem. Są pod dużym wrażeniem, to prawda. Rzecz jasna nie odezwałem się słowem, ale domyślam się, że to ta sama ciężarówka, którą pan tu przyjechał w czwartek w nocy.

Pan McDeere był głęboko zamyślony i nic nie odpowiedział. Nie wyglądał na zdenerwowanego. Andy uważnie wpatrywał się w jego twarz.

— Pan chyba nie jest z tego zbyt zadowolony — stwierdził Andy. — To znaczy z tego, że gliniarze wyjeżdżają i poszukiwania zostały odwołane. A to przecież dobrze, co nie?

— Mogę ci coś powiedzieć, Andy?

— Jasne.

— Teraz jest bardziej niebezpiecznie niż przedtem.

Andy zastanawiał się nad tym przez dobrą minutę, a potem zapytał:

— Jakim cudem?

— Gliniarze chcieli mnie po prostu aresztować, Andy. Ale są ludzie, którzy chcą mnie zabić. Zawodowi zabójcy. Bardzo wielu. I nadal tu są.

Andy zmrużył zdrowe oko i wpatrywał się w McDeere'a. Zawodowi zabójcy! Tutaj? Na Strip? Andy cofnął się o krok. Chciał zapytać, kim dokładnie są i z jakiego powodu go ścigają, ale wiedział, że niewiele się

dowie. Dostrzegł w tym okazję dla siebie.

— Dlaczego nie uciekniecie?

— Uciec? Jak moglibyśmy uciec?

Andy kopnął następny kamyk i wskazał głową w kierunku pontiaca bonneville z 1971 roku zaparkowanego za recepcją.

— Cóż, moglibyście skorzystać z mojego samochodu. Weszlibyście do bagażnika, cała trójka, a ja wywiózłbym was z miasta. Nie wygląda pan na bankruta, więc moglibyście potem wsiąść do samolotu i zniknąć. Ot tak.

— A ile by mnie to kosztowało?

Andy wpatrywał się we własne stopy i drapał za uchem. Facet jest prawdopodobnie ćpunem, pomyślał, a pudła są prawdopodobnie pełne kokainy i gotówki. I prawdopodobnie ścigają go Kolumbijczycy.

— To byłoby bardzo drogie, rozumie pan. To znaczy w tej chwili za pięć tysięcy dziennie jestem jedynie niewinnym pracownikiem motelu, który nie jest zbyt spostrzegawczy. W niczym nie biorę udziału, rozumie pan. Ale jeśli was stąd wywozę, stanę się współnikiem, będzie mi groziło więzienie i tego typu bzdety, przez które już przeszedłem. Więc to będzie bardzo drogie.

— Ile, Andy?

— Sto tysięcy.

Pan McDeere nawet nie mrugnął okiem ani się nie skrzywił. Jego twarz była bez wyrazu. Wpatrywał się przez plażę w ocean. Andy natychmiast się zorientował, że sprawa nie jest niemożliwa.

— Zastanowię się nad tym, Andy. Tymczasem miej oczy otwarte. Teraz, kiedy nie ma już gliniarzy, zabójcy wkroczą do akcji. To może być bardzo niebezpieczny dzień, Andy, a ja potrzebuję twojej pomocy. Jeśli zobaczysz w okolicy kogoś podejrzanego, od razu do nas zadzwoń. Nie mamy zamiaru opuszczać tych pokoi, rozumiesz?

Andy wrócił do recepcji. Każdy głupek wskoczyłby do bagażnika

i zwiewał. Chodzi o pudła ze skradzionymi rzeczami. To dlatego nie chcą wyjeżdżać.

McDeere'owie zjedli śniadanie składające się z czerstwych ciastek i ciepłej coli. Ray marzył o zimnym piwie, ale kolejna wyprawa do sklepu była zbyt ryzykowna. Jedli szybko i oglądali poranne wiadomości. Od czasu do czasu lokalna stacja telewizyjna z wybrzeża pokazywała ich portrety pamięciowe. W pierwszej chwili wystraszyło ich to, ale potem przywykli.

Kilka minut po dziewiątej w sobotę Mitch wyłączył telewizor i wrócił na miejsce między pudłami na podłodze. Podniósł stertę dokumentów i skinął do Abby, operatorki kamery. Kontynuował zeznanie.

• • •

Lazarov zaczekał, aż pokojówki zaczną pracę, a potem rozesłał oddziały wzdłuż Strip. Pracowali parami, pukali do drzwi, zaglądali do okien i przemykali ciemnymi korytarzami. Większość niewielkich moteli zatrudniała dwie lub trzy pokojówki, które znały każdy pokój i każdego gościa. Procedura była prosta i w większości przypadków skuteczna. Zbir Lazarova znajdował pokojówkę, dawał jej sto dolarów i pokazywał portrety pamięciowe. Jeśli się wzbraniała, dodawał kolejne banknoty, aż zaczynała współpracować. Jeśli nikogo nie rozpoznawała, pytał ją, czy zauważyła ciężarówkę U-Haul albo pokój pełen tekturowych pudeł, albo dwóch mężczyzn i kobietę, którzy zachowywali się podejrzanie lub byli wystraszeni, albo cokolwiek niezwykłego. Kiedy okazywało się, że pokojówka nie jest w żaden sposób pomocna, pytał, które pokoje są zajęte i wtedy do nich pukał.

Zaczynajcie od pokojówek, polecił Lazarov. Wchodźcie od strony plaży. Trzymajcie się z daleka od recepcji. Udawajcie gliniarzy. A kiedy już natraficie na zwierzynę, zabijcie i znajdźcie telefon.

DeVasher rozlokował cztery wynajęte furgonetki przy Strip niedaleko

autostrady. Lamar Quin, Kendall Mahan, Wally Hudson i Jack Aldrich siedzieli, udając kierowców, i przyglądali się każdemu pojazdowi, który ich mijał. Przylecieli w środku nocy prywatnym samolotem razem z dziesięcioma innymi pracownikami Bendiniego, Lamberta i Locke'a. W sklepach z pamiątkami i kawiarniach byli przyjaciele i koledzy Mitcha McDeere'a mieszały się z tłumem turystów i w skrytości ducha mieli nadzieję, że go nie zobaczą. Wspólników odwołano z lotnisk i późnym rankiem spacerowali po plażach, sprawdzali baseny i hotelowe lobby. Nathan Locke został z panem Morolto, ale reszta wspólników przebrała się w czapki do golfa i okulary przeciwsłoneczne i słuchała rozkazów generała DeVashera. Brakowało tylko Avery'ego Tollesona. Nie odezwał się od chwili wyjścia ze szpitala. Wliczając trzydziestu trzech prawników, pan Morolto dysponował setką ludzi biorących udział w jego prywatnym polowaniu.

• • •

W motelu Blue Tide stróż wziął sto dolarów, popatrzył na portrety pamięciowe i powiedział, że chyba widział kobietę i jednego z mężczyzn wynajmujących dwa pokoje w czwartek wczesnym wieczorem. Wpatrywał się w podobiznę Abby i nabrał przekonania, że to była ona. Wziął trochę więcej pieniędzy i poszedł do recepcji, żeby sprawdzić jej meldunek. Wrócił z informacją, że kobieta zameldowała się jako Jackie Nagel i zapłaciła gotówką za dwa pokoje od czwartku do soboty. Wziął jeszcze więcej pieniędzy i dwóch bandziorów poszło za nim do tych pokoi. Zapukał do drzwi obu. Żadnej reakcji. Otworzył je i wpuścił nowych przyjaciół do środka, żeby je obejrzeni. Z pokoi nie korzystano w piątkową noc. Jeden z ludzi zadzwonił do Lazarova i już po pięciu minutach DeVasher myszkował po obu pokojach, szukając wskazówek. Niczego nie znalazł, ale poszukiwania ograniczono natychmiast do sześciokilometrowego pasa plaży



między Blue Tide i Beachcomber, gdzie znaleziono ciężarówkę U-Haul.

Furgonetki podwiozły oddziały na bliższą odległość. Wspólnicy i pracownicy wyższego szczebla przeczesywali plaże i restauracje. A zabójcy pukali do drzwi.

• • •

Andy podpisał kwit FedExu o dziesiątej trzydzieści pięć i obejrzał paczkę dla Sama Fortune'a. Została wysłana przez Doris Greewood, która podała adres 4040 Poplar Avenue, Memphis w stanie Tennessee. Był pewny, że przesyłka jest cenna, i przez chwilę zastanawiał się nad jeszcze jednym zyskiem. Ale jej dostarczenie było już w umowie. Poparzył na oba końce Strip i wyszedł z paczką z recepcji.

Po latach robienia uników i chowania się Andy podświadomie nauczył się chodzić szybko w cieniu, blisko rogów, nigdy po otwartej przestrzeni. Kiedy minął róg z zamiarem przejścia przez parking, zauważył dwóch facetów pukających do pokoju numer dwadzieścia jeden. Na szczęście był wolny, a on natychmiast nabrał podejrzeń. Mieli na sobie zupełnie niedopasowane białe szorty sięgające im niemal do kolan, choć trudno było powiedzieć, gdzie kończą się nogawki, a zaczynają białe jak śnieg nogi. Jeden włożył do tego ciemne skarpetki i znoszone mokasyny. Drugi nosił tanie sandały, które najwyraźniej były bardzo niewygodne. Mieli nalane twarze, a na głowach białe panamy.

Po sześciu miesiącach przy Strip Andy bez trudu rozpoznawał fałszywych turystów. Ten, który pukał do drzwi, uderzył w nie ponownie, a kiedy to robił, Andy dostrzegł wybrzuszenie na plecach — pistolet zatknięty za pasek szortów.

Szybko i bardzo cicho się wycofał. Wrócił do recepcji. Zadzwoił do pokoju numer trzydzieści dziewięć i poprosił o Sama Fortune'a.

— Mówi Sam.

— Sam, tu Andy z recepcji. Nie wyglądam przez okno, ale jest tam dwóch podejrzanych facetów pukających do drzwi po drugiej stronie parkingu.

— To gliniarze?

— Bardzo wątpię. Nie zgłosili się do recepcji.

— Gdzie są pokojówki? — zapytał Sam.

— Nie przyjdą do jedenastej w sobotę.

— Świetnie. Zgasimy światło. Obserwuj ich i zadzwoń, kiedy odejdą.

Przez ciemne okno Andy patrzył na mężczyzn, którzy pukali i czekali. Od czasu do czasu im otwierano. Jedenaście z czterdziestu dwóch pokoi było wynajętych. Nikt nie zareagował w 38 i 39. Wrócili na plażę i zniknęli. Zawodowi zabójcy! W jego motelu.

Po drugiej stronie Strip, na parkingu należącym do miniaturowego boiska szkoły golfa, Andy spostrzegł dwóch identycznych fałszywych turystów rozmawiających w człowiekiem w białej furgonetce. Wskazywali rękami tu i tam i najwyraźniej się kłócili.

Zadzwoił do Sama.

— Posłuchaj, Sam, już poszli. Ale to miejsce jest pełne takich ludzi.

— Ilu?

— Widzę jeszcze dwóch po drugiej stronie Strip. Lepiej byłoby dla was, gdybyście zwiali.

— Spokojnie, Andy. Nie zobaczą nas, jeśli tu zostaniemy.

— Ale nie możecie przecież zostać na zawsze. Mój szef niedługo się zorientuje.

— Niedługo wyjedziemy, Andy. Co z paczką?

— Już tu jest.

— Świetnie. Chcę ją zobaczyć. Poza tym, Andy, co z jedzeniem? Mógłbyś przejść się na drugą stronę i kupić coś ciepłego?

Andy był kierownikiem, a nie chłopcem na posyłki, ale za pięć tysięcy dolarów dziennie w Sea Gull's Rest można było zorganizować niewielki room service.

— Jasne, będę za minutę.

• • •

Wayne Tarrance chwycił telefon i padł w poprzek pojedynczego łóżka w Ramada Inn w Orlando. Był wykończony, wściekły, zdezorientowany i miał dość F. Dentona Voylesa. Dochodziła trzynasta trzydzieści w sobotę. Dzwonił do Memphis. Sekretarka nie miała dla niego żadnych wiadomości poza tym, że dzwoniła Mary Alice i chciała z nim rozmawiać. Namierzyli, że dzwoniła z budki telefonicznej w Atlancie. Mary Alice powiedziała, że zadzwoni o czternastej, żeby sprawdzić, czy Wayne — nazwała go Wayne — już się zameldował. Tarrance podał numer swojego pokoju i się rozłączył. Mary Alice. W Atlancie. McDeere'owie w Tallahassee, następnie w Oscali. A potem ani śladu po McDeere'ach. Żadnego zielonego pick-upu z rejestracją z Tennessee i przyczepą. Mitch znowu zniknął.

Telefon zadzwonił tylko raz. Tarrance powoli podniósł słuchawkę.

— Mary Alice — powiedział cicho.

— Wayne, kochanie! Jak się tego domyśliłeś?

— Gdzie on jest?

— Kto? — Tammy zachichotała.

— McDeere. Gdzie on jest?

— Cóż, Wayne, przez chwilę byliście blisko niego, chłopcy, ale potem puściliście się w pogoń za widmem. Teraz nawet nie jesteś blisko. Przykro mi to mówić.

— W ciągu ostatnich czternastu godzin został trzykrotnie rozpoznany.

— Lepiej dobrze to sprawdź, Wayne. Mitch powiedział mi przed kilkoma

minutami, że nigdy nie był w Tallahassee. Nigdy nie słyszał o Oscali. Nigdy nie prowadził zielonego forda pick-upu. Nigdy nie ciągnął za sobą przyczepy U-Haul. Trafiliście kulą w płot, chłopcy. Haczyk, żyłka i ciężarek.

Tarrance pomasaował nasadę nosa i oddychał ciężko.

— A jak tam Orlando? — zapytała. — Masz zamiar odwiedzić Disney World, skoro już jesteś w tym mieście?

— Gdzie on jest, do cholery!?

— Wayne, Wayne, uspokój się, kochanie. Dostaniesz te dokumenty.

Tarrance usiadł.

— W porządku, kiedy?

— Cóż, moglibyśmy okazać się chciwi i zażądać reszty naszych pieniędzy. Dzwonię z budki, Wayne, więc nie kłopotz się namierzaniem telefonu, dobrze? Ale nie jesteśmy chciwi. Dostaniesz swoje dowody w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Gdzie są te dokumenty?

— Zadzwoń jeszcze do ciebie, kochanie. Jeśli zostaniesz pod tym numerem, będę dzwoniła co cztery godziny, aż Mitch powie mi, gdzie są te papiery. Ale, Wayne, jeżeli nie będziesz pod tym numerem, mogę cię zgubić, kochanie. Więc tam zostań.

— Będę tutaj. Czy on nadal jest w kraju?

— Wątpię. Jestem pewna, że o tej porze dotarł już do Meksyku. Jego brat mówi ich językiem, wiesz?

— Wiem. — Tarrance wyciągnął się na łóżku i pomyślał, że ma to gdzieś. Mogą sobie być w Meksyku pod warunkiem, że on dostanie dokumenty.

— Zostań tam, gdzie jesteś, kochanie. Zdrzemnij się. Musisz być zmęczony. Zadzwoń około siedemnastej albo osiemnastej.

Tarrance odstawił telefon na szafkę nocną i zasnął.

• • •

Polowanie straciło rozpęd w sobotnie popołudnie, kiedy policja w Panama City Beach dostała czwartą skargę od właścicieli moteli. Policjanci zostali wysłani do motelu Breakers, którego poirytowany właściciel powiedział, że jacyś uzbrojeni mężczyźni nachodzą jego gości. Jeszcze więcej gliniarzy wysłano na Strip i nie minęło dużo czasu, a zaczęli rozglądać się po motelach w poszukiwaniu uzbrojonych facetów rozpytujących o McDeere'ów. Wybrzeże znalazło się na skraju wojny.

Zmęczeni i wściekli ludzie DeVashera zostali zmuszeni do pracy w pojedynkę. Rozproszyli się wzdłuż plaży i przestali pukać do kolejnych drzwi. Padli na plastikowe fotele wokół basenów i obserwowali pojawiających się i odchodzących turystów. Leżeli na plaży, unikając słońca, na ile to było możliwe, chowali się za ciemnymi okularami i wpatrywali w przechodzących ludzi.

Gdy zapadł zmierzch, armia bandziorów, łobuzów, zabójców i prawników przyczaiła się w ciemności i czekała. Jeżeli McDeere'owie mają zamiar się ruszyć, na pewno zrobią to nocą. Milcząca armia była gotowa na spotkanie z nimi.

Grube przedramiona DeVashera spoczęły na balustradzie balkonu jego pokoju w Best Western. Ta pozycja nie była wygodna. Patrzył na pustą plażę poniżej, gdy słońce chowało się powoli za horyzontem. Przez rozsuwane szklane drzwi wszedł Aaron Rimmer i stanął za DeVasherem.

— Znaleźliśmy Tollesona — oznajmił.

DeVasher ani drgnął.

— Gdzie?

— Ukrywał się w mieszkaniu kochanki w Memphis.

— Był sam?

— Tak. Załatwili go. Postarali się, żeby wyglądało to na rabunek.

• • •

W pokoju numer trzydzieści dziewięć Ray po raz setny oglądał nowe paszporty, wizy, prawa jazdy i akty urodzenia. Zdjęcia w paszportach Mitcha i Abby były aktualne, mieli na nich całe mnóstwo ciemnych włosów. Po ucieczce czas zajmie się kolorem blond. Zdjęcie Raya było lekko przerobionym portretem Mitcha z albumu wydziału prawa na Harvardzie, z długimi włosami, z kilkudniowym zarostem i surowym wyrazem twarzy studenta. Po uważnym przyjrzeniu się widać było, że oczy, nos i kości policzkowe są podobne, ale nic poza tym. Dokumenty wystawiono na nazwiska Lee Stevensa, Rachel James i Sama Fortune'a, wszystkie z tym samym adresem w Murfreesboro w Tennessee. Doc wykonał dobrą robotę. Ray uśmiechał się, studiując dokumenty jeden po drugim.

Abby zapakowała kamerę do pudełka. Statyw został złożony i stał oparty o ścianę. Czternaście kaset wideo z nalepionymi etykietami leżało na telewizorze.

Po szesnastu godzinach nagrywanie zeznania dobiegło końca. Zaczynając od pierwszej kasy: Mitch stanął przed obiektywem, uniósł prawą rękę i przysięgł mówić prawdę. Ustawił się obok toaletki, dokumenty pokrywały całą podłogę wokół niego. Korzystając z notatek Tammy, podsumowań i diagramów, najpierw metodycznie mówił o dokumentach bankowych. Zidentyfikował ponad dwieście pięćdziesiąt potajemnych kont w jedenastu bankach na Kajmanach. Niektóre miały nazwiska właścicieli, w większości jednak były to konta numeryczne. Posługując się kopiami wydruków komputerowych, odtwarzał historię tych kont. Depozyty gotówkowe, przelewy i podejmowanie pieniędzy. Na dole każdego dokumentu, którego użył w zeznaniu, napisał czarnym markerem inicjały MM, a potem numer dowodu: MM1, MM2, MM3 i tak dalej. Po dokumencie MM1485 wykazał istnienie dziewięciuset milionów dolarów ukrywanych w bankach na

Kajmanach.

Na podstawie dokumentów bankowych zrekonstruował skrupulatnie kawałek po kawałku strukturę całego imperium. W ciągu dwudziestu lat Morolto i ich niewiarygodnie bogaci i niewiarygodnie skorumpowani prawnicy założyli na Kajmanach ponad czterysta korporacji. Wiele firm posiadało w całości lub w części siebie nawzajem i wykorzystywało banki jako autoryzowanych przedstawicieli, których adres był jednocześnie ich stałym adresem. Mitch szybko się zorientował, że ma tylko część dokumentów, i spekulował przed kamerą, że większość papierów jest ukryta w piwnicy w Memphis. Wyjaśnił również dla dobra ławy przysięgłych, że niewielkiej armii kontrolerów z urzędu skarbowego potrzebny byłby mniej więcej rok, by poskładać w całość korporacyjną układankę Morolto. Omawiał powoli każdy dowód, oznaczał go bardzo starannie i odkładał. Abby stała za kamerą. Ray obserwował parking i oglądał fałszywe paszporty.

Mitch przez sześć godzin opowiadał o najróżniejszych metodach stosowanych przez Morolto i ich prawników, by zmienić brudne pieniądze w czyste. Nietrudno było ustalić, że najbardziej ulubioną metodą było przywiezienie brudnej gotówki samolotem Bendiniego, zwykle z dwoma lub trzema prawnikami na pokładzie, żeby uzasadnić czymś podróż. W sytuacji gdy narkotyki były na dużą skalę przemycane lądem, powietrzem i morzem, amerykańscy celnicy niezbyt interesowali się tym, co opuszczało kraj. Była to idealna sytuacja. Samolot leciał brudny, a wracał czysty. Kiedy pieniądze znalazły się już na Kajmanach, jeden z prawników wręczał wymagane opłaty kajmańskim celnikom i odpowiednim bankierom. Przy niektórych transportach nawet dwadzieścia pięć procent ich wartości szło na łapówki.

Raz zdeponowane pieniądze, najczęściej na kontach numerycznych, bez nazwiska, stawały się prawie niemożliwe do wytropienia. Niemniej wiele transakcji bankowych zbiegało się aż nazbyt dziwnym trafem z ważnymi

działaniami korporacji. Pieniądze deponowano zazwyczaj na jednym z dziesiątków kont numerycznych. Albo na „superkontach”, jak nazwał je Mitch. Podał ławie przysięgłych numery tych kont i nazwy banków. Potem, gdy zakładano nowe korporacje, pieniądze były przelewane z superkont na konta danej firmy, często w tym samym banku. Kiedy brudne pieniądze stawały się własnością korporacji legalnie działającej na Kajmanach, zaczynało się pranie. Najprostszą i najczęstszą metodą było dokonywanie przez firmę zakupu nieruchomości i innych czystych aktywów na terenie Stanów Zjednoczonych. Transakcje przeprowadzali bardzo pomysłowi prawnicy od Bendiniego, Lamberta i Locke'a, a wszystkie pieniądze przekazywano przelewami. W bardzo wielu przypadkach jedna kajmańska korporacja kupowała inną kajmańską korporację, która była akurat właścicielem panamskiej korporacji posiadającej firmę holdingową w Danii. Duńczycy kupowali na przykład fabrykę łożysk kulkowych w Toledo i przelewali pieniądze za zakup z zależnego od nich banku w Monachium. I tak brudne pieniądze stawały się czyste.

Po oznaczeniu dowodu MM4292 Mitch przerwał zeznanie. Uznał, że szesnaście godzin mówienia wystarczy. Tarrance i jego kołesie będą mogli pokazać taśmy ławie przysięgłych i postawić w stan oskarżenia co najmniej trzydziestu prawników z kancelarii Bendiniego. Będzie mógł też pokazać te taśmy w sądzie federalnym i uzyskać nakaz przeszukania.

Mitch ze swej strony dotrzymał wszystkich warunków umowy. Choć nie będzie na tyle blisko, żeby osobiście zeznawać w sądzie, dostał tylko milion dolarów, a przekazał znacznie więcej, niż oczekiwano. Czuł się wypompowany fizycznie i emocjonalnie. Usiadł na brzegu łóżka. Światło nadal było zgaszone. Abby siedziała na fotelu, zamknęła oczy.

Ray zerkał przez szpary w żaluzjach.

— Przydałoby się nam zimne piwo — powiedział.



— Zapomnij o tym — rzucił krótko Mitch.

Ray odwrócił się i wpatrywał w niego.

— Odpręż się, braciszku. Jest ciemno, a do sklepu to tylko krótki spacer plażą. Sam potrafię o siebie zadbać.

— Zapomnij o tym, Ray. Nie ma powodu, żeby ryzykować. Wyjeżdżamy za kilka godzin i jeśli wszystko dobrze pójdzie, będziesz miał całe życie na raczenie się piwem.

Ray go nie słuchał. Założył bejsbolówkę, nasunął ją nisko na czoło, wrzucił do kieszeni trochę gotówki i sięgnął po pistolet.

— Ray, błagam, daj sobie chociaż spokój z bronią — prosił Mitch.

Ray zatknął pistolet za pasek i wyszedł. Szedł szybko po piasku za małymi motelami i sklepami, krył się w cieniu i marzył o zimnym piwie. Zatrzymał się za sklepem spożywczym, rozejrzał i nabrał pewności, że nikt go nie obserwuje, a potem wszedł do środka frontowymi drzwiami. Lodówka z piwem znajdowała się na tyłach.

Na parkingu przy Strip Lamar Quin ukrył się pod wielkim słomianym kapeluszem i ucinał sobie pogawędkę z jakimiś nastolatkami z Indiany. Widział, jak Ray wchodzi do sklepu, i pomyślał, że kogoś mu przypomina. Było coś w sposobie chodzenia tego mężczyzny, coś niejasno znajomego. Lamar podszedł do frontowego okna i zerknął w kierunku lodówki z piwem. Oczy mężczyzny były zasłonięte ciemnymi okularami, ale nos i kości policzkowe na pewno gdzieś widział. Lamar wszedł do niewielkiego sklepu i wziął torebkę chipsów. Czekał w kolejce do kasy i znalazł się twarzą w twarz z facetem, który nie był Mitchem McDeere'em, ale był bardzo do niego podobny.

To Ray. Musi być. Twarz miał opaloną, a włosy zbyt krótkie, żeby można było je uznać za modnie ostrzyżone. Ciemne okulary. Ten sam wzrost. Ta sama waga. Ten sam sposób chodzenia.

— Jak leci? — zapytał mężczyznę.

— Świetnie, a panu? — Głos też był podobny.

Lamar zapłacił za chipsy i wrócił na parking. Spokojnie wyrzucił torebkę do kosza na śmieci obok budki telefonicznej i szybko wszedł do znajdującego się trochę dalej sklepu z pamiątkami, żeby kontynuować poszukiwania McDeere'ów.

## Rozdział 40

Zmrok przyniósł zimną bryzę na plażę przy Strip. Słońce szybko zaszło, a nie było widać księżyca, który by je zastąpił. Wysoko w górze niegroźne chmury pokrywały całe niebo, woda zrobiła się czarna.

Ciemność przyciągnęła wędkarzy na molo Dana Russella pośrodku Strip. Zbierali się w grupach po trzech, czterech wzdłuż betonowego deptaka i patrzyli w milczeniu na żyłki zagłębiające się w atramentowej wodzie sześć metrów niżej. Opierali się o balustradę i trwali w bezruchu, spluwali czasami albo gawędzili z przyjaciółmi. Bardziej cieszyli się z bryzy, ciszy i gładkiej wody niż ze z rzadka złapanej ryby, która zaryzykowała i połknęła haczyk. Byli urlopowiczami z Północy, którzy spędzali ten sam tydzień każdego roku w tym samym motelu i przychodzili na molo każdego wieczoru po zmroku, żeby łowić ryby i zachwycać się morzem. Pomędzy nimi stały wiaderka z przynętą i niewielkie przenośne lodówki pełne piwa.

Od czasu do czasu w ciągu nocy na molo zapuszczali się zakochani albo ludzie niemający z wędkarstwem nic wspólnego i spacerem szli sto metrów do jego końca. Patrzyli przez kilka minut na czarną, spokojną wodę, a potem wracali, żeby podziwiać miliony błyskających światełek na Strip. Przyglądali się obojętnym na wszystko, zgarbionym wędkarzom, opartym łokciami o balustradę. Ci nawet ich nie zauważali.

Nie zwrócili też żadnej uwagi na Aarona Rimmera, kiedy przeszedł wolno za ich plecami około dwudziestej trzeciej. Palił papierosa na końcu molo i wyrzucił peta do oceanu. Przyglądał się plaży i tysiącom okien pokoi w motelach i apartamentach.

• • •

Z trzech takich atrakcji turystycznych w Panama City Beach molo Dana Russella było najdalej położone na zachód. Było też najnowsze, najdłuższe i jedyne zbudowane w całości z betonu; pozostałe dwa, znacznie starsze, były drewniane. Pośrodku stał na nim niewielki budynek z cegły, w którym mieścił się sklep ze sprzętem wędkarskim, bar szybkiej obsługi i toalety. W nocy tylko toalety były otwarte.

Molo znajdowało się w odległości mniej więcej kilometra od Sea Gull's Rest. O dwudziestej trzeciej trzydzieści Abby wyszła z pokoju, minęła brudny basen i zaczęła iść na wschód wzdłuż plaży. Była ubrana w szorty, biały słomkowy kapelusz i wiatrówkę z podniesionym kołnierzykiem zakrywającym uszy. Szła powoli, z rękami głęboko w kieszeniach, jak doświadczony, skłonny do rozmyślań zbieracz tego, co wyrzuciło morze. Pięć minut później pokój opuścił Mitch, minął brudny basen i ruszył jej śladem. Idąc, wpatrywał się w ocean. Z przeciwnej strony nadbiegli dwaj biegacze, rozchlapywali wodę i rozmawiali, dysząc. Mitch miał na szyi gwizdek powieszony na sznurku, schowany pod czarną bawełnianą koszulą, tak na wszelki wypadek. Do wszystkich czterech kieszeni upchnął sześćdziesiąt tysięcy w gotówce. Patrzył na ocean i nerwowo zerkał na Abby idącą przed nim. Kiedy przeszedł już plażę prawie dwieście metrów, Ray wyszedł z pokoju po raz ostatni. Zamknął go i zatrzymał klucz. Wokół talii miał owinięte dwanaście metrów czarnej nylonowej liny. Za nią zatknął pistolet. Obszerna wiatrówka doskonale wszystko zakrywała. Andy wziął od nich kolejne dwa tysiące za ubrania i inne rzeczy.

Ray minął basen i znalazł się na plaży. Obserwował Mitcha i ledwo widział Abby. Plaża świeciła pustkami.

Dochodziła północ w sobotę i większość wędkarzy zeszła już z molo i pojawi się na nim dopiero następnej nocy. Abby spostrzegła trzech

najwytrwalszych, stojących blisko siebie obok toalet. Przeszła spokojnie obok nich i dotarła do końca molo, gdzie oparła się o betonową balustradę i zapatrzyła na rozległą czerń zatoki. Jak daleko sięgał wzrok, widać było rozrzucone chaotycznie czerwone światelka boi. Na wschodzie białe i niebieskie światła kanałów tworzyły równe linie. Na horyzoncie pobłyskiwało żółte światelko jakiejś łodzi. Abby stała samotnie na końcu molo.

Mitch opadł na leżak pod zamkniętym parasolem w pobliżu wejścia na molo. Nie widział Abby, ale miał za to wspaniały widok na ocean. Piętnaście metrów dalej Ray przysiadł w ciemności na ceglany murku, kopiąc stopami piasek. Czekali. Sprawdzili godzinę.

Dokładnie o północy Abby rozpięła nerwowo wiatrówkę i odwiązała dużą latarkę. Spojrzała na wodę poniżej i mocno zacisnęła dłoń na obudowie. Oparła ją o brzuch, osłoniła połą wiatrówki, wycelowała w morze i zaświeciła nią trzy razy. Zapalona, zgaszona. Zapalona, zgaszona. Zapalona, zgaszona. Zielona żarówka błysnęła trzykrotnie. Abby trzymała mocno latarkę i wpatrywała się w ocean.

Żadnej reakcji. Odczekała całą wieczność i po dwóch minutach znów błysnęła latarką, trzy razy. Żadnej reakcji. Nabrała głęboko powietrza i powiedziała do siebie: „Zachowaj spokój, Abby, zachowaj spokój. On gdzieś tam jest”. Zapaliła latarkę kolejne trzy razy. Potem czekała. Żadnej reakcji.

Mitch siedział na brzegu leżaka i z niepokojem obserwował morze. Kątem oka dostrzegł jakąś postać idącą, a właściwie biegnącą od zachodniej strony. Ten ktoś wskoczył na schody molo. To był Nordyk. Mitch rzucił się za nim w pogoń.

Aaron Rimmer przeszedł obok wędkarzy, okrążył budynek i obserwował kobietę w białym kapeluszu stojącą na końcu molo. Pochylała się nad czymś.

Coś błysnęło ponownie. Trzy razy. W ciszy zbliżył się do niej.

— Abby.

Odwróciła się gwałtownie i próbowała krzyczeć. Rimmer wpadł na nią i pchnął na balustradę. Mitch wychynął z ciemności i rzucił się głową naprzód, celując w nogi Nordyka, i cała trójka upadła na twarde brudny beton. Mitch wyczuł broń, którą facet schował z tyłu. Zamachnął się gwałtownie ramieniem i nie trafił. Rimmer obrócił się i wymierzył Mitchowi paskudny cios w lewe oko. Abby kopała nogami i odsuwała się. Mitch był oślepiiony i oszołomiony. Nordyk szybko się podniósł i sięgnął po broń, ale jej nie wyjął. Ray zaatakował go niczym taran i posłał z ogromną siłą na balustradę. Cztery proste błyskawiczne ciosy wylądowały na oczach i nosie, każdy wywoływał krwawienie. Nauczył się tego w więzieniu. Nordyk opadł na czworaki i w tej samej chwili Ray cztery razy kopnął go bardzo mocno w głowę. Rimmer jęknął z bólu i osunął się twarzą do ziemi.

Ray zabrał mu broń i podał ją Mitchowi, który już stał i usiłował skoncentrować wzrok w jednym oku. Abby obserwowała molo. Nie było na nim nikogo.

— Zaczynj świecić — powiedział Ray, odwijając linę z talii.

Abby stanęła przodem do wody, osłoniła latarkę, namacała włącznik i zaczęła błyskać jak szalona.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytał Mitch szeptem, patrząc na Raya i linę.

— Dwie możliwości. Możemy rozwalić mu łeb albo utopić.

— Och Boże! — jęknęła Abby, nie przerywając świecenia latarką.

— Nie strzelaj z pistoletu — wyszeptał Mitch.

— Dzięki — powiedział Ray. Chwycił krótki odcinek liny, owinął go ciasno wokół szyi Rimmera i szarpnął. Mitch odwrócił się tyłem i stanął między ciałem a Abby. Nawet nie próbowała tego zobaczyć. — Przepraszam,

ale nie mieliśmy wyboru — wymamrotał Ray jakby do siebie.

Nieprzytomny mężczyzna się nie ruszał. Po trzech minutach Ray odetchnął głośno i oznajmił:

— Nie żyje. — Przywiązał drugi koniec liny do słupka, przepchnął ciało pod balustradą i po cichu opuścił do wody.

— Zejdę pierwszy — powiedział Ray, wspinając się na balustradę, a potem spuszczać po linie. Dwa i pół metra pod molo pomiędzy grubymi betonowymi słupami zanurzonymi w wodzie był zamocowany stalowy krzyż. Dzięki temu powstała tam idealna kryjówka. Abby była następna. Ray chwycił ją za nogi, gdy opuszczała się po linie na dół. Mitch, ślepy na jedno oko, stracił równowagę i niewiele brakowało, a wpadłby do morza.

Ale udało im się. Siedzieli na stalowym wsporniku trzy metry nad ciemną, zimną wodą. Trzy metry nad rybami, pąklami i ciałem Nordyka. Ray przeciął linę, żeby ciało jak trzeba opadło na dno, zanim po dwóch, trzech dniach wypłynie.

Siedzieli jak trzy sowy na gałęzi, patrzyli na światełka boi i latarnie kanałów, i czekali na zbawiciela, który przyjdzie po wodzie. Jedynym dźwiękiem był cichy chlupot fal poniżej i miarowe klikanie latarki.

A potem na molo rozległy się jakieś głosy. Nerwowe, zaniepokojone, spanikowane, szukające kogoś. Po chwili ucichły.

— I jak, braciszku, co teraz zrobimy? — wyszeptał Ray.

— Plan B — odpowiedział Mitch.

— A co to takiego?

— Zaczniemy płynąć.

— Bardzo śmieszne — mruknęła Abby, nie przerywając świecenia latarką.

Minęła godzina. Stalowy wspornik, choć idealnie położony, nie był wygodny.

— Zauważyliście te dwie łodzie, o tam? — zapytał Ray cicho.

Łodzie były niewielkie, mniej więcej półtora kilometra od brzegu, i przez ostatnią godzinę pływały w tę i z powrotem podejrzanie wolno wzdłuż plaży.

— Myślę, że to łodzie rybackie — powiedział Mitch.

— Kto łowi ryby o pierwszej w nocy? — zdziwił się Ray.

Cała trójka zaczęła się nad tym zastanawiać. Nie potrafili znaleźć wyjaśnienia.

Abby zorientowała się pierwsza. Modliła się i miała nadzieję, że to nie ciało unosi się na powierzchni i zmierza w ich kierunku.

— O tam — powiedziała, wskazując miejsce na morzu oddalone o jakieś pięćdziesiąt metrów.

Był to czarny obiekt unoszący się na wodzie i przesuwany powoli w ich stronę. Patrzyli w napięciu. A potem rozległ się dźwięk przypominający turkot maszyny do szycia.

— Nie przestawaj błyskać — powiedział Mitch.

To było coraz bliżej.

Okazało się, że to mężczyzna w niewielkim pontonie.

— Abanks! — Mitch wyszeptał głośno.

Warkot ustał.

— Abanks! — powtórzył.

— Gdzie byliście, do cholery? — padło w odpowiedzi.

— Tutaj. Pod molo. Pospiesz się, do diabła!

Warkot się nasilił i Abanks zacumował dwuipółmetrowy gumowy ponton pod molo. Zsunęli się ze wspornika i wylądowali jedno na drugim, bardzo zadowoleni. Uścisnęli się po cichu i wyściskali Abanksa, który podkręcił elektryczny silnik o mocy pięciu koni i skierował ponton na otwarte morze.

— A gdzie łódź? — zapytał Mitch.

— Mniej więcej półtora kilometra stąd — odpowiedział Abanks.



— Co się stało z twoją zieloną latarką?  
Abanks wskazał latarkę leżącą obok silnika.  
— Bateria zdechła.

• • •

Łódź okazała się dwunastometrowym szkunerem, który Abanks znalazł na Jamajce za jedyne dwieście tysięcy. Jeden z jego przyjaciół czekał przy drabinie i pomógł im wejść na pokład. Nazywał się George, po prostu George, i mówił po angielsku z akcentem. Abanks zapewnił ich, że można mu ufać.

— Gdybyście chcieli, to mamy tu whiskey. Jest w szafce — powiedział.

Ray znalazł whiskey. Abby wzięła koc i położyła się na niewielkiej kanapie. Mitch stał na pokładzie i podziwiał swoją nową łajbę. Kiedy Abanks i George wciągnęli ponton na pokład, Mitch powiedział:

— Zmywajmy się stąd. Możemy już płynąć?

— Jak sobie życzysz — odpowiedział George.

Mitch patrzył na światła wzdłuż plaży i pożegnał się. Zszedł pod pokład i nalał sobie kubek whiskey.

• • •

Wayne Tarrance spał w ubraniu w poprzek łóżka. Od ostatniego telefonu sześć godzin temu nie ruszył się z pokoju. Telefon zadzwonił obok niego. Znalazł go po czterech dzwonekach.

— Halo — mówił wolno, głos miał zachrypnięty.

— Wayne, kochanie, obudziłam cię?

— Oczywiście.

— Teraz możesz wziąć sobie te dokumenty. Pokój trzydzieści dziewięć, motel Sea Gull's Rest przy autostradzie dziewięćdziesiąt osiem w Panama

Beach City. W recepcji siedzi facet, który nazywa się Andy, on wpuści cię do tego pokoju. Nasz przyjaciel wszystko dokładnie i szczegółowo oznaczył i nagrał szesnaście godzin zeznań na kasety wideo. Więc bądź miły.

— Mam pytanie — powiedział Tarrance.

— Jasne, olbrzymie. Pytaj śmiało.

— Skąd on cię wystraszył? Bez ciebie to wszystko byłoby niemożliwe.

— O rany, dzięki, Wayne. Znalazł mnie w Memphis. Zaprzyjaźniliśmy się, a on zaproponował mi sporą kasę.

— Ile?

— Dlaczego miałyby to mieć znaczenie, Wayne? Nigdy więcej nie będę musiała pracować. Muszę lecieć, kochany. Zabawa była naprawdę świetna.

— Gdzie on jest?

— Kiedy rozmawiamy, siedzi w samolocie do Afryki Południowej. Ale błagam, nie marnuj czasu, usiłując go złapać. Wayne, misiu, kocham cię, ale pamiętaj, że nie umiałeś go złapać nawet w Memphis. To tymczasem. — I się rozłączyła.

# Rozdział 41

Świt. Niedziela. Dwunastometrowy szkuner mknął na południe pod pełnymi żaglami. Niebo było bezchmurne. Abby spała głęboko w głównej sypialni. Ray spity whiskey leżał nieprzytomny na kanapie. Abanks drzemał gdzieś pod pokładem.

Mitch siedział na pokładzie, pił zimną kawę i słuchał wykładu George'a o podstawach żeglowania. George był dobrze po pięćdziesiątce, miał długie, siwe, spłowiałe od słońca włosy i ciemną ogorzałą skórę. Niski i żyłasty, bardzo przypominał Abanksa. Urodził się w Australii, ale dwadzieścia osiem lat temu uciekł z ojczyzny po największym w historii napadzie na bank. Podzielili się ze współnikiem jedenastoma milionami w gotówce i srebrze, i każdy ruszył swoją drogą. Ostatnio słyszał, że jego współnik nie żyje.

Nie nazywał się George, ale używał tego imienia od dwudziestu ośmiu lat i zapomniał, jak się naprawdę nazywa. Pod koniec lat sześćdziesiątych odkrył Karaiby i po zobaczeniu tysięcy małych wysepek, na których mówiono po angielsku, uznał, że znalazł swoje miejsce na ziemi. Umieścił pieniądze w bankach na Bahamach, w Belize, w Panamie i rzecz jasna na Kajmanach. Zbudował niewielką zagrodę na bezludnym kawałku plaży na Małym Kajmanie i spędził ostatnie dwadzieścia jeden lat, opływając Karaiby swoim dziewięciometrowym szkunerem. Latem i wczesną jesienią trzymał się blisko domu, ale od października do czerwca mieszkał na łodzi i przenosił się z wyspy na wyspę. Odwiedził ich na Karaibach trzy setki. Raz spędził dwa lata tylko na Bahamach.

— Są tysiące wysp — opowiadał. — I jeśli człowiek często się przenosi,

nikt go nigdy nie znajdzie.

— Nadal cię poszukują? — zapytał Mitch.

— Nie wiem. A nie bardzo mogę zadzwonić i o to zapytać. W sumie jednak wątpię.

— Gdzie jest najbezpieczniejsze miejsce?

— Na tej łodzi. To ładny mały jacht, a kiedy nauczysz się żeglować, stanie się twoim domem. Znajdź gdzieś małą wyspę, może Brac albo Mały Kajman, wiele nadal jest prawie pustych, i zbuduj tam dom. Zrób tak jak ja. I większość czasu spędzaj na tej łodzi.

— Kiedy przestałeś się zamartwiać pościgiem?

— Och, nadal o tym myślę, wiesz. Ale się tym nie martwię. A ty, z jaką kasą uciekłeś?

— Wierz mi lub nie, to osiem milionów — odpowiedział Mitch.

— Ładna suma. Masz dość pieniędzy, żeby robić, co chcesz, dlatego zapomnij o nich. Opływaj wyspy przez resztę życia. Są gorsze rzeczy, chyba rozumiesz.

• • •

Przez wiele dni płynęli w kierunku Kuby, a potem okrążyli ją, zmierzając na Jamajkę. Obserwowali George'a i słuchali jego nauk. Po dwudziestu latach żeglowania na Karaibach miał ogromną wiedzę i cierpliwość. Ray, poliglota, wsłuchiwał się i zapamiętywał słowa, takie jak: „spinaker”, „maszt”, „dziób”, „rufa”, „rumpel”, „wciągarka fałów”, „lina sztormowa”, „słupek”, „kosz dziobowy”, „wciągarka żagli”, „pawęż”, „grotżagiel”, „kliwer”, „konga”, „listwa uszczelniająca luk”, „róg szotowy”, „kliwersztagi”, „szot trumslatacza”, „obciągacz bomu”, „duży fok”. George opowiadał im o przechyle, ostrzeniu, trymowaniu, spoinowaniu, wychyle, zabieraniu wiatru, klajdowaniu. Ray chłonał język, Mitch uczył się techniki.

Abby przebywała w kajucie, mówiła niewiele i uśmiechała się tylko wtedy, gdy było to konieczne. Mieszkanie na łodzi nie było spełnieniem jej marzeń. Tęskniła za domem i zastanawiała się, co z nim będzie. Może pan Rice skosi trawę i wyrwie chwasty? Brakowało jej ocienionych ulic, ładnie przystrzyżonych trawników i dzieci jeżdżących na rowerach. Myślała o psie i modliła się, żeby pan Rice wziął go do siebie. Martwiła się o rodziców — o ich bezpieczeństwo i o to, że się boją. Kiedy znowu będzie mogła ich zobaczyć? Uznała, że miną lata, ale mogłaby z tym żyć, gdyby miała pewność, że nic im nie grozi.

Myślami nie mogła uciec od teraźniejszości. Przyszłość była wielką niewiadomą.

W czasie drugiego dnia reszty jej życia zaczęła pisać listy: do rodziców, do Kay Quin, pana Rice'a i kilkorga przyjaciół. Wiedziała, że nigdy nie zostaną wysłane, ale przelewanie słów na papier jakoś jej pomagało.

Mitch obserwował ją uważnie, ale zostawił w spokoju. Tak naprawdę nie miał jej nic do powiedzenia. Może za kilka dni będą w stanie porozmawiać.

Pod koniec czwartego dnia, w środę, ich oczom ukazała się największa wyspa Kajmanów. Okrążyli ją powoli i zarzucili kotwicę półtora kilometra od brzegu. Po zmierzchu Barry Abanks się pożegnał. McDeere'owie podziękowali mu, a on oddalił się na gumowym pontonie. Zamierzał dotrzeć do zaprzyjaźnionej szkoły nurkowania, niecałe pięć kilometrów od Bodden Town, zadzwonić stamtąd do jednego z instruktorów i poprosić, żeby go zabrał. Gdyby w okolicy działo się coś podejrzanego, na pewno od razu by się o tym dowiedział. Abanks nie spodziewał się jednak problemów.

• • •

Zagroda George'a na Małym Kajmanie składała się z niewielkiego, pomalowanego na biało głównego budynku z drewna i dwóch mniejszych

domków gospodarczych. Znajdowała się czterysta metrów w głębi lądu nad maleńką zatoką. Najbliższego domu nie było stąd widać. W najmniejszym z domków mieszkała miejscowa kobieta i opiekowała się tym miejscem. Nazywała się Fay.

McDeere'owie rozgościli się w największym domu i próbowali zacząć wszystko od nowa. Ray, zbieg, włóczył się całymi godzinami po plażach i trzymał z dala od innych. Był w euforii, ale nie umiał tego okazać. Razem z George'em wypływał codziennie na kilka godzin i pił whiskey, poznając kolejne wyspy. Zwykle zresztą obaj wracali pijani.

Abby spędziła pierwszych parę dni w małym pokoju na górze z widokiem na zatokę. Napisała jeszcze więcej listów i zaczęła pisać dziennik. Spała sama.

• • •

Dwa razy w tygodniu Fay jeździła volkswagenem busem do miasteczka po zaopatrzenie i pocztę. Pewnego dnia przywiozła paczkę od Barry'ego Abanksa. George przyniósł ją Mitchowi. W środku była przesyłka od Doris Greenwood z Miami. Mitch rozerwał grubą dużą kopertę i znalazł w niej trzy gazety, dwie z Atlanty i jedną z Miami.

W nagłówkach pisano o wręcz masowym postawieniu w stan oskarżenia pracowników kancelarii Bendiniego z Memphis. Pięćdziesięciu jeden obecnych i byłych prawników firmy wysłuchało zarzutów, a razem z nimi trzydziestu jeden domniemyanych członków grupy przestępczej Morolto z Chicago. Prokurator generalny Stanów Zjednoczonych zapewnił, że będzie więcej aktów oskarżenia. Na razie rozpracowali wierzchołek góry lodowej. Dyrektor F. Denton Voyles pozwolił, by zacytowano jego słowa o zadaniu potężnego ciosu przestępczości zorganizowanej w Ameryce. To powinno być złowróżbnym ostrzeżeniem, powiedział, dla działających zgodnie z prawem

biznesmenów i ludzi na stanowiskach, których kuszą brudne pieniądze.

Mitch złożył gazety i poszedł na długi spacer plażą. Pod kępą palm znalazł trochę cienia i usiadł. W gazecie z Atlanty wymieniono wszystkie nazwiska oskarżonych prawników Bendiniego. Przeczytał je powoli. Ich widok nie sprawił mu przyjemności. Niemal żałował Nathana Locke'a. Niemal. Wally'ego Hudsona, Kendalla Mahana, Jacka Aldricha i w końcu Lamara Quina. Wyobrażał sobie ich twarze. Znał ich żony i dzieci. Mitch zapatrzył się na bezkresny ocean i pomyślał o Lamarze i Kay Quinach. Kochał ich i nienawidził. Pomogli firmie go uwieść i nie byli bez winy. Ale to jednocześnie jego przyjaciele. Co za marnotrawstwo! Może Lamar odsiedzi tylko kilka lat i wyjdzie na zwolnienie warunkowe? Może Kay i dzieciaki jakoś przetrwają? Może.

— Kocham cię, Mitch. — Abby stała za nim. Trzymała plastikowy dzbanek i dwa kubki.

Mitch uśmiechnął się i gestem pokazał jej, żeby usiadła obok.

— Co jest w dzbanku?

— Rumowy poncz. Fay go dla nas przyrządziła.

— Jest mocny?

Usiadła obok niego na piasku.

— To prawie sam rum. Powiedziałam Fay, że musimy się upić, a ona się ze mną zgodziła.

Mitch mocno przytulił Abby i sącył poncz. Patrzyli na niewielką łódź rybacką sunącą powoli po roziskrzanej wodzie.

— Boisz się, Mitch?

— Jestem przerażony.

— Ja też. To szaleństwo.

— Ale nam się udało, Abby. Żyjemy. Jesteśmy bezpieczni.

Jesteśmy razem.

— A co z jutrem? I następnym dniem?

— Nie wiem. Mogło być znacznie gorzej, sama wiesz. Moje nazwisko mogło znaleźć się w tej gazecie razem z innymi dopiero co oskarżonymi ludźmi. Albo moglibyśmy już nie żyć. Są gorsze rzeczy niż żeglowanie po Karaibach z ośmioma milionami dolców w banku.

— Myślisz, że moim rodzicom nic nie grozi?

— Tak mi się wydaje. Co Morolto mógłby zyskać, robiąc im krzywdę? Są bezpieczni, Abby.

Abby napełniła ponownie kubki ponczem i pocałowała męża w policzek.

— Dojdę do siebie, Mitch. Dopóki będziemy razem, poradzę sobie ze wszystkim.

— Abby — powiedział Mitch wolno, wpatrując się w wodę — muszę ci coś wyznać.

— Słucham.

— Prawdę mówiąc, nigdy nie chciałem być prawnikiem.

— Och...

— No. W głębi serca zawsze chciałem być żeglarzem.

— Więc to tak. A kochałeś się kiedyś na plaży?

Mitch zawahał się na mgnienie oka.

— Hm, nie.

— Więc pij, żeglarzu. Upijmy się i zróbmy dziecko.